

*Czasem historia zupełnie
nie ogarnia, o co chodzi...*

MOJJA

*Niełatwo
być królową.*

LADY

*Ona chyba
straciła głowę!*

SON
Imaginatio

JANE

CYNTHIA HAND BRODI ASHTON JODI MEADOWS

MOJA

CYNTHIA HAND BRODI ASHTON JODI MEADOWS

LADY

TŁUMACZENIE: MACIEJ PAWLAK

JANE

KRAKÓW 2017

Dedykujemy tę książkę wszystkim, którzy doskonale wiedzą, że Leonardo DiCaprio zmieściłby się na tamtych drzwiach.
I Anglii. Przepraszamy za to, co zaraz zrobimy ze znaną wam wersją wydarzeń



Courtesy of the authors

TRZY LEJDIS

Brodi Ashton, autorka cyklu Everneath oraz książki Diplomatic Immunity, Cynthia Hand, autorka bestsellerowego cyklu „New York Timesa” Uearthly i powieści The Last Time We Say Goodbye, oraz Jodi Meadows, autorka cyklu Incarnate and Orphan Queen, po raz pierwszy spotkały się w roku 2012, gdy ich wydawcy wysłali je razem na książkowe tournée. W sumie napisały 13 powieści, garść opowiadań oraz kilka naprawdę kiepskich wierszy, ale dopiero teraz po raz pierwszy postanowiły stworzyć coś wspólnie. Są przyjaciółkami. Naprawiają historię, pisząc na nowo co smutniejsze fragmenty.

Dowiedz się więcej na: www.ladyjanies.com

Czymże jest historia, jeśli nie uzgodnioną bajką?
Napoleon Bonaparte

Korona nie mnie się należy. Nie życzę jej sobie.
lady Jane Grey

CZĘŚĆ 1

W KTÓREJ ROBIMY MAŁĄ POWTÓRKĘ Z HISTORII

Tylko wydaje ci się, że wiesz, jak było. Oficjalna wersja jest taka: dawno temu żyła sobie szesnastolatka imieniem Jane Grey, którą zmuszono do małżeństwa z kompletnie obcą osobą (lordem Głupfordem, Gówfordem czy jak mu tam), a wkrótce potem stanęła na czele państwa. Królowała przez całe dziewięć dni. A potem straciła głowę. Dosłownie.

Tak, to bardzo przygnębiające, jeśli kogoś przygnębia pospieszne odłączenie głowy od ciała (jesteśmy tylko narratorkami i nie chcemy wciskać ludziom, co ma ich przygnębiać czy martwić).

I mamy do opowiedzenia zupełnie inną historię.

Ale uwaga, trochę zmieniliśmy kilka pomniejszych szczegółów, a kilka większych zmieniliśmy zupełnie. Niektóre imiona zostały zmodyfikowane, aby chronić niewinnych (czy niezupełnie niewinnych) albo tych, którzy mieli głupie imię, które nam się nie podobało. No i dodałyśmy szczyptę magii, żeby było ciekawiej. Żeby zrobić tak, by wszystko było możliwe.

Chcemy wam pokazać, jak naszym zdaniem powinna się potoczyć historia Jane.

Opowieść zaczyna się w Anglii (czy raczej w jakiejś alternatywnej Anglii, skoro manipulujemy historią) w połowie szesnastego wieku. Były to niespokojne czasy, zwłaszcza jeśli było się Eđianinem (jeśli ktoś nie zna tego słowa, wymawiać: e-wia-nin). Eđianie cieszyli się błogosławieństwem (lub smucili przekleństwem, zależy od punktu widzenia), jakim była zmiennokształtność, to jest umiejętność przemieniania się z człowieka w zwierzę i odwrotnie. Na przykład niektórzy ludzie mogli zmieniać się w koty, co przyczyniło się do drastycznego zwiększenia konsumpcji tuńczyka oraz zmniejszenia populacji angielskich szczurów (ale ponieważ inni zmieniali się w szczury, właściwie nikt nie zauważył).

Niektórzy sądzili, że ta zwierzęca magia to coś wspaniałego, ale oczywiście znaleźli się i tacy, którzy byli przekonani, że to abominacja, którą należy natychmiast zmieść z powierzchni ziemi. Ci drudzy (zwani Nieskalanymi) wierzyli, że ludzie nie powinni być niczym innym jak ludźmi właśnie. A ponieważ Nieskalanych było więcej i sprawowali władzę, prześladowali Eđianów i na nich polowali, aż większość wybili lub zmusili do ukrywania się.

Przenieśmy się teraz na angielski dwór. Jest piękne popołudnie,

a doprowadzony do szaleńczego król Henryk VIII zmienia się w wielkiego lwa i pożera nadwornego błazna ku uciesze zgromadzonej publiczności. Dworzanie klaszczą z entuzjazmem, bo nikt za błaznem nie przepadał. (Po chwili, gdy okazało się, że to nie była żadna ukartowana zawczasu sztuczka i że lew naprawdę pożarł nadwornego trefnisa, publiczność przestała klaskać, ale i tak dało się słyszeć: „Dobrze mu tak” i „Sam się prosił, skubany”).

Tej samej nocy król Henryk, powróciwszy do ludzkiej postaci, orzekł, że Eðianie nie są w sumie tacy źli i że odtąd cieszyć się będą tymi samymi prawami i przywilejami co Nieskalani. Decyzja o usankcjonowaniu starożytnej magii rozeszła się po Europie, jak kręgi wodne rozchodzą się po tafli jeziora, do którego wrzucono kamień. Zwierzchnik Kościoła Nieskalanych nie był uradowany decyzją króla, ale za każdym razem, gdy Rzym wysyłał edykt potępiający dekret królewski, Król Lew zjadał posłańca.

Stąd powiedzenie: nie zjadaj posłańca.

Kiedy król Henryk zmarł, tron odziedziczył jego jedyny syn Edward. Nasza historia rozpoczyna się więc w czasach cokolwiek burzliwych, gdy narastają animozje pomiędzy Eðianami i Nieskalanymi i gdy nastoletni król siedzi na angielskim tronie jak na szpilkach, a pewien młody lord i lady nie mają bladego pojęcia, jak spektakularnie połączą się ich losy.

Totalnie wbrew ich woli.

EDWARD

Król, jak się okazało, umierał.

– Ile mi zostało? – spytał mistrza Boubou, królewskiego lekarza. – Kiedy umrę?

Boubou otarł spocone czoło. Nie lubił przynosić władcom złych wieści. W jego fachu czasem kończyło się to na szafocie. Albo gorzej.

– Pół roku, może rok – skrzeknął. – Najwyżej.

A niech to wszyscy diabli – pomyślał Edward (ale nie powiedział na głos; był w końcu królem, a królowi to nie przystoi). Prawda, chorował od kilku miesięcy, ale przecież miał tylko szesnaście lat. Nie mógł być umierający. Przeziębził się i tyle. Może i wyjątkowo długo zmagął się z kaszlem, może zbyt często ścisnęło go w piersi i męczyła go gorączka, może cierpiał migreny i nieco za często doznawał zawrotów głowy, może i dopadał go jakiś dziwny absmak, ale żeby zaraz umierać?

– Pewien jesteś? – spytał.

Boubou kiwnął głową.

– Przykro mi, Wasza Wysokość. To krztusica.

Krztusica? Oj, niedobrze.

Edward zdusił napad kaszlu. Od razu poczuł się gorzej, zupełnie jakby jego płuca usłyszały diagnozę doktora i postanowiły skrócić własne męki. Widywał chorych na krztusicę, którzy nieustannie kasłali w obstrupiałe, poplamione krwią chustki, chwiali się na nogach i drżeli. Zwykle szybko umykali z salonów po z trudem wydyszanych przeprosinach, by nie gorszyć dam swą powolną i bolesną śmiercią.

– Jesteś... pewny? – powtórzył pytanie.

Boubou pogmerał palcami przy kołnierzu.

– Mogę zaaplikować Waszej Wysokości mikstury uśmierzające ból i upewnić się, że będzie Waszej Wysokości wygodnie aż do ostatniego dnia, ale... tak, jestem pewien.

Koniec. Cześć pieśni. Finito. To straszne.

– Ale... – Ale przecież tyle jeszcze chciał w życiu zrobić. Po pierwsze: pocałować dziewczynę, najlepiej jakąś ładną, a jeszcze lepiej „tę jedyną”. I kto wie, może nawet z języczkiem (to ta nowomodna technika całowania,

którą dopiero co wymyślono we Francji). Chciał wyprawiać wielkie, pełne przepychu bale, w czasie których mógłby się popisać swoimi umiejętnościami tanecznymi. Chciał w końcu pokonać mistrza broni na miecze, bo tylko nauczyciel szermierki Łomot zapominał mu się podkładać podczas sparingów. Chciał zwiedzić swoje królestwo i w ogóle podróżować po świecie. Chciał upolować jakąś wielką bestię i powiesić jej łeb nad kominkiem. Chciał się wspiąć na Scaffel Pike, wejść tak wysoko, jak to tylko możliwe w Anglii, i spojrzeć z góry na rozciągający się u jego stóp krajobraz, a następnie powiedzieć sam do siebie: władasz wszystkim, co opromienia słońce.

Ale najwidoczniej nie dokona żadnej z tych rzeczy.

Przedwcześnie – tak opiszą jego śmierć. Król Edward zmarł w kwiecie wieku. Król Edward zmarł tragicznie. Już słyszał wyśpiewywane przez minstreli ballady o wielkim królu, który odszedł zbyt szybko.

*Legł w grobie król Edward, co wykaszłał płuca,
Przynajmniej charkaniem ciszy nie zakłóca.*

– Chcę opinii drugiego lekarza. Lepszej od twojej. – Spoczywająca na oparciu tronu ręka Edwarda zacisnęła się w pięść. Zadrzał, gdy nagle owionął go chłód, i szczerzej otulił się obszytą futrem szatą.

– Ma się rozumieć, Wasza Wysokość – zgodził się Boubou, wycofując się do wyjścia.

Edward spostrzegł strach w oczach doktora i przez chwilę nosił się z myślą wtrącenia go do lochu. Był w końcu królem, a król zawsze dostawał, czego chciał, a nie przyjmował tego, czego nie chciał. W tej chwili bardzo nie chciał umierać. Przesunął palcami po złotym sztylcie u pasa, a Boubou cofnął się o krok na ten widok.

– Wasza Wysokość, jest mi niewymownie przykro – wybełkotał w podłogę starzec. – Błagam, niech Wasza Wysokość nie zjada posłańca.

Edward wydał z siebie ciężkie westchnienie. Nie był swoim ojcem, który rzeczywiście mógłby w takiej sytuacji zmienić się w lwa i pożreć nieszczęśnika za dostarczenie złych wiadomości. Edward nie odziedziczył zdolności ojca. Czym od zawsze czuł się rozczarowany.

– Możesz odejść, Boubou – powiedział po prostu.

Lekarz odetchnął z ulgą i ruszył do drzwi jak wystrzelony z katapulty, zostawiając Edwarda samego w obliczu nadchodzącej śmierci.

– A niech to wszyscy diabli... – mruknął pod nosem ekwiwalent dzisiejszego „cholera”. Krztusica to wyjątkowo niekrólewski sposób na rozstanie się z życiem.

*

Jakiś czas potem, gdy wieści o rychłej śmierci monarchy rozeszły się po pałacu, złożyły mu wizytę jego siostry. Król siedział na parapecie wychodzącego na dziedziniec okna w rogu jednej z południowych wież Greenwich Palace, swoim ulubionym miejscu w całym pałacu. Majtał nogami, obserwując krzątających się w dole ludzi, wsłuchany w jednostajny szum Tamizy. Wreszcie pojął, jaki jest Sens Życia, i że ową Wielką Tajemnicę można streścić w jednym zdaniu.

Życie jest krótkie, a potem umierasz.

– Edwardzie – wymruczała Bess, obdarzając go współczującym uśmiechem i usadawiając się obok. – Tak mi przykro, braciszku.

Próbował odpowiedzieć uśmiechem. Edward był prawdziwym mistrzem uśmieszków, była to jego najskrupulatniej dopracowana królewska umiejętność. Zdołał jednak tylko skrzywić się tak, że jego twarz przybrała żalospny, nieokreślony grymas.

– A więc już wiecie – powiedział, siląc się na obojętny ton. – Oczywiście, mam zamiar skonsultować diagnozę Boubou z innym lekarzem. Czuję się zupełnie dobrze.

– Och, kochany Eddie – wydusiła Maria, muskając haftowaną chustką kącik oka. – Mój kochany chłopcze. Moja biedna ptaszyno...

Przymknął oczy. Nie lubił, gdy zwracano się do niego per Eddie, nie znosił, gdy mówiono do niego, jakby wciąż był pacholęciem w krótkich pończochach, ale tolerował, gdy robiła to Maria. Od zawsze współczuł swoim siostrom, które ojciec ogłosił córkami z nieprawego łoża. W tamtym roku, gdy tata, król Henryk VIII, po raz pierwszy przybrał zwierzęcą formę – ludzie nazwali go Rokiem Lwa – zaraz potem wydał edykt, że odtąd to król będzie podejmował wszystkie decyzje, anulował więc swoje małżeństwo z matką Marii i umieścił ją w klasztorze, gdzie miała spędzić resztę swoich dni, a wszystko po to, by mógł poślubić matkę Bess, jedną z najładniejszych panien na wydaniu. Lecz gdy Żona Numer Dwa nie obdarzyła go męskim potomkiem, a po dworze zaczęły krążyć plotki, że królowa Anna jest Eđianką i co jakiś czas zmienia się w czarnego kota, by mogła przemykać niepostrzeżenie pałacowymi

korytarzami do komnat pewnego minstrela, król kazał obciąć jej głowę. Żona Numer Trzy (czyli matka Edwarda) zrobiła wszystko jak należy: urodziła dziecko o właściwych genitaliach, które miało w przyszłości zasiąść na tronie Anglii, a później, ponieważ nie była z tych, co lubią się chełpić dobrze odwaloną robotą, niezwłocznie wzięła i zmarła. Król Henryk miał jeszcze trzy żony (kolejno: anulowaną, pozbawioną głowy i tę szczęściarę, co go przeżyła), ale ani jednego potomka.

Było ich więc tylko troje: Maria, Bess i Edward. Stanowili osobny gatunek niedopasowanej rodziny, bo ich ojciec najprawdopodobniej był szalony i definitywnie niebezpieczny, nawet w ludzkiej formie, zaś ich matki zmarły bądź przebywały na wygnaniu. Dzieci zawsze dobrze się ze sobą dogadywały, ponieważ żadne nie miało wątpliwości, kto zasiądzie na tronie. Oczywiście, że Edward. Bo miał między nogami to, co wszyscy inni chłopcy.

Był królem, odkąd skończył dziewięć lat. Właściwie to jak przez mgłę pamiętał czasy, gdy jeszcze królem nie był, a do dziś uważał, że monarszy stan bardzo mu służy. Na wiele mi się zdała korona – pomyślał z goryczą. Wolałby być człowiekiem z gminu, synem kowala, dajmy na to. Wtedy może zdążyłby nieco skorzystać z życia, zanim śmierć zabrałaby go z tego łez padołu. Przynajmniej miałby już za sobą pierwszy pocałunek.

– A tak naprawdę, jak się czujesz? – spytała Maria z powagą. Maria wszystko mówiła z powagą.

– Jakbym zapadł na krztusicę – odparł. – Ciekawe czemu.

To przywołało na usta Bess cień uśmiechu, ale Maria tylko potrząsnęła głową. Nigdy nie śmiała się z jego żartów. On i Bess od lat nazywali ją za jej plecami Marią Starą Małą, bo pomimo słusznego wieku bywała dziecinna. Nie bawiło jej nic poza egzekucjami zdrajców i paleniem na stosie biednych Eðianów. Była zaskakująco żądna krwi, jeśli chodziło o Eðianów. Miała ich za plugawych heretyków.

– Wiecie, krztusica zabrała mi matkę. – Maria niespokojnie wykręciła chustkę w palcach.

– Wiemy. – Choć tak naprawdę Edwardowi zawsze wydawało się, że przyczyną zgonu królowej Katarzyny było raczej złamane serce niż choroba. Z drugiej strony powszechnie wiadomo, że w zdrowym ciele zdrowy duch, a gdy duch choruje, ciało prędko idzie w jego ślady.

A zaraz potem naszła go myśl, że on nigdy nie będzie miał złamanego serca. Naparła na niego nowa fala żalości. Nigdy się nie zakocha.

– To straszna śmierć – ciągnęła Maria. – Kaszlesz i kaszlesz, aż

wykasłujesz płuca.

– Dzięki – odpowiedział. – Od razu mi lepiej.

Zawsze milcząca w pobliżu siostry Bess posłała Marii wściekłe spojrzenie i nakryła dłoń Edwarda własną, urękawiczoną.

– Czy możemy coś dla ciebie zrobić?

Wzruszył ramionami. Oczy go piekły. Przyrzekł sobie, że nie będzie płakał, bo płacz jest dla dziewczyn i małych dzieci, nie dla królów, a poza tym łyż niczego nie zmienia.

Bess ścisnęła jego dłoń.

Odpowiedział tym samym, wcale nie płacząc, po czym powrócił do gapienia się przez okno i rozmyślał o sensie życia.

Życie jest krótkie.

A potem umierasz.

Czasem szybciej, niż myślisz. Za pół roku, może rok. Ten rok wydał mu się teraz strasznie krótkim okresem. Zeszłej wiosny słynny włoski astrolog postawił Edwardowi horoskop, a potem orzekł, że król przeżyje jeszcze czterdzieści lat.

Wychodziło na to, że włoscy astrologowie to zgraja zatraconych kłamców.

– Ale przynajmniej możesz być spokojny, że wszystko będzie w najlepszym porządku, jak już odejdziesz – wyrzekła Maria z powagą.

– Co proszę? – spytał, przeszywając ją wzrokiem.

– Chodzi mi o królestwo – dodała z jeszcze większą powagą. – Królestwo trafi w dobre ręce.

Właściwie to od czasu poznania diagnozy w ogóle nie zaprzął sobie głowy królestwem. Był zbyt zajęty kontemplacją wykasływania własnych płuc. Doszedł do wniosku, że jak już umrze, będzie mu wszystko jedno, gdzie są jego płuca.

– Mario! – złajęła ją Bess. – To nie czas na politykę.

Zanim Maria zdążyła wdać się w kłótnię (a sądząc po wyrazie jej twarzy, miała wielką ochotę powiedzieć, że zawsze jest czas na politykę), rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść – zawołał Edward, a w szparze między drzwiami a futryną ukazał się wielki orli nos Johna Dudleya, księcia Northumberland i Lorda Przewodniczącego królewskiej Tajnej Rady.

– Ach, Wasza Wysokość, takim myślał, że cię tu znajdę – powiedział, dostrzegłszy Edwarda. Przemknął wzrokiem po Marii i Bess, jakby nie zamierzał poświęcić im więcej czasu niż to konieczne, by je rozpoznać. –

Księżniczko Mario, księżniczko Elżbieto, wyglądają panienki kwitnąco – rzucił, po czym całą uwagę poświęcił Edwardowi. – Wasza Wysokość, czy mógłbym na słówko?

– Nawet na kilka – odparł Edward.

– W cztery oczy – wyklarował lord Dudley. – W komnacie narad.

Edward wstał i otrzepał spodnie. Skinął siostrom na pożegnanie, a one dygnęły dwornie. Potem dał się poprowadzić lordowi Dudleyowi w dół schodów i przez długie pałacowe korytarze do komnat, gdzie królewscy doradcy niestrudzenie oddawali się papierkowej robocie, nieodzownej przy zarządzaniu państwem oraz podejmowaniu wszystkich możliwych decyzji. Sam król nigdy tu nie zaglądał, chyba że jakiś ważny dokument wymagał jego podpisu lub jakaś inna ważna sprawa wymagała jego osobistej uwagi. Co prawie się nie zdarzało.

Dudley zamknął drzwi za królem.

Zdyszany od marszu Edward utonął w miękkim aksamicie, którym obity był tron, potężne siedzisko z wysokim oparciem ustawione u szczytu półkola krzeseł (na których zwykle zasiadało trzydziestu członków Tajnej Rady Anglii). Dudley podał królowi chustkę, którą ten przyłożył do ust, gdy targnął nim atak kaszlu.

Kiedy odjął ją od warg, ujrzał różową plamkę.

A niech to wszyscy diabli.

Nie mogąc oderwać wzroku od plamki, podał chustkę Dudleyowi.

– Zatrzymaj ją, Wasza Wysokość – powstrzymał go książę i przeciął pomieszczenie, po czym stanął pod przeciwległą ścianą i zaczął gładzić brodę, jak zawsze, gdy pogrążał się w myślach.

– Wydaje mi się – powiedział po chwili – że powinniśmy ustalić, co zrobimy.

– Zrobimy? To krztusica. Nieuleczalna choroba. Nic nie mogę z tym zrobić, chyba tylko umrzeć.

Dudley zmusił usta do życzliwego uśmiechu, który wyjątkowo nienaturalnie wyglądał na jego nienawykłej do uśmiechania się twarzy.

– Tak, sire, to prawda, lecz śmierć przychodzi po wszystkich. – Przeczesał brodę palcami. – Choroba Waszej Wysokości to wielka tragedia, ale przynajmniej dowiedzieliśmy się o niej zawczasu. Możemy dzięki temu wziąć się do pracy. Jest mnóstwo rzeczy, które Wasza Wysokość musi zrobić przed śmiercią dla swojego królestwa.

Ach, to o królestwo chodzi. Zawsze o królestwo. Edward skinął głową.

– Dobra – powiedział nieco odważniej, niż się czuł. – Powiedz, co mam do zrobienia.

– W pierwszej kolejności należy zająć się kwestią sukcesji. Potrzebny nam dziedzic.

Edward uniósł brwi.

– Chcesz, żebym ożenił się i spłodził dziedzica tronu w mniej niż rok?

To może być ciekawe. I z całą pewnością będzie się wiązało z całowaniem z jęczyzkiem.

Dudley odkaszlnął.

– Znaczący... Niezupełnie, Wasza Wysokość. Jesteś, panie, zbyt chory.

Edward już poderwał się do kłótni, ale zaraz przypomniał sobie o różowej plamce na chusteczce i o tym, że przemierzywszy pałac, nieomal wyzionął ducha. Książę miał rację, Edward nie nadawał się do amorów.

– No cóż... – zaszepczał. – A więc chyba korona przypadnie Marii.

– Nie, sire – zaprzeczył gorliwie Dudley. – Nie wolno nam dopuścić, by tron Anglii wpadł w niepowołane ręce.

Edward zmarszczył się.

– Ale to moja siostra. I w dodatku najstarsza. To przecież ona...

– Ona należy do Kościoła Nieskalanych – nie ustępował Dudley. – Marię wychowano w przekonaniu, że magia zwierzęca jest złem, czymś, czego należy się bać i co trzeba zniszczyć. Gdyby została królową, zrobiłaby z Anglii ciemnogród, gdzie żaden Eđianin nie mógłby spać spokojnie.

Edward rozparł się na tronie. Książę miał oczywiście rację. Maria za nic nie będzie tolerować Eđianów (bo wołała ich przyrzadzonych na chrupiąco, o czym już wspomnieliśmy), a w dodatku była kompletnie pozbawiona poczucia humoru, jej myślenie było tak wsteczne, jak to tylko możliwe. Edwarda ogarnęła trwoga, gdy wyobraził ją sobie na tronie.

– Zgoda, to nie może być Maria – przystał król. – Ani Bess. – Okręcił na palcu pierścień z królewską pieczęcią. – Rzecz jasna sprawdziłaby się lepiej od Marii, poza tym oboje jej rodziców było Eđianami, jeśli wierzyć pogłoskom o kotce, ale nie wiem, jaki jest jej stosunek do Nieskalanych. Ma dość chwiejne poglądy na tę sprawę. A tak w ogóle to przecież kobieta nie może zasiąść na tronie.

Zauważyliście już pewnie, że Edward miał skłonność do seksizmu – przynajmniej jeszcze na tym etapie opowieści. Ale właściwie nie można go za to winić, skoro przez całe życie noszono go na rękach tylko dlatego, że był chłopcem.

On sam miał się za postępowego władcę. Nie odziedziczył po ojcu eðiańskiej krwi (a przynajmniej tak sądził), ale miał Eðianów w rodzinie i nauczono go sympatyzować z ich sprawą. Ostatnimi czasy napięcie pomiędzy dwoma stronami konfliktu niebezpiecznie zbliżało się do apogeum. Edward słyszał pogłoski o tajemniczej grupie Eðianów nazywających się Watahą, która najeżdżała i plądrowała kościoły i klasztory Nieskalanych w całym kraju. Później dowiedział się o coraz większej liczbie skarg, które wnosili dyskryminowani i prześladowani Eðianie. A potem zaczęły się pojawiać doniesienia o akcjach odwetowych wymierzonych w Nieskalanych. I tak w kółko.

Dudley znów miał rację. Potrzebowali proeðiańskiego władcy. Kogoś, kto uchroniłby kraj przed niepokojami i wojną domową.

– Masz na myśli kogoś konkretnego, księżę? – Edward sięgnął do niskiego stolika, gdzie zawsze, na mocy królewskiego dekretu, stała miska świeżych, schłodzonych jeżyn, które uwielbiał. Mówiło się, że mają nadzwyczajne właściwości lecznicze, więc ostatnio opychał się nimi na potęgę. Włożył jedną do ust.

Grdyka księcia Dudleya podskoczyła i opadła na miejsce, a Edward po raz pierwszy wyczytał z jego twarzy zdenerwowanie.

– Pierworodnego syna lady Jane Grey, Wasza Wysokość.

Edward niemal zadławił się jeżyną.

– Jane ma syna? – wykrztusił. – Ależ skryta ta moja kuzynka.

– Jeszcze nie ma – wyjaśnił cierpliwie Dudley. – Ale będzie miała. A jeśli pominąć Marię i Elżbietę, następni w linii sukcesji są właśnie Greyowie.

A więc Dudley chciał wydać Jane za mąż i osadzić na tronie jej dziecko.

Edward nie umiał wyobrazić sobie swojej kuzynki Jane z mężem u boku i z dzieckiem na ręku, nawet pomimo tego, że miała już szesnaście lat, a niezamężne szesnastolatki niewiele w tamtych czasach dzieliło od starych panien. Największą miłością Jane były książki, przeważnie historyczne, filozoficzne i religijne, choć tak naprawdę wszystkie, jakie wpadły jej w ręce. Była tym typem osoby, która uwielbia czytać Platona w oryginale. Kochała to tak bardzo, że czytała go dla przyjemności, nie tylko w ramach zadania domowego. Znała na pamięć całe poematy epickie i mogła recytować je na wrywki. Najbardziej lubiła sięgać właśnie po książki starożytne lub o starożytności, a także te traktujące o Eðianach i ich przygodach.

Nie ulegało wątpliwości, że jeśli Jane zostanie królową, opowie się za zmiennokształtnymi.

Tajemnicą poliszynela był eðiański rodowód matki Jane, ale nikt nie wiedział, w jakie zwierzę się zmieniała. Za dziecinnych lat ulubioną zabawą Edwarda i Jane było wyobrażanie sobie, w jakie zwierzęta będą mogli się zmienić, kiedy dorosną i odkryją swoje dary. Edward zawsze uważał, że będzie czymś potężnym i groźnym. Wilkiem, dajmy na to. Albo niedźwiedziem. Albo tygrysem.

Jane nigdy nie mogła się zdecydować, którą eðiańską postać lubi bardziej: rysia czy sokoła. Tak, chyba rozważała te dwie.

– Pomyśl tylko, Edwardzie – przypomniał sobie szepczący mu do ucha głos dziesięcioletniej Jane, gdy leżeli na trawiastym pagórku w Bradgate, dopatrując się w chmurach kształtów zwierząt. – Mogłabym być tam w górze, ujeżdżając wiatr, i nikt nie mówiłby mi, że mam siedzieć prosto, i nikt nie krytykowałby mojego wyszywania. Byłabym wolna.

– Wolna jak ptak – dodał wówczas.

– Wolna jak ptak! – Roześmiała się, wstała i zbiegła po zboczu, a jej długie rude włosy rozwiały się na wietrze. Rozłożyła ramiona, jakby naprawdę chciała wzbić się w przestworza.

Kilka lat później spędzili całe popołudnie, przerzucając się wyzwiskami, bo Jane wyczytała w jakiejś książce, że Eðianie często zmieniali się w zwierzęta, kiedy targwały nimi emocje. Klęli więc na siebie, policzkowali się, a Jane ośmieliła się cisnąć w Edwarda kamieniem, czym zdołała go nawet wkurzyć, ale niestety, przez cały ten czas uparcie zachowywali ludzkie postacie.

Było im z tego powodu strasznie przykro.

– Sire? – ponaglił go książę Dudley.

Edward otrząsnął się ze wspomnień.

– Chcesz wydać Jane za mąż – zdradził się z podejrzeniami. – A czy wiesz już za kogo?

Na myśl o zamążpójściu kuzynki odczuł ukłucie smutku. Jane była jego najlepszą przyjaciółką, bezkonkurencyjnie najulubieńszą osobą na świecie. Gdy jako dziecko wysłano ją do Katarzyny Parr (szóstej żony Henryka VIII), Jane prawie cały czas spędzała z Edwardem, częstokroć pobierali nawet nauki u tych samych nauczycieli. To wtedy się ze sobą zaprzyjaźnili. Tylko Jane naprawdę go rozumiała, tyk ona nie traktowała go jak osobny gatunek ze względu na koronę. Gdzieś z tyłu jego głowy od lat tliła się myśl, że to on poślubi kiedyś Jane Grey. (Były to czasy, gdy społeczeństwo dopuszczało małżeństwo między kuzynami).

– Tak, sire. Mam idealnego kandydata. – Dudley zaczął krążyć po

pomieszczeniu, nie przestając gładzić brody. – Kogoś z dobrej rodziny i o nienaganych manierach.

– Nie wątpię. Kogo? – spytał Edward.

– Kogoś o niewątpliwie eðiańskim rodowodzie.

– Dobrze, ale kogo?

– Kogoś, komu nie przeszkadzają czerwone włosy lady Jane.

– A co jest złego w jej włosach? – zaprotestował król. – W dobrym świetle są raczej czerwonorude i wcale ładne...

– Kogoś, kto zdoła ją utemperować – ciągnął Dudley.

No cóż, to miało sens. Jane była znana z trudnego charakteru. Nie dawała się oprowadzać po dworze jak inne szlachetnie urodzone panny, jakby była koniem wystawionym na sprzedaż, otwarcie sprzeciwiała się matce, przychodząc na bale z książką i czytając w kącie, zamiast tańczyć i zaklepywać przyszłego męża.

– Kogo? – spytał król po raz setny.

– Kogoś, komu można ufać.

Słowo daję, najprawdziwszy księżę z bajki – westchnął w duchu Edward.

– Ale kogo?! – krzyknął. Nie lubił się powtarzać. A poza tym to dreptanie Dudleya przyprawiało go o mdłości. Edward uderzył pięścią w stół, jeżyny poleciały na wszystkie strony. – Kogo? Niech to diabli, Northumberland, wykrztuście wreszcie!

Księżę stanął jak wryty. Oczyszczył gardło.

– Gifforda Dudleya – wymamrotał.

Edward mrugnął.

– Że niby kogo?

– Mojego najmłodszego syna.

Edward potrzebował chwili, żeby przyswoić tę rewelację, sumując w myślach wszystkie przymioty kandydata na męża dla Jane, które Dudley przed chwilą wymienił. Dobra rodzina – tak, ktoś godny zaufania – tak, ktoś o eðiańskim rodowodzie...

– John – wypalił król – czy ty masz Eðianów w rodzinie?

Księżę Dudley spuścił wzrok. Przyznanie się do eðiańskiej krwi mogło być bardzo niebezpieczne, nawet w cywilizowanych czasach, gdy nie groził za to stos. Bycie Eðianinem nie było już nielegalne, ale wciąż nie brakowało w Anglii takich, którzy uważali, że dobry zmieniak to martwy zmieniak.

– Ja sam, oczywiście, nie jestem Eðianinem – wyznał Dudley po pauzie. – Ale mój syn tak.

A więc najmłodszy Dudley był Eđianinem! Znakomicie! Edward zapomniał na moment, że umiera i że aranżuje swojej ukochanej kuzynce polityczne małżeństwo.

– A w co się zmienia?

Dudley pokraśniał.

– Spędza całe dni zmieniony w... – Poruszył ustami, jakby chciał uformować słowo, ale zapomniał użyć głosu.

Edward pochylił się na tronie.

– Co proszę?

– On... – Dudley zmagał się ze słowami. – On jest... No...

– Dalejże, człowieku! – rozsierdził się król. – Wykrztuś to z siebie!

Dudley zwilżył wargi.

– On jest... należy do koniowatych...

– Do kogo?

– Jest koniem, Wasza Wysokość.

– Koniem. – Edward opadł na tron, zapominając domknąć ust. – Twój syn spędza całe dni pod postacią konia – powtórzył, żeby się upewnić, że się nie przesłyszał.

Doradca żałośnie pokiwał głową.

– Nic dziwnego, że tak rzadko widuję go na dworze. Niemal już zapomniałem, że masz jakiegoś syna poza Stanem! I czy nie powiedziałaś nam kiedyś, że twój młodszy syn urodził się przygłupem i że nie ma dla niego miejsca na salonach?

– Doszliśmy do wniosku, że wszystko jest lepsze od prawdy – przyznał Dudley.

Edward sięgnął po kolejną jeżynę.

– Kiedy to się stało? I jak?

– Sześć lat temu – padła odpowiedź. – Nie wiem jak. Niespodziewanie dostał jakiegoś ataku, a w następnej chwili był już... – Unikał tego słowa jak zarazy. – Ale mimo wszystko jestem przekonany, Wasza Wysokość, że to idealna partia dla Jane. I to nie tylko dlatego, że jest moim synem. To chłop na schwał, świetny kościec, znakomita budowa ciała, jest dostatecznie inteligentny (na pewno nie jest przygłupi, za to ręcę, jakem Dudley), ale i dostatecznie uległy, by nie sprawić nam kłopotu.

Edward rozmyślał nad tym przez kilka chwil. Jane uwielbiała wszystko, co miało jakiś związek ze zmiennokształtnymi. Z pewnością nie wzdrygnie się na wieść o tym, że ma jednego poślubić. A jednak...

- Całe dni? Spędza całe dni jako koń? – zaciekawiał się Edward.
- Całe dni, panie. Od świtu do zmierzchu.
- Nie potrafi kontrolować swoich przemian?

Dudley wbił wzrok w ścianę, która dźwigała olbrzymi portret Henryka VIII, a Edward zaraz pojął, jak głupio brzmią jego słowa. Jego ojciec też nie był w stanie zmieniać się i odmieniać na zawołanie. Gdy wpadał w gniew, obnażał kły – i to dosłownie – po czym trwał pod postacią lwa, dopóki się nie uspokoił. Co czasem następowało kilka ładnych godzin później. Albo, zdarzało się, dni. Nie był to przyjemny widok. Zwłaszcza gdy król używał swoich dworzan jako gryzaka.

– No dobrze, nie kontroluje swojego daru. To się... zdarza. – Król uniósł ręce w geście „mówi się trudno, żyje się dalej”. – Ale to oznacza, że Jane będzie miała męża tylko nocami. Co to będzie za małżeństwo?

– Niektórzy wolą taki właśnie układ. Ośmielam się sądzić, że moje małżeństwo byłoby o wiele prostsze, gdybym spotykał się z żoną tylko po zachodzie słońca.

To będzie tylko połowiczne małżeństwo, a więc żadne – pomyślał Edward. Ale może dla kogoś takiego jak Jane podobny układ nie okaże się zły. Zamążpójście nie ograbi jej z prywatności i niezależności, które tak ceniła.

Niewykluczone, że będzie jej to odpowiadać.

– A przystojny jest chociaż? – spytał król. Pierworodny syn Dudleya, Stan, miał tego pecha, że odziedziczył po ojcu masywny nochał. Edward nie chciał wydawać przyjaciółki za takiego kulfona.

– Obawiam się, że Gifford jest wręcz zbyt przystojny. – Dudley zacisnął usta. – Zwraca uwagę... dam.

Edward poczuł, jak kiełkuje w nim zazdrość. Powiódł wzrokiem do portretu ojca. Wiedział doskonale, że przypomina Henryka. Miał te same rudozłote włosy i prosty, majestatyczny nos, te same szare oczy i drobne uszy. Edwarda uważano kiedyś za przystojniaka, lecz teraz był chudy i blady. Choroba odebrała mu cały chłopięcy czar.

– Lecz rękę za jego wierność – rozpaplał się Dudley. – A gdy spłodzi z Jane potomka, będziesz, panie, miał swojego eńiańskiego dziedzica. I problem z głowy!

Z głowy, ot tak. Edward przetarł oczy.

– I kiedy miałyby się odbyć ceremonia zaślubin?

– Może w sobotę? – zaproponował Dudley. – Zakładając, że aprobuje Wasza Wysokość kandydata.

Edward zaniósł się kaszlem. Był poniedziałek!

– Tak szybko? – wyrzucił po dłuższej chwili.

– Im szybciej, tym lepiej – odparł Dudley. – Potrzebny nam dziedzic.

No tak, racja. Wszystko kręci się wokół dziedzica. Edward odchrząknął.

– Doskonale. Aprobuję kandydata, księżę. Ale sobota... – To strasznie szybko. – Nie wiem nawet, co mam zaplanowane na sobotę. Musiałbym się skonsultować z moim...

– Już to zrobiłem, Wasza Wysokość. Sobotę masz wolną. A poza tym ceremonia musi się odbyć po zmroku – dodał po chwili.

– A, prawda. Bo za dnia Gifford jest... – Edward wydał z siebie nosowy wizg.

– Tak. – Dudley nie wiedząc skąd wyjął zwój i rozwinął go na stole, na którym podpisywano i pieczętowano wszystkie oficjalne dokumenty.

– Pewnie wydajesz fortunę na siano – powiedział Edward, odnajdując wreszcie swój uśmiezek.

Przyjrzał się zwojowi. Był to królewski dekret – jego zezwolenie, technicznie rzecz biorąc – orzekający, iż lady Jane Grey z Suffolk wstąpi w najbliższą sobotę w świąty związek małżeński z lordem Giffordem Dudleyem z Northumberland.

Uśmiezek spełził z jego ust.

Jane.

Myśl o poślubieniu Jane była oczywiście mrzonką. Jane nie była partią dla króla. Edward nie zbiłby tym małżeństwem politycznego kapitału, nawet jeśli rodzina Greyów była zamożna i nawet jeśli zdobyłby w ten sposób kolejny tytuł. Taki mariaż nie wzmocniłby znacząco pozycji królestwa. Edward od zawsze wiedział, że jeśli się kiedyś ożeni, zrobi to dla Anglii, nie dla siebie samego. Przez całe życie nawiedzały go tabuny zagranicznych ambasadorów, machających mu przed oczami portretami córek rozlicznych europejskich władców. Miał poślubić królową, nie małą Jane z jej księgami i głową pełną wzniosłych idei.

Dudley wsunął mu pióro w dłoń.

– Musimy się kierować dobrem państwa, Wasza Wysokość. Jeszcze dziś pojedę po syna do Dudley Castle.

Edward zanurzył pióro w kałamarzu, a potem zamarł.

– Masz przyrzec, że będzie dla niej dobry – powiedział.

– Przyrzekam, Wasza Wysokość. Będzie przykładnym mężem.

Edward rozkaszał się w podaną przez Dudleya chustkę. Czuł jakiś dziwny

smak w ustach, mdlącą słodkość, która gryzła się z cierpkością jeżyny.

– Wydaję kuzynkę za konia – burknął pod nosem.

A potem przyłożył pióro do dokumentu i westchnąwszy, złożył podpis.

JANE

– ...a owa radosna ceremonia odbędzie się w sobotę wieczorem.

Lady Jane Grey zamruwała znad książki. Jej matka, lady Frances Brandon Grey, coś do niej powiedziała.

– Co się odbędzie w sobotę wieczorem?

– Stój spokojnie, kochanie. – Lady Frances uszczypnęła córkę w ramię. – Musimy się upewnić, że idealnie zdjęliśmy miarę. Nie będzie czasu na poprawki.

Jane już trzymała książkę w wyciągniętych rękach tak nieruchomo, jak potrafiła. Był to prawdziwy wyczyn dla kogoś, kogo palce stykają się, gdy obejmuje własne ramię.

– Zwróć uwagę, że wymiar w biuście nie zmienił się ani na jotę – pouczyła krawcowa uczennicę. – Jak tak dalej pójdzie, to pewnie nigdy się nie zmieni.

Innym, nie mniej widowiskowym wyczynem było zachowanie cierpliwości i nieprzyłożenie krawcowej w łeb książką. Ten ułatwiał fakt, że książka była stara i cenna – *Kompletna historia buraka na angielskiej ziemi*, tom piąty – a Jane nie chciała jej zniszczyć.

– No dobrze, ale co się odbędzie w sobotę wieczorem?

– Opuść ramiona, słonko – poleciła krawcowa.

Jane opuściła, zaznaczając miejsce w książce palcem wskazującym.

Matka odebrała jej wolumin o burakach i rzuciła go bez krztyny szacunku na łóżko, a następnie skorygowała ułożenie ramion.

– Nie garb się. Ta suknia musi się układać jak należy. Nie będziesz przecież brała ślubu z nosem w książce.

– Ślubu? – Jej ton zabarwiła ciekawość. Wychyliła się zza biorącej miarę z jej ramion krawcowej, by pochwycić wzrok matki. – Kto bierze ślub?

– Jane Grey!

Dziewczyna wyprostowała się jak struna.

Krawcowa obwiodła miarką jej biodra (za wąskie do rodzenia dzieci – kolejny niedostatek Jane wedle niezbędnika młodej damy), a potem zebrała swoje utensylia.

– Na ten moment skończyliśmy, moje panie. Miłego popołudnia! – zaczął, po czym umknęła z salonu w tumanie tkanin i igieł.

Lady Frances ponownie uszczypliła Jane w ramię.

– Ty bierzesz ślub, moja droga. Skup się, błagam.

Serce Jane zaczęło bić szybciej, ale natychmiast kazała mu się uspokoić. To przecież tylko zaręczyny. Była już wcześniej zaręczona. Dokładnie cztery razy.

– Z kim zaręczyłam się tym razem? – spytała.

Lady Frances posłała jej olśniewający uśmiech, biorąc jej reakcję za akceptację.

– Z Giffordem Dudleyem?

– Z kim?

Uśmiech przeszedł w grymas.

– Z synem lorda Johna Dudleya, księcia Northumberland. Z młodzieńcem imieniem Gifford.

Gifford? Jane kojarzyła Dudleyów, choć była to raczej pomniejsza rodzina, znana przede wszystkim z hodowli koni. Przypomniała sobie pewien istotny szczegół: John Dudley był przewodniczącym Rady, prawą ręką króla, zaufanym doradcą i zapewne najpotężniejszym człowiekiem w Anglii, jeśli nie liczyć samego Edwarda. A z pewnością znaleźliby się i tacy, którzy postawiliby go ponad Edwardem.

– Rozumiem – wyrzekła w końcu, choć nigdy właściwie nie widziała tego całego Gifforda na oczy. Ani na dworze, ani nigdzie. Co, orzekła po chwili, wydawało się podejrzanym. – No cóż, mam nadzieję, że będzie nie mniej wspaniałym narzeczonym niż wszyscy pozostali.

– Czy jest coś, o co chciałabyś zapytać?

Jane pokręciła głową.

– Wiem już wszystko, co muszę wiedzieć. To w końcu tylko zaręczyny.

– Ślub jest w sobotę, kochanie – przypomniała jej matka. – W londyńskiej posiadłości Dudleyów. Wyruszamy do Londynu jutro rano.

Oczywiście usłyszała, kiedy matka wspominała wcześniej o „sobocie”, ale dopiero teraz dotarło do niej, że to już, zaraz. Dopiero teraz pojęła, co to dla niej oznacza.

Ten ślub może dojść do skutku. Jej serce znowu zabiło jak oszalałe.

– Jest moim największym życzeniem, byś wyszła szczęśliwie za mąż, zanim się zanadto zestarzejesz. – Lady Frances nie wyklarowała, czy Jane miała się zanadto zestarzeć na szczęśliwe zamążpójście czy na zamążpójście w ogóle. – Tak czy inaczej, sądzę, że ten kandydat ci się spodoba. Słyszałam, że to przystojna bestia.

A więc ona sama też nie widziała go na oczy. Jane obleciał zimny dreszcz.

A jeśli ten Gifford odziedziczył monstrualny kinol Dudleyów? Bo Stan odziedziczył...

– Dziękuję za ostrzeżenie, matko – zawołała, gdy rodzicielka wdzięcznym krokiem opuściła komnatę.

Jej matka, ma się rozumieć, nie odpowiedziała. Miała zbyt wiele na głowie przed sobotą.

Sobota. To już za cztery dni.

Jane ubrała się szybko, a potem zgarnęła z łóżka książkę o burakach, wybrała z półki dwie kolejne lektury (*Eđianie: postacie historyczne i ich upadek* oraz *Sztuka przetrwania w dziczy dla arystokratów*) na wypadek, gdyby skończyła pierwszą szybciej, niż myślała, po czym ruszyła do stajni. Jeśli ten cały Gifford ma być jej mężem (choć pomyślała, że do soboty jeszcze szmat czasu i mnóstwo rzeczy może się wydarzyć po drodze), to miała prawo wiedzieć, w co się dokładnie pakuje.

*

Jane przestudiowała każdą mapę Anglii, jaką znalazła w domu, zarówno historyczną, jak i współczesną, z uwzględnieniem map lokalnych. Okazało się, że Dudley Castle, gdzie rezydowali Dudleyowie, gdy nie przebywali w Londynie, znajdował się nieco dalej niż pół dnia drogi od domu Jane w Bradgate. Mogła dojechać tam konno, ale ponieważ chodziły słuchy o coraz częstszych aktach przemocy wobec Eđianów, angielskie wsie zrobiły się zbyt niebezpieczne dla panien podróżujących bez eskorty. Służący, z którymi rozmawiała, twierdzili, że to Eđianie odpowiadają za niepokoje, jakaś szajka, która okrzyknęła się mianem Watahy, ale Jane nie wierzyła tym podłym plotkom. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała w obliczu swojego niespodziewanego zamążpójścia, było uwikłanie w jakąś kabałę z Eđianami i Nieskalanymi w rolach głównych. Żeby więc zadbać o własne bezpieczeństwo (i nie angażować w całe przedsięwzięcie matki), kazała się zawieźć do Dudley Castle kareta.

Przede wszystkim musiała się upewnić co do nosa.

Był piękny dzień. Łagodne wzgórza otaczające Bradgate zachwyciły soczystą zielenią. Drzewa kwitły. Słońce przeglądało się w bystrym strumieniu, płynącym wzdłuż traktu, którym toczyła się kareta. Na niewielkim wzniesieniu Jane złapała wzrokiem zapraszający poblask czerwonej cegły, z której wzniesiono jakąś posiadłość. W pewnym momencie przed kareta

przebiegł jeleni. Wszędzie wokoło rozbrzmiewały ptasie trele.

Jane lubiła Londyn między innymi za to, że pobyt w stolicy wiązał się z możliwością spotkania z jej ulubionym kuzynem, ale to Bradgate Park był jej domem. Kochała tutejsze świeże powietrze, błękitne niebo, porastające wzgórza stare dęby.

Jej dziadek chciał uczynić z parku najlepsze łowisko jeleni w Anglii – co mu się zresztą udało, bo wielu znamienitych gości odwiedzało te tereny – ale intencje dziadka nie miały dla Jane większego znaczenia, gdyż sama nie polowała (choć słyszała, że Edward był świetnym myśliwym). Dla Jane spacer przez Bradgate Park był drugim najlepszym sposobem na ucieczkę od problemów Prawdziwego Życia.

Pierwszym sposobem była oczywiście dobra książka. Gdy więc opuściła Bradgate Park, zanurzyła się w pasjonujący świat buraków (wiedzieliście, że starożytni Rzymianie pierwsi zaczęli uprawiać buraki nie dla liści, a dla korzeni?).

Jak wspomnialiśmy i jak zapewne zdążyliście się już sami zorientować, Jane kochała czytać. Nic nie sprawiało jej tak wielkiej przyjemności, jak ciężar opasłego tomu w rękach, im bardziej opasłego i im rzadziej spotykanego, tym lepiej. Rozkoszowała się zapachem tuszu, szorstkością papieru pod palcami, słodkim szelestem przewracanych stronic, kształtem liter ułożonych w równiutkie rzędy, które mogła pieścić oczami z wypiekami na twarzy. A najbardziej na świecie kochała to, w jaki sposób książki przenosiły ją gdzieś daleko, poza obręb przyziemnego, dusznego życia, i pozwalały jej doświadczać setek innych żyć. Książki były jej bramą do innych światów.

Matka nigdy tego nie pojmie – pomyślała, gdy skończyła ostatnią stronę i z westchnieniem zamknęła księgę. Lord Grey, gdy jeszcze żył, zachęcał ją do studiów, ale lady Frances nigdy nie zaakceptowała jej uwielbienia dla książek. Co niby musi wiedzieć młoda dama, której najważniejszym zadaniem jest przecież zaklepać sobie męża? Jej matki nie obchodziło nic poza wpływami i płynnością finansową. W niczym nie lubowała się bardziej niż w przypominaniu ludziom, że w jej żyłach płynie błękitna krew. „Moja babka była królową” – powtarzała to aż do znudzenia. Tym gorzej dla matki, że król Henryk skreślił ją z linii sukcesji. Może dlatego, że nie podobało mu się, że Frances zadziera nosa? Tak przynajmniej podejrzewała Jane.

Wpływy i płynność. Władza i pieniądze. Tylko to było ważne dla lady Frances. A teraz sprzedawała własną córkę, tak jak sprzedaje się klacz na targu. Nawet nie zawracała sobie głowy, by spytać samej Jane o zdanie. Jakie

to typowe.

Jane otrząsnęła się ze znajomego uczucia gniewu, które ogarniało ją zwykle, gdy myślała o matce. Odłożyła na bok wolumin o burakach, krzywiąc się na widok zagięcia rogu jednej ze stronic. Bogu ducha winna księga nabawiła się go zapewne wtedy, gdy lady Frances bezceremonialnie rzuciła ją na łożo. Biedna. Co ona winna, że Jane wychodzi za mąż?

Za mąż... Fuj!

Jakżeby chciała, żeby ludzie przestali ją co rusz wydawać za mąż. Zawracanie głowy i tyle.

Jej pierwszym narzeczonym był syn kupca jedwabnego. Nazywał się Humphrey Hangrot, a jego ojciec miał monopol na jedwab w całej Anglii. Rodzice Humphreya nie omieszkiwali co rusz przypominać Greyom o swojej świeżo zbitej fortunie. Najchętniej robili to, obwieszając chudego jak wieszak synalka licznymi warstwami najdroższego brokatowego materiału. Jane nie potrafiła zliczyć bali, do uczestnictwa w których zmuszono ją w posiadłości Hangrotów. Zanudziłyby się na śmierć, gdyby nie to, że zawsze miała przy sobie książkę.

Co się zaś tyczy samego Humphreya, przedstawił się jej jako „przyszły król... jedwabiu”, a następnie poinstruował ją, by dotknęła rękawa jego szaty. No śmiało, dotknij. Pooczuj to. Czy miałaś kiedyś w palcach tak pyszny materiał? Spytała go, czy zdaje sobie sprawę, że robaki gotuje się w kokonach, by odgumować jedwab. To była ich ostatnia rozmowa. Zaręczyny zerwano dzięki nagłemu pojawieniu się na rynku drugiego kupca jedwabnego, który był gotów podkopać wygórowane ceny Hangrotów w celu wygryzienia ich z rynku. Wkrótce puścił ich z torbami, a rodzina popadła w nędzę i niełaskę Greyów, po czym na powrót zamieszkała w małym domku na wsi, a wspomnienia o nich zatarły się w pamięci moźnych tego świata.

Drugim narzeczonym był Teodor Tagler, wirtuoz skrzypiec z Francji. Był w trakcie *tournée* po Europie z Orkiestrą Oceaniczną, gdy jego rodzina przyjechała do Londynu, gdzie przyjęło ją kilka arystokratycznych rodzin. Taglerowie szukali żony dla swojego syna, młodej damy z dobrego domu i o wysublimowanych gustach, której nie będzie przeszkadzała nieobecność męża, gdy ten uda się na trasę. Lord i lady Grey natychmiast podsunęli młodemu muzykowi Jane – wciąż próbowali się pozbiierać po skandalu z Hangrotami – a Taglerowie zaakceptowali kandydatkę.

Jane miała ucho do muzyki i z przyjemnością słuchała sonat, menuetów i symfonii – od czasu do czasu uczęszczała nawet do opery, szczególnie

lubując się w tragediach, gdzie obydwaj kochankowie umierali na końcu w ramach kary za drobny akt miłosierdzia – ale nie przepadała za stylem gry narzeczonego, który był nieco zbyt gwałtowny jak na jej gust. Sam Teodor również. Natychmiast przyszło jej na myśl określenie „słoń w składzie porcelany”. Zachodziła w głowę, jak ktoś, kto do tego stopnia opanował grę na tak delikatnym instrumencie jak skrzypce, może być tak gwałtowny i narwany. Co śmieszniejsze, to właśnie ów instrument przyczynił się do jeszcze rychlejszego niż ostatnim razem, isticie koncertowego zerwania zaręczyn.

Skrzypce bowiem, jedyny w swoim rodzaju Belmoorus, dzieło rąk zmarłego lutnika Beauforta Belmoora, zostały skradzione. Zwędzone. Buchnięte. Zabrane z przynależnego im miejsca w domu potomków Beauforta Belmoora. Śledczy jak po sznurku podążyli ich tropem, przemierzając Francję i Hiszpanię, aż dotarli do Anglii. „Właściciel”, który wypożyczył instrument Teodorowi Taglerowi – co robią wszyscy właściciele drogich instrumentów, by się upewnić, że ktoś będzie grał na ich precjozach – został aresztowany, a choć Teodor był kompletnie niewinny, również jego rodzina szybko popadła w nędzę.

Trzecim narzeczoną był Walter Williamson, wnuk słynnego wynalazcy odludka, którego wynalazki, jak wieść niosła, objęte były tajemnicą państwową. Gdyby nie to całe zamieszanie z małżeństwem, Walter nie byłby wcale taki zły. Wydał się Jane inteligentny i oczytany, często opowiadał o porzuconej spuściźnie swego dziadka. Sam również aspirował do miana wynalazcy. Mówił, że ma to we krwi, choć zdaniem Jane sam nie przejawiał żadnych wynalazczych zdolności.

Po miesiącu narzeczeństwa upubliczniono dokumenty, z których wynikało, że dziadek Waltera był złodziejem, który ostatnie piętnaście lat przesiedział w więzieniu. Podziw, jakim darzono Williamsonów, rozwiął się jak dym na wietrze, a rodzina, jak nietrudno się domyślić, popadła w niełaskę.

Czwarte zaręczyny... No cóż, okazało się, że narzeczoną nie istnieje. Matka Jane (ojciec dziewczyny zmarł pomiędzy trzecimi a czwartymi zaręczynami) otrzymała miniaturowy obrazek przystojnego młodzieńca i nie zorientowała się, że nie przedstawiał on kandydata, a był jedynie próbką malarskich zdolności autora. Matka Jane była całkiem inteligentną kobietą, ale desperackie pragnienie wydania córki za mąż popchnęło ją do wysnucia pochopnych wniosków i opacznie zrozumiała dołączony do obrazka liścik: „Ośmielam się złożyć propozycję godną szlachetnej lady Jane”. Młody mężczyzna z miniaturowy był diabło przystojny, lecz niestety, całkowicie

nierzeczywisty. Lady Frances wyraziła zgodę, nim malarz zdążył wysłać list z zapytaniem o portret Jane i zadatek na podróż, przypomniawszy, że po odejściu od kasy reklamacji nie uwzględnia się.

W napadzie złości zawstydzona lady Frances przedstawiła własną wersję historii, w której padła ofiarą bezczelnego oszustwa, i to nie otrząsnąwszy się jeszcze z tragedii, jaką była przedwczesna śmierć męża. Tym razem to pechowy artysta popadł w niełaskę i zapomnienie.

Wyglądało na to, że małżeństwo z tą całą lady Jane to bardzo ryzykowna sprawa. Uśmiechnęła się po nosem. Jeśli ta tendencja się utrzyma, dni Gifforda Dudleya są policzone, a po dobrobycie, w który opływa jego rodzina, wkrótce nie będzie śladu.

Prawie było jej go żal.

Musiała tylko postanowić, w jaki dokładnie sposób zrujnuje swojego najnowszego absztyfikanta.

Wzięła do ręki książkę o Eđianach. Był to jej ulubiony temat. Przesunęła palcem po wytrawionym w skórzanej oprawie słowie. Ileż by oddała, żeby móc zmieniać się w zwierzę. W takie, które odstręczałoby wszystkich natrętnych narzeczonych. W niedźwiedzicę, dajmy na to. Ale jeśli zmiennokształtność była dziedziczna, jak wielu utrzymywało, to mogła o tym tylko pomarzyć. (Była to pilnie strzeżona tajemnica, ale Jane podsłuchiwała kiedyś, jak jej rodzice kłócili się o eđiański dar jej matki). Jeśli zaś było przywilejem zarezerwowanym dla godnych tego zaszczytu (również popularna hipoteza, choć mniej naukowa), to jak dotąd wszystkie jej wysiłki, by okazać się godną, spełzły na niczym.

W oddali wylaniał się właśnie zza bałwanów wzgórz piękny zamek z białej cegły. Zbudowano go na szczycie wzniesienia, do którego stóp tuliła się gwarna wioska. Mieszkańcy gapili się na mijającą wrota karete, która zaczęła mozolić się pod górę po brukowanej ulicy. Jane podziwiała wspaniałe, zbudowane z białego kamienia mury fortecy o niedużych, wąskich okienkach (wzniesione w jedenastym wieku, jeśli się nie myliła – a nie mogła się mylić, ponieważ historię architektury miała w małym palcu). Z bliska twierdza wydała się jeszcze większa i wyższa. I jeszcze bardziej złowroga. Przyszło jej na myśl, że taka forteca z pewnością jest w stanie odeprzeć każde oblężenie. Czyżby właściciele obawiali się napaści?

Kareta musiała przebyć troje wrót i fosę, zanim dotarła do dziedzińca, gdzie woźnica ją zatrzymał. Część obronna warowni znalazła się teraz za plecami Jane, a przed nią pyszniły się eleganckie i nowoczesne budynki mieszkalne

o szpiczastych dachach i wielkich oknach, z całą pewnością dobudowane później. Drzewa rzucały cień na ławki i zamkową studnię, a całe to miejsce wyglądało, jakby zbudowano je do podziwiania, a nie do użytkowania. Jane nasza absurdalna myśl, jakoby gmach miał zrobiony manikiur, a jego palce nigdy nie splamiły się pracą.

Jane ogarnęła wzrokiem kilkadziesiąt wyglądających na dziedzińiec okien, szukając jakiegoś ruchu, ale jeśli nie liczyć koni baraszkujących w zagrodach pośród łąk po drugiej stronie zamku, wewnątrz murów panowała cisza.

Powróciła wzrokiem do zagrody. A więc to były te słynne konie Dudleyów. Jane wyskoczyła z karety i podeszła do zamkniętej na głucho bramy, by im się przyjrzeć.

Wszystkie zwierzęta były zdrowe i piękne, miały smukłe sylwetki i nogi cienkie jak wrzeciona. Ale najpiękniejszy spośród nich był okazały ogier po drugiej stronie pastwiska. Jego potężne, podkreślone cieniem mięśnie grały pod napiętą skórą, gdy sunął grzmiącym galopem przez trawiasty przestwór. Wiatr igrał w jego długiej grzywie, gdy zarzucał uniesionym dumnie łbem, a pyszna kasztanowa sierść lśniła w promieniach słońca. Cóż za wspaniałe stworzenie. Choć jej doświadczenie z końmi ograniczało się do delikatnych, dobrze ułożonych wałachów, na których wypadało jeździć damie, wiedziała o tych zwierzętach dosyć, by rozpoznać prawdziwie pięknego wierzchowca. Nie lubiła pyszałków, ale takie zwierzę usprawiedliwiało wszelkie przechwałki Dudleyów.

Jakże wspaniałe byłoby być kłaczą – pomyślała. Móc tak galopować, pędzić na silnych nogach, czuć grę mięśni pod opiętą skórą. Nikt nie zawracałby jej głowy, nie szczypał w ramię, nie strofował i nie utwierdzał w przekonaniu, że jest mała i nic nie znacząca.

Oddałaby wszystko, byle móc zmienić się w konia i uciec nie tylko od tego narzeczeństwa, ale i od wszystkiego, co było nie tak z jej życiem.

– Pani – dobiegł ją z tyłu męski głos. – Czy mogę w czymś pomóc?

Jane odwróciła się. Najpierw zwróciła uwagę na nienaganny ubiór mężczyzny, a potem, gdy dotarła wzrokiem do jego twarzy, westchnęła w duchu. Oto on – kinol jak kłamka od zakrystii.

Głowę daję, pomyślała. Gdy przechodzi przez drzwi, jego nos wchodzi do pokoju pięć sekund przed nim. (Czytelnikowi łatwiej będzie wyobrazić sobie ten monstrualny ptasi nochał, jeśli przypomni sobie maski o długich dziobach, które lekarze zaczęły nosić w czasie zarazy za kilkadziesiąt lat. Podobno ich twórca zainspirował się właśnie nosem Dudleya, aczkolwiek pilnował się, by

nie zdradzić się z tym w obecności któregoś z jego potomków).

Dobry Boże! A co, jeśli to właśnie jest Gifford?

– Przyjechałam w odwiedziny do lorda Gifforda Dudleya – powiedziała z wahaniem, łapiąc się na tym, że kieruje wypowiedź nie tyle do mężczyzny, co do jego nosa. Ale ten nos wisiał nad nią niczym miecz Damoklesa, a ona czuła się w jego cieniu mała, maleńka. Trudno było oderwać od niego wzrok. Cofnęła się o krok, żeby móc spojrzeć rozmówcy w oczy.

– A więc przybyłaś, pani, by odwiedzić mego brata – odparł z uśmiechem.

Co za ulga. Ten nos – to znaczy, ten mężczyzna – nie był Giffordem, lecz Stanem Dudleyem, starszym bratem, który czasem towarzyszył ojcu na dworze. (Nie żeby Jane interesowała się tym, co się działo na dworze – miała o wiele za dużo ksiąg do przeczytania). Ale co, jeśli nos Gifforda jest jeszcze większy?

Przycisnęła książki do brzucha. Raptem naszała ją wielka chęć, by się pomodlić. Czy modlitwa o normalny nos to bluźnierstwo?

– Tak. Czy mogłabym się z nim zobaczyć?

– Obawiam się, że Gifford jest w tej chwili zajęty. On... dogląda koni. – Stan rzucił okiem na pastwisko, ale jeśli Gifford tam był, Jane go nie dostrzegła. Widziała tylko skubiące trawę zwierzęta.

– A zatem nie zobaczy się ze mną?

– Nie w tej chwili, niestety.

Szału można dostać. Chciała przynajmniej rzucić okiem na oblubieńca, nim odda mu się na resztę życia. Czy prosi o zbyt wiele?

Stan odwrócił głowę, przysłaniając słońce nosem niczym strzały perskiej armii pod Termopilami.

– Jesteś zawiedziona. Jest mi niewymownie przykro, ale przecież wiecie, że mój brat nie ma czasu dla panien, dopóki nie zapadnie zmrok.

Panien... Skąd ta liczba mnoga?

– Ty musisz być... – ciągnął sir Kulfon – Anna? Fryderyka? Janette?

– Słucham? – Zamrugła.

Stan skrzyżował ramiona na piersi i przyjrzał jej się uważniej.

– Rude włosy. Niespotykane. Nie pamiętam, by mój brat wspominał, że jedna z jego kobiet to rudzielec.

– Jedna z jego kobiet? – zdołała pisnąć.

– Nie myślałaś chyba, że jesteś jedyną? Zdawało mi się, że preferuje brunetki. I nieco wyższe. I lepiej... ukształtowane.

Jane zachłysnęła się powietrzem. Jak on śmie! Za kogo on się ma, ten cały

Stan? W żyłach Jane płynęła przecież błękitna krew (jej prababcia była w końcu królową), była kuzynką samego króla Edwarda VI, jego najbliższą przyjaciółką. Już ona zadba, żeby król się dowiedział, jak ją potraktował ten bezczelny, chamski, zarozumiały, zepsuty...

Zorientowała się, że nie mówi na głos. Zamiast tego stała jak słup soli, z rozdziawionymi ustami, podczas gdy usta umiejscowione pod wielgachnym nochem Dudleya kontynuowały litanię imion. Tak, aż tyle ich było. Na każdą literę alfabetu przypadało przynajmniej jedno. Czy Gifford utrzymywał stosunki z tymi wszystkimi kobietami? Czy może Stan był po prostu wredny?

– No dobra – rzekł w końcu. – Poddaję się. Powiem mu, że przyjechałaś, jeśli powiesz mi, kim jesteś.

Zebrała się, by przemówić swoim najbardziej wyniosłym tonem, a potem wypaliła:

– Jestem lady Jane Grey. Jego narzeczona.

Stan znieruchomiał na moment, a potem skłonił się prędko.

– Ach, teraz rozumiem. Wybacz, pani. Tak mi przykro. Nie miałem pojęcia. Nie powinienem był mówić tych wszystkich rzeczy. Po prostu jesteś, pani, bardzo ruda jak na szlachetnie urodzoną... Znaczący... W życiu bym nie wspomniał o tych innych kobietach. Bo nie ma żadnych innych kobiet. Nigdzie. Na całym świecie. Poza moją żonę. I tobą, rzecz jasna. Gifford będzie lojalnym i wiernym mężem. Wiernym jak pies! No, może niezupełnie jak pies... – Westchnął.

Jane tylko gromiła go wzrokiem.

– Racz, pani, przyjąć moje najszczerze przeprosiny... – Stan Dudley kajał się i lepił do kupy nieskładną wypowiedź, próbując ratować resztki honoru, a na koniec wybąkał coś o tym, że pozostawi ją teraz własnym myślom, które są z pewnością tak czyste jak najbielsze z płatków na dziewczym drzewie wiśni. A potem zniknął.

No proszę. A więc jej przyszyły mąż to kobieciarz. Bawidamek. Bałamut. Celadon (chodziło jej o lowelasa, a nie o chińską porcelanę). Flirciarz i babiarnik (Jane w chwilach wzburzenia przemieniała się w chodzący tezaurus. Był to efekt uboczny nadmiernego odczytania). Nic dziwnego, że nikt nie widuje go za dnia, skoro ten libertyn spędza je całe z końmi, a nocami szlaja się z jakimiś lafiryndami.

Tak być nie może.

Jane ruszyła z powrotem do karety, naburmuszona jak burzowa chmura, układając w myślach przemowę, którą z przyjemnością uraczy Gifforda,

Edwarda, matkę i każdego, kto maczał palce w tych zaręczynach. Przemowę bardzo długą i pełną bardzo brzydkich, niegodnych damy słów.

Wcześniej sądziła, że małżeństwo z nią może zniszczyć Giffordowi życie, ale teraz zrozumiała, że małżeństwo z lordem Giffordem Dudleyem przede wszystkim zniszczy życie jej.

Chyba że znajdzie sposób, by mu zapobiec.

Jane wyprostowała się jak struna. O nie, za żadne skarby nie wyjdzie za Gifforda Dudleya (co to w ogóle za imię?). Ani w sobotę, ani nigdy.

GIFFORD (ALE MÓWCIE MU G!)

Najgorszy w przebudzeniu był trawiasty posmak siana w ustach. Wynikający stąd, że naprawdę miał siano w ustach. Ale zjawiska sianoustoży (czy „sianobuzi”, jak nazywała przypadłość jego matka – jakby chodziło o zwyczajny o poranku nieświeży oddech) nie dało się uniknąć, gdy kończyło się dzień pod postacią nieudomowionego konia i zaczynało noc jako nieudomowiony mężczyzna.

Prawie mężczyzna, jak twierdziła matka. W wieku dziewiętnastu lat nie był jeszcze w pełni mężczyzną. A co do tego, że był nieudomowiony, nikt nie miał najmniejszych wątpliwości.

Dźwignął się do kucek, a potem wstał. G (proszę, nazywajcie go „G”, a nie Giffordem – co to za imię, na litość boską? – Dudleyem, drugim – a więc nieważnym – synem lorda Johna Dudleya, księcia Northumberland) poruszył zadem, który był teraz jego zupełnie ludzkim siedzeniem.

Zastanowił się, gdzie by jutro pogalopować. Tym razem chyba skieruje się na północny zachód i przecwajał zielone wzgórza i bujne lasy. A kiedy już się nabiega, poszuka wody. Nic nie może się równać z życiem pozbawionym ograniczeń, z galopem, z wiatrem we włosach. W grzywie.

Zmiennokształtność była darem, który przyjął, bo nie miał wyjścia. (Bo gdyby miał, to z pewnością nie omieszkałby też poprosić o kontrolę nad nim, choć włącznik i wyłącznik odebrałby cały sens kłątwie, której nadrzędnym celem była właśnie uciążliwość). No cóż, ten stan rzeczy miał jednak jakieś zalety. Przede wszystkim sam był sobie panem. (Kto by chciał się związać z pół koniem, pół człowiekiem?) Mógł wybrać miejsce na mapie, a potem pognać tam, gdy tylko wstało słońce. (Przy założeniu, że jego koński mózg zapamięta drogę. G był zdania, że konie mają słabo rozwinięty zmysł orientacji w terenie. Raczej nie zamierzał przyznawać się przed nikim, że nawet jako człowiek gubił się we własnej garderobie). Najlepsze ze wszystkiego było to, że nie miał żadnych „ludzkich” obowiązków.

Po całej tej wolności, którą upajał się za dnia, z nastaniem zmroku zawsze dopadała go chandra. G odszukał kubeł wody, który stajenny zawsze stawiał dla niego w kącie, podbiegł do niego (po ludzku, ale pewnie bardziej po końsku niż jakikolwiek inny człowiek) i upił z chochli potężny łyk.

Zawsze odwadniał się podczas transformacji, a dzisiejszej nocy musiał zachować trzeźwość myślenia. Ponieważ zmieniał się w człowieka o zmroku, było tylko kilka rzeczy, które mógł robić, prowadząc nocny tryb życia. Rodzice wywnioskowali z nadmiernie swobodnego słownictwa i szorstkich manier potomka, że swoje ludzkie godziny spędza w buduarach dam o wątpliwej reputacji oraz podchmielony w okolicznych lupanarach. Po korytarzach posiadłości Dudleyów niósł się częstokroć lament lady Dudley: „Ach, tylko by się łajdaczył ten nasz chłopak... Ach, co z niego wyrośnie...”.

G pozwolił im w to wierzyć. Właściwie to podsycił przypuszczenia rodziców, przechwalając się kolejnymi podbojami. Dopóki mieli go za Casanovę (choć oczywiście nie mogli porównać go do prawdziwego Casanovy, który urodził się dopiero za dwieście lat), dopóty G mógł robić, czego tylko dusza zapragnie. A poza tym czułby się o wiele bardziej poniżony, gdyby rodzice dowiedzieli się prawdy o tym, jak spędza noce. Wolał już, żeby mieli go za birbanta i hulakę, niż...

Wtem ktoś zapukał ostro do bram stajni.

– Paniczu? – zawołał z drugiej strony Billingsly.

– Tak? – odparł G, odkaszlnąwszy, by pozbyć się z głosu końskiego rżenia.

– Pańskie spodnie.

Brama stajenna rozwarła się na tyle, by wsunęła się do środka ręka w niebieskim uniformie służącego, trzymająca parę spodni.

– Dziękuję, Billingsly. – G włożył spodnie, a Billingsly ułożył resztę ubrania na drewnianym stole, by nie ubrudzić go sianem.

– Pański ojciec chce zamienić z paniczem słowo, gdy tylko się panicz przyodzieje.

– Mój ojciec? – powtórzył G zaniepokojony. – Czyżby już wrócił do zamku?

– Tak, paniczu – odpowiedział Billingsly.

G dopiął guziki kurtki i wsunął wysokie skórzane buty.

– Powiedz, proszę, ojcu, że jestem zajęty. Że mam... plany.

Billingsly oczyścił gardło.

– Obawiam się, paniczu, że ojciec nalega. Będziesz musiał przełożyć swój... Hm... Wie...

– Billingsly! – uciął G, czując ogarniający go rumieniec. – Myślałem, że uzgodniliśmy, że nigdy nie będziemy mówić o... tym... poza... miejscem, gdzie się odbywa.

– Wybacz, paniczu. Ale nie mogłem przypomnieć sobie hasła na tę rzecz

właśnie.

G zamknął oczy i westchnął. Billingsly dopiero niedawno odkrył, co tak naprawdę G robi pod osłoną nocy, i dał się przekonać (dobre sobie – „przekupić” trafniej oddaje charakter transakcji służącego z młodym Dudleyem), by nie wspominać o tym rodzicom G. – Łajdactwa, Billingsly. Łajdactwa.

– Tak, paniczu. Otóż łajdactwa będą musiały poczekać, ponieważ również matka domaga się pańskiego towarzystwa. Jest z pańskim ojcem w bawialni.

Ojciec siedzi z matką w jednej komnacie i posyła po niego? To brzmi dość poważnie. Owszem, ojciec wołał go czasem, gdy chciał omówić jego przyszłość, końską kłatwę lub spadek (a raczej brak takowego – był w końcu drugim synem). Ale jego matka uczestniczyła w tych dyskusjach niezmiernie rzadko. Lepiej czuła się w roli osoby pielęgnującej niż doradząco-wychowującej. Wolała udzielać mu rad dotyczących ubioru, poprawiać zmierzwiłone włosy (lub grzywę w zależności od pozycji słońca na niebie).

G obrzucił Billingsly’ego wzrokiem.

– Święta idą, czy jak?

– Jest maj, paniczu.

– Czyjeś urodziny?

– Nie, paniczu.

– Ktoś zmarł? – Na chwilę pozwolił sobie wierzyć, że oto zmarł jego doskonały starszy brat Stan, zostawiając w nieutulonym żalu swoją doskonałą żonę i nie mniej doskonałego synka, ale zaraz przypomniał sobie, że przecież Stan nigdy się nie myli, a porzucenie rodziny w wyniku przedwczesnej śmierci byłoby w bardzo złym stylu. A ponadto G musiałyby w takim wypadku ożenić się z wdową po bracie. Zadrzał na tę myśl.

– Wszyscy żyją i cieszą się dobrym zdrowiem, paniczu – odparł z niezmaconym spokojem Billingsly.

G zacisnął swoje szlachetne wargi i opróżnił płuca z powietrza. Dźwięk bardzo kojarzył się z końskim prychnięciem.

– Czy wypowiedź panicza oznacza, że zgadza się panicz przyjść?

G zamknął oczy.

– Tak.

– Doskonale, paniczu.

G oddałby w tym momencie, co miał najcenniejszego, żeby zawładnąć swoim eńiańskim darem. Wtedy mógłby po prostu zmienić się z powrotem w konia i w trymiga uciec ojcu sprzed nosa (przy czym, oczywiście, minęłoby

sporo czasu, nim udałoby mu się opuścić strefę cienia rzucaną przez sam nos).

Zmierzch zmienił się w noc, gdy G dotarł ze stajni do bocznej bramy zamku Dudleyów. Jego umysł galopował na złamanie karku: czego mogli chcieć od niego rodzice?

Odkąd tylko stał się dość duży, by siać z rodzicami przy stole obiadowym, miał świadomość swojej pośledniej pozycji w rodzinie. Stanowi zawsze serwowano posiłek przed G – zarówno pierwsze, jak i drugie danie oraz desery. Kiedy ojciec przedstawiał ich dwóch komuś ważnemu, zawsze mówił: „To jest Stan, następny księżę Northumberland, dziedzic fortuny rodowej Dudleyów”. Następnie następowała pauza, a potem ojciec się mitygował: „Aha, to mój drugi syn, brat Stana”.

W tym miejscu narratorki pozwolą sobie zwrócić uwagę czytelnika na dwa fakty, które mogły się przyczynić do zażenowania, które czuł księżę Northumberland przy swoim młodszym synu. Po pierwsze: każdy wiedział, że eńiaństwo jest dziedziczne, a ani księżę, ani jego, jak sądził, wierna żona nie posiadali daru. Po drugie: księżę miał epicki nos, o którym krążyły legendy, a nos Gifforda miał zupełnie normalne rozmiary i kształt, który mógłby się stać inspiracją dla niejednego sonetu.

Kombinacja tych dwóch rzeczy sprawiała, że księżę często spoglądał z ukosa na swą małżonkę, a samego Gifforda traktował jak powietrze.

Dlatego też od swoich dwunastych urodzin Gifford prosił, by skracano jego imię do samego „G”. I tak nikogo nie obchodziło, jak ma naprawdę na imię.

Billingsly prowadził G przez którąś z kolei komnatę, gdzie chłopak złapał wzrokiem swoje odbicie w wiszącym na ścianie zwierciadle i przystanął, by wyłowić z kasztanowych włosów źdźbło siana. Jego matka ustanowiła jasne zasady dobrego wychowania, regulujące zachowanie Gifforda w zamkowych murach, z których najważniejsza brzmiała: wszelkie ślady końskich eskapad należy zostawić w stajni, gdzie ich miejsce.

Matka zawsze traktowała jego przekleństwo tak, jakby największym pragnieniem G było spędzić resztę życia na pastwisku. Jakby klątwa była tylko kolejnym sposobem uprzywilejowanego nastolatka na zrobienie na złość rodzicom. Często zapominała, że on sam nigdy się o tę klątwę nie prosił, że oddałby prawą rękę Billingsly’ego, żeby móc nad nią zapanować.

W tym momencie służący wyciągnął przed siebie prawą rękę, zupełnie jakby czytał G w myślach, i wskazał znajdujące się przed nimi drzwi do bawialni.

– Proszę, paniczu – powiedział, otwierając je drugą ręką.

Wewnątrz przy kapiącym od ozdób biurku siedział ojciec, a za jego plecami matka, Gertruda, z dłonią na ramieniu lorda Dudleya, jakby pozowali do portretu. Jego młodsza siostra Temperance przycupnęła na kanapie, bawiąc się swoimi zabawkowymi rycerzami i damami.

– Giffuś! – wykrzyknęła, gdy wszedł do pomieszczenia. Temperance była jedyną osobą na świecie, której uchodziło na sucho nazywanie go „Giffusiem”.

– Cześć, Loczek – przywitał się G, bo siostrzyczka miała najbardziej kręcone włosy w całej Anglii.

– Witaj, synu – wyrzekł lord Dudley. Skinął na stojącą w rogu kobietę, mamkę Tempie, która natychmiast złapała dziewczynkę za rękę i wyprowadziła ją z komnaty. Tempie pomachała niezgrabnie, starając się nie upuścić lalek i jednocześnie trzymać kobietę za rękę. – Dziękuję, żeś tak szybko do nas dołączył.

G od razu się zorientował, że coś jest nie tak. Ojciec od lat nie obdarzył go dobrym słowem. Ostatni taki przypadek miał miejsce podczas wizyty Rafaela Amadora, emisariusza z Hiszpanii. Lord Dudley podziękował mu wtedy za to, że „trzymał się w cieniu”.

– Ojczy – G skłonił się nieznacznie.

– Mamy dla ciebie dobrą wiadomość – podjął ojciec. Gertruda wyprostowała się nieco na dźwięk jego słów. – Przed tobą szczęśliwa przyszłość.

O nie, pomyślał G. Gadka o przyszłości nieodłącznie wiązała się z...

– Wyrosłeś na wspaniałego młodzieńca. I na, hm, pięknego konia – powiedział ojciec. – Może i nie potrafimy zapanować nad twoją przypadłością, ale przecież nie możemy pozwolić, by twoja dzienna niedyspozycja uniemożliwiła ci prowadzenie względnie normalnego życia czy też odarła z praw i przywilejów należnych arystokracji.

G cokolwiek irytowało to, że żadne z rodziców nie potrafiło nazwać końskiej klątwy po imieniu, a zamiast tego uciekali się do frazesów w stylu „przypadłość” i „dzienna niedyspozycja”. Ale dopiero ostatnie zdanie ojca wytrąciło go z równowagi, ponieważ gadka o „prawach i przywilejach” mogła oznaczać tylko jedno.

– Mówię o małżeństwie, synu – oznajmił lord Dudley. – Małżeństwie z damą o nieposzlakowanej opinii, solidnych koneksjach rodzinnych, przejrzystym rodowodzie, oraz – o ile można przypuszczać bez sprawdzania u samego źródła – płodną.

Sprawdziły się najgorsze obawy G.

– Rety, ojczcie. Płodna? Z rodowodem? Nie wiedziałem, że taki z ciebie romantyk. – Czy to nie ojciec mawiał, że małżeństwo zawarte w pośpiechu rzadko dobrze się kończy?

Lady Gertruda zdecydowała się przenieść upierścienioną dłoń z ramienia męża na jego kark, chcąc sprawiać pozory, że żarliwy afekt może się zrodzić nawet w małżeństwie z przymusu.

– Kochany chłopcze, gdybyśmy pozostawili cię twym własnym upodobaniom, wątpię, byś kiedykolwiek wstąpił w związek małżeński.

– Myślałem, że to już ustalone i uzgodnione – powiedział G. Miesiąc po tym, jak pierwszy raz zmienił się w konia, podsłuchał przypadkiem, jak matka żali się ojcu, że żadna szanująca się lady nie będzie chciała wyjść za zwierzę, na co ojciec powiedział, że miałby większą szansę na ożenek, gdyby był koniem nie tylko w dzień, ale i w nocy, zupełnie pozbawiony ludzkiej postaci. Być może wtedy jego rodzice mieliby z niego jakiś pożytek. Mogliby na przykład sprzedać go chłopu do wozu.

G poszedł tamtej nocy spać w stajni.

Lord Dudley strącił z karku dłoń żony, jakby była natrętym pajakiem.

– Gorąco pragnę, by wszystkie moje dzieci wstąpiły w związek małżeński.

– Czemu? Nie potrzebujesz ode mnie potomków – powiedział G. – Jestem drugim synem.

– Dlatego też ostatnie dwa tygodnie spędziliśmy z twoją matką, pracując na twoje szczęście...

– To znaczy aranżując małżeństwo z zupełnie obcą osobą, do którego zamierzacie mnie zmusić – poprawił G. – Doceniam twoje trudy, ojczcie, ale dziękuję, postoję.

Na szlachetnym czole lorda Dudleya zapulsowała żyłka, której G nigdy wcześniej nie widział.

– Pracując na twoje szczęście – powtórzył dobitnie – zapewniając ci przyszłość, własną posiadłość i majątek oraz przygotowując grunt pod przedłużenie męskiej linii Dudleyów, ty zaś masz spłodzić syna, dwóch lub siedmiu, zanim kompletnie nie zmienisz się w konia. Czy to jest jasne?

G cofnął się o krok, częściowo w celu uniknięcia tryskających z ust ojca drobinek śliny, ale przede wszystkim ze zdumienia – G nie wiedział bowiem, że może pewnej nocy nie zmienić się z powrotem w człowieka. Z drugiej strony gdzieś w duchu ucieszył się na myśl, że miałby spędzić resztę życia wolny, przemierzając galopem angielskie równiny, dołączywszy do jakiegoś

stada dzikich koni w Kornwalii. Była to perspektywa wcale zachęcająca, zwłaszcza w porównaniu z aranżowanym małżeństwem.

G wcale nie chciał spędzić życia w samotności. Małżeństwo pewnie miało jakieś plusy. Ale jakim byłby mężem? Małżeństwo jego własnych rodziców nauczyło go, że w związku zawartym bez miłości małżonkowie po bliższym poznaniu zaczynają żywić do siebie pogardę.

Zresztą która kobieta zechce go poślubić, poznawszy prawdę o nim?

– Ale ojciec...

– Ożenisz się albo, Bóg mi świadkiem, każę cię wykastrować – wyrzekł lord Dudley przez zaciśnięte zęby.

– A jak nazywa się ta moja narzeczona?

Na te słowa lord Dudley nieco się uspokoił.

– Lady Jane Grey.

– Lady Jane Grey? – G miał nadzieję, że się przesłyszał. Minęły lata, od kiedy ostatnio bawił na dworze, ale słyszał o tej Jane. Jej reputacja ją wyprzedzała. To ten mól książkowy.

– Lady Jane Grey, córka lady Frances Brandon Grey, kuzynka króla Edwarda VI.

Lady Gertrude pochyliła się ku synowi.

– Co ty na to, chłopcze?

G wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

– Wieść niesie, że mało kto widział twarz lady, ponieważ zwykle siedzi z nosem w książce.

– Nigdy wcześniej nie przeszkadzało ci wykształcenie u dam – zauważyła matka.

– Wciąż mi nie przeszkadza. Tylko co, jeśli panna Grey jedynie udaje zaczytaną, a tak naprawdę próbuje ukryć swoją szpetotę za drugim tomiszczem *Politycznej historii Anglii*?

– Giffordzie! – zeźlił się ojciec.

G kłapnął ustami na dźwięk imienia.

– Twój upór na nic się nie zda. – Nozdrza lorda Dudleya poruszyły się groźnie (niemal wzbudzając wicher). – Mój chłopcze, najwyraźniej uroiłeś sobie, że ten ślub to tylko propozycja. – Jego usta zniknęły gdzieś w gąszczu brody, jak zawsze gdy lord Dudley był rozsierdzony. – Wierz mi, gdy ci mówię, że negocjacje poprzedzające to małżeństwo były znużające i ciężkie, zaś twoja wizja wiecznego kawalerstwa nie będzie brana w tej sprawie pod uwagę. – Wstał i oparł pięści na biurku, a czubek jego głowy zrównał się

z rozwartą do ryku paszczą niedźwiedziego łba na ścianie. – Nie dosłyszałeś? Powtórzę więc: POŚLUBISZ LADY JANE GREY!

Jego głos odbił się echem od ścian komnaty. Wszyscy zastygli, bojąc się rozwścieczyć już i tak wściekłą bestię. Lord Dudley otworzył pięści i rozluźnił palce, po czym zbliżył się do G.

– Gratuluję zaręczyn i życzę szczęścia.

– Dziękuję, ojczy – odrzekł G przez zaciśnięte zęby. – Jeszcze jedno: czy ona wie... o mojej dziennej niedyspozycji? – Nie do wiary, że użył określenia ojca. Tak jakby perspektywa rychłego ożenku jeszcze wzmogła wstyd, jaki G odczuwał na myśl o kłątwie.

Lord Dudley otoczył syna ramieniem, lecz tylko po to, by odprowadzić go do wyjścia.

– To nieistotne – oświadczył, zatraskując za nim drzwi.

*

„Nieistotne”? Co to miało znaczyć? Że wiedziała o tym, ale jej to nie przeszkadzało? Czy że nie wiedziała i nie będzie to miało znaczenia, jeśli złoży przysięgę małżeńską przed wschodem słońca?

Billingsly spotkał G przy bocznym wejściu do wielkiego domostwa.

– Twój płaszcz, panicz. Osiodłałem konia, by mógł panicz od razu jechać... się łajdaczyć.

G wyrzucił oczami. Za każdym razem, gdy Billingsly wypowiadał to słowo, brzmiało strasznie podejrzanie. Może G powinien wybrać jakieś inne. A jednak to „łajdaczenie się” miało jakąś przyjemną kadencję. Jeśli dobrze się nad tym zastanowi, z pewnością zdoła wpleść je jakoś w swój dzisiejszy występ.

Łajdactwo, łajdaczenie... Co by się dobrze rymowało z łajdaczeniem? G w zamyśleniu wsunął lewą stopę w strzemień i wspiał się na swojego wierzchowca Westleya. Skowyczenie? Nabzdyczenie?

Tak zatopił się w myślach w poszukiwaniu rymu, że prawie nie zauważył, gdy ze świstem minął go na zbiegającej od zamku drodze Stan.

– Bracie – rzucił zdawkowo w ramach powitania.

Gdy G poprosił Stana, by nie nazywał go już Giffordem, ten zamiast tego zaczął zwracać się do niego per „bracie”.

– Dobry wieczór, Stan.

– Dokąd to?

Serce zaszamotało się G w piersi. Jego brata rzadko interesowały poczynania G. Może wiedział o ślubie? Może dzięki niemu G zyska na znaczeniu w mniemaniu starszego brata? A może tak tylko spytał? Tak czy inaczej nie wolno mu było wychodzić z roli.

– Ja... no wiesz, łajdaczyć się.

Stan przekrzywił głowę.

– Wiesz przecież, jak lubię się... łajdaczyć.

Na Boga, nawet przy grze pozorów, jaką prowadził, to brzmiało po prostu głupio. Z jakiegoś powodu odczuł zażenowanie na myśl, że miałby w oczach brata uchodzić za jakiegoś zbereźnika, którego nie obchodzi nic poza uganianiem się za spódniczkami.

– Mam plany na wieczór – brnął dalej – które mogą uwzględniać pewną dozę łajdactwa.

Stan skinął głową.

– Może tym razem weźmiesz się za rudą? Niską? O brązowych oczach? Podobają ci się takie?

– Nie jestem wybredny – odparł ostrożnie G. – To w końcu tylko łajdaczenie się.

– No to nie zatrzymuję.

– Dzięki. Dobranoc, Stan.

G pochylił głowę i popędził konia do cwału. Nie mógł teraz pozwolić sobie na rozkojarzenie czy zmieszanie. Złapał mocniej latarnię, choć właściwie wcale jej nie potrzebował. Najpierw skręcało się w prawo, potem w lewo, później dwa razy w prawo, lekko w prawo, potem ociupinkę w lewo, następnie pod górę, przez most, ostro w lewo i już. G trafiłby z zamkniętymi oczami.

Zanim uwiązał konia przed karczmą Pod Płetwą Rekina, księżyc stał już wysoko na niebie. Dało się słyszeć dobiegający ze środka gwar, wiwaty, krzyki, przekleństwa i dzwonienie kielichów. G zgłosił się do szynkarza i wpisał na listę jako „John Billingsly”, a potem wziął stołek i dosiadł się do czterech mężczyzn przy jednym ze stołów, którzy zdążyli już dopić kolejkę.

– Wróciłeś po więcej, co nie? – powiedział ten z krzaczastą brodą.

G puścił jego pytanie mimo uszu i zaczął szukać w kieszeni kamizelki swojego najnowszego dzieła: *Trawę skubię w ekstazie*. Następnie przesunął dłonią po przypiętym do pasa sztylcie.

Publiczne odczyty poezji to nie rurki z kremem, zwłaszcza gdy prezentowało się widowni nowy materiał – wówczas łatwo było stracić coś więcej niż tylko

honor.

EDWARD

Edward prędko się przekonał, że kiedy człowiek umiera, inni pozwalają mu robić, co tylko zechce. Ustanowił więc kilka nieoficjalnych dekretów:

1. Król może zapaść, kiedy tylko ma ochotę.

2. Król nie musi już nosić siedmiu warstw misternie zdobionej drogimi kamieniami odzieży. Ani śmiesznych kapeluszy z piórami. Ani spodni o dyniowej barwie. Ani pończoch. Odtąd, jeśli nie ma żadnej okazji, król może się ograniczyć do prostej koszuli i portek.

3. Desery podaje się przed daniem głównym. Najlepiej ciasto jeżynowe z mnóstwem bitej śmietany.

4. Król nie musi już się uczyć. Jego znakomici nauczyciele po brzegi wypełnili jego głowę historią, politologią i filozofią, tak że wystarczy mu na dwa życia, a ponieważ nie ma nawet połowy tego, nauka jest stratą czasu. Żadnych więcej lekcji. Ani podręczników. Ani pełnych politowania spojrzeń nauczycieli.

5. Król rezyduje teraz na szczycie południowej wieży, gdzie wolno mu siedzieć na parapecie i gapić się na rzekę tak długo, jak tylko zachce.

6. Nikomu na dworze nie wolno wypowiadać na głos następujących słów i wyrażeń: „krztusica”, „choroba”, „schorzenie”, „dolegliwość”, „niedomaganie”, „niedyspozycja”, „rekonwalescencja”, „zaraza”, „plaga”, „chory”, „chorowity”, „niezdrów”, „zarażony”, „schorowany”. Zabrania się pytać: „Jaki jest stan chorego?” i „Jak się Wasza Wysokość czuje?”, a nade wszystko nie wolno używać słowa „umierać” we wszystkich możliwych formach.

Ostatnie zarządzenie (być może najważniejsze dla naszej historii) stanowiło:

7. Wolno wprowadzać psy do pałacu ze szczególnym uwzględnieniem królewskiego pupila.

Edward od zawsze kochał psy. Były takie prostoduszne i nieskomplikowane. Kochały bezinteresownie. Były oddane i lojalne nie dlatego, że ktoś był królem i mógł obciąć im łeb, gdy był z nich niezadowolony, ale ponieważ taka była ich natura. Edward zwykle przedkładał towarzystwo psów nad towarzystwo ludzi.

Ulubiona suczka Edwarda nazywała się Pet (skrót od Petunia). Była to najlepsza suczka na świecie, chart afgański o powłóczyściej sierści koloru pszenicy i długich, aksamitnych uszach. Pet była ciepła i miękka, i śmieszna i zawsze wywoływała uśmiech na twarzy króla. A więc przez kilka ostatnich dni Pet miała przygotowane miejsce w komnacie tronowej, komnacie jadalnej, komnatach narad oraz nowo urządzonej sypialni w wieży. Gdziekolwiek szedł król, Pet człapała w ślad za nim.

Dodajmy dla porządku, że jego siostra Maria nie tolerowała zwierząt w pałacu. Uznawała to za niegodne. I niehigieniczne. Bess miała alergię na sierść (no i, szczerze mówiąc, wołała koty od psów).

Jednak żadna z sióstr nie ośmieliła się zgłosić obiekcji, ponieważ ich brat umierał, a kto odmawia umierającemu?

W pewien piątek po śniadaniu, w skład którego wchodziło jeżynowe ciasto z bitą śmietaną, Edward zalegał na swoim tronie w koszuli i spodniach, nie kłopotząc się nawet, by osadzić na skroniach koronę. Na jego kolanach bezceremonialnie leżała Pet. Drapał ją za jednym z aksamitnych uszu, a tylna noga suczki poruszała się w rytm owego drapania. Maria siedziała w przeciwnym końcu stołu, mamrocząc coś o pchłach. Bess smarkała w chusteczkę. Lord Dudley, który dopiero co powrócił ze swojej wiejskiej posiadłości wraz z synem, siedział w o wiele mniejszym fotelu po prawicy Edwarda, czytając jakiś bardzo oficjalny dokument przez okulary (czy raczej dalekiego przodka używanych przez nas współcześnie okularów) osadzone na szczycie góry Nos Everest.

Wtedy właśnie król usłyszał czyjeś raptowne kroki na bruku dziedzińca za oknem oraz znajomy piskliwy głos:

– Nie chcę tego słuchać! Muszę rozmawiać z królem natychmiast, to bardzo ważne.

Lecz zanim majordomus zdążył zaanonsować gościa, co było nieodłączną częścią protokołu regulującego audiencje u króla, drzwi sali tronowej otworzyły się z impetem i do środka wparowała Jane.

Jako się rzekło, był to piątek. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem nakreślonym przez lorda Dudleya, Jane i jego syn Gifford nazajutrz zostaną połączeni świętym węzłem małżeńskim.

Edward uśmiechnął się na jej widok. Przez chorobę nie widział Jane od miesięcy, ale wciąż była dokładnie taka, jaką ją sobie wyobrażał, może tylko nieco zmęczona podróżą.

Ale Jane nie wyglądała, jakby jego widok wprowadził ją w szampański nastrój.

Na policzkach wykwitły jej czerwone plamy, a do jej spoconej twarzy lepiły się pojedyncze rude strąki, jakby biegła od samego Bradgate. I nigdy Edward nie widział jej tak nachmurzonej.

– Witaj, kuzynko – powitał ją serdecznie. – Wyglądasz świetnie. Dołącz do nas, zaraz każe podać...

Herbaty. Każe podać herbaty, ponieważ jest Anglikiem, a to właśnie robią Anglicy w nerwowych chwilach: piją herbatę.

– Żadnej herbaty – przerwała mu Jane, odpędzając gestem królewską herbaciarkę, która już kroczyła w jej stronę z imbrykiem w jednej ręce i filiżanką na spodku w drugiej. – Mamy do pogadania, Edwardzie. To ważne.

W szczelnie wypełnionej dworzanami komnacie tronowej zrobiło się cicho jak makiem zasiał, a po chwili podniósł się gwar oburzonych szeptów, choć nie wiadomo, czy panów i damy bardziej oburzyło to, że Jane impertynencko zwróciła się do władcy po imieniu, czy może jej pogarda dla królewskiej gościnności. Lord Dudley odchrząknął dystygowanie.

– Dobrze więc – odparł nerwowo Edward.

Jane omiotła salę tronową, jakby dopiero zauważyła dworzan. Rumieniec na jej twarzy natychmiast się pogłębił.

– Muszę pomówić z Waszą Wysokością o, hm... o rządach króla Edwarda II. Dopiero co przeczytałam rewolucyjną wręcz pozycję o tym okresie w historii Anglii i chciałam zasięgnąć twojej opinii na ten temat.

Jej wzrok mówił: „W cztery oczy. Ale już”.

Chodzi, rzecz jasna, o małżeństwo, domyślił się Edward. Milczał przez chwilę, głowiąc się nad wymówką dla prywatnego spotkania z Jane.

– To niesłychanie ważne z punktu widzenia historii! – upierała się kuzynka.

– No... tak – zająknął się Edward. – Doskonale. Chętnie porozmawiam z tobą o królu...

– Edwardzie, Edwardzie Plantagenecie – podsunęła Jane.

– Pierwszym.

– Drugim – skorygowała.

– Ma się rozumieć, że drugim. Czy zechcesz towarzyszyć mi podczas przechadzki?

– Dziękuję – odrzekła z ulgą.

Edward wstał. Natknął się wzrokiem na wpatzonego w niego Dudleya. Na twarzy księcia malował się grymas dezaprobaty, ale niewiele mógł poradzić na królewski kaprys.

– Udam się teraz z lady Jane na przechadzkę do sadu – ogłosił władca. –

Nie przeszkadzajcie sobie, panie i panowie.

– Ależ, Wasza Wysokość – zaprotestowała pani Penne, podrywając się z miejsca. Sibelle Penne była jego nianią, pulchną staruszką o życzliwych rysach, która opiekowała się nim za dziecińczych lat i na powrót stanęła przy jego łóżu, gdy lekarze zdiagnozowali krztusicę. Ostatnio ciągle się martwiła, że nie chodzi ubrany dostatecznie ciepło i że najmniejszy wysiłek zanadto nadwątli jego siły. – Czy to rozważne w tym stanie?

Edward wyraźnie zakazał pytać o swój stan, ale postanowił puścić to Sibby (jak sam nazywał panią Penne) płazem, bo wiedział, że gdy ogarnie go gorączka, ona będzie stać u jego boku i zmieniać mu zimny kompres na czole, głaskać go po zlepionych potem włosach i śpiewać mu kołysanki, nim zapadnie w sen wieczny.

– Racja, sire. Ja również jestem zdania, że powinieneś odpoczywać – przyszedł jej w sukurs Dudley.

– Nic mi nie będzie. – Edward machnął niedbale ręką. – Nie umrę przecież.

Próbował być dzielny i jowialny w obliczu śmierci, ale poniósł sromotną klęskę. Dudley obrzucił go rozczarowanym spojrzeniem, twarz Marii zastygła w grymasie śmiertelnej powagi, a Sibby zakryła usta dłonią i umknęła, zanosząc się szlochem.

Świetnie, po prostu świetnie. Ale czy umierający muszą przeproszać za suche żarty?

Jane spojrzała na kuzyna, jakby wybudziła się z omdlenia. Dopiero teraz zauważyła jego proste odzienie, brak korony i psa machającego ogonem u jego boku.

– Edwardzie? Co się dzieje? – spytała.

– Chodźmy – odparł, schodząc z podestu i podając jej ramię. – Wynośmy się stąd.

Opuścili pałac – pies, dziewczyna i król – i pospieszyli do sadu, gdzie usiedli pod obsypaną kwieciami jabłonią.

– No dobra – zaczął król, gdy był już pewien, że nikt ich nie podsłucha. – Co się stało?

– Nie mam zamiaru wychodzić jutro za mąż – wygłosiła. – Musisz to odwołać.

– Ale czemu? – Edward wrócił do drapania Pet za uchem, a ona wydała z siebie głęboki pomruk zadowolenia.

– Po prostu nie mogę poślubić tego człowieka i już. Nie jego.

– Ale z tego, co słyszałem, to urodziwy młodzieniec – odparł Edward. –

Poza tym lord Dudley dał mi słowo, że będzie modelowym mężem.

Kiedy nie będzie galopował po polach – dodał w myślach z poczuciem winy.

Jane zaczęła skubać palcami rąbek sukni.

– Tak wszyscy sądzą, prawda? Urodziwy młodzieniec, dobra partia. Ależ ze mnie szczęściara, nie ma co. No cóż, pojechałam do zamku Dudleyów, myśląc, że może uda mi się z nim spotkać, porozmawiać, zanim weźmiemy ślub, no i...

Ach, na pewno zobaczyła Gifforda pod postacią konia. Nie dziwota, że doznała szoku, w końcu nikt jej wcześniej nie powiadomił, że Gifford to Eđianin.

– I co się stało? – spytał.

– To było po prostu straszne. Okazuje się, że Gifford Dudley jest... On jest... – nie mogła wymówić tego słowa. – Błagam cię, Edwardzie – zwróciła się do niego łamiącym się głosem, na którego dźwięk przeraził się nie na żarty. – Nie rozumiesz. Ten facet to jakiś ogier, który...

– Wiem – przerwał jej.

Wlepiała w niego spojrzenie.

– Wiesz?

– Tak. Lord Dudley mnie wtajemniczył.

– Ale skoro tak, dlaczego zgodziłeś się na to małżeństwo? – wykrzyknęła oburzona. – Dlaczego miałbyś chcieć, bym wyszła za tego...

– Nie sądziłem, że będzie ci to przeszkadzać – wyjaśnił.

Szeroko rozwarła powieki.

– Co?

– Pomyślałem, że cię zaintryguje jego przypadłość.

– Nie. Zapewniam cię, nic mnie w nim nie intryguje. – Jane zmarszczyła nos, zniesmaczona. – I nie nazwałabym tego „przypadłością”.

– A jak byś to nazwała? – Edward miał wrażenie, że coś mu umknęło.

– To jakiś ogier, który tylko ugania się za spódniczkami! – wrzasnęła. – Kobieciarz, bałamut i flirciarz!

Aha.

Czyli nie wiedziała, że jeszcze do tego wszystkiego jest koniem.

– Cóż mogę rzec – podjął Edward, kaszląc. – Trudno się temu dziwić, prawda? Wieść niesie, że jest diablo przystojny.

– Doprawdy? – sarknęła na skraju hysterii. – Czy ty jesteś poważny, Edwardzie?

– No tak – potwierdził król. – A obrzydliwie bogaci, urodziwi młodzieńcy

zwykle opływają w dostatek, jeśli idzie o powodzenie wśród płci pięknej.

Chyba że jest się nastoletnim królem, który w każdej chwili może wypluć płuca.

Jane wydeła usta.

– Nie mam zamiaru wychodzić za to indywiduum. Błagam, Edwardzie, musisz odwołać zaręczyny.

Niestety, Edward nie mógł spełnić jej prośby – nie teraz, gdy sytuacja polityczna w kraju była tak napięta. Ale wyczuł, że jeśli zdradzi jej prawdziwy powód stojący za jej niespodziewanym zamążpójściem (że musi urodzić dziecko, które odziedziczy tron Anglii po śmierci Edwarda), wcale nie poprawi jej to nastroju. Zamiast tego postanowił powiedzieć jej coś pocieszającego, lecz nic takiego nie przyszło mu akurat do głowy.

– Wybacz mi, Jane – odważył się. – Ja nie mogę. Po prostu...

– Jeśli znaczę dla ciebie cokolwiek – rzekła, wytaczając najcięższe działa – to nie ośmielisz się zmusić mnie do tego małżeństwa.

Edward poczuł ścisk w piersi. Kaszlał w chustkę, aż fioletowe plamki zamigotały na obrzeżach jego pola widzenia. Pet uniosła głowę z jego kolan i obrzuciła dziewczynę oskarżycielskim spojrzeniem.

– Nic ci nie jest? – mruknęła. – Edwardzie, czy ty... jesteś chory?

– Umieram – przyznał.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

– Myślałam, że tylko cię przewiało – wymówiła cicho.

– Okazało się, że bynajmniej.

– To chyba nie krztusica? – zdradziła się z nadzieją, po czym zamknęła oczy, gdy spojrzał na nią smutno.

– Mam zamiar zasięgnąć rady innego lekarza – zapewnił. – Może powie coś bardziej optymistycznego.

– Kiedy? – spytała na granicy słyszalności. – Kiedy... no wiesz.

– Wkrótce. – Ujął jej poplamioną książkowym tuszem dłoń. – Wiem, że nie chcesz tego małżeństwa. Wierz mi, że rozumiem. Pamiętasz, gdy ja byłem zaręczony z Marią Stuart? – Ciarki przeszły mu po plecach. – Ale ty musisz kogoś poślubić, bo tak to już jest, że młode damy wysokiego rodu wychodzą za mąż. Nie możesz całe życie chować się za księgami.

Jane przekrzywiła głowę. Rudy lok spadł jej na twarz.

– Wiem. Ale czemu akurat z nim? – spytała. – I czemu teraz?

– Bo pokładam zaufanie w lordzie Dudleyu – odrzekł po prostu. – I ponieważ kończy mi się czas. Muszę mieć pewność, że ktoś się o ciebie

zatroszczy. Kto wie, komu by cię oddali, gdyby mnie zabrakło? To nie tak źle wyjść za młodego, przystojnego, bogatego mężczyznę. Mogłaś gorzej trafić.

– Chyba tak... – przyznała.

Zdawał sobie sprawę, że powinien jej powiedzieć, że wychodzi za zwierzę. Był to jeden z tych detali, o których dobrze wiedzieć przed zamążpójściem. Sęk w tym, że nie umiał ująć tego w słowa. Hej, a tak przy okazji, twój przyszły mąż to prawdziwy ogier. Dosłownie.

Powinna wiedzieć.

Znajdzie kogoś, kto jej powie.

– Zrób to dla mnie, Jane – rzekł z delikatnością. – Proszę. Proszę cię o to nie tylko jako król, ale też jako przyjaciel.

Milczała, wpijając się wzrokiem w złożone na podołku dłonie, ale coś zmieniło się w wyrazie jej twarzy. Dostrzegł na niej sugestię zgody. Znowu ścisnęło go w piersi.

– Zobaczysz, wszystko się ułoży. – Zamknął jej dłoń w swojej dłoni. – A jeśli poprawi ci to humor, rozmówię się z Giffordem w sprawie jego prowadzenia się. Zmuszę go, by przysiągł, że będzie odtąd wzorem cnót. Pogrozę mu szafotem czy coś.

Podniosła na niego wzrok.

– Mógłbyś?

Skrzywił usta w uśmiešku.

– Jestem królem czy nie? Czy jest jeszcze coś, co mam mu zrobić? Wybatożyć przy pręgierzu? Przykuć do kieratu? Połamać kołem? Zmiażdżyć kciuki śrubami? Łaskotać piórkiem, aż zgodzi się wstąpić do zakonu?

Na jej wargach zagrał uśmiech. Odetchnął z ulgą.

– No – powiedziała z namysłem, wysuwając dłoń z jego palców, by zanurzyć ją w gęstej sierści na karku Pet. – Zakon mu nie zaszkodzi.

– Załatwione.

Westchnęła półgłosem.

– Jest jeszcze jeden drobiazg, który mógłbyś dla mnie zrobić, kuzynie – rzekła po chwili.

– Czego tylko zapragniesz – zapewnił ją Edward.

Podniosła na niego oczy koloru ciepłego brązu.

– Przejdź się ze mną tamtą aleją.

Znowu ścisł w piersi, lecz tym razem nie były to płuca, a serce.

– Oczywiście – odparł. – Cała przyjemność po mojej stronie.

*

Gdy Edward odprowadził Jane do karety wracającej do Chelsea (gdzie rezydowała rodzina Greyów podczas wizyty w Londynie), odnalazł lorda Dudleya w komnatach Rady, pogrążonego w poważnej dyspacji z panią Penne. Z pewnością tematem rozmowy był stan zdrowia króla.

– Ach, Wasza Wysokość – odezwał się doradca na jego widok. – Czy udało ci się ją przekonać?

Sibby z zatroskaną miną przyłożyła Edwardowi wierzch dłoni do czoła. Odjęła rękę, gdy rozległo się warczenie Pet.

– Czuję się dobrze – powiedział.

Sibby obrzuciła go wymownym spojrzeniem, niechybnie dając do zrozumienia, że wciąż czuje się urażona buńczuczną niefrasobliwością podopiecznego, po czym oddaliła się, szeleszcząc nieprzeliczonymi spódnicami. Król odczekał, aż zamkną się za nią drzwi. A potem opadł na obity czerwonym materiałem fotel i wyciągnął rękę po misę z jeżynami.

– Sire – zaczął Lord Dudley. – Musisz zadbać, by...

Pet wcisnęła nos do misy i powąchała, zrzucając naczynie na podłogę. Rozległ się głośny klekot, owoce potoczyły się po posadzce.

Służący już porwali się z miejsc, by uprzątnąć bałagan, Edward zaś zgromił zwierzę wzrokiem.

– Fe, Petunia! – skrzyczał psa, który w odpowiedzi tylko pomachał ogonem.

– Sire – nie ustępował Dudley – nie wolno się Waszej Wysokości przemęczać.

– Mówię przecież, że nic mi nie jest. Świeże powietrze dobrze mi zrobiło. I owszem, Jane zgodziła się wyjść za twojego syna. Tylko dlaczego nikt nie powiedział jej o... o mankamacie natury hippicznej?

Dudley pokręcił głową, jakby sprawa była zupełnie nieistotna.

– Doświadczenie nauczyło mnie, że nie warto obciążać kobiecych umysłów takimi błażostkami.

Coś w tym jest – pomyślał Edward.

– Tak czy inaczej – powiedział – chciałbym się rozmówić z twoim synem.

Usta Dudleya skryły się w gąszczu brody.

– Z moim synem? Z Giffordem? – spytał z niedowierzaniem, jakby miał nadzieję, że Edward ma jakiś niewytłumaczalny powód, by odbyć rozmowę ze Stanem.

– Tak. Poślij po niego niezwłocznie.

– Obawiam się, że to niemożliwe, Wasza Wysokość. – Dudley wskazał za okno, przez które wpływały od zachodu smugi światła. Słońce zajdzie dopiero za parę godzin.

– Ach, faktycznie – zmitygował się król. – A zatem przyślij go do mnie, gdy tylko się ściemni.

Dudley wciąż zdawał się bić z myślami.

– Ale, Najjaśniejszy Panie, przecież jest tyle rzeczy do zrobienia przed jutrzejszą ceremonią. Mój syn z pewnością jest zawalony robotą i nie sposób...

– Mam z nim do pogadania – rzekł Edward swoim najbardziej królewskim tonem, przypominając niezawodnie Dudleyowi, kto tu rządzi, a kto wykonuje rozkazy. – I pogadam z nim. Dziś w nocy.

– Tak jest, Wasza Wysokość – dał za wygraną Dudley. – Gdy tylko się ściemni.

Raptem Edward poczuł się śmiertelnie zmęczony. Oklapł na tronie. Pet zaskomlała i liznęła go w rękę.

– Czy wszystko w porządku, Wasza Wysokość? – zatroskał się Dudley.

– Nic mi nie jest. – Edward wyprostował się. – Będę w swoich komnatach – oznajmił, choć nie był pewien, czy uda mu się pokonać schody. – Przyślij do mnie Gifforda, gdy tylko przybędzie. Możesz odejść.

– Jak sobie Wasza Wysokość życzy – powiedział sztywno doradca, a potem oddalił się, by pozwolić królowi złapać oddech.

*

Nie minęła godzina od zachodu słońca, a do drzwi komnaty rozległo się wyczekiwane pukanie. Pet zaczęła szczeleć, ale natychmiast umilkła, gdy do pomieszczenia wszedł Gifford Dudley.

Dwaj chłopcy stanęli naprzeciwko siebie, bacznie się sobie przypatrując. Gifford był oczywiście wyższy i szerszy w barach, a kształt jego oblicza wyznaczała kwadratowa szczeka. Dudley nie kłamał, faktycznie ciacho. Edward przez moment nienawidził gościa za to, że los obdarzył go taką aparycją i zdrowiem. Lecz w tym momencie Gifford skłonił mu się, a Edward naraz przypomniał sobie, że jest królem.

– Posłałeś po mnie, panie? – mruknął najmłodszy z Dudleyów.

– Tak. Usiądź, proszę. – Obaj usiedli niezgrabnie, niepewni siebie nawzajem. – Chcę porozmawiać z tobą o Jane.

– O Jane? – Edward nie był w stanie ocenić, czy to było stwierdzenie faktu czy pytanie, albo czy Gifford w ogóle skojarzył, o kim mowa.

– O twojej przyszłej żonie.

Gifford skinął głową i podrapał się w kark, przybierając wyraz twarzy bardzo podobny do tego, który Edward dostrzegł wcześniej u kuzynki. Jakby stał w obliczu nieuchronnej zguby.

– Jane jest mi bardzo droga – wyjaśnił Edward. – Jest...

Miał trudność z doborem odpowiedniego słowa.

– Jeszcze jej nawet nie spotkałem – rzekł ostrożnie Gifford – ale głowę dam, że jest bardzo... droga.

– Najdroższa. – Edward pochylił się na fotelu. – I jest coś, co mnie niepokoi, Giffordzie, mianowicie...

– Proszę, niech Wasza Wysokość mówi mi G – przerwał młodzieniec.

Edward skrzywił się, nieprzyzwyczajony do przerywania.

– Niepokoi mnie to, mój... hm, G, że przez ostatnie kilka lat rzadko gościłeś na dworze. Rozumiem, że miałeś powód... – Rzucił gościowi porozumiewawcze spojrzenie, które mówiło: wiem wszystko o twoim eđiańskim problemie. – Wiem też, że twoja rodzina jest na tyle szanowana i godna tego, by wstąpił do niej ktoś tak... wyjątkowy, jak moja kuzynka Jane. Sęć w tym, że nie miałem okazji cię poznać.

Zamilkł na chwilę, bo Pet, machając ogonem, klapnęła obok fotela Gifforda. Gifforda, a nie Edwarda, wyobrażacie sobie? Suczka wpatrywała się w gościa z nabożnym uwielbieniem. Młodzieniec uśmiechnął się do niej i sięgnął do ulubionego miejsca Pet, pod zuchwą.

Zwierzę westchnęło i ułożyło mu głowę na kolanach.

Nawet ona nie mogła się oprzeć czarowi tego przystojniaka.

Edward rozkaszał się, aż oczy zaszyły mu łzami. Kiedy spazmy ustały, podniósł wzrok i poczuł na sobie zmartwione spojrzenia Pet i Gifforda.

– Tak więc – podjął jak gdyby nigdy nic – chcę mieć pewność, Giffordzie, że dobrze się zajmiesz moją drogą, wyjątkową kuzynką.

– Oczywiście – odparł Gifford prędko.

– Nie rozumiesz mnie – drążył Edward. – Pozwól, że wyjaśnię: zajmiesz się tylko nią, nikim innym. Już nigdy. Tylko Jane.

Do oczu Gifforda napłynęło zrozumienie.

– Jane zasługuje na oddanego i wiernego męża – ciągnął Edward. – A więc ty, Giffordzie, będziesz oddanym i wiernym mężem. Jeśli dojdą mnie bodaj słuchy o tym, że jest inaczej, będę bardzo, ale to bardzo niezadowolony.

A wierz mi, tego byś nie chciał.

Gifford wyglądał na zaniepokojonego, co sprawiło Edwardowi dużą przyjemność. Może i słabnie, ale wciąż jest potężnym władcą. Nie będzie jakiś zbereźny arystokrata wchodził mu w paradę!

– Czy wyrażam się jasno? – zakończył z uśmiechem.

– Tak – potwierdził chłopak. – Rozumiem, Wasza Wysokość.

– Niezmiernie mnie to cieszy. Możesz odejść.

Gifford zerwał się na nogi, ale gdy dotknął klamki, Edward zawołał za nim:

– Jeszcze jedno, mój drogi G.

Gifford znieruchomiał, a potem odwrócił się wolno.

– Tak, Wasza Wysokość?

– Jane nie wie o twojej przypadłości. O twojej...

Gifford wydał z siebie ciężkie westchnienie.

– O końskiej klątwie.

Edward zdusił śmiech.

– Tak. Nikt jej jeszcze nie wtajemniczył. Chcę, byś ty to zrobił.

Na twarz młodego Dudleya wypłynęło coś na kształt paniki.

– Ja?

– Powinna chyba dowiedzieć się o tym od męża, nie uważasz? – Gdy to mówił, nabierał przekonania, że to bardzo dobry pomysł. Iście królewski. Godny władcy. – Zdaje się, że nie ujrysz swojej przyszłej małżonki aż do ślubu, lecz zaraz po ceremonii, kiedy oboje... – Zamilkł. Nie przypadł mu do gustu koniec tego zdania. – Wtedy powinieneś jej o tym powiedzieć.

I znowu ten wyraz twarzy mrówki próbującej uciec przed opadającym butem, wykrzywiający piękne rysy Gifforda.

– Czy mam wybór, sire?

– A czy ktokolwiek z nas ma wybór, gdy w grze bierze udział przeznaczenie?

Gifford spuścił głowę.

– Człowiek może złowić rybę na robaka, który toczy królewskie ciało, i zjeść rybę, która połknęła tego robaka – wyrzekł z narastającą intensywnością.

Edward siedział dłuższą chwilę ze wzrokiem wlepionym w Gifforda.

– Zakładam, że to oznacza zgodę.

– Tak, sire – wybąkał młody lord, opuszczając komnatę.

Edward obserwował z wieży, jak na dziedzińcu poniżej Gifford dosiada konia i opuszcza pałac. Był zadowolony z przebiegu rozmowy. Oderwał się od

okna, podszedł do łoża i zatopił w pościeli.

Pet przyczłapała do niego i zaczęła lizać po twarzy.

– Spadaj, ty zdradzieckie zwierzę – powiedział, odpychając ją dla zabawy, lecz zaraz zrobił jej miejsce, a ona ochoczo wskoczyła na łożo.

JANE

Oto nadszedł dzień zaślubin.

Ceremonia miała się odbyć w Durham House, londyńskiej posiadłości Dudleyów, co oznaczało, że w sobotnie popołudnie Jane została tam przewieziona przez miasto kareta w towarzystwie matki, krawcowej i damy dworu Adelli. Zaprowadzono ją do rodzinnej biblioteki Dudleyów, roboczo służącej za garderobę. Tylko że komnata bardziej niż bibliotekę przypominała nieużywany od dawna skład, wysprzątnany pospiesznie i niedbale na potrzeby ceremonii ślubnej. Otwartymi na oścież oknami wdzierało się do pomieszczenia świeże powietrze i słońce. Ściany zastawione były regałami z książkami (niemal słyszała, jak ją wołają: „Masz jeszcze mnóstwo czasu, przeczytaj stronę, może dwie, ewentualnie rozdział”), ułożonymi piętrowo kufami, a na wieszaku pośrodku pomieszczenia wisiała suknia.

– No nie wytrzymam po prostu! – zaćwierkała Adella, biegając po pomieszczeniu i dotykając wszystkiego, jakby miało przynieść jej szczęście. Wzbijała palcami chmurki kurzu. – Totalnie wychodzisz za mąż!

– Nie mogę się doczekać – prychnęła Jane, spoglądając na suknię. Była uszyta z brokatu i ozdobiona diamentami oraz perłami (bo pamiętamy, że ślub Jane odbył się, zanim królowa Wiktorja założyła przed zamążpójściem białą suknię, na zawsze zmieniając modę ślubną). Była to bez wątpienia olśniewająca kreacja, prawdziwe arcydzieło sztuki krawieckiej, i niewątpliwie bardzo kosztowne. Gdyby Jane zaczęła się teraz opierać przed zamążpójściem, może nawet dowiedziałyby się, ile dokładnie kosztował ten drogocenny fatalaszek.

Ale Edward ją poprosił, a ona była zdecydowana spełnić prośbę żegnającego się z życiem kuzyna. Na myśl o Edwardzie węzeł zacisnął jej się w gardle.

Kiedyś, kiedy mieszkała jeszcze z Katarzyną Parr i gdy całe popołudnie kryła się z Edwardem na tyłach biblioteki zamku Sudeley, co robili wcale często, zaczęła mu się żalić na swoich licznych narzeczonych, a wtedy Edward szturchnął ją palcem pod żebro i powiedział:

– Nie za wysokie masz wymagania, Jane? No, w razie czego zawsze możesz wyjść za mnie.

Wówczas małżeństwo wydawało jej się czymś zabawnym, jak gra w chowanego. Lecz teraz zamężność postrzegała wyłącznie jako klątkę, z której nie ma ucieczki.

– Bycie moim narzeczonym to ryzykowna sprawa – ostrzegła go. – Wiesz przecież, że doprowadzam do ruiny wszystkich swoich narzeczonych. A tak w ogóle to nie sądzę, by spodobała mi się rola królowej. Za dużo zasad, za dużo reguł.

– Oj tam, nie byłoby tak źle. – Edward pstryknął ją w uniesiony w zamyśleniu nos i rozchylił usta w uśmiechu. – Świetnie byśmy się razem bawili.

Roześmiali się wtedy i nigdy już nie podjęli tego tematu, ale Jane czasem wracała do niego myślami. A może on mówił poważnie? Podejrzewała przez chwilę, że Tomasz Seymour i jej matka planowali skojarzyć ich ze sobą. Nie na darmo wysyłali ją do mającej starszej pani, gdzie miała się uczyć i nabierać manier, a gdzie przebywał również Edward, następca tronu, który mógłby uczynić ją królową.

No i miał rację. Nie byłoby wcale tak źle, nawet jeśli Jane nie umiała wyobrazić sobie Edwarda w roli kogoś więcej niż tylko przyjaciela, kompana, towarzysza. Czytywała w romantycznych powieściach, że w obecności umiłowanego serce dziewczyny bije szybciej, że rwie się oddech i tak dalej, a ona nigdy nie czuła się tak przy Edwardzie. Ale umiała wyobrazić sobie gorszy los niż bycie żoną przyjaciela. O wiele gorszy.

Lecz wtedy niespodziewanie Katarzyna Parr umarła, a Tomasz Seymour dopuścił się zdrady, za co skrócono go o głowę. Jane została więc odesłana z powrotem do Bradgate, a jej matka znów zaczęła węszyć za jakąś dobrą partią.

Teraz zaś Edward umierał, co oznaczało, że sam nigdy się nie ożeni. A Jane wychodziła za mąż za parę godzin. Znaczący, prawdopodobnie wychodziła.

Chyba że wydarzy się cud.

Popołudnie zmieniło się w wieczór i wydawało się coraz mniej prawdopodobne, że jakaś niespodziewana tragedia spadnie na rodzinę Dudleyów, wybawiając Jane z opresji. Wsunęła się w suknię, zakryła twarz welonem i porzuciła wszelką nadzieję.

Najbardziej dobijała ją perspektywa spędzenia kilku najbliższych godzin bez książek.

Wcześniej, gdy trefiono jej włosy i dopasowywano suknię, błędziła palcami po grzbietach książek, którymi zastawione były półki w bibliotece. Historia,

filozofia i nauka – jej trzy ukochane dziedziny. Jej pociecha i ratunek przed weselną nudą.

– Nawet o tym nie myśl. – Lady Frances trzepnięciem strąciła jej dłoń z wytrawionych w skórze liter. – Moja córka nie będzie składać przysięgi małżeńskiej z nosem w jakiejś starej, zakurzonej księdze.

– Nie byłyby tak zakurzone, gdyby Dudleyowie o nie dbali. – Jane omiotła tęsknym wzrokiem ten literacki róg obfitości. Zakurzony, prawda, ale wciąż obfitujący w książkowe smakołyki. – Może wołałabyś, żebym zabiła nudę dzierganiem?

– Uważaj na to, co mówisz. Nikt nie chce mieć sarkastycznej żony. – Kosmyk brązowych włosów lady Frances jakimś magicznym sposobem posiwił (no, nie w ścisłym sensie magicznym, jak już powiedziałyśmy, jedyna prawdziwa magia to ta eđiańska).

Jane nasunęła się myśl, że wyjście za mąż ma jednak jakieś plusy – przynajmniej nie będzie już mieszkać z matką. Jeszcze kilka szarpnięć, ściśnieć i komentarzy o płaskim biuście, a potem dało się słyszeć pukanie do drzwi.

– Już czas.

Spojrzała w okno i zorientowała się, że zmrok dawno już zapadł. Panowała noc.

– Co za człowiek chce się żenić w ciemności? – wymamrotała, gdy prowadzono ją korytarzem. Zbereźny gbur, oto kto.

Ostatni raz obejrzała się na porzucone w samotności książki. A może otrzyma je w pakiecie wraz z mężem? Mogliby pójść na jakiś układ. Książki w zamian za... No cóż, dowie się, czego mógłby chcieć w zamian. Poza kobietami. Edward obiecał, że z nim porozmawia. Przecież nawet ktoś taki jak Gifford chyba nie sprzeciwi się królowi.

Jane nie mogła złapać tchu (nie tylko dlatego, że miała ciasno zawiązany gorset. Choć miała. I to o wiele za ciasno).

Od zawsze wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała za kogoś wyjść – ten korowód niedoszłych narzeczonych nie mógł przewijać się przez jej życie w nieskończoność. Tyle że nie spodziewała się, że wyjdzie za mężczyznę, który obracał się w towarzystwie dziesiątków, a kto wie czy nie setek kobiet. Jak Jane wypadnie w porównaniu? Kim będzie dla Gifforda, jeśli nie kolejną panienką na koncie, i to ostatnią, skoro król położył kres jego rozpuście? Prawdopodobnie będzie gardził nią od pierwszego dnia małżeństwa, i nie tylko przez jej wąskie (zupełnie nienadające się do rodzenia dzieci) biodra i dziwne, czerwonorude włosy.

Jane wlokła się ku głównej komnacie, z ociąganiem stawiając krok za krokiem, ale matka ucapiała ją za rękę i pociągnęła za sobą. Chwilę później stała już przed wielkimi, podwójnymi drzwiami, a te rozwarły się przed nią, zaś z komnaty dobyły się dźwięki muzyki i ludzkie głosy. Płomyki świec opromieniały upiornym blaskiem czekającego na nią Edwarda.

Kuzyn posłał jej dyskretny uśmiech i wstał, dźwigając się na podłokietnikach.

– Wyglądasz zjawiskowo, Jane.

– Ty też wyglądasz... – Zdanie zawisło w powietrzu. Miał dzisiaj na sobie królewskie regalia, koronę, płaszcz i złoty sztylet: cały asortyment niezbędny do wydania kuzynki za mąż. Jednak pod warstwami brokatu i futra wciąż tkwił ten sam wychudzony, schorowany, umierający Edward.

– Wiem. – Złapał w urękawiczone palce obszyty futrem skraj szaty. – Diabło przystojnie i tak królewsko jak nigdy. No, nie gap się tak, bo się zawstydzę.

Uśmiechnęła się mimo woli.

– Jane, córko – zwróciła się do niej lady Frances, gdy uhonorowały już króla wszystkimi odpowiednimi do sytuacji grzecznościami oraz przyklęknięciami – spróbuj radować się tym dniem. W końcu to twój ślub!

Jane wymieniła spojrzenia z Edwardem, po czym wywróciła oczami, gdy matka i Adella oddaliły się, by zająć swoje miejsce w przepastnej komnacie. Postanowiła umiejscowić się tak, by możliwie nie rzucać się gościom w oczy. O ile to możliwe, gdy jest się panną młodą na własnym ślubie. Spodziewano się po niej, że gdy tylko wkroczy do komnaty, rozpocznie długi marsz do pana młodego.

– Jane – zagadnął ją Edward, gdy zostali sami. – Nie prosiłbym cię o to, gdyby to nie było ważne.

– Wiem. – Nie potrzebowała ponownie odbywać tej rozmowy.

– Rozmówiłem się z nim – poinformował ją król. – Położyłem kres jego nocnym ekscesom.

– Ale tych, które już miały miejsce, nie da się zmazać. – Chciała skrzyżować ramiona na piersi, ale zaraz opuściła je wzdłuż ciała, gdy zawadziły o siebie wszyte w materiał drogie kamienie. Jeśli zniszczy suknię przed złożeniem przysięgi, matka ją zamorduje. – To człowiek rozwiąży, degenerat, prawdziwy...

Skończyły jej się synonimy. Ech, szkoda, zapowiadała się piękna tyrada.

– Moja Jane, posłuchaj mnie... – Edward rozkasłał się w upstrzoną

różowymi plamkami chustkę.

Czekała, nie wiedząc, czy ma pomóc, czy obrócić atak w żart, ale gdy wcisnął chustkę do kieszeni i podniósł na nią czerwoną od kaszlu i wstydu twarz, zmieniła temat na możliwie daleki od toczącej go choroby.

– Mówisz, że widziałeś Gifforda, nie? Daj mi się przygotować psychicznie. Jak wielki jest jego nos?

Usłyszała ruch wewnątrz pomieszczenia i zorientowała się, że znalazła się w polu widzenia gości.

Edward uniósł brwi.

– Chyba będziesz musiała zobaczyć na własne oczy.

Z ciężkim sercem przyjęła bukiet – białe róże Yorków i pierwiosnki – po czym zajęła miejsce u boku króla. Weszli do wielkiej komnaty ramię przy ramieniu. Pomieszczenie wypełnione było ludźmi i wszyscy jak jeden mąż patrzyli na nią. Wiele by dała, by móc się schować za księgą. Gdyby pozwolono jej jakąś zabrać, może przyniosłaby jedną dla Edwarda, choć on był chyba przyzwyczajony do gapiów.

Mrok w olbrzymiej komnacie rozświetlały setki świec. Ułożona z nich ścieżka wiodła do ołtarza, gdzie czekali kapłan i pan młody. Kolejne siedem świec stało za ich plecami, co sprawiało, że nie sposób było się przyjrzeć już-prawie-mężowi.

Jane i Edward kroczyli z godnością świetlistą aleją, ignorując niosące się po ciżbie szepty zebranych pełnych pożałowania dla schorowanego króla, zadziwionych czerwienią włosów Jane, które przypominały ich zdaniem czapkę błazna, oraz komentujących pośpiech, z jakim zorganizowano uroczystość. Jane najchętniej cała schowałaby się w sukni. Raptem, o wiele zbyt prędko na jej gust, znaleźli się przy ołtarzu i Edward ujął ją za rękę.

– Tobie, lordzie Giffordzie Dudley, ofiaruję rękę mojej kuzynki i najdroższej przyjaciółki lady Jane Grey.

Zanim jej dłoń przeszła z ręki do ręki, ścisnęła delikatnie palce Edwarda i mrugnięciem odpędziła zbierające się w oczach łzy. Czy to się dzieje naprawdę? Niemożliwe.

– Dziękuję. – Głos Gifforda był niski, a ton zupełnie wyprany z emocji. Przyjął dłoń panny młodej i pomógł jej wejść na schodek, gdzie wreszcie stanęła z nim twarzą w twarz.

A potem podniosła wzrok. Jeszcze wyżej. I prawie zmiażdżyła w rękach bukiet.

Gifford Dudley był tak przystojny, że to aż niesprawiedliwe: imponująco

wysoki i świetnie zbudowany, o połyskliwych kasztanowych włosach związanych w krótki kucyk i wyrazistych brązowych oczach. A jego nos... Jego nos był idealnie ukształtowany, ani za długi, ani za krótki, ani za szeroki, ani za wąski, nawet z tak bliska nie kłuły jej w oczy pory, o innych niedoskonałościach nie wspominając. Pan młody szczęśliwie nie został dotknięty straszną klątwą Dudleyów.

Chwała na wysokości Bogu! Lord Gifford Dudley miał niefortunne imię, ale nie nos. Chciało jej się śpiewać. Chciała wykręcić piruet, podbiec do Edwarda siedzącego w wykwintnym fotelu i podzielić się nowiną o doskonałym nosie Gifforda.

To cud. Dziwo. Wspaniałość. I ulga – w końcu będzie musiała pocałować tego człowieka pod koniec ceremonii, a zawsze lepiej to zrobić, nie ryzykując, że jego wielki kinol wykole jej oko. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że powinna się była domyślić, że Gifford ma zupełnie normalny nos. Inaczej połowa angielskich kobiet chodziłaby ślepa.

Nagle wyparowała z niej cała euforia.

No dobra, był przystojny. Tym lepiej dla niego. Ale po świecie chodziło przecież wielu przystojnych mężczyzn. I nie wszyscy spędzali każdą kolejną noc z inną kobietą. Idealny nos nie usprawiedliwiał nagannego prowadzenia się.

Sam Gifford nie wydawał się specjalnie urzeczony jej urodą. Oczywiście, że nie. Mało kto był. Jeśli już komentowano jej wygląd, to koncentrowano się na włosach. I rzadko opisywano je w superlatywach.

Ceremonia toczyła się dalej, a Jane ośmieliła się rozejrzeć po gościach. Edward siedział sztywno, z zaciśniętymi ustami, jakby cierpiał. Jej matka dołączyła do rodziny pana młodego. Jane rozpoznała lorda Dudleya i jego żonę, którzy siedzieli w pewnym oddaleniu. To nie wróżyło zbyt dobrze, jeśli idzie o wzorce wyniesione z domu przez Gifforda. Miejsce zaraz przy lady Dudley zajęła dziewczynka ściskająca w rączce lalkę. Mała pomachała jej delikatnie. Dalej siedzieli Stan z żoną, oboje sztywni i wyniośli, a między nimi dostrzegła na ławie małe, gaworzące cichutko dziecko. Jeśli Stan pamiętał ich niefortunne spotkanie, nie dał tego po sobie poznać, za to Jane pozwoliła sobie spiorunować go wzrokiem, gdy ksiądz zaczął wyliczać wszystkie błogosławieństwa sakramentu małżeństwa.

Pierwsze, miłość. Raczej nie ma strachu. Gifford patrzył gdzieś ponad jej ramieniem ze znudzonym wyrazem twarzy. Pewnie wciąż się dąsał po rozmowie z Edwardem.

Drugie, cnota. Jane prychnęła, ściągnając na siebie wymowne spojrzenia. Szczególnie intensywne było to posłane przez matkę, na której głowie, Jane mogłaby przysiąc, pojawił się kolejny siwy włos.

Trzecie, potomstwo. Jane zbladła i poczuła rozchodzące się z brzucha zimno. Prawie zapomniała o tej części małżeństwa. Potomstwo. I jego poczęcie. Będą się po niej spodziewać dziecka. Dzieci. W liczbie mnogiej. W końcu Jane nie miała brata, co oznaczało, że to ona będzie musiała przedłużyć linię Greyów. Kobiety często umierały przy porodzie lub krótko po – przypominała sobie o matce Edwarda, która cieszyła się synkiem tylko kilka dni – a każda kolejna ciąża była wyzwaniem rzuconym śmierci, kuszeniem licha, zakładaniem się z losem o najwyższą stawkę. Zwłaszcza jeśli ktoś ma tak wąskie biodra, o czym nie pozwalano jej zapomnieć.

To jednak było zmartwienie, które na razie mogła odłożyć na później. Bo ksiądz przeszedł już dalej i gładził teraz o radości, jaką dają dzieci, i o tym, jak każde dziecko umacnia więź między rodzicami. To wtedy Jane uświadomiła sobie, że przecież dziś w nocy...

Będzie musiała – oni będą musieli razem...

Gifford również wyglądał na oszołomionego, zupełnie jakby jego nasza ta sama myśl... Jakby dopiero teraz zorientował się, że przecież przed nim noc poślubna.

Jane zagryzła szczęki. No to co, że miała czerwone włosy, a on wolał brunetki. Czy była tak nieładna, że nawet ktoś o tak zszarganej opinii jak Gifford „Hulajdusza” Dudley nie chciałby... Nie, nie mogła nawet o tym myśleć. Nie mogła myśleć o... Zaraz, jak to nazywała jej matka?

A tak, o „bardzo wyjątkowym przytulaniu”.

Gdy była zaręczona z Humphreym Hangrotem (tym od jedwabiu), matka próbowała przygotować ją na noc poślubną.

– Bardzo wyjątkowe przytulanie może być nieprzyjemne – wtajemniczyła ją lady Frances. – Ale stanowi nieodłączną część nocy poślubnej i jest twoim małżeńskim obowiązkiem. Na twoich barkach będzie spoczywał ciężar sprowadzenia na świat tylu potomków, ilu tylko zdołasz. Przynajmniej sam akt poczęcia skończy się, ani się obejrzysz. W odróżnieniu od porodu. Ale nie myśl o tym teraz za wiele.

Jane mogła się tylko gapić z przerażeniem na matkę. Później wyszukała każdą książkę o anatomii, jaką kiedykolwiek napisano. Istniały pewne oczywiste różnice między męskim a kobiecym ciałem, takie, które rzucały się w oczy. Później wyczytała w książkach o tych mniej widocznych. Nie trudno

było się domyślić, co łączy się z czym i jakim traumatycznym przeżyciem musi być dla kobiety to „przytulanie”. Ale mężczyźni zdawali się dobrze bawić w trakcie całego zdarzenia. Świadczyły o tym nocne praktyki Gifforda.

Gdy ksiądz ogłosił wreszcie, że nadszedł czas na złożenie przysięg, żołądek zaplątał się Jane w supeł, a bukiet nieomal wymusknął ze spoconych palców.

– Ja, Gifford Dudley – wygłosił Gifford tonem suchym jak piach na drodze – ślubuję ci oddanie. Przrzekam kochać cię, chronić, dochować wierności i uczynić najszczęśliwszą kobietą na świecie. Moja miłość do ciebie głęboka jest jak ocean i jasna jak słońce. Przysięgam bronić cię przed każdym niebezpieczeństwem. Jestem ślepy na wdzięki wszystkich kobiet poza tobą. Twoje szczęście jest najwyższym z moich celów.

W pierwszym rzędzie matka Gifforda muskała oczy haftowana chustką, a mała dziewczynka obok niej zanosila się chichotem. Twarz Edwarda była jak wykuta z marmuru. W palcach gniótł poplamioną chustkę.

Gifford ujął jej wilgotną dłoń i wcisnął na palec obrączkę.

– Oddaję się tobie.

– A ja, Jane Grey, cię przyjmuję – wyrzekła, choć trafniej byłoby powiedzieć: skrzeknęła – i ślubuję ci oddanie. Przrzekam kochać cię, rozmawiać z tobą, dochować ci wierności i uczynić najszczęśliwszym mężczyzną na świecie.

W oryginalnej wersji przysięgi opracowanej przez matkę miała powiedzieć „przrzekam ci posłuszeństwo”. Ani mi się śni – pomyślała. Wystarczy, że zgodziła się na „kochać cię”, choć próbowała zamienić to słowo na „obdarzyć cię jakimś rodzajem uczucia”. Nie miała zamiaru przrzekać posłuszeństwa jakiemuś obcemu facetowi. Będzie konsultować z nim decyzje, a konsultacje polegają na tym, że bierze się pod uwagę zdanie drugiej osoby, nie na wykonywaniu poleceń. I dochowa mu wierności. Może nawet spróbuje uczynić go szczęśliwym, chyba że okaże się oporny.

– Przy mojej miłości do ciebie blednie najsilniejszy wichur – podjęła – a morze zdaje się jeno kroplą. Będę radzić się twej mądrości. Jestem głucha na głos pokusy. Twe szczęście jest Gwiazdą Polarną mego okrętu. – Ujęła jego dłoń i dziwacznym ruchem wsunęła obrączkę na palec, drugą ręką wciąż ściskając bukiet. – Oddaję się tobie. – W życiu nie myślała, że powie komus coś podobnego.

– Ja zaś cię przyjmuję. – Wyglądał na równie nieszczęśliwego co ona. Znalazła w tym jakąś pociechę.

– Czy jest tu ktoś, kto sprzeciwia się zawarciu tego związku? – zawołał

gromko ksiądz.

Proszę, proszę, proszę – powtarzała w myślach. Zaryzykowała rzut okiem na Edwarda, który wciąż trwał nieruchomo w fotelu. Nie, nikt nie uratuje jej w ostatnim momencie. Nie wydarzy się żaden niespodziewany wypadek. Nic już nie zmieni ustalonego biegu wydarzeń.

– A więc – podjął ksiądz – ogłaszam was mężem i żoną. Możesz pocałować pannę młodą.

Jane zacisnęła powieki i czekała. Sekundy wlekły się jedna za drugą, a potem poczuła na policzku ciepło dotyku i palce unoszące jej twarz, którą najchętniej natychmiast by opuściła. Pocałunek był szybki i oszczędny, jakby w ogóle nie nastąpił. Gifford ledwie musnął jej usta swoimi. Ale po zebranych i tak przetoczyły się wiwaty i okrzyki, a Gifford odwrócił się i stanął twarzą do gości. Dojrzała migotanie świateł w szklistych oczach Edwarda. Tryumfalny uśmiech jej matki. I dziewczynkę siedzącą przy rodzicach Gifforda, która całowała swoją lalkę.

– Teraz musimy jeszcze tylko przetrwać wesele – odezwał się Gifford pod nosem, tak cicho, że może wręcz mówił do siebie, ale były to pierwsze słowa, jakie nieoficjalnie wypowiedział w jej obecności.

– Może będzie tam jakaś ciasno opięta gorsetem służka, z którą będziesz mógł zabić czas – warknęła, nie namyślając się ani chwili.

Gifford odwzajemnił jej chłodne spojrzenie.

– I księga, za którą ty będziesz mogła się schować.

Przemierzyli razem oświetloną przez świece drogę do sąsiedniej komnaty, gdzie czekała uczta. Jane czuła, że umarł w niej ostatni promyczek nadziei. Tak jak się spodziewała, Gifford był okropny. I to właśnie z tym okropnym człowiekiem będzie musiała spędzić resztę życia.

Nagle owa reszta życia rozpostarła się przed nią smętną panoramą. Małżeńskie łożo, dzieci, widywanie się tylko wtedy, gdy będzie to absolutnie konieczne, obojętne spojrzenia, zniechęcenie, mordęga. Raptem reszta jej życia wydała się jej strasznie, ale to strasznie długa.

GIFFORD

Może był wobec niej trochę nieuprzejmy.

Ale właściwie miał swoje powody. A dokładnie jeden. Mianowicie: nie był przygotowany na to, że jego żona okaże się taka ładna.

Do samej ceremonii dla zgrywy głośno wyrażał opinię, że jest wcale prawdopodobne, iż jego przyszła żona chowa się za księgami, bo próbuje ukryć swoją szpetotę. W głębi serca miał nadzieję, że to prawda, bo wtedy łatwiej byłoby mu powiedzieć jej prawdę o swojej końskiej kławie. Gdyby była brzydsza, może nie kręciłaby nosem na małżeństwo z półkoniem, bo i tak nie obejrzałby się za nią nikt przystojniejszy. Ale okazało się, że Jane Grey mogła trafić o wiele lepiej.

Nie żeby była jakaś oszałamiająca – w końcu miała te swoje ognistoczerwone włosy. Ale G musiał przyznać, że trudno byłoby nazwać ją nieładną. Jej oczy były koloru lakierowanego dębowego drewna upstrzonego plamkami głębokiego mahoni. Były to oczy pełne namysłu, bystre, o spojrzeniu zdającym się pochłaniać wszystko, na co spojrzą. Jej skóra była nieskazitelna. Jej sylwetka – wypukła i wklęsła wszędzie tam, gdzie trzeba. Ale to jej miękkie, uroczo wydęte – przez całą niemal ceremonię – usta mogły stanowić inspirację dla poety.

Czuł się, jakby całował wiśnie, choć może nie jest to najfortunniejsze porównanie.

A teraz musiał tym ślicznym usteczkom powiedzieć o swojej kławie. Obiecał królowi, że wyzna to żonie, zanim z nią... zanim oni... jak to się oficjalnie nazywało? Aha, zanim skonsumują małżeństwo.

Fuj. Skonsumują – pomyślał. Co oni wszyscy mieli z tym konsumowaniem małżeństwa? Jakaś obsesja czy co? Jakby sakramentalne „tak” nie wystarczyło. No cóż, przynajmniej nie obowiązywał już zwyczaj nakazujący gościom przyglądanie się aktowi konsumpcji.

Odsunął od siebie te myśli, bo trwało właśnie huczne wesele, a wraz z nim pojawiły się inne problemy. Za każdym razem gdy G zaczynał obmyślać sposób na wyjawienie swej tajemnicy, opróżniał kielich ale. A myślał o tym co rusz – gdy tylko błędzący wzrok przywodził go do Jane Grey.

Nawiasem mówiąc, doszedł do wniosku, że rzeczą, która z pewnością nie

stanie się inspiracją poety, są jej ustawicznie zmarszczone brwi. Bo wiersz, który mógłby się zrodzić z takiej inspiracji, brzmiałby pewnie:

*Gdy tylko spoglądał na jej brwi zmarszczone,
Żałował solennie, że ją wziął za żonę.*

Jaka właściwie relacja łączyła Jane z królem? Gdy Edward posłał po G, by mu uświadomić, jak „droga” jest mu Jane, Gifford odniósł wrażenie, że może król sam wolałby się z nią ożenić. To prawda, byli kuzynami, ale zdarzały się wśród kuzynów tak zażyłe stosunki, że witali się buziakiem. Sądząc po tym, jak Jane uczepliła się ramienia króla, gdy odprowadzał ją do ołtarza, mogła ich łączyć właśnie taka relacja. Nie wspominając już, że co rusz łypała na Edwarda w czasie ceremonii.

Kto wie, czy jego żona nie jest zakochana w innym mężczyźnie.

Ta myśl pozostawiła mu na języku absmak. Zmył go kolejnym kielichem ale.

Oderwał od niej wzrok i spojrzał na gości. W jego stronę szedł właśnie Billingsly, odnajdując drogę pomiędzy stołami.

– Panie – szepnął G do ucha. – Ojciec panicza wyraził życzenie, bym grzecznie cię poprosił, abyś przerzucił się z ale na cydr.

– Billingsssly – odparł G, dziwując się sam sobie, że tak długo potrafi wymawiać głoskę s. Czyżby nieco przesadził z ale? – Mój drogi Billingsssssly. – Odsunął się nieco od żony i nachylił do służącego. – Szy móhbyś wyszwiadczyć mi szysługę?

– Tak, mój panie.

– Szy móhbyś powiadomiś lady Jaaane o tym... – Machnął ręką w powietrzu, jakby chciał w ten sposób dokończyć zdanie wzmianką o kłątwie.

Służący zerknął na pannę młodą i zaraz wrócił wzrokiem do Gifforda.

– Ależ, mój panie, w innych cyrkumstancjach z chęcią bym ci pomógł, ale takie wieści lady powinna usłyszeć od ciebie i tylko od ciebie.

– Ale z siebie tchórz, Billingsly. – G wziął jeszcze jeden łyk z kielicha.

Kiedyś służba miała swój honor, nie to co teraz. Uchwycił wzrokiem twarde spojrzenie żony. Sądząc po zmrużonych nieprzychylnie oczach, nie pochwałała tempa, w jakim pochłaniał ale. Gdybyż tylko ta jedna rzecz była niegodna pochwały – rozmarzył się.

G pozdrowił ją uniesieniem kielicha i wygłosił dziarsko:

– Zzrowie moej pięknej żżony!

Goście zawtórowali panu młodemu i wznieśli unisono okrzyk:

– Zdrowie lady Jane!

G upił kolejny łyk i znów powrócił myślami do kwestii wyznania.

Moja droga, kojarzysz te czworonożne, majestatyczne zwierzęta, które przemierzają angielskie równiny? Uśmiejesz się, ale właśnie wyszłaś za jedno z nich!

Nie. Trzeba to ująć jakoś inaczej.

Moja słodka, czy nie mogłaś się kiedyś zdecydować, czy wolisz zwierzęta czy ludzi? No to teraz już nie musisz!

Też nie. Trzeba wymyślić coś innego.

Moja piękna lady, są wśród nas tacy, co śpią na leżaco, i tacy, co śpią na stojąco. A ja umiem i tak, i tak!

Nie.

Spotkałaś na pewno mężczyzn, którzy utrzymują, że skrywają przed światem swoją drugą, nieco bardziej kosmatą naturę...

Czy nie wkurza cię, że przeważająca większość mężczyzn ma tylko dwie nogi?

A czy wiesz, że konie to niesamowicie stabilne stworzenia?

Mógłby też powiedzieć, wskazując palcem: „Ej, a to co?”. A potem pogalopować w siną dal.

G potrzęsnał głową, a świat zawirował mu przed oczyma. Zdał sobie sprawę, że wlał w siebie istne morze alkoholu. W tej właśnie chwili nasza go konstatacja, że komnata biesiadna może nie być najodpowiedniejszym miejscem do powiadomienia żony o swoim alter ego. Za dużo tu ludzi.

Kilka godzin później, gdy już praktycznie tonął w owym morzu alkoholu, zdecydował, że wiodący do sypialni korytarz również się do tego nie nadaje – za dużo jelenich głów zawieszonych na ścianach.

Parę minut później, gdy Jane wparowała do sypialni, a on za jej plecami udał, że przenosi ją przez róg, doszedł do wniosku, że sama sypialnia to też nieodpowiednie miejsce. Było tu o wiele za cicho.

A skoro tak, to jedyną okazją na wyznanie żonie prawdy było te kilka sekund między zdjęciem butów i upadkiem na twarz. Gifford z chęcią wykorzystałby szansę, tylko że przywalił ustami o drewnianą podłogę, nim zdołał wypowiedzieć choć słowo.

Ale przecież obiecał królowi, że powie, a obietnica to obietnica. Na sekundę więc przed tym, jak pociemniało mu przed oczami, wydusił

spomiędzy rozplaszczonych na deskach warg:

– Jesseem konem, mylady.

– Że co, proszę? – dobiegł go głos z tej pogrążonej w mroku przestrzeni za jego powiekami.

Nie zdołał powtórzyć. No i to przecież nie jego wina, że jego żona nie rozumie po angielsku.

*

G nie był pewien, co go obudziło. Może odległy dźwięk służących, uwijających się w kuchni przy śniadaniu. Zawsze zabierali się do przygotowywania posiłku skoro świt.

A może cichy, miarowy oddech dobiegający gdzieś z łóżka nad nim? G nie był przyzwyczajony do dzielenia sypialni z drugim człowiekiem, choć w tej chwili głównie dlatego, że nie mógł sobie przypomnieć, z kim właściwie ją dzieli.

A może tym, co go obudziło, był nadciągający szary świt.

Świt.

ŚWIT!

G zrzucił koc (żona musiała przykryć go, kiedy stracił przytomność) i złapawszy po omacku za frędzel zwieszający się z baldachimu, dźwignął się do pionu.

Lady Jane spała pośród burzy rozsypanych na poduszce czerwonych włosów, przywodzących na myśl ognistą aureolę. G zamarł na chwilę, sycąc oczy miękką krzywizną jej kości policzkowych. Zastanowiło go, dlaczego dopiero teraz zauważył delikatny, wręcz modelowy łuk, którym jej szyja łączy się z ramieniem. Będzie musiał uwzględnić ten załomek jej ciała w wierszu o wydętych usteczkach.

Świt! – przypomniał sobie. Lada moment wszędzie słońce.

Położył rękę na ramieniu żony i delikatnie potrząsnął. Przemiana zbliżała się wielkimi krokami, czuł to w kościach. Jane jęknęła i straciła jego dłoń.

– Pani, obudź się!

Brak reakcji.

– Jane! – powtórzył głośniejszym, szarpiąc nieco bardziej zdecydowanie.

Obróciła głowę w jego stronę i zamrugała.

– Jeszszepięćminut... – stęknęła. – Jest ciemna noc.

– Ależ skąd. Jak myślisz, cóż to za światło w oknie? Muszę cię przed czymś

przestrzec i nawet jeśli nie jest to nic nadzwyczajnie okropnego, to może cię zaskoczyć, jeśli nie będziesz przygotowana... – Czemu bombardował ją słowami? Czemu nie przygotował jakiejś przemowy? Ledwie zamienił z nią dwa słowa, a teraz zniecka używa naraz chyba wszystkich, jakie zna. – Czy słyszałaś o owej starożytnej, zdaniem niektórych pięknej, magii naszych przodków... – O nie. Klamka zapadła. W jednej chwili klęczał przy niej, a w drugiej górował nad nią, zawadzając o baldachim szpiczastymi uszami.

Jane otworzyła oczy na pełną szerokość. Skuliła się w najdalszym kącie łoża i zasłoniła palcami swoje idealne usta.

– Co...

G cofnął się o krok i plasnął zadem o ścianę. Ktokolwiek zbudował tę sypialnię, z pewnością nie zaprojektował jej z myślą o koniu (i to koniu nowożeńcu). Planował kulturalnie się ulotnić zaraz po uświadomieniu żonie, że wyszła za konia, i schować się w stajni. Oczywiście, ażeby zrealizować ten zamysł musiałby zeszłej nocy wypić ździebko mniej ale.

Jane zmarszczyła brwi, cokolwiek nielirycznie.

– Giffordzie?

Mów mi G – pomyślał, ale naraz przypomniał sobie, że nie starczyło mu czasu ani trzeźwości, by ją o to poprosić. Zarzucił łbem i energicznie nim pokiwał, mając nadzieję, że weźmie to za potwierdzenie.

Ostrożnie sięgnęła ręką do jego pyska. G przechylił łeb i powąchał jej dłoń, a potem przygięte wnętrzem do góry palce, gdy koński instynkt wziął górę. Na jej nadgarstku złapał wyczuwalną jeszcze po weselu nutę wina. Starł wargami zapach.

O nie – pomyślał. – Właśnie skubnąłem jej nadgarstek. – Ale nie mógł się opanować. Wino podano zeszłej nocy wybitnie aromatyczne (zanotował w pamięci, by zapytać służbę o rocznik). Lecz zanim zrobi cokolwiek, będzie musiał się przemóc i przestać skubać rękę swojej żony. Potrzebował jakoś odwrócić swoją uwagę od woni wina, a więc opuścił głowę na stolik przy łożu i niespiesznie, lecz stanowczo pożarł bukiet panny młodej. No, już. To na chwilę powinno zaspokoić potrzebę skubania.

Gdy przeżuł ostatni pierwsosnek, Jane westchnęła i zebrała pozostałości po całkiem ładnej wiązance. G pamiętał, że poza pierwsosnkami były w niej też białe róże, bo skomponowała ją jego matka. Sama taką samą trzymała w dłoniach w czasie ślubu z lordem Dudleyem.

– To ty jesteś Eđianinem? – Na jej twarzy jaśniało coś pomiędzy zdumieniem i nadzieją.

G potwierdził skinieniem najlepiej, jak umiał.

Jane zostawiła łydki na stoliku i skupiła całą uwagę na mężu.

– Musisz mi wszystko opowiedzieć. Po kim masz dar? Kiedy zmieniłeś się po raz pierwszy?

G bardzo chciał wysłuchać jej pytań, ale w tej chwili dostała się do sypialni jakaś zmysłowa woń, zakręciła w jego wielkich chrapach i sprawiła, że ślina napłynęła mu do pyska.

Powęszył głośno i zarżał.

– Gifford? Słuchasz mnie? – Głos Jane wdarł się w plamę zapachu, którym był owładnięty. Chciał odpowiedzieć, że ani trochę nie słuchał, bo to przecież nie ona jest źródłem tej obezwładniającej woni.

Drapnął podłogę prawym kopytem, mając nadzieję, że lady zrozumie proste końskie znaki.

– Zmień się z powrotem w człowieka, żebyś mógł ze mną rozmawiać – powiedziała Jane. – Proszę.

W uszach G jej słowa brzmiały jak gaworzenie niemowlaka, bo nie mógł wyrzucić z chrap tego cudownego zapachu.

Jabłka.

Zamknął oczy i potrząsnął grzywą.

Jabłka, a na dokładkę... siano.

Drzwi do sypialni otworzyły się na dwa cale, a woń przybrała na sile. G odwrócił się od lady, która chyba wciąż mówiła, bo jej usta się poruszały, i ruszył do drzwi.

– Lady Jane? – rozległ się głos Billingsly'ego.

Jane podciągnęła pierzynę pod brodę.

– Tak?

– To ja, Billingsly. Tuszę, że lord G jest z panią w komnacie? Przybyłem na ratunek.

– Wejdz, proszę – zezwoliła Jane.

Służący przekroczył próg, niosąc w jednej ręce jabłko, a w drugiej wiązkę siana. G zarżał ochoczo na ten widok.

Billingsly wyciągnął owoc w jego stronę, a G zatopił w nim zęby. Smakowity sok spłynął mu na język.

– Grzeczny konik – pochwalił go służący, drapiąc po szyi.

Zanim zdążył pomyśleć, jak to będzie wyglądało w oczach żony, G skubnął go mięsistymi wargami w policzek. Natychmiast się zmitygował, odciągnął łeb i strzepnął grzywą, jak miał nadzieję, wdzięcznie i dystygowanie. Prawda,

był koniem, ale był też mężczyzną. W każdym sensie poza anatomicznym. I tak właśnie ma być traktowany, z szacunkiem.

– Masz – powiedział Billingsly, machając G sianem przed nosem, po czym rzucił wiązką w przeciwległy róg sypialni. – Aport!

G potruchtał w tamto miejsce i natychmiast zaczął żuć.

– Poprosiłam, żeby zmienił się z powrotem, ale on nie chce – poskarżyła się Jane. – Toż to szczyt niewychowania! Zmienić się w konia w sypialni?

Zważywszy na to, że przeżyła przed chwilą niemały szok, wydawała się ze spokojem przyjmować wieści o hippicznej naturze swego małżonka.

– Moja pani, lord G nie posiadał zdolności zmieniania się na życzenie. Jest koniem od wschodu do zachodu słońca.

– Nie posiada zdolności? Czytałam o Eđianach, którzy poddają się pierwszej przemianie w sytuacji wielkiego napięcia, ale tej zdolności można się nauczyć poprzez trening. To wymaga tylko determinacji i dyscypliny. Może Giffordowi tego właśnie brakuje, ale ja z przyjemnością pomogę. Sporo wiem o Eđianach.

G usłyszał jej słowa i rozzłoszczony, furknął ustami w jej stronę.

– Przepraszam, czyżbym go uraziła?

– Pani, jeśli wolno coś doradzić, sądzę, że powinna pani rozważyć pozostawienie sypialni lordowi G. Przynajmniej na dziś.

Zacisnęła usta.

– A niby dlaczego to ja miałabym wyjść?

– Ponieważ pod obecną postacią lord G nie zmieści się w drzwiach.

(Była to święta prawda. Ludzie byli podówczas o wiele niżsi niż dzisiaj, a drzwi dostosowywano pod to kryterium).

Usłyszawszy te słowa, G zaczął nerwowo rozglądać się za jakąś drogą ucieczki. Okno było niemal dość duże, by zdołał nim wyskoczyć, ale ponieważ znajdowało się dobre pięćdziesiąt stóp nad ziemią, a końskie nogi nie słyną ze sprężystości zdolnej amortyzować upadki z dużej wysokości, musiał zrezygnować z tego wyjścia.

Tupnął kopytem, jakby był bykiem gotującym się do szarży. Nie miał jednak dokąd poszarżować. Prychnął więc tylko, czując narastającą frustrację. Po raz pierwszy poczuł się w uwięziony w końskiej skórze, choć zwykle ta postać dawała mu mnóstwo wolności.

– Pani, lord G uwielbia biegać, gdy jest w tym stanie. A teraz jeszcze zjadł, więc uwięzienie w komnacie...

Jane uniosła rękę.

– Już rozumiem, Billingsly. – Zwróciła się do konia: – Lordzie Giffordzie, zdaje się, że odosobnienie i areszt domowy dobrze ci zrobią po twoim wczorajszym zachowaniu. Być może samotna kontemplacja zmotywuje cię do rozwinięcia umiejętności kontrolowania twego daru.

Daru. G zatrzepotał chrapami. Jego się nie da kontrolować – pomyślał. – I nazywam się G!

*

G strawił dzień na lekkim truchcie wzdłuż ścian komnaty. Wiedział, że utknał w pułapce tylko czasowo i że o zmroku się z niej wyswobodzi, ale nieskrępowany galop i uczucie wolności były nieodłączną częścią jego duszy. Często zastanawiał się, czy to nie stąd wzięła się jego klątwa. Coś głęboko w jego wnętrzu rwało się do cwału, do wyzwolenia z oków, jakimi było okazywane przez rodziców niezadowolenie. Nie dość, że był drugim, a więc nieważnym, synem – tym pozbawionym dumy rodu Dudleyów, to jest ich słynnego nosa – to jeszcze „marnował” czas na czytanie poezji i sztuk. „Marnotrawisz czas na bzdury”, twierdził ojciec. Jako trzynastolatek opuszczał lekcje fechtunku, by czytać pod drzewem za Durham House. Gdy ojciec przyłapał go na tym postępku i zagroził surowymi konsekwencjami, G popędził wciśniętą między pola uprawne drogą byle dalej od Londynu i zatrzymał się dopiero na skraju mrocznego lasu.

G żył, by galopować. I galopował, by czuć, że żyje.

A teraz, po poniżeniu, jakim była zamiana w konia na oczach świeżo poślubionej żony, tkwił zamknięty w tym pokoju, uwięziony jak... jak zwierzę – pomyślał – którym jestem. Oto kolejna osoba w jego życiu, która będzie się za niego wstydzić.

Skoro tak przebiega pierwszy dzień jego „życia długiego i szczęśliwego”, wniosek nasuwał się sam: jego małżeństwo składać się będzie z czterech solidnych ścian, drzwi zbyt małych, by się przez nie przecisnąć, oraz okna zbyt wysoko nad ziemią, by nim wyskoczyć.

Wersy same ułożyły mu się w głowie.

*Nasiąkłe duchotą powietrze zawilgłe
I koń, co się nijak drzwiami nie prześlizgnie,
Lecz choćby framugę skruszył kopytami,
Ugrzęźnie w przedsionku – a więc wszystko na nic.*

Nie było to jego opus magnum.

EDWARD

– Edwardzie, kochanie – zaszcebiotała mistrzyni Penne, siedząca na krześle przy łóżku. – Jedz zupę, póki ciepła.

Podsunała mu łyżkę do ust, a on pozwolił się nakarmić. Lecz po przełknięciu pierwszego łyku odsunął głowę.

– No już, za nianię Sibby, za lorda Dudleya... – gaworzyła jak do niemowlęcia.

– Nie jestem głodny. – Miał wielką chęć przypomnieć jej, że jest królem, a nie dzieckiem, które może rozstawiać po kątach, ale nie czuł się na siłach wypowiedzieć tyle słów naraz. Opadł zrezygowany na poduszki i przygarnął bliżej do siebie emanującą kojącym ciepłem Pet, rozciągniętą wzdłuż jego ciała. Ogon suczki uderzył kilkakrotnie o pościel. Liznęła go po ustach i rzuciła tęskne spojrzenie z rodzaju: jak nie jesteś głodny, to ja chętnie pomogę. Ale Edward był zbyt zmęczony, by choć odwzajemnić spojrzenie.

– Sire – nie ustępowała niania. – Jeśli masz odzyskać siły, musisz jeść.

Wiedział, że ma rację, ale to nie ujęło nic z poniżenia, jakie odczuwał. Teżał z przerażenia, gdy wracał myślami do ostatniej nocy. Do chwili, gdy po weselu, w drodze do karety, nagle ugięły się pod nim nogi i zwałił się na błotnistą ziemię. Jeden ze służących bez trudu podniósł go do pionu, jakby nie ważył więcej od kurczaka, i niemal niósł go do samego powozu. Trzeba było pomóc mu wejść po schodach do sypialni. Od tamtej chwili leżał w łóżku. Przespał całą noc i większość poranka, ale gdy się obudził, czuł się zmordowany jak po polowaniu, jakby w ogóle nie zmrużył oka. A teraz jeszcze karmiono go jak małe dziecko.

Musiał przyznać sam przed sobą, że po prostu umiera.

Oczywiście wiedział o tym od dłuższego czasu, ale dotąd ta myśl była taka obca, taka nierzeczywista. A teraz siły opuściły go zupełnie i wiedział, że już nigdy nie wrócą. Coraz częściej męczyły go napady kaszlu, a stawy i plecy rwały nieustannym bólem. Nawet rozumowanie sprawiało mu trudność, jakby myśli musiały brodzić przez wypełniające głowę błoto.

Umieram.

I to tak szybko. Przecież ledwie tydzień temu mistrz Boubou dawał mu nawet rok życia.

Umieram – pomyślał tępo. Szybciej, niż się spodziewałem. Zupa nic tu nie pomoże.

– Sire... – błagała Sibby.

– Zostaw mnie – wymamrotał, a kiedy nie wstała dość szybko, powtórzył głośniej. – Zostaw mnie!

Pet uniosła głowę i zaczęła warczeć na staruszkę.

Mistrzynie Penne umknęła z komnaty, a Edward uspokoił Pet, kładąc dłoń na jej porośniętej gładką sierścią głowie. Ogon znów zbudził się do ruchu. Edward przymknął oczy i odtworzył pod powiekami przebieg ślubu i wesela Jane. Przypomniawszy sobie, jak stała w swojej sukni ślubnej, ociekająca złotem, srebrem i drogimi kamieniami, z włosami lśniącymi w świetle świec. Przypomniawszy sobie moment, w którym Gifford wlepił w nią wzrok, gdy Edward przyprowadził ją do ołtarza. W jego oczach dostrzegł zaskoczenie i typowo męskie zainteresowanie, zanim pan młody przywołał na twarz maskę kompletnej obojętności.

Zobaczywszy reakcję Gifforda, Edwarda ogarnęło przeświadczenie, że Jane odnajdzie się w tym małżeństwie, że może znajdzie w nim miłość.

W odróżnieniu ode mnie – rozbłysła w jego głowie ponura myśl.

Przypomniawszy sobie dotyk drobnej i zimnej dłoni przyjaciółki w zagięciu jego ramienia, gdy prowadził ją pośród świec.

Już nigdy nie poczuje dotyku kobiety.

A potem przypomniał sobie rumieniec, którym oblała się Jane, gdy Gifford uniósł jej głowę, by złożyć na jej ustach pocałunek.

Westchnął. Pet poruszyła się w pościeli i liznęła go w policzek. Odepchnął ją delikatnie, ale nie przestał drapać za uchem.

Ostatnie spędzone z Jane chwile przypadły na późny wieczór, gdy lord Dudley ogłosił, że nadszedł czas, by młoda para udała się „do łóżnicy”. Jane przyszła wtedy do niego, żeby życzyć mu dobrej nocy. Poznał po lśnieniu jej ciemnych oczu i sztywnym kroku, że jest wściekła i przerażona tym, co teraz nastąpi.

Skonsumowanie związku.

– Kochana Jane – szepnął jej Edward do ucha: – Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

– Jest pijany – syknęła w odpowiedzi. – Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze przed miesiącem miodowym skończy się lista grzechów głównych, którymi można go opisać. Nie dość, że zbereźnik, to na dodatek pijak. Birbant. Ochłaptus. Moczymorda. Alkoholik...

– Znajdziesz w nim w końcu coś, za co go polubisz – przerwał jej i pocałował w policzek. – Bądź szczęśliwa, kuzynko. Bądź szczęśliwa dla mnie.

A potem Gifford zaprowadził ją do sypialni.

Nie wspominając już o tym – snuł czarne myśli Edward – że już nic w życiu nie skonsumuję. I umrę jako prawiczek.

Dopiero wtedy poczuł się przygnębiony.

Skrzypnęła podłoga gdzieś nieopodal łóżka. Otworzył oczy. Stał nad nim mistrz Boubou, a za jego plecami w świetle dochodzącym z korytarza król rozpoznał nieomylnie kontur nosa lorda Dudleya.

Doktor ujął rękę Edwarda, wyczuł puls i skrzywił się.

– I co? Dobre wieści? – uśmiechnął się Edward, rozbawiony własnym żartem, a potem zaczął kaszleć.

– Obawiam się, że nie, Wasza Wysokość – odparł Boubou, gdy atak minął. – Zdaje się, że wręcz przeciwnie. Pogorszyło się Waszej Wysokości. Serce jest bardzo słabe. Wesele znacznie nadwyreżyło twoje siły.

Edward doszedł do wniosku, że choćby się waliło i paliło, musi towarzyszyć Jane na weselu. Być tam dla niej.

– Czy możemy coś na to poradzić?

– Przyniosłem pewien napar. – Boubou pomógł Edwardowi usiąść, a lord Dudley podał mu kielich ciemnego płynu, który smakował tak samo okropnie, jak pachniał. Zgniłe liście z nutą kopru. Ale gdy tylko poczuł napój na języku, zrobiło mu się lepiej, myśli rozjaśniły się w głowie i nie czuł już takiego zmęczenia.

– Pewnie nie obejdzie się bez upuszczenia Waszej Wysokości krwi – podjął Boubou ostrożnie, gdy Edward opróżnił naczynie.

Upuszczono mu już kiedyś krwi, gdy zachorował. Wzdrygnął się. Jego zdaniem kuracja w niczym nie pomogła, a wręcz jeszcze nadwątliła jego siły. Poza tym doznawał osobliwego niepokoju, obserwując misę wypełniającą się jego własną krwią.

– Nie – zdecydował. – Żadnego upuszczania krwi.

Boubou nie spierał się, choć Edward zaobserwował, że ostatnimi czasy bał się króla coraz mniej. Chłopak czuł się tym rozczarowany.

Lord Dudley minął lekarza i postawił na kolanach Edwarda tacę z podpórką do pisania, a następnie rozwinął na niej kartkę papieru.

Nagłówek głosił: *Poprawiony Dekret dot. Linii Sukcesji*, a pod nim widniały równiutkie rzędy liter, które pływały Edwardowi przed oczami.

– Co to ma być? – spytał król.

– Twoje królewskie rozporządzenie, Wasza Wysokość – wyjaśnił książę, gestem nakazując Boubou, by przyniósł pióro i kałamarz. – Rozmawialiśmy o tym, że wyznaczysz na swoich następców męskich potomków lady Jane Grey. Pamiętasz, królu?

Edward pamiętał jak przez mgłę.

– Ale zważywszy na gwałtowne pogorszenie się twojego stanu zdrowia – ciągnął Dudley – pomyślałem, że może rozsądniej byłoby jeszcze raz przemyśleć linię sukcesji.

Edward przez moment nie rozumiał, o co mu chodzi, a potem go olśniło.

– Bo sądzisz, że nie dożyję jego narodzin, tak?

Dudley milczał, wzrok miał skupiony na dokumencie. Edward zmrużył oczy, by odczytać kaligrafowane pismo. U góry dokumentu znajdował się jego oficjalny tytuł: Edward VI, z Bożej łaski król Anglii, Irlandii i Francji.

(W tamtych czasach angielscy monarchowie lubili utrzymywać, że Francja rzutem na taśmę również należy do nich, choć władcy francuscy mieli inne zdanie na ten temat. Stosunki między oboma krajami były, jak widać, dosyć napięte).

– Nie sprowadziwszy na świat potomka – przeczytał, a potem przerwał, by nabrać tchu – orzekam niniejszym, iż w przypadku mojej śmierci wszelkie moje tytuły i piastowane urzędy mają przypaść w spadku lady Jane Grey oraz jej męskiemu potomkom. – Obrzucił Dudleya spojrzeniem. – Chcesz, bym uczynił Jane królową?

Dudley z namysłem pokiwał głową, mierząc króla wzrokiem z wierzchołka swojego olbrzymiego nosa.

Edward nie rozumiał właściwie, dlaczego czuje się zaskoczony.

– Ale ona jest kobietą – mruknął. – Korona nie może przypaść kobiecie, prawda?

– Mój syn nią pokieruje – odrzekł Dudley. – I ja także.

No cóż, ma to sens – pomyślał Edward. Lord Dudley od lat był jednym z jego najwierniejszych i najbardziej zaufanych doradców. Nigdy jeszcze go nie zawiódł.

Dudley wsunął mu pióro w palce.

Edward się zawahał. W komnacie było coraz duszniej. Zignorował protesty księcia i rozedrgany dzwignął się z łoża. Podszedł do okna i spojrzał na dziedziniec. Przez jedną krótką chwilę wydawało mu się, że widzi Jane, że słońce połyskuje w klejnotach na jej złotej sukni i rozpala jej włosy

czerwonym płomieniem. Ale kiedy mrugnął, już jej nie było.

Jane wyjechała na miesiąc miodowy – przypomniał sobie. – Nie ma jej tutaj.

Wtedy pozwolił sobie na poważnie rozważyć kwestię Jane w roli królowej. Jego mała, uparta, zaczytana, słodka jak cukierek kuzynka miała zostać królową Anglii.

Nie spodoba jej się to. Sama mu to kiedyś wyznała. Nie podobał jej się nadmiar reguł, których musiałyby przestrzegać.

Ale jakie miał wyjście? Maria fanatycznie była zapatrzona w nauki Nieskalanych i sztywna, jakby połknęła kij od szczotki. A Bess nie zdradziła się dotąd z własną opinią na temat Eđianów. Rzeczywiście, jedynym logicznym wyborem była pochodząca z królewskiego rodu Jane, chyba żeby wziąć pod rozwagę Marię Stuart.

Wzdrygnął się na samą myśl o tym.

– Królowa Jane – szepnął pod nosem. – Królowa Jane...

Nawet ładnie brzmiało. Jane będzie dobrą królową. Była wykształcona – zdaniem niektórych nawet zbyt wykształcona jak na kobietę. Była mądra. Miała kręgosłup, a więc nie pozwoli doradcom robić sobie wody z mózgu. Jane nadaje się na królową, sprawdzi się znakomicie, był tego pewien. Nawet jeśli płeć się nie zgadza. Powodowany niespodziewanym sentymentem wyobraził sobie Jane mieszkającą w jego pałacu, zajmującą jego komnaty, spożywającą posiłki przy jego stole, czytającą księgi z jego biblioteki.

Noszącą jego koronę.

– Czy coś nie tak, sire? – ponaglił go Dudley. – Czy słabo Waszej Wysokości?

– Nie. Zgadzam się – oznajmił Edward.

Dudley postawił tacę na pobliskim stoliku, a Edward w najwyższym skupieniu złożył podpis w rogu. Książę pochylił się nad nim, by wylać wosk u spodu dokumentu i pomóc Edwardowi opatrzyć dekret pieczęcią za pomocą pierścienia, który król miał na palcu. Gdy wosk zastygł, Dudley sam podpisał dekret jako świadek, a następnie w jego ślady poszedł doktor Boubou. Dudley odczekał, aż pieczęć wyschnie, a potem zwinął dokument.

Zmęczenie znowu opadło Edwarda. Wrócił do łoża i zanurzył się w poduszkach. Zamknął oczy. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie kuzynkę z jego koroną na skroniach. Ten obraz zawisł mu przed oczami na dłuższą chwilę.

Czy on właśnie uczynił Jane najpotężniejszą kobietą w Anglii?

Owszem, to właśnie zrobił. Spodobała mu się ta myśl. A jednak coś nie dawało mu spokoju. Jakaś wątpliwość. Droбина zmartwienia. Poczucie, że coś nie jest do końca, jak być powinno.

Próbował to zignorować. Gdy zaburczało mu w brzuchu, doszedł do wniosku, że niepokój to rezultat wycieńczenia i głodu. Naprawdę powinien coś zjeść. Szkoda, że Sibby zabrała ze sobą zupę.

Otworzył oczy, by poprosić Dudleya, by po nią posłał, ale zamknął usta, gdy zobaczył księcia stojącego z Boubou przy oknie, przez które sam przed chwilą spoglądał.

– A więc zrobione – rzekł książę cicho.

– Tak – potwierdził smętnym tonem Boubou. – Zrobię, jak ustaliliśmy.

Po kręgosłupie Edwarda popęzł zimny dreszcz. Musiał wydać z siebie jakiś dźwięk, bo obaj mężczyźni obrócili się w jego stronę i utkwili w nim wzrok. Edward szybko zawarł powieki i uspokoił oddech.

– Już niedługo – powiedział Boubou z przeciwnego końca komnaty. Zatrzeszczały zamykane drzwi. – Dzień, najwyżej dwa.

Edward miał wrażenie, jakby spadł na niego głęboki cień.

– Słodkich snów, Wasza Wysokość – rozległ się życzliwy głos lorda Dudleya, a jego palce odgarnęły kosmyk włosów z rozpalonego gorączką czoła Edwarda. Chłopak nie poruszył się, ale poczuł, jak w piersi leżącej obok niego Pet wzbiera warknięcie.

Poruszył palcami w jej sierści, chcąc ją uspokoić.

Lord Dudley odwrócił się i wyszedł pospiesznie z komnaty. Dźwięk jego obcasów na schodach niósł z sobą jakąś nieokreśloną pilność. Edward otworzył oczy, a Pet wydobyła z siebie ciche, rozzłoszczone warknięcie.

– Cicho, cicho – szepnął.

Okręciła się na grzbiet, żeby podsunąć mu brzuch do podrapania. Poczochrał machinalnie, próbując zebrać myśli i dojść do tego, co właściwie przed chwilą usłyszał.

Zrobione. No cóż, podpisał dokument, to pewnie o to chodziło.

Tyle że potem Boubou powiedział, że coś zrobi, a później, że coś ustalili. Edward nie miał pojęcia, co to może znaczyć.

Słowa późniejsze zmartwiły go najbardziej: już niedługo. Dzień, najwyżej dwa.

Już niedługo.

Był całkiem pewien, że mówili o jego śmierci.

*

Zapadł w sen i spał, dopóki parę godzin później nie wróciła Sibby. Tym razem przyniosła mu talerz ciasta jeżynowego z górą bitej śmietany.

Aż mu ślinka pociekła.

Nabita na widelec porcja już wędrowała do jego ust, gdy nagle Pet obnażyła kły i zaczęła warczeć. Edward spojrzął na nią, nie poznając swojej ulubienicy, a ta niespodziewanie rzuciła się na ciasto.

Tak go to zaskoczyło, że upuścił widelec. Sibby, nie mniej zdumiona, upuściła talerz, który roztrzaskał się na podłodze.

Sądził, że Pet zliże ciasto z podłogi (a niech to, powinien był dać jej trochę mięsa z zupy), ale suczka, zupełnie niezainteresowana ciastem, wskoczyła pomiędzy Edwarda a Sibby, łyskając kłami zza podniesionych chrap, zjeżona i wściekła. Odgłos dochodzący z jej gardła mógłby należeć do o wiele większego zwierzęcia.

Niańka wybałuszyła na nią oczy.

– Ten pies zwariował – syknęła i zachłysnęła się powietrzem.

Edward nie mógł odmówić jej racji. Pet wyglądała nie jak kanapowy piesek, tylko ogar, który zwęszył ofiarę.

– Wycofaj się powoli – poradził służącej. – A jak miniesz drzwi, pędź biegiem do Petera Bannistera, psiarza. Sprowadź go tutaj. Będzie wiedział, co zrobić.

– Nie mogę cię tu zostawić, panie.

– Pet nic mi nie robi – zapewnił ją Edward, choć sam wcale nie był taki pewien. Jego pewność plasowała się gdzieś na poziomie siedemdziesięciu pięciu procent. Ale na Sibby podziałało; kobieta wykonała trzy pospieszne kroki wstecz i zniknęła z komnaty.

Pysk Pet wygładził się i usiadła. Wciąż ani trochę nie zainteresowana ciastem. Przypominała Edwardowi kamienną statuetkę lwa, którą kazał wykonać ojciec, by ozdobiła królewskie ogrody. Suczka zastygła w tej samej pozycji co wielki kot: grzbiet prosto, łeb wysoko, uszy na sztorc.

Strzegła go, zorientował się. Ale przed kim? Przed Sibby?

Wkrótce dosłyszał kroki z klatki schodowej. Pet wstała i zamerdała ogonem.

Do pomieszczenia wpadł Peter Bannister. Najpierw ogarnął wzrokiem Edwarda w pogniecionej piżamie, bladego i wycieńczonego, sprawdzając, czy Pet nie wyrządziła mu krzywdy. Uklęknął przy suczce, a ta polizała go po

twarży, potem zaskomlała dojmująco i ponownie spoczęła przy łożu Edwarda.

– Już dobrze, dobry pies – mówił spokojnie Peter. – Już dobrze, wyłaż.

Wyłaż? – zdziwił się Edward. – Wyłaż skąd?

Pet pisnęła żałośnie.

Peter cofnął się do drzwi i zamknął je na skobel, a potem skupił uwagę na psie.

– Już dobrze, zrób to.

– Zrób co? – zapytał zdyszany Edward. – Ma ci podać łapę?

Pet fuknęła.

– Wiem, że powiedziałem ci wcześniej, że nie wolno ci tego robić w pałacu – kontynuował psiarcz, jakby najzwyczajniej w świecie rozmawiał ze zwierzęciem. – Ale teraz mówię ci, że wszystko gra.

Kolejne piśnięcie.

– Petunia – zezłościł się Peter. – Na litość boską, skup się, co?

Pet wstała i oparła przednie łapy na łożku, wyciągając szyję w tył, jakby się przeciągała. Błysnęło oślepiające światło. Edward zamknął oczy, które zabolowały, jakby spojrział w słońce.

A gdy je otworzył, stała przed nim naga kobieta.

Szczęka opadła mu do ziemi.

Peter bez słowa okrył ją jednym z futer z łoża. Dziewczyna wyglądała na oszołomioną.

– Dajmy jej chwilkę – powiedział psiarcz, widząc, że król wciąż nie może domknąć ust. – Zawsze tak ma po przemianie – wyjaśnił, jakby było to coś dla Edwarda oczywistego. – Zwłaszcza po tak długim trwaniu w formie psa.

Dziewczyna potrząsnęła głową, jakby próbowała zebrać myśli. Jej długie jasne włosy opłynęły kaskadą krągłe ramiona.

– Co to znaczy druga opinia? – spytała, dziwnie waząc słowa.

– Druga opinia? – powtórzył Peter.

Dziewczyna odwróciła się do Edwarda i skierowała ku niemu swe piwne oczy, a on w tej chwili pojął, że ma przed sobą Pet. Petunię, swoją suczkę. Ta dziewczyna to Pet. Eđianka, ani chybi. I to golotka jak ją Pan Bóg stworzył.

Opamiętał się i zamknął usta.

– Jak jest jedna, to po co druga? – spytała ponownie, przysuwając się bliżej. Najwyraźniej zupełnie nie peszył jej fakt, że miała na sobie tylko futro.

– Dopiero co drapałem cię po brzuszku – wypalił Edward.

Przechyliła głowę.

– Chcesz podrapać mnie po brzuszku?

– Trochę odzwyczaiła się od ludzkiej formy. – Peter wyraźnie pokraśniał.
– Cały czas mówisz, że chcesz drugiej opinii – powiedziała dziewczyna imieniem Pet. – Coś nie tak z pierwszą?

Ale Edward prawie jej nie słyszał. Był zbyt zajęty myśleniem. Sypiam z tym psem od tygodnia. Ciało przy ciele. Mój pies to, jak się okazuje, naga dziewczyna. Naga. Dziewczyna. Naga jak do rosołu.

– To znaczy, że Jego Wysokość chce zasięgnąć porady drugiego lekarza. Chodzi o to, żeby się upewnić, że ten pierwszy ma rację – wyjaśnił Peter.

Pet kiwnęła głową, a potem zamilkła na kilka uderzeń serca.

– Ja uważam – wyrzekła ostrożnie – że ktoś podaje Waszej Wysokości truciznę.

To wyrwało Edwarda z rozmyślań o psach zmieniających się w nagie dziewczęta.

Pochyliła się i nabrała trochę ciasta ręką, przytrzymując futro drugą. Podniosła do nosa i powąchała.

– Zły zapach – orzekła. – W jeżynach. Zły, zły zapach.

Podsunała ciasto Peterowi, który też powąchał, a potem się skrzywił.

– Tak – powiedział. – Coś tu źle pachnie. Dobra robota, córuś.

Dziewczyna imieniem Pet uśmiechnęła się, a Edwardowi stanęła przed oczami suczka, którą wołał Pet, machająca ogonem. Ogarnęło go dziwne uczucie, jakby śnił najdziwniejszy i najbardziej nieprzyzwoity sen.

– Czy ja dobrze rozumiem? Twierdzicie, że ktoś dodał trucizny do mojego ciasta jeżynowego? – upewnił się.

– Nie ktoś – poprawiła go rzeczowo Pet – tylko niańka Waszej Wysokości.

– Mistrzynie Penne?

Potaknęła skinieniem.

– Jej ciało jest sztywne od kłamstwa. Cała cuchnie strachem. Obserwowałam ją. To ona dodaje dziwny zapach do jeżyn Waszej Wysokości.

Ta dziwna dziewczyna oskarżała o próbę morderstwa kobietę, która zmieniała mu pieluchy, całowała go w skaleczony palec i śpiewała mu kołysanki. To było niemożliwe, ale Edward uwierzył. Uwierzył Pet. Kto wie, może tylko dlatego, że nie potrafił sobie wyobrazić, by ta prosta dziewczyna mogła kłamać w żywe oczy.

– Ale dlaczego?

– Bo płaci jej zły człowiek – wyjaśniła Pet.

– Jaki zły człowiek? – skrzywił się Peter.

– Ten z wielkim nochalem.

Edward potarł oczy dłońmi. Lord Dudley. A to oznaczało, że doktor też maczał w tym palce. Wszystkie kawałki układanki idealnie do siebie pasowały. To o tej rzeczy rozmawiali przy oknie. O zabiciu go. Żeby posadzić na tronie Jane. I oddać władzę w ręce Dudleya.

Westchnął. Ależ wyświechtana historia – stara jak świat! Zły, żądny władzy książę wyciąga łapska po koronę. Szwarzcharakter pełną gębą.

A skoro tak, to Edward był naiwnym, niepodejrzewającym niczego głupcem.

Który wydał Jane za syna szwarzcharakteru.

Oboje byli pionkami w politycznej grze.

Chciał zerwać się na nogi, chodzić po pokoju, wrzeszczeć, coś rozwalić. Chciał zamknąć kogoś do lochu. Wysłać na przesłuchanie do komnaty tortur. Albo od razu na szafot. Chciał zmienić się w lwa, wypełnić pałac rykiem i rozszarpać księciu gardło. Ale już sama myśl męczyła go ponad wyobrażenie, a potem, jakby w celu przypomnienia mu, jak bardzo jest słaby, dopadł go atak kaszlu. Kaszlał tak długo i tak mocno, że mrocзки zatańczyły mu przed oczami i przeraził się, że zemdleje.

– Czy Wasza Wysokość wciąż oddycha? – spytała cicho Pet, gdy kaszel zelżał i mógł usłyszeć jakieś inne dźwięki poza własnym rżeniem. Poczuł jej głowę na ramieniu, jej ciało przy swoim. Pocieszała go w taki sam sposób jak pod postacią psa. I wciąż pachniała jak zwierzę: oddech i woń sierści zmieszana z wonią jego własnych perfum.

– Czuję się dobrze – skrzeknęła, próbując podnieść się do pozycji siedzącej.

– Dobrze – powtórzyła, odklejając się od niego i obdarzając uśmiechem. – Tak, jesteś dobrym człowiekiem.

Peter odchrząknął.

– Wybacz mojej córce, panie. Jak już mówiłem, za dużo czasu spędziła pod postacią psa. – Ujął ją za rękę i odprowadził nieco dalej od łoża.

Zmarszczyła brwi.

– Czy zrobiłam coś nie tak, Wasza Wysokość?

– Nie, Pet – zapewnił, po czym zwrócił się do Petera: – To twoja córka?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Czy wszystkie psy w mojej psiarni to Eðianie?

– Nie, Wasza Wysokość. W psiarni jest tylko trzech moich synów i dwie córki, to wszystko.

– Och, tylko tyle? – rzekł cierpko Edward, ale nie mógł się zdobyć na uśmiezek.

– Moja rodzina służy tak Waszej Wysokości od pokoleń – powiedział Peter. – Strzeżliśmy twych włości, siedzieliśmy u twych stóp, chroniliśmy w domu i na polowaniu.

Słyszając przemowę ojca, dziewczyna imieniem Pet dumnie wypięła pierś (Edward złapał się na tym, że co rusz właśnie na tę część jej ciała spogląda).

– Nie wiedziałem – rzekł, otrząsnąwszy się. – Czemu nikt mi o tym nie powiedział?

Ile jeszcze rzeczy trzyma się przede mną w tajemnicy?

– Bo nikt nie wie, sire – wyjaśnił Peter, kręcąc głową. – Nawet ojciec Waszej Wysokości nie wiedział.

Dziewczyna imieniem Pet uśmiechała się do Edwarda.

– Wasza Wysokość ze wszystkich wybrała akurat mnie, bym towarzyszyła mu w pałacu. Wasza Wysokość mnie lubi najbardziej.

– W rzeczy samej – zgodził się łamiącym się głosem.

To było o wiele za dużo informacji naraz. Kręciło mu się w głowie. Jego myśli znowu tonęły w błocie. Opadł na poduszki i dwa razy głęboko zaczerpnął tchu. Zaburczało mu w brzuchu. Wciąż był głodny, ale jak mógłby teraz zaufać komukolwiek, kto poda mu jedzenie? Sibby, Dudley, Boubou – ludzie, na których liczył najbardziej, próbowali go zabić.

Był zły, ma się rozumieć, jednak bardziej bolały urażone uczucia. Ludzie, których miał za przyjaciół, okazali się wrogami, zawiedli jego zaufanie. Oczy go zapiekły.

– I co ja mam teraz zrobić? – wymamrotał.

Poczuł Pet przy ramieniu.

– Będę chronić Waszą Wysokość – powiedziała. – Przy mnie Wasza Wysokość będzie bezpieczny.

Poczuł na twarzy coś na kształt ciepłego wiatru, a gdy spojrzał w górę, ujrzał Pet pod postacią psa. Wskoczyła na łożo o ułożyła mu się w nogach.

Edward nie był pewien, czy to wypada.

JANE

Czyli jej mąż był koniem.
I nikt jej nie powiedział.

Ani matka, ani Edward, Gifford również się nie pokwapił. Dowiedziała się po fakcie, gdy zmienił się w konia w ich sypialni, a o resztę musiała wypytać służbę. Skandal!

Chodziła w kółko po korytarzu, przysłuchując się dobiegającemu z sypialni stukotowi kopyt. Ścisnęła żalose szczątki swojego biednego, schrupanego bukietu. Nie o to chodziło, że miała coś przeciwko małżeństwu z Eđianinem. Wręcz przeciwnie, akurat to wydało jej się ekscytujące. Problemem był dla niej drobny szczegół: pogarda, którą darzył ją jej małżonek. Oraz fakt, że wszyscy zataili przed nią jego niekontrolowane przemiany w konia.

No, właściwie nie mogła mieć pewności, że jej matka wiedziała o hippicznej przypadłości Gifforda, a on sam był pijakiem i bałamutem, jakże więc miałyby się po nim spodziewać choć słowa prawdy? Ale Edward! Edward wiedział na pewno. Powiedział, że stan Gifforda ją zaintryguje, ale Jane sądziła, że chodzi o jego zwyczaj nocnych schadzek z kobietami. Teraz rozumiała już, o czym mówił.

Mogłaby się zdobyć na wspaniałomyślność, gdyby rozegrał ją w ten sposób ktoś obcy, ponieważ nie spodziewała się po ludziach niczego innego niż machlojek i knucia. Ale Edward był przecież jej najbliższym przyjacielem. Ona nigdy nic przed nim nie zataiła, dlatego jego milczenie w tej sprawie było niewybaczalne.

I powinien o tym wiedzieć.

Stukot ustał i coś niewątpliwie mokrego plasnęło o podłogę. Poczowała smród dochodzący z sypialni.

Tak być nie może.

Cisnęła bukietem w drzwi i wymaszerowała z Durham House. Kazała przygotować kareteę i wieść się do pałacu.

Przez całą drogę ćwiczyła tyradę, którą uraczy Edwarda. Wyłoży mu wszystko jak na świętym kazaniu: że zawiódł jej zaufanie, że ją rozczarował, że zranił, choć przecież wyszła dla niego za konia!

Dopiero gdy wspinając się po pałacowych schodach, zauważyła uniesione brwi dworzan, uświadomiła sobie, że wciąż ma na sobie suknię i cały weselny rynsztunek. Suknia wisiała krzywo na jej piersi i biodrach, nakrycie głowy przekrzywiło się na bok, warkocze rozplotły się do połowy w czasie snu.

No cóż, wesele zakończyło się późno w nocy, a w tej przeklętej komnacie nie znalazła żadnego ubrania na zmianę, o koszuli nocnej nie wspominając. Miała spać nago w obecności tego... tego półkonia?

– Pani? – Pojawił się nos, a zaraz za nim lord Dudley. – Cóż za niespodzianka, widzieć cię tutaj o tak wczesnej porze.

Odrzuciła włosy na plecy.

– Jak zapewne sam się domyśliłeś, mój mąż jest w tej chwili niedysponowany.

– Ach, rzeczywiście. – Lord Dudley się skrzywił. – Dowiedziałaś się już, pani, o... przypadku mojego syna.

Przez jego twarz przemknęła sugestia wstydu, a Jane odgadła, że nie był przyzwyczajony do rozmowy o drugiej postaci Gifforda, a zatem nie był też przyzwyczajony do skrywania swoich prawdziwych uczuć odnośnie do niej.

Jane uśmiechnęła się i wyprostowała, nie mogąc się doczekać, aż odreaguje na kimś swoją frustrację.

– Pewnie, że się dowiedziałam. Cóż za wspaniałe stworzenie, nie sądzisz? Silne, majestatyczne. Od razu widać, że karmisz go, panie, tylko najwyższej jakości sianem. Jaką dokładnie dietę stosujecie? Konie to, o ile się nie mylę, roślinożercy, ale ludzie płci męskiej mogą być mięsożercami. Zakładam, że już dawno temu wzięłaś pod uwagę to, jak koński żołądek zareaguje na mięso zjedzone jeszcze pod postacią ludzką. Bardzo ciekawa, do jakich wniosków doszedłeś.

Jej teść wyraźnie pobladł.

– Akurat zastanawiałam się ostatnio, czy nie sprawić sobie konia. Pomyślałam, że może częściej wychodziłabym na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza. Wyobraź sobie tylko, milordzie: dosiadać konia, który rozumie każde polecenie, który wyczuwa niebezpieczeństwo nie tylko swym zwierzęcym instynktem, ale też dzięki ludzkiej inteligencji, a więc nie płoszy się na widok psów czy krów.

Zmieszanie na twarzy księcia przeistoczyło się w iście wilczy grymas.

– Gifford jest moim synem. Nie zwierzęciem.

– Wziąwszy pod uwagę jego eđiański dar oraz umiłowanie nocnej rozpusty, powinieneś chyba już dawno sobie uświadomić, że bycie twoim synem nie

wyklucza bycia zwierzęciem.

Lord Dudley, zamiast skulić się pod naporem argumentów, posłał jej niepokojąco śliski uśmiech.

– Mój syn może i ma skłonności do rozpusty, milady, ale wydaje się, że jego doświadczenie bardzo ci się przydało minionej nocy.

Jane natychmiast zrobiła się czerwona jak rak.

– Czy możemy się niebawem spodziewać dobrych wieści? Nie mogę się doczekać kolejnego wnuka.

Jane odniosła wrażenie, jakby jej twarz płonęła żywym ogniem, ale gdy książę się odwrócił z twarzą zastygłą w wyrazie wyższości, wykrzyknęła:

– To zaskakujące, że nie masz ich już setki!

Zaraz potem zorientowała się, że nie była to cięta riposta, jaką miała nadzieję go uraczyć, tylko gwóźdź do jej własnej trumny. Gdy lord Dudley zniknął za rogiem, skrzyżowała ramiona i ruszyła do małej komnaty z damską toaletką, gdzie miała zamiar poprawić urodę przed audiencją u Edwarda. Nie żeby Edward zwracał kiedykolwiek uwagę na jej wygląd, ale nie chciała, by ludzie gadali, że odbyła z mężem upojną noc poślubną.

Ładnych kilka minut doprowadzała suknię do porządku. Potem zabrała się do fryzury, do końca rozplatając misternie uplecione warkocze, które skołtuniły się w czasie snu. Zajęło to więcej czasu, niż się spodziewała, a gdy już jej się to udało, przeczesała włosy palcami, następnie zawiązała niski kok i przyszpiliła go do głowy spinkami.

Dokonawszy inspekcji w wielkim srebrnym zwierciadle z bogato zdobioną ramą, wzięła kurs na komnatę w wieży, gdzie jak wieść niosła, zadekował się Edward.

U stóp schodów stali dwaj strażnicy.

– Przeszłam do króla – oznajmiła.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, a jeden z nich, ten z jedną krzaczastą brwią, powiedział:

– Jego Wysokość śpi. Jeśli zechcesz, milady, poczekać w bibliotece, ktoś da znać, gdy tylko król się przebudzi.

Jane zmarszczyła brwi. Edward nie miał w zwyczaju spać do późna. Z drugiej strony, nigdy też ciężko nie chorował. Zeszłej nocy był taki blady, taki wycieńczony, że aż dziw, że wytrzymał do końca uczyty.

No cóż. Biblioteka to nie takie złe miejsce do czekania.

– Dajcie mi znać, gdy tylko król będzie gotowy mnie przyjąć. Mam do niego pilną, niecierpiącą zwłoki sprawę.

– Oczywiście, milady – zapewnił strażnik, wciąż stojąc na baczność, a potem znów zawiesił wzrok w przestrzeni.

Jane nie pozostało nic innego jak pójść do biblioteki, znajomego miejsca pełnego wspomnień wspólnie spędzonych z Edwardem chwil. Często wybierali jakiś temat, a potem gromadzili informacje, aż wygrywał ten, kto podał więcej faktów przed upływem godziny. (Przeważnie wygrywała Jane, o czym nie pozwalała Edwardowi zapomnieć. Te kilka razy, gdy przegrała, wciąż śniło jej się po nocach). To w murach biblioteki po raz pierwszy dowiedziała się o Eđianach, o ich prześladowaniach, o dziedziczości daru i o tym, że ani ona, ani Edward nie zostali pobłogosławieni umiejętnością zmiany kształtu. Edward, podobnie zresztą jak cały dwór, bał się ojca pod postacią lwa, ale Jane zawsze zazdrościła matce jej magii (choć jej dar spowity był tajemnicą).

Czy lady Frances wiedziała o Giffordzie? Zawsze wypowiadała się negatywnie o zmieniakach (choć sama była jednym z nich), więc może nikt jej nie powiadomił o końskiej postaci zięcia w obawie przed zerwaniem zaręczyn. (Niewielu ludzi zdawało sobie sprawę, jak desperacko lady Frances pragnie wydać córkę za męża. Wydałaby ją za wiecheć chrustu, gdyby tylko mogła).

Jane westchnęła i podeszła do działu z księgami o koniach: o karmieniu, hodowli, historii, anatomii, chorobach i zaplataniu ogona.

Spędziła kilka godzin zatopiona w starych tekstach opisujących proces wbijania gwoźdźcia w podkowę i kopyto, zachwalających zbawienne skutki przebywania wśród koni, a także przypominających o konieczności nie tylko szczotkowania sierści, grzywy i ogona, ale też wydłubywania kamyczków z kopyt.

Całe szczęście, że za te rzeczy odpowiadał pewnie Billingsly. Wątpiła, żeby Gifford zgodził się na podkucie, bo raczej nie chciałby się budzić z gwoździem w stopach. Musi go kiedyś o to zapytać.

Minęło południe, a Edward wciąż nie raczył się obudzić. Jane robiła się wściekle głodna (przez całą tę aferę z koniem w sypialni i palącą potrzebę zrobienia afery architektom jej nieszczęścia zapomniała zjeść śniadanie).

Odłożyła książki na miejsce i udała się w kierunku wieży. Wartę pełnili ci sami strażnicy.

– Czy król już wstał? – spytała.

– Obawiam się – odparł ten z jedną brwią, wciąż stojąc nieruchomo – że król nie przyjmuje dziś gości.

Jane skrzywiła się na te słowa.

– Mnie przyjmie. Powiedz mu, że lady Jane... – urwała. Teraz nazywała się lady Jane Dudley. Jane Dudley. Okropność. Przełknęła ślinę z wysiłkiem. – Powiedz mu, że jego kuzynka Jane chce z nim porozmawiać.

– Mamy rozkaz nikogo nie przepuszczać.

– Idź na górę i sam go spytaj. Mnie przyjmie. Jestem jego kuzynką. – Jane wzięła się pod boki i przeniosła ciężar ciała na lewą nogę. – Ja tu poczekam.

– Nikomu nie wolno dzisiaj odwiedzać króla, milady. Jeśli zechce cię widzieć, pośle po ciebie.

– To śmieszne! – zjeżyła się Jane. – Masz mnie natychmiast przepuścić. Sam zobaczysz, że król przyjmie mnie z otwartymi ramionami.

– Milady, jeśli wciąż będziesz nalegać, poprosimy kogoś, by odeskortował cię do wrót pałacowych.

Ogarnął ją ognisty gniew. Jak oni śmia stawać na jej drodze? To przecież jej kuzyn, jej...

A może... – zmitygowała się w myślach. – A może Edwardowi się pogorszyło i naprawdę nie chce nikogo widzieć? Ale dlaczego niby miałby się izolować ode mnie?

Wychodząc z pałacu – obeszło się bez eskorty – postanowiła napisać do niego list.

Zatrzymała się z jedną nogą na schodku karety i obróciła się, by spojrzeć na wieżę.

Za oknem przemknęła jakaś sylwetka. Czy to Edward? Niegdyś rozpoznałaby go z mili, lecz teraz nie mogła stwierdzić, czy cień należał do niego czy do kogoś innego.

Weszła do karety i kazała ruszać.

*

Jane spędziła popołudnie w Chelsea, unikając kłopotliwych pytań matki, podczas gdy Adella i regiment służących pomagały jej się pakować przed wyjazdem na miesiąc miodowy. Napisała kilka notatek, wysłała list do Edwarda, a potem przez godzinę namyślała się, które z pięćdziesięciu ksiąg powinna zabrać ze sobą na wieś. Zostaną tam przez kilka tygodni, a ona chciała być przygotowana na wiele spędzonego we własnym, nader przyjemnym towarzystwie czasu. Gifford pod końską postacią raczej nie będzie zabawiał jej rozmową.

I może tak będzie dobrze.

Niedługo przed zmierzchem wróciła karetą do Durham House i poszła do komnat męża. Zastała go tam wciąż pod postacią konia. Zdawało się, że spał. Łoże przesunięto pod ścianę, a w kącie znajdowała się wystudzona sarta... no cóż, tego, czego należało się spodziewać po dużym zwierzęciu uwięzionym cały dzień w małej komnacie. Przycisnęła chustkę do nosa i otworzyła okno, żeby przewietrzyć cuchnące pomieszczenie, i zajrzała do szafy. Znalazła tam koszulę i spodnie.

Zapaliła kilka świec, a potem siadła na łożu, czekając, aż słońce schowa się za horyzontem.

Ostatnim razem przemiana była nagła, towarzyszył jej oślepiający i niespodziewany błysk światła. Teraz jej mąż spał, stojąc nieruchomo. Jego gładka sierść lśniła w ostatnich promieniach słońca. Zamyśliła się. Jak to możliwe, że tak smukłe nogi dźwigają tak potężne ciało? I nie tylko dźwigają, ale też umożliwiają bieg, skoki i dokazywanie. Nie przesadziła, mówiąc lordowi Dudleyowi, że jego syn to wspaniałe zwierzę. Gdyby tylko Gifford umiał kontrolować przemiany. No cóż, ma szczęście, że ożenił się akurat z osobą, która sporo wie o Eđianach. Jeśli istniał ktoś, kto mógłby mu pomóc zawładnąć jego darem, była to właśnie Jane. I jej księgi.

Przemiana wyrwała ją z zamyślenia. Śpiący koń w rozbłysku światła przedzierzgnął się w śpiącego mężczyznę, leżącego nago na podłodze.

Zamrugął i zmarszczył nos, gdy dobiegł go zapach jego własnych odchodów. Jane pochylała się na łóżku i zamachała mu spodniami przed nosem.

– Dziękuję, Billingsly – wycharczał.

– Bardzo proszę – odparła Jane.

Gifford wybałuszył oczy, porwał spodnie i zasłonił krocze nogawką. Gdy dźwigał się na nogi, Jane siedziała na łóżku, zachowując niezmacony spokój.

– Ależ, milady, jestem nagi!

– Jak zwykle o tej porze, wszak już noc. Jedyne różnica polega na tym, że jesteś w swoich komnatach, a nie w cudzych. – Odsunęła się na przeciwny skraj łóżka, jak najdalej od niego i jego nagości, jak również od nieprzystojnie woniejącej sterty. – Czy jest jakiś powód, Giffordzie, dla którego nie powiedziałaś mi o swojej przypadłości?

– Proszę, mów mi G. – Poprawił uchwyt na spodniach, próbując je założyć, nie odejmując od krocza. – Wszyscy wołają mnie G.

– Pierwsze słyszę, by ktoś wołał na ciebie G. Nie licząc, rzecz jasna,

Billingsly'ego, który jest służącym. Gdybyś mu kazał, nazywałby cię Józefiną. I nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego spędziłam swoją noc poślubną, pielęgnując cuchnącego pijaka, a następnego ranka dzieliłam łożę z koniem?

– No, kiedy tak to ujmujesz...

– Wybacz, ale jak ty byś to ujął? – Pilnowała, żeby uśmiech nie przekradł jej się na usta, choć jego zmieszanie smakowało jak najprzedniejsze wino. Po nieprzyjemnym starciu z lordem Dudleyem i upartymi wartownikami mogła wreszcie się rozkoszować władzą nad swoim, pożałuj Boże, małżonkiem. Najwyższy czas, by w końcu coś poszło po jej myśli.

– Ująłbym to tak: spędziłaś noc poślubną z uroczo podchmielonym dżentelmenem, który nie chciał się narzucać swojej ewidentnie cnotliwej damie, ażeby...

Aha. Ta rzecz.

Jane spłonila się i wyjrzała za okno. Wybrała sobie jedną z tysięcy gwiazd na niebie i wpatrzyła się w nią z determinacją.

– Co się zaś tyczy hippicznego przebudzenia, nie wiem, w czym problem.

– Może w tym, że nikt mnie nie uprzedził? Zdaje mi się, że to kwestia, o której warto by wspomnieć poślubionej na resztę życia kobiecie. Ktoś mógłby wziąć mnie na stronę i powiedzieć, nie wiem, może: „Aha, słuchaj, twój przyszły mąż zmienia się w konia”!

Wzruszył ramionami.

– Czy ty w ogóle próbujesz kontrolować swoje przemiany? – spytała.

– To jest klątwa, milady. Kontrola odebrałaby jej cały sens.

– A cóż to niby za sens? – Może gdyby poznała naturę stanu Gifforda, mogłaby mu jakoś pomóc rozwiązać ten uciążliwy problem.

– A bo ja wiem?

– Giffordzie, nigdy nie oglądasz słońca. – Jakim cudem nie widział problemu? – Ja nie wiem, jakie mogą być plusy twojej końskiej klątwy, z pominięciem może sytuacji, gdy będę potrzebowała szybko gdzieś uciec.

– Nie dam na sobie jeździć – warknął. – Dobrze, że zaczęliśmy tę rozmowę. Może to doskonała okazja, żeby ustalić jakieś reguły obowiązujące w tym małżeństwie.

– Na przykład jakie? Czy zaczniemy od kwestii gatunku siana na obiad?

– Po pierwsze... – Uniósł palec wskazujący, upuszczając ubranie. Jane przez chwilę podziwiała sufit. Gifford podniósł spodnie i kontynuował, już bez wyliczania na palcach. – Po pierwsze: żadnego jeżdżenia konno. Po

drugie: żadnych cugli. Po trzecie: żadnych siodeł.

– No ale w takim razie po co posiadać konia?

– Ty mnie nie posiadasz!

Jane wzniosłaby triumfalny okrzyk, ale powstrzymała się, żeby nie myślał, że ma ją w garści.

– Milady – Gifford zamknął oczy i wypuścił powietrze z płuc. – Czy zechciałabyś opuścić komnaty, bym mógł się przyodziać?

Przekrzywiła głowę.

– Nie, nie wydaje mi się. Bo ja też mam kilka reguł.

Zgarbił się lekko.

– I... cóż to za reguły? – Czy ona dosłyszała w jego głosie wahanie? Niepewność?

– Po pierwsze: żadnego dotykania moich ksiąg. Po drugie: żadnego jedzenia moich ksiąg.

– Dlaczego – prychnął – miałbym jeść twoje księgi?

– Mój bukiet zjadłeś.

Wydawał się zaskoczony, jakby tego nie pamiętał. A potem przytaknął skinieniem.

– To prawda. Kontynuuj.

– Po trzecie: żadnego siana w księgach.

– Czy wszystkie twoje reguły dotyczą ksiąg? Chyba rozumiem dlaczego. Biorąc pod uwagę twoją życiową nieporadność, wcale mnie nie dziwi, że twoi najlepsi przyjaciele to papier w oprawie – powiedział, a potem przybrał taki wyraz twarzy, jakby zdumiała go jego własna nieuprzejmość.

Jane zmrużyła oczy.

– Pewien jesteś, że twoja eđiańska forma to nie osioł?

– Boki zrywać, milady. A skoro już przy tym jesteśmy – wskazał ją palcem – żadnych końskich żartów.

O nie, przecież sam podaje jej żart na tacy.

– Koń by się uśmieł, milordzie.

– Dość tego! – Rozejrzał się nerwowo po pokoju i porwał księgę ze stolika nocnego. Spodnie przechyliły się niebezpiecznie na bok, gdy ją otworzył. – Nie wspominałaś chyba nic o kładzeniu otwartych ksiąg grzbietem do góry?

Wypełniło ją uczucie paniki.

– Odłóż. Tę. Księgę. – Chciała na powrót wlepić oczy w sufit, bo chyba nie zdawał sobie sprawy, co wyłania się spod trzymany na słowo honoru spodni, ale nie mogła oderwać oczu od książki. Co, jeśli zrobi jej krzywdę?

Co, jeśli spełni swoją groźbę?

– Żadnych. Końskich. Żartów! – wycedził.

– Przyjmij moje przeprosiny, milordzie. Jeśli tylko odłożysz księgę – ale normalnie! – to dam ci marchewkę.

Wskazał ją księgą.

– Czy to był koński żart?

– Gdzie-e-e-e tam – zarżała.

– A to?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, do komnaty wparowała służąca w celu zmiany pościeli. Gdy zobaczyła nagiego Gifforda z portkami przyciśniętymi poniżej pasa, wściekle zarumienioną Jane oraz stertę porwanych przy transformacji minionego ranka ubrań, zachłusnęła się powietrzem i podniosła ręce do ust, po czym uciekła z wrzaskiem.

Na ustach Gifforda zagościł uśmiech.

– Pewnie myśli, że skonsumowaliśmy.

Twarz Jane płonęła żywym ogniem, gdy wyrwała mu księgę z palców.

– Mój panie, pozostawię cię teraz, byś mógł się przyodziać. Kareta już czeka, podobnie jak nasz miesiąc miodowy. (Określenie „miesiąc miodowy” było wówczas pojęciem zupełnie nowym i oznaczało miesięczny zapas miodu pitnego dla nowożeńców, nie zaś romantyczną podróż poślubną, ale ponieważ to dość delikatna kwestia, a młodzieży nie wolno rozpijać, będziemy udawać, że znaczy ono to, co obecnie).

Gifford ponownie zasłonił się ubraniem.

– A wraz z nimi – dodał – twoje księgi, jak mniemam?

– Nie obawiaj się. Zostawiłam nieco miejsca dla ciebie.

Wzięła wolumin i wyszła.

*

Jane nie wiedziała, kiedy Gifford zdążył się spakować, czy też może zrobił to za niego Billingsly, ale kufry jej męża stały już w przedziale bagażowym na dachu karety. Nie było tam dość miejsca na jej księgi, a więc musiała skonstruować niewielką ścianę z dzieł z zakresu religii, filozofii i rozmaitych nauk na siedzeniu pomiędzy sobą a Giffordem.

– Czy wszystkie są niezbędne? – spytał, gdy wszedł do środka i ujrzał książkową fortecę.

– Jedziemy przecież do waszej wiejskiej posiadłości, a widziałam, jak

w twojej rodzinie traktuje się książki. Założyłam więc, że nie będzie ich tam dosyć, bym miała co robić całe dni. – Poglaskała grzbiet najbliższej książki: *Analiza eđiańskiego malarstwa i jego wpływ na społeczeństwo*, tom trzeci.

– Ile zdążysz przeczytać, zanim dojedziemy? – Przesunął po nich bojaźliwym wzrokiem, jakby były jakąś armią wiedzy, gotową rzucić mu wyzwanie. Niektóre rogi były całkiem ostre.

– Ani jednej. – Odchrząknęła i wskazała latarnię, która rozścielała w karecie mętny poblask. – Jest zbyt ciemno, by czytać, a ja nie chcę zepsuć sobie oczu. Zamiast tego będę robić na drutach, aż zmęczone się na tyle, by przestało mi przeszkadzać, że siedzę uwięziona w karecie. Ja nie spałam za dnia. Ominął mnie ten luksus. Gdybyś rzeczywiście był uroczo podchmielonym dżentelmenem, nalegałbyś, bym dzisiaj odpoczęła, a podróż przełożył na rano.

– Ale rano będę koniem.

– I dobrze, przydasz się do ciągnięcia wozu.

– To byłoby wbrew regule numer dwa: żadnych cugli.

– Konie w powozie mają uździenice.

– Wyczytałaś to w książce?

Kareta drgnęła i potoczyła się długą, rozciągającą się w dal drogą.

– Nie, po prostu jestem bystra. – Kiepska riposta, ale na szczęście i tak nie słuchał (co tylko dowodziło, że Jane ma rację). Związał włosy w kucyk i złożył głowę na oparciu. Gdy minęli uliczną latarnię, blask podkreślił jego profil: doskonałe połączenie obłości wokół ust i ostry zarys nosa, nieprzyzwoicie długie rzęsy, którymi zatrzepotał, spojrzawszy jej w oczy.

Opuściła wzrok na robótkę na kolanach, starając się ukryć rumieniec za opadającymi kosmykami włosów. Był atrakcyjny, nie sposób mu tego odmówić. A ona była jego żoną. Więc mogła patrzeć. I powinna.

A przynajmniej dopóki nie zauważy. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było łechtanie jego miłości własnej.

Jechali w ciszy, jeśli nie liczyć klikania drutów, ale gdy podniosła robótkę pod światło, zobaczyła, jak bardzo odbiega ona kształtem od normalnego szalika. Splot był rzadki i gęsty w niewłaściwych miejscach, szalik przedstawiał istic żaloszny widok. Przypominał przejechanego gryzonia.

– Co to ma być? – zainteresował się Gifford, usiłując doszukać się jakiegoś kształtu w jej robótkce.

– Nie twoja sprawa. – Opuściła robótkę i zaczęła pruć cały rząd oczek, jedno po drugim, anihilując niewydarzony szalik z o wiele większą finezją, niż powołała go do życia. (Miała doświadczenie w pruciu – mogłaby spruć całe

szafy ubrań. Ktoś byłby gotów pomyśleć, że taka praktyka w pruciu oznacza taką samą praktykę w dzierganiu, ale zapomniałbyś wówczas, czytelniku, o jednym drobnym szczególe – mówimy mianowicie o Jane).

Spróbowała ponownie, tym razem licząc oczka prawe i lewe oraz ostrożnie przeciągając przez nie włóczkę, tak by nie zrobiły się haczyki. Pod koniec rządka szalik wyraźnie utył, jego kraniec znaczyło dwanaście luźnych nitkowych pętelek.

– Chyba idzie ci coraz lepiej. – Gifford wsparł łokieć na barykadzie z książek. – Wciąż nie jestem pewien, co to ma być, ale wygląda lepiej niż kilka minut temu.

Zgromiła go wzrokiem.

– Wygląda jak koń, no nie? A fe, ohyda.

– Ejże!

– Co mówisz? Lejce? – Dźgnęła go drutem w przedramię. – Złamałeś dwie reguły: dotknąłeś moich książek i sam chciałeś założyć sobie uprząż.

Gifford schował rękę, a ona odłożyła druty.

– A więc jest coś, w czym nie jesteś dobra – zadumał się Gifford. – Nie wydajesz się osobą, która będzie robić coś, w czym nie jest od razu świetna, więc skąd ten pomysł z dzierganiem?

– Trening czyni mistrza – odpowiedziała sztywno. – I chciałam zrobić coś dla Edwarda. Teraz często marznie...

Gifford skrzywił się na te słowa.

– Jesteście z królem bardzo blisko, prawda? – spytał niemrawo.

– Tak, to prawda.

– Właściwie jak blisko? Tak jak starzy znajomi z dzieciństwa? Jak byli kochankowie? Jak przyjaciele od serca, co nie mogą bez siebie żyć...?

Jane nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Na szczęście wyzwolił ją od tej niezręcznej rozmowy dobiegający gdzieś z zewnątrz wrzask.

– Co to było? – Jane przypadła do okna powozu. – Woźnica, stać!

– Krzyki oznaczają niebezpieczeństwo, milady. – Gifford sięgnął do niej, ale jego ręka odbiła się od muru książek, a potem karetę się zatrzymała i Jane wyskoczyła na zewnątrz.

Zakasała sukienkę i pognęła tam, skąd dobiegał dźwięk, potykając się o koleiny drogi biegnącej przez wzgórze ponad rozległą połacią pól.

– Milady! – zawołał za nią woźnica, a zaraz po nim Gifford.

Ale Jane nie zatrzymała się, dopóki nie znalazła się daleko przed karetą. Przystanęła na wzniesieniu, z którego widać było duże pole. Po jego drugiej

stronie kręciła się w kółko przerażona krowa.

Księżyc stał wysoko na niebie, widziała więc to, co działo się w dalekim kącie pola: garstka ludzi wygrażała kijami, widłami i innymi narzędziami rolniczymi, próbując odpędzić nacierającą na nich sforę wilków.

– Jane, co ty wyrabiasz? – Gifford dobiegł do niej i zobaczył to, co ona. – Co tam się dzieje, na Boga?

– Gifford, musisz coś zrobić.

– Co niby? – Jego ściągnięta twarz była blada w świetle księżyca. Ani na moment nie oderwał oczu od stada wilków.

– Uratuj tych ludzi. Wilki próbują zagryźć im krowę. – Większość tłumu poniżej stanowili dorośli obydwu płci, ale były też wśród nich na oko dziesięcioletnie dzieci.

– A jak twoim zdaniem miałbym pospieszyć im z pomocą? Mam rzucać w wilki księgami? Zasłonić krowę własnym ciałem? – Patrzył na nią spode łba, kiedy jedno z dzieci zanosło się krzykiem i zaczęło uciekać przed sforą. Przywódca stada zaskowyczał i dwa wilki dały susa w jego kierunku. Chłopiec zwinął się w kłębek, żeby chronić głowę i szyję, podczas gdy zwierzęta zaczęły szarpać jego ramiona. Jeden mężczyzna cofnął się i zaczął biec w jego stronę, a wilki wykorzystały zamieszanie i rzuciły się na całą grupę, zmuszając ją do obrony. W tym czasie reszta sfory okrążyła wieśniaków i zaczęła się zbliżać do muczącej żałośnie krowy.

– Jeśli ty im nie pomożesz, ja to zrobię! – Jane cofnęła się na środek drogi i zaczęła szukać wzrokiem lżej nachylonej skarpy, ale znalazła tylko kilka wystających kamieni, po których mogłaby spróbować zleźć na dół.

Gifford biegł za nią, a woźnica wyglądał, jakby nie wiedział, czy zostawić karocę i uciec (w lesie mogą kryć się zbrojcy, a ochrona lady i lorda oraz ich dobytku należała do jego obowiązków) czy zostać na koźle, gdzie było względnie bezpiecznie.

Jane dopadła do wystających kamieni i wyciągnęła nogę, szukając stopą pierwszego. Wilki tymczasem dorwały się już do krowy; jej wizg brzmiał głośno w nocnej ciszy. Ktoś wrzasnął:

– Tak kończy ten, kto zadziera z nami!

Jane uzmysłowała sobie, że to nie jeden z chłopów, tylko jakiś lepiej odziany mężczyzna biegnący razem z wilkami. Po chwili dostrzegła wokół niego innych mężczyzn, uzbrojonych w miecze i łuki.

Dlaczego ludzie napadali na wioskę razem z wilkami? Nie miała pojęcia, co o tym myśleć.

Łzy zamazały jej świat przed oczami, na szczęście dosięgnęła stopą pierwszej skały. Spełzła kawałek niczym wielki pająk, lecz nagle pochwyciły ją czyjeś silne ręce i pociągnęły z powrotem w górę.

Ludzie krzyczeli wniebogłoso, ale wilki zostawiły dziecko i innych wieśniaków. Krowę rozszarpały na strzępy. Czterej mężczyźni, którzy nadbiegli od strony wilków, odciągali gdzieś jej zagryzione truchło.

– Już po wszystkim. – Gifford wciąż trzymał Jane. Jego dłonie zdawały się wypalać dziury w jej skórze opinającej zebra.

Gapiała się ponad jego głową na rozgrywającą się w oddali scenę. Chłopi dokonali przegrupowania, jedni pocieszali drugich. Ich głosy niosły się na wietrze.

– Już trzecia krowa w tym tygodniu.

– To Wataha. Wybić ich trza, inaczej nie przeżyjem zimy.

– Dziaćki z głodu pomrą.

Z gardła Jane wydobył się żalospny jęk. Biedne dzieci!

– Żyje, smark? – zawołał ktoś, patrząc na ludzi skupionych wokół pogryzionego malca. Jane wstrzymała oddech. Nawet Gifford nadstawił uszu.

– Rany nie są głębokie. Jeśli nie wda się zakażenie...

Ich głosy ucichły i Jane nie usłyszała już ani słowa.

Gifford postawił ją na ziemi i cofnął się.

– Tędy, milady. Wracamy do karety.

– Ale musimy im pomóc...

– Już po wszystkim. Co mozesz dla nich zrobić? Zajmą się sobą nawzajem. – Wskazał w kierunku powozu, gdzie woźnica przestępował z nogi na nogę. – Nie masz czasem szalika do skończenia?

W takiej chwili zebralo mu się na żarty? Gifford Dudley najwyraźniej gwizdał na honor i odpowiedzialność.

Jane objęła się ramionami i raz jeszcze spojrzala na chłopów. Kilku oddalało się z pogryzionymi dziećmi na rękach, inni stali na polu i głowili się nad lepszym ogrodzeniem. Gifford miał rację – niewiele może dla nich zrobić. Napaść już się skończyła. Wilki i ci dziwni ludzie zniknęli razem z zagryzioną krową.

– Dobrze.

– Dziękuję. – Gifford podsunął jej ramię, jakby naprawdę miał się za dzentelmena. Jane odskoczyła od niego i poszła sama, choć całe jej ciało drżało od adrenaliny i nerwów. To dziecko cudem uniknęło śmierci. Chłopi mogą cierpieć głód.

Gdy usiadła w ciepłej karecie, obok ksiąg i żalosnej robótki, czuła tylko chłód.

Ci ludzie byli w tarapatach. Potrzebowali pomocy. A Gifford nie zrobił zupełnie nic.

GIFFORD

Nic nie mógł zrobić. Gdyby nie powstrzymał Jane, tylko zrobiłaby sobie krzywdę. G był silny, a przynajmniej tak mu się wydawało, ale nie zdołałby przecież rozpedzić sfory wilków.

A to nie była zwykła sfora. Była to część eđiańskiej Watahy. G był tego pewien.

Nie miał z nimi żadnych szans. Każdy Anglik słyszał o Watasze. Dla Eđianów byli kimś na kształt Robin Hooda, który odbierał zwykłym, a dawał zmiennokształtnym to, czego odmawiano im od lat. Reszta miała ich za okrutnych, bezlitosnych i przebiegłych zbójów. Nawet jeśli G udałoby się odeprzeć atak i ująć z życiem, uratowanie jednej małej osady nie zmniejszyłoby w sposób znaczący liczby biednych i głodujących.

Westchnął, drapiąc zdobiony deseniem złotych liści parapet. Kilka połyskujących płatków opadło mu na dłoń. Czegóż by nie zrobili ci nieszczęśni chłopci za garść tego lśniącego metalu. Tymczasem dla ojca G i podobnych mu możnych złoto było tylko ozdobą. G nigdy nie zaznał prawdziwego głodu. Bywał głodny, oczywiście, ale zawsze miał co włożyć do ust. Jednak widywał ludzi biednych, obdartych i głodujących. Pod postacią konia przemierzył okolicę wzdłuż i wszerz, a im dalej się zapuszczał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że cały kraj chodzi głodny. Tylko co może na to poradzić jeden człowiek?

Nic – wywnioskował. Nikt niczego nie zmieni w pojedynkę. Tak więc silenie się na szlachetność nie miało sensu.

Wóz podskoczył na wyboju, burząc mur z książek. G rzucił okiem na żonę, spodziewając się, że rzuci się na ratunek rozrzuconym tomiszczom, ale na jej twarzy malowała się nieruchoma obojętność. Zauważył, że jej pierś unosi się w nienaturalnym tempie, jakby dotąd nie mogła złapać tchu po niedawnych wydarzeniach. Skóra pod jej obojczykiem była naznaczona czerwonymi plamami.

G wziął butelkę wody, namoczył chustkę i podał żonie. Przez moment mierzyła go wzrokiem, a potem przyjęła ją i przyłożyła do wiotkiej szyi, do obojczyka, po czym przesunęła na kark. Zrobiła to tak wdzięcznie, że G postanowił opisać ten ruch w swoim wierszu o wydętych usteczkach

i krzywiźnie szyi.

*Ach, gdybym był chustką dzierzoną w twojej dłoni,
Pieściłbym twą szyję, pieścił skórę skroni...*

– Dziękuję – powiedziała, zwracając mu chustkę.

Pięknie wyglądała na tle skąpanego w księżycowej poświacie okna. Pomyśleć, że to stworzenie jest teraz jego żoną! Niezależnie od jej (błędnej) oceny sytuacji G uratował jej życie. W tej chwili czuł potrzebę strzeżenia jej, bronienia przed każdym niebezpieczeństwem. Jakiś romantyczny poryw sprawił, że zapragnął potajemnie wsunąć chustkę za koszulę, przycisnąć do serca. Raptem odkrył, że przysuwa się do niej.

Jane spojrzała na niego, zarumieniona.

– Sire, gdyby zechciał pan pozostać na swojej połowie siedzenia... Moje książki i tak już się gniotą.

Ach, no proszę. Oto i ona, chłodna i nieukontentowana lady Jane. Wymierzył sobie mentalny policzek, a potem kolejny i jeszcze jeden, po czym w wyobraźni przyłożył rękę do zaczerwienionej twarzy, upewniwszy się, że wybił sobie z głowy wszelkie romantyczne myśli. Chciał jej powiedzieć, że w karecie byłoby więcej miejsca, gdyby pozbyła się ksiąg, ale równie dobrze mógłby mówić matce, że w domu byłoby więcej miejsca, gdyby wyrzuciła dzieci na ulicę.

Uśmiechnął się uroczo do swojej lady, po czym wyrzucił chustkę przez okno.

Gdy karetka stanęła przed wiejską posiadłością Dudleyów, jego rozmyślania o Watasze zostały natychmiast wyparte przez złość na niepoprawną lady Jane.

*

Służący wyszli nowożeńcom na powitanie, wprowadzili ich do budynku i zaproponowali wodę i wino (żadnego ale dla G). Następnie wnieśli kufry i skrzynie do specjalnie w tym celu przygotowanego pokoju, po czym (jak nakazywała tradycja przy pierwszym spotkaniu z młodą parą, a już zwłaszcza w świetle plotek o porwanych ubraniach w sypialni), pozostawili ich samych sobie. By mogli robić to, co nowożeńcy robią nocą. Podczas miesiąca miodowego.

Tym czymś, sądząc po zachowaniu Jane, było gapienie się przez okno i liczenie gwiazd.

Pewnie wciąż dąsała się za to, że G powstrzymał ją przed rzuceniem się na pożarcie wilkom. Co ona chciała tam działać? Udusić je spódnicą? Zanudzić na śmierć tym, co wyczytała z drugiego tomu *Ziół i przypraw hiszpańskich gór*? Równie dobrze mógł od razu iść spać. Gdy jednak zajrzał do sypialni, w środku zastał dwóch służących.

– Dopiero przygotowujemy alkowę – poinformował go jeden z mężczyzn.

G wywrócił oczami, gdy służący zatrzasnął przed nim drzwi. Pewnie jego ojciec kazał służbie zrobić wszystko, by G i Jane spędzili razem jak najwięcej czasu. Niemal słyszał jego słowa: „Nie pozwólcie, by któreś wyszło samo z pokoju”.

Jane wciąż patrzyła przez okno. Chyba nawet nie zauważyła, że próbował wyjść. G był niemal pewien, że nawet wołami nie da się teraz zaciągnąć do sypialni, ale jeśli mają przetrwać miesiąc w tym domu, będą musieli zacząć się traktować przynajmniej po koleżeńsku. Trzeba coś zrobić z tą ciężką atmosferą, jaka zawisła między nimi. A gdyby tak przełamać lody uprzejmością?

– Potrzebujesz czegoś, milady? – zagaił.

– Mam służących od tego. – Nawet się nie obejrzała.

G westchnął ciężko i opadł na sofę.

– Czy ja cię czymś wkurzam? Poza oddychaniem i tym, że zostałem zmuszony, by cię poślubić?

Teraz się odwróciła.

– Na te dwie uciążliwości nie masz wpływu, a ja nigdy bym się na ciebie nie złościła o rzeczy, na które nie masz wpływu.

– Więc o co chodzi? Czymże cię uraziłem, droga żono? – rzekł kpiącym tonem.

Zacisnęła pięści.

– Jesteś zapijaczonym rozpustnikiem, który... który... nie umie utrzymać konia w stajni!

G aż podskoczył.

– Szczerze mówiąc, to nie tam go trzymam.

– Na żarty ci się zebrało! – zaperzyła się Jane. – A ja słyszałam wszystko od Stana, który wziął mnie za jedną z twoich... przyjaciółek.

G uniósł dłonie.

– Milady, bardzo cię proszę, miotajmy w siebie po jednym zarzucie naraz. –

Wskazał krzesło. Skrzyżowała ramiona na piersi. – Proszę – dodał.

Usiadła, ale na innym krześle.

Chyba najlepszą strategią będzie powiedzenie jej prawdy.

– Najpierw zajmijmy się moim domniemanym pijactwem. Otóż przyznaję, że tej nocy, gdy połączyły nas święte więzy małżeństwa, byłem wstawiony, ale był to jednorazowy – no, powiedzmy raczej, że nieczęsty – wybryk z mojej strony, który wziął się stąd, że z pewną niechęcią wchodziłem w związek małżeński z damą, o której wiele słyszałem, ale której nie miałem zaszczytu poznać.

– A to „wchodzenie w związek” kładło kres twojej rozwiązłości, dobrze rozumiem?

– Ach, i tutaj dochodzimy do drugiego zarzutu: mojej rzekomej rozpusty. – G umilkł i zastanowił się, czy powiedzieć Jane o wieczorkach poetyckich. Zdecydował się tego nie robić. Już teraz musiał znosić te jej końskie suchary i kpiny. Pewnie wybuchłaby śmiechem, gdyby jej wyjawiał, że trawi dnie na układaniu wierszy o angielskiej wsi, a nocami spisuje je i wygłasza. – Owszem, lubowałem się w towarzystwie kobiet.

– Ha! – Jane wycelowała w niego palec, jakby przebiegle skłoniła samego Aleksandra Wielkiego, by przyznał się do przerostu ambicji.

– Tak, tak – rzekł G, unosząc pojednawczo ręce. – Kruszeję pod młotem twych żelaznych argumentów, milady. Czy mogę już mówić dalej?

Triumfalne skinienie.

– Dnie spędzam pod postacią konia. Nie bawiłem na dworze od lat. Tyleż samo czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz czułem na skórze promienie słońca. Nie sądziłem, że zostanę kiedyś czyjś mężem, skoro prowadzę ludzkie życie tylko połowicznie, i to wtedy, gdy większość ludzi sypia. Możesz sobie, pani, wyobrazić, jaki czułem się samotny. Więc tak, do momentu, gdy zostaliśmy zaślubieni, szukałem ukojenia w ramionach nieprzeliczonych...

– prostytutek – weszła mu w słowo. – Nazywajmy rzeczy po imieniu.

– Pomimo mego upodobania do dam o wątpliwej reputacji dałem królowi słowo, że będę wiernym mężem.

Jej rysy złagodniały, ale tylko trochę.

– I słowa dotrzymałem.

Uniosła brwi.

– Hajtnęliśmy się dwa dni temu.

– Tak. Posłuchaj mnie, milady: wiodłem samotne życie. Musisz przyznać, że

trudno zdobyć przyjaciół, gdy żyje się tylko w nocy. I pomimo starań Króla Lwa wciąż pogardza się w tym kraju Eđianami.

Znów ściągnęła twarz.

– Omówmy tę kwestię. Masz magiczne zdolności, otrzymałeś ów przedwieczny dar, który jest przeznaczony dla najlepszych spośród nas. Ale nazywasz go klątwą.

– Milady, jesteś nadzwyczaj naiwna i beznadziejnie optymistyczna, jeśli myślisz tak o Eđianach.

– To żadna naiwność – zaprzeczyła. – Wyrobiłam sobie opinię na przestrzeni długich lat wnikliwych studiów.

– Studiowałaś przede wszystkim dzieła, które gloryfikują legendarnych Eđianów.

Zacisnęła usta i pokręciła głową.

– Czy przeczytałeś choć jedną książkę na ich temat?

– Nie. – Nie przepadał za literaturą faktu, preferował poezję, beletrystykę i teatr. Ale nie miał zamiaru się do tego przyznawać. Wstał i zbliżył się do niej. Górował nad nią. – Nie muszę czytać. Ja wiodę życie Eđianina. Powiedz mi, pani, co twoje ukochane księgi historyczne mówią o napaściach Eđianów na biednych chłopów? Czy rozdarcie całej społeczności dla kilku kęsów mięsa przysparza im chwały? Czytałaś o tym w swoich bezcennych księgach?!

G podniósł głos, czego nigdy dotąd nie zrobił w obecności damy. Zamknął oczy i odwrócił się, by ochłonać.

– To nie byli Eđianie – powiedziała Jane cicho.

– Ależ byli – zaprzeczył G. – Bo prawdziwe wilki nie włączyłyby do watahy zdziczałego psa, nie napadałyby na wioskę pospołu z ludźmi. To była eđiańska Wataha.

Jane zmarszczyła brwi.

– Wataha to plotka. Eđianie nigdy nie dopuściliby się tak niegodziwych czynów.

– Mylisz się, milady, i w tym właśnie leży twoja naiwność.

– Nie rozumiem cię. Jesteś Eđianinem, a jednak mówisz o Eđianach, jakbyś był Nieskalanym.

G nalał wody do dwóch kielichów. Był zdecydowany zachować spokój, choć rozmowa z żoną doprowadzała go do szewskiej pasji.

Podał kielich Jane.

– Nie gardzę Eđianami. Uważam po prostu, że przypadkowy magiczny dar nie czyni mężczyzny honorowym.

– Albo kobiety – dodała Jane.

Zamknął oczy, wypuścił powietrze.

– Albo kobiety – potwierdził. – Nie wybrałem tego daru. W jednej chwili kłóciłem się z ojcem i marzyłem o ucieczce, w następnej miałem cztery kopyta i ogon, a potem naprawdę uciekłem. Od tamtego dnia zmieniam się w konia o świcie, a w człowieka o zmroku. Jeśli to dar, to na niego nie zasługuję. Jeśli to klątwa, również na nią nie zasługuję. Pośród Eđianów też są źli ludzie – podjął, upiwszy łyk wody – tak jak pośród Nieskalanych są ludzie dobrzy. Uważam, że Eđianom należy się ochrona przed prześladowaniem. Należy poprawić ułożenie szal na tej wadze, tak by były na tym samym poziomie. Gdyby jedna przechyliła się w drugą stronę i to Nieskalani cierpieliby prześladowania, dalej opowiadałbym się za równością. Nie za dominacją jednych nad drugimi. Dominacja nieuchronnie prowadzi do tyranii.

Przez długi czas w komnacie panowała cisza.

– Nie wiedziałam, że tak dogłębnie przemyślałeś te sprawy, G – przerwała ją w końcu Jane.

Nazwała go G. To musi być dobry znak. Ledwie skrzywiła swoje pełne usta.

– Sam nie zdawałem sobie z tego sprawy – przyznał i była to prawda.

Oderwała od niego wzrok.

– Może gdybyś nie tracił swoich ludzkich godzin na picie i chędożenie, odkryłbyś więcej rzeczy, nad którymi warto trochę pomyśleć.

G przyłożył rękę do czoła i pomasaował mocno skroń. Znów przyszło mu na myśl, by wyjawic jej, że jest tylko niewinnym poetą. Ale gdy podniósł na nią wzrok, ujrzał na jej twarzy uśmiech. Który się poszerzył. I jej czerwone włosy, które jeszcze przed chwilą wyglądały jak splecione ze sobą szkarłatne węże, przypominały teraz ognistą aureolę. Jane promieniała.

– Wiesz, jak powinniśmy spędzić pierwszą noc naszego miodowego miesiąca? – spytała niskim, przyciszonym głosem.

Po raz pierwszy od ogłoszenia zaręczyn G wiedział dokładnie, jak chciałby spędzić noc. Zaczęło mrowić go w żołądku ze zdenerwowania i złapał się na tym, że wybiega myślami w niedaleką przyszłość. Uniósł znacząco brwi.

Jej oczy zaśniły jeszcze żywiej.

– Powinniśmy spakować całą żywność, jaką znajdziemy w spiżarni, i zawieźć ją tamtym chłopom!

G z najwyższą trudnością utrzymał poważny wyraz twarzy.

– Czytasz mi w myślach, milady – powiedział, wdzięczny losowi za to, że

małżonka nie czyta w myślach.

*

Poza wędzonym mięsem, suszonymi owocami oraz serem G i Jane zebrali jeszcze nieco ziół, bandaży i liści herbaty, gdyż jak oznajmiła Jane:

– Herbata z krwawnika pomaga na ból, wiem z *Opatrywania ran na polach bitew w czasach Wojny Dwóch Róż*.

G przypatrywał się ze zdumieniem, jak za pomocą moździerza i tłuczka rozdrabnia trzy różne zioła i dwie przyprawy, a następnie usuwa ze ściany w rogu spizarni niewinnie wyglądającą listwę i wyjmuje z za niej zakorkowaną butelkę.

– Czy to alkohol, milady? – G uniósł brwi.

– Dałam znać wcześniej i kazałam służbie ją ukryć – odpowiedziała, jakby uważała, że ukrywanie przed świeżo upieczonym mężem alkoholu to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Pewnie wyczytała to w jakiejś księdze.

G nie mógł się zdecydować, czy to imponujące czy irytujące. Tak czy inaczej, zgadzał się, że to dobra pora, żeby sobie chlapać. Lecz Jane nie podzieliła się alkoholem, tylko wlała odrobinę do moździerza i zakorkowała butelkę, po czym odstawiła ją do schowka.

G zanotował w pamięci, za którą listwą się znajduje.

Jane zmieszała alkohol z rozrobionym proszkiem, a potem wlała całość do słoika i zamknęła.

– Gotowe, teraz wystarczy poczekać osiem dni. Ta mikstura wspomże gojenie nawet najbardziej odpornej rany.

G pokiwał głową, udając, że rozumie. Przywdziali najzwyczajniejsze płaszcze, jakie znaleźli, żeby nikt nie rozpoznał, że pochodzą z wysokich rodów, a potem owinęli pakunek materiałem i G zarzucił go sobie na ramię.

– Idziemy? – spytał.

Jane zapaliła latarnię i podniosła ją wysoko.

– Idziemy.

Nie chcieli zanudzać służby i woźnicy detalami, przez co mieli wrażenie, jakby postępowali wbrew nakazom surowych rodziców, a to tylko dodawało pikanterii całemu przedsięwzięciu. Nigdy nie czuli jeszcze takiej ekscytacji.

G wtajemniczył w plan chłopca stajennego, który miał im przygotować mały wóz zaprzężony w jednego konia. Jane wspięła się na kozioł zupełnie nie jak dama, co wywołało uśmiech G. Popędzili konia i ruszyli do wioski.

*

U bram nie natknęli się na wartowników, wjechali więc do wsi nie niepokojeni. G poprowadził konia na plac, przy którym znajdował się najwyższy budynek w wiosce. Zobaczyli światło w oknach. Gdy zatrzymali wóz, doszły ich jęki rannych.

Gifford zeskoczył z wozu.

– Poczekaj tutaj – nakazał Jane, która najwyraźniej usłyszała: „Chodź ze mną”, bo zlązła z kozła, zanim G zrobił choć krok.

Zapukał do drzwi, a kiedy nikt nie wyszedł do nich, sam otworzył drzwi.

– A wy co za jedni? – usłyszeli zmęczony głos starego mężczyzny.

– Jesteśmy mężem i żoną, którzy usłyszeli o waszych nieszczęściach. Przynosimy wam w darze jedzenie i leki.

Starzec zmrużył podejrzliwie oczy.

Jane wystąpiła naprzód, delikatnie ujęła dłoń mężczyzny i odwróciła ją wnętrzem do góry, po czym położyła na niej kawałek chleba.

– Proszę pana, mamy chleb, suszoną wołowinę i miód.

Gifford obrzucił żonę zdumionym spojrzeniem.

– Skąd masz miód?

Małżonka zignorowała go.

– Niech pan pozwoli pomóc rannym.

Korpulentna kobieta, opatrująca kawałek dalej nogę leżącemu na barłogu chłopcu, wyszła naprzód.

– Bardzo dziękujemy, milady.

– Och, nie jestem żadną milady – zachnęła się Jane, choć nie umiała ukryć swych manier ani wyzbyć się eleganckiej mowy.

Kobieta kiwnęła głową.

– Wpuśćcie ich, ty stary uparciuchu – rozkazała.

Starzec usunął się z przejścia, a Gifford i Jane rozdali ludziom jedzenie i bandaże i rozdysponowali miksturę leczniczą. Gifford złapał za butelkę miodu, ale Jane zaraz mu ją zabrała, twierdząc, że ona lepiej rozdzieli podarek.

Obserwując żonę, doszedł do wniosku, że jest po prostu zadziwiająca. Nie brzydziła się krwi, cierpliwie pokazywała kobietom, jak należy opatrywać rany i jak przyrządzić więcej leku.

– Przydałoby się jakieś mięso... – zwrócił się starzec do Gifforda.

– Przepraszam, nie teraz – odparł G. – Obserwuję, co robi dama.

Pamiętacie pewnie, że pierwszy raz pomagał potrzebującym – czy w ogóle komukolwiek – i nie był zaznajomiony z protokołem.

– Myślisz, że pracowała kiedyś jako uzdrowicielka? – spytał G.

– A mnie tam wiedzieć – odparł starzec. – To w końcu twoja kobita.

Jane podniosła głowę i pochwyciła wzrok Gifforda. Uśmiechnęła się i rzuciła mu kilka bandaży.

– Lepiej bierz się do pracy.

Gdy razem obmywali rany, odkażali je, opatrywali i pocieszali rannych, ich uszu dobiegało narzekanie i utyskiwanie. Lecz nie na nich, a na króla.

– Wataha rośnie w siłę, a król bąki zbija.

– Poprzedni król to by im się nie dał panoszyć.

– Z Henryka był lew, a ten Edward to mysz, ot co.

Słyszając to, Jane nachmurzyła się, co kazało G ponownie zastanowić się nad istotą relacji łączącej ją z królem.

– To wszystko wina tych cholernych Eđianów.

– Jak mamy się bronić, skoro weźmie się taki i zmieni w jakąś szczwaną bestię? Trzeba ich wyłapać i w klatkach pozamykać. Inaczej rozwalą ten kraj w drobny mak.

Jane posłała G zaniepokojone spojrzenie. Odpowiedział uśmiechem, chcąc ją pocieszyć, a potem rzucił jej świeże bandaże.

Po kilku godzinach wszystkie rany były opatrzone, a Jane i G kierowali się do wyjścia. Wdzięczni chłopcy całowali ich po rękach.

Ale to, co Jane usłyszała o Eđianach i królu, na dobre zepsuło jej nastrój. G starał się podnieść ją na duchu, snując marzenia o tym, co by zrobił, gdyby to on rządził krajem. Nie minęło wiele czasu, a Jane się przyłączyła. Wkrótce prześcigali się już w nowych projektach edyktów i ustaw.

– Nikt nie będzie chodził głodny! – wołała Jane.

– Każdy będzie miał dostęp do opieki medycznej! – wtórował jej G. – I do preparatów wspomagających gojenie ran!

– Ci, co znęcają się nad słabszymi, będą łapani i stawiani przed sądem!

– I każdy będzie miał dostęp do fontanny z darmowym ale!

Wtedy niepochlebny grymas wrócił na jej twarz.

– I... – zawahał się G. – I kobiety będą mogły korzystać z dobrodziejstw edukacji!

To usatysfakcjonowało małżonkę, przynajmniej na razie.

Gdy dotarli do domu, G zorientował się, że do przemiany w konia zostało mu raptem kilka godzin. W sypialni Jane rozścieliła na podłodze koc i kilka

poduszek.

– Ależ moja droga, nie mogę pozwolić, byś spała na podłodze – ogłosił G z galanterią.

– To posłanie jest dla ciebie, milordzie – uśmiechnęła się.

– Aha. Oczywiście.

G ułożył się na twardej drewnianej podłodze, a Jane wskoczyła do łóżka, zdmuchnęła świecę i owinęła się kołdrą.

Milczeli. Ale każde utulił do snu dźwięk oddechu drugiego.

EDWARD

*Najdroższy Edwardzie,
żywiłam nadzieję, że uda mi się odwiedzić Cię dzisiaj w pałacu,
lecz gdy przybyłam, poinformowano mnie, iż nie przyjmujesz gości.
Muszę przyznać, że bardzo mnie zaskoczyło i rozczarowało to, że
nawet mnie nie chcesz widzieć, lecz zdaję sobie sprawę, iż możesz
mieć ku temu ważki powód. Podejrzewam, że to przez Twoją
chorobę. Bardzo mi przykro, Kuzynie. Wiele bym dała, by móc coś
dla Ciebie zrobić.*

*Zapewne zastanawiasz się, w jakiej sprawie przyszedłam do Ciebie
dziś rano, ledwie kilka godzin po własnym weselu. Otóż, Drogi
Kuzynie, właśnie temat ślubu chciałam z Tobą poruszyć.
A dokładniej – mojego męża.*

Gifford jest koniem.

*Jestem pewna, że o tym wiedziałeś. To właśnie to miałeś na myśli,
mówiąc o „przypadłości” i sugerując, że uznam ją za
„intrygującą”. Nie mogę tylko pojąć, dlaczego to przede mną
zataiłeś. Nigdy przecież nie mieliśmy przed sobą tajemnic,
prawda? Uważam Cię za najbardziej zaufanego powiernika,
najdroższego i najukochańszego przyjaciela. Dlaczego więc nie
wspomniałeś o tym arcyważnym szczególe? To przecież nie ma
sensu.*

*Lecz gdy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że jak zwykle
musiałeś mieć ku temu jakiś powód.*

*Mam nadzieję, że nadarzy się okazja, by porozmawiać na ten
temat, gdy tylko wrócę z mojego miesiąca miodowego.*

*Bądź zdrów,
Twoja Jane*

Edward westchnął. Z pietyzmem poskładał list i odłożył go na stolik nocny. Przez ostatnie trzy dni zdążył przeczytać go ponad sto razy i za każdym czuł się tak, jakby kuzynka siedziała obok. Rugając go, co prawda, ale jednak.

Zamknął oczy i napisał w myślach odpowiedź. Brzmiała mniej więcej tak:

*Najdroższa Jane,
wybacz, że zmusiłem Cię do małżeństwa z koniem. Twój teść
próbuję mnie zabić. Pomocy.*

Twój Edward

Lecz wiedział, że nie może się spodziewać od niej pomocy. Książę z pewnością przechwyciłby każdą wiadomość, jaką napisałby do Jane celem poinformowania jej o tym, co naprawdę mu dolega i jaki los gotuje lord Dudley zarówno królestwu, jak i jej samej. A nawet gdyby list zdołał jakimś cudem opuścić pałac, pewnie wpadłby prosto w ręce Gifforda, który z pewnością pracował ręką w rękę ze swoim ojcem.

A więc król znalazł się w potrzasku lub też, jak określono by to podówczas, wpakował się był w niezłą kabałę.

Westchnął ponownie. Tej nocy, gdy Pet przemieniła się w dziewczynę, Edward i Peter Bannister (i sama Pet również, choć niezbyt pomogła w planowaniu strategii – kochane stworzenie) obmyślili plan wydostania Edwarda z zamku. Był to dobry plan. Przede wszystkim Edward musiał przestać przyjmować truciznę. Potem, gdy efekt tej już przyjętej przemianie, gdy odzyska nieco sił i będzie mógł chodzić, nie przewracając się, rozkaże służbie zabierać się co jakiś czas do ogrodu, by zaczerpnąć świeżego powietrza (bo każdy wie, że świeże powietrze ma magiczne właściwości lecznicze). Wtedy, podczas któregoś ze spacerów, natknie się niby to przypadkiem na Petera Bannistera z wierzchowcem. I wówczas ucieknie.

Ale jak dotąd nic nie szło zgodnie z planem.

Przez ostatnie trzy dni Edward nie zjadł niczego, co nie przeszło inspekcji węchowej Pet. A było to trudne, bo aby przeprowadzić inspekcję, należało poczekać, aż ludzie przestaną się wokół niego kręcić (co okazało się prawie niewykonalne), po czym prędko podsunąć talerz inspektorowi (Edward nie pozwalał już Pet spać ze sobą w łóżku – byłoby to cokolwiek dziwne) i czekać na sygnał, którym było machnięcie ogonem. Kod oznaczał: żadnych dziwnych zapachów, proszę wcinać na zdrowie.

Początkowo truciznę podawano mu tylko raz dziennie, w jeżynach i potrawach z jeżyn, ale Sibby zauważyła, że król raptem stracił ochotę na jeżyny, więc wkrótce dziwny zapach rozszedł się na całe podawane jedzenie.

A potem Pet zaczęła wyczuwać go w winie.

Edward nie jadł więc teraz nic poza chlebem i serem, które czasami przemycał dla niego Peter Bannister. Problem w tym – myślał – że w ten sposób może i uniknie śmierci od trucizny, ale z pewnością umrze z głodu.

Powiedzenie „umrzeć z głodu” nabrało dla Edwarda zupełnie nowego znaczenia. Odkrył, że ostatnimi czasy najczęściej śni o wielkiej uczcie, której jest jedynym uczestnikiem. O tym, że siedzi przy stole zastawionym pieczonym mięsem, udźcami z rusztu oraz nieprzeliczonymi misami słodkich, dojrzałych jeżyn.

Och, jakże brakowało mu jeżyn.

Trzymał się dzielnie, ale choć od ponad trzech dni nie wziął trucizny do ust, jego stan się nie poprawiał. Ledwie stał na nogach, o chodzeniu w ogóle nie było mowy. No i wciąż potrzebował pomocy, by usiąść na nocniku. Stale męczył go kaszel, który w dodatku brzmiał coraz paskudniej. Chustka była już bardziej różowa niż biała. Większość czasu jego umysł spowijała mgła.

Na domiar złego Dudley zrobił się podejrzliwy.

– Musisz jeść, Wasza Wysokość – przekonywał go właśnie w tym momencie, gdy Edward odepchnął podetkniętą przez Sibby miskę z potrawką z kurczaka. Tyle dobrego, że niespecjalnie przepadał za tym daniem, ale w stanie permanentnego wygłodzenia nawet oleista brązowa maź sprawiała, że ciekła mu ślinka. Edward próbował nie łowić jej zapachu nosem, żeby nie wystawiać na próbę swojej silnej woli. Obawiał się, że zaraz porwie miskę i ją opróżni, niezależnie od tego, czy posiłek zawiera truciznę czy nie.

– Przynajmniej spróbuj, Wasza Wysokość – naciskał Dudley.

Edward zagryzł zęby i odzyskał panowanie nad sobą.

– Czemu mam próbować? Czy kurczak ocali mnie przed śmiercią?

– Nie, sire. – Dudley zacisnął usta.

– To co za różnica? – Edward podniósł się na łokciach. – Na twoim bezcennym dokumencie widnieje już mój podpis, czy nie tak? Nie potrzebujesz mnie już. Jeśli więc mam umrzeć, umrę na swoich zasadach.

Jeśli była to jakaś polityczna gra, uświadomił sobie, to właśnie pokazał przeciwnikowi karty. Powinien być ostrożniejszy, ale nie robiło mu to już różnicy. Czuł się zmęczony bezradnością.

Książę spoglądał na Edwarda, mrużąc oczy, i bacznie studiował jego twarz. A potem wyrzekł lodowatym tonem:

– Jak sobie życzysz, Najjaśniejszy Panie.

I opuścił komnatę, zamykając za sobą drzwi.

Sibby cmoknęła z dezaprobatą, wciąż trzymając miskę.

Edward przywołał w wyobraźni widok swojej przysadzistej mamki rozciągniętej na kole tortur. Siedziałby obok i wrzucał jej do ust zatrute jeżyny.

Leżąca obok łóżka Pet wydała z siebie groźny pomruk. Sibby spojrzała na nią trwożliwie, po czym wyszła w ślad za Dudleyem, zabierając ze sobą potrawkę.

Edwardowi zaburczało w brzuchu. Jęknął boleśnie.

Pet zaskomlała i liznęła jego dłoń. Nie miał siły odwdzięczyć się głaskaniem.

Raz jeszcze podniósł i przeczytał list od Jane.

– Powiernik – mruknął. – Najukochańszy przyjaciel.

Zastanawiał się, czy jeszcze ją kiedyś zobaczy.

*

Tego popołudnia złożyły mu wizytę jego siostry. Nie towarzyszył im Dudley ani nawet Sibby. Nie mógł uwierzyć w ten łut szczęścia. Przez całe to umieranie zapomniał o swoich siostrach, ale proszę, oto i one, Maria i Bess, w jego komnacie, każda z pudełkiem w rękach, pewnie jakimś prezentem, uciekające od niego wzrokiem, jakby nie mogły znieść tego, jak zmarniał przez chorobę.

Nareszcie przybyła pomoc.

Siostry, a zwłaszcza Maria, miały koneksje. Święty Cesarz Rzymski był jej wujem, którego Edward stawiał co prawda w szeregach swoich wrogów, ale lepszy rydz niż nic. Maria mogła zwołać dla niego armię, a jeśli nie armię, to przynajmniej oddział żołnierzy. Mogłaby nawet zmusić Dudleya do zrzeczenia się piastowanego urzędu, gdyby zaszła taka potrzeba. A Bess była nadzwyczaj bystra. Studiowała księgi o ziołarstwie i lecznictwie, o ile dobrze pamiętał. Kto wie, może skombinuje jakieś antidotum na truciznę?

– Cieszę się, że was widzę – przywitał je i uśmiechnął się niemrawo.

– Och, Eddie, tak nam przykro, że spotkało cię to nieszczęście.

Maria postawiła pudełko na małym stole w rogu i usiadła na łóżku, płosząc Pet swoimi licznymi spódnicami.

Zignorowała psa i ujęła rękę Edwarda, po czym nachyliła się w jego stronę. Wyczuł w jej oddechu wino.

– Chcę, byś wiedział, że zaopiekuję się Anglią dla ciebie – powiedziała nieco za głośno, jakby już wygłaszała mowę przed tłumem poddanych. –

Wrócę krajowi dawną świetność. Skończą się te wszystkie reformatorskie ruchy, które rozpleniły się za panowania ojca, który próbował w ten sposób usprawiedliwić własne grzeszne występki. Wyplenimy eđiański chwast, zaczynając od tej okropnej Watahy, o której wszyscy mówią. Już ja dopilnuję, żeby wszyscy spłonęli na stosie. Uwolnimy Anglię od grzechu ojca. Klnę się!

No cóż, Dudley miał rację w tym względzie – rzuciło się na myśl Edwardowi. Maria nienawidziła Eđianów. Ale Edward miał teraz bardziej palące problemy.

Przeskoczył wzrokiem do Bess, która wpatrywała się w niego intensywnie, a potem wrócił do Marii.

– Słuchajcie, obydwie. – Zaczerpnął tchu. – Nie cierpię na żadną chorobę. To lord Dudley chce mnie otruć.

Maria wyrwała się z jego uścisku.

– Edwardzie... – wymruczała uspokajająco. – Nikt nie próbuje cię otruć. A już na pewno nie lord Dudley.

Podniósł się do pozycji siedzącej.

– A właśnie, że tak, i właśnie, że on! Dlatego musicie wtrącić go do lochu!

Maria zmarszczyła brwi.

– Mój drogi chłopcze, ksiązę od lat jest twoim najbardziej zaufanym doradcą.

– On chce zagarnąć Anglię – nie ustępował Edward. – A mnie zabić.

W komnacie zapanowała gęsta cisza.

– Ale dlaczego uważasz, że lord Dudley próbuje cię otruć, Edwardzie? – odezwała się cicho Bess.

– Mój pies – wydyszał, z trudem łapiąc oddech po swojej tyradzie. – Mój pies wyczuł truciznę w jeżynach.

Obydwie damy strzeliły wzrokiem do siedzącej po drugiej stronie sypialni Pet, która niepewnie stanęła na czterech łapach.

Maria zmarszczyła nos, wyraźnie zdegustowana.

– Braciszku, ja cię proszę. To nie czas na głupie żarty.

– To nie żarty – zaprotestował. – Jestem śmiertelnie poważny. Zapytajcie Pet. Pet, powiedz im. – Utkwił w zwierzęciu błagalne spojrzenie. Pet przekrzywiła pytająco głowę.

– Śmiało, nie wstydz się – nalegał. – Pokaż im.

Dziewczęta wwiercały się wzrokiem w zwierzę i Edwarda.

– Twierdzisz – wymówiła wolno Bess – że twój pies umie mówić?

– Tak. Ona jest...

Eđianką, dokończył w myślach. Słowa spelzły z jego ust. Maria dopiero co ogłosiła swój plan wytrzebiecia angielskich Eđianów.

Pet zaskomlała i położyła się na podłodze, spoglądając z troską na swojego pana. Maria pokręciła głową.

– Edwardzie – powiedziała głosem smętnym jak kondukt pogrzebowy. – Jesteś bardzo chory. – Wstała i podeszła do stołu, postawiła na nim pudełko, po czym rozwiązała wstążkę i otworzyła je. – Jesteś dla lorda Dudleya jak rodzony syn. Twoja choroba doprowadziła go na skraj załamania.

Edward opadł na poduszki, skołowany. Nie wiedział, jak mógłby je przekonać.

– Powiedział nam – ciągnęła posepnie Maria, jakby już puściła w niepamięć słowa brata – że nie chcesz jeść. Więc przyniosłyśmy ci coś.

Sięgnęła do pakunku i wyciągnęła... pudding jeżynowy.

– Twój ulubiony – dodała nieco weselej.

Słodki zapach owoców wypełnił jego nozdrza. Czuł ścisk wyposzczonego żołądka.

– Czy nie słyszałyście, co przed chwilą powiedziałem? – wysyczał.

– Ależ Edwardzie, nie bądź taki. – Maria wyjęła skądś srebrny nóż oraz porcelanowy talerz i ukroiła hojny kawałek. Usiadła na łożu, nabrała nieco ciasta i uniosła widelec do ust brata.

– No, spróbuj – powiedziała. – Zrób to dla mnie.

Napotkał jej wzrok. Przez zażawione oczy dojrzał w nim jakąś mroczną, nieprzewartą determinację. I wtedy dotarło do niego, co się święci.

Maria też brała udział w spisku.

– Bądź grzeczny, Eddie. – Przystawiła widelec do ust.

– Nie mów do mnie Eddie – odparł cicho. Zebrał wszystkie siły i sięgnął po widelec. Okręcił go powoli, balansując kawałkiem puddingu. Jakoś zdołał drżącą ręką przystawić jej widelec do ust. – Ty pierwsza, siostrzyczko.

Serce mu się krajało. Maria była jego siostrą. Była wredną, pozbawioną poczucia humoru, zdradziecką, krwiożerczą abnegatką, starszą od niego o dwadzieścia lat starą panną – ale wciąż siostrą. W ich żyłach płynęła ta sama krew.

Cisza.

Maria gapiała się na niego bez słowa. Bess wciąż stała na środku komnaty, jakby przymarzła do miejsca, z nieczytelnym wyrazem twarzy.

Maria uśmiechnęła się prędko, odbierając Edwardowi widelec i odkładając go na talerz.

– Ależ w żadnym wypadku – odmówiła. – Dbam o linię.

– O linię prostą czy półprostą? – spytał.

Zamknęła na chwilę oczy. Po czym znów się uśmiechnęła: nerwowo i nieszczerze.

– Ech, ten Edward, ciągle by żartował, nawet w takiej chwili. – Wstała i strzepnęła nieistniejący pyłek z sukni. – Przynajmniej choroba nie ograbiła cię z poczucia humoru.

Chciał jej powiedzieć, że przeznaczył tron Jane, i zobaczyć, czy to też uzna za zabawne. Ciekawe, pomyślał, jak to wpłynie na twoje stosunki z lordem Dudleyem.

Ale gdyby to zrobił, Jane mogłaby się znaleźć w niebezpieczeństwie. Zamiast tego powiedział więc:

– Gdy tylko umrę, na celowniku księcia znajdziesz się ty, Mario.

Stężała na te słowa.

– Ależ braciszku, coś ci się pomyliło. Nie myślisz jasno. Bardzo mi cię żal. – Dotknęła jego ramienia, może nawet mówiła szczerze. – Tak mi przykro.

Odprowadził ją wzrokiem do drzwi, a gdy opuściła komnatę, przeniósł spojrzenie na Bess. Nigdy jeszcze nie widział młodszej z sióstr tak bladej. Piegi odznaczały się wyraźnie na tle jasnej skóry. Pamiętał, jak za dawnych dni pozwalała mu je liczyć. Dwadzieścia dwa – przypomniał sobie.

– Ty też uważasz, że wariuję? – spytał.

Ledwie dostrzegalnie pokręciła głową. Patrzyła nieustępliwie, a jej oczy, szare i lśniące, były takie same jak oczy ojca. I jego własne.

Podeszła i położyła prezent na stoliku nocnym, a potem przysunęła się do niego i pocałowała w policzek.

– Ja ci wierzę – szepnęła mu do ucha. – Pomogę ci. Zaufaj mi, Edwardzie.

– Odpocznij, bracie – dodała nieco głośniejszym głosem, jakby w pokoju był ktoś jeszcze.

Gdy poszła, otworzył prezent. Pudełko było mniejsze niż to otrzymane od Marii, ale wewnątrz znalazł słoje moreli w miodzie i butelkę czystej wody.

Powiedziała, by jej zaufać.

Był z Bess tamtego dnia, gdy powiadomiono ich o śmierci ojca. Edward miał wtedy dziewięć lat, Elżbieta trzynaście, ale oboje wiedzieli doskonale, że teraz wszystko się zmieni.

– Umarł król, niech żyje król – ogłosił jego wuj Seymour, co oznaczało, że teraz na tronie zasiądzie Edward. Na dźwięk tych słów ogarnęły go smutek i strach. Zaczął płakać.

– A ja nie chcę – wyszlochał, trzęsąc się. – Nie chcę być królem, Bess. Ja nie jestem jak tata. Nie każ mi być królem.

Wtedy Elżbieta zwróciła się do niego i pocałowała go w rękę.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptała. – Zaufaj mi.

Zaufaj mi.

Nie namyślając się wiele, zjadł morele i wypił wodę. Jeśli Bess również podawała mu truciznę, to umrze z uśmiechem na ustach. Gdy skończył jeść, poczuł się odżywiony i pełen energii. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się taki pokrzepiony. Zdołał się dźwignąć do pozycji siedzącej i raz jeszcze zajrzał do przyniesionego przez Bess pudełka. Znalazł w nim drugi słoik moreli i skrawek papieru pokryty znajomym pismem siostry.

Jesteś w niebezpieczeństwie. Wrócę dzisiaj w nocy.

A wtedy, pomimo wszystkich swoich kłopotów, wyszczerzył się w uśmiechu. Bo wciąż miał kogoś, na kim mógł polegać.

*

W środku nocy obudziło go warczenie Pet. Zanim się zorientował, co się dzieje, silne ręce złapały go za ramiona i poderwały do góry. Zobaczył wokół łóżka zakapturzonych mężczyzn. Ktoś przywiązał mu rękę do wezgięcia. Kopał, szarpał się, lecz na próżno. W jego ciosach nie było siły.

Ale miał asa w rękawie, w postaci Pet. Suczka skoczyła na napastników, obnażając kły. Usłyszał stłumione przekleństwo, a zaraz potem głuchy odgłos i pisk, jakby mężczyźni powalili zwierzę na podłogę. Sekundę później rozległ się świst wyjmowanego z pochwy miecza.

Oni chcieli zabić Pet.

Edward przestał się szamotać.

– Poczekajcie! – krzyknął. – Poddaję się.

Na minutę przydusił go atak kaszlu. Nie mógł nabrać powietrza do swoich zrujnowanych płuc.

– Poddaję się! – powtórzył. – Nie krzywdźcie mojego psa.

Pet skomlała. Jeden z agresorów złapał ją za skórę na karku i obwiązał szyję liną. Niespodziewanie rzuciła się naprzód i wetknęła królowi pysk w zgięcie łokcia.

Otoczył ją wolnym ramieniem i szepnął do miękkiego, szpiczastego ucha:

– Nie obawiaj się o mnie, Pet. Znajdź Jane. Powiedz jej, co się dzieje.

Pisnęła znowu, a któryś mężczyzna szarpnął za linę i wywłókł ją z komnaty.

Serce rwało się Edwardowi z piersi. Znow dopadł go kaszel, ale tym razem nie zasłonił ust, bo obydwie ręce miał przywiązane do łóżka. Mężczyzna ze świecą zbliżył się do niego. Boubou. Edward omiótł wzrokiem pozostałe postacie.

– Naprawdę musi być was aż trzech? – skrzeknął. – Przecież ledwo żyję.

Człowiek krępujący mu nadgarstki warknął coś i zacisnął mocno węzeł.

– Już rozumiem – powiedział. – Obawiacie się, że zmienię się w lwa i wszystkich was pożrę?

Gdyby tylko mógł...

Gdy już unieruchomili wszystkie jego kończyny, rozplłynęli się w mroku, zostawiając go samego z Boubou. Starzec wyglądał na zmęczonego i poirytowanego, jakby nieczęsto był na nogach o tej porze i jakby było mu to wybitnie nie w smak. Odstawił latarnię i zdjął z pleców sakwę, z której wyłowił zestaw wyjątkowo ostrych noży.

Edward prawie nie poczuł bólu, gdy lekarz naciął mu ramiona i upuścił krwi do dużej cynowej misy. Balansował na granicy przytomności, osuwając się powoli w kojące otępienie, gdy skrzypnęły otwierane drzwi i dojrzał spod półprzymkniętych powiek nos lorda Dudleya, który w tym ogarniającym go osobliwym półśnie wydał mu się prześmieszny.

– Wspaniale – wymamrotał. – Miło, że do nas dołączyłeś, John.

– Przemądrzały jak zawsze – zaripostował książę. – Głupi szczeniak.

Boubou przyłożył mu kielich do ust. W odróżnieniu od naparu, który zaaplikowali mu ostatnio, gdy przearanżowali jego testament, jego zawartość była tak słodka, że aż zamrowiły go zęby.

Pycha, pomyślał.

Robił, co mógł, żeby nie przełknąć, ale Boubou odchylił mu głowę i wlewał truciznę do gardła, aż musiał przełknąć, by się nie udusić. Potem doktor otarł mu wargi chustką.

– Więc to tak – wyrzekł Edward resztką sił. – Brawo, Boubou. Udało ci się popełnić królobójstwo.

W kącikach oczu lekarza zarysowały się kurze łapki.

– Zawsze do usług, Wasza Wysokość.

Edward się roześmiał. Powoli tracił przytomność. Boubou odwiązywał go od łóżka, ale on nie czuł rąk ani nóg. Dryfował na granicy światła i mroku.

Ostatnią rzeczą, jaką przypomniał sobie, zanim odpłynął w ciemność, był dźwięk zamykanych drzwi i przekręcanego w zamku klucza.

*

Coś drapnęło. Raz, potem drugi. Edward zassał powietrze. Żył. Ale przecież umarł, prawda? To jakim cudem żył?

Znowu to drapanie. Coraz wyraźniejsze, intensywniejsze.

– Pet? – zawołał chrapliwie.

Teraz od strony drzwi dobiegł go ostry, wysoki dźwięk. Miauczenie kota. Co nie miało za grosz sensu.

Wstał. Rany na jego ramionach pulsowały tęnym bólem, ale myślał zaskakująco jasno. Odrzucił koce i przerzucił nogę przez krawędź łóżka. Zastanowił się, czy zdoła wstać o własnych siłach.

Chyba tak.

Podniósł się, powlókł do drzwi i złapał za klamkę.

Zamknięte.

Znowu to miauczenie. Między drzwiami a podłogą błysnęło światło.

Zatoczył się i wsparł dłonie o chropowate dębowe drewno framugi, żeby odzyskać równowagę.

– Halo? – szepnął.

– Edwardzie – odezwał się zza drzwi wątpy, znajomy głos.

– Bess... – wydyszał.

– Nie mogę zostać długo – powiedziała na granicy słyszalności. – Wróć. Zakładają, że już nie żyjesz, ale przyjdą sprawdzić. Chcieli upozorować śmierć na krztusicę, ale jeśli teraz znajdą cię przy życiu...

– Wydostań mnie stąd.

– Nie mogę, nie mam klucza. Musisz wyjść przez okno.

– Ale przecież jesteśmy w wieży...

– Możesz zleźć na dół – podsunęła. – Za dzieciaka wspinałeś się cały czas. Nigdy nie bałeś się wysokości.

Prychnął. Jasne, zleźć na dół, łatwizna. A jednak ostrożnie, krok po kroku, podszedł do okna i rozsunął zasłony. Był ranek, słońce dopiero co przelało się przez mury zamku. A w dole – daleko w dole – rozciągał się aż do rzeki dziedziniec z rozstawionymi w równych odstępach wartownikami.

Nie da rady.

– Bess? – mruknął.

– Jestem.

– Nie dam rady zejść. Musi być jakiś inny sposób.

Nie odpowiedziała.

Przysunął się z powrotem do drzwi i oparł. Czuł się teraz silniejszy, ale jednocześnie tak zmęczony, że ledwo stał.

– W morelach było antidotum na truciznę, ale jego działanie wkrótce minie – wyszeptała siostra. – Edwardzie, musisz jakoś uciec. Pojechać na północ. Do babci, do Helmsley. Ona ci pomoże. Dołączę do ciebie, gdy tylko zdołam.

– Skąd wiedziałaś, że dziś tu przyjdą? – Nogi miał jak z waty, walczył o utrzymanie pozycji pionowej.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Musisz uciekać. Natychmiast.

– Z chęcią – odparł. – Ale jest mały problem. Obecnie tkwię zamknięty w wieży.

– No to zleż z niej... – westchnęła.

– Kiedy jestem za słaby. I jest za wysoko.

– ...albo zmień się w zwierzę. Znajdź swoją eđiańską formę.

Roześmiały się w głos, gdyby tak go nie zaskoczyła ta absurdalna myśl.

– Moją eđiańską formę? Twierdzisz, że jestem Eđianinem?

– No, twój ojciec był – odrzekła rzeczowo.

– Tak, wiem. – Oparta o drzwi dłoń zacisnęła się w pięść. – Ale ja nie jestem jak ojciec.

– Twoja matka też była Eđianką.

Zachłysnął się powietrzem.

– Moja matka?

Widział ją tylko na obrazie. Była piękną, złotowłosą kobietą o nieodgadnionym uśmiechu.

– Raz widziałam, jak się przemieniła – szepnęła Bess przez drzwi. – Byłam małym dzieckiem, ale pamiętam dobrze i nigdy tego nie zapomnę. Ona mogła zmieniać się w ptaka, Edwardzie. W pięknego białego ptaka.

Zdusił wzbierający w gardle kaszel.

– Moja matka...

– Masz to we krwi, bracie. Oboje twoi rodzice byli Eđianami i ty też nim jesteś.

Jakże pragnął, by była to prawda. Ale nie była i jego pragnienia nic tu nie zmieniają.

– Skąd ta pewność?

– Nie mamy czasu na dyskusje – wysyczała. – Już po ciebie idą. Po prostu to zrób, Edwardzie. Znajdź to w sobie. Ja muszę uciekać.

W szczelinie pod drzwiami znowu błysnęło.

– Bess? – szepnął Edward.

Cisza.

A w ciszy – ciężkie odgłosy kroków w dole schodów. Zmełł w ustach przekleństwo.

Znów powlókł się do okna. Na linii horyzontu niebo było różowe, z każdą chwilą jaśniało coraz bardziej. Poczul na twarzy powiew wiatru, który zburzył mu pozlepiane strąki na głowie i wypełnił chłodem obolałe płuca. Zamknął oczy.

A może to prawda? – pomyślał.

Nie był lwem. Wiedział o tym w głębi duszy od zawsze.

Odgłos kroków narastał.

Raptem naszła go myśl. Podbiegł szybko do stolika nocnego, wziął pióro i kałamarz, po czym prędko napisał coś na odwrocie listu Jane.

Pewnie pomyśli, że nie żyję.

I może tak będzie.

Za jego plecami zgrzytnął przekręcany w zamku klucz.

Obrócił się do okna.

Tym razem go zabiją. Tym razem na pewno.

Czas w drogę.

Pozwolił szacie zsunąć się na podłogę. Wszedł na parapet.

„Znajdź to w sobie”, powiedziała mu Bess.

Zacisnął powieki. Przypomniał sobie wszystkie te chwile, gdy z Jane próbowali się przemienić, odnaleźć swoją zwierzęcą stronę. Przyszła mu na myśl matka pod postacią pięknego białego ptaka. Jego matka, której nie pamiętał. Ale kto wie, może zostawiła mu podarunek. W jego krwi.

Może zdoła zmienić się w ptaka.

Drzwi rąbnęły o ścianę, ale on już tego nie słyszał. Nie widział wpadającego do komnaty Dudleya. Nie słyszał jego krzyku.

Bo spadał.

A potem leciał.

Poniósł go wiatr, wypełnił jego skrzydła, a on zostawił pałac za sobą.

JANE

Jane była sama. Wreszcie, obudziwszy się rano po obfitującej w wydarzenia nocy spędzonej z Giffordem w wiosce, nie usłyszała jego oddechu. Ani końskiego, ani ludzkiego.

Rzuciła okiem na posłanie na podłodze. Puste. Musiał wyślizgnąć się z komnaty krótko przed świtem.

Rozłożyła się na poduszkach i zamknęła oczy, wspominając przeżyta wspólnie przygodę, doświadczenie ludzkiej wdzięczności i towarzyszący im śmiech. Giffordowi udało się ją rozśmieszyć, a jej udało się rozśmieszyć jego. Kąśliwe uszczypliwości, które dotąd definiowały całą ich relację, nabrały niemal przyjacielskiego charakteru.

Usłyszała dobiegający z zewnątrz tętent. Jej niecierpliwe serce zabiło żywiej w piersi. Ostatnia noc była taka... Szukała w myślach odpowiedniego słowa. Magiczna? Radosna? Nie – satysfakcjonująca. Zrobili coś wspólnie. Pomogli tym ludziom. Lecz teraz nastał dzień, a Gifford znów był koniem. Magia zeszłej nocy – może jednak było w niej nieco magii – przeminęła, wypaliły ją promienie słońca.

Jane wytoczyła się z łóżka i odkryła, że służba rozpakowała jej kufry. Suknie wisiały w szafach, uporządkowane pod kolor. Przez chwilę nosiła się z myślą, by zawołać służkę, która pomogłaby się jej ogarnąć, ale zmieniła zdanie i wybrała na dziś prostą sukienkę bez udziwnień. Gdy już doprowadziła się do porządku, wzięła książkę – tym razem były to *Formacje górskie i balans dolin: teoria eðiańskiej magii w świecie przyziemnym* – oraz małą sakwę ze śniadaniem i wyszła przed dom.

Gifford biegał po łące, zarzucając łbem. Jego grzywa powiewała, ogon płynął na wietrze jak lśniąca czarna flaga. Poruszał się z taką gracją, że jawił się Jane jako stworzenie idealnie piękne. Kształtne i silne nogi zespolone były w płynnym ruchu, niosąc obłe i smukłe ciało i nadając mu pęd, gdy sunęło przez trawiasty przestwór.

Kiedy Jane podeszła do starej rozłożystej jabłoni, Gifford zmienił kierunek i podbiegł do niej, prychając. Schyliła się, by położyć księgę i śniadanie na wystającym z ziemi szerokim korzeniu, a gdy się wyprostowała, ujrzała Gifforda stojącego kilka stóp od niej, przyglądającego się jej wielkimi

czarnymi oczami.

– Dzień dobry. – Wyciągnęła rękę i podeszła do niego.

Powąchał jej dłoń, łaskocząc ją miękkimi włoskami i pozwalając się pogłaskać po gładkim, płaskim policzku. Łatwiej jej było go dotknąć, gdy był koniem, bo po pierwsze, pod tą postacią nie mógł odpowiedzieć, a po drugie, wydawał się mniej ludzki, a więc mniej groźny. Odkrywszy, że preferuje go w tym kształcie, Jane poczuła się cokolwiek osobliwie – był w końcu jej mężem. Z drugiej strony może to krok w dobrym kierunku.

– Chcę ci coś powiedzieć.

Przesunął łeb, by jej dłoń znalazła się między jego uszami, a potem potrząsnął nim, jakby kazał się drapać. Usłuchała.

– Myślałam o napaści Eðianów zeszłej nocy i o twojej reakcji. A raczej o tym, co mylnie wzięłam za brak reakcji.

Gifford przechylił głowę, by jej palce podrapały postawę ucha. Czy on jej w ogóle słuchał? Czy rozumiał ją pod tą postacią?

Tak czy owak, jakoś łatwiej jej było mówić.

– Gdy minionej nocy zobaczyłam tamtych ludzi w tarapatach, chciałam im pomóc. Sęk w tym, że nie miałam pojęcia, co dokładnie mogłabym zrobić. Nie mogłam przystąpić do walki z Watahą. Nie zdołałabym uratować krowy. A gdybym pobiegła do atakowanych, zachowując się jak arystokratka, mogliby poczuć się urażeni, nie wspominając już o tym, że pewnie tylko plątałabym im się pod nogami. Nie przyszło mi to nawet do głowy. A tobie tak. Myślałam, że próbujesz mnie tylko powstrzymać przed wmieszczeniem się w cudze sprawy, ale prawda jest taka, że broniłeś mnie przede mną samą. Powstrzymałeś mnie przed zejściem ze skał, z których nie powinnam była schodzić, nie pozwoliłeś wdać się w walkę z napastnikami, przeciw którym nic bym nie wskórała.

Gifford nie zachowywał się, jakby słuchał. Gdy skończyła drapać go za uchem, zaczął obwąchiwać worek ze śniadaniem.

Jane westchnęła.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że doceniam, co zrobiłeś, ale nie spodziewaj się kiedykolwiek usłyszeć jeszcze ode mnie te słowa. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Ogier prychnął triumfalnie, wyciągając z torby jabłko. Lśniło teraz między jego zębami. Podrzucił je w powietrze, złapał i spałaszował w kilka sekund.

– To było dla mnie – zganiła go Jane, ale Gifford nawet nie zawracał sobie głowy udawaniem, że mu przykro. Odpędziła go ruchem rąk. – Sio, idź sobie pobiegać. – Ale gdy usiadła na korzeniu, by poczytać i zjeść to, co zostało ze

śniadania, Gifford ułożył się obok niej z nogami po jednej stronie. Obserwował ją, gdy opuściła księgę na kolana i zaczęła czytać, pilnując, by nie poplamieć stronic.

Była w połowie *Formacji górskich...*, gdy Gifford skubnął róg strony, którą właśnie przewracała.

– Żadnego żucia moich książek – przypomniała mu zasadę i zaferowała w zamian kolejne jabłko. Wchłonał je, zanim się obejrzała. Ale gdy na powrót zatopiła się w lekturze, trącił okładkę nosem i wlepił w nią wzrok. Spojrzała na niego. – No co? Powiedz, o co chodzi.

Mrugnął w odpowiedzi i raz jeszcze trącił książkę.

– Mam ci... poczytać?

Trącenie.

W jej piersi rozkwitło ciepło.

– No dobrze. Ale uważaj. Nie będę się powtarzać, jeśli coś opuścisz.

Zastrzygł uszami, żeby złowić trel jakiegoś ptaka po drugiej stronie łąki, ale kiedy wznowiła czytanie, na powrót poświęcił jej całą uwagę. Po jakimś czasie jego łeb spoczął na korzeniu obok Jane, a ona, trzymając kartki jedną ręką, drugą położyła na jego nosie i co jakiś czas przebierała palcami w miękkiej sierści.

*

Tak upłynął prawie cały tydzień. Za dnia Jane czytała Giffordowi, a w nocy rozdawali jedzenie i leki w okolicznych wsiach. Jeśli służba zauważyła, że pan i pani nadzwyczaj często buszują w spiżarniach, nie zgłaszała pretensji.

Jane, siedząc w salonie, właśnie skończyła czytać *Klejnoty świata: cudowne dzieła rąk ludzkich i ich historia*, gdy słońce zetknęło się z horyzontem. Zawiesiła wzrok na płonącym czerwienią niebie. Biegnący łąką Gifford zatrzymał się, buchnęło światło i końska sylwetka przemieniła się w ludzką. Wiedziała już, że gdy tylko powróci do swojej ludzkiej postaci również umysłem, pospiesznie uda się do domu na kolacjośniadanie. Odkryła, że nie może się tego doczekać.

Jane odstawiła książkę na półkę i zaczęła się krzątać. Zapaliła świece i starała się wyglądać na zajętą.

Po niedługim czasie drzwi salonu otworzyły się i Gifford wszedł do środka. Miał na sobie ubranie, które mu uprzednio przygotowała. Włosy miał uczesane i związane w kitkę. Kroczył sprężysto, jakby bieganie przez pół dnia w żaden

sposób nie nadwyreżyło jego sił.

– Dobry wieczór, milady. Ileż ksiąg dzisiaj przeczytałaś? Może coś o koniach?

– Masz siano we włosach.

Przeczesał czuprynę dłonią i złowił kątem oka uśmiech żony.

– Żadnych końskich żartów.

– Gdzieżbym śmiała! A właśnie, musisz przeczytać jedną komedię, którą ze sobą przywiozłam. Dosłownie rżałam ze śmiechu.

Gifford prychnął, rozbawiony, i zamknął za sobą drzwi.

– Pewnie to dlatego jesteś taka czerwona na twarzy. A może opaliłaś się na słońcu?

– Nie opaliłabym się, gdybym nie czytała całe dni jednemu koniowi, który myśli tylko o jabłkach, którymi go karmię.

– A kto ci kazał wspinać się na jabłoń? A skoro już o tym mowa: jestem koniem, nie drabiną.

– Dodasz to do swojej listy reguł?

– Ryzykując, że ty dodasz kolejną dotyczącą ksiązek? Nie, dziękuję. – Zbliżył się do niej, ukradkiem sprawdzając, czy siano nie zaplątało mu się w kitkę. – Milady, jest jedna sprawa, którą czuję się w obowiązku z tobą omówić.

Jego ton się zmienił. Obecne w nim zwykle rozbawienie ustąpiło miejsca powadze. To ten sam ton, rozpoznała, którym opowiadał jej o swoich eđiańskich doświadczeniach i o tym, że w kwestii Eđianów i Nieskalanych należy wyrównać szalę.

– Dobrze. – Tamtej nocy, gdy wygłosił swoją przemowę, wydał jej się przystojny jak nigdy. Wtedy po raz pierwszy doszła do wniosku, że jej mąż może myśleć o czymś więcej, niż tylko kobiety i wiatr w grzywie.

– Do tej pory nie byłem pewien, czy powinienem ci o tym mówić. – Zamknął oczy i odwrócił twarz od świecy, którą właśnie zapaliła. – Zdawało mi się, że łatwiej będzie, jeśli utrzymam cię w przekonaniu, że nie jestem w stanie zrozumieć tego, co do mnie mówisz, ale dokładnie to sobie przemyślałem i podjąłem decyzję: chcę, żebyś wiedziała.

Jane utkwiała w nim uważne spojrzenie.

– Tamtego dnia, kiedy poszłaś na łąkę i wyznałaś, że jesteś wdzięczna za to, co zrobiłem podczas ataku Eđianów, usłyszałem i zrozumiałem, co powiedziałaś.

A więc tylko udawał, aby się odprężyła. Jakież to uprzejme z jego strony.

– Ale uważam też, że twoje zachowanie bardzo dobrze o tobie świadczy. Chciałaś pomóc tamtym ludziom, nawet jeśli nie wiedziałaś jak. Byłem tak skupiony na Watasze, że gdy już doszedłem do wniosku, że nic nie mogę zrobić, nie przyszło mi do głowy, że mogę się mylić. I choć nie żałuję tego, że powstrzymałem cię przed włączeniem się do walki, to żałuję, że sam nie postanowiłem nawet spróbować.

Jane milczała. Jego słowa sprawiły jej przyjemność, ale wypowiedział je mężczyzna przyzwyczajony do czarowania kobiet. Wiedział, jak trafić w czuły punkt, by zaciągnąć dziewczynę do łóżka. Żona czy nie, Jane nie miała zamiaru dać się tak łatwo omotać. Potrzebowała jakiegoś dowodu na to, że mówi szczerze.

Gifford miał przymknięte oczy. Jego twarz spowijał mrok. Dotknęła jego policzka i obróciła ją ku sobie. Uniósł powieki. Poznała po jego spojrzeniu, że mówi szczerze.

– Choć niezbyt dobrze czuję się z tym, że odkrywam się przed tobą z kolejną ze swoich wad – podjął – to chcę, byś wiedziała, że słyszałem każde słowo, jakie do mnie wówczas powiedziałaś, i że wysłuchałem twej przemowy z uwagą. Leżenie z tobą pod drzewem i słuchanie, jak czytasz, to jedna z tych części dnia, których wyczekuję z niecierpliwością.

– Ustępująca tylko przed jabłkami?

Napięcie zniknęło z jego sztywnych ramion.

– Wiem, że masz do zaoferowania więcej niż tylko jabłka.

Jane zarumieniła się i odpowiedziała:

– Ja również wyczekuję tych chwil, kiedy dzielę się z tobą książkami.

Patrzył na nią uważnie, a choć stali bardzo blisko siebie, żadne się nie poruszyło.

Czy on ją pocałuje? Jakaś jej część miała nadzieję, że tak. Może nawet duża część. Złożona z wielu mniejszych: brzucha, w którym trzepotały motylki, rwącego się z piersi serca, ust wciąż pamiętających delikatny pocałunek, który złożył na nich podczas ślubu. I choć nie całował jej wówczas z przekonaniem, bo po prostu spełniał swój obowiązek, to przecież udowodnił jej, że stać go na delikatność.

Przysunęła się do niego.

– G...

– Milady? – Dotknął jej ramienia, a jeśli zaskoczyła go, zwracając się do niego preferowanym przez niego imieniem, nie okazał tego. Posłyszała nutę nadziei, gdy wymawiał jej imię: – Jane?

Ktoś załomotał do drzwi i do salonu weszła służka, nie czekając na pozwolenie. Jane i G odskoczyli od siebie, jakby przyłapano ich w niedwuznaczonej sytuacji. Co nie było dalekie od prawdy, ale byli przecież małżeństwem, więc mieli prawo do takich sytuacji.

Serce Jane waliło jak młotem i nie mogła złapać oddechu, ale G opamiętał się prawie natychmiast. Zapewne był przyzwyczajony tego, że co jakiś czas przyłapywano go w podobnych sytuacjach. Albo w gorszych.

– Tak? – warknął. Może był bardziej wzburzony, niż chciał pokazać. – Co to ma znaczyć?

Służka odsunęła się i przepuściła w drzwiach dwóch krzepkich mężczyzn w mundurach gwardii królewskiej.

– Lady Jane musi niezwłocznie wrócić do Londynu – rzekł jeden z nich. Był to ten strażnik z pojedynczą brwią, który nie pozwolił jej odwiedzić Edwarda.

Jane zmroziło. Nocne wieści to złe wieści.

– Co się stało?

– Nie wolno nam tego wyjawiać, milady, lecz musisz iść z nami. Twój bagaż zostanie wysłany następnym powozem. Kareta już czeka.

– Może najpierw powinniście powiedzieć damie, czego od niej oczekujecie? – wtrącił się G, przystępując do Jane. – Nie ma potrzeby trzymać jej w niepewności.

– Obawiam się, że zmuszają nas do tego rozkazy. Mamy odeskortować Lady Jane prosto do Tower.

– Na czyj rozkaz? – naciskał G.

– Twego ojca, panie – odparł strażnik i zwrócił się do służącej: – Spakuj rzeczy państwa i wyślij wszystko jeszcze dziś w nocy. Upewnij się też, że lord i lady otrzymają prowiant na drogę...

Świat zawirował jej przed oczami. Strażnicy wykrzykiwali rozkazy, a ją wyprowadzono z domu. Dlaczego jest potrzebna w Tower? Czy Edward tam trafił? Czy po nią posłał? Czy mu się pogorszyło?

Zanim pojęła, co się dzieje, zapakowano ją do karety i wciśnięto księgę w rękę. G siedział obok, mrużąc jej do ucha coś, co mogło być słowami otuchy, lecz Jane mogła myśleć tylko o Edwardzie: o jego chorobliwej bladości na weselu, o cieniach pod oczami, o tym, że zrezygnował z królewskiego odzienia.

Wraz z Jane wsiadł do karety strażnik o jednej brwi, jedyny, który zdawał się posiadać umiejętność mówienia, choć nic z tego, co powiedział, nie było szczególnie pomocne. Dopiero gdy kareta ruszyła, Jane zauważyła pozostałych

strażników. Jechali konno po obu stronach podskakującego na wybojach powozu. Byli uzbrojeni w miecze i nosili na piersi herb Dudleyów.

– Proszę – spróbowała raz jeszcze. – Jaki jest powód tego zamieszania?

– Dowiesz się, pani, gdy tylko dotrzemy do pałacu.

Ten człowiek był jak jednoosobowa forteca. Ale jeśli lord Dudley nakazał im milczenie, a oni byli jego ludźmi, wydawało się oczywiste, kto odpowiada za to nagłe wezwanie. Co z kolei rodziło pytanie, czy G o nim wiedział. Ale gdy spojrzała na niego kątem oka, poznała po zaciśniętych szczękach i poruszających się nerwowo palcach, że jest tak samo wytrącony z równowagi jak ona.

Martwi się? Czy może dręczy go poczucie winy?

G... Gifford... nie mógł chyba tego przewidzieć? Chyba że zaplanował to z ojcem zawczasu. Lord Dudley nie wydawał się darzyć Jane miłością, ale jaki mógłby mieć cel w przerywaniu miesiąca miodowego syna i synowej?

A może Jane była wobec niego podejrzliwa, bo nie podobał jej się jego nos?

Może Edward wyzdrowiał i chciał z nią porozmawiać w cztery oczy o liście? Albo może wzywał ją po to, by ją przeprosić? Nie słyszała, by ktoś dotknięty krztusicą wrócił do zdrowia, ale to przecież nie oznacza, że tak nie mogłoby się zdarzyć.

Spuściła wzrok na księgę na kolanach. *Słynne wierzchowce XIV-wiecznej Anglii.*

– Wyglądałaś, jakbyś potrzebowała okładu z ksiąg – powiedział G, uśmiechając się niewyraźnie. – Ta była na szczycie sterty.

– Dziękuję. – Wypowiedziała te słowa automatycznie. I tak miała siłę tylko na gapienie się przez okno. W żołądku ciążyła jej twarda gula.

Gdy wjechali do Londynu, było już późno, spodziewała się więc, że ulice spowite będą sennym spokojem, jaki opada zwykle miasta pod koniec dnia. Ale tej nocy, czy to przez tajemnicze wezwanie czy przez wiszącą w londyńskim powietrzu osobliwość, której wcześniej w nim nie wyczuła, ulice zdawały się wymarłe. Tak jakby miasto było namalowane na płótnie. Nawet wiatr ustał.

Kareta turkotała nienaturalnie głośno na uspiętej ulicy. Co jakiś czas Jane dostrzegła w drzwiach gapiących się na powóz mieszczan.

Również Tower sprawiała wrażenie, jakby wstrzymała oddech.

(Skorzystamy z nadarzającej się okazji, by zwrócić uwagę czytelnika na fakt, że Tower of London to właściwie cały zamek z wieloma wieżami: na

przykład White Tower, Bloody Tower czy Flint Tower. Wszystkie są niezwykle imponujące).

Istniało kilka powodów, dla których Jane mogła zostać wezwana do Tower w środku nocy i żaden nie nastrajał pozytywnie.

– Ależ to wszystko ponure – mruknął G, gdy karetka zatrzymała się przed unoszącą się kratą w bramie. Jeden z koni prychnął i zarzucił łbem. – Kolega, zdaje się, myśli podobnie.

Ruszyli znowu i przejechali przez most rozpięty nad fosą. Jej nozdrza zaatakował bijący od wody wilgotny smród, ale prawie nie zwróciła na niego uwagi. Nawet nie podniosła ręki, by zasłonić nos, nie podzieliła się z Giffordem interesującą, nawet jeśli obrzydliwą, historią fosy wokół Tower.

Gdy uniosła się druga krata, minęli zewnętrzną strażnicę z kolejną kratą (krat jest w twierdzy od groma – dotarła do Jane myśl zza zasłony mgły), a potem ruszyli w kierunku majestatycznej White Tower.

Karetka stanęła pod samymi drzwiami do fortecy. Jane przesunęła wzrokiem po dziedzińcu Tower Green i utkwiała go w kaplicy. Na ścianach wisiały zapalone pochodnie, ale Tower pogrążona była w bezruchu, jeśli nie liczyć trzepotu kruczycy skrzydeł w powietrzu.

– Błagam, po prostu powiedzcie mi, co się dzieje – jęknęła.

Strażnik bez słowa odebrał jej księgę i położył ją na siedzeniu. Wprowadzono ją do wielkiej sali, gdzie tłoczyli się członkowie Tajnej Rady. Wszyscy jak jeden mąż wpatrywali się w otoczonych wianuszkami strażników Jane i Gifforda. Komnata pogrążona była w milczeniu.

Jane spojrzała na tron w nadziei, że ujrzy na nim Edwarda, lecz tron był pusty.

– Co się dzieje? – spytała po raz kolejny. Echo jej głosu zamarło w milczącej sali. – Dlaczego mnie tu sprowadzono? Gdzie jest Edward?

Lord Dudley oddzielił się od tłumu i ruszył w jej kierunku, niby wiedziony swym olbrzymim nosem, niczym okręt posłuszny igle kompasu. – Lady Jane, cóż za ulga widzieć cię tutaj tak prędko.

Nie żeby dano jej jakiś wybór.

– Mamy wieści.

Najwyraźniej.

Jane obrzuciła wzrokiem G. Na widok ojca jego twarz przybrała wyraz doskonale obojętny.

– Proszę – wykrztusiła wreszcie Jane – powiedz mi, co to za wieści.

Głos lorda Dudleya był smutny, ale wybrzmiał w sali tronowej głośno jak

gong.

– Król Edward VI nie żyje. Niech żyje królowa Jane!

GIFFORD

Słowa „królowa Jane” zatrzymały się w uszach G i dźwięczały głośno, za nic nie chcąc ucichnąć. Spojrzał na żonę, zaalarmowany jej niespodziewaną i dojmującą bladością. Odezwał się w nim ten znajomy głos, każący ją chronić, ten sam, który pierwszy raz rozbrzmiał podczas ataku Watahy.

– Edward nie żyje? – powtórzyła niemal bezgłośnie.

Ach, no tak – pomyślał, uświadomiwszy sobie, że najważniejszą sprawą jest teraz śmierć króla. Tylko łączące ich bliskie stosunki powstrzymały go od powiedzenia: „Tak, zgadza się, ale czy słyszałaś, co powiedział potem? Że niby królowa i takie tam?”.

Lord Dudley pokiwał smętnie głową.

– Tego ranka poległ w boju z krztusicą.

Jane wlepiła niewidzące oczy w jakiś punkt za plecami księcia i długo nie odrywała od niego wzroku. G zrobił krok w jej stronę, a potem cofnął się, nie wiedząc za bardzo, co zrobić. Czy ona zemdleje? Czy też uzna to za zbyt wyświechtane zachowanie? Tak desperacko chciał ją pocieszyć, że przez chwilę zastanawiał się, czy nie krzyknąć: „Księża! Szybko, niech ktoś da jej księżę! Jakąkolwiek!”, ale nie wiedział, czy jego żona stała się teraz Jane z gatunku: mam od tego służbę, czy może tą, która o mało go nie pocałowała. Tak czy owak nie chciał się wygłupić przed całym dworem, zbierając publicznie reprimendę od żony.

Na końcu komnaty tronowej coś się poruszyło i ze ściany ludzi wyłoniła się matka Jane.

– Jane, kochana moja – powiedziała, przypadając do córki i zamykając ją w uścisku swych chudych ramion. – Tak ogromnie mi przykro z powodu śmierci twojego najdroższego przyjaciela i kuzyna, naszego króla...

Mówiła nieco głośniejszym głosem, niż było to konieczne, ale G spodziewał się, że chciała, by każdy dobrze słyszał.

Jane bezwiednie odwzajemniła uścisk, a potem nagle uprzytomniła sobie, że komnata jest pełna ludzi, a wszystkie twarze skierowane są na nią.

– Chyba muszę na chwilę przeprosić – rzuciła gdzieś w przestrzeń. – Pewnie wy też potrzebujecie chwili na żałobę.

G zerknął na lorda Dudleya, który wydawał się zdumiony reakcją Jane.

– Ależ... wybacz, milady, lecz musisz przecież zostać na koronacji – powiedział książę.

– Doprawdy? – zdziwiła się Jane. – Tak szybko? Nowy król?

– Nie, milady. – Dudley zmarszczył brwi. – Królowa.

– Aha – odparła machinalnie. – Księżniczka Maria?

– Otóż nie. Ty, milady. – Skłonił się uprzejmie.

Jane spojrzała w lewo, potem w prawo, jakby szukała lady, o której mówi książę.

A potem ją olśniło.

Jej usta same się otworzyły.

– Ale... ale... ja nie chcę być królową. Ja nie mam prawa. Dziedziczką tronu jest Maria.

Do grupy podszedł giermek i rozwinął zwój papieru.

– Jego Wysokość przed śmiercią dokonał korekty w linii sukcesji mocą królewskiego dekretu. O, proszę: „...orzekam niniejszym, iż w przypadku mojej śmierci wszelkie moje tytuły i piastowane urzędy mają przypaść w spadku lady Jane Grey oraz jej męskiemu potomkowi”.

Lord Dudley uniósł brew.

– Czy pozwolisz, pani, towarzyszyć sobie w drodze do tronu, abyśmy mogli rozpocząć koronację?

– Tak prędko? – Cofnęła się o krok.

– Królestwo potrzebuje królowej, milady – odparł. – Jak najprędzej.

Matka skłoniła się Jane głęboko i z wdziękiem. G odczytał z wyrazu twarzy żony, że był to najbardziej niepokojący gest poparcia, jaki kiedykolwiek otrzymała. Jej twarz zastygła w grymasie osłupienia, ręce zwisały bezwładnie. Utkwiła błagalne spojrzenie w mężu, a G był całkiem pewien, że gdyby potrafiła zmienić się w brązowego karpackiego byka, wybiegłaby z zamku i tyle by ją widzieli.

Koń – wymówiła samymi ustami, a on zrozumiał, że chciała, by zmienił się w konia i ją stąd wywiózł. G bardzo żałował, że nie może spełnić jej prośby.

Miał przed sobą swoją lady, drżącą pod ciężkimi spojrzeniami wszystkich zgromadzonych w komnacie dworzan. Piękną Jane o lśniących czerwonych włosach i ślicznej twarzyczce. Tę Jane, która nie udawała, że ma wszystko pod kontrolą. Tę przyzwyczajoną do książek, nie do ludzi. Nieoswojoną z całą salą kłujących spojrzeń. Tę Jane, która uświadomiwszy sobie, jak ciężkim brzemieniem jest władanie państwem, nigdy z własnej woli nie sięgnęłaby po koronę.

Była teraz jego lady. A on się nią zaopiekuje.

Zrobił krok naprzód, ujął jej rękę i otoczył ją ramieniem. Stali, zetknięci nosami, przez bardzo długą chwilę, a szepty przyglądających im się dworzan powoli cichły.

– Poradzisz sobie – zapewnił ją tak, by tylko ona słyszała.

– Nie poradzę – odrzekła zachrypniętym głosem.

– W takim razie – wzruszył ramionami – podziękujemy im za nadzwyczaj hojną ofertę władania całym krajem i pójdziemy do domu. Gwizdzę na królewski dekret. Nie mam czasu na pierdoły, książki czekają.

Jej wargi rozciągnęły się w ledwie dostrzegalnym uśmiechu.

– To brzmi zachęcająco.

– Albo – podjął po chwili – zdecydujemy się na rozwiązanie alternatywne, nie naciskam, rzecz jasna, tylko proponuję. – Przesunął kciukiem po kostkach jej palców. – Przyjmiesz koronę i zrobisz wszystko to, co chciałaś zrobić, stojąc na czele państwa.

Podniosła na niego wzrok, a on ujął jej twarz w obie dłonie.

– Pamiętasz, jak pomogliśmy ludziom tamtej nocy? Teraz mogłabyś pomóc całemu królestwu, mogłabyś zmienić sposób myślenia arystokratów, pokazać im, że najwyższej urodzeni powinni troszczyć się o tych najniższej urodzonych. Wspólnymi siłami pomogliśmy najbiedniejszym. Zawsze możesz na mnie liczyć. No, chyba że akurat będę... na pastwisku.

– Myślisz, że to możliwe? – spytała. – Że moglibyśmy pomagać innym, rządząc?

G utkwiał w niej spojrzenie. Emanował niezachwianym optymizmem.

– Nie zapominajmy o niekończącej się fontannie darmowego ale.

Jane zarzuciła mu ramiona na szyję, wprawiając jego i cały dwór w bezmierne zaskoczenie. Bardziej konserwatywne damy z gracją zasłoniły spłonione policzki haftowanymi chustkami. Służący wymienili znaczące spojrzenia, jakby chcieli powiedzieć: nic dziwnego, że znaleźliśmy na podłodze sypialni porwane ubrania.

Lord Dudley promieniał jak latarnia, zupełnie jakby syn z synową już zapraszali go na chrzciny wnuka.

G zmroziło na widok ojcowskiego uśmiechu. Lord Dudley nigdy się przecież nie uśmiechał. Co on knuje?

Lord Dudley poprowadził Jane do tronu, ale ona za nic nie chciała puścić ręki G. Właściwie to ścisnęła mu palce, aż syknął z bólu, gdy arcybiskup Canterbury nakładał jej na skronie złotą koronę. Puściła go dopiero wtedy, gdy musiała przyjąć pozostałe insygnia: berło i jabłko.

Jej dłoń z jabłkiem drgnęła nerwowo. Jane zmrużyła oczy, a Gifforda naszała myśl, że zaraz rzuci złotą kulą w orli nos lorda Dudleya. Musiał przyznać, że wielki nochal aż się o to prosi. Ale Jane najwyraźniej zdołała się powstrzymać i zaraz odłożyła insygnia z powrotem na poduszkę.

– Niech żyje królowa Jane! – ogłosił lord Dudley.

– Niech żyje! – zawtórowali dworzanie.

I już po wszystkim. Tak po prostu. Kilka godzin temu nieomal pocałowali się w wiejskim domu, a teraz Jane była królową Anglii. Pomimo że G opuścił kilka lat dworskiego życia i nie wiedział o ewentualnych zmianach, jakie zaszły w tym czasie w protokole, pamiętał bardzo dobrze koronację króla Edwarda. Świętowanie rozpoczęło się na trzy dni przed samym wydarzeniem, a sama koronacja trwała kilka godzin i miała miejsce w wykwinnych wnętrzach katedry westminsterskiej, a nie w cokolwiek mniej formalnej komnacie tronowej pałacu. Król Edward był wówczas dziewięcioletnim chłopcem i ledwie mógł ustać, dźwigając na sobie koronę i zdobne królewskie szaty.

Tymczasem koronacja Jane trwała może z dziesięć minut. Obeszło się bez hucznej celebracji, bez pompy i całego dworskiego splendoru, które powinny chyba towarzyszyć tak doniosłemu zdarzeniu. Rozejrzawszy się po komnacie, G doszedł do wniosku, że nie on jeden jest tego zdania – dojrzał wokoło mnóstwo sztucznych uśmiechów i pełnych zaniepokojenia spojrzeń. Wyjątkami byli rzecz jasna matka królowej i jego ojciec, którzy promienieli dumą jak latarnie morskie w czasie sztormu.

Lord Dudley stanął przy tronie, nieco przedwcześnie zdaniem G, zajmując miejsce królewskiego doradcy, drugiej najpotężniejszej osoby w państwie. Dworzanie i arystokraci ustawili się w długiej kolejce do królowej, chcąc zapewnić ją o posłuszeństwie i lojalności, ale uwagę samego G zwróciło jakieś zamieszanie przy wejściu. Do sali wkroczył posłaniec, ostrożnie i dyskretnie, jak każdy posłaniec od czasów Króla Lwa.

Gdy lord Dudley go zauważył, jak gdyby nigdy nic przywołał go do siebie i odebrał zapieczętowaną kopertę.

Przeczytawszy wiadomość, zmarszczył brwi. A po chwili grymas na jego twarzy pogłębił się jeszcze bardziej. Złożył list, włożył go do kieszeni i gdzieś

się oddalił.

G był jedyną osobą, która to widziała. Atmosfera niepewności z początku otaczająca dziedziczkę tronu rozwiązała się i teraz komnata tronowa wrzała gwarem i ekscytacją.

G nachylił się do ucha Jane, by szepnąć:

– Wasza Wysokość...

– Sam jesteś Wasza Wysokość.

– Milady – uśmiechnął się – przepraszam na moment.

Przeniosła na niego zmartwione spojrzenie, ale kiwnęła głową.

– Ale wracaj zaraz.

G szybko i niepostrzeżenie poszedł za ojcem do dalekiego kąta pomieszczenia, gdzie znajdowało się wejście do małej kaplicy. Lord Dudley przywołał swojego najbardziej zaufanego zausznika i wyjął kopertę z kieszeni. Przeczytał list i skrzywił się. Opuścił rękę z kartką.

– Tego się obawiałem – powiedział. – Pomimo naszych starań wieść o koronacji Jane dotarła do Marii, nim zdążyliśmy ją pochwycić. Ktoś musiał ją ostrzec.

G skulił się nieco bardziej, skryty za filarem. Był pewien, że ta konwersacja nie była przeznaczona dla jego uszu.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiadomo. Najprawdopodobniej umknęła do Kenninghall. Ale ważniejsze jest to, że odmawia uznania Jane prawowitą królową.

Gdy G to usłyszał, serce podeszło mu do gardła. Ale kolejne słowa wypowiedziane przez ojca okazały się jeszcze bardziej przerażające:

– Znajdźcie ją i aresztujcie. Zróbcie to jutro do zmroku. Jeśli zawiedziemy, wojsko może się opowiedzieć po stronie Marii. A wtedy stracimy tron.

*

G obleciał zimny dreszcz, gdy totumfacki lorda Dudleya ruszył biegiem w kierunku wyjścia, zapewne w celu wykonania rozkazu. Dlaczego Maria nie wiedziała o tym, że jej brat zmienił linię sukcesji? Król może i nie czuł potrzeby konsultowania swojej decyzji z siostrą, ale przecież by ją o niej powiadomił. Prawda?

G przyglądał się, jak ojciec poprawia ubranie i prostuje plecy, a malujący się na jego twarzy wyraz napięcia płynnie przechodzi w wyćwiczoną maskę życzliwości. G opuścił kryjówkę i podszedł do niego.

– Ojczy – powiedział.

Lord Dudley aż podskoczył, ale szybko odzyskał kontenans.

– Giffordzie, czy nie powinieneś być teraz przy królowej?

– Ojczy, widziałem posłańca.

Książę machnął ręką.

– Och, to nic takiego. Informacja o przygotowaniu waszych nowych kwater. Tyle rzeczy do załatwienia, istne urwanie głowy.

G wziął głęboki wdech, nie chcąc zdradzić się z tym, że podsłuchiwał, ale jednocześnie chciał dowiedzieć się więcej.

– Słyszałem, co powiedziałaś doradcy. O Marii.

Lord Dudley złapał syna za ramię i wciągnął go za jedną ze zwieszających się z sufitu bogato zdobionych królewskich chorągwi.

– Ostrożnie, synu. Lepiej nie mówić o takich sprawach. Zwłaszcza że cię nie dotyczą.

– Jeśli ktoś zagraża królowej, mojej żonie, to jest to moja sprawa – odparł G, walcząc, by nie podnieść głosu.

– Śmiem wątpić. Królowa i jej małżonek nie muszą być informowani o każdym szczególe związanym z zarządzaniem państwem. Od tego jestem ja.

– To nazywasz szczegółem? Przecież słyszałem, jak... – G prawie krzyknął, ojciec zamknął mu usta groźnym spojrzeniem. – Słyszałem, jak mówiłeś – podjął nieco ciszej – że... stracimy tron, jeśli nie uda się pojmać Marii.

Ciężka dłoń księcia spoczęła na ramieniu G, a nos wystrzelił w górę, jakby chciał wciągnąć całe angielskie powietrze. G przez chwilę obawiał się, że sam zostanie wessany do środka.

– Synu, wytłumaczę ci to tylko raz. Twoja żona jest królową Anglii. Nieboszczyk król Edward zadbał, by korona przypadła właśnie jej. Edykt podpisany został przez wszystkich trzydziestu jeden członków Tajnej Rady. Ty zaś jesteś małżonkiem królowej, który wkrótce będzie królem Anglii.

On? Królem?

To dopiero przerażająca myśl. Z drugiej strony długo rozmawiali z Jane o tym, co by zrobili, gdyby rządili państwem. Jeśli będą rządzić razem, może uda im się coś zdziałać. A poza tym świetnie by wyglądał w koronie.

– Ale wciąż musisz się jeszcze wiele nauczyć – podjął ojciec. – Pozwól mi działać. Zaufaj mi, nie pozwolę, by jakiś rozkapryszony babsztyl, w dodatku z nieprawego łoża, pomieszał mi szyki!

– Masz oczywiście na myśli szyki królowej – odrzekł wolno G. – Prawda, ojczy? Królowej?

– Tak, tak, oczywiście, że chodzi o królową – zaczął się lord Dudley, ucinając temat.

– Ale ludzie lubią Marię, nawet jeśli jest trochę staroświecka. Jeśli zjedna sobie popleczników...

Ojciec G uniósł rękę.

– Giffordzie, urabiam sobie ręce po łokcie, by zapewnić ci świetlaną przyszłość. Tobie i Anglii. Robiłem rzeczy, na które tobie nigdy nie starczyłoby odwagi. Skup się na swojej drodze do tronu. Do tego czasu ogranicz swoje eksperckie opinie tylko do tematów, które pojmujesz. Do jabłek, dajmy na to.

Z tymi słowami książę wyszedł z za chorągwi, zostawiając G w kaplicy z wyrazem twarzy, który mógł zrodzić się tylko w gwałtownej negacji dla słów własnego ojca. Opuścił kaplicę. Gdy Jane wyłuskała go okiem z tłumu, nie uśmiechnęła się. Może ojciec ma rację. Dopóki korona nie znajdzie się na jego głowie, powinien się zająć swoimi sprawami.

EDWARD

Król (to znaczy prawowity król), choć sam w niczym nie zawinił, zgubił się i nic nie mógł na to poradzić. Podczas kilku pierwszych godzin spędzonych w eđiańskiej formie przeżywał coś, co można było nazwać euforyczną ptasią ekstazą – słodką radość z lotu, ujeżdżania wiatru, sprawdzania możliwości swoich skrzydeł, zanurzenia w bezgłośnym spokoju świata widzianego z wysoka. Zatracił się w euforii, zdał sobie sprawę, jak wspaniale jest czuć... no cóż, że się żyje, a nie umiera.

Edward, choć jeszcze wówczas tego nie wiedział, przemienił się w pustułkę, to jest (wyjaśniamy to w trosce o tych czytelników, którzy nie są za pan brat z ornitologią) małego sokoła – dokładnie z gatunku *Falco tinnunculus* – którego charakteryzuje bardzo piękne nakrapiane upierzenie. Edward wiedział wówczas tylko tyle, że ma skrzydła, dziób i dwie nogi zakończone szponami, czyli bez wątpienia był ptakiem, a nie na przykład langustą. Wiedział też, że tam, w górze, mknąc pod samym niebem, był tak wolny jak nigdy.

Lecz po jakimś czasie – kto wie po jak długim, skoro szczęśliwi czasu nie liczą – zaczęła go męczyć bardzo ludzka myśl, którą można by wyrazić w sposób następujący: „Powinienem coś teraz robić”.

Zaraz za nią przysła inna: „Powinienem dokądś zmierzać”.

Wyteżył umysł, by przypomnieć sobie więcej.

Zaraz, nie dokądś, tylko do kogoś. Kogoś, kto może mi pomóc.

W tym momencie przypomniał sobie, że jest nie tylko ptakiem, ale i królem, i że ktoś próbował go zabić i zagarnąć jego tron, on zaś wraz z siostrą imieniem Bess, która powiedziała mu... Co ona mu takiego powiedziała? Ach tak, że jego matka również była ptakiem, pięknym białym ptakiem, a czyż to nie wspaniale być ptakiem, władać przestworami nieba i unosić się, i szybować wysoko... Wtedy powróciła ptasia euforia. Przez jakiś czas znów nie myślał o niczym.

Ale później dotarło do niego:

Nie, wcale nie to powiedziała mi Bess. Kazała mi się udać do babki. Choć przecież nie widział jej od lat.

Starsza pani mieszkała w Helmsley. W opuszczonym, zapadłym, starym

zamczysku.

Gdzieś na północy.

Tylko gdzie jest północ?

Jako szesnastoletni chłopak Edward nie miał szczególnie dobrej orientacji w terenie, ponieważ wszystkie podróże w swoim życiu odbył we wnętrzu karety, którą kierował ktoś inny. Również jako ptak, który był ptakiem od raptem kilku godzin, nie potrafił odróżnić wschodu od zachodu i południa od północy. Wiedział, że tam jest rzeka, a tam obszar pofałdowany niskimi wzgórzami, że pod nim znajdują się rozległe zielone pola, a wśród traw – nie miał pojęcia, skąd to wie – wyłazi właśnie z norki mysz polna. Jego ciało samo z siebie złożyło się do pikowania i pofrunęło ku bezbronnej istotce. Skrzydła poruszały się jakby wbrew woli umysłu, wiatr zafurkotał w lotkach, szpony same się rozcapierzyły, aż wreszcie Edward pochwycił mysz z niesamowitą mocą i porwał ją z ziemi w powietrze. Biedne zwierzątko wydało z siebie przeraźliwy pisk – co było zrozumiałe, skoro konało właśnie w pazurach drapieznika – a potem umilkło na zawsze. Edward pustulka sfrunął na gałąź pobliskiego drzewa, wciąż trzymając w szponach zdobycz, a potem, ku przerażeniu Edwarda chłopca, zjadł ją, razem z kośćmi i futerkiem.

Siedział chwilę na drzewie, zmagając się z falą obrzydzenia do samego siebie, przez którą przebijała się chęć, by znaleźć drugą apetyczną myszkę albo może jakiegoś smakowitego węża. Jak by nie było, rósł, więc to normalne, że miał wilczy apetyt. Postanowił mimo wszystko powściągnąć swoje ptasie odruchy. Czas w drogę. Słońce chyliło się ku zachodowi... Zaraz, przecież ledwie wstało.

Północ. Muszę lecieć na północ – nakazał sobie surowo.

Tylko gdzie ta północ?

Słońce zachodzi na zachodzie – olśniło go nagle. Skierował się więc tam, gdzie w oparciu o ten fakt ustalił kierunek północny. Ale gdy już wzbił się w powietrze, w kilka minut owładnął nim wiatr i przepelniła go euforia swobodnego lotu. Otrząsnął się z niej dopiero po kilku godzinach, gdy niebo zrobiło się już całkiem ciemne, i znów nie miał pojęcia, w którym lecieć kierunku.

Tak więc, jak już wspomnieliśmy, król się zgubił i nic nie mógł na to poradzić.

Przez chwilę podążał za kareta, która toczyła się wolno polną drogą. Pewnie wiozła kogoś ważnego, bo ze wszystkich stron otaczali ją strażnicy na koniach. Ktoś, kto miał tak liczną obstawę – około dwudziestu chłopca – mógł

zmierzać tylko do Londynu, a to było ostatnie miejsce, do którego chciał się udać Edward. Okręcił się więc w powietrzu i pofrunął w kierunku przeciwnym.

Droga zaprowadziła go do zabitej dechami wioski. Na skraju małego skupiska chat rósł wielki dąb. Przysiadł na jednej z górnych gałęzi i rozejrzał się wkoło. Zdał sobie sprawę, że świetnie widzi w ciemności.

Osada stanowiła skupisko rozproszonych w niewielkiej odległości gospodarstw o dachach krytych strzechą oraz kilku większych budynków. Znad jednego, zapewne kuźni, w powietrze unosiła się smuga dymu. Nieopodal stały też niewielka stajnia i olbrzymia odrapana drewniana buda, która wyraźnie górowała nad pozostałymi zabudowaniami. Edward zobaczył światło w oknach i szyld, który wyobrażał koński łeb. Ze środka dobiegały dźwięki rubasznej pieśni, głośne męskie śmiechy i rozmowy. Karczma.

Mógłby przybrać ludzką postać i wejść do środka. Ludzie pewnie by go rozpoznali – w końcu jego twarz widniała na monetach. Jego poddani go kochali, no nie? Był ich umiłowanym królem, namaszczonym przez Boga władcą ich wszystkich. Tak mu zawsze mówiono.

Ale jak się przemienić z ptaka w człowieka? Nie wiedział nic o żadnej magicznej formule, serii rytualnych gestów ani jakimś specjalnym zaklęciu. Nie rozumiał też, jak właściwie wcześniej zmienił się z człowieka w ptaka. Po prostu wyskoczył z okna, modląc się o skrzydła i mając nadzieję, że się nie zabije.

Omiótł wzrokiem karczmę. Znajdzie tam jedzenie. Prawdziwe jedzenie, nie myszy i węże. Pieczywo i ale. I z całą pewnością nic z tego nie będzie zatrute.

Będzie potrawka, może nawet z królika, tak delikatna, że rozplywająca się w ustach, z cebulą, marchwią i ziemniakami. Coś, co świetnie zapełni jego pusty brzuch.

Kto wie, może nawet będą mieli w menu jeżyny.

Edward spadł z drzewa. Ponieważ zajmował najwyższą gałąź, zrobił przy tym sporo hałasu, najpierw łamiąc gałęzie i klnąc, a potem uderzając o grunt. Źle wylądował na lewej nodze i prawie nie skręcił kostki. Co uświadomiło mu, że znowu ma kostki. Zaprzagnął stać się człowiekiem, by zjeść ludzkie jedzenie, i zmienił postać.

Drzwi najbliższego gospodarstwa były otwarte na oścież. Wyszła z nich spora kobiecina o czerwonej twarzy, odziana w fartuch. W rękę trzymała patelnię. Z domostwa ulatniał się zapach pieczonego chleba i Edwardowi natychmiast zaburczało w brzuchu, a ślina napłynęła mu do ust.

Boże jedyny, ależ był głodny!

Staął chwiejnie na nogach. Kostka tak go bolała, że oczy nabiegły mu łzami.

– Szanowna pani... – wyjęczał.

Kobieta zmierzyła go wzrokiem i wtedy Edward uświadomił sobie coś jeszcze.

Mianowicie, że jest nagi.

Postanowił zachować się w tej poniżającej sytuacji tak królewsko, jak to tylko możliwe. Królowie nie kulili się, przykładając ręce do krocza – tak czynili wyłącznie prostaczkowie. Staął więc prosto i próbował utrzymać z kobietą kontakt wzrokowy.

– Eee... szanowna pani, zdaję sobie sprawę, że to... dość niecodzienny widok, ale jeśli pozwoli mi pani wytłumaczyć, z pewnością...

– Zboczeniec! – wrzasnęła.

– Ależ skąd, nie zrozumiała mnie pani...

– Jesteś jednym z tych obrzydliwych Eđianów, nie? – krzyknęła, oblewając się jeszcze głębszą czerwienią.

No cóż, może zrozumiała wszystko doskonale.

– To kiedyś porządna wioska była, ale potem przyszli twoi znajomkowie i wszystko poszło w diabły. Złodzieje i mordercy, tym właśnie jesteście! Jak te psy, co podglądają mnie przez okno, jak się ubieram, a potem uciekają. Zboczeńcy, każdy jeden!

– Zapewniam panią, że w żadnym razie...

Kobieta rozwarła usta na pełną szerokość, a potem uniosła patelnię i zakręciła nią nad głową młynka, jak górski wojownik mógłby zakręcić toporem.

– ZBOOOOOK! – ryknęła, po czym ruszyła na Edwarda, tłukąc go patelnią, gdzie popadło.

Próbował umknąć, ale jego kostka odmawiała współpracy, i w dwa kroki uszło z niego całe powietrze. Nie uciekał więc tak szybko, jak by chciał, choć z drugiej strony kobieta też nie była u szczytu formy. Kiedy kilka razy przywaliła mu patelnią w głowę, odczuła dostateczną satysfakcję. Odskoczyła od niego i ruszyła z powrotem ku domostwu, na odchodnym raz jeszcze wzywawszy go od zboczeńców.

Edward kuśtykał nago przez spowitą w mroku wioskę, czując się zupełnie nie po królewsku. Postanowił ukraść kilka suszących się na sznurze ubrań, ale ich właściciel, jak się okazało, miał psa, a pies brzydki zwyczaj gryzienia

intruzów po nogach – szczególnie po tych zdrowych, żeby już w ogóle nie byli w stanie się poruszać. Edward doczłapał jakoś do następnego gospodarstwa i wszedł do stajni. Wdrapał się po drabinie na poddasze, po czym zwałił się na stóg drapiącego w plecy siana i skulił pod derką.

Lepiej mi było pod postacią ptaka – pomyślał, nieszczęśliwy. Kilka razy próbował zmienić się ponownie: usilnie wyobrażał sobie siebie ze skrzydłami, ale nic się nie stało. Siano sprawiło, że zaczął kichać i kaszleć, a wkrótce rozkaszłał się na dobre. Najwyraźniej trucizna wciąż jeszcze krążyła w jego żyłach i stopniowo ujmowała mu życia. Ciągłe był też chorobliwie słaby. Na domiar złego bolała go nadwyrężona kostka i pulsowała bólem rana po ugryzieniu, a nad skronią, tam, gdzie trafiła go patelnia rozsierdzonej chłopki, rósł guz wielki jak gęsie jajo. No i jeszcze te siniaki, niemal w całości pokrywające chude, drżące ramiona. Nie wspominając już o tym, że wciąż bolały go ranki po upuszczeniu krwi przez Boubou.

No i było mu zimno. I był zły. I zupełnie nie wiedział, gdzie jest.

Zanurzył twarz w derce i otarł łzy. Wiele by dał, by był tu z nim jego pies. Pet ogrzałaby go, dodałaby mu otuchy, choć przecież świadomość, że jest ludzką dziewczyną, wciąż sprawiała, że czuł się nieswojo. Ale Pet już mu nie pomoże. Wszystko przepadło. Nie ma tu Pet, nie ma Jane ani Bess. Straci koronę i królestwo.

I co ja mam teraz zrobić?

I wtedy, ponieważ był wykończony, podtruty, ranny i głodny, król – choć technicznie rzecz biorąc, Edward nie był już królem, bo karetą, którą widział na drodze, jechali Jane i Gifford, zaś Jane dosłownie przed chwilą koronowano na królową Anglii – a więc chłopiec, który niegdyś był królem, zapadł w niespokojny sen.

*

Obudził się, gdy zaświeciła mu w oczy przystawiona blisko latarnia i gdy poczuł na gardle nóż.

– Czołem – przywitał się właściciel noża.

A właściwie właścicielka, dziewczyna w jego wieku. Na pewno nie miała więcej niż osiemnaście lat, choć trudno było to stwierdzić w tym świetle. Zieleń jej oczu zapierała dech w piersi.

Nie śmiał się poruszyć. Pewnie ze względu na nóż.

– No? – odezwała się po dłuższej chwili. – I co powiesz, koleżko?

Tylko że Edward jej nie zrozumiał, bo w jego uszach brzmiało to jak: „Iczopowieszkoleszko”.

– Jesteś Szkotką – mruknął. – Czy ja jestem w Szkocji?

Prychnęła.

– Czyli nie jestem – odpowiedział sam sobie.

Zmrużyła oczy. Ani myślała cofnąć nóż.

– Kim jesteś? – zapytała, a jemu udało się odszyfrować znaczenie od razu, pomimo szeleszczącego szkockiego akcentu. – Co tu robisz?

Nie miał odpowiedzi na jej pytania. Gdyby zdradził, kim jest naprawdę, mogłaby: a) nie uwierzyć mu i poderżnąć mu gardło albo b) uwierzyć mu, a ponieważ on był władcą Anglii, a ona Szkotką, a był rok pański 1553, poderżnęłaby mu gardło z jeszcze większą przyjemnością. Obydwu zakończeń wolał uniknąć.

Wpatrywała się na niego, jakby samym wzrokiem chciała wydusić z niego odpowiedzi, a dotyk noża na gardle był lodowaty i wybitnie nieprzyjemny, więc postanowił zacząć gadać, i to najlepiej w miarę przekonująco.

– Mam na imię Dennis – wypalił.

– Dennis – powtórzyła, ani myśląc odjąć nóż. – To imię czy nazwisko?

– Jestem czeladnikiem waszego kowala – dodał pospiesznie, żeby nie dać po sobie poznać, że właściwie nie wie, czy imię czy nazwisko. – Na drodze napadli mnie zbóje.

Na te słowa zaciśnięte usta dziewczyny rozciągnęły się w uśmiechu, który Edward uznałby za urokliwy, gdyby jego właścicielka nie rozważała poderżnięcia mu gardła. Ona sama była śliczna, i to nie tylko za sprawą tych zielonych oczu. Kaskada czarnych loków opływała jej bladą twarz w kształcie serca z ostro zakończonym podbródkiem i drobnymi czerwonymi ustami.

– Kiepski z ciebie kłamca, kolego. – Wolną ręką zerwała z niego derkę i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, nie pomijając żadnego szczegółu pomiędzy.

Edward był zbyt zaskoczony, by protestować.

– Sprawdzam tylko, czy czasem nie chowasz tam miecza – wyjaśniła z uśmiechem. – Ale nie widzę tu nic szczególnie niebezpiecznego. – Zabrała nóż i usiadła. – Biedny mały. Nieźle cię poturbowali, co?

Edward wyrwał jej derkę z rąk i przycisnął do piersi. Nie wiedział, co miała na myśli, mówiąc: „biedny mały”. Z pewnością nie chodziło o żadną część jego ciała. Twarz miał czerwoną jak rozgrzane żelazo.

– Mówiłem już: napadli mnie zbóje – powiedział, jękając się przy ostatnim słowie. – Zabrali wszystko.

– Och, czyli paradowałeś w jedwabiach? Trele morele. Kim ty naprawdę jesteś? – złapała go za dłoń i odwróciła wierzchem do góry. – Bo to nie są ręce kowala.

Wysunął dłoń z jej palców i dźwignął się chwiejnie na nogi, wciąż trzymając koc przy ciele. Dziewczyna również wstała i otrzepała się z siana. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nosi spodnie – czarne, a do tego białą tunikę i czarny płaszcz, i czarne buty, wysokie prawie do kolan. Pierwszy raz widział kobietę w spodniach. To nieobyczajne. Nie na miejscu. I zaskakująco ponętne.

– A ty co za jedna? – wypalił. – Bo też nie wyglądasz mi na córkę rolnika. Zielone oczy zapłonęły, ale znowu się uśmiechnęła.

– Wiesz, co sobie myślę?

Nie miał pojęcia.

– Myślę, że jesteś zbiegłym Eđianinem. Znalazłeś schronienie w tej stajni, kiedy się rozpadało. Oczywiście przebywałeś w swojej zwierzęcej formie, dlatego utknąłeś tutaj bez ciuchów. – Zacmokała współczująco. – No to w jakie zwierzę się zmieniasz?

– Pada jeszcze? – zagadnął, jednocześnie zdając sobie sprawę, że deszcz nieprzerwanie łomocze o dach. Ot, takie właśnie miał szczęście tej nocy.

– Jesteś z Watahy? – spytała. – Wydajesz się nieco zbyt zielony na Watahę.

Chciał powiedzieć coś w stylu: „Nie wiem, o czym mówisz, jaka Wataha, oczywiście, że nie jest Eđianinem”, ale zanim zdołał wydusić choć słowo, dziewczyna przechyliła głowę na jedną stronę, nasłuchując, po czym natychmiast zgasła latarnię. Stajnia utonęła w mroku czarnym jak tusz.

– Co się... – zaczął, ale natychmiast przerwał, gdy dziewczyna przypadła do niego i uciszyła go, kładąc mu palec na ustach. Stracił wątek.

Na parterze otworzyły się drzwi i do środka wtoczył się mężczyzna z latarnią w ręku. Nakarmił zwierzęta, nie przestając utyskiwać na deszcz. Edward i dziewczyna zamarli w bezruchu, oddzieleni od siebie tylko oddechem, a jej palec wciąż spoczywał na jego ustach.

Nawet w ciemności jej oczy lśniły zielenią. Niczym szmaragdy w klejnotach koronnych.

Edward wstrzymał oddech. Uświadomił sobie, że ma straszną ochotę ją pocałować, co było niedorzeczne. Przecież jeszcze przed chwilą groziła mu nożem. Była zupełnie obcą osobą, kobietą w spodniach, zupełnie niegodną

zaufania.

A jednak stała przed nim, dotykając jego warg, co wypełniło mu głowę myślami o tym, że chciałby odwzajemnić dotyk. Gdy przeniósł wzrok z jej oczu na usta, jej policzki pokryły się dziewczęcym rumieńcem. To jeszcze wzmogło myśli o pocałunku.

Chłop wyszedł na zewnątrz.

Dziewczyna cofnęła się o krok, a uśmiech zniknął z jej warg. Odchrząknęła i poprawiła nerwowo nóż za paskiem.

– Muszę już iść – powiedziała.

Z jakiegoś powodu zupełnie się tego nie spodziewał. Iść? Tak szybko? Po tym, jak zbudziła go ze snu, groziła mu i przepytowała jak na świętej spowiedzi? Musi iść? Ale ja wcale nie chcę, byś sobie szła!

– Przecież pada... – To zabrzmiało kiepsko nawet dla niego samego. – No i nie dowiedziałaś się jeszcze, kim jestem.

– Szczerze mówiąc, aż tak mnie to nie obchodzi.

Skierowała się ku drabinie. Za minutę już jej tu nie będzie! A on zostanie sam, w takiej samej sytuacji jak poprzednio: bez ubrań, bez grosza przy duszy, bez planu. Samotny i opuszczony.

– Czekaaj – zawołał za nią.

Ale ona postawiła już stopę na szczeblu drabiny i szybko zeszła na dół. Nagle drzwi stajni otworzyły się z impetem i do środka wszedł chłop z mieczem w garści. Dziewczyna poruszyła się, jakby chciała uciekać, ale mężczyzna przyłożył jej ostrze do piersi. Zamarła w bezruchu.

– Wiedziałem, żeś tu wlaźła – warknął. – Mało ci było moich kurczaków, co? Musiałaś wrócić po więcej?

Uniosła ręce w pojednawczym geście, ale jej usta rozciągnął wredny uśmiezek.

– Były takie pyszne, że nie mogłam się powstrzymać.

Chłop parsknął szyderczo.

– Powinienem cię zadźgać i zakopać za oborą. Ale nie, rano oddam cię sędziemu, a on urznie ci łapę. To będzie dla ciebie nauczka.

Powinienem coś zrobić – rzuciło się Edwardowi na myśl. – Uratować ją jakoś. Ale przecież był nagi i bezbronny. Obrońca dam z bożej łaski.

Dziewczyna wyprężyła się jak struna.

– A co powiesz na to: wypuścisz mnie, a ja będę odtąd trzymać się z dala od twoich kur.

Nie czekając na odpowiedź, zrobiła unik w prawo i zaraz uskoczyła

w lewo, mimo to chłopu udało się ją ucaścić za włosy. Zawłókł ją w ką. Szarpała się, sięgnęła po nóż, ale napastnik złapał go pierwszy i odrzucił na bok.

Naprawdę powinienem coś zrobić – myślał Edward. – Jak najszybciej.

– A może sam urżnę ci łapę? – wycedził rolnik.

Dość – orzekł Edward w myślach.

Błysnęło światło. Zaskoczony rolnik spojrział w górę, a wtedy spadł na niego ptak, a jego szpony wbiły mu się w twarz. Mężczyzna wrzasnął i upuścił miecz. Dziewczyna wykorzystała okazję, by wrazić mu kolano w krocze, a gdy zwałił się na ziemię, poprawiła siarczystym kopniakiem w żebra. Wtedy przystanąła na chwilę, jakby chciała coś do niego powiedzieć, może uraczyć jakąś wymyślną złośliwością, lecz zmieniła zdanie, porwała nóż z ziemi i prysnęła na zewnątrz.

Edward pomknął za nią. Dobrze, że patrzył na nią ptasimi oczami, ponieważ wykazała nadzwyczajną zdolność rozplływania się w ciemności. Gdy wbiegła do lasu, lawirowanie między drzewami sprawiło mu pewną trudność. Przynajmniej deszcz zelżał do orzeźwiającego kapuśniaczka, a spomiędzy drzew prześwitywała srebrna tarcza księżyca. Dziewczyna biegła prędko, lekko i wprawnie, jakby była przyzwyczajona do ucieczek w środku nocy.

Przebyła jakieś dwie mile, nim na małej polanie zatrzymała się na odpoczynek. Edward sfrunął na gałąź nad jej głową, a ona spojrziała w górę.

– Nie nafajdasz mi aby na włosy? – prychnęła śmiechem.

Skrzeknął w odpowiedzi.

– Lepiej złaż. Możesz się już przemienić. – Zrzuciła płaszcz z ramion. – To dla ciebie.

Zleciał na ziemię, a potem stał nieruchomo przez kilka minut, wciąż pod postacią pustulki.

– Naprawdę jesteś zielony, co? – spytała. – Nawet nie wiesz, jak zmienić się z powrotem w człowieka?

Lecz on nagle, jak gdyby nigdy nic, przemienił się i stał teraz przed nią, nagusieńki jak poprzednio. Dziewczyna wbiła wzrok w ziemię, tłumiąc wesołość, i wyciągnęła do niego rękę z płaszczem. Edward wziął go i owinał się nim pospiesznie. Okazał się o niebo lepszy od końskiej derki, jednak nie zapewniał wiele ciepła. Poza tym król wciąż czuł się nagi.

– Dziękuję za pomoc. – Założyła za ucho niesforny kosmyk. – Sama bym sobie z nim poradziła, ale nie przezasowałam mu mordy tak malowniczo jak ty.

– Czyli trudnisz się kradzieżą kurczaków? – zagał Edward.

– Trudnię się kradzieżą wielu rzeczy – przyznała.

Nigdy wcześniej nie spotkał przestępczyni. Pewnie uznałby to za strasznie ekscytujące zdarzenie, gdyby wcześniej nie doświadczył innych strasznie ekscytujących rzeczy.

– Nazywam się Grace – powiedziała, spoglądając mu w oczy.

– To imię czy nazwisko?

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

– Grace MacTavish – dodała, skłaniając się. – Do usług.

– Edward – rzucił po prostu.

– A nie Dennis? – Dopiero teraz zauważył, że gdy się uśmiechała, robiły się jej dołeczki w policzkach. A właściwie nie gdy się uśmiechała, lecz gdy próbowała stłumić śmiech.

– Nie, nie Dennis.

– Dobra. Współczułabym ci, gdybyś naprawdę miał na imię Dennis. Idziemy?

– Dokąd?

– W jakieś bezpieczniejsze miejsce.

Chętnie – pomyślał. Z przyzwyczajenia podał jej rękę. Obrzuciła go niedowierzającym spojrzeniem, ale zaraz potrząsnęła nią i ruszyli przed siebie.

– Zmieniłabym się, tam, w stodole – powiedziała, gdy przedzierali się przez gęstwinę. – Ale wtedy sama zgubiłabym ciuchy, a do kryjówki, gdzie mam zapasowe, jest dobre pół dnia biegiem. No i uwielbiam te buty – dodała.

– Zmieniłabyś się? Czyli też jesteś Eđianką? – Serce załomotało mu w piersi. Co go tak pociągało w tej dziewczynie?

– Jestem. Nigdy nie widziałam Eđianina, który byłby pustułą. Nawet ładny z ciebie ptaszek.

Ścisnęło go w żołądku

– Jestem pustułą? Jesteś pewna, że nie innym ptakiem?

– Rzadko obserwuję ptaki, ale potrafię rozpoznać te drapieżne – odpowiedziała. – A bo co?

Wykręcił się od odpowiedzi, ale wiedział z lekcji sokolnictwa, które pobierał od dziecka, że wybór ptaka, z jakim się poluje, zależy od pozycji społecznej łowcy. Prawdziwie królewskim drapieżnikiem był białozór, największy i najwspanialszy ze wszystkich ptaków. Jeszcze jako księżę polował z sokołami (tylko nieznacznie ustępującymi pod względem

wspaniałości białozorom), podczas gdy rycerze jego ojca korzystali z pomocy rarogów, damy używały drzemlików, giermkowie rarogów górskich i tak dalej.

Pustułka była najmniejszym i najsłabszym przedstawicielem sokolej rodziny. Ptakiem dla służby.

Edward stłumił kaszel.

– A ty jakim jesteś zwierzęciem?

Dołeczki.

– Poczekaj, a się przekonasz.

Nagle ugięły się pod nim kolana, bynajmniej nie z powodu zachwyków nad urodą dziewczyny. Czuł się wykończony. Takie przeżycia to było za wiele na jego schorowane ciało. Myśli pływały mu w głowie, potykał się o własne nogi.

Złapała go za ramię.

– Jesteś chory – zauważyła. – Chcesz się zatrzymać na chwilę?

Pokiwał głową. Zaprowadziła go do drzewa z wystającym z ziemi wielkim korzeniem, na którym mógł usiąść. Przez kilka minut kasłał cicho w płaszcz. Stała kilka kroków od niego i bacznie mu się przyglądała.

– Czy to krztusica? – Świadomość, że szła razem z człowiekiem ogarniętym chorobą, uwidoczniła się na jej twarzy.

– Nie. – Spojrzył na nią. – Próbowano mnie otruć.

Uniosła te swoje psotne brwi.

– Otruć, powiadasz? A niby kto?

– Lord Dudley – odparł, zbyt zmęczony, by próbować kręcić.

– Dlaczego ktoś miałby cię otruć?

– Bo... – A więc to już. Będzie musiał wyznać jej, kim naprawdę jest, a ona będzie musiała podjąć decyzję, co z nim zrobić. – Bo jestem...

– No wykrztuś to z siebie – ponagliła. – Ledwo wytrzymuję napięcie.

No cóż, jeśli postanowi jednak poderżnąć mu gardło, to przynajmniej jego cierpienia skończą się tu i teraz. Może tak będzie lepiej – pomyślał.

– Jestem Edward Tudor. I potrzebna mi twoja pomoc.

JANE

No to jestem królową. Ale numer.

Jane wydała z siebie nerwowy, może nawet paniczny śmiech. Jak Edward mógł jej to zrobić? Dlaczego jej to zrobił? Przecież sam uważał, że kobiety nie powinny mieć się władzy. Gdyby był w pełni sił umysłowych, nigdy nie namaściłby jej na królową.

Chyba właśnie tak było: Edward po prostu był niespełna rozumu. Krztusica namieszała mu w głowie, zaburzyła proces podejmowania decyzji. Przecież dotąd, przynajmniej jej zdaniem, był człowiekiem bardzo rozsądnym. Co ona miała, jego zdaniem, zrobić z całą tą władzą, którą ją obdarzył?

Znowu się roześmiała, choć tym razem głos jej się załamał i ostatnia nuta bardzo przypominała gorzki szloch. Była królową. Władczynią. Monarchinią. Dowódczynią. Głową państwa. Szefową wszystkich szefów. Tą, która, jak to się mówi, nosi portki w tym kraju. Grubą rybą. Królową Anglii.

Jane była przeciwniczką poglądu, że kobiety są słabsze od mężczyzn; twierdziła, że dorównują im nie tylko umysłowo, ale i fizycznie. Odebrała nie mniej solidne wykształcenie od Edwarda – przez jakiś czas nawet dzielili tych samych guwernerów – poza tym zawsze była najlepsza w dziedzinie, do której zdecydowała się przyłożyć. Znała osiem języków, na litość boską, a niektórzy nauczyciele okrzyknęli ją samorodnym talentem w dziedzinie logiki i retoryki. Była w stanie przeniknąć zawłości skomplikowanych dzieł filozoficznych i religijnych. Pochłaniała książki tak, jak inni ludzie pochłaniali posiłki. Dla zabicia czasu uczyła się na pamięć łacińskich wierszy. Mogła robić te wszystkie rzeczy nie gorzej od mężczyzn.

Ale czy mogła rządzić państwem?

Chodziła w kółko po swojej nowej sypialni – komnacie godnej (kogóż by innego?) królowej – w londyńskiej Tower. Zeszłej nocy, gdy już przyjęła swoich poddanych – na samą myśl żołądek podchodził jej do gardła – wysłano ją do królewskich komnat na odpoczynek. Lord Dudley argumentował, że królowa nie powinna siedzieć po nocach i że musi być wypoczęta, by mierzyć się z obowiązkami, które czekają na nią rano.

Ponieważ słaniała się na nogach, chętnie przystała na sugestię Dudleya, ale upewniła się przedtem, że nikt nie pomyśli, że została odesłana do pokoju jak

małe dziecko. Posłała Giffordowi szybkie spojrzenie, mówiące: „Idziesz ze mną?”, ale lord Dudley wziął go na stronę, by o czymś porozmawiać. A więc Jane wzięła z półki pierwszą lepszą książkę, nie patrząc nawet na tytuł (okazało się, że było to *Życie po życiu: stuletnia debata o Eđianach i reinkarnacji*), a potem rzuciła ją na gigantyczne łóże z baldachimem, gdy zorientowała się, że to książka o śmierci.

I dopiero wtedy dotarło do niej z całą mocą: Edward nie żyje.

Już nigdy go nie zobaczy.

Przestał istnieć.

Po długim, przepełnionym złością płaczem nie mogła zmrużyć oka, więc gdy tylko wstało słońce, a Gifford zmienił się w konia (miała nadzieję, że był już wówczas na zewnątrz), zaczęła eksplorować swoje pretensjonalnie udekorowane komnaty. Okna zasłonięte były długimi, jedwabno-brokatowymi kotarami, a ściany zastawione kilkoma szafami, w których było tyle sukien, że chyba życia jej nie starczy, by wszystkie przymierzyć. W dwóch wolnych od szaf miejscach pod ścianą znajdowały się drzwi, które prawdopodobnie łączyły pokoje królowej z tymi należącymi do króla, a obok stała toaletka z wielkim szklanym zwierciadłem. Pewnie na wypadek, gdyby chciała przejrzeć się w lustrze i raz jeszcze upewnić, że zupełnie nie wygląda jak królowa.

Jej zbrązowiała na słońcu skóra wydawała się teraz blada i niezdrowa. Twarz miała czerwoną i mokrą od płaczu. Podkrążone oczy swędziały i były napuchnięte jak dwa wrzody. A do tego należało dodać jeszcze jej zwyczajowe wady.

W ogóle nie wyglądała jak królowa.

Najgorsze w jej nowych komnatach było to, że przez szafy, toaletki i kotary nie było miejsca – ani krztyny! – na nowy regał z książkami. Kto normalny sypia w pokoju bez książek?

A Edward – przypomniała sobie, roztrzęsiona i załzawiona – zapadł w wieczny sen i już nigdy...

Już nigdy nic nie przeczyta.

Usłyszała pukanie do drzwi, ale postanowiła je zignorować. Rzuciła się na środek łóżka i zapadła w topieli kołder i poduszek. Postanowiła sporządzić w pamięci listę wszystkich rzeczy, których Edward już nigdy nie zrobi. Ominęła oczywistości takie jak jedzenie i oddychanie i była już przy punkcie dwudziestym siódmym (drapanie Pet za uszami) i dwudziestym ósmym (zjedzenie zatrważających ilości jeżynowego puddingu), gdy gość zapukał

ponownie i wkroczył do komnaty.

– Dzień dobry – przywitała ją matka, zmierzająca ku niej na czele oddziału dam dworu. Na rozkaz lady Frances wniosły do pomieszczenia wannę, wypełniły ją wodą i olejkiem różanym, tak że wkrótce roznosząca się po pomieszczeniu woń wycisnęła Jane łzy z oczu. Inne dwórki otworzyły liczne szufladki toaletki, po brzegi wypełnione kosmetykami. Jeszcze inne zastawiły stół tacami i półmiskami z kiełbasą, jajkami i chlebem z miodem oraz misami owoców z bitą śmietaną.

Podczas gdy komnata wokoło wrzała od ruchu, Jane leżała w łóżku, nieruchoma i obojętna.

– No? – Lady Frances pstryknęła palcami, ściągając na siebie bojaźliwe spojrzenia dwórek. Gdy uświadomiła sobie, że pstryknęła palcami jak jakiś parweniusz, przybrała maskę życzliwości i przysiadła się do córki, po czym wyrzekła głosem słodszy niż miód na stole:

– Jane, kochanie. Wasza Wysokość. Czas na kąpiel i śniadanie. Musisz się przygotować na spotkanie z poddanymi.

Przecież spotkałam ich już wczoraj – pomyślała.

– Opłakuję mojego kuzyna i króla.

– Wiem, kochanie, ale musisz... To znaczy, byłoby dobrze, gdybyś pokazała się swoim poddanym silna i niezłomna. Nie czekaj ze sprawdzeniem się do czasu jakiegoś kryzysu.

– Mówisz, że powinnam sprawdzić się już teraz?

– W rzeczy samej. – Usta lady Frances drgnęły w powściągliwym uśmiechu. – Uważam, że powinnaś jak najszybciej pokazać wszystkim, że jesteś kompetentną władczynią.

Kompetentną. Jasne. Jane skubała palcami róg tkanego koca (była to kolejna rzecz, której Edward już nigdy nie zrobi).

– Są pewne rzeczy, którymi trzeba się zająć od razu. Drobnostki.

Żadne tam drobnostki. Gdy Gifford ujął jej twarz w dłonie i przypomniał rozmowy w wiejskim domu, sprawił, że przypomniała sobie o swoich poddanych. Oni byli jedynym powodem, dla którego zgodziła się na objęcie tronu. Ludzie. Ci biedni. Zrobi wszystko, by im pomóc.

– Doskonale. – Lady Frances podała jej rękę i pomogła córce wyjść z poduszkowej forticy. – A zatem przedłożymy te sprawy Tajnej Radzie i zaczniemy umacniać twoją pozycję. Masz oczywiście świadomość, że lord Dudley chce służyć ci pomocą, tak jak służył pomocą królowi Edwardowi, niech spoczywa w pokoju. Zresztą inni dworzanie również się do tego garną,

łącznie ze mną. Wszyscy chcemy pomóc ci stać się taką królową, jaką powinnaś się stać.

– Ja przecież nigdy nie powinnam była stać się królową.

– A jednak nią jesteś.

– Myślisz, że będę dobrą władczynią? – spytała Jane, choć wcale nie chciała, głosił małego dziecka i zupełnie nie tak dobierając słowa. Ale gdy tylko je wyrzekła, zapragnęła, by matka przytaknęła i wsparła ją w tej trudnej misji.

Lady Frances zmrużyła oczy i obrzuciła córkę tym samym spojrzeniem, którym zwykle oceniała wypielone przez służbę grządki.

– Jeśli skupisz się na rządzeniu krajem zamiast na tych swoich śmiesznych książkach, zostaniesz zapamiętana jako silna i sprawna władczyni.

Najwidoczniej trzeba było czegoś więcej niż objęcia tronu Anglii, by lady Frances była wreszcie dumna ze swojej córki. Jane przełknęła rozczarowanie. Ale nie, to nie ma już znaczenia – powiedziała sobie w duchu. Nie potrzebuje już matki.

Ma Gifforda.

Jane nie wiedziała, czy sprawdzi się w roli królowej. To nie był jej świat. Nie była nawet w najmniejszym stopniu przygotowana do królowania. Ale wiedziała jedno: może polegać na Giffordzie. Ona da z siebie wszystko, a on jej pomoże, gdy tylko zajdzie taka potrzeba.

*

– Chcę zobaczyć ciało Edwarda – ogłosiła Jane. – Chcę się z nim pożegnać. – Szła korytarzem wraz z matką, a kilka kroków za nimi kroczył lord Dudley. Przymierzali się właśnie do pierwszego zaplanowanego na dzisiaj zadania. Nie żeby ktoś powiedział Jane dokładnie, co to za zadanie. No cóż, pewnie dowie się niebawem. Teraz najważniejsze, że wisząca w powietrzu cisza stworzyła dogodną okazję dla postawienia żądania, z którym nosiła się już od wczoraj. – Chcę go zobaczyć dzisiaj. Przed południem.

– Obawiam się – odrzekł Dudley szorstko – że to nie jest najlepszy pomysł. Król był bardzo chory. Lepiej pamiętać go takim, jakim był przed chorobą.

Jane zdusiła przepełniającą ją żal.

– Chcę go zobaczyć. Gdzie on jest?

– To nie wypada, Wasza Wysokość, by...

Szczęki Jane zacisnęły się samoczynnie, a ona zmusiła je, by ponownie się

otworzyły.

– Jestem królową i żądam, byście pokazali mi ciało mojego kuzyna.

– Po prostu mamy dzisiaj bardzo napięty harmonogram, Wasza Wysokość.

Jeśli lord Dudley jeszcze raz powie „po prostu”, to każe ściąć mu głowę!

Nie, to nie prawda. Nie zrobi tego. Był w końcu ojcem Gifforda.

– Lordzie Dudley – rozmawiała wyłącznie z nim, ponieważ jej matka zachowywała milczenie od początku rozmowy – jest moim królewskim obowiązkiem zadbanie o uroczystość pogrzebową kuzyna, a przedtem życzę sobie oddać mu hołd. Sama.

Książe milczał, gdy wchodzili do zatłoczonej sali. Zebrani skupili na niej wzrok i zaczęli szeptać, kilka osób się pokłoniło.

– Dobrze więc – odpowiedział Dudley. – Dopilnuję tej sprawy. Ale obawiam się, że nie uda mi się zaaranżować wizyty dzisiaj. Mamy mnóstwo do zrobienia.

Jeżeli poczekają jeszcze trochę, będzie musiała złożyć wizytę kościotrupowi. Jeśli wierzyć *Pięknym i przerażającym stadiom śmierci – podręcznikowi dla początkujących*, ciało człowieka rozkłada się zatrwającą szybko, puchnie i zaczyna cuchnąć, by dosłownie w kilka dni zmienić się w przerażającego upiora, który w niczym nie przypomina żyjącej osoby. Jane widziała zwłoki ojca i Katarzyny Parr krótko po śmierci i nie było to przyjemne doświadczenie. Nie chciała więc widzieć Edwarda po tym, jak rozpoczną się procesy gnilne. Wstręt i odraza sprawiły, że zakotłowało jej się w żołądku.

– Życzę sobie, byś zaaranżował wizytę jak najszybciej – poleciła obcesowo, gdy naszała ją straszna myśl: Dudley zwyczajnie nie chciał dopuścić do tego, by zobaczyła ciało kuzyna.

To podejrzane. Coś jest nie tak. Czy Edward nie zmarł zbyt nagle, nawet jak na nieszczęśnika dotkniętego krztusicą? A ta absurdalna, nagła koronacja? Coś tu śmierdziało i Jane poprzysięgła sobie, że już wkrótce dowie się co.

*

Reszta pierwszego dnia królowania złała się w jeden wir obowiązków i spotkań.

Stała przed członkami Tajnej Rady, którzy kolejno przedstawili się i oddali na jej usługi. Później zasiadła na tronie, by przyjąć prominentnych kupców z Londynu. Następnie podpisywała dokumenty regulujące kwestię

zamkowej służby, kształt włości różnych lordów oraz akty małżeństwa. Ta ostatnia część wprawiła ją w lekkie poczucie winy, choć najwyraźniej kilka pierwszych dokumentów dotyczyło par, które wstępowały w związek małżeński z własnej i nieprzymuszonej woli, uznała więc, że to tak, jakby udzielała im błogosławieństwa na nowej drodze życia. A jednak czuła się nieswojo, dysponując taką mocą.

Później nastąpił ciąg innych rzeczy, których Edward już nigdy nie zrobi: podpisywanie dokumentów, gmeranie przy luźnej nitce u poduszki tronowej, wysłuchiwanie zachwalających swoje przymioty i osiągnięcia członków Rady. (No cóż, tego pewnie nie będzie Edwardowi brakować w zaświatach).

Musiała także uporać się z kilkoma zaproszeniami, odwiedzić możliwych w ich wiejskich rezydencjach oraz pojawić się na uroczystości zwanej Krwawymi Godami. Jane zaznaczyła kwadracik opisany jako „nie pojawię się” i wyrzuciła zaproszenie z pamięci. Wesela to straszna mordęga.

Rzecz w tym, że żadna z tych rzeczy nie wydała jej się partykularnie istotna. Od rana ciężko pracowała, a miała wrażenie, że nie zrobiła zupełnie nic, co mogłoby w jakiś sposób pomóc jej poddanym. Znalazła chwilę na posiłek, ale poza tym ciągle była zajęta. Nie miała za wiele czasu na myślenie o Edwardzie i wypytywanie o motywy Dudleya, czy w ogóle na cokolwiek. Tylko kwestia zlecenia wykonania nowego tronu powracała do niej jak bumerang. Zasiadając na tym obecnym, czuła się jak małe dziecko – ledwie dotykała nogami podłogi.

Nastroju nie poprawiał jej lord Dudley, który uczepił się jej jak rzep psiego ogona. Jakby się bał, że gdy tylko spuści ją z oczu, wyskoczy przez okno i ucieknie.

Co w tej chwili nie wydawało jej się takim złym pomysłem.

– Jest wiele spraw, których król Edward nie zdołał już dopilnować w swoich ostatnich dniach – opowiadał smętnym głosem. Za oknem zapadał zmierzch. Czekali razem na Gifforda przy wyjściu obok stajni. Bursztynowe światło wpadało przez otwarte drzwi, sprawiając, że aleję zasnuwały długie, mroczne cienie. – Nasz zmarły król tak ciężko chorował... Edykt czyniący Waszą Wysokość królową był jednym z ostatnich, jakie podpisał. Tylko o tym myślał, to był jedyny cel jego ostatnich godzin: uczynić królową osobę, której ufał jak żadnej innej.

Nawet bardziej niż samemu księciu? Ależ lizus z tego Dudleya.

– Tak. No cóż, w dalszym ciągu chcę zobaczyć jego ciało – odpowiedziała.

– Może jutro – zbył ją Dudley.

– Chciałabym również odwiedzić pałac w Greenwich, gdy tylko będzie to możliwe, aby zobaczyć jego komnatę i książki. A co się stało z Petunią, jego psem? Ją też chciałabym zobaczyć. Czy możesz ją tu sprowadzić?

– Oczywiście – odparł książę, ale wywnioskowała z wyrazu jego twarzy, że nie zamierza spełnić jej prośb. Ale właściwie dlaczego nie? Co on ukrywa?

Obróciła się twarzą do chowającego się za horyzontem słońca. Czy nie mogłoby już zająć? – denerwowała się. Poczucie się lepiej z Giffordem u boku.

– Chciałabym też pozbyć się z komnaty wszystkich szaf poza jedną – podjęła, jakby rozmawiali wyłącznie o tym. – Zupełnie ich tam nie potrzebuję. Upchnij je gdzieś indziej, skoro twoim zdaniem potrzebuję tych wszystkich ubrań.

Wargi Dudleya wykrzywiła irytacja.

– Komnata Waszej Wysokości będzie bez nich przygnębiająco pusta.

– Zastąpimy je czymś innym, ma się rozumieć.

– A czegoż więcej potrzebuje królowa w swojej sypialni? – Lord Dudley wydawał się zbity z tropu. – Wielkiego lustra, żeby komnata wydawała się większa? Złotego nocnego stojaka na koronę?

Jane nie miała nawet na głowie korony. Gdzie ona się właściwie podziała?

– Krosna? – kontynuował wyliczankę Dudley. – Obrazów jeleni na rykowisku? Kołowrotka? Krzeselka do robienia na drutach?

Chyba się nie poznaliśmy – pomyślała. – Witaj, jestem Jane Grey i lubię książki.

– Och, o moim dzierganiu krążą w kręgach miłośników robótek ręcznych prawdziwe legendy – powiedziała, powstrzymując się przed wywróceniem oczami.

Dudley pojaśniał, jakby doznał ulgi na myśl o tym, że królowa zajmie się czymś, co pochłonie sporo jej czasu.

– W takim razie niezwłocznie dostarczymy krzeselko! I tyle włóczki i drutów, ile tylko zamarzy się naszej pięknej królowej.

O rety...

– Ojczy, nie żartuj – dał się słyszeć znajomy głos. Gifford podszedł do nich, a jego wysoka sylwetka odcinała się na tle zmierzchającego nieba. – Moja żona pragnie, co odgadłbyś to w lot, gdybyś tylko jej słuchał, regałów na książki. I samych książek, oczywiście, również. Nie chce bibelotów i bezużytecznych szpargałów. Tylko książek.

Serce targnęło jej się w piersi, gdy Gifford przystanął obok niej i musnął jej łokieć rękawem. Domyślił się, że chodzi o regały. I nazwał ją swoją żoną.

Dreszczyk emocji przebił się przez żal i mętlik w głowie, który miała od rana.

– Mój mąż ma rację – powiedziała z uśmiechem. – Regały i książki. Niczego więcej mi nie trzeba.

– Poza mną. – Gifford mrugnął do niej (bo oboje wiedzieli, że to nieprawda).

Dudley poklepał syna po plecach.

– Ach, mój drogi. Rad jestem, że powróciłeś już do swojej nieco mniej końskiej postaci...

– Tak. – Gifford kaszlnął w pięść. – Jak co wieczór.

Nerwowa atmosfera momentalnie prysła, a Jane zapiekła skóra, gdy przypomniała sobie nagle, jak wczorajszej nocy Gifford zniknął gdzieś, by rozmówić się z ojcem.

O czym rozmawiali? Od koronacji Gifford nie zamienił z Jane ani słowa na temat lorda Dudleya. W ogóle zrobił się jakiś milczący... Tak milczący, że to aż do niego niepodobne. Ktoś mógłby wręcz nabrać podejrzeń.

No cóż, w końcu spędzał całe dni pod postacią konia. Nie było czasu, by zwierzał jej się ze wszystkiego.

Jane westchnęła. Nie ufała teściowi, ale właściwie dlaczego? Musiał być jakiś powód, dla którego nie darzyła go sympatią (to znaczy, poza nosem).

– Chodźmy. – Gifford podał jej ramię, a ona je przyjęła. – Czas na kolację. Umieram z głodu. I przejadło mi się siano.

*

Kolacja okazała się doświadczeniem nieledwie traumatycznym. Najpierw Jane musiała przywdziać niezliczone warstwy ubrań: futra, jedwabie, atłasy, poza tym wysadzone drogimi kamieniami pierścienie i naszyjniki. Nie obeszło się też bez ufryzowania włosów, a najgorsze ze wszystkiego były buty na wysokich koturnach, które musiała włożyć, żeby niedostosowana do jej szczupłej sylwetki suknia nie ciągnęła się po podłodze. Dopiero wtedy ona i Gifford wkroczyli do wielkiej sali, gdzie czekał na nich tysiąc dworzan. Wszyscy oni wstali na ich widok i sterczeli jak słupy, dopóki para królewska nie zajęła miejsc na krańcach wielkiego stołu. Wszyscy jak jeden mąż wpatrywali się w królową, a królowa oddałaby koronę i pół królestwa, żeby skurczyć się do rozmiarów średnio wyrosniętej myszy i czmychnąć pod stół. Co oczywiście zupełnie królowej nie przystaje.

Gifford zasiadł po jej lewej ręce, teść po prawej, i wtedy zaczął się istny

gastronomiczny festiwal: zupy i suflety, ciasta i pieczywo, cielęcina i dziczyzna... Jane wmusiła w siebie tyle rozmaitych potraw, że była pewna, iż eksploduje. Była pewna, że przez całe życie nie widziała w sumie tyle jedzenia, ile teraz znajdowało się na stole. Taka masa żywności z pewnością wystarczyłaby mieszkańcom wioski, którą odwiedzili z Giffordem, na tydzień albo i więcej. Zemdlilo ją na myśl o tak niebotycznej ekstrawagancji i marnotrawstwie – przecież nieopodal ludzie cierpieli i głodowali.

Byli w połowie posiłku – jedli któreś z ciast, zdaje się – gdy lord Dudley zwrócił się konfidencjonalnie do Jane:

– Wasza Wysokość, wydaje mi się, że musimy ustalić jakiś termin koronacji mojego syna. Może nie dzisiaj, bo jestem pewien, że pada Wasza Wysokość ze zmęczenia, ale myślę, że jutrzejszy wieczór to realny termin, no i mielibyśmy cały dzień na przygotowania. Już wybrałem dla niego koronę.

Jane znieruchomiała z widelcem w połowie drogi do ust.

– Koronę? Dla niego?

– Tak. Cóż to za król bez korony.

Gifford. Królem.

Opuściła widelec. Ręka jej drżała.

Król. A więc to o to chodziło. Teraz cały ten bałagan miał sens. Pospieszny ślub, hojne użyczenie wiejskiej posiadłości, koronacja zaraz po ogłoszeniu śmierci Edwarda, rezygnacja z tradycyjnej procedury.

To było tak oczywiste, że czuła się jak idiotka, pojawiwszy to dopiero teraz. John Dudley posłużył się nią, żeby koronować swojego syna na króla i w ten sposób zawładnąć Anglią.

– Nie.

Słowo samo wyrwało się jej z ust. Posłała Giffordowi ostre spojrzenie. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie, a potem zgasło jak zdmuchnięta świeca.

Nos Dudleya zrobił się tak czerwony, że prawie świecił.

– A to dlaczego?

Ściągnęła brwi. Może jednak powinna była włożyć koronę.

– Wasza Wysokość? – dodał szybko.

– Jest co najmniej kilka powodów – wyjaśniła głosem niewiele głośniejszym od szeptu – a ja nie muszę podawać do twojej wiadomości żadnego z nich. Ale dam ci ten najbardziej oczywisty: mianowicie taki, że Gifford jest koniem.

Szczęka opadła Dudleyowi do ziemi, co tylko zachęciło Jane do pójścia za

ciosem.

– Zastanów się nad tym, milordzie. – Przychyliła się do księcia. – Niby jak twój syn miałby mi pomóc rządzić królestwem, skoro jest obecny na dworze tylko w nocy, czyli wtedy, gdy większość ludzi śpi?

Gifford dał znak usługującemu przy stole chłopcu, że jego pusty kielich domaga się wina.

– Wasza Wysokość raczy to jeszcze przemyśleć – zaapelował. – Gdy twój mąż zostanie królem, twoja pozycja tylko się umocni. Ludzie odczytają to jako znak siły i...

Wzięła głęboki wdech.

– Potrzebuję znaku mojej siły, a nie mojego polegania na mężczyznach wokół mnie.

– Lecz przecież każda królowa potrzebuje króla – wypluł Dudley.

Pokręciła głową.

– Jeśli twoim zdaniem potrzebny mu tytuł, mogę mianować go księciem. Księciem Clarence, żeby daleko nie szukać. Pasuje?

Gifford parsknął (zupełnie jak koń), uniósł kielich i upił potężny łyk.

– Wasza Wysokość, zmuszony jestem nalegać, byś zechciała rozważyć to ponownie. – Dudley zrobił pauzę i obrał inną taktykę. – Z pewnością nie jest ci teraz łatwo. Nie spieszmy się z tą decyzją.

– W rzeczy samej – wyrzekła głosem zimnym jak lód. – Czułabym się o wiele spokojniejsza, gdybym mogła zobaczyć mojego martwego kuzyna. Może wtedy będę skłonna rozważyć kwestię księcia małżonka.

Lord Dudley potarł podbródek i skinął głową.

– Wrócimy do tej rozmowy przy dogodniejszej okazji.

– Zgoda – przystała Jane. – Przy dogodniejszej okazji.

Ośmieliła się rzucić mężowi kolejne spojrzenie. Policzki Gifforda płonęły czerwienią, a oczy jaśniały, gdy wlewał w siebie kolejny kielich wina. Nauczony doświadczeniem chłopiec już biegł, by ponownie go napełnić.

– Starczy! – powiedziała Jane o wiele za głośno. Sięgnęła do męża i położyła dłoń na kielichu, zanim służący zdążył przechylić dzban z winem. – Już dość wypiliśmy.

Gwar w jadalni zelżał, a potem ucichł zupełnie. Wszyscy utkwili wzrok w Jane z ręką na kielichu Gifforda, zaś Bogu ducha winny chłopiec stał niezręcznie, obok kraśniejącego lorda, nie wiedząc, gdzie się podziać.

Poniewczasie zorientowała się, co zrobiła.

Pod ostrzałem zaszokowanych i rozbawionych spojrzeń zabrała rękę

i powoli wstała.

A cała sala wraz z nią.

– Miałam dziś bardzo długi dzień – oświadczyła. – Chciałabym udać się już do swoich komnat. Drogi mężu, czy zechcesz do mnie dołączyć? – Może jeśli porozmawiają, Gifford powie wszystko to, co chciałaby od niego usłyszeć: że się z nią zgadza, że jego koronacja to pomysł śmieszny i niepotrzebny, i w dodatku autorstwa jego ojca, że za całe to knucie odpowiada wyłącznie lord Dudley, a nie sam Gifford.

G poruszył wargami, jakby chciał powiedzieć coś w stylu: „Nie wiem, o co ci chodzi”, ale w końcu zaoferował jej ramię.

– Nic nie uradowałoby mnie bardziej niż jeszcze kilka chwil w twoim znakomitym towarzystwie.

Szli w pełnej napięcia ciszy, a gdy dotarli do komnat, wbiegła do swojej sypialni i zrzuciła suknię, jakby nie była już w stanie unieść jej ciężaru, po czym zaczęła zrzucać klejnoty z szyi i włosów.

Gifford czekał w korytarzu.

– Wchodzisz czy nie? – spytała, po czym zrzuciła koturny. – Nie ma gdzie usiąść, ale możesz przysunąć sobie szafę.

Wszedł i zamknął za sobą drzwi.

– O czym Wasza Wysokość chce ze mną porozmawiać? – spytał, bez zwyczajowej sympatii. Spoglądał na nią zimno, zagrały mięśnie jego zaciśniętych szczęk.

– Jesteś na mnie zły – zauważyła.

– Czy wolno mi być złym na moją królową? – Uniósł brew. – Jestem wszak tylko unizonym poddanym.

– Nonsens. – Skrzywiła się. – Wcale nie jesteś.

– Czym więc jestem, Wasza Wysokość?

Jane zacisnęła pięści, zaczęła krążyć po komnacie nieco szybciej.

– Jesteś moim mężem. Moim księciem małżonkiem.

– Tak jest, Wasza Wysokość. I księciem małżonkiem pokornie pozostanę.

Zachowywał się jak rozkapryszone dziecko.

– Przestań mnie tak nazywać! – Porwała poduszkę z łoża i cisnęła w niego. Odskoczył na bok. – Mówiłam, żebyś mnie tak nie nazywał.

Zamrugął wolno, udając idiotę.

– Ale... to jak mam się do ciebie zwracać, Wasza Wysokość?

– Po imieniu.

– Tak jest, Wasza Wysokość. – Skłonił się z przesadnym dramatyzmem,

zamiatając podłogę rękawem. – Na rozkaz Waszej Wysokości. Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość, ale czy nie powinnaś używać w odniesieniu do siebie liczby mnogiej? W końcu jesteś teraz królową Anglii. – Pauza. – Wasza Wysokość.

– Ale dlaczego w ogóle się o to złościysz? – Rzuciła w niego kolejną poduszką, przed którą również zręcznie uskoczył. – Nie znosisz polityki, nie byłeś na dworze od lat. – Zaśmiała się gorzko. – To tak absurdalne, że aż prawie smutne. Wyobrażasz sobie, jak wierzgasz po sali tronowej, chrupiąc marchewki między czytaniem kolejnych petycji? Na co komu taki król?

– A więc uważasz, że jestem śmieszny. Że jestem bezużyteczny.

– Tego nie powiedziałam. – Zamierzyła się kolejną poduszką.

– Nie musiałaś tego mówić. Nie jestem głupi, nawet jeśli nie siedzę całe dnie z nosem w książkach. – Nie poruszył się, jeśli nie liczyć uników przed poduszkami. – Ręce miał za plecami, nos zadarty, nawet jego włosy były w idealnym stanie. – Przyznaj się: wstydzisz się, że masz Eđianina za męża.

– Nie! Ale to wciąż niebezpieczne miejsce dla Eđianów. Ludzie już się zastanawiają, dlaczego wzięliśmy ślub i jemy kolację po zmroku, choć przecież jest lato.

– To powiedz im, że jestem wampirem – odparł. – Wtedy dopiero zaczną się plotki. A co z tymi wszystkimi dekretami, o których rozmawialiśmy? O uczynieniu królestwa przyjaznym dla Eđianów? O chronieniu niewinnych? Pomaganiu biednym? Cóż robiłaś cały dzień, jeśli nie pomagałaś swoim poddanym, Wasza Wysokość?

– Sto rzeczy, których i tak byś nie zrozumiał, bo z kolei ty cały dzień biegałeś po polach i jadłeś jabłka. Wiesz przecież, że wcale się o to nie prosiłam. Nie miałam chwili spokoju, odkąd tu przyjechaliśmy. Najpierw mówią mi, że mój najlepszy przyjaciel nie żyje, a potem, że tak w ogóle to jestem teraz królową – niespodzianka! Zupełnie nie czuję się na to gotowa, zgodziłam się tylko dlatego, że mnie zachęciłeś. A potem, gdy już odmówili mi prawa do żałoby po kuzynie, przestawiają mnie z miejsca na miejsce jak porcelanową figurkę, podtykają do podpisania zupełnie nieistotne papierzyska i każą wybierać kolor nowych obrusów oraz spotykać się z ludźmi, których nie znoszę, a wszystko to w trakcie, gdy zastanawiam się, dlaczego twój ojciec tak bardzo chce posadzić cię na tronie.

– A dlaczego miałyby nie chcieć? – spytał Gifford.

– No, musisz przyznać, że to nadzwyczaj wygodne – szybki ożenek z osobą, która niespodziewanie jest pierwsza w kolejce do tronu. Wiem przecież, że

dla włosów się ze mną nie ożeniłeś.

– Ożeniłem się z tobą, bo nie miałem wyboru – powiedział bez emocji.

– I oczywiście nie miałeś pojęcia o tym, że twój ojciec zamierza zrobić z ciebie króla Anglii. Nie słyszałeś go, Giffordzie? On już nawet wybrał dla ciebie koronę!

– Ale dlaczego tak się boisz podzielić władzą? – spytał zapalczywie. – Dlaczego nie miałbym zostać królem?

A więc to tak. Czyli on chce zostać królem.

Może chciał tego od samego początku.

Poduszka wysunęła się z jej palców. Cofnęła się o krok. Została zdradzona. Przez całe życie wiedziała, że jest wykorzystywana w charakterze pionka w politycznych grach innych ludzi: przez ojca, przez Tomasza Seymoura, przez własną matkę, a teraz przez lorda Dudleya. Ale nigdy nie przypuszczała, że wykorzysta ją własny mąż. Gifford.

– Czy to wszystko, czym dla ciebie jestem? – spytała, próbując zapanować nad głosem. – Środkiem w osiągnięciu celu?

Gapił się na nią zbolałym wzrokiem.

– Ty mi nie ufasz.

– Ja nikomu nie mogę ufać! – krzyknęła. – Jak mam ufać, skoro to wszystko tylko gra?

– Jane...

– Widziałam, jak rozmawiałeś z ojcem po koronacji. Położył ci rękę na ramieniu, jakby cię chwalił. O czym wy w ogóle rozmawialiście?

Gifford milczał.

– Widzisz? Robisz dokładnie to, co on chce. – Czują gorąco na twarzy. Dosłownie się gotowała. Nigdy jeszcze nikt jej tak nie zranił. W życiu nie była taka wściekła.

– Wcale nie! – Gifford podniósł poduszkę z podłogi i rzucił w nią, ale nieco przedobrzył i dość wyraźnie spudłował.

– Nawet rzucać nie umiesz! – wrzasnęła.

– Zrobiłem to specjalnie! – Pomaszerował do drzwi łączących komnaty. – A teraz, za pozwoleniem, wychodzę. Wysłuchałem dość oskarżeń jak na jeden raz. Dobranoc, Wasza Wysokość.

– A idź sobie! Zejdź mi z oczu!

Zamaszyście otworzył drzwi i znalazł za nimi drugie. Bez klamki. Pchnął, aż zatrzeszczały w zawiasach, potem znowu, aż wreszcie pojał, że tędy nie przejdzie.

– Skąd pomysł, że nadajesz się na króla, jak nawet drzwi nie umiesz otworzyć?

Parsknął oburzony, trzasnął drzwiami przejściowymi i wyszedł tymi, którymi wszedł.

Nimi również nie omieszkał trzasnąć.

Po kilku sekundach trzasnęły także drzwi wejściowe do jego komnaty.

No i niech sobie tam siedzi.

– Nie chcę cię więcej widzieć na oczy! – wrzasnęła.

– Nie masz jakiejś głupiej książki do poczytania?

– Moje książki nie są głupie! Ty jesteś głupi! – Dla podkreślenia wagi swoich słów rzuciła poduszką w drzwi. Dźwięk po drugiej stronie świadczył o tym, że Gifford się zrewanżował – również poduszką albo nawet butem.

Jane opadła na łóżko, czując dopalający się żar na twarzy.

Zagryzła zęby, żeby stłumić szloch.

Nie będzie płakać. Nie będzie. Nie ma mowy, żeby płakała przez Gifforda.

A jednak się rozpłakała. Była w końcu szesnastoletnią dziewczynką, a szesnastoletnie dziewczynki muszą czasem rzucić się we łzach na łóżko zasłane poduszkami i trochę popłakać.

GIFFORD

G nigdy wcześniej tak bardzo nie chciał przyładować komuś poduszką. To nie do wiary, jak się skończył ten wieczór. Nie mógł też uwierzyć, że jego żona uważa go za bezużytecznego. Za półczłowieka, któremu nie można nawet powierzyć kielicha, a co dopiero państwa.

Jane nie chciała, żeby został królem.

Przecież wcale nie śnił o koronie (zanadto kojarzyła mu się z uwiązaniem, odpowiedzialnością i wykonywaniem poleceń innych), a jednak kiedy czyjaś żona zostawała królową, ten ktoś zaczynał myśleć, że może ta bufiasta czapka ze złotym rondem to jednak nie jest taki zły pomysł. Bo jakby wyglądało oficjalne przedstawienie pary królewskiej? „Panie i panowie, oto Jej Wysokość królowa Anglii! I jakiś facet”.

Właściwie powinien winić za to ojca. Lord Dudley przezornie przygotowywał go do objęcia tronu, mówił o koronacji tak, jakby była ona rzeczą nieuniknioną. „Porozmawiamy o tym, jak już będziesz królem – mawiał. – Jako król powinieneś mieć komnatę niedaleko stajni”.

A on nigdy nie marzył o byciu królem.

Inna sprawa, że nigdy też nie sądził, że korony odmówi mu jego własna żona. I to z taką zapiekłością. Jasne, byli małżeństwem ledwie od tygodnia, więc pewnie nie było nic zaskakującego w tym, że nie darzyła go bezgranicznym zaufaniem. Ale czemu nie mogła po prostu mu zaufać?

G spędził cały poranek dnia piątego rządów królowej Jane, galopując po trawiastych równinach na północ i wschód od zamku. Próbował wymyślić jakieś nowe powody, dla których bycie królem to żadna frajda.

Po pierwsze, korona spada z głowy w galopie.

Po drugie, jeśli zostanie królem, rzadko będzie zupełnie sam i prawie na pewno nie będą mu pozwalać biegać samotnie po wsi. Pewnie będzie musiał cwałować z jakimś doradcą na grzbiecie. Cóż za poniżenie.

Po trzecie, musiał przyznać, że w tym królewskim tandemie to jego żona jest mądrzejsza. Był niemal pewien, że Jane przeczytała w którymś momencie książkę pod tytułem *Jak rządzić królestwem? Poradnik dla opornych (nawet jeśli są tak daleko w linii sukcesji, że tron wygląda jak taboret)*, tom pierwszy z trzech.

I wreszcie – bycie królem wiązało się dokładnie z tym typem odpowiedzialności, którego wolał unikać. Gdyby został władcą, ludzie spodziewaliby się po nim wielkich rzeczy. Każdy jego czyn byłby oceniany, a on sam przyrównywany do wszystkich monarchów z przeszłości. A gdyby popełnił błąd... No cóż, błędy wiązały się z konsekwencjami, a królewskie błędy z królewskimi konsekwencjami. To bardzo stresujące.

Niespokojna głowa, co koronę dźwiga – pomyślał. Nawet niezły wers. Szkoda, że nie miał ze sobą kałamarza i papieru. I rąk z przeciwstawnymi kciukami, żeby móc go zapisać.

G wciągnął powietrze nosem (to koński ekwiwalent głębokiego westchnienia). Jego lady nie chciała, by był królem. Poparła decyzję o niedopuszczeniu go do władzy solidnymi argumentami, choć akurat w tamtej chwili wolał, by wygłaszała swoje argumenty z mniejszą agresją. I z mniejszą liczbą poduszek śmigających mu nad głową.

Tak czy inaczej, odrzucenie bolało.

Gifford zwolnił i podszedł sprężystym krokiem do strumienia, który meandrował dnem doliny. Zanurzył chrapy w wodzie i zaczął pić. Zimna woda mile chłodziła język.

Ciekawe, jak wygląda życie księcia małżonka. Nie mógł myśleć o nim inaczej jak o jakimś figurancie, osobistym służącym w ładnych ciuchach, który zawsze stoi u boku królowej z twarzą promieniującą pełnym gotowości oddaniem, gdy zaś królowa każe skakać, pyta tylko, jak wysoko.

G strzepnął grzywą i zarżał, a przynajmniej chciał zarżeć, bo dźwięk, który opuścił jego gardło, do złudzenia przypominał skomlenie. Uświadomił sobie, że w rzeczywistości wcale nie zostałby sprowadzony do rangi osobistego lokaja królowej. A nawet gdyby, z pewnością nie on pełniłby funkcję królewskiego skoczka.

Słońce przecięło niebo o wiele szybciej, niż się spodziewał. Prawie widział ciągnące się za nim rozmazane smugi, gdy mknęło w stronę horyzontu. Czasem bał się, że porzuci swoje człowieczeństwo i na zawsze zmieni się w konia, lecz dzisiaj drżał na myśl o zmierzchu i spotkaniu z żoną. Chciał ją wspierać i troszczyć się o nią, chciał rozmawiać z nią o tym, jak wspólnie zmienią królestwo. Nie chciał czuć, że jest mniej ważny i bezradny, a ponieważ znał Jane – a przynajmniej tak mu się zdawało – wiedział, że ona też wcale by tego nie chciała.

Gifford zawsze miał się za osobę o postępowych poglądach, zwłaszcza gdy porównywał się z innymi mężczyznami. Gdy żona jego brata Stana sprzeciwiła

mu się podczas rodzinnej kolacji, brat zamknął ją w komnacie na trzy dni. G nigdy by nie zrobił czegoś podobnego. Jane kochała księgi, co nie przerażało go tak, jak przerażało innych mężczyzn. Owszem, z początku czuł irytację – zupełnie przecież uzasadnioną – która wynikała z tego, że jego małżonka najwyraźniej chciała odgrodzić się od niego (i chyba od innych ludzi też) opaskami tomiszczami, nie wspominając już o tym, że całą podróż spędził przez nią w ciasnocie. A potem Jane czytała mu pod drzewem tym swoim cichym, kojącym, miłym dla ucha głosem, wymawiając z niezachwianą pewnością nawet te najtrudniejsze słowa. To od niej nauczył się, że mówi się „deża-wi”, a nie „deża-wu”.

Nie uważał za wadę tego, że tyle czyta. I że tyle myśli. I że tak często wyraża swoje zdanie. A Bóg mu świadkiem, robiła to nadzwyczaj często.

Nigdy nie miał zamiaru uczynić jej swoją własnością ani trofeum.

Lecz teraz ona była jego królową. Władczynią. W noc koronacji przysięgł jej posłuszeństwo. Jej i tylko jej.

Czy można być jednocześnie poddanym i mężem? Czy ma być panem twierdzy swojego domostwa tylko wtedy, gdy królowa mu na to pozwoli?

Słońce ani myślało spowolnić swojej wspinaczki ku horyzontowi. G obrał więc trasę na Londyn i przyspieszył kroku.

Jego własne myśli zdały mu się obce. Bardziej przypominały myśli jego ojca lub brata. G nigdy do końca nie uformował własnej opinii na temat roli mężczyzn i kobiet w świecie. Jego partnerstwo z Jane od początku zdawało mu się właśnie tym: partnerstwem. Nie dominacją jednego nad drugim, nie relacją sługi z panem. Nawet gdy się jeszcze nie lubili, traktowali się przynajmniej jak równi sobie.

Próbowała rzucić się do walki z Watahą, a on temu zapobiegł.

Próbował wprowadzić się w stan błogiego upojenia, a ona nakryła kielich dłonią.

Uczyła go o właściwościach i zastosowaniu ziół i... i innych roślin, które rosły w... w tym miejscu, o którym czytała. On nauczył ją tego, że nie wszyscy Eðianie są kryształowo czysti.

Ona знаła się na miksturach leczniczych, on na lucernie.

Ona miała gładką skórę i delikatne kości policzkowe, a jej usta tak dziwnie się poruszały, gdy czytała jakiś szczególnie interesujący ustęp...

G zamknął oczy. Jej gładka skóra. Jej usta.

Te usta uczynione ręką samego boga miłości, tęsknymi utkane palcami...

Gdy ujrzał w oddali zamkowe stajnie, zaciekawiał się, kto też powita go

dzisiejszej nocy. Jej Wysokość królowa Anglii... czy jego lady?

*

Wkroczył do jadalni, spodziewając się obfitej kolacji z tabunem służących i stosem srebrnych sztucców oraz potrawami godnymi królowej, lecz to, co zobaczył, wprawilo go w oszołomienie.

Dwa nakrycia, dwie świece i półmisek z małą pieczoną kaczką na łożu z warzyw i z przybraniem oraz mała miska owoców. A także królowa Anglii siedząca przy stole.

Spojrzał na nią nie bez obaw.

– Wasza Wysokość – powiedział.

– Milordzie – odparła, skinąwszy.

– Gdzie są wszyscy?

– Kto taki?

– Twój... dwór? Dworzanie i dwórki. Służący.

Wzruszyła ramionami.

– Bycie królową ma swoje dobre strony. Na przykład taką, że gdy każę wszystkim wyjść, wychodzą.

– Nawet mój ojciec? – spytał, niedowierzając.

Jane skrzywiła się na wspomnienie o lordzie Dudleyu, ale szybko przywołała obojętny wyraz twarzy.

– Nawet on. Szkoda, że nie widziałeś jego miny, ale tak, nawet on.

Jego ojciec to teraz drażliwy temat, choć właściwie w chwili obecnej wszystko mogło się stać drażliwym tematem. Wziął ze stołu butelkę wina i dwa kielichy, choć był całkiem pewien, że potrzebny będzie tylko jeden. Usiadł na swoim miejscu w końcu stołu. Napełnił kielich i podał Jane butelkę, pytając wzrokiem, czy ma ochotę (oczywiście odmówiła), po czym postawił wino po swojej prawej, poza jej zasięgiem. Nie zgłosiła obiekcji.

Nawet jeśli nie będzie dziś panem swego domostwa, pozostanie przynajmniej panem swego kielicha.

Nałożyli sobie z półmiska, a potem G przekierował rozmowę na bezpieczniejsze tematy. Rozmawiali o jej dniu na dworze i jego dniu na pastwisku, o tym, jaki ona wybrała kolor brokatu dla swoich dam, oraz o tym, jak on z powodzeniem wydłubał językiem siano spomiędzy zębów.

Powiedziała, że jego ojciec jest przy niej dzień i noc, że doprowadza ją to do szału i że cieszy się, że jutro wyjeżdża.

– Mój ojciec się dokądś wybiera? – spytał G. Świetnie. Znowu wrócili do drażliwego tematu.

– Tak. Myślałam, że wiesz. A nie, oczywiście, że nie, bo otrzymałam wiadomość, gdy byłeś... czworonogiem. Wyjeżdża w pilną delegację gdzieś na prowincję. Nie chciał zdradzić gdzie, więc zakładałam, że to jakaś sprawa osobista. – Przyłożyła rękę do ust. – Och, przepraszam. Powinnam była wpaść na to, że to dla ciebie coś ważnego, skoro jesteś jego synem.

Powiedziała to tak, jakby więzy krwi z lordem Dudleyem stanowiły o charakterze. G zwalczył chęć ponownego stoczenia tej samej bitwy i uniósł rękę.

– Milady, zapewniam, że ojciec sam świetnie się o tę sprawę zatroszczy. – Ale prawdę mówiąc, G po prostu nie dbał o jakieś rodzinne sprawy Dudleyów. Przypuszczał, że nagłe wezwanie na wieś ma ścisły związek z tą samą kwestią, która zajmowała większość czasu lorda Dudleya przez ostatnie lata: ze sprawowaniem władzy zza tronu.

G zgadywał, że ta konkretna delegacja dotyczy polowania na Marię. A skoro ojciec osobiście stawiał się na wezwanie, oznaczało to, że sprawy nie toczą się po jego myśli.

– Giffordzie? – zainteresowała się Jane. – Czy wszystko w porządku?

– Ależ oczywiście – odparł, odpędzając tę myśl. Już kilkakrotnie rozważał powiedzenie Jane o tym, co podsłuchał w noc koronacji, ale zawsze w końcu rezygnował. Już samo królowanie doprowadzało ją na skraj wyczerpania, a co dopiero wieść o tym, że Maria sprzeciwia się jej władzy...

Nie, powstrzyma te bujne spekulacje i odczeka do powrotu ojca, który z pewnością będzie miał bardziej aktualne wiadomości o Marii. Choć jeśli żona dowie się, że coś przed nią zataił, już nigdy mu nie zaufa.

– Po prostu myślałem o naszym... znaczy, o twoim pierwszym dekreście.

– Aha. No tak. Sama dziś o nim myślałam, czytając *Dekrety i decyzje. Starożytny język akuratanego arbitrażu*. – Sięgnęła pod stół i wyjęła pognieciony stos dokumentów, z których wiele było pokreślonych i poprawionych jej charakterem pisma. – Dzisiaj głowiłam się nad tym, jak go sformułować, żeby nie wspomnieć wprost o Eđianach ani o Nieskałanych, ale żeby objąć nim wszystkich ludzi, którzy cierpią niesprawiedliwe... – Spojrzała mu w oczy i ucichła.

Powiedziała „ja”, nie „my” (chciał usłyszeć „my” w sensie „Jane i Gifford”, nie „my” w sensie „Nasza Wysokość królowa Jane”, którego to zwrotu wciąż nie chciała używać). G odczuł z całą mocą, że naprzeciwno

niego nie siedzi jego milady, a królowa Anglii. Odchylił się na krześle i napełnił kielich.

– Nudzę cię? – spytała.

– Nie – odparł G. – Ale to tylko dlatego, że przestałem słuchać wieki temu.

– Aha.

Utkwiła wzrok w talerzu. Jej policzki zaróżowiły się, a G przyszło do głowy, że może wyraził się zbyt dosadnie. Ale, na Boga, czy on był w ogóle potrzebny w tej rozmowie? Najwyraźniej nie potrzebowała go u swojego boku, nie potrzebowała pomocy we władaniu królestwem. Dlaczego nie chciała sformułować dekretu wraz z nim?

Resztę kolacji spędzili w ciszy. Wydawało się, że wyczerpali zasób bezpiecznych tematów, a potem udali się do przylegających do siebie komnat, oddzielonych zamkniętymi drzwiami.

*

Przez kolejnych parę dni nie widywali się zbyt często. G spędzał czas, zapuszczając się coraz dalej i dalej, aż ósmej nocy rządów królowej Jane tak się zagalopował, że gdy zaszło słońce, wciąż dzieliły go od zamku długie mile. Gdy niespodziewanie zaczęła się transformacja, znalazł się nieopodal kępy drzew na obrzeżach jednej z wiosek pod Londynem i raptem stanął nagi wśród krzewów. Do kroćset! Dlaczego nie nauczył się jeszcze kontrolować tej przeklętej klątwy?

Chyba dlatego, zgadywał, że tak naprawdę nigdy nie próbował.

Wiele by dał, by znaleźć się teraz na ziemiach Dudleyów, których najdalsze okolice, ścieżki i szlaki znał jak własne kopyta. Teraz tkwił w jakimś zagajniku, skołowany i zdezorientowany. Prawda, bywał już wcześniej w podobnych opałach, kiedy pęd zaniósł go zbyt daleko od domu. Odkrył wówczas, że najlepiej wtedy odszukać jakąś karcznię z zamtuzem, gdzie łatwo się natknąć na porzucone przez podchmielonych klientów ubrania. Nie było to trudne – wystarczyło się kierować gwarem.

Gifford zerwał kilka co bardziej liściastych pnączy i owinął się nimi w strategicznych miejscach, po czym wychynął spomiędzy drzew i ruszył w kierunku wioski, trzymając się cieni i idąc za hałasem do najbliższej oberży, która, jak się okazało, nosiła nazwę Pod Trzema Damami. Znalazł, czego szukał, sądząc po „damach” stojących na zewnątrz.

Jeśli szuka się ubrań na golasa, warto pamiętać o dwóch zasadach. Po

pierwsze: sprawiaj wrażenie, jakbyś wiedział, co robisz, a po drugie: rób wszystko jednym płynnym ruchem. G zauważył najbliższe ciemne okno, wziął głęboki wdech, odrzucił pnącza (jako że potrzebował obu rąk), otworzył okiennice i wszedł do środka, wzbudzając okrzyki kobiet i wrywając ze snu pijanego jak świnia mężczyznę, domagającego się zapalenia świecy. Ale było już za późno, ponieważ G zdążył opuścić sypialnię w czyichś spodniach, przekładając ramiona przez rękawy czyjejs koszuli.

Ludzie w pokoju wezmą go za nocną marę i do rana o nim zapomną. A potem sobie przypomną, gdy właściciel spodni i koszuli nie znajdzie ubrań na miejscu.

Gifford wszedł do przylegającej do budynku oberży, przytrzymując ręką o wiele za szerokie spodnie. W obawie, że kiedyś mogą na niego pasować, postanowił odrobinę przystopować z beztróską konsumpcją ale.

Koronacja królowej odbyła się względnie niedawno, G przypuszczał więc, że ludzie nie zdołaliby jeszcze rozpoznać Jej Wysokości, a co dopiero królewskiego małżonka. Ale na wszelki wypadek, wychodząc z zaplecza i kierując się w stronę baru, trzymał głowę nisko. Był tak skupiony na dotarciu do głównych drzwi, że prawie nie usłyszał szeptu:

– Niech żyje królowa Maria.

Zatrzymał się w pół kroku i gwałtownie obrócił. Złapał wzrokiem dwa czerwone mundury. Żołnierze stali przy barze, a szynkarz wręczał im wypełnione tajemniczą zawartością brązowe wory.

Czyżby mu się przesłyszało? Ale nie, imiona Maria i Jane brzmią przecież zupełnie inaczej. A potem jego uszu dobiegło kolejne pozdrowienie, tym razem wyszeptane przez jednego z żołnierzy przy barze, a zaraz potem odpowiedź.

– Niech żyje prawowita królowa.

G zamarł w bezruchu. Miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z gardła. Przełknął ślinę, zmuszając je do powrotu na miejsce. Wiedział, że nie wolno mu się wychylać, choć była to automatyczna reakcja, a nie coś, co zdążył podpowiedzieć rozsądek. Bo rozsądek podpowiadał mu, że jest przecież małżonkiem królowej. Żołnierze powinni być lojalni wobec jego żony. Zdrada stanu była poważnym przestępstwem.

A jednak fakt pozostawał faktem – w pierwszej lepszej karczmie na samych obrzeżach Londynu usłyszał, jak żołnierze Jane opowiadają się po stronie jej rywalki Marii. W głównej sali siedziało jeszcze kilku żołdaków, lecz na stołach przed nimi nie stało ale, tylko jedzenie i woda. G podziękował w duchu losowi za to, że nie jest ubrany w swoje zwyczajowe odzienie, dzięki

czemu zdołał wtopić się w tłum.

Ruszył nieco zwawiej w kierunku drzwi wyjściowych, a gdy znalazł się na zewnątrz, zauważył na zboczu wzgórza punkciki światła.

Ogniska. Namioty. Obóz. Tak blisko Londynu?! Trzeba jak najszybciej pędzić do Tower. Niech szlag trafi tę całą klątwę! Dlaczego nie mógł się po prostu przemienić? Kilka minut temu był jeszcze koniem, koniem! Padł na czworaki tam, gdzie stał, zacisnął oczy i...

– Wstawaj, oberwańcu! – zawołał jeden z chwiejących się na nogach bywalców karczmy.

G machnął na niego ręką i skupił się na przywołaniu uczucia wiatru w grzywie oraz wyobrażeniu sobie potężnych mięśni zadu zsynchronizowanych w pełnym gracji pędzie...

– Patrzajcie go, chłopcy – wybełkotał drugi. – Tak się schlał, że myśli, że jest osłem!

Doszedłszy do wniosku, że nie tędy droga, G podniósł się z ziemi.

– Koniem! – warknął, nie przejmując się, kto usłyszy. – Konia! Konia! Królestwo mojej żony za konia!

Grupka pijaczków obrzuciła Gifforda pogardliwym spojrzeniem, jakby nie mogli uwierzyć, że ktoś może się tak haniebnie spać.

– Gębę zawrzyj, pijaczyno! – burknął największy i najbardziej spocony ze wszystkich. – Konia mu się zachciało po nocy!

– Na gwałt potrzebny mi koń.

Drab zarechotał, aż zatrzęsło się galaretowate brzuszysko.

– No pewno! Hej, Mason, daj temu moczymordzie konia!

Teraz zatrzęsły się brzuchy całej bandy, a G wiedział, że nie ma sensu przekonywać ich, że nie ma w tym nic śmiesznego, a tego z brzuchem wyzywać od głupich grubasów. Zamiast tego ruszył więc w kierunku zamku. Biegł sprintem dobrą minutę, zanim doszedł do wniosku, że powinien się oszczędzać, ponieważ jako człowiek ma o wiele mniejszą wytrzymałość niż koń.

To będzie długa droga.

*

Gdy kilka godzin później dotarł do zamkowej bramy, musiał dłuższy czas przekonywać strażników, że naprawdę jest małżonkiem królowej. Gdy już wartownicy wpuścili go za mur, wszedł do głównej sali, a następnie powlókł

się labiryntem korytarzy do komnaty żony. Jane już dawno spała, zrezygnowawszy z czekania na niego z kolacją.

Zaczął walić pięściami w drzwi komnaty.

– Jane! – zawołał. – Jane, otwórz drzwi!

Po minucie otworzyła. Tarła oczy, próbując pozbyć się z nich resztek snu. Miała na sobie długą koszulę nocną, którą na widok męża okutała się ciasniej.

– Co się dzieje? – spytała.

Wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi.

– To niesłychane, żeby... – zaczęła, ale G wszedł jej w słowo.

– Milady, Wasza Wysokość... Jane. Musisz natychmiast zwołać posiedzenie Tajnej Rady!

Posadził ją na łóżku i szybko streścił przebieg wypadków, nie przerywając, nawet gdy uniosła brwi, kiedy opowiadał o sypialni w zamtuzie. Kiedy skończył, mimochodem wsparła rękę na słupie łoża.

– Ale... ale twój ojciec zapewnił nas, że wszystko jest w porządku.

– Gdzie jest teraz mój ojciec? – spytał G. – Widziałas go dzisiaj? Wrócił już?

– Nie. Nie widziałam go, odkąd wyjechał kilka dni temu.

Gifford zaczerpnął tchu.

– Posłuchaj mnie, nie byłem z tobą całkowicie szczery, ale uwierz mi, po prostu myślałem, że tak będzie dla ciebie lepiej. Obiecuję, że wszystko ci wytłumaczę, ale musimy natychmiast zwołać posiedzenie Rady.

Kiwnęła głową, a Gifford pobiegł do drzwi i nakazał stojącemu za nimi strażnikowi, by sprowadził królewskich doradców. Wrócił do sypialni, wszystko wyjaśnił żonie. Powiedział o wiadomości o Marii, którą dostarczono lordowi Dudleyowi, o tym, że Maria nie akceptuje jej władzy, oraz o tym, że nagły wyjazd lorda Dudleya wydaje mu się cokolwiek podejrzany. Gdy skończył, blada cera Jane zrobiła się jeszcze bledsza, o ile to w ogóle możliwe.

– Ale... Przecież z pewnością doniesiono by nam o armii obozującej na samym progu Londynu, zwłaszcza jeśli ma wrogie zamiary wobec korony.

– Właśnie dlatego musimy zebrać Radę – orzekł. – Wszyscy potwierdzili decyzję króla o zmianie linii sukcesji, a jednak wydaje mi się, że pewne sprawy przed nami zataili, zapewne w przekonaniu, że jeszcze nie możemy się z nimi mierzyć.

Pobladła Jane zrobiła się teraz biała jak ściana. Gifford ujął ją za rękę, po czym uprzytomnił sobie, że dotknął jej pierwszy raz od wielu dni.

– Wszystko będzie dobrze, Jane. Jestem pewien, że Rada już wie o marszu wojsk i poczyniła stosowne przygotowania.

Czekając na zebranie się doradców, Jane postanowiła się ubrać. Gifford zaproponował, że zawoła służkę, która by jej w tym pomogła, ale żona błagała, by z nią został (odwrócony plecami, rzecz jasna), argumentując, że sama potrafi się ubrać, że robi to od lat i jest całkiem pewna, że nie zapomniła, jak zawiązać...

G zapewnił, że nie musi tłumaczyć.

Gdy była już ubrana, udał się do swojej komnaty i szybko włożył pierwsze lepsze pasujące spodnie i prostą tunikę, po czym niezwłocznie wrócił do żony.

A potem czekali.

I czekali.

Tak długo, że zaczęli się niepokoić.

Mieli wrażenie, że minęły godziny. Horyzont za oknem wciąż jeszcze spowity był przez mrok, ale świt zbliżał się wielkimi krokami. Jane wstała z łóżka i zaczęła krążyć po pokoju. G przyszło na myśl, że będą musieli wzmocnić podłogę, bo od – jak długo jest królową? – od dziewięciu dni stale chodzi w kółko. Jeszcze parę okrążeń, a przebije się piętro niżej.

Wreszcie rozległo się pukanie do drzwi.

G otworzył i zobaczył za nimi posłańca, którego wysłał po doradców.

– Milordzie, posłałem ludzi po członków Tajnej Rady, no cóż, większość mieszka nieopodal, ale inni nie, więc trzeba było po nich pojechać... No i...

– No i co? – ponaglił go G. – Przyjechali czy nie?

– Nie, mój panie.

– Trudno. Spotkamy się z tymi, którzy dotarli. – W końcu robiło się późno, a jemu zależało, by spotkać się z Radą przed godziną konia.

– Ale, mój panie... Nikt się nie zjawił.

– Nikt?

– Bardzo mi przykro, sire. Nie ma nikogo. Nie wiem, gdzie się teraz członkowie Rady podziewają. Poprosiłem gwardzistów królewskich, by ich poszukali, ale nie wiem, czy zrobili, co w ich mocy...

Posłaniec umilkł nagle i po prostu uciekł.

– G? – zawołała z komnaty Jane. – Co jest?

– Zostań tutaj. Muszę coś sprawdzić.

G wyszedł na korytarz, a Jane zaraz za nim. No tak, gdzieżby miała zostać w pomieszczeniu.

Korytarze tonęły w ciszy, osobliwej nawet na godzinę przed świtem. Na

samym szczycie White Tower zatrzymali się przy oknie wychodzącym w kierunku obozu. G wyjrzał ostrożnie zza framugi i zobaczył mrowie żołnierzy oraz wydęte na wietrze chorągwie z różami.

Serce zamarło mu w piersi.

– Co widzisz? – spytała szeptem Jane.

– Armię u naszych bram. – G z całych sił próbował nie zdradzić się z przerażeniem. – Armię Marii.

EDWARD

– Daleko jeszcze? – spytał po raz enty.

– Jesteśmy pięć minut bliżej, niż gdy pytałeś ostatnio – odparła Grace.

– No ale daleko jeszcze?

– Dotrzemy jutro – powiedziała. – Może pojutrze, jeśli co chwila będziesz się zatrzymywał i zadawał głupie pytania.

Edward westchnął. Minęły trzy dni, ale czuł, jakby przedzierali się przez dzicz od miesiąca. Szli w siąpiącym nieustannie deszczu, ciągle przemoczeni i wyziębieni. Król miał już serdecznie dość tej wędrówki; dokuczały mu obolałe stopy, pękała głowa, nie dawała spokoju nadwyrężona kostka, co rusz opanowywały go ataki kaszlu i strasznie kręciło mu się w głowie.

Był pewien, że to trucizna. Trucizna go zabija.

Lecz w tej chwili trucizna stanowiła najmniejszy z jego problemów. Kilka dni temu natknęli się na drodze na żołnierzy. Zdjął go strach na ich widok, bo chorągwie, pod którymi maszerowali żołdacy, nie przedstawiały czerwonego lwa Edwarda, tylko róże Marii.

Szli na Londyn.

Co oznaczało dla Jane kłopoty.

– Czy nie da się szybciej? – spytał, również po raz enty.

Grace uśmiechnęła się przez ramię z fałszywą słodyczą.

– A wiesz? Byłoby dużo szybciej, gdybyś zmienił się w ptaka i przycupnął na moim ramieniu. Szybciej i ciszej.

Spiarali się już o to.

– Nie. – Edward uważał, że to niegodne, być niesionym przez kobietę. Jak miałyby w nim dostrzec mężczyznę, skoro to ona ratowałaby go przed niebezpieczeństwem? – Moglibyśmy iść główną drogą... – zasugerował.

O to też już się kłócili.

– Nie – odmówiła beznamiętnie. – Kolejni żołnierze lub, co gorsza, członkowie Watahy, potrzebni nam są jak dziura w moście. Rozważniej zrobimy, schodząc im z oczu.

– No to może zdobędziemy konia...

Zatrzymała się, obróciła i zgromiła go wzrokiem.

– Zdobędziemy konia, mówisz? A znasz jakieś miłe, przyjazne gospodarstwo,

gdzie rozdają konie za darmo?

Uniósł brew.

– Jesteś złodziejką, no nie?

Tak przynajmniej mówiła. Złodziejka kurczą, zawodowa przestępczyni, w razie potrzeby trudniąca się rozbójnictwem po szlakach, patentowana włamywaczka, okazjonalny kieszonkowiec. Swobodnie przyznawała się do tego, że nie po drodze jej z prawem. Edward zaczął się zastanawiać, jak siedemnastoletnia dziewczyna (powiedziała mu, że właśnie tyle ma lat) osiągnęła biegłość w tylu profesjach, ale Grace nie opowiadała za wiele o swojej przeszłości. O terażniejszości właściwie też nie.

– Kradzież konia karze się śmiercią – przypomniała mu.

– Chyba że znasz króla, który może cię ułaskawić.

Wsparła ręce na biodrach, a on natychmiast pożałował, że to powiedział. Odkąd zdradził jej swoją tożsamość, dąsała się na niego. To znaczy przez większość czasu traktowała go z sympatią: była uprzejma i pogodna, czasem nawet nachodziła ją ochota na onieśmielający flirt, lecz gdy przypominała sobie, że Edward nie jest tylko towarzyszem podróży, ale i królem Anglii, po prostu milkła. Albo gorzej – złościła się na niego.

Jak na przykład teraz.

– No cóż, sire – zwracała się do niego zwyczajowym królewskim tytułem, ale charakterystycznie modulowała głos, w związku z czym podejrzewał, że z niego kpi – może nie zauważyłeś, ale tak się składa, że tutaj nie jesteś królem. Nie możesz pstryknięciem palców przywołać karety o złotych kołach i czterech rącznych ogierów, które zawiozłyby nas, gdzie tylko nam się zamarzy. Musimy polegać na własnych nogach.

Edward odwzajemniłby się jakąś ciętą ripostą, ale musiał przystanąć przy drzewie, by złapać tchu.

Grace omiotła wzrokiem jego wymizеровaną twarz i przysłaniając oczy dłonią, spojrzała na niknące za linią horyzontu słońce.

– Zatrzymamy się tu na noc. – Powiesiła plecak na pobliskiej gałęzi i zaczęła rozbijać prowizoryczny obóz.

– Ale ja mogę iść dalej – wycharczał, gdy krzątała się, zbierając chrust. – Nawet czuję się na siłach.

Zignorowała go.

– No dobrze, niech ci będzie – ustąpił wspaniałomyślnie, gdy zapłonęło ognisko. – Skoro jesteś zmęczona, możemy tu odpocząć. – Jego zdradzieckie ciało opadło na ziemię, zupełnie odbierając wiarygodność słowom i garnąc

się do ognia. Przymknął oczy dosłownie na chwilę. Żeby zebrać siły.

– Dojdiesz do siebie? – zatroszczyła się.

Rozwarł z mazołem powieki, odkaszlnął.

– Pewnie. Nigdy nie czułem się lepiej. Zgodziłem się na popas tylko dlatego, że jestem dżentelmenem. Kobiety szybciej się męczą, to rozumiały. Jesteście kruche, delikatne, macie wątki kościec.

Parsknęła śmiechem.

– Dobra, dobra. Poczekaj tutaj. Mój wątki kościec i ja zaraz wrócimy.

Pochyliła się, by zdjąć buty. Edward robił, co w jego mocy, by nie obłąpić wzrokiem jej kształtnych kostek (na królewskich salonach taki widok uznano by za nieobyczajny, gdyż kostki były wówczas skandalicznie prowokującą częścią ciała), ale nie mógł oderwać wzroku.

Ależ ładne kostki. Bardzo, bardzo ładne.

Grace spojrzała na niego, wyczuwszy, że się w nią wpatruje.

– Może uwiecznisz moje nogi na obrazie, sire? Będiesz mógł patrzeć, gdy tylko najdzie cię ochota.

Zaczerwienił się i uciekł wzrokiem. I dobrze, bo zaraz odwróciła się do niego plecami i szybko zsunęła resztę odzienia. Przez trzy sekundy stała obok całkiem naga. Pochwycił jej kształt kątem oka, nim błysnęło światło i tam, gdzie przed chwilą stała złodziejka, ujrzał małą, rudą lisicę ze szpiczastymi uszami, wąsami i puszystym ogonem z białą końcówką.

Jak się okazało, z Grace była prawdziwa lisica. Jak rude, to i wredne – pomyślał Edward. Cóż, wiedział coś na ten temat.

A lisica zniknęła bezszelestnie w zaroślach.

Zapadła ciemność. Obserwował w ciszy pojawiające się na niebie gwiazdy. Deszcz wreszcie ustał i zbudził się delikatny wietrzyk, który przyjemnie łaskotał w twarz. Gdzieś w konarach drzew zahuczała sowa. Piękna noc. Taka noc, że aż się człowiek może zadumać. Edward zdał sobie sprawę, że jest tu zupełnie sam.

Należy tu wspomnieć, że król nie był przyzwyczajony do bycia samemu. W swoim poprzednim życiu rzadko kiedy miał dla siebie choćby kwadrans. Był w końcu chwalebny słońcem, wokół którego nieustannie orbitowali ludzie. Ludzie odpowiedzialni za to, by zjadł i się nie zakrztusił. Ludzie pomagający mu dosiąść konia. Ludzie uczący go łaciny. Czeszący go, napełniający jego opróżniony kielich, który właściwie nigdy nie był pusty, bo miał przecież ludzi do jego napełniania. Nawet gdy spał, za drzwiami stali ludzie, których zadaniem było go pilnować.

A teraz był zupełnie sam. Odkrył, że ogarniają go euforia (w końcu mógł się podrapać, gdzie go swędziało, bo nikt na niego nie patrzył, nikt nie oceniał!) i obawa (no bo co, jeśli się jednak zakrztusi?).

Postanowił wykorzystać ten czas na przemyślenie kilku spraw. Przede wszystkim musiał rozważyć następny krok na drodze do Helmsley i babci oraz znaleźć antidotum na truciznę. Powinien też poświęcić się refleksjom o naturze zaufania i zdrady, a także o tym, jak trudno królowi w dzisiejszych czasach znaleźć zaufanego pomocnika i podstępem odzyskać utracone królestwo. Nie zaszkodziłoby też pomartwić się o Jane i zastanowić się, co też może robić w tym właśnie momencie, gdy na Londyn maszerują wojska Marii. Ale jego umysł, miast skupiać się na tych wszystkich rzeczach, uparcie koncentrował się na Grace. Myślał o tym, że jest lisicą oraz złodziejką (nie mógł pojąć, jak kryminalistka może być jednocześnie tak ciekawą osobą). I o tym, że bardzo chciałby ją pocałować.

Tę ostatnią myśl rozumiał najmniej. Grace była na szarym końcu listy kobiet odpowiednich do całowania przez Edwarda. On był królem Anglii, ona – Szkotką i złodziejką. A jednak wciąż, w jakiś niewyjaśniony sposób, pragnął ją pocałować i już.

Ona jest tą jedyną – postanowił. – Ona jest tą szczęściarą, którą pocałuje. (Może nawet z języczkiem).

Musiał tylko obmyślić, jak się do tego zabrać.

Zwykle gdy czegoś pragnął, po prostu o to prosił. Nie wątpił, że gdyby zechciał pocałować jakąś kobietę na dworze, wystarczyłoby powiedzieć: „Lady Takaczyinna, mam życzenie, by przystąpiła pani do mnie i przyłożyła swe usta do moich”. Jego życzenie byłoby wówczas dla niej rozkazem. Nie musiałyby nawet mówić „proszę”.

Ale to było zupełnie co innego. Przede wszystkim, jak wyłożyła mu to dobitnie Grace, tutaj nie był już królem. Po drugie, był pewien, że gdyby bez ogródek poprosił ją o pocałunek, pewnie roześmiałyby mu się w twarz. A po trzecie, chciał nie tylko pocałować Grace, ale też by ona chciała ów pocałunek odwzajemnić.

Tylko jak tu sprawić, by zechciała go pocałować? W stajni wydawało mu się, że była przynajmniej w niewielkim stopniu zainteresowana tym, by się z nim migdalić. Patrzyła na niego w ten sposób. No tak, ale zaraz potem próbowała uciec. Po czym mu pomogła. A potem co rusz zostawiała samego.

Kobiety to skomplikowane stworzenia.

Zaszeleściły krzaki i wyszła z nich Grace pod postacią lisicy, wydając

z siebie zabawne szczenięcie. Zakomunikowała w ten sposób Edwardowi, że ma się odwrócić, gdy ona będzie się przebierać. Kiedy więc rozbłysło eđiańskie światło, posłusznie wbił wzrok w ziemię. Grace, już jako dziewczyna, chwyciła ubranie i znowu zniknęła w gęstwinie.

Gdy wreszcie wyłoniła się z lasu, w jednej dłoni trzymała jakieś zawiniątko, a w drugiej – upolowanego królika. Rzuciła mu pakunek.

Gdy opuszczała go na jakiś czas, zawsze wracała z czymś, czego potrzebowali, na przykład parą spodni (bo ich właśnie najbardziej Edwardowi brakowało), nieco sfatygowanym płaszczem, lnianą koszulą i ciepłym wełnianym kocem. Czasem z bochenkiem chleba, innym razem z butelką wody, jeszcze innym z nieco zardzewiałym, ale w zasadzie całkiem porządnym mieczem. A prawdziwym *pièce de résistance* były buty. Para porządnych skórzanych butów w jego rozmiarze. Nie miał pojęcia, skąd je wzięła, ale wolał nie pytać.

W tym pakunku znalazł parę niepasujących do siebie skarpet.

– Dziękuję – powiedział, zzuwając buty.

– Proszę. – Nie spojrzała na niego, siadła tylko na pieńku po drugiej stronie ogniska i wyjęła zza pasa nóż myśliwski o pięknej, wyłożonej masą perłową rękojeści, po czym rozcięła królikowi brzuch, wypatroszyła go i płynnym ruchem obdarła ze skóry. Edwardem targnęły mdłości.

Wszystko co kiedykolwiek zjadł, podawano mu już w formie przypominającej jedzenie, na talerzu i z przybraniem, a nie w postaci okaleczonych bezbronnych zwierząt.

Przyszła mu na myśl polna mysz, którą zjadł pod postacią ptaka. Jego żołądek zaburczał niewesoło. Wrócił myślami do skarpet.

– O, tutaj jest dziura – odkrył.

– Doprawdy? – Nie podniosła wzroku znad oprawianego królika. – Może mam ci zacerować?

– Byłoby miło, dzięki – powiedział ucieszony. – W wolnej chwili, nie ma pośpiechu.

– Pozwoliłeś ognisku przygasnąć, więc pewnie chciałbyś też, żebym dorzuciła drwa?

– No, musisz jakoś upiec tego królika.

– To może przy okazji wyprasuję ci koszulę?

– Właściwie to jest trochę pognieciona – przyznał, choć nie miał pojęcia, jak niby chciała wyprasować ją w tych warunkach.

Coś ohydnie wilgotnego plasnęło koło jego nóg. Królicze wnętrzności.

Zachłysnął się powietrzem i spojrzał w górę. Grace stała nad nim na szeroko rozstawionych nogach, a w jej oczach płonęła furia.

– Nie jestem twoją dziewczką służebną! – Potrząsnęła mu przed oczami oskórowanym królikiem. – Powiedziałam, że ci pomogę, i słowa dotrzymam, ale nie dam sobą pomiatać. Nie jesteś moim królem, a ja nie jestem twoją poddaną. Więc nie mów mi, co mam robić.

Zamrugnął, nie posiadając się ze zdumienia.

– Ale ja... Wcale nie chciałem tobą pomiatać ani obarczać cię całą robotą. Po prostu...

Skrzyżowała ramiona.

– Nigdy nie musiałem sam się o siebie troszczyć – wymamrotał, spuściwszy głowę. – I po prostu nie umiem.

Przez chwilę stała nieruchomo, wreszcie usłyszał, że wraca na miejsce. Gdy odważył się podnieść wzrok, obracała już królika na zmaistrowanym z patyków rożnie, a jej twarz jaśniała, okolona czarnymi lokami spływającymi na ramiona i plecy. Spoglądała w płomień nieruchomym wzrokiem.

Serce w nim zamarło. Nie znosiła go. Pewnie już obmyślała plan, jak się go pozbyć.

– Przepraszam – wymówił przyciszonym głosem.

Pochwyciła jego spojrzenie.

– Ja też – powiedziała wreszcie. – Niepotrzebnie rzuciłam ci się do gardła. Po prostu jestem czuła na tym punkcie i tyle.

– Na którym punkcie?

– Angielskich królów.

– Aha. – Zdobył się na słaby uśmiech. – No cóż, zauważyłem. Ale z moim gardłem chyba wszystko w porządku.

Pojawiły się dołeczki. Próbowwała zdusić uśmiech. Jego serce wypełniło się nadzieją. Może jednak trochę go lubi.

– To pewnie nie twoja wina – stwierdziła. – Musisz być przyzwyczajony do ludzi czekających na każde twoje skinienie i przewracających się o siebie na wzajem, byle jak najprędzej ci usłużyć.

– Tak. – Wahał się, czy powinien jej wyznać, jak często przez całą tę uwagę, którą mu poświęcano od najmłodszych lat, czuł się uwięziony w złotej klatce. I jak bardzo chciał w końcu sam czegoś dokonać.

– Spędziłeś życie, wydając dekrety, a nie pracując, by mieć co do garnka włożyć – dodała.

Wzruszył ramionami.

– Większość dekretów opracowywali moi doradcy. – Zawsze uważał władanie państwem za mniej więcej tak zajmujące jak obserwowanie rosnącej trawy, więc zwykle zostawiał to innym. Po to oni są – tłumaczył sobie.

– To co ty właściwie robiłeś? – spytała. – Jadłeś, piłeś i weseliłeś się cały boży dzionek?

– Wcale nie – zaprzeczył gorąco, choć przed oczami stanęły mu obrazy z poprzedniego życia: wzywanie służących o poranku, by pomogli mu się ubrać, poranny posiłek w prywatnych komnatach, który serwowano na srebrnych talerzach, lekcje z najlepszymi guwernerami w Anglii. Obiad. Popołudniowa gra w tenisa, strzelanie z łuku lub szermierka (znaczy, gdy jeszcze był zdrowy). Sporadyczne koncerty dla służby, jako że całkiem nieźle radził sobie z lutnią. Wreszcie polowania na jelenie, niedźwiedzie... I (przełknął ślinę) lisy.

Doszedł do wniosku, że właściwie przygotowywał się do pełnienia funkcji króla, zamiast ją pełnić.

Odkasznął w pięść.

– Ile miałaś lat, kiedy się dowiedziałaś, że jesteś Eðianką? – spytał, żeby zmienić temat.

– Och, wiedziałam od zawsze – odparła Grace. Obróciła królika nad ogniem. – Mama i papa wiedzieli, wszystkie ciocie i wujkowie i tak dalej. Byłoby dziwne, gdybym nie była Eðianką.

– Ale kiedy się dowiedziałaś, że jesteś lisicą?

Wzruszyła ramionami.

– Wielu Szkotów to lisy. I jelenie, i łanie, i kuny, i sarny... Wszyscy jesteście zwierzyną łowną. Jak myślisz, dlaczego Anglicy tak lubią na nas polować?

Znowu przełknął ślinę. Anglicy, to jest Edward i jego rodacy. Ale nie sposób zaprzeczyć, że miała słuszość. Napięte stosunki między Anglikami i Szkotami były wynikiem polityki prowadzonej przez jego ojca – a więc nie jego własnej – pomijając całe to zamieszanie z Marią, królową Szkotów. Zadrżał.

– Czemu więc pomagasz Anglikowi, skoro jesteś Szkotką? Nie powinniśmy czasem próbować się pozabijać?

Zdjęła drewniany rożen z ognia i wyciągnęła sztylet, by podzielić mięso.

– Zawsze miałam słabość do najbardziej żalosnych istot pełzających po tym świecie.

– Dzięki – powiedział cierpko i sparzył się w język zdjętym z rusztu

królikiem. – Na Boga, ależ to gorące!

Grace podała mu butelkę z wodą, a on przyjął ją z wdzięcznością.

– No to opowiedz mi o tej swojej babce, która ma cię wybawić z opresji. – Miała dość rozsądku, by podmuchać na mięso, nim zaczęła jeść. Edward zawiesił na niej wzrok. – O tej w Helmsley – ponagliła go.

– Aha, no tak. To Elżbieta, stara królowa matka – wyjaśnił. – Matka mojego ojca. Oczekiwano, że umrze pół wieku temu, jeszcze zanim mój ojciec został królem. Ale tylko rozgłosili wieść o jej śmierci, a tak naprawdę odesłali ją do Helmsley, gdzie przebywa po dziś dzień.

– Czemu?

– Bo to skunksica.

Gracie parsknęła śmiechem.

– Ładnie tak mówić o babci?

– Chodzi mi o to, że jest Eđianką, i to taką, co pamięta czasy, gdy Eđiaństwo było nielegalne. – Edward wziął kolejny kęs, tym razem nieco ostrożniej. – Ale mój dziadek ją kochał, naprawdę kochał, więc zamiast spalić ją na stosie, postanowił ukartować jej śmierć i ukryć ją gdzieś daleko. Raz na kilka lat wyprawialiśmy się do niej na wieś: Maria, Bess i ja, czasem nawet jechała z nami moja kuzynka Jane, bo przecież babka to jej prababcia. Jest stara, pewnie dobiega dziewięćdziesiątki, i ma w głębokim poważaniu wszelkie reguły przyzwoitości. Kiedyś tak wkurzyła ojca, że zmienił się w lwa i baliśmy się, że ją pożre, ale wtedy ona zmieniła się w skunksa i prysnęła mu w twarz swoją cuchnącą mazią. Tygodniami nie mogłem pozbyć się smrodu.

– Coś czuję, że się polubimy. – Grace wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Jane i ja uwielbialiśmy staruszkę. Grała z nami w różne gry. To jej twarz widzisz na karcie dama kier.

– Poważnie? – Grace skończyła już jeść i wrzuciła kości w krzaki. Edward zaobserwował, że pochłania posiłki w trymiga, nie kłopotząc się manierami, jakby na wszelki wypadek zawsze chciała być gotowa do ucieczki. On natomiast jadł wolniej, rozkoszując się smakiem mięsa. Odkrył, że ta prosta potrawa z ogniska smakuje lepiej niż wszystko, co jadł w pałacu. I czuł, że to jedzenie dodaje mu energii, której desperacko potrzebował. Że pompuje mu do krwiobiegu utracone siły życiowe.

– A więc mówisz, że do Helmsley został nam dzień drogi? – zagadnął, gdy skończył.

– Tak sądzę – potwierdziła – oczywiście, jeśli nic się nie wydarzy po drodze. – Oblizwała palce z tłuszczu. – Ale, jak już mówiłam wielokrotnie,

dotarlibyśmy o wiele szybciej, gdybyś tylko...

– Ja zaś wielokrotnie odpowiadałem – wszedł jej w zdanie Edward – że nie będę siedział na twoim ramieniu pod postacią ptaka, jak jakiś tresowany pupil. Gdyby to było takie proste, to poleciałbym sam, prawda? I cię zostawił.

– A czy ja cię trzymam przy sobie siłą? – Odchyliła się i oparła na ramionach. – Leć, kędy wola.

– Nie mogę – przyznał. – Nie znam drogi.

Parsknęła śmiechem.

– A poza tym – podjął – polubiłem twoje towarzystwo.

Nie był pewien, czy mu się zdawało, czy rzeczywiście jego wyznanie sprawiło jej przyjemność.

– Och, doprawdy? Ja chyba też polubiłam twoje towarzystwo. Gdy nie zachowujesz się jak rozpuszczony paniczek.

– Dzięki piękne – wybąkał.

– Ależ proszę. Ale naprawdę powinieneś tam polecieć, jeśli zdołasz się przemienić. Jako pustułka dotrzesz na miejsce, ani się obejrzysz.

Pokręcił głową.

– Gdy jestem ptakiem, zapominam o tym, że jestem człowiekiem. Myślę tylko o wietrze i o niebie. Po prostu fruвам, dryfuję w powietrzu. To najlepsze uczucie na świecie. Tam, w górze, nie jestem chory, nie jestem królem. Po prostu jestem wolny.

Przysunęła się bliżej do niego, dziwnie zadumana. Podniosła oczy i utkwiała je w gwiazdach, a on robił, co mógł, by powstrzymać się od wodzenia wzrokiem po cudnym łuku jej szyi.

– Rzeczywiście pięknie tam w górze – wymruczała. – Często sama marzyłam o lataniu.

– Gdy latam, tracę poczucie czasu, jakby moja świadomość rozpływała się w umyśle zwierzęcia. Ty też tak masz? Czy zwierzę przejmuje nad tobą kontrolę?

Zamyśliła się.

– Czasem nachodzą mnie lisie myśli. Dzika miłość do nor. Do biegania. Do panicznego gdakania kury na moment przed tym, jak zatopię zęby w jej ciele... – Zaczerwieniła się i Edward dostrzegł piegi na jej nosie. W jej oczach tańczył płomień ogniska.

Udał, że się przeciąga, aby przysunąć się troszkę bliżej. (Nie znajdziecie tego oczywiście w książkach historycznych, ale pragniemy zwrócić uwagę czytelnika na to, że był to pierwszy raz w historii, kiedy młody mężczyzna

wypróbował trik z przeciąganiem się na młodej kobiecie. Edward był więc wynalazcą tego numeru, który niezliczeni młodzi mężczyźni wypróbują od stuleci).

Grace nie odsunęła się. Kto wie, czy wymarzony pocałunek nie nastąpiłby właśnie wtedy, gdyby w tym samym momencie wiatr nie zmienił kierunku i nie buchnął im dymem w oczy. Obydwoje zaczęli kaszleć, a kaszel Edwarda ciągnął się i ciągnął, aż zamazało mu się przed oczami. Niech szlag trafi Dudleya razem z jego trucizną i jego planem, i ten cholerny kaszel też – pomyślał. Nie ma bata, żeby pocałowała go teraz, gdy wycharczał połowę płuc.

Grace zerwała się na nogi i zaczęła się krzątać.

– Tak czy siak, jesteś jeszcze zupełnie zielony – skwitowała, układając strategicznie chrust w ognisku. – Dopiero co odkryłeś swoją eđiańską formę. Ale nic się nie martw, z czasem nauczysz się ją kontrolować.

Westchnął.

– Jak mam się tego nauczyć? – spytał.

– To nie takie trudne. Gdy ja chcę się przemienić, biorę głęboki wdech i odpędzam wszystkie myśli poza jedną: zmienić się w lisicę to znaleźć kolację, a znaleźć kolację to pomóc młodemu królowi. Chwilę potem mknę przez las jako zwierzę. A skoro już o tym mowa – dodała, wracając do plecaka – mam dla ciebie deser.

Wyjęła niewielkie zawiniątko i je rozwinęła. W chuście spoczywała garść jeżyn.

Edward nie wiedział, co się stało. W jednej chwili był spokojny, nawet ucieszony perspektywą zjedzenia jeżyn, za którymi zdążył się stęsknić, a w następnej targały nim drgawki, oczy uciekły mu w głąb czaszki, na usta wystąpiła piana. Ledwie rozpoznał nad sobą twarz Grace i jej szeroko rozwarte, wypełnione przerażeniem oczy.

Po kilku minutach atak minął. Edward leżał przez chwilę zwinięty w kłębek, dysząc, potem rozkasłał się, bo oczywiście bez kaszlu nie mogło się obejść, po czym zwrócił królika. Gdy przestał wymiotować, poczuł na czole chłodną dłoń towarzyszki.

– Jesteś rozpalony.

To dlatego, że płonę z pożądania.

– Przepraszam – powiedział. – Nie mam za wiele czasu, by dotrzeć do Helmsley, prawda? Najwyraźniej wciąż umieram.

– Musisz się przemienić. – Zacisnęła szczęki. – To jedyny sposób.

Opuściły go resztki dumy.

– Jak? – wyszeptał.

– Owinę cię luźno, żebyś się nie połamiał, i zaniosę do Helmsley.

– Zaniesiesz...? – wychrypiał, siłując się z własnymi opadającymi powiekami.

– Tak jak matka nosi dziecko – wyjaśniła, łapiąc go za rękę. – Będiesz bezpieczny i dotrzemy na miejsce w trymiga. Biegam szybko jak wiatr, nawet gdy nie jestem lisicą. – Przyłożyła jego dłoń do serca, a on wyczuł silny puls. – Obiecuję ci to. Zaniosę cię do twojej babki.

– Dobra – wyszeptał. Uśmiech zamajaczył mu na rozchyłonych wargach. – Jak mógłbym odmówić, gdy chcesz całą noc tulić mnie do piersi?

Odjęła jego rękę.

– Nie pozwalaj sobie.

Zaśmiał się cicho i zmienił w pustułkę. Grace westchnęła i owinęła go płaszczem. Było w nim ciemno i ciepło, gdy przywiązała go do swojego ciała. Było mu dobrze.

*

Przytomniejąc, czuł coraz wyraźniej jakiś ulotny i nieprzyjemny zapach. Przeciągnął się i ku swojemu zdumieniu odkrył, że znowu jest człowiekiem. Leżał na prawdziwym łóżku przykryty futrami. Otworzył oczy. W ciemności płonęła pojedyncza świeca, a gdy jego oczy oswoiły się z jej światłem, ujrzał u swojego boku postać. Kobiętę.

– Grace? Gdzie ja jestem?

– Jesteś w Helmsley – powiedział głos, ale nie był to głos Szkotki. Tylko Bess.

– To ty – powiedział.

Opromieniła go uśmiechem i ścisnęła za rękę.

– Już myślałam, że nigdy się nie obudzisz.

– Ja też – przyznał.

– Masz. – Przystawiła mu kubek do ust. Upił łyk, a potem syknął, gdy poczuł w ustach smak czegoś, co ewidentnie nie było wodą. Łzy zebrały mu się w oczach.

– To wyciągnie truciznę z twojej krwi – obiecała mu Bess. – Babcia to przygotowała.

– Babcia tu jest?

– Pewnie, że jestem – dobiegł go szorstki głos. – A gdzie miałabym być?

– Witaj, babciu.

– Wpakowałeś się w niezłe kłopoty, czyż nie, mój chłopcze? – powiedziała babcia, przeciągając sylaby, po czym rozsunęła kotary z grubego aksamitu. Do pokoju wdarło się słońce.

– Babciu – upomniała starowinkę Bess. – Nie powinnaś nazywać go chłopcem. Było nie było, wciąż jest królem.

– A ja mówię, że jest chłopcem o ptasim mózdzku – chrypnęła kobieta. – Bo dał się otruć. Dobroci łaskawa! Kiedy byłam królową, próbowano mnie otruć dziesięć razy dziennie. I nikomu nigdy się to nie udało.

– Tak, babciu – przytaknął pokornie. – Źle zrobiłem, że dałem się otruć.

– Lepiej już wstawaj – rozkazała. – Pod zawszawioną odzieżą generałowie leżą! Musisz pobudzić bieg krwi w żyłach, jeśli chcesz, żeby antidotum zadziało.

Wciąż kręciło mu się w głowie i chwiało się na nogach, ale nie ośmielił się spierać. Wsparł się na Bess i usiadł na łóżku, a potem przerzucił nogi przez krawędź. Wtedy zauważył, że ma na sobie tylko sięgającą połowy uda białą lnianą koszulę, którą zwędziła dla niego Grace.

– Ależ... Gdzie moje spodnie?

– Proszę cię – zachnęła się babcia. – Nie masz tam nic, czego bym już nie widziała. – Okrążyła go plecami i dźgnęła palcem w żebra. – No już, na nogi.

Wstał. Nie uszło jego uwadze, że babcia emanuje tym samym zapachem co zawsze, ale woń skunksa właściwie przejaśniła mu w głowie. Wciąż był słabowity, czuł się pusty i nie mógł przestać myśleć o tym, że jest nagi, ale czuł się o niebo lepiej.

Może jednak będę żył – pomyślał.

W drzwiach pojawiła się Grace. Jej wzrok powędrował prosto do jego bladych, chudych nóg.

– Wasza Wysokość – powiedziała, szczerząc się, po czym dygnęła beczelnie, co wyglądało dziwnie, bo oczywiście wciąż miała na sobie spodnie.

Zmieniłem zdanie. Jednak wolę umrzeć.

A jednak, jak powiedziała babcia, nie miał tam nic, czego by już nie widziała.

Babka i Bess wodziły wzrokiem od Grace do Edwarda z malującym się na twarzy rozbawieniem, wreszcie Bess się ocknęła i podała mu spodnie. Próbował odegnać zażenowanie, gdy pomagała mu je włożyć, najpierw jedną

nogę, potem drugą. Kiedy już trzymały się mocno na biodrach, wstał i powiedział:

– Poradzę sobie.

Odrącił delikatnie Bess i podszedł do okna, powolnym, ale pewnym krokiem. Był letni dzień, śpiewały ptaki, żdźbłami trawy w niezupełnie zadbanym ogrodzie poruszał delikatny wiatr, niebo było tak błękitne, że nie sposób było uwierzyć, by kiedykolwiek mogło tu padać.

– Od dawna tu jestem? – spytał.

– Przybyłeś wcześniej rano – powiedziała Bess.

Mniej niż dzień. Grace dobiegła tutaj w niecały dzień. Skupił na niej spojrzenie.

– Szybko biegasz. Jak na dziewczynę.

– No cóż, może pożyczyłam konia od napotkanego na drodze wielmoży – wyznała.

Edward przypomniał sobie, że za to przestępstwo grozi kara śmierci.

– A więc zawdzięczam ci życie – powiedział.

W jej policzkach pojawiły się dołeczki.

– Każdy orze, jak może, sire.

– Och, lubię ją – ogłosiła babcia. – Grywasz w karty, moja droga?

– Tak, a słyszałam, że jest pani prawdziwą damą kier – odparła Grace, co jeszcze bardziej spodobało się staruszce.

– Nie mamy czasu na karty, babciu. – Twarz Bess zmroziła tak wielką powagą, że przez chwilę młodszą z sióstr przypominała Marię. Co przywiodło Edwardowi na myśl żołnierzy maszerujących na zamek.

Babcia westchnęła.

– Może wy nie macie, ja mam. Chodź, dziewczyno – rzuciła do Grace, łapiąc ją za rękaw i ciągnąc do drzwi. – Pokażę ci, jak się gra w trumfa.

– Bacz na jej rękawy – zawołał za Grace Edward. – Nigdy nie wiadomo, co się tam kryje!

Grace zrobiła minę z gatunku: masz mnie za amatora?, a Edward pomyślał, że babcie też warto ostrzec, że pod urokliwą powierzchownością Szkotki kryje się pierwszej wody cwaniara. Ale obu kobiet już nie było.

– Musimy porozmawiać – zwróciła się do niego Bess.

Znów wyjrzał przez okno i oparł się o parapet. Siostra zamknęła drzwi, a potem przysunęła mu krzesło.

– No dobrze – mruknął, nagle ogarnięty zmęczeniem. – Powiedz mi, co się stało.

– Jane objęła tron, tak jak zarządziłaś.

– Jak zarządził Dudley – stwierdził pośpiesznie.

– Księżę chciał też porwać Marię i mnie i osadzić nas w Tower, żebyśmy nie mogły zagrozić władzy Jane – podjęła Bess. – Ale ja się wymknęłam, gdy usłyszałam, że po nas idą. Natomiast Maria dowiedziała się o planach Dudleya od jednego ze swoich zmyślniejszych szpiegów i uciekła do Kenninghall, a stamtąd do Flanders, by szukać pomocy u Świętego Cesarza Rzymskiego. Ma się rozumieć, zebrała armię i z tego, co wiem, zagarnęła tron dzisiaj rano.

– Musimy ruszać – zapalił się Edward. – Muszę tam jechać, natychmiast.

Bess pokręciła głową.

– Maria właśnie tego chce. Chce twojej śmierci i korony na własnej skroni. Chce pozbyć się z kraju Eðianów i sprawić, by Anglia wyglądała jak w czasach purytanów. Nie cofnie się przed niczym.

Przypomniawszy sobie, jak siostra wpychała mu do ust łyżkę z zatrutym puddingiem.

– Czyli od początku brała udział w spisku? – spytał. – Od początku działała ręka w rękę z Dudleyem?

– Nie. – Bess zacisnęła usta. – O tym, że Dudley podtyka ci truciznę, dowiedzieliśmy się z Marią przez przypadek. Gdy pewnego dnia szłyśmy cię odwiedzić, podsłuchaliśmy rozmowę doktora z niańką o dodatkowym składniku, który dorzucali do jeżyn. Gdy Maria powiedziała o tym Dudleyowi, oświadczył, że prostuje jej ścieżkę do tronu, choć wydaje mi się, że jemu zawsze chodziło o to, by osadzić na tronie Jane, ją podporządkować Giffordowi, zaś jego sobie. Ale Maria kupiła jego opowiastkę i odegrała rolę, którą dla niej napisał. Tak jak ja, tylko że ja cały czas szukałam sposobu, by cię uratować.

– Tak jak wtedy z morelami – przypomniał sobie. – Naprawdę mnie uratowałaś.

Skinęła głową i posłała mu czuły uśmiech.

– Jesteś moim młodszym braciszkiem. Nie mogłam stać i patrzeć, jak dzieje ci się krzywda.

– Lecz Maria również jest moją siostrą – powiedział Edward. – Na Boga, jest moją matką chrzestną. Jak śmie odbierać mi moje dziedzictwo? Prawowitym królem jestem ja! – Dopadła go kolejna fala znoju, zatoczył się, a Bess rzuciła się do niego i poprowadziła do podstawionego krzesła. Nie mógł zrobić nic innego, jak tylko usiąść.

- Jestem królem... – wymamrotał.
- Nie dla Marii – przypomniała Bess, kładąc mu rękę na ramieniu. – Już nie.

JANE

Nie doszło do żadnej ostatecznej bitwy o Anglię.

W ciągu kilku minut od przybycia Marii do komnaty wpadli żołnierze w czerwonych mundurach, siłą odebrali Giffordowi miecz (nie żeby próbował z niego skorzystać) i jemu oraz Jane związali ręce na plecach. Ani się obejrżeli, żołdacy sprowadzili ich schodami na dziedziniec, przytykając im miecze do pleców.

– Spróbuję z nią pertraktować – oświadczyła Jane, gdy wspinali się po schodach wiodących do sali tronowej.

– Uważasz, że to coś da? – Gifford był blady, ale Jane widziała, że stara się nadrabiać miną.

– Nie mam pojęcia. Po prostu pozwól mi z nią pomówić. Maria nienawidzi Eðianów najbardziej na świecie, wszyscy to wiedzą.

– A po czym pozna, że jestem Eðianinem? Przecież nie wystaje mi ogon.

– Lepiej dmuchać na zimne. A poza tym może to sprawi, że nauczysz się kontrolować swój dar.

Wreszcie dotarli do sali tronowej, szczelnie wypełnionej dworzanami i żołnierzami. Były tam wszystkie dwórki Jane, niektóre bliskie omdlenia, inne z zadartymi nosami i zaciętymi minami, jakby ich zdaniem ta cała Jane i tak nie nadawała się na królową.

Była tam także jej matka. Lady Frances trzymała się grupki dwórek, a na jej twarzy widniał ponury grymas. Mięła w rękach chustkę. Uniosła wzrok, gdy Jane i Gifford wkraczali do komnaty, ale gdy napotkała spojrzenie córki, odwróciła głowę. Strażnik popędził Jane sztychem miecza w kierunku tronu.

Gdzie czekała na nią Maria.

Najstarsza siostra Edwarda rozparła się na tronie, a na jej głowie błyskała korona. Miała na sobie obfitą karmazynową suknię obszytą różami na niebieskim tle. Wyglądała tak dostojnie, jakby wiedziała od urodzenia, że tron Anglii jest jej przeznaczony.

– Jane – wyszczebiotała, siadając prosto. – Czy nic ci nie jest?

Obalona królowa stanęła wyprężona jak struna przed tronem, na którym jeszcze niedawno zasiadała. Odważyła się omieść wzrokiem świętę zebraną wokół tronu: księżęta, członków Rady, oraz stojącego na przodzie lorda Johna

Dudleya, księcia Northumberland.

– Ty – mruknęła do niego Jane. – Po czyjej jesteś teraz stronie?

Odpowiedzią był śliski, wredny uśmiezek.

– Jane. – Do głosu uzurpatorki przedarła się irytacja. – Pytam, czy nic ci nie jest?

Na Marii spoczął obojętny wzrok zdetronizowanej władczyni.

– Chyba krzesła ci się pomyliły.

Przez tłum przetoczyła się fala zduszonych okrzyków, ale reakcją Marii był uśmiech.

– Jane, moja droga. Z pewnością masz świadomość, że zasiadłaś na tronie wskutek machlojek niezycliwych mi szachrajów. Każdy wie, że tron miał przypaść mnie, w razie gdyby Edward – głos jej się załamał, gdy wypowiadała imię brata – nie spłodził potomka. Wielka szkoda, ale niestety nie miał okazji. Zbyt szybko zabrała go śmierć. Tak więc prawo stanowi, że ja jestem następną w linii sukcesji.

– Edward to zmienił swoim edyktem. To była jego ostatnia wola.

Jane nie patrzyła na lorda Dudleya, który powiedział jej niedawno dokładnie to samo. A teraz stał jak słup soli, jakby akceptował zagarnięcie tronu przez Marię.

– Bardzo mi cię szkoda, Jane. – Pokiwała głową Maria. – Uwikłano cię w grę, w którą zupełnie nie potrafisz grać.

– Czy nie powiadomiono cię o tym, że Edward zostawił tron mnie? – spytała cichym, lecz nieznośnym sprzeciwu głosem. – Zmienił linię sukcesji.

– Edward zostawił tron tobie, ponieważ zmożony chorobą dał się oszukać wichrzycielom, którzy bardzo by na tym zyskali. – Cisnęła spojrzeniem w lorda Dudleya. – Owi manipulanci otrzymali wybór. Ten sam, który teraz otrzymasz ty.

– Nie jesteś prawowitą królową – wygłosiła Jane, choć jeszcze kilka dni temu czuła, że sama nią nie jest. Ale ona przynajmniej miała tego świadomość, podczas gdy Maria uważała najwyraźniej, że tron jej się należy i basta.

– Tajna Rada ma inne zdanie.

Ach, więc to Rada przegłosowała kwestię osadzenia Marii na tronie? Dusza Jane zapłonęła gniewem. Jak śmiać zwracać się przeciwko niej? Wprost nie mogła w to uwierzyć. Czy nie zasłużyła na szacunek i lojalność wielogodzinnym wysłuchiwaniami ich przechwałek pierwszego dnia rządów?

– Jak już mówiłam – podjęła Maria – chcę postąpić uczciwie. Każdy może złożyć mi pokłon, jeśli chce.

Milczący dotąd Gifford przychylił się raptem do Jane, tak że jego usta prawie zetknęły się z jej uchem.

– Muszę stąd natychmiast uciekać – powiedział nagle. – Już prawie świt.

Miał rację. Nie mogła wyrzeć przez okno, ale czuła, że noc ma się ku końcowi. A Maria była uparta jak osioł.

– Daj nam czas do wieczora – poprosiła. – Potrzebujemy czasu do namysłu.

– Tu się nie ma nad czym zastanawiać – odparła Maria. – Wystarczy tak lub nie.

– Jane... – Gifford przestąpił z nogi na nogę.

– Nie zmrużyłam oka tej nocy i umieram z głodu – spierała się Jane. – To poważna decyzja i chcę ją podjąć wypoczęta. Muszę ją przemyśleć. Bardzo cię o to proszę, Mario, gdybyś tylko...

Ale było już za późno. Promienie słońca przesączyły się przez witrażowe okna, a gdzieś obok Jane bryznęło światło, rozległ się dźwięk dartych ubrań i stukot kopyt o marmurową posadzkę.

Ludzie zachłysnęli się powietrzem i odruchowo cofnęli pod ściany. Strażnicy rzucili się w stronę G z uniesionymi mieczami.

Maria poderwała się z tronu.

Serce Jane zamarło.

Gifford zmienił się w konia.

Jane ogarnęła szalona myśl, by wskoczyć mu na grzbiet i dać się ponieść jak najdalej stąd (mimo że pogwałciłaby w ten sposób zasadę numer trzy). Ale w swojej obecnej postaci nie miał szans przecisnąć się wąską i krętą klatką schodową i nawet pomimo że przysunął się do Jane, jakby chciał zasłonić ją przed żołnierzami, nie zdołałaby się na niego wspiąć, bowiem wciąż była skrępowana.

– Brać ich – rozkazała Maria.

Żołnierze ich rozdzielili. Jane próbowała się im wyrwać, Gifford kasał i kopał, lecz jeden z żołdaków przystawił mu miecz do gardła, a inny przycisnął sztylet do szyi Jane.

Dziewczyna i koń skrzyżowali spojrzenia. Przeszli walczyć.

– No proszę. – Maria rozsiadła się z powrotem na tronie. Znowu przemawiała tym słodkim głosem, ale Jane słyszała pobrzmiewającą w nim pogardę. – A to ci ciekawostka.

Jeden ze strażników narzucił Giffordowi pętlę na szyję. G się nie opierał. Drab za plecami Jane rozciął jej więzy i nałożył metalowe kajdany. Co wydawało się lekką przesadą.

– Kochana Jane – odezwała się Maria. – Mój świętej pamięci brat darzył cię wielką sympatią. Składał ci tę ofertę, by uhonorować pamięć o nim. Oraz dlatego, że jak już mówiłam, szkoda mi cię. Nie rozumiesz zasad gry, która toczy się na twoich oczach, to raz, a dwa, współczuję ci tych twoich pechowych włosów. Są po prostu... No, nie chciałabym być nieuprzejma.

Nie – pomyślała Jane. – Ty chcesz tylko odebrać mi tron i zabić męża.

Obejrzała się na Gifforda, który stał spokojnie w tłumie żołnierzy. Tak krótko był jej mężem. Nie wiedziała, jaki jest jego ulubiony kolor ani ulubione danie – pomijając, rzecz jasna, jabłka, ale który koń ich nie lubił. Wcześniej sądziła, że on również gra w tę grę, że próbuje ją manipulować, jak wszyscy inni, lecz teraz nie miało to dla niej znaczenia. Co z nim będzie? Jaki los gotuje im Maria?

– Moja propozycja jest uczciwa i sugeruję, byś ją przyjęła – wygłosiła uzurpatorka.

– Wciąż nie wiem, co to za propozycja – przypomniała jej Jane półgłosem.

– Ach, kochana, wybacz mi. Myślałam, że to oczywiste, czego od ciebie oczekuję. Tego mianowicie, co otrzymałam już od wszystkich. – Wskazała lady Frances i lorda Dudleya. – Oddaj mi hołd należny prawowitej królowej i wyrzeknij się zła. Wyrzeknij się herezji. Wyrzeknij się Eðianów.

Mogła się domyślić.

– Słodka mała Jane – ciągnęła Maria. – Jak ty uwielbiasz głądzić o Eðianach, o bohaterach i innych tego typu bzdurach. Jesteś młoda, więc nic dziwnego, że te rzeczy wydają ci się pasjonujące, lecz teraz każdy musi kiedyś dorosnąć. Chcę, byś wyrzekła się wszystkich Eðianów, łącznie z twoim mężem, i spędziła resztę życia na wygnaniu. Już zaklepałam dla ciebie miejsce w pewnym klasztorze. Będzie ci tam wygodnie i będziesz bezpieczna.

– A jeśli odmówię?

Maria wykonała krótki gest dłonią na wysokości szyi.

– Sądziłam, że tego również się domyślisz, skoro jesteś taka odczytana. Chyba cię jednak przeceniłam.

Była królowa rzuciła okiem na matkę, która kiwnęła głową, nakłaniając ją do przyjęcia oferty, co sama najpewniej zrobiła.

W komnacie zaległa gęsta cisza. Wszyscy czekali na odpowiedź Jane.

– Co zrobisz z moim mężem?

Maria pokręciła smętnie głową, ale jej oczy aż się skrzyły.

– Jutro rano zostanie spalony na stosie.

Dłonie Jane powędrowały do ust – a właściwie powędrowałyby, gdyby nie

była skuta. Metal wpił się mocno w jej nadgarstki, gdy zaczęła wyrywać się trzymającym ją żołnierzom.

– Nie – wydyszała. – Nie krzywdź go. Przecież on nic nie może poradzić na to, jaki się urodził.

Maria przekrzywiła głowę.

– A więc wiedziałaś o jego wynaturzeniu?

Jane wwierciała się spojrzeniem w lorda Dudleya.

– Ja, ma się rozumieć, nie miałem o tym pojęcia, Wasza Wysokość – wyrzekł. – Gifford co prawda wypuszczał się z domu na długie godziny i stronił od dworu, ale założyłem po prostu, że zachowuje się jak każdy młody mężczyzna w jego wieku. Skąd mogłem wiedzieć, że ma coś do ukrycia?

– To kłamstwo – skwitowała Jane, ale nikogo to nie obeszło.

– Mówimy teraz o tobie, kochana – naciskała Maria. – Czy wiedziałaś, że twój mąż to zwierzę?

– Dowiedziałam się podczas nocy poślubnej. Ci, którzy wiedzieli wcześniej – wpiła się wzrokiem w Dudleya – zataili to przede mną.

– A czy byłaś zaskoczona? – indagowała Maria głosem słodkim jak miód.

– Oczywiście.

– A czy wyrzekasz się jego diabelskiej magii? Czy zrywasz więzy, które cię z nim łączą? – Maria pochyliła się na tronie. – To proste: jeśli wstąpisz w szeregi Nieskalanych, ocalisz życie. Jeśli nie, każę cię ściąć.

Jane zamknęła oczy. Kajdany wpijały się w jej krwawiące nadgarstki, kręciło jej się w głowie z głodu i pragnienia. Nigdy wcześniej nie traktowano jej w taki sposób. Jakaś zdesperowana część jej duszy chciała powiedzieć „tak”, wyrzec się go i żyć samotnie na wygnaniu w tym domu na zachodzie.

Ale Giffordowi groziła śmierć.

Ale Gifford się jej nie wyrzekł. Może i był niegdyś podrywaczem i pijakiem, może i jest koniem, ale okazał się wobec niej lojalny jak nikt inny. Pomimo jej oskarżeń, rzucania poduszkami, lekceważenia – próbował ją ostrzec. Nie uciekł przed idącym na Londyn wojskiem. Nie przeszedł na stronę uzurpatorki.

Jak mogłaby się go wyrzec?

Przez całe przesłuchanie trzymał głowę przy samej ziemi, nosem niemal dotykał podłogi, złamany i zrezygnowany. Lecz teraz uniósł łeb, a jego oczy, końskie i ludzkie zarazem, napotkały jej wzrok. Zrób to – mówiły. – Wyrzeknij się mnie. Ratuj życie.

Zalały ją wspomnienia spędzonego wspólnie czasu na wsi: przekomarzanie,

czytanie pod drzewem, pomaganie potrzebującym, a przede wszystkim ten prawie-pocałunek o zmierzchu, pośród płonących świec. Nie mogła zaprzeczyć prawdzie: Gifford Dudley był dobrym człowiekiem, co za różnica, czy Eđianinem czy nie? I był jej mężem. Na dobre i na złe.

Odpowiedź musiała się ukazać na jej twarzy.

– Jane, moja droga, bądź rozsądna. – Maria zacisnęła usta. – Co udowodnisz, umierając?

– Udowodnię, że nie władasz tym królestwem, Mario. Udowodnię, że nie każdego możesz zmusić pogrózkami, by ci się pokłonił. Udowodnię, że nie każdy podda się twoim despotycznym metodom. Sądziłaś, że złamiesz mnie za pomocą strachu. A ja nigdy nie wyprę się swoich przekonań i swojego męża.

Palce Marii zacisnęły się na podłokietnikach tronu jak szpony drapieżnego ptaka.

– Zabrać ją stąd! Zabrać! I zróbcie coś z tym... z tym bydlęciem!

Żołnierze pochwycili ją i wywlekli z komnaty. Nie mogła się opierać ze skutymi na plecach poranionymi nadgarstkami, ale mogła dalej mówić:

– Eđianie to ludzie tacy jak my. Nienawidzisz ich, bo się ich boisz! – Głos jej się trząsł, gdy ciągnęli ją po podłodze.

Nikt nie kiwnął palcem w jej obronie.

*

Jane czytała kiedyś o rozpaczach.

O bezradności Sokratesa, który wolał dać się otruć niż spędzić resztę życia zamknięty w jaskini. O trwodze Anny Boleyn, matki Bess, którą ścięto kilka lat wcześniej po oskarżeniu o kazirodztwo i cudzołóstwo. O rezygnacji Kleopatry, która odebrała sobie życie, dając się ukąsić żmii, gdy przegrała z mężem bitwę pod Akcjum.

Ale rozpacz na kartach ksiąg była czymś odległym i bezpiecznym. Sądziła, że zgłębiła to uczucie, gdy wertowała karty ukochanych ksiąg i czytała o tych wszystkich dawno nieżyjących ludziach. Współczuła im, płakała nad ich losem, czerpiąc tchu, którego oni już zaczerpnąć nie mogli. Wtedy mogła odłożyć książkę z powrotem na półkę, zawierając tę rozpacz w okowach oprawy.

Och, czasem całymi dniami wracała do siebie po szczególnie emocjonującej książce, ale zawsze miała pod ręką inne, które pomagały uleczyć zbolące serce.

Tutaj nie było książek.

Nie miała czym zająć myśli, gdy siłą kazano jej iść po schodach do pustego pokoju w Queen's House (zbudowanego dla Anny Boleyn, gdzie – o ironio – więziono ją przed egzekucją). Nie miała niczego, co pomogłoby jej odwrócić uwagę od otaczających ją czterech ścian, zimnych kamieni i ciemności, od palącego w nadgarstkach i ramionach bólu, który nie opuścił jej, nawet gdy zdjęto jej już kajdany.

Była zbyt obolała i zmęczona, by chodzić w kółko, więc usiadła na środku pokoju. Pomieszczenie było nieumeblowane. Nie pozwolili jej nawet spędzić ostatniej nocy w łóżku. Jako miłująca Eðianów heretyczka nie zasłużyłam nawet na to – wywnioskowała.

– Mam szesnaście lat – zwierzyła się czterem ścianom. – I jutro umrę.

Tak jej powiedzieli strażnicy. Jutro zostanie ścięta na szafocie.

Kim zajmą się w pierwszej kolejności, nią czy Giffordem? Czy pozwolą im się zobaczyć? A może Maria każe im patrzeć? Może Jane będzie świadkiem tego, jak palą żywcem jej męża, a potem obetną jej głowę, nim zdąży otrzeć łzę? Albo może będzie zupełnie odwrotnie i to Gifford ujrzy mknący ku jej szyi topór, nim podłożą ogień pod jego stos?

Otoczyła kolana ramionami i drgnęła. Miała zbyt bujną wyobraźnię.

Wkrótce zapadła noc, co poznała po niknącym w szczelinie między okiennicami świetelku. Była otepiała od pragnienia i głodu. Gdy przebiegła językiem po wargach, odkryła, że są suche i spękane. Miała pusty żołądek. Gdyby tylko mogła uciec w sen, zrobiłaby to, ale co chwila powracały strach i rozpacz, przypominając jej, że niebawem nie będzie czuć już zupełnie nic i że to jej ostatnie godziny na tym świecie.

Cóżby to było za marnotrawstwo – przespać swoje ostatnie chwile.

Przez kolejną godzinę – a w każdym razie przez dłuższy czas – myślała o Giffordzie i o tym, co teraz robi. Raczej nie trzymali go w stajni, tylko przenieśli na noc w jakieś odseparowane miejsce. Przypomniała sobie jego śmiech i żarty, ujmującą zdolność doszukania się w każdej rzeczy i sytuacji czegoś śmiesznego. Czy i w tej znalazłby coś zabawnego? Albo w jutrzejszym poranku?

Gdyby tylko mogła go zobaczyć. Przeprosić za ostatnie półtora tygodnia. Uczyniłaby go królem, całowała go i ufała mu, jak na to zasłużył, a potem... potem...

Może lepiej nie myśleć teraz o Giffordzie.

Powędrowała więc myślami do Edwarda. Zastanawiała się, czy też czuł ten

dogłębny, mdlący strach w obliczu nieuchronnej śmierci. Czy targał nim ten sam jęczący niepokój. Czy ogarnęła go zaciskająca się na żołądku lodowatymi kleszczami trwoga. Czarna rozpacz. Ciasne okowy beznadziei.

Szukała w głowie dalszych synonimów, gdy spostrzegła w szparze pod drzwiami przymglony pomarańczowy poblask i usłyszała narastający odgłos kroków. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i pokój zalało światło, oślepiając ją na moment. Pisnęła i schowała twarz w ramionach, podkurczyła kolana. A potem podniosła zmrużone oczy.

– Jane? – Lady Frances podeszła do niej z pochodnią w ręku, którą prędko osadziła w kinkiecie na ścianie. – Strażnicy mnie wpuścili. Mamy najwyżej kilka minut. Przyszłam cię prosić, byś zmieniła zdanie – powiedziała błagalnie, kłękając przed Jane. Jej twarz przybrała niemal wyraz matczynej troski. – Chcę cię przeprosić za to, że nie byłam... że nie byłam dla ciebie wsparciem w sali tronowej. Błagam, wybacz mi.

Jane gapiła się na matkę. Nigdy jeszcze nie usłyszała z jej ust przeprosin. Nie była pewna, co z nimi zrobić.

– To nieważne – wyrzekła wreszcie. – Tron gładko przeszedł z rąk do rąk. Nikt się nie sprzeciwił.

Lady Frances pochyliła głowę.

– To prawda. Rada zwróciła się przeciwko tobie. Przeciwno nam. Dudley nas zdradził. Gdy tylko Maria postawiła stopę w pałacu, natychmiast stanął po jej stronie – choć oznacza to, że straci pozycję Przewodniczącego Rady – i zapewnił ją o swojej pogardzie dla Eđianów. Zadeklarował się jako Nieskalany. Powiedział to tak, jakby od początku przygotowywał dla Marii ścieżkę do tronu. Ale zapomnij na chwilę o Dudleyu. Mnie chodzi o ciebie. Przyjmij propozycję Marii. Jeszcze nie jest za późno. Klasztor jest lepszy od tego, co cię czeka.

– Nie.

– Jane, kochanie, to naprawdę nie jest dobry moment na popis upor.

– To nie upór. To kwestia honoru. Nie wyrzeknę się ani Gifforda, ani Eđianów... Łącznie z tobą, matko. – Kaszlnęła, czując suchość w gardle.

Lady Frances strzeliła wzrokiem do drzwi. Bała się, że ktoś je podsłucha.

– Ty niewdzięczna dziewczyno. Nie wiesz, co mówisz. Nie jestem Eđianką.

– Ależ jesteś, wiem o tym. Słyszałam, jak lata temu rozmawialiście o tym z ojcem.

Jej matka pokręciła głową, jakby chciała zaprzeczyć, lecz zaraz westchnęła.

– Nigdy się nie przemieniam – szepnęła. – A przynajmniej odkąd mogę temu

zapobiec. Nie znoszę tej części siebie. Będę tak długo ją negocjować, aż przestanie istnieć. To nienormalne.

– A jednak jest nieodłączną częścią ciebie – przekonywała Jane z naciskiem. – Czytałam w takiej jednej książce, że w dawnych czasach wszyscy ludzie potrafili zmieniać się w zwierzęta. Kiedyś wszyscy byliśmy Eđianami. Dar uznawano za coś całkowicie naturalnego. Za coś boskiego.

– Nonsens – wyrzekła chłodno matka. – Te księgi wypełniły ci głowę bzdurami. Powinnam była wszystkie je spalić, wtedy może nie znalazłybyśmy się w tych opałach.

Jane przymknęła oczy, a potem zmusiła zeszywniałe mięśnie do wysiłku i dźwignęła się na nogi.

– Nie każ mi wyrzec się Eđianów, matko. Nie jesteś w stanie zmienić mojego postanowienia.

Z korytarza dało się słyszeć głosy. Lady Frances obejrzała się przez ramię i przez chwilę zdawało się, że nad złością przeważała obawa o córkę.

– Nasz czas się skończył – powiedziała Jane. – Chyba powinnyśmy się pożegnać.

– Błagam cię, Jane. – Matka złapała ją za ramię. – Nie musisz umierać. Sprowadzisz w ten sposób zgubę na naszą rodzinę. Na mnie. Stracę Bradgate. Stracę wszystko.

– Przykro mi, nic na to nie poradzę – odparła Jane szczerze. Ona też kochała Bradgate, ale nie tak bardzo jak swój honor. – Gdzie trzymają Gifforda?

– Z nastaniem nocy wtrącili go do Beauchamp Tower. Tylko tyle wiem.

– Chcę go zobaczyć. Czy poprosisz o to w moim imieniu?

Lady Grey zaprzeczyła ruchem głowy.

– Przykro mi, Jane. Mogłabyś zobaczyć go tylko wtedy, gdybyś zdecydowała się go wyprzeć, a i tak zaraz spłonąłby na stosie.

Nie minęła minuta, a wartownicy odeskortowali lady Frances z budynku i Jane ponownie znalazła się w komnacie sama.

Jej więzienie zdawało się kurczyć. Wcześniejsza trwoga była ledwie kroplą w morzu tej, którą czuła teraz – jedną gwiazdą na jasnym nocnym niebie. Niech matka mówi, co chce – Jane nie miała wątpliwości, że ją opuściła. Została jej tylko jedna osoba na całym świecie, o której wciąż mogła myśleć – Gifford. Jej mąż zamknięty w Beauchamp Tower. Tak blisko, a zarazem tak daleko.

Osunęła się po ścianie, tonąc w melancholii, tęsknicy, frasunku, boleści duszy...

Raptem błysnęło światło – tak jasno, że musiała mruganiem wypędzić gwiazdki spod powiek.

Kiedy odzyskała wzrok, wszystko wyglądało inaczej. Na przykład pomieszczenie było o wiele większe, a ona sama czuła się... dziwnie. Była jakby niższa – jeszcze niższa niż zwykle – za to osobliwie wyciągnięta. Kręgosłup jakoś dziwnie siedział w ciele, był wygięty, jakby opadła na czworaki. I coś się stało z jej powonieniem. Wyczuła w pokoju jakąś gorycz – kojarzącą się z przykrym zapachem nieumytego ciała – i woń piżma.

Dobiegające z pomieszczeń poniżej głosy, dotyk kamieni pod łapkami – wszystko to było takie zwyczajne i niesamowite jednocześnie.

Zmieniła się w... coś.

Była Eđianką.

Była Eđianką!

Zaczęła płaść po pokoju, zarzucając głową w lewo i w prawo, aż uderzyła o ścianę. Ale nie przejęła się tym zanadto i zaraz wróciła do swojego szalonego tańca, pokwikując z radości. Przepęłniało ją szczęście. Była Eđianką. O niczym innym nie marzyła. Ale w jakie zwierzę się przemieniła? A, nieważne. Była czymś małym i futerkowym (mogła się obrócić i rzucić okiem na swoje ciało, ale ten wycinek, który widziała, nijak nie pozwolił jej wnioskować o całości) i miała nadzwyczaj czułe powonienie i słuch oraz potrafiła tańczyć, tak jak nigdy w ludzkiej postaci, nawet jeśli tańcząc, walnęła głową o ścianę. Ależ Gifford się ucieszy, gdy ją zobaczy...

Gifford!

Spłynęła z niej cała radość, gdy przypomniała sobie o swojej sytuacji i o tym, że sama może teraz wylądować na stosie.

Ale jej zwierzęca postać była mała, to wiedziała na pewno, a skoro tak, to może udałoby się jej stąd wymknąć.

Przyskoczyła do drzwi. Znalazła pod nimi niewielką szparę, przez którą człowiek za nic by się nie przecisnął. Lecz jej może się uda?

Wcisnęła twarz w szczelinę. Głowa przeszła od razu, a zaraz za nią ramiona. Z resztą drobnego ciała trochę się mozoliła.

Ale wstyd.

Kręciła się i wierciła, przebierając łapkami, aż wreszcie znalazła się po drugiej stronie.

Na korytarzu było nieco jaśniej niż w celi. Dla ludzkich oczu byłby to najwyżej półmrok, ale ona widziała teraz tak dobrze jak w dzień – przynajmniej na odległość kilku stóp, bo dalej wizja się rozmazywała i jakby

spłaszczala. Wszystko było szare bądź szarawe, pomijając delikatny czerwony poblask, jakby świecącej latarni.

A więc zmysł wzroku nie był jej najmocniejszym zmysłem, ale właściwie po co jej dalekowidztwo, skoro jest mała i sunie przy samej ziemi? Miała inne zmysły, o wiele lepsze.

Podbiegła nad skraj schodów i przystanęła, spoglądając w dół. To, co wydawało się proste dla człowieka, było nie lada wyzwaniem dla małego zwierzątka. Nie zdoła tędy zejść. A może jednak?

Przycisnęła brzusek do kamiennej podłogi i wyrzuciła przed siebie łapki, a następnie zsunęła się w dół. Po chwili dotknęła kolejnego stopnia, a reszta ciała podążyła za łapkami z niezgrabnym pacnięciem. Gdy Jane powtórzyła tę czynność kilkakrotnie, kontrolowanie samowolnych czterech liter szło jej już nieco lepiej.

Na pierwszym półpiętrze natknęła się na strażników. Głową sięgała im do cholewek. Gawędzili o jakimś swoim znajomym, nic ciekawego. Za to ich zapach... Opanowała chęć, by wciągnąć do nozdrzy interesujący ziemisty aromat, a zamiast tego przemknęła chyłkiem, żeby jej nie zauważyli.

W miarę pokonywania kolejnych schodów coraz wyraźniej słyszała inne głosy, zbyt odległe, by usłyszeli je strażnicy na półpiętrze. Fantastyczne te uszy – ucieszyła się. – I pewnie strasznie słodkie.

Jeden z głosów należał do Dudleya. Była tego pewna, choć teraz zdawał jej się nad wyraz głośny i dosłyszała w nim tony niedostępne dla ludzkich uszu.

– Co jest? – spytał doradca.

– Mam zwłoki – odpowiedział ktoś inny, też ktoś, kogo znała. Królewski lekarz? Nie mogła przypomnieć sobie jego imienia.

– Doskonale. – Dudley kichnął i pociągnął nosem. – Okryjemy je całunem i nikt się nie zorientuje, że to nie Edward.

Jane zastygła w bezruchu. Po raz pierwszy poczuła, jak jeży się każdy włos na jej ciele.

Nie mają ciała Edwarda?

– Nie znaleźli go jeszcze? – spytał doktor. – Trucizna powinna była już go zabić. Niemożliwe, by przeżył, nie zażywszy antidotum.

Dudley westchnął.

– Był przecież chory, zmęczony i wygłodzony. Musiał zostawić jakiś ślad.

Ich głosy zaczęły cichnąć. Musieli minąć schody.

Jane ześlizgnęła się z pozostałych stopni. Jej małe serduszko waliło jak szalone. Edward został otruty? Przez Dudleya?

A potem Edward... Co właściwie zrobił? Uciekł?

Jej serce urosło na tę myśl. Jakże szybko żałoba potrafi przemienić się w nadzieję.

Rozejrzała się u stóp schodów. Hol był olbrzymi jak katedra westminsterska, ale pusty. Jeśli będzie trzymać się cieni, pozostanie niezauważona – oczywiście przy dobrych wiatrach. A potem ucieknie z Tower i znajdzie Edwarda.

Lecz najpierw musi uratować swojego konia.

GIFFORD

Spalony na stosie. To chyba najgorszy sposób na rozstanie się z życiem – pomyślał G. Gdy był małym chłopcem, widział człowieka palonego na stosie. Był rok 1538, gdy zdemaskowano jako Eđianina Johna Lamberta, który po usłyszeniu paszkwilu autorstwa Frederica Clarence’a potępiającego eđiańską magię zmienił się w psa i pożarł ów paszkwil, na co Clarence zakrzyknął:

– Pies zjadł moją pracę!

Lamberta skazano na stos, a lord Dudley zmusił swoje dzieci do uczestnictwa w ceremonii. Później powiedział G, że nikt nie ufa tym, którzy władają pradawną magią, i w państwie byłoby o wiele bezpieczniej, gdyby wszyscy Eđianie podzielili los Lamberta. W co, jak się Giffordowi wydawało, jego ojciec naprawdę wówczas wierzył.

Wszystko, co G zapamiętał z tamtego dnia, to ciągnące się w nieskończoność wycie. Wycie i smród palonego ciała.

Rzucił okiem na samotną świecę, którą zostawili w zamkniętej komnacie jego ciemężyciele, i skupił wzrok na małym płomyku tańczącym na knocie. Jeszcze nigdy nic tak drobnego nie zdało mu się tak złowróbnym omenem.

Wyciągnął dłoń ku płomykowi.

– Boże! – wykrzyknął, niemal natychmiast ją zabierając. W życiu nie czuł takiego bólu! Przyszło mu do głowy, że to żałosne, bo który dziewiętnastolatek żył pod tak twardym kloszem, że dożył swojego wieku, nie czując większego bólu niż poparzenie świecą?

Taki, który spędzał większość nocy na przedstawieniach i odczytach poezji.

Ileż by nie dał, by znaleźć się teraz na odczycie! Jakże błaha wydała mu się trema w porównaniu z bólem płonącego ciała.

Zwykle gdy się denerwował, układał w myślach wiersze, ale teraz wybitnie nie miał ochoty szukać rymu do „zwęglonego trupa”.

Obejrzał prawą dłoń, spodziewając się ujrzeć ohydłą oparzeliną, ale oczywiście jej tam nie było. Skóra nie była nawet zaczerwieniona.

Gdy ból zelżał – nie żeby był zbyt silny – G wrócił myślami do Jane. Odmówiła wyrzeknięcia się go jako heretyka. Zamknął oczy i przywołał w myślach obraz stojącej u jego boku żony, wyprostowanej i dumnej, pewnej podjętej przez siebie decyzji, choć przecież wystarczyło słowo, by uszła

z życiem.

Ale ona i tak się go nie wyrzekła.

Głupia, lojalna, piękna dziewczyna. Teraz oboje byli w niewoli. Przynajmniej nie umrze tak okrutną śmiercią jak on.

Wyjrzał przez okno. Z tego miejsca prawie mógł dostrzec miejsce, gdzie dopełni się los Jane – dziedziniec Tower Green. Z kolei jego egzekucja miała się odbyć na Tower Hill, tam, gdzie kończyli pospolicci przestępcy i heretycy. Tam właśnie go spalą.

Smutny to dzień, gdy myśli się o ścięciu jak o wybawieniu. Zamiast klecić w myślach mroczne wiersze („Być albo nie być spalonym na wiór, oto jest pytanie...”) postanowił wyryć w kamieniu imię Jane.

J

Jane. Ciekawe, czy też o nim teraz myśli. I czy będzie mu dane jeszcze ją zobaczyć.

A

Wielu osób już nigdy nie ujrzy na oczy. Nigdy nie ucałuje matki w policzek, by zakpić ze Stana (który nie był taki zły, no nie? Wcale nie był. G pomyślał, że postąpił niesprawiedliwie, gardząc Stanem cały ten czas). Nigdy nie wyda Billingsly’emu kolejnego głupiego polecenia, nie rozśmieszy Tempie ani celowo nie zirytuje ojca, tylko po to, by zobaczyć wyraz jego twarzy.

N

Ojciec. G silniej drapnął kamień. Jego ojciec, który okazał się pomysłodawcą tej całej afery. Który poradzi sobie w każdej sytuacji, pod warunkiem że nadarzy się okazja na zmianę stron.

E

Który był gotów skazać syna na śmierć na stosie, byle ratować własną skórę.

G postanowił już o tym nie myśleć. Wyczelował literę E, po czym przeszedł się po pokoju, szukając czegoś – czegokolwiek – czym mógłby odwrócić uwagę od wizji płonącej sierści. Znalazł jakieś księgi, przeleciał wzrokiem kilka pierwszych stron, a potem wszystkie po kolei odrzucił. Czyżby początkowo mieli tu więzić Jane? Pewnie siedziała teraz w jakiejś celi z koszem jabłek.

Ciche chrobotanie u drzwi sprawiło, że się stanął jak wryty. Ktoś wsunął przez szczelinę arkusz papieru.

Zbliżył się, rozłożył go i zobaczył, że pokryty jest znajomym pismem Jane. Serce zabiło mu mocniej. Nigdy jeszcze nie dostał listu miłosnego i choć

wiedział, że jest to raczej list pożegnalny, żywił nadzieję, że Jane przyzna się w nim do jakichś uczuć do niego.

*Najdroższy Edwardzie,
żywiłam nadzieję, że uda mi się odwiedzić Cię dzisiaj w pałacu,
lecz gdy przybyłam, poinformowano mnie, iż nie przyjmujesz gości.
Muszę przyznać, że bardzo mnie zaskoczyło i rozczarowało to, że
nawet mnie nie chcesz widzieć, lecz zdaję sobie sprawę, iż możesz
mieć ku temu ważki powód. Podejrzewam, że to przez Twoją
chorobę. Bardzo mi przykro, Kuzynie. Wiele bym dała, by móc coś
dla Ciebie zrobić.*

*Zapewne zastanawiasz się, w jakiej sprawie przyszedłam do Ciebie
dziś rano, ledwie kilka godzin po własnym weselu. Otóż, Drogi
Kuzynie, właśnie temat ślubu chciałam z Tobą poruszyć.
A dokładniej – mojego męża.*

Gifford jest koniem.

*Jestem pewna, że o tym wiedziałeś. To właśnie to miałeś na myśli,
mówiąc o „przypadłości” i sugerując, że uznam ją za
„intrygującą”. Nie mogę tylko pojąć, dlaczego to przede mną
zataiłeś. Nigdy przecież nie mieliśmy przed sobą tajemnic,
prawda? Uważam Cię za najbardziej zaufanego powiernika,
najdroższego i najukochańszego przyjaciela. Dlaczego więc nie
wspomniałeś o tym arcyważnym szczególe? To przecież nie ma
sensu.*

*Lecz gdy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że, jak zwykle,
musiałeś mieć ku temu jakiś powód.*

*Mam nadzieję, że nadarzy się okazja, by porozmawiać na ten
temat, gdy tylko wrócę z mojego miesiąca miodowego.*

Bądź zdrów

Twoja Jane

Ponownie złożył list. Zdusił impuls, by zmiąć go i rzucić w ką. Nie uraziło go

zdumienie, z jakim przyjęła do wiadomości dwoistość jego postaci, ale czy musiała pisać „twoja Jane” i „najdroższy Edwardzie”? Najdroższy to chyba przesada.

Widać jak na dłoni, że Jane kocha Edwarda. G nigdy nie zapomni wyrazu jej twarzy, gdy dowiedziała się o jego śmierci. Ale czy kochała go w tym sensie? Czy rozmyślała teraz o swoim kuzynie? Czy przygotowywała się na dołączenie do swojego ukochanego?

Nie żeby to miało jeszcze jakieś znaczenie. Próbował nie zważać na własną niepewność i być wdzięcznym temu, kto dał mu ten list. Rozpoznał charakter pisma żony. Widział oczami wyobraźni jej twarz, gdy pisała ten list, jej wydęte usta i zmarszczone brwi, świadczące o najwyższej koncentracji. Już miał włożyć świstek do kieszeni, gdy zauważył jakieś osamotnione po drugiej stronie arkusza słowo zapisane w rogu innym charakterem pisma.

Skunks

Przeczytał raz jeszcze, by się upewnić, że się nie pomylił. Skunks, czarno na białym. Ciekawostka.

Tego charakteru pisma nie rozpoznawał. Zresztą nieważne, bo w zaistniałych okolicznościach był wdzięczny losowi nawet za tę jedną rzecz, która łączyła go z Jane. Umieścił list w kieszeni na piersi i na krótką chwilę przycisnął do serca.

*

Po jakimś czasie usłyszał dobiegające od strony ciężkich drewnianych drzwi jakieś osobliwe chrobotanie. Potrząsnął głową. To pewnie zaskrzypiało drewno lub może gdzieś wiatr rysował ściany niedomkniętymi okiennicami. Lecz gdy tylko tak pomyślał, dźwięk się powtórzył i tym razem Gifford był pewien, że coś drapie w drzwi od drugiej strony.

Uniósł świecę, z której ostał się już tylko ogryzek, i podszedł ostrożnie do drzwi akurat w tym momencie, w którym mignęły w szparze pod nimi dwa małe okrągłe oczka. Ledwie zdążył się zdziwić, gdy do pokoju wcisnęło się, rozplaszczając o podłogę, małe puchate stworzenie, które natychmiast powróciło do pierwotnego kształtu, gdy tylko pokonało przeszkodę.

G krzyknął i odskoczył od drzwi (absolutnie nie piszcząc jak mała

dziewczynka).

Złapał pierwszą rzecz, którą miał pod ręką – poduszkę – i rzucił w przybysza, ale ten uskoczył.

Był zbyt długi jak na mysz i za krótki na... Jakie są jeszcze gryzonie? Wyglądał, jak owoc miłości kota i węża.

G podsunął się bliżej i tupnął.

– Czego tu? Poszła won, ty wyliniała wiewióro! – Stworzenie odskoczyło od jego nogi, a on tupnął ponownie, zaganiając zwierzę z powrotem do drzwi. – No już, idź sobie!

Ale gryzoń ani myślał uciekać. Zamiast tego popędził do łóżka i wdrapał się na nie po zwisającym z pośłania kocu, a następnie wskoczył na poduszkę i tam usiadł.

– Złaż, ty wredny szczurze! – G chwycił książkę i uniósł nad głowę.

W tym momencie gryzoń sprężył się, stanął na czterech łapkach i napuszył długi ogon. G pomachał złowróżbnie książką, a wtedy zwierzę zrobiło coś niebywale dziwnego: zaczęło poruszać głowę z boku na bok, wodząc wzrokiem za woluminem. Szeroko rozwierało skupione na okładce oczka podobne do węgielków.

Gdy G podsunął książkę bliżej, gryzoń odskoczył.

– Dobra, czyli mamy układ. – G powoli ułożył książkę na łóżku i wtedy gryzoń zrobił coś jeszcze dziwniejszego: podbiegł do niej i na niej usiadł, tak jak ptak siada na jajkach w gnieździe.

– Zaraz. Jane?

Gryzoń pokiwał łebkiem.

– Jane, jesteś tam?

Znowu, tym razem wyraźniej.

– Ty jesteś... szcurem.

Jane zmroziło, zaczęła biegać po łóżku i po pokoju, a potem znowu po łóżku, nurkując w pościeli, przełaząc przez poszwy. G zmartwił się, że robi coś głupiego, na przykład rzuci się z łóżka na podłogę w akcie desperacji.

– Czekaj, czekaj! Nie jesteś szcurem, tak tylko powiedziałem, bo... no, nie wiem, czym jesteś. Ale na pewno nie szcurem.

Zastygła na łóżku, mierząc go wyczekującym spojrzeniem.

Chciała, żeby jej powiedział, czym jest.

– Jesteś... no, czymś, co widzę po raz pierwszy w życiu. Ale masz sierść... i to strasznie ładną – dodał, gdy zaczęła się trząść. – I dwa śliczne oczka, cztery silne, nawet jeśli krótkie, łapki. Ale nie aż tak krótkie! – zapewnił po

chwili. – Możesz stamtąd zejść? Poproszę.

Tupnęła łapką, o ile to możliwe, a potem zeszła po kocu na podłogę. Niemal słyszał, jak prycha, niezadowolona. Boże, to było takie oczywiste, że ten gryzoń to Jane. Jak mógł się nie domyślić już w chwili, gdy ujrzał pod drzwiami dwoje paciorkowatych oczu?

Umościła się na podłodze, a on usiadł obok. Chciał ją pogłaskać, jak głaszcze się psa, ale zrezygnował. Mogłaby się obrazić.

Przesunął się po ziemi, by usiąść z nią twarzą w twarz.

– No dobra, a więc jesteś... no, najwyraźniej jesteś Eđianką – powiedział, wybierając ogólne, najbezpieczniejsze określenie. – Nie wydaje mi się, byś była typową Eđianką, która może zmieniać formy na życzenie, bo już dawno zmieniłabyś się z powrotem w człowieka. – Pauza. – Mówię trochę na okrętkę, ale chodzi mi o to, że nie umiesz kontrolować przemiany, zgadza się?

Skinęła małą główką.

– W sensie: tak, umiesz ją kontrolować, czy tak, nie umiesz? – spytał, po czym uświadomił sobie, że to głupie pytanie. – Nieważne. Ujmę to tak: czy umiesz kontrolować przemianę?

Przecząco pokręciła główką.

– Dobra. Zaczynamy się dogadywać. Powoli, ale jednak, choć trochę zależy mi na prędkości, bo niebawem wstanie słońce.

Gdyby jeże lub borsuki mogły wyglądać na zrozpaczone, na ich pyszczkach widniałby ten sam wyraz, co teraz na pyszczku Jane. Podskoczyła i pomknęła do drzwi, przecisnęła się pod nimi, a potem wcisnęła z powrotem.

G plasnął dłonią w czoło.

– Właśnie! Mamy coś lepszego od konia. Mamy... łasicę?

Jane przetoczyła się na grzbiet i zastygła w pozycji „zdechł pies”.

– Nie łasicę, milady, ale czymkolwiek jesteś, rozumiem, o co ci chodzi. Możesz niepostrzeżenie wymknąć się z wieży, a potem tu do niej wrócić, tak?

Potaknęła.

– I może nawet zwędzić strażnikom klucz?

Znowu skinienie.

– A potem przynieść go tutaj, byśmy otworzyli drzwi, zeszli po schodach, zaskoczyli wartowników, pozbawili ich przytomności, zabrali im miecz, by uporać się z innymi strażnikami, na których możemy się natknąć po drodze, pobiec do stajni, ukraść konia i uciec w siną dal?

Raz jeszcze potwierdzenie, a potem dziki płas.

– No to czemu nie mówiłaś od razu? Gubię się w twoich aluzjach, milady.

Jane nie została, by się kłócić, tylko przelazła pod drzwiami (co wiązało się z gruntownym spłaszczeniem ciała w sposób przeczący prawom fizyki), zostawiając G samego.

Czekanie tak mu się dłużyło, aż zaczął chodzić w kółko. A potem zaczął chodzić nieco szybciej, wciąż czekając i co rusz wypatrując za oknem pierwszych oznak świtu. Jeśli Jane zaraz nie wróci, za nic nie uda im się uciec. Bo nie zmieści się w drzwiach.

Może jego ciemżyciele nie wiedzieli o jego dziennej kłątwie i jeśli plan Jane wypali, zdoła odwlec jakoś godzinę egzekucji, wierzgając i bijąc ich kopytami? Albo wiedzieli i dlatego mieli zamiar przyjść po niego przed wschodem słońca.

– Szybciej, milady – szeptał, nie przestając krążyć po pokoju. – Błagam, pospiesz się.

W końcu usłyszał dobiegający z korytarza cichutki brzęk metalu. Dźwięk robił się coraz głośniejszy, a G nie mógł wyrzucić z wyobraźni borsuka biegnącego po schodach z pękiem kluczy w pysku. Stał przy drzwiach, a wkrótce przelazła pod nimi Jane.

Rzuciła mu klucze pod nogi i ponagliła ruchem pyszczka. Porwał je z ziemi, zastanawiając się, czy ktoś nie zauważył jej na korytarzu.

Chyba jednak zauważył. Z klatki schodowej dobiegły go kroki.

A na metalowym kółku w jego rękach wisiało co najmniej dziesięć kluczy.

– Który? – wymamrotał, wciskając pierwszy do zamka i kręcąc. Bezskutecznie. Gdy próbował z drugim, Jane wspięła się po jego spodniach i zaczęła krążyć po ramionach, jakby chciała podkreślić w ten sposób dramatyzm sytuacji.

– Szybciej nie mogę!

Trzeci klucz. Uparty zamek ani drgnął.

Słyszał kroki coraz wyraźniej.

Czwarty. Znowu pudło.

Jane wbiła pazurki w jego łopatki.

– Nie pomagasz, moja słodka.

Strażnik był zaraz za drzwiami.

– Gdzieżeś polazł, ty szcurze? – charknął.

Jane wbiła pazurki jeszcze mocniej.

– Nie przejmuj się, kochana. Na pewno wcale tak nie myśli.

Piąty klucz okazał się tym właściwym. Zamek zgrzytnął. Wszyscy troje to usłyszeli. W tej samej chwili, gdy strażnik rzucił się do drzwi, G otworzył je

na oścież. Mężczyzna wpadł do środka, potknął się o własne nogi i przywalił potylicą w słupek łóżka. Upadł na ziemię i znieruchomiał, ale wciąż oddychał.

– Szybko! – G sięgnął po miecz u jego pasa.

Gdy skradał się schodami, dotarło do niego, że Jane pod postacią łasicy mogła uciec, ratując się i zostawiając go na pastwę losu. Znowu.

Ale nie zrobiła tego. Znowu.

*

Była to idealna godzina na ucieczkę z Tower, bo zwykle o tej porze po twierdzy kręciło się najmniej strażników, a ci, którzy się kręcili, byli zmęczeni po całonocnej służbie i ukradkowym pociąganiu z ukrytych flaszek.

Ale nawet mimo to G i Jane natknęli się na trzech – byli w końcu więzieni z rozkazu samej królowej i nie mogli się łudzić, że uciekną niepostrzeżenie.

Pierwszego wartownika Gifford obezwładnił jednym szybkim ruchem, który Jane opisałaby chyba jako „elegancki pokaz fechtunku”. G wiedział jednak, że wymyślny sztych był efektem wyslizgnięcia się miecza ze spoczonej dłoni. Gdy schylił się błyskawicznie, by go złapać, i zaraz uniósł, wychodzący zza rogu strażnik nadział się na klingę, która przebiła mu serce na wylot.

Drugie starcie było o wiele mniej eleganckie. Zaalarmowany żołnierz uniósł miecz i wolną rękę w pozycji obronnej, G zrobił to samo, mając nadzieję, że nie widać po postawie, że wagarował na połowie zajęć z walki mieczem, by grać w ulubioną grę w rymy z jedną ze swoich nianiek.

Stali tak dłuższą chwilę, mierząc się wzrokiem i przygotowując Bóg wie na co. Na atak? Kontratak? Na kogoś, kto powie „start”?

Zniecierpliwiona statycznym pojedynkiem Jane zeskoczyła z ramion G, pobiegła do strażnika i wspięła się po jego nodze, po czym wlała za koszulę.

Strażnik zaczął wykonywać osobliwy taniec dziwnie podobny do płaśów małego dziecka, uczącego się słynnego hiszpańskiego *estampie*. G wykorzystał ten moment nieuwagi i pchnął go mieczem, starannie omijając wypukłość pod koszulą – prawdopodobnie była to przecież jego żona.

Wtedy napatoczył się trzeci strażnik. Zobaczył krwawiącego na ziemi kompana, spojrzał na Gifforda z uniesionym mieczem (widok budził grozę, jeśli nie wiedziało się o poziomie jego umiejętności), po czym zwał gdzie pieprz rośnie.

G podniósł Jane i również puścił się biegiem, kierując kroki do stajni, gdzie zamknięto go najpierw.

– Musimy się streszczać – powiedział, próbując nie wyobrazić sobie, jak komicznie wygląda, gadając do gryzonia na swoim ramieniu. – Tamten trzeci pewnie zaraz podniesie alarm. Potrzebny nam koń.

Zwierzątko wpiło pazurki w jego ciało.

– Tak, wiem, ale potrzebny nam koń pełnoetatowy. Zwłaszcza że żołnierze pewnie puszczą się za nami w pogoń.

Otworzył drzwi do stajni i bezszelestnie wsunął się do środka. Rozejrzał się w poszukiwaniu strażników, a gdy żadnego nie dostrzegł, zamknął drzwi, obrócił się i prawie nadział na miecz.

Jego właścicielem był wysoki brodacz w uniformie, ale nie wojskowym. Raczej przypominającym ubranie pałacowej służby. G natychmiast zasłonił gryzonia dłonią.

– Proszę... – zaczął, ale zanim skończył, mężczyzna opuścił miecz.

– Jesteś Gifford?

G nie wiedział, czy powinien ukrywać swoją tożsamość czy nie. W końcu uznał, że nie ma sensu. Skinął na tak.

– Gdzie królowa? – spytał mężczyzna.

– A ty to kto, że zapytam?

Człowiek przecisnął się obok niego i otworzył drzwi na dwa cale, wyjrzał, a potem zamknął.

– Gdzie królowa? – powtórzył.

– Obawiam się, że jak powiem, to nie uwierzysz.

– Spróbuj.

G zdjął z ramienia drżącą Jane i utulił w ramionach.

– To ona.

Mars na twarzy mężczyzny rozplątał się i zastąpił go uśmiech.

– Ach! Jest malutką fretką. Ale śliczna!

– Fretka! – wykrzyknął G. – Tym właśnie jesteś, moja miła, fretką. – Słyszał o tych zwierzętach, ale nigdy żadnego nie widział. – Widzisz? To o niebo lepiej od szczura.

Mężczyzna złapał młodzieńca za ramię i pociągnął w głąb stajni.

– Jeśli masz uciekać, to jak najszybciej.

– Kim jesteś? – ponowił pytanie G. – Czy to ty wsunąłeś list pod drzwi?

Mężczyzna skinął głową.

– Nazywam się Peter Bannister i jestem pałacowym psiarzem. Byłem lojalny wobec króla Edwarda. Wysłałem córkę, by go chroniła, ale nie pomogło to za wiele.

– Chroniła? Przed czym, przed krztusicą?

Peter otworzył jeden z boksów i zarzucił koniowi siodło na grzbiet.

– Przed ludźmi pokroju twojego ojca. Król nigdy nie miał krztusicy.

G stanął oniemiały, z otwartymi szeroko ustami.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Wskakuj na konia i jedź za moją córką. Zabierze cię w bezpieczne miejsce.

G dosiadł konia z Jane na ramieniu, a Peter zniknął w głębi stajni, po czym udał się w kierunku psiarni. Wrócił stamtąd z pięknym chartem afgańskim.

– Dobra mała – powiedział, mierzwiąc psu sierść. – Jedź za Petunią, mój panie. Pomoże ci.

– Myślałem, że miała nam pomóc twoja córka.

Dokładnie w tym momencie rozbrzmiał róg. A potem drugi.

Peter wybałuszył oczy.

– Nie ma czasu do stracenia!

Rozwarł drzwi stajni, a G i Jane wraz z koniem i Petunią pod postacią psa wybiegli w ciemną noc.

(W KTÓREJ WYRZUCAMY HISTORIĘ PRZEZ OKNO)

Czołem! To my, wasze kochane narratorki. Zrobimy sobie krótką przerwę, żeby zakomunikować czytelnikom coś bardzo ważnego. Otóż słuchajcie: to, co opowiedziałyśmy wam dotąd, luźno nawiązywało do wiedzy zdobytej w czasie badań nad Anglią Tudorów, a wszelkie luki wypełniałyśmy wedle własnego uznania.

Lecz od tego momentu, drogi czytelniku, zapuścimy się głęboko, tak głęboko, że prawie na wylot, w sprawy, o których historycy nie chcą, żebyś wiedział, i które próbują zataić przed tobą za wszelką cenę. (Bo czy możesz sobie wyobrazić, ile by było zamieszania z przepisywaniem na nowo wszystkich tych książek historycznych?) Otóż przebyłyśmy rozległe pola Hertfordshire, zgłębiłyśmy mroczne tunele Piccadilly i przemierzyłyśmy wzgórze Cotswolds, nie ustając w poszukiwaniach dwojga naszych zakochanych i otrutego króla, po czym zebrałyśmy do kupy to, co z wrodzoną powściągliwością nazwałyśmy... PRAWDĄ. (Wiązało się to z tak wielkim niebezpieczeństwem, że rozważałyśmy zmianę imion. W końcu tego nie zrobiłyśmy. Dlatego śpimy z mieczem pod poduszką).

Jeśli prawda o dalszych losach naszych bohaterów przeraża cię, a – na Boga! – powinna cię przerażać, lepiej zaprzestań czytania w tej chwili.

Ale jeśliś jest buntownikiem, przyjacielem prawdy i nieprzyjacielem systemu, aliantem miłości wierzącym w pradawną magię, czytaj dalej.

EDWARD

– A masz, ty kurczaku oskubany! – krzyknęła Grace, zamachując się mieczem. Edward błyskawicznie odskoczył na bok i wypiął pierś.

– Dla ciebie: królu Kurczaku.

– Tak jest, sire – prychnęła śmiechem. – Cholera, gdzie moje maniery?

Pojedynek nie był jedynym powodem, dla którego serce Edwarda szamotało się w piersi. Cały ten sparing z dziewczyną uważał za wysoce kłopotliwy. W żadnej mierze nie było to obyczajne. Co, jeśli zrobi jej krzywdę? Ale babcia machnęła ręką na jego wątpliwości i wygnała ich na dwór, by „trochę się spocili”.

Jasne. Edward pocił się jak nigdy. Już Grace o to zadbała swoimi rozpraszającymi spodniami, które opinały ją we wszystkich właściwych miejscach. Parowała każdy jego cios i natychmiast wymierzała własny. Jej zielone oczy błyszczały, policzki płonęły rumieńcem, pot perlił się na czole. Edwardowi co rusz migwały przed oczyma jej obłości. To po prostu niesprawiedliwe – pomyślał. – Jak on ma się skupić w takich warunkach?

– Wasza Wysokość – wyszczerzyła się i wykonała sztych. Odbił lekką sekwencją ruchów z zamiarem zaimponowania przeciwniczce, a ona cofnęła się na bezpieczną odległość.

– Nieźle jak na dziewczynę – powiedział.

Jej następny cios ześlizgnął się po jego ramieniu, niezbyt mocno, ale z pewnością niespodziewanie. Jakimś cudem znalazła lukę w jego gardzie? Trafiło się ślepej kurze ziarno – pomyślał. Odskoczył, stanął stabilnie na nogach, a potem zaatakował znowu. Odstąpiła, odsłaniając przed nim wszystkie wrażliwe miejsca. Ale on nie mógł zdobyć się na zadanie ciosu.

– No, mój panie – ofuknęła go, gdy jego miotła trafiła ją w udo z mocą spadającego piórka. – Starczy już tej galanterii.

– Milady – odparł uprzejmie. – Przestanę, jeśli i ty przestaniesz. Może powinnaś rozważyć zajęcie się czynnościami, które przystoją kobiecie bardziej niż szermierka. Muzyką, wyszywaniem albo...

Jak nie trzaśnie go w zębra! Gdyby miała w rękach prawdziwy miecz zamiast złamanej miotły, Edward już by nie żył. Ale ponieważ była to miotła, padł bez tchu na kolana, a ona wygięła mu rękę tak mocno, że upuścił swój

drewniany oręż. Grace kopnęła go poza jego zasięg, a potem uniosła nogę i przyduśiła go do ziemi. Gdy spojrział w górę, miał tępy koniec miotły na gardle.

Pokonany. Przez dziewczynę.

To być nie może.

Na powierzchnię jego umysłu wypłynęły wszystkie możliwe wymówki: dochodził do siebie po regularnym przyjmowaniu trucizny, kostka wciąż go bolała, nie wspominając o gojącej się ranie po ugryzieniu psa, miotła nie leżała w ręku tak dobrze jak miecz – nie była wyważona ani szczególnie poręczna – grunt był zbyt rozmiękły i chyba zjadł coś nieświeżego... A poza tym walczył pod słońce.

– Poddajesz się? – spytała wyzywająco.

Roześmiał się i pomasaował zebra w miejscu, gdzie dostał miotłą.

– Hej, to bolało.

– Och, jakże mi przykro, Jaśnie Panie – odpowiedziała, wcale nie wyglądając, jakby było jej przykro. – A teraz pytam: czy Anglia się poddaje?

– Szkocji?

– Ano, Szkocji.

– Nigdy. – Złapał za miotłę, czego nie mógłby zrobić, gdyby była mieczem, i pociągnął Grace do siebie. Siłowali się chwilę, co dało Edwardowi doskonały pretekst, by jej dotknąć, poczuć na sobie delikatne obłóści jej ciała. Ale Grace była dzika w jego ramionach, i to nie w dobrym sensie tego słowa (choć i bynajmniej nie w złym). W kilka chwil na powrót przyszpiliła go do ziemi, siadając mu na piersi.

To być nie może.

– Poddajesz się? – wydyszała.

Znów miał zamiar zaprzeczyć, ale wtedy zapatrzył się na jej rzęsy, tak długie, że rzucały cień na oblane rumieńcem policzki. I wiedział, że teraz zgodzi się na wszystko, czego tylko sobie zażyczy.

– Tak – powiedział. – Poddaję się. – Spojrział na nią z dołu. – Obawiam się, że wciąż jestem trochę zardzewiały.

To raz, a dwa, że sparingpartnerzy zwykle pozwalali mu wygrać.

Zeszła z niego i podniosła jego miotłę, a on starał się nie wyglądać na zawiedzionego.

– Jest coraz lepiej – oznajmiła, a on wiedział, że wcale nie mówi o walce, tylko o jego ogólnej kondycji. W rzeczy samej, wracał do zdrowia. Po zaledwie dwóch dniach pod opieką babci czuł się silniejszy i jaśniej myślał.

I prawie już nie dręczył go kaszel. Do wesela się zagoi.

Grace wyciągnęła rękę, by pomóc mu wstać.

– Czy chcesz powalczyć na poważnie, sire? Czy masz dość zabawy w wojnę?

– Mów mi Edward – poprosił, gramoląc się na nogi bez jej pomocy.

Wróciła do pozycji bojowej. Król porwał miotłę z ziemi, otarł pot z czoła i się uśmiechnął.

– A masz, ropucho bagienna!

Tym razem naprawdę chciał ją trafić. Uskoczyła bez trudu – niemal rozplynęła się w powietrzu i zmaterializowała obok. Edward zaczynał podejrzewać, że dotąd dawała mu fory.

– Kogo nazywasz ropuchą? – roześmiała mu się w twarz. – Twoja matka była chomikiem, a ojciec śmierdział skisłymi jagodami!

I ruszyli na siebie, dźgając kijami i niemal tańcząc na udeptanej trawie.

Dobra jest – przyznał Edward w duchu.

– Gdzie nauczyłaś się tak walczyć? – wykrztusił, gdy znowu omal go nie rozbroiła. Nie po raz pierwszy odniósł wrażenie, że choć spędza w towarzystwie Grace długie godziny, wciąż niemal nic o niej nie wie.

Odrzuciła włosy z twarzy, a potem uderzyła mocno z góry. Ledwie udało mu się ją odepchnąć.

– Nauczyłam się metodą prób i błędów – odpowiedziała, odparowując cios i pytanie zarazem. – Ale wolę walczyć na noże. Nic nie może się równać ostremu nożowi w cholewie buta.

– Jakich prób i jakich błędów? – naciskał. – Co ty w ogóle robisz w Anglii?

– Pilnuj swojego nosa! – Zatoczyła łuk bronią, ale sparował. – Ty zgago żołądkowa!

Zaśmiał się wbrew sobie.

– Ty franco pierońska! – zawołał, zadając płaski cios, przed którym się uchyliła. – Ale poważnie, Grace, nie wydaje ci się, że już czas, byś uchyliła rąbka spowijającej cię tajemnicy?

– Jestem taka, jak widzisz, sire. – Skłoniła się krótko, a potem znów się zamachnęła. – Ty knago szczerbata!

Znowu to „sire”, a nie „Edward”, jak prosił. Już wolał tę ropuchę.

– Dość – westchnął i rzucił miotłę na ziemię. – Mam dość zabawy.

Grace niepewnie opuściła miotłę.

– Sire?

– Może powinnaś już iść, Grace. Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłaś,

ale jestem pewien, że masz ważniejsze sprawy na głowie niż machanie miotłą. Obiecałaś dopilnować, bym dotarł do babci. Wykonałaś zadanie. Jesteś wolna.

Serce targnęło mu się w piersi. Wiedział, że poważa się na wielkie ryzyko. Że rzuca jej wyzwanie.

Grace zmarszczyła brwi.

– Nie ufasz mi? Po tym wszystkim?

– Ja cię prawie nie znam, Grace – powiedział. – Jestem ci wdzięczny za pomoc, ale nie rozumiem, dlaczego mi jej udzieliłaś. W związku z tym nie mogę ci ufać. Równie dobrze możesz szpiegować dla Marii Stuart. – Zadrżał na tę myśl. Grace świdrowała go wzrokiem przez długą, pełną napięcia chwilę. Jej brwi zastygły w krzywej linii nad skupionymi groźnie oczami. A potem rzuciła miotłę na ziemię.

– No dobra – wyrzekła z irytacją. – Chodź.

Ruszyła ku ścianie lasu, oddalając się od ruin zamku, tak by znaleźć się poza zasięgiem ciekawskich uszu. Edward poszedł za nią. Przez kilka minut zbierała ze ściółki chrust, by potem rzucić go z powrotem na ziemię, jakby czegoś szukała. (Edward mógł tylko mieć nadzieję, że nie doszła do wniosku, że nie jest wart jej nerwów, i nie szuka po prostu kija na tyle grubego, by się nie złamał, gdy przyłoży mu w łeb). Wreszcie podniosła gałąź, która jej odpowiadała, i usiadła pod wiązem. Edward spoczął kilka stóp od niej i czekał, aż coś powie.

– Zapytałeś mnie, kiedy się zorientowałam, że jestem lisem. – Wyłowiła nóż z cholewy buta i zaczęła strugać. – Otóż miałam wtedy siedem lat.

Zaraz usłyszy bardzo smutną historię. Poznał to po tym, że błysk w jej zadziwiających oczach zaczął przygasać. Zacisnęła wargi. Naszła go chęć, by ją powstrzymać, bo nie lubił smutnych historii i nie miał prawa zmuszać jej, by mówiła mu o sprawach osobistych, lecz z drugiej strony wiedział, że miał rację: aby jej zaufać, musi ją poznać. Grace sprawnie nadawała kształt kawałkowi drewna. Skupiła wzrok na gałęzi, by nie musieć patrzeć na Edwarda podczas snucia opowieści.

– Gdy obudziłam się tamtej nocy, wokół szalały płomienie. Nasza farma płonęła. Wszyscy byliśmy w domu – ja, moja mama, tata i obu braci – a tamci zablokowali drzwi od zewnątrz. Zabili okna.

– Anglicy – domyślił się, a ona nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła, lecz wiedział, że poprawiłaby go, gdyby się pomylił.

– Jak już ci powiedziałam, wszyscy w mojej rodzinie byli Eðianami. Tata

był pięknym czerwonym jeleniem, mama łanią, dlatego świetnie się ze sobą dogadywali. Mój brat Fergus był czarnym koniem z białą gwiazdką na czole. – Zaśmiała się cicho. – Mój drugi brat, Daniel, był wielkim, zwalistym ogarem. Ja sama nigdy wcześniej się nie przemieniłam. Wtedy zrobiłam to po raz pierwszy.

Zamilkła. Edward poruszył się nerwowo.

– Nie mieli szans – podjęła markotnie. – Byli zbyt duzi, by wydostać się z chaty. Tylko mnie udało się wymknąć. Tata kazał mi uciekać. Powiedział, żebym udała się na południe do pewnego zakonu we Francji, gdzie miałam jakąś daleką ciotkę. Nawet narysował mi mapę, gdy dom wypełniał się dymem, i zawiesił mi ją na szyi, na chustce mamy.

Zamknęła oczy.

– Dlaczego? – spytał szeptem Edward. – Dlaczego angielscy żołnierze palili domy... z ludźmi w środku?

– Palili wszystko, co należało do Eðianów – odpowiedziała Grace. Wbiła z wściekłością nóż w ostruganą gałąź. Ziemia wokół jej stóp usłana była wiórami. Rzeźba powoli nabierała kształtu, ale Edward nie wiedział jeszcze, co to za kształt. – Palili też domy tych, którzy próbowali ich ukrywać.

Edward nie był już naiwnym dzieckiem i nie miał zamiaru zaprzeczać, że takie rzeczy miały miejsce. I że dokonywano ich na rozkaz jego ojca. Edward chciał wierzyć, że on sam, jako król, nigdy nie usankcjonowałby takiego bestialstwa. Ale nawet co do tego nie mógł być pewien. Był biernym władcą, zajmował się tylko podpisywaniem papierów, które podsuwali mu doradcy. Ufał, że robią dla królestwa, co najlepsze. Teraz jednak patrzył na świat z zupełnie innej perspektywy. Ostatnie dni bardzo go zmieniły.

– Czy udało ci się dotrzeć do Francji? – spytał.

Zaśmiała się krótko i gorzko.

– Próbowалам. Zgubiłam mapę, nim minął tydzień, więc potem już tylko biegłam przed siebie, aż łapy zaczęły mi krwawić. Prawie umarłam z głodu, bo jeszcze nie nauczyłam się polować ani kraść. Umarłabym na pewno, gdyby...

Przestała strugać i przełknęła ślinę, jakby ta część opowieści bolała jeszcze bardziej niż utrata rodziny.

– Gdyby...? – ponaglił ją delikatnie Edward, gdy cisza zawisła ciężko między nimi.

– Gdyby nie znalazła mnie Wataha.

Edward gwałtownie wciągnął powietrze.

– No tak – powiedział lekko, jakby nie było to nic takiego. – Wataha.

– Nie zawsze byli tak źli jak teraz – wyjaśniła. – Z początku Wataha miała tylko bronić Eđianów przed prześladowaniami. Prawda, kradliśmy, plądrowaliśmy, czasem nawet walczyliśmy z żołnierzami, ale przeważnie trzymaliśmy się w cieniu. Próbowaliśmy przetrwać. Pomagaliśmy sobie nawzajem. – Odpędziła z twarzy niepokorny lok. – Przywódca Watahy był dla mnie jak ojciec. Zaopiekował się mną, gdy nie miałam nikogo innego. Nauczył mnie wszystkiego, co umiem, i nie mam na myśli wyłącznie rzeczy przydatnych w sztuce przetrwania. Dopilnował, bym umiała nie tylko strzelać z łuku, walczyć mieczem i nożem, ale również czytać i pisać, rachować, cerować koszule, rzeźbić i strugać. Uczył mnie też historii, filozofii i tak dalej.

– Co się z nim stało? – spytał, bo poznał po jej chmurnym obliczu, że coś na pewno. I to niedawno.

– Zestarzał się. – Wróciła do strugania. – Inny członek stada, Thomas Archer, wyzwał go na pojedynek o przywództwo nad Watahą i wygrał. Wtedy wszystko się zmieniło. Archer uważa, że Eđianie nie powinni się skupiać tylko na przetrwaniu. Wierzy, że to my żyjemy w harmonii z naturą, a więc powinniśmy czynić sobie ziemię poddaną. Brać, co chcemy. Karać każdego, kto rzuci nam wyzwanie lub spróbuje skrzywdzić. Zebrał więc grupę mężczyzn i kobiet zmieniających się w wilki i zaczął mieszać.

– Wtedy odeszłaś – strzelił Edward.

– Tak. – Zmarszczyła brwi, skupiona na jakimś trudniejszym szczególe rzeźby. – Pewnej nocy po prostu uciekłam i już nie wróciłam. Co nie spodobało się Archerowi. Byłam dla niego użyteczna.

– To dlatego ich unikasz.

Odkasznęła dyskretnie.

– Hm, tak. Archer ustalił nagrodę za moją głowę.

– Tak? A ile?

– A czemu pytasz? – Spojrzała na niego z ukosa.

– Wiesz, każdy grosz się przyda.

Zrozumiała, że żartuje. Na jej policzkach nieśmiało zarysowały się dołeczki.

– Dziesięć funtów szterlingów.

– Dziesięć funtów! – Wybałuszył oczy. – Mówisz, że gdzie znajdziemy tego Archera?

– Wataha urządziła sobie melinę w pewnej karczmie – powiedziała spokojnie, jakby Edward rzeczywiście brał pod uwagę wydanie jej

Archerowi. – Pod Kudłatym Psem. Zdaje się, pół dnia drogi stąd. Skończywszy rzeźbić, otarła nóż i wsunęła go z powrotem do cholewy. Edward pochylił się, by lepiej się przyjrzeć figurce. Przedstawiała lisa i była ładząco podobna do Grace w eđiańskiej formie. Biegnący drewniany lis zastygł w zwiewnej pozie.

– Czy jest coś, czego nie potrafisz?

– Haftować – odparła z uśmiechem, wręczając mu dzieło. – A rzeźbić umiem tylko lisy. Gdy próbuję wystrugać cokolwiek innego, wygląda jak pies zrobiony z kielbasy.

Wspólnie podziwiali rzeźbę.

– Jest świetna – szepnął Edward. – Dziękuję.

– Proszę.

– Mam jeszcze tylko jedno pytanie.

– Wal. – Skinęła głową.

– Skoro to Anglicy zabili twoją rodzinę, pozbawili cię domu, polowali na ciebie i krzywdzili, jak tylko mogli, to czemu mi pomogłaś? I nie gadaj bzdur o słabości do najbardziej żałosnych istot pełzających po tym świecie.

Po raz pierwszy ujrzał na jej twarzy coś na kształt wstydu. Westchnęła dyskretnie.

– Prawdę?

– Prawdę.

– Spodobałeś mi się.

Zastygł, osłupiał. Pomyślał (choć pewności nie miał), że Grace uważa, iż jest przystojny.

– Spodo...

– Miałeś ładne oczy. Ładny uśmiech. – Oblała się uroczym rumieńcem.

Cóż za wspaniałe, przewspaniałe wieści!

– A widziałaś swoje? – wypalił impulsywnie. – Zielone jak... mech.

– Mech?

– Niczym jeziora... – Przeklął się w myślach za swój drewniany język.

– Tak...? – Jej wargi drgnęły, gdy próbowała powstrzymać śmiech.

– Piękne oczy – wydukał.

– Mam oczy jak jeziora pięknych oczu?

– Tak, dokładnie. I włosy. A twój uśmiech jest... po prostu... I jesteś zabawna i mądra. I dzielna. Nigdy nie spotkałem takiej dziewczyny jak ty.

– Och, wcale nie jestem taka dzielna. – Patrzyła na niego. W ten sposób. Czuł jej zapach, lawendową woń mydła babci zmieszaną z wonią lasu, która

nigdy jej nie opuszczała.

Nie mógł się powstrzymać, jego wzrok powędrował do jej ust.

A ona (cud nad cudami) spojrzała na jego usta.

Oblizął się nerwowo. A co, jeśli źle to zrobi? Co, jeśli przypadkiem rozkwasi jej nos swoim? I jeśli ona uzna, że jego wargi są za suche? Albo że śmierdzi mu z ust?

– Grace – wymruczał jej imię. Brzmiało słodko jak muzyka. – Grace. – Ich twarze były blisko. Niemal dostatecznie blisko.

Jego serce dudniło jak bęben. Przybliżył się jeszcze.

– Sire – wydyszała – ja...

– Proszę, mów mi Edward – odparł. – Do diabła z tą formalnością.

Zanim stracił pewność siebie, założył jej za ucho jeden z dzikich czarnych loków.

Przychylił się bliżej. Oto jest. Jego pierwszy pocałunek. Jego pierwszy po...

– CHŁOPCZE! – zagrział z oddali głos. – GDZIE JESTEŚ, CHŁOPCZE?

Grace odskoczyła jak spłoszona.

– Babcia cię woła.

– Babcia nie zajac, nie ucieknie.

– CZAS NA TWOJE LEKI!

Grace podniosła się z ziemi.

– Powinieneś iść!

– GDZIE TO CHŁOPACZYSKO?

Kilkoma szybkimi ruchami otrzepała spodnie.

– Akurat sobie przypomniałam o kilku rzeczach, które kazała mi zrobić twoja siostra. Bardzo ważnych rzeczach. Wymagających... innych rzeczy do zrobienia.

– Rzeczy do zrobienia? – powtórzył z powątpiewaniem.

– Tak jest. Mnóstwo, mnóstwo rzeczy...

– Grace – zawołał, gdy zaczęła się zbierać. – Poczekaj.

– EDWARD, NATYCHMIAST DO DOMU!

Patrzył bezradnie, jak dziewczyna spieszy w stronę twierdzy. Prawie biegiem.

– CHŁOPCZE!

Kronikarska dokładność każe nam wspomnieć, że w tej chwili Edward przez moment rozważał zamordowanie swojej kochanej babci. Pewnie nawet uszłoby mu to na sucho, skoro i tak cały świat sądził, że już nie żyje.

*

Gdy wrócił do zamku, czekała już na niego z jednym ze swoich obrzydliwych mikstur.

- No, gdzieś ty był? Wypij prędko.
- Chciałbym, żebyś przestała nazywać mnie chłopcem – wybełkotał.
- A jak miałabym cię nazywać?
- Jestem mężczyzną.

Spojrzała na niego przez ramię i roześmiała się serdecznie.

- Boki zrywać. Opowiedz jeszcze jakiś dowcip.

Wcisnęła mu w rękę parujący kielich. Nie chciał go przyjąć (Ile jeszcze będę musiał pić tego obrzydlistwa? Przecież jestem już zdrowy, no nie? To cuchnie zgniłymi jabłkami), ale zmusiła go, by wypił wszystko do ostatniej kropelki. Chcąc usunąć z ciała Edwarda resztki trucizny, skazywała go na niewysłowione cierpienia. Pierwszego dnia wlała mu do gardła dzban tej ohydnej jabłkowej mikstury, potem przez dwadzieścia minut trzymała pod lodowatym wodospadem, a jakby tego było mało, wsadziła go do balii z gotowanym mlekiem. Drugiego dnia owinęła mu szyję mielcem, wcisnęła pod język bryłę węgla i kazała wyrecytować alfabet od tyłu.

- Po cho by en alfabet? – spytał, dotarłszy wreszcie do „a”.
- Po nic – zachichotała. – Po prostu chciałam, żebyś powiedział.

Babcia najwidoczniej lubowała się w zadawaniu mu skromnych tortur.

– A jak już skończysz, idź do siostry. To znaczy, jeśli nie czujesz się zbyt męski na rozmowę z babą – zarechotała, gdy z trudem przełykał ostatnie krople leku.

Zrobił, co kazała, ale tylko dlatego, że i tak chciał porozmawiać z Bess. Absolutnie nie dlatego, że był małym chłopcem, który bał się babci.

Okazało się, że siostra czeka już w jego komnacie.

- Witaj. Usiądź – powiedziała, wskazując krzesło.

Edward usiadł. Na stole przed nim znajdowała się mapa Europy z kilkoma rozmieszczonymi strategicznie drewnianymi pionkami. Wszystkie przypominały psy zrobione z kiełbasy. Grace, jak widać, nie próżnowała.

Jego wzrok padł na wyrysowany na mapie Londyn, co przywiodło mu na myśl Jane. Bess dowiadywała się o wydarzeniach w stolicy od siatki kruczych szpiegów zamieszkujących Tower – od czasu do czasu przylatywał do Helmsley czarny ptak z nową porcją wiadomości. Ostatnia, którą przyniósł, dotyczyła czystki, jaką urządziła w pałacu nowa królowa. Maria najwyraźniej

chciała pozbyć się z Tower wszystkich Eđianów i dla przykładu spalić ich na wielkim stosie pod koniec miesiąca. A później zamierzała wysłać wojsko na resztę Londynu, by wytrzebić ich w całej stolicy. Powoli realizowała swój plan wymordowania wszystkich zmiennokształtnych w Anglii. Niestety pomimo usilnych starań Bess nie zdołała niczego dowiedzieć się o jego kuzynce. Zupełnie jakby wraz z przybyciem Marii do pałacu Jane i Gifford zapadli się pod ziemię. Edward znał siostrę na tyle, by założyć, że uwięziła kuzynkę. Ale znał też Jane i wiedział, że potrafi być... śmiała w obliczu rzuconego jej wyzwania, a zagarnięcie tronu przez Marię równało się największemu wyzwaniu, jakiemu kiedykolwiek musiała stawić czoło. Miała też pewną irytującą wadę – mianowicie nawet w najbardziej nerwowych sytuacjach mówiła, co myśli. Maria natomiast chowała urazę i nieco za bardzo lubiła szafować rozkazami skrócenia kogoś o głowę.

Krótko mówiąc, Edward się martwił.

Dopóki jednak był w Helmsley, nic nie mógł poradzić ani na prześladowania Eđianów, ani na brak wieści o Jane. On i Bess nie byli gotowi stawić czoła Marii (co oznaczałoby w praktyce starcie z całą angielską armią), a przynajmniej nie zdaniem Bess, która najwyraźniej opracowała już plan działania.

Edward omiótł wzrokiem mapę i figurki.

– Te pionki to jakieś oddziały? Czyje?

Usta siostry uformowały coś, co niezupełnie było uśmiechem.

– Moje. Mam kontakty i dłużników. Gdy odkryłam, że próbują cię otruć, a Maria w tajemnicy gromadzi armię, by zagarnąć tron, pomyślałam, że może sama powinnam się postarać o własną. – Przetarła mapę ręką i ten dziwny półuśmiech spelzł z jej warg. – Niestety nie mamy dość ludzi, by odzyskać twoją koronę Edwardzie. Armia Marii jest liczniejsza o połowę. Ta uzurpatorka ma poparcie zarówno Hiszpanów, jak i Rzymskiego Cesarza. A hiszpańska armada to siła, z którą należy się liczyć. Mówią, że jest niepokonana. Nie wiem, jak mielibyśmy przeważać szalę na swoją korzyść, ale musi być jakiś sposób.

Edward zerknął na siostrę. Jej twarz pozostawała skupiona i poważna. Bess wodziła wzrokiem po linii kiepsko wyrzeźbionych drewnianych okrętów ustawionych w Kanale Angielskim.

– A do kogo należą te tutaj? – spytał, podnosząc jeden i obracając w dłoni.

– Do Francji. Doniesiono mi, że francuski król Henryk, gdy tylko zobaczy, że żyjesz, udzieli poparcia tobie, nie Marii, jako prawowitemu monarsze. To

normalne, że obawia się kobiety, która zagarnęła tron takimi metodami. To jedyne rozwiązanie, jakie przychodzi mi na myśl.

Edward zdał sobie sprawę, że nie docenił Bess. Jego siostra rozumiała, jak działa świat, podczas gdy Edward jeszcze nie w pełni to pojmował.

– Gdyby udało nam się ściągnąć z Francji okręty i żołnierzy – ciągnęła Bess, mówiąc chyba tylko do siebie – i może jednocześnie poszukać wsparcia u Marii, królowej Szkotów, która jest zwierzchniczką szkockiego wojska, wtedy może mielibyśmy szansę...

Edward poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

– Czy ty mówisz o Marii Stuart?

Bess nie zwróciła uwagi na emocje, którymi przesycony był jego głos.

– Oczywiście nie sposób powiedzieć, w jakim stanie jest armia Szkocji. A pomoc Francuzów tania nie będzie. Król będzie pewnie chciał od ciebie czegoś w zamian, nie wspominając już, że do końca życia pozostaniesz jego dłużnikiem, ale innego sposobu nie ma.

Jedyny sposób. By odzyskać tron. I uratować Jane.

Edward przełknął ślinę.

– Czyli kroi się wycieczka do Francji – rzekł obojętnie, choć jego serce pędziło na złamanie karku. – Kiedy wyjeżdżam?

Bess zagryzła usta.

– Chcę, byś wypoczywał jeszcze parę dni. Zebrał siły. Bo będą ci potrzebne.

– Czy możemy wysłać kogoś po Jane?

– Kogo niby? Babcię? – Bess pokręciła głową.

– Babcia odbiłaby ją jedną ręką, drugą waząc jakiś ohydny eliksir.

– Wiem, że Jane jest ci droga – zapewniła go siostra. – I wiem, że grozi jej niebezpieczeństwo. Ale Jane to tylko jedna osoba, Edwardzie. A gra idzie o tysiące istnień. Wazą się losy królestwa. Musimy starannie planować każde posunięcie.

Odetchnął z wysiłkiem. Na mapie Londyn dzielił od Helmsley zaledwie palec. Ale Jane była daleko.

– Dobrze – odezwał się po chwili. W jego głosie pobrzmiwała złość. – Kilka dni rekonwalescencji, a potem jadę do Francji.

Podniósł się z krzesła, stanął przy oknie i przerzucił nogę przez parapet. Chciałby być teraz ptakiem. Wtedy mógłby polecieć Jane na ratunek. Albo chociaż powiedzieć jej, że o niej nie zapomniał. Że przybędzie po nią, nawet jeśli zajmie to dłużej, niż by sobie życzył.

Bess wymknęła się dyskretnie z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Przepraszam – wyszeptał w próżnię. Niebo nad jego głową było błękitne i nęciło go swym bezkresem, ale oparł się jego wezwaniu. – Przepraszam, Jane. Gdzie ty się, kochana, podziewasz?

JANE

Jane, nie po raz pierwszy zresztą, ratowała się ucieczką.

Po opuszczeniu miasta skierowali się w... jakimś kierunku. Jane nie umiała określić, w jakim dokładnie, bo wciąż była pod postacią fretki. Siedziała na ramieniu Gifforda (pęd powietrza przeczesywał jej futro, woń dziczy kręciła w nosie), zaś Gifford pędził na skradzionym z zamkowej stajni koniu, starając się jak najszybciej opuścić Londyn. Pet biegła przed nimi, pokazując drogę. Tylko dokąd? Tego Jane nie wiedziała.

Nie miała natomiast wątpliwości, że im dalej od żołdaków Marii, tym lepiej.

Gifford domyślił się, że w pierwszej kolejności będą szukać ich na drodze, a więc gdy tylko wyjechał z miasta, skierował się ku leśnej gęstwinie. Zza pleców doszło ją ujadanie psów. Pet uniosła nos na ten dźwięk, powęszyła w powietrzu. Meandrowali przez bezdroża, zagubieni w ciemności nocy. Jane skuliła się w załomku szyi Gifforda, zmordowana nie na żarty, ale świadoma nadchodzącego świtu i rychłej transformacji męża.

Kopyta wierzchowca łomotały o ziemię w regularnym rytmie. Wydawało się, że pościg się zbliża. Obawa zaznaczyła się na twarzy Gifforda ostrymi liniami, ale zważywszy na sytuację, zachowywał nadzwyczajne opanowanie. Z pewnością nie wyglądał, jakby sfora ogarów miała zaraz rzucić mu się do gardła.

Zgarbił się w siodle, a Jane rozmieściła ciężar ciała tak, by mu nie przeszkadzać, lecz Gifford zdjął ją z karku i przycisnął do piersi, zasłaniając ją przed wiatrem.

– Mam plan – powiedział.

Świetnie. Jane uwielbiała wszelkiego rodzaju plany.

Spojrzał w jej paciorkowate oczka.

– To dobry pomysł.

Jane ugryzła go – ale nie mocno – żeby się nim podzielił.

– Niedługo wstanie słońce, ja zaś porzucę swoją dwunożną formę na rzecz tej sianożernej i wtedy będziemy mogli poruszać się szybciej. Gdy to nastąpi, popędzimy naszego nieustraszonego ogiera inną drogą, żeby zmylić pogoń. Twoim zadaniem jest pozostać w formie fretki i pozwolić mi się zawieźć w...

jakieś bezpieczne miejsce.

Jane przekrzywiła główkę. To nie był taki znowu zły plan (może tylko mało konkretny). Ale co z końską zasadą numer trzy?

Gifford potrząsnął głową.

– Wiem, co myślisz, milady, i uważam, że czas takich reguł minął. Spójrzmy prawdzie w oczy: jesteśmy zwierzyną łowną i musimy umykać, ile sił w nogach. Prawie nic nie ważysz pod tą postacią. Gdy tylko znajdziemy sposób na to, by przymocować cię do mnie bez użycia tych twoich wspaniałych pazurków, będziemy mogli uciekać pełnym cwałem.

Jane musiała przyznać mu rację.

– Świetnie – ucieszył się Gifford. – Patrzcie państwo, jakie zgodne małżeństwo.

Mknęli więc wąską ścieżyną pomiędzy wysokimi, starymi drzewami, gdzie nikt nie zdołałby ich wypatrzeć, jednak sami również nie widzieli księżyca ani gwiazd. Lecz wkrótce niebo między gałęziami spowił pastelowy fiolet i ptaki zaczęły śpiewać, a Jane poczuła, że może już normalnie oddychać. Ta okropna noc prawie dobiegła już końca, a jej udało się dożyć kolejnego dnia. Jasne, wciąż goniły ich psy, ale w świetle dnia wszystko wygląda lepiej.

Gifford zawołał Pet i ściągnął cugle.

Zwalniali do stępa, gdy Jane zmieniła się w człowieka.

W jednej chwili była futerkową kulką, którą Gifford tulił do piersi, a w następnej wybuchła oślepiającym białym światłem i zmieniła się w pełnowymiarową (no, niezupełnie) dziewczynę, siedzącą w siodle, z nogami zwisającymi po jednej stronie. I całkowicie golusienką.

Koń prychał, szczerze oburzony, że musi dźwigać dwoje ludzi na grzbiecie.

– Jane! To nie było częścią planu! – Gifford oderwał od niej rękę, odwiązał płaszcz i zarzucił na jej nagie ramiona. – Nie ugryzaś mnie, gdy objaśniałem plan, więc założyłem, że go aprobujesz.

Jane zsunęła się z siodła na ziemię. Natychmiast poczuła pod bosymi stopami gałązki i liście. Opadła na czworaki. Szok spowodował, że drżała na całym ciele i nie mogła stanąć prosto na nogach.

Gifford zeskoczył z konia i klęknął przy niej.

– Jane, czy dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową.

Tyle mu chciała powiedzieć, gdy tkwiła zamknięta w Tower, ale teraz (kto wie, czy nie pierwszy raz w życiu) język stanął jej kołkiem.

Gifford też wyglądał, jakby chciał się z nią czymś podzielić. Złapał ją za

ręce, delikatnie przesunął palcami po ranach na nadgarstkach, a ona gwałtownie zassała powietrze. Ból, który czuła jako zwierzę, był ledwie cieniem tego, który ogarnął ją teraz. Miała wrażenie, jakby włożyła ręce w rozżarzone węgle.

– Jesteś ranna – rzekł G.

– To nic. – Uśmiechnęła się do niego słabo. – Jeszcze nie umiem kontrolować przemiany.

Uniósł brew.

– Co takiego? Nie słyszę? Nie umiesz kontrolować przemiany? Jak to możliwe, skoro przeczytałaś tyle książek o Eđianach?

Poczuła gorąco na twarzy. Usiadła prosto.

– No cóż, zupełnie nie mam tu warunków do ćwiczeń, ale dam głowę, że opanuję tę sztukę, gdy już nikt nie będzie na nas polował ze sforą ogarów.

– Och, nie zaszkodzi przynajmniej spróbować – zaproponował. – Zmień się z powrotem i jedziemy dalej.

Droczył się z nią. Nie była pewna, czy jej się to podoba. Zaczepnęła powietrza i skupiła się na myśli o przemianie we fretkę, ale nic się nie wydarzyło. Spróbowała ponownie. Bez skutku.

Wzrok Gifforda padł na wyrazistą linię jej obojczyka. A potem na wypukły kształt pod materiałem.

– Czekaaj. Nieważne. Możesz tak zostać.

Jane zrobiła się czerwona jak rak i poderwała się na nogi.

– Giffordzie Dudley! Proszę trzymać oczy przy sobie!

Roześmiał się, zrzucając buty. Potem skarpety. I pas.

– Co ty robisz?

– Już rano – wyjaśnił, nie przestając się rozbierać. – To moje jedyne odzienie... Strażnicy dali mi je, gdy osadzili mnie w wieży... Nie mogę go zniszczyć podczas przemiany...

Koszula opadła na trawę, odsłoniwszy kontur klatki piersiowej. Jane ze wszystkich sił usiłowała się nie gapić. Gdy zsuwał spodnie, pisnęła jak podfruwajka, z płaskiem przyłożyła dłonie do oczu i odwróciła się na pięcie.

– Czy ty nie masz wstydu?

– Ani krztyny.

– Nie spodziewam się, byś pomyślał o ubraniu dla mnie?

Gifford prychnął.

Jane obróciła się powoli.

– Pytam, czy masz dla mnie jakieś ubranie – spytała swojego męża, który

był już koniem.

Ale Gifford, rzecz jasna, nie odpowiedział.

Jane przygryzła wargę i rzuciła okiem na odzież na ziemi. Spodnie. Jakież to ponizające. Choć nie tak ponizające, jak paradowanie cały dzień w samym płaszczu.

Aż podskoczyła, gdy powietrze przeszło nagłące szczekanie. To Pet zauważyła, że stoją, miast uciekać. Zaszczekała raz jeszcze, a Jane przypomniała sobie o tropiącej ich sforze i żołnierzach.

Nie mieli czasu do stracenia.

Plan Gifforda był dobry w założeniu, ale w praktyce „znalezienie schronienia” przedstawiało już pewne trudności.

Jane postanowiła objąć dowodzenie nad grupą. Decyzja, zdaje się, należała do niej, choćby z tego względu, że nikt nie był w stanie jej zakwestionować. Bo tylko ona jedna potrafiła mówić.

Najpierw jednak musiała się ubrać.

– Giffordzie. – Odkasznęła. – To znaczy, G. Nie śmiem kwestionować twojego honoru... choć właściwie to mam taki zamiar. – Zarzuciła mu płaszcz na głowę, by nie podglądał, po czym włożyła porzucone przez niego ubranie.

Gifford furknął oburzony, ale stał nieruchomo, gdy się ubierała. Odzienie wciąż było ciepłe i pachniało... koniem. Było też o wiele za duże, ale gdy zacisnęła pas na ostatnie oczko i podwinęła nogawki i rękawy, mogła się poruszać względnie swobodnie, choć wyglądała jak strach na wróble. Włosy, tłuste i splątane, błyskawicznie zaplotła w warkocz, po czym zdjęła Giffordowi płaszcz z głowy.

– Czyli mam cię dosiąść? – spytała nerwowo. – I pogwałcić regułę trzecią?

Potwierdził, zarzucając łbem.

Jane poczłapała w zbyt wielkich butach do drugiego konia, by przyjrzeć się siodłu.

Czytała o siodłaniu w jednej książce, zatytułowanej *Wielkie kontrowersje sztuki jeździeckiej: wady i zalety różnych siodel i najlepszy tychże wybór dla angielskiego patrioty*. To konkretne siodło przypominało z grubsza te z rycin w księdze. Tylko jak je zapiąć? To nie może być trudne. Siedzenie, stelaż, uprząż, derka... Z boku wisiała mała sakwa, ale Jane nie otworzyła jej, by sprawdzić zawartość. Czas naglił.

Pet zaskomlała cicho. Jakby mówiła: „szybciej!”.

– Zaraz, zaraz – wymamrotała, gdy zaczęła rozsiadływać pożyczonego konia. Nie było to łatwe, bo był naprawdę spory, a siodło ważyło

przynajmniej pół tego co ona, ale po kilku próbach udało się zrzucić ustrojstwo na ziemię.

Derka pod spodem była przepocona, ale Jane nie miała innego wyjścia, jak tylko przerzucić ją Giffordowi przez grzbiet i go za to przeprosić. Z drugiej strony nic mu przecież nie będzie – uznała. Ona nosi jego ciuchy, on może ponosić przepoconą derkę.

Teraz znowu musiała siłować się z siodłem. Gifford okazał się przynajmniej na tyle uprzejmy, by podejść do leżącego nieopodal głazu, na tyle płaskiego, by jego żona zdołała na niego wejść. Tylko że gdy się poruszył, derka ułożyła się zupełnie nie tak, jak powinna, w związku z czym Jane musiała znów rzucić na ziemię z takim trudem podniesione siodło i ją poprawić, po czym nakazać mężowi, by przestał się wiercić. Dłuższą chwilę mozoliła się z zapięciem na jego brzuchu, zaciskając tak mocno, jak się odważyła. Następnie zeskoczyła z kamienia, by podziwiać efekt swoich starań. Zobaczyła, że Gifford w swej końskiej postaci wygląda na o wiele bardziej... krąglego niż zwykle.

– Czy ty wstrzymujesz oddech?

Gifford wypuścił powietrze, odzyskując normalne proporcje, a Jane jeszcze mocniej zacisnęła pas siodła.

Doprowadzona do ostateczności Pet ganiała wokoło, ponaglając ich, by się pospieszyli. Jane ostatni raz pociągnęła za pasek – wywołując dramatyczne westchnienie Gifforda – i odpięła pierwszemu koniowi pasek uzdy.

Gifford dosunął się, prychając. Przekaz był jasny: może i pozwoliłem ci złamać regułę pierwszą i trzecią, ale druga wciąż obowiązuje: żadnych cugli.

– Dobrze, ale przynajmniej zdejmę mu uprząż, żeby się nie potknął o cugle. – Wyswobodziwszy konia, rzuciła uprząż na ziemię, po czym chwyciła torbę siodłową i przywiązała na miejsce.

Pet na przemian skomlała i czekała, biegając wokół nich jak w amoku. Obydwa konie skierowały uszy w jedną stronę. Nawet Jane słyszała już tętent pogoni. Doganiali ich ludzie Marii.

Wskoczyła na Gifforda i przywarła do jego grzbietu, a jej mąż pogalopował w obranym wcześniej kierunku. Drugi koń pobiegł za nimi.

Jane trzymała głowę nisko. Gałęzie zarośli smagały ją po nogach, gdy Gifford mknął między drzewami w zatrważającym tempie. Przeskakiwał liczne przeszkody, niestrudzenie kluczył między drzewami i krzewami, jego kopyta pewnie odnajdywały drogę w gęstwinie i wciąż niestrudzenie parł naprzód, nie zwalniając nawet przy przedzieraniu się przez gęste zarośla. Drugi koń biegł za nimi, strzygąc uszami na dźwięk złowieszczonego hałakowania sfory.

Nagle Gifford się zatrzymał. Drugi koń również zwolnił do stępa, a Pet usiadła kilka stóp dalej. Przez minutę po prostu czekali, dysząc.

– Co teraz robimy? – syknęła Jane.

Skradziony koń opuścił łeb i zaczął skubać trawę. Gifford zarzucił głową, jakby zaaprobował pomysł pobratymca, i również zaczął jeść.

– Giffordzie, to nie jest dobra pora na przerwę – złajała go Jane, pochylając się w siodle. – Żołnierze wciąż siedzą nam na ogonie.

Ten potrzęsnał grzywą, tak że dotknęła jej twarzy. Wypluła koński włos i nadstawiła uszu, próbując cokolwiek dosłyszeć przez szmer wiatru w konarach i dźwięk żucia trawy.

– To po prostu głupie – skomentowała.

Wtedy Gifford znieacka obrócił się do drugiego konia i kłapnął zębami tuż przed jego nosem.

Ogier – wierząc dotąd, że Gifford to przyjaźnie nastawiony konioczłek – wspiał się na zadnie nogi i zarżał. Jane krzyknęła przestraszona i mocniej ucapiała kulę siodła, podczas gdy Gifford napał na konia, tak jakby chciał go wystraszyć. Obrócił się zadem, blokując drogę, którą tu przybyli, aż biedne stworzenie nie miało innego wyjścia, jak tylko uciec do lasu. Wbiegło więc w krzaki i pognało naprzód. Wkrótce szelest rozgarnianych liści i gałęzi ucichł w oddali, a Jane znalazła się na polanie sama z Giffordem i Pet. Wsłuchiwali się chwilę w odgłos przedzierającego się przez chaszczę konia.

Przycisnęła dłonie do serca i oparła czoło o szyję Gifforda.

– To było bardzo niemiłe – zganiła go. – To był swój koń.

Gifford prychnął i natychmiast skierował się z powrotem na ścieżkę. Wtedy Jane zrozumiała: chciał zmylić pogoń. Każdy, kto dotrze za nimi w to miejsce, założy, że pobiegli szlakiem przetartym przez spłoszonego rumaka, nie podejrzewając, że cofnęli się po własnych śladach i pojechali inną odnogą.

– Teraz rozumiem, o co ci chodziło – powiedziała. – Chyba zapomniałam o planie. Ale dalej uważam, że to było bardzo nieuprzejme. Powinieneś być miłszy dla innych koni. Jesteście zwierzętami stadnymi. Kto będzie chciał z tobą biegać, jeśli tamten koń rozpowie innym, że z ciebie dwulicowy drań? Z kim będziesz rozmawiał o ulubionych gatunkach jabłek? Jak tak dalej pójdzie, niedługo nie będziesz miał żadnych przyjaciół poza mną.

*

Biegli i biegli, aż niebo oblało się ognistą czerwienią. Zgubili pogoń kilka

godzin temu; nie słyszeli już za sobą wściekłego ujadania psów ani końskiego tętentu. Mimo to wciąż utrzymywali równe tempo. Jane już miała zasugerować, by zatrzymali się na popas, kiedy nagle wypadli z lasu i ujrzeli przed sobą zapadłe gospodarstwo i widoczną w oddali oborę.

– To chyba dobre miejsce na nocleg, prawda?

Gifford zarżał potakująco, a ona zsunęła się z jego grzbietu, by się rozejrzeć. Pet pobiegła za nią, merdając ogonem i zatrzymując się co rusz, by sprawdzić, czy nic im nie zagraża.

Farma była w złym stanie – kryte strzechą dachy zapadły się do środka, a pomieszczenia pełne były ptasich gniazd i mysich dziur – ale obora wydawała się solidna. Mogli się tam schronić.

Nogi Jane trzęsły się po tak długiej jeździe, a całe jej ciało było poważnie osłabione przez głód i zmęczenie, mimo to zdołała rozewrzeć drzwi. Gifford natychmiast wbiegł do budynku. Mijając ją, przystanął, by musnąć ją pyskiem.

– Jestem tak głodna, że zjadłabym konia z kopytami. Oj, przepraszam, G. Oczywiście nie Ciebie. – Upewniwszy się, że Pet również jest w środku, zamknęła drzwi, po czym poszła zapalić latarnię. – Chodź, zdejmę ci siodło, żebyś nie zniszczył go w czasie przemiany.

Pet obiegała stodołę, węsząc to tu, to tam. I dokładnie w chwili, gdy Jane miała wziąć się do pracy, stanęła przy drzwiach i drapnęła znacząco. Potrzeba wyglądała na pilną.

– Nie mogłaś wcześniej? – burknęła Jane, otwierając drzwi.

Gdy już zostali tylko we dwoje, czym prędzej zdjęła siodło z mężowskiego grzbietu, uwalniając go od upokarzającego ciężaru. Gifford zadrżał i się przeciągnął, znów wolny, a potem – ku oszołomieniu Jane – przetoczył się na grzbiet i zaczął turlać się po ziemi.

– Nie wierzę. – Strzepnęła przepoconą derką i powiesiła ją na słupku, by wyschła. Chwilę później obok znalazło się siodło.

Do zmierzchu zostało parę minut, położyła więc płaszcz obok hasającego w najlepsze Gifforda i poszukała w sakwie podróźnej dodatkowych ubrań.

Nic.

Ale za to znalazła w stajni torbę z prowiantem – wędzonym mięsem i kilkoma kawałkami sera – oraz dwie manierki z wodą. Opróżniła jedną i zjadła prawie połowę mięsa, nim dotarło do niej, że powinna poczekać, aż Gifford się przemieni, i zachować dla niego większą część. Z pewnością był co najmniej tak głodny i spragniony jak ona.

– Zdaje się, że będziemy musieli walczyć o ubranie. Jedno z nas powinno

dostać koszulę i spodnie, drugie płaszcz. Co się tyczy butów, na mnie i tak nie pasują, żądam więc, byś niósł mnie na grzbiecie.

Buchnęło światło.

– Jak sobie życzysz – odpowiedział Gifford, już pod postacią człowieka.

– G! – Jane obróciła się i zobaczyła męża, który właśnie narzucał płaszcz na ramiona. Pobiegła go uściskać, pomimo niezręcznej sytuacji odzieżowej.

– Jane. – Otoczył ją ramionami i pocałował w czoło.

Nie spodziewała się tego, ale sprawiło jej to dużą przyjemność.

– Przetrwaliśmy ten dzień – powiedziała z policzkiem przy jego piersi. – Oboje zachowaliśmy głowy. Brawo my.

Wstrząsnął nim śmiech.

– Prawda. Brawo my.

Odsunęła się od niego i wtedy coś zaszeleściło w jej kieszeni.

– A to co? – Jak przez mgłę pamiętała dotyk papieru na klatce piersiowej, ale nie odważyła się sprawdzić, co to takiego, gdy ratowali się ucieczką. Teraz, gdy tylko spojrzała na zmięty arkusz, natychmiast rozpoznała swój charakter pisma.

Był to list, który wysłała Edwardowi przed wyjazdem na miesiąc miodowy.

– Peter Bannister wsunął to pod drzwi mojej komnaty w Beauchamp Tower. – Gifford dotknął z wahaniem jej twarzy i przygładził włosy. – Pomyślałem, że będziesz chciała zatrzymać ten list.

Spojrzała na niego, mile zaskoczona, że na to wpadł.

– Dziękuję. – Nagle poczuła się zupełnie bezpieczna. Po raz pierwszy od ostatniej nocy spędzonej w wiejskim domu. Naszła ją wielka ochota, by na powrót zatopić się w ramionach Gifforda, ale ten list wydawał się ważny. – Dlaczego Peter Bannister uznał, że powinieneś go dostać?

– Nie wiem. Myślałem, że po prostu dał mi coś twojego. Żeby mnie pocieszyć.

Odwróciła arkusz. Po drugiej stronie ktoś napisał: „skunks”.

Serce podeszło jej do gardła.

– To pismo Edwarda.

– Edwarda? – G zmarszczył brwi.

– Tak! Wszędzie rozpoznam jego charakter pisma. Widzisz to dziwne s? Kiedy byliśmy mali, miał jednego straszego nauczyciela, Richarda Coxa, który wiecznie ganił go za to, że pisze jak kura pazurem. „Powinieneś pisać jak król”, mawiał. Kazał królowi zapisywać całe stronicę literą „s”. – Uśmiechnęła się do wspomnień. – Biedny, kochany Edward.

– Tak, biedny, kochany Edward – zgodził się niemrawo Gifford. – Ale co znaczy ten „skunks”?

– Nie wiem – zaczęła, ale zaraz rozdziawiła usta w nagłym olśnieniu. – Nasza babcia, a właściwie moja prababcia, a jego babcia, zmienia się w skunksa. Wygnali ją do opuszczonego zamku na północy, dawno temu. Odwiedzałam ją tam kiedyś. W Helmsley.

– Czy to znaczy, że Edward żyje?

– Sądzę, że tak. – Znowu wtuliła się w niego, przepełniona radością na myśl, że już wkrótce zobaczy kuzyna. – Jeśli król żyje, z pewnością jedzie do babci, a my też możemy tam pojechać i wszystko będzie dobrze, a wtedy my będziemy mogli...

Nie dokończyła, bo zmieniała się we fretkę.

GIFFORD

Zanim zdążył porozmawiać z Jane o jej przemianie, dobiegł go odgłos drapania. Zaskoczony, do połowy wysunął miecz z pochwy. (Właściwie nie radził sobie z mieczem zbyt dobrze, ale za to świetnie blefował. Potrafił sprawiać wrażenie, że nie ma sobie równych w sztuce szermierki. I czasem to wystarczyło).

– Kto tam? – zawołał, próbując uciszyć grzmiący rytm serca.

Rozległo się ciche skomlenie, a potem nagłący pisk.

G otworzył drzwi i do środka wbiegła Pet. Wydała z siebie kilka przenikliwych szczeknięć, wypadła za drzwi, wróciła do Gifforda, znowu wystrzeliła na dwór, a potem, unosząc jedną łapę, utkwiała wzrok w ciemności.

– O co jej chodzi? – spytał G Jane. Odpowiedzią był dotyk pazurków na nodze. Żona wdrapała się na niego i wlaźła pod koszulę, a potem przemknęła mu po szyi i wspięła się na głowę.

W tym momencie G zorientował się, że właśnie spytał fretkę, co powiedział pies.

Nie zdejmując z głowy kapelusza z Jane, utkwił wzrok w ciemności, próbując dociec, co też wprawiło Pet w takie zdenerwowanie. Suczka odbiegła na kilka jardów, okręciła się w miejscu i zaczęła dyszeć. Wystawiła nawet nos ze stodoły, jakby tylko czekała, aż Gifford za nią podąży.

– Pet – zwrócił się G do psa. – Pamiętasz tamtych złych żołnierzy. To nie jest dobra chwila na wędrówkę, zwłaszcza że nie jestem koniem, a więc będziemy szli bardzo wolno.

Pet wypadła na zewnątrz. Zmieniła się w nagłym rozbłysku światła i stanęła przed nim pod postacią dziewczyny.

Nagiej dziewczyny o długich, splątanych, jasnych włosach.

Ale przede wszystkim nagiej.

Nagiej, to jest bez ubrania.

– Złapałam zapach Jego Wysokości! – krzyknęła.

G dojrzał błysk ponownej przemiany Pet. Nawet pomimo tego, że Jane zasłoniła mu oczy ogonem.

Przez krótką chwilę stał niepewnie, zupełnie zbity z tropu.

– Widziałaś... tę mniej formalnie odzianą dziewczynę, która przed chwilą tu

była? – spytał Jane, a ta odpowiedziała, wpijając mu pazurki w głowę. – A wiedziałaś, że Pet to dziewczyna? Choć wyglądała, jakby obco czuła się w ludzkiej skórze. Nie próbowała się nawet zasłonić. – Tym razem żona drapnęła go w twarz. – Nie żebym zauważył.

Pet szczeknęła piskliwie i wskazała nosem na zewnątrz. Dopiero wtedy Gifford przypomniał sobie, że przecież coś powiedziała. Stojąc tam. Nago.

– Wyczułaś króla Edwarda?

Szczeknęła dwukrotnie.

– Nie możemy iść teraz. To zbyt niebezpieczne.

Znowu błysk i znowu nagość.

– Musimy iść natychmiast! Trop jest już bardzo słaby, a niebawem deszcz zmyje go zupełnie.

Ponownie przetransformowała się w psa. Tym razem Jane nie zdążyła zasłonić G oczu. Jakim sposobem tak łatwo zmieniała kształty, podczas gdy tryb przemian Gifforda i Jane zależał najwyraźniej od pory dnia?

Uznał, że później to rozważy.

– Ale Pet, nie mamy zbyt wiele zapasów...

Pet przestała się certolić i po prostu warknęła wściekle.

– Dobrze już, dobrze. Idziemy. Niezwłocznie.

G porwał z ziemi płaszcz i torbę, przełożył żonę z głowy na ramię, po czym wybiegł za Pet w noc.

*

Pet, jak się okazało, była wyśmienitą tropicielką. Nie odrywała nosa od ziemi, a mimo to utrzymywała dużą prędkość. Księżyc rozświetlał niebo – i całe szczęście, bo dzięki temu Gifford nie potykał się o nierówność traktu.

Musieli się często zatrzymywać, żeby mógł złapać oddech. W czasie jednego z takich przystanków odkrył, że Jane zasnęła, owinięta wokół jego szyi niczym szalik. Pet nieoczekiwanie znów przybrała ludzką postać.

– Czemu się nie przemieniasz?

Gifford nie mógł się zdecydować, gdzie podziąć wzrok, a po chwili uznał, że najbezpieczniej będzie utkwic go w niebie.

– Nie umiem kontrolować przemian. To klątwa. Gdy zachodzi słońce, jestem człowiekiem. Gdy wschodzi, wierzchowcem.

Koniem, poprawił się w myślach. Na wierzchowcu się jeździ. Na mnie nie. No, chyba że Jane.

Petunia stęknęła.

– Uprzątnij swój dom.

– Mój dom? Ja nie mam domu.

– Nie tamten – wyjaśniła, wskazując w kierunku Londynu. (Widział to kątem oka, wciąż dzielnie patrząc w gwiazdy). – Ten tutaj. – Puknęła go palcem w czoło i w pierś.

– Aua – wyrwało mu się. Miała strasznie silne palce. – Jak mam...

Ale ona wróciła już do psiej postaci i puściła się pędem, zanim zdążył dokończyć pytanie.

Biegli, potem odpoczywali, a potem znowu biegli, ledwo zapiąc. Gifford tęsknił za świtem, po części dlatego, że jego stopy domagały się przerwy, a po części ze względu na dezaprobatę w oczach Pet, która ewidentnie miała mu za złe, że nie może biec szybciej.

Wtedy Pet stanęła i rozejrzała się, skonfundowana. Powęszyła w jednym kierunku, później w drugim, za chwilę w kolejnym... i żadnego nie wybrała. Obwąchała każdą możliwą drogę, nawet kilka drzew, a potem usiadła i pisnęła żałośnie.

– Co się stało, mała? – zatroskał się G.

Jane drgnęła na jego szyi, uniosła główkę.

Pet padła na brzuch i ułożyła głowę na przednich łapach, smętny wzrok wbiła w ziemię. Poruszały się tylko jej brwi.

G kucnął i zaczął ją głaskać.

Błysnęło światło i Pet przybrała postać dziewczyny, a on wciąż kucnął nad nią, głaszcząc ją po głowie. Była to poufałość, która z pewnością przeczyła regułom przyzwoitości. Dał susa w tył, tak szybko, że Jane niemal wylądowała w krzakach.

Pet w swej ludzkiej postaci wyglądała tak, jakby zbierało jej się na płacz.

– Jego Wysokość podróżuje z kimś. – Zmarszczyła nos, jakby ta druga woń była jej wstrętna. – Śledziłam obydwaj zapachy, ale zapach Jego Wysokości... tutaj się urywa.

G nie zdążył wypytać o szczegóły, bo zaraz ponownie dziewczyna zmieniła się w psa. Wydawała się czuć swobodniej w czworonożnej postaci – tak jakby wówczas lepiej radziła sobie z rozpaczą.

G poczuł, że Jane na jego ramieniu zaczyna drżeć. Domyślił się, że boi się o Edwarda.

– Nic mu nie jest – szepnął jej do ucha. – Pet, idziemy za tym drugim zapachem. Jeśli nie doprowadzi nas do Edwarda, to przynajmniej do

odpowiedzi na nasze pytania. – Jane znowu zadrzała. – Ale głowę dam, że go znajdziemy.

Jane skinęła małą trójkątną główką i mocniej wczepiła się w niego łapkami, by nie spaść, gdy wznowi bieg. G nie czuł się nawet w połowie tak podekscytowany na myśl o spotkaniu z Biednym, Kochanym Edwardem. Zastanawiał się, czy to nie świadczy o tym, że jest złym człowiekiem.

*

Kilka godzin później, po o wiele za krótkiej drzemce, Gifford zmienił się w konia, a Jane w dziewczynę.

Ciekawe, co zrobią bez siodła (które przez pośpiech zostawili w oborze). Ale Jane nie zdradzała objawów paniki i po prostu wskoczyła mężowi na grzbiet.

(W tamtych czasach kobieta jeżdżąca konno bez siodła musiała się liczyć z tym, że wywoła zgorszenie. Uznano by jej zachowanie za naganne i być może zamknięto w więzieniu, czym bowiem jest kobieta jeżdżąca na oklep na koniu, który jest mężczyzną? Nawet jeśli mężem?)

Nikt nie jeździł wcześniej na Giffordzie na oklep. Było to dziwne, choć niezupełnie nieprzyjemne uczucie – czuć na plecach jej ciężar i ściskające go nogi.

– Czy mogę się chwycić twojej grzywy? – spytała ociekającym uprzejmością głosem, którym na jakiejś oficjalnej kolacji mogłaby poprosić o sól.

Gifford przytaknął, odchylając głowę w jej stronę.

Nabrała pełną garść włosów, ale nie ściskała zbyt mocno.

– Pet, idziemy do Edwarda – poleciła. – Ten trop musi prowadzić do Helmsley.

Tak – pomyślał nachmurzony Gifford. – Znajdźmy Edwarda.

Szli godzinami, aż G poczuł, że Jane wiotczeje na jego grzbiecie i przechyla się niebezpiecznie na jedną stronę. Poprawił ułożenie ciała, dzięki czemu Jane rozbudziła się i złapała pion.

– Przepraszam – powiedziała. – Będę się trzymać mocniej.

Potrzebujemy jedzenia – uzmysłowił sobie G. Przez dwa dni zjedli ledwie po kilka kęsów suszonego mięsa. Torba przy siodle szybko zaczęła świecić pustkami, wtedy pozbyli się jej, bo nawet tak mały ciężar w jakiejś mierze ich spowalniał.

– Musimy coś zjeść – powiedziała Jane, jakby czytając mu w myślach.

G skinął głową. Ale żeby zdobyć jedzenie, musieliby iść na pachtę (a żadne nie miało doświadczenia) lub zapolować (żadne z nich nigdy nie zabiło zwierzęcia), albo zbliżyć się do jakiejś ludzkiej sadyby (gdzie mogą natknąć się na żołnierzy, którzy ich pozabijają). Ale jako koń nie mógł zrobić żadnej z tych rzeczy. Mógł tylko równo iść.

– Znajdę coś – oświadczyła. G zatrzymał się, a ona zszła mu z grzbietu i gdzieś zniknęła. Wróciła po kilku minutach z garścią ciemnofioletowych jagód.

– Zebrałam, co udało mi się znaleźć. To dorsetki. Są jadalne. Czytałam o nich w książce *Trujące i nietrujące jagody dziczy: radość oszczędnego Anglika*. A przynajmniej wydaje mi się, że są jadalne. Ryciny nie były za dobre.

Poczyniwszy tę uwagę, ułożyła owoce na kawałku płótna i podzieliła na trzy równe porcje. Jedną umieściła przed Pet, a drugą podetknęła pod pysk Giffordowi. Koń zjadł z ochotą, starając się nie odgryźć żonie palca.

Jane z niesmakiem popatrzyła na swoją dłoń, pokrytą końską śliną.

– Ohyda – orzekła, wycierając ją o jego bok. – Zabierz to sobie, z łaski swojej.

A potem zjadła własną porcję.

– Będziemy musieli podejść do jakiejś wioski – powiedziała z ustami zabarwionymi na purpurowo.

I znowu, z ust mu to wyjęła. A właściwie z pyska.

*

Po mniej więcej godzinie wyszli na szlak, ale trzymali się blisko lasu, by w razie potrzeby błyskawicznie się ukryć. Nie minęło wiele czasu, a napotkali małą osadę. W oczy rzucała się przede wszystkim karczma z szyldem przedstawiającym jakieś okropne psisko. Zmierzchało już, a podróżni nie mieli przy sobie żadnych pieniędzy ani nic, co mogliby na nie wymienić. Zatrzymali się więc na skraju lasu, by obmyślić jakiś plan.

Jane uwielbiała obmyślać plany.

Zeszła z G i zarzuciła mu płaszcz na grzbiet, spodziewając się rychłej przemiany. On zaś spodziewał się, że Jane usiądzie, by nieco odpocząć, lecz zamiast tego stanęła za grubym pniem, wyjrzała z zań ostrożnie i potoczyła wokoło rozemocjonowanym wzrokiem.

Wtedy słońce dotknęło horyzontu. Błysnęło i G znów był człowiekiem. Okutał się płaszczem i podbiegł do swojej damy. Oczy jej lśniły, a na twarzy widniał cwany uśmiezek.

– Na tyłach karczmy jest spiżarnia – powiedziała z ekscytacją. – Widziałam, jak ktoś niósł tam mięso.

– Na pewno ją też zamykają na klucz. Lepiej będzie, jak włamię się do jakiegoś domu.

– Nie będziemy kraść! – Potrząsnęła głową, jakby nie mogła uwierzyć, że w ogóle przeszło mu to przez myśl. – Mówię tylko, że mają jedzenie. I że możemy trochę zdobyć. Mówiąc „my”, mam na myśli ciebie. Musisz pójść do właściciela i jakoś na nie zapracować.

G wyobraził sobie, jak stoi w rogu karczmy i z fretką na ramieniu deklamuje poezję nieznanym. Wyobraził sobie też, że fretka gryzie go w ucho, jeśli uzna wiersz za kiepski. Ale to cudaczny pomysł! Nawet gdyby miał przy sobie choć jeden ze swoich wierszy albo chociaż kartkę i pióro, by naprędce jakiś sklecić, i tak nie mieściłoby mu się to w głowie. Na swoim pierwszym odczycie poezji chciał się popisać, recytując wiersz z pamięci. Dotarł do „cały świat jest be”, a potem w jego głowie nastąpiła pustka. Wybąkał kilka słów, które jako tako rymowały się z poprzednim wersem, i uciekł ze sceny.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – rzekł. – Moje umiejętności są dość ograniczone, jako że pół doby jestem koniem i dawno już nie... Znaczą...

Twarz Jane przybrała czerwoną barwę.

– Jesteśmy przecież małżeństwem. A poza tym czy myślisz, że naprawdę ktoś by ci za to zapłacił?

Zamrugał, nim pojał. Mówiła o, no... konsumowaniu. A niby czemu nikt by za to nie zapłacił? – pomyślał urażony. Ale to nie był czas na dąsy.

– Ja, ja nie... Znaczą, bo wiesz... – paplał.

– Nieważne – ucięła temat. – Po prostu nie rób tego, o czym pomyślałeś. Możesz zetrzeć stoły albo zmyć podłogę. W karczmie zawsze są brudne podłogi, nie? Od żłopania ale, a potem wymiotowania.

Jane chyba przesadzała z tą krytyką karczm.

– Chwytam. Tak, chyba mógłbym to zrobić. – Ruszył przed siebie, ale zaraz stanął, bo Jane złapała go za kołnierz. I dobrze, bo miał na sobie tylko płaszcz.

– Czeka! Idę z tobą.

– Ale zaraz się przemienisz – odparł.

– Pójdę jako fretka. Zaniesiesz mnie w bucie.

– Jane, nie – zaoponował. – To może być niebezpieczne. Nie sposób

przewidzieć, co się wydarzy. Jak mam się skupić, skoro będę się martwił o ciebie?

– Ale...

– Proszę cię, zostań tutaj, gdzie jest bezpiecznie.

Nachmurzyła się i przez chwilę Gifford był pewien, że zacznie protestować, ale w tej chwili zajaśniało światło i jej ubranie opadło na ziemię, a spod niego wygrzebała się mała fretka.

G włożył wciąż ciepłe po poprzedniej właścicielce odzienie, jeszcze noszące jej zapach. Zaprzagnął zaciągnąć się tą wonią głębiej, ale wtedy Jane zaczęła podkradać się do jego buta.

– Słonko, już to omówiliśmy. Zostań tutaj, wróć ani się obejrzysz. Obiecuję.

Zatrzymała się i westchnęła tak głęboko, jak tylko potrafią fretki, a potem oklapła i rzuciła się dramatycznie na ziemię. Wyglądała na śmiertelnie znudzoną.

– Może się zdrzemniesz? – podsunął. – Zasłużyłaś na porządną drzemkę.

*

Wnętrze karczmy było dobrze oświetlone i roiło się w niej od prosto odzianych mężczyzn i kobiet. G zauważył, że ubrania każdego z gości są oblezione sierścią, jakby wszyscy pracowali przy zwierzętach. To pewnie hodowcy i pasterze. Choć nie wyglądali na chłopów. Wyczuł jakąś dziwną woń pod zapachem pieczonego kurczaka i wypiekanego chleba. Ach, kurczak i chleb! Zaburczało mu w brzuchu i ostatkiem sił oparł się, by nie dać nura do pierwszego lepszego talerza ze strawą.

Gdy wszedł do karczmy, rozmowy urwały się w pół słowa i wszyscy skupili na nim wzrok.

– Powitać waszmościów – wyrzekł, zebrawszy się na odwagę. To było jak czytanie poezji. Tylko że bez poezji. Zauważył, że część gości położyła przed sobą noże myśliwskie i sztylety, jakby w każdej chwili byli gotowi ich użyć. Jedna z kobiet piłowała paznokcie w szpony.

To prawie jak odczyt poezji – powtórzył w myślach.

Zebrał się w sobie i ruszył ku przeciwległemu kątowi izby, gdzie znajdował się kontuar. Przy kontuarze było tyle ludzi, że nie dałoby się wcisnąć choćby szpilki. G musiał się wepchnąć między dwóch przysadzistych chłopów z bliznami w kształcie łez na twarzach. Obydwu czuć było mokrym psem.

Młodzieniec na skraju baru pochylił się do niego i posłał mu wyjątkowo paskudny uśmiezek.

Szynkarz zmierzył Gifforda wzrokiem.

– Czego chcesz?

– Nie... – G pierwszy raz w życiu musiał się przed kimś przyznać, że nie ma grosza przy duszy. – Nie masz czasem jakiejś pracy dla mnie?

– Pracy? – Facet najwyraźniej miał tyle oleju w głowie, co wosku w uszach.

– Mógłbym myć stoły, szorować podłogę.

Mężczyzna pokazał mu wybiedzoną posługaczkę, która właśnie mordowała go wzrokiem.

– Od tego mamy Nell.

Nell niezbyt się stara – chciał powiedzieć, ale wiedział, że będzie to krok w złym kierunku.

– No to może obierać ziemniaki. Albo marchew. Właściwie każde warzywo korzeniowe. – Co prawda nigdy niczego nie obierał, ale to nie może być szczególnie trudne.

– Od tego też kogoś mamy – odrzekł tamten. – Weź idź stąd lepiej. To nie miejsce dla ciebie.

G chętnie by się zastosował do tej rady, ale w tej chwili dodał dwa do dwóch, czyli zapach mokrego psa, sierść na ubraniach i odruch obronny na widok obcego.

Oraz to, że wszyscy jedli wołowinę.

Krowę.

Z pewnością jedyną we wiosce.

I wtedy już wiedział. To była Wataha.

– Hm, tak. No cóż, nie pozostaje mi nic innego jak sobie pójść... – zaczął.

– Szczur! – zawołał ktoś od drzwi, podrywając się z krzesła i obalając je z trzaskiem na podłogę. – Tu jest szczur!

To nie może być Jane – rozbłysła myśl w głowie Gifforda. – Przecież została na zewnątrz.

– To wiewiórka, ty przygłupie! – krzyknął ktoś inny.

– A nie wydra czasem?

Nie – uzmysłowił sobie Gifford. – To moja żona.

– Moim zdaniem to kolacja – usłyszał nad uchem. – A ten tutaj to pewnie szpieg. Słyszeliście, jak podstępnie wypytywał o warzywa?

– To przecież fretka! – przekrzyczył zgiełk G, rzucając się w stronę Jane,

ale była zbyt daleko. W karczmie zawrzało. Wszyscy dobyli broni i ruszyli ku drzwiom.

Gifford odskoczył na bok, ale mężczyzna, który wspominał coś o kolacji, wyciągnął rękę i trafił go w gardło. G zwałił się na ziemię i zaczął krztusić.

Ponad tupot buciorów i krzyki „łapać szczura!” wybił się dźwięk najbardziej przerażający ze wszystkich: głośny, piskliwy krzyk.

Ktoś nadepnął na Jane.

G podniósł się z ziemi i przepchnął się łokciami przez tłuszcę, aż dopadł do żony. Wyglądała nieźle, czyli nic sobie nie złamała. Prawdopodobnie nie. Gifford wziął ją w ręce.

Wtem posłyszał znajome, zajadłe szczekanie. Pet.

Wcisnął fretkę za koszulę i rzucił się do ucieczki. Ale na drodze stał jakiś tuzin zbirów z Watahy. Zgarbił się i ruszył na nich bykiem, przebijając się jak pocisk przez ścianę ludzi i – po kilku błyskach ze wszystkich stron – psów i wilków. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że wszedł prosto do meliny Watahy. Jakimś cudem, pomimo frunących w jego stronę ostrzy, dopadł drzwi.

Na zewnątrz niemal wpadł na Pet. Suczka, szczekając i warcząc, zaczęła kąsać każdego, kto wybiegł z budynku za nim (jak ja kocham tego psa – pomyślał G). Trzymała się na tyłach, by ugrać dla niego nieco czasu. Ścigało go warczenie, szczekanie i skowyt, ale już po kilku minutach szalonego pędu znalazł się sam w lesie, czując tylko drżenie Jane przy piersi. Biegł jeszcze długo, zanim wreszcie pokonał go ból w ramionach i nogach. Musiał odnieść jakieś rany w czasie potyczki.

Odgłosy walki niknęły za jego plecami, przytłumione skrzypieniem i szumieniem drzew na wietrze.

Gifford opadł na kolana, by złapać oddech. Rozluźnił uchwyt.

– No to plan spalił na panewce. Ale przynajmniej nikt nie powie, że nasze małżeństwo jest nudne, prawda, moja droga? Ale zaraz, zdawało mi się, że ustaliliśmy, że zostaniesz na zewnątrz?

Nie odpowiedziała.

Naraz zdał sobie sprawę, że przód jego koszuli przesiąknięty jest krwią, a Jane jest zaskakująco cicho.

A przecież Jane nigdy nie była cicho.

I dotarło do niego: musi być ranna.

Pospiesznie zrzucił płaszcz, rozłożył go na ziemi i ułożył na nim Jane. Było zbyt ciemno, by dało się dostrzec coś poza zarysem jej ciała. Słyszał jej oddech: przyspieszony i płytki. Przesunął palcem po jej boku i wymacał

długie, głębokie cięcie. Oderwał kawałek koszuli i owinał ranę, żywiąc nadzieję, że uda mu się zatamować upływ krwi.

– Jane? – odezwał się z drżeniem. – Powiedz mi, że nic ci nie jest.

Oczywiście Jane nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na niego, wiotka i drobna w połach płaszcza. Wydała z siebie cichy jęk.

Zaszeleściły krzaki i G natychmiast się odwrócił. Na szczęście to była Pet.

Noc rozdarł błysk światła i zaraz stanęła przed nim pod postacią nagiej dziewczyny.

– Tamte psy nie będą nas gonić.

Znów się przemieniła, podeszła, obwąchała Jane i zaskomlała. Gifford zamknął oczy i pokiwał głową.

– Jane, ty uparciuchu. – Ostrożnie podniósł ją z ziemi i przytulił do piersi. – Zabiorę cię do Helmsley. Nie zostawiaj mnie, kochanie. Nie zostawiaj mnie samego. Idziemy, Pet!

Pies ruszył w drogę, a G za nim, biegnąc tak szybko, jak jeszcze nigdy. I choć opadał z sił, pędził bez wytchnienia, bo Jane liczyła na niego i za wszelką cenę musiał ocalić jej życie.

EDWARD

Co to za pies ujada po nocy? Głupi kundel.

Edward leżał z otwartymi oczami od kilku godzin, bezskutecznie próbując zasnąć, ale łóżko było niewygodne, a jego głowa pełna kobiet: Marii, która usadowiła swoje odziane w aksamit cztery litery na jego tronie – co go denerwowało. Jane uwięzionej w ciemnej i zimnej celi Bóg wie gdzie, zapłakanej i przekonanej, że Edward nie żyje, co... No cóż, Edward wcale przyjemną znalazł myśl, że Jane po nim płacze, choć nigdy nie przyznałby się do tego na głos. To wydawało się takie oczywiste, że jest po nim w żałobie; była w końcu jego najbliższą przyjaciółką. Ale gdy znów wyobraził sobie tę ciemną i zimną celę, w której zamknięta była bezradna dziewczyna, zaczął się martwić. Po głowie krążyła mu także Bess ze swoimi misternymi planami sprowadzającymi się do tego, że Edward miał prosić o pomoc samego króla Francji – którego szczerze nie znosił – przez co czuł się jak żebrak błagający o jałmużnę, a królowie przecież nie błagali. No i babcia oraz jej ohydne mikstury, napary, wyciągi i syropy, o ciętym języku nie wspominając. Babcia doprowadzała go do szału, traktując go jak chłopca, który bawi się w króla.

I była jeszcze Grace. Grace, Grace, Grace.

Moment, w którym ze skrępowaniem wyznała, że spodobał jej się jego uśmiech.

Zaskakująca szorstkość jej dłoni, gdy wręczała mu drewnianego lisa.

Spodnie, które nosiła, bo się uparła i już.

Jej palec na jego ustach tamtego dnia w stodole, pełgające w oczach niebezpieczeństwo i śmiałość.

Jej nieposkromione włosy.

Jej śmiech.

Choć zawsze, gdy się śmiała, zdawała się śmiać z niego. Drwić. Docinać mu. Pokonywać w walce. Okazywać nieposłuszeństwo, gdy wydawał najprostsze polecenia, takie jak: „Mów mi Edward”. Czy to takie trudne, nazywać go po imieniu?

Ogarnęła go irytacja.

Pies wciąż szczekał, a dźwięk niósł się kamiennymi korytarzami starej twierdzy, brzmiał głośno i nie ustępował ani na chwilę. Edward obrócił się na

bok i szarpnął skołtunioną pościel. Materac był guzowaty, wypchany wełną i słomą. W pałacu spał w puchowych pierzynach i najmiększych futrach. Nigdy nie musiał prać własnej koszuli. Ani zaglądać do własnego nocnika. Ani jeść potrawki z królika trzy noce z rzędu.

Nie zapominajmy też o kobietach. Raptem znalazł się we władzy kobiet, i to nie skromnych, milczących młodych dam, które nadskakiwały mu na dworze. O nie, bynajmniej. Oczywiście musiał trafić na te uparte, które pomiały nim z uśmiechem na ustach.

Wkurzające, niecałowalne kobiety.

A ten przeklęty pies chyba zaraz płuca wypluje!

Nawet tutejsze psy nie mają za grosz manier – pomyślał, nakładając poduszkę na głowę i przyciskając do uszu. Pałacowe psy nie szczekały po nocach. Nie pozwalano na to. Pet z całą pewnością nie ujadła jak wściekła, chyba że działo się coś złego. Coś pilnego. Pet nigdy...

Edward usiadł na łóżku.

Oczywiście szczekanie ustało w tym właśnie momencie. Zapadła cisza, tak ogłuszająca, że wsłuchując się w nią, bał się, że pękną mu bębunki. A potem doszło go walenie do drzwi i przytłumione głosy na korytarzu. Nagłące, podenerwowane głosy.

Wyszedł z łóżka, włożył spodnie i buty. Gdzieś na dole trzaskano drzwiami i szurano po podłodze ciężkimi meblami. Może byli oblężeni? W końcu nie było to niemożliwe. Jeśli Maria dowiedziała się, że jednak Edward żyje, na pewno wysłała po niego żołnierzy.

Poszukał wzrokiem miecza, ale znalazł tylko nóż do masła i pół ułamanej miotły. Będzie musiało wystarczyć. Nóż wsunął do buta, palce zacisnął na trzonku, otworzył drzwi sypialni i wyszedł na korytarz.

Gdzie wpadł na ścianę babcinego zapachu, tak silnego, że nieomal powaliła go na kolana. Kolejny zły omen.

Edward zszedł cichutko po schodach. Serce łomotało mu w piersi, włosy stawały dęba. W zamku mieszkało siedem osób: on, Grace, Bess, babcia, kucharz, stara gospodyni i sędziwy zbrojmistrz, który ledwie mógł unieść miecz. W starciu z żołnierzami nie mieliby najmniejszych szans. Rano dostarczono by Marii jego głowę w koszu piknikowym.

Główny hol był opustoszały, ciemności nie rozpraszał nawet blask pochodni, ale Edward wciąż słyszał głosy. Podążył za nimi do kuchni. Rozległo się łomotanie. I wrzask. Ostrożnie otworzył drzwi.

Przez szczelinę dojrzał babcię, która z niespotykaną zwinnością uwijała się

w kuchni, zapalając świece, a za nią Bess o ściągniętej troską twarzą.

– Potrzebny mi krwawnik – oznajmiła staruszka. – Fioletowy kwiat w kształcie gwiazdki. Powinien wisieć z krokwi w spiżarni. I przynieś też trochę skrzypu, jak znajdziesz. No, dalejże!

Bess wypadła z kuchni tylnymi drzwiami, prowadzącymi na zrujnowany dziedziniec. Wtedy babcia oparła pokreśloną sinymi żyłkami nogę na stołku, zakasała spódnicę i nożem kuchennym odcięła kawał materiału. Edward musiał wydać jakiś dźwięk, bo w tym właśnie momencie spojrzała prosto na niego.

– Chodź no tu, chłopcze, przydasz się.

Edward usłuchał. W kuchni nikogo nie było. Długi stół w środku pomieszczenia uprzątnięto, na blacie leżał płaszcz, a w nim coś ciemnego i futerkowego. Jakieś zwierzę.

– Gotujesz coś? – zapytał jak głupi. – Czy ktoś mi powie, co tu się wyprawia?

Babcia rzuciła mu to, co zostało z jej spódnicy.

– Masz. Podrzyj na paski.

Zanim zdolał wyrazić oburzenie, wyrznięty o ścianę drzwi od dziedzińca i do środka weszła Grace z jakimś obcym mężczyzną. Dźwigali pospołu wielkie wiadro wody. Poszli prosto do ognia i włali ją do kotła zawieszono nad płomieniem.

– Dobra – zwróciła się babcia do Grace. – Teraz idź do spiżarni, do Elżbiety, i pomóż jej znaleźć to, czego potrzebuję. Wiesz chyba co nieco o ziołach, nie?

Dziewczyna skinęła głową i już jej nie było.

– Ty – obrała za cel owego jegomościa, który pomógł wnieść wiadro. – Siadaj, zanim się przewrócisz. Nie chcę jeszcze ciebie dzisiaj szyć, jak rozwalisz sobie głowę.

Młodzieniec przełknął ślinę, jakby mówienie sprawiało mu ból. Był mokry od potu, sakramencko brudny i słaniał się na nogach ze zmęczenia. Przysunął krzesło do stołu i opadł na nie, wlepiwszy wzrok w drobną istotkę na blacie. To była wydra – ocenił Edward. Futro miała podobne do tego szala, który Maria nosiła zimą. Piękne i miękkie futro. Ale skąd to całe zamieszanie? Z powodu wydry?

Mężczyzna wyciągnął rękę, by pogłaskać małą główkę gryzonia. Zrobił to tak delikatnie, że dech ugrzął Edwardowi w gardle. Ale zwierzę ani drgnęło.

Mężczyzna poruszył ustami, a Edward wyczytał z ruchu warg: trzymaj się.

– Edward. W paski – syknęła babcia.

Mężczyzna podniósł wzrok i skrzyżował z nim spojrzenie.

To był Gifford Dudley.

Mąż Jane. Tutaj. Z takim wyrazem twarzy, jakby właśnie runął cały jego świat. Jakby ta wydra na stole była dla niego najważniejsza na świecie. Jakby umierał wraz z nią.

Zaczerpnięte powietrze opuściło wreszcie jego płuca.

– Czy to jest Jane? – wydyszał. – Jane! Czy to Jane?

Babcia ucapiała go za kołnierz i odciągnęła od stołu.

– Tak, to ona. Jest ranna, a ja naprawdę potrzebuję tych bandaży, chłopcze.

Edward w te pędy zaczął drzeć materiał, cały czas wpatrzony w Gifforda, który nie odejmował wzroku od stołu. Jego twarz wyrażała tak wielką żalność, że teraz już rozumiał, dlaczego nie rozpoznał go od razu.

Co się im stało?

Zagotowała się woda w kotle. Edward podarł cały kawał spódnicy, Bess i Grace wróciły z ziołami. Babcia postawiła na stole świecznik i odwinęła zakrwawiony materiał, odsłaniając biegnącą ukośnie przez bok Jane ranę. Serce podeszło Edwardowi do gardła, a babcia pochyliła się nad małą pacjentką.

– Doznała obrażeń w tej formie, nie w ludzkiej, tak? – skrzeknęła do Gifforda, a on kiwnął na tak.

– Próbowaliśmy... Nie wiem tak naprawdę, co się stało... – Jego głos rozpląnął się w powietrzu.

Bess podała babci miskę z rozrobionymi ziołami i większą, z gorącą wodą. Staruszka zaczęła przemywać ranę. Woda w kilka chwil zrobiła się różowa.

Edwardowi kręciło się w głowie. Dopadły go mdłości i obawiał się, że zaraz zwróci potrawkę z królika.

– Edwardzie – odezwała się do niego przyciszonym głosem babcia z oczami wciąż skupionymi na kuzynce. – Proszę cię, ty też lepiej usiądź.

Zrobił, jak kazała, i wykonał kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić.

– Jane jest Eđianką – szepnął, obserwując opatrującą ranę, powykręcane artretyzmem dłońie.

– Na to wygląda – potwierdziła babcia.

– Od dziecka o niczym innym nie marzyła. Ale... czym właściwie jest?

– Fretką – odarł beznamietnym tonem Gifford. – Jest fretką.

– Lepiej by było, gdyby zmieniła się w dziewczynę – rzekła babcia. – Jeśli odniesiesz rany jako człowiek, rana jest mniejsza w Eđiańskiej formie – nie

znika, ale jest o wiele mniejsza. Jeśli natomiast doznasz obrażeń jako zwierzę... – Zaciśnięła usta, aż zbieleły. – Byłoby lepiej, gdyby była człowiekiem. Mogłabym lepiej opatrzyć ranę, to futro tylko przeszkadza.

– Czy możemy jakoś skłonić ją do przemiany? – spytał Edward łamiącym się głosem.

Starowinka pokręciła głową.

– Ciało pozostanie w formie, w której czuje się najbezpieczniej, czyli zwykle w formie zwierzęcej. Przewycięzenie strachu musi wynikać ze świadomej decyzji, podobnie jak przemiana. Pozostaje nam czekać, aż się obudzi. – Delikatnie owinęła fretkę płaszczem, jakby układała do snu niemowlę. – Musimy czekać – dodała.

Ale co, jeśli się nie obudzi? – chciał zapytać Edward, ale zmilczał. Czuł, że nie wolno mu tego powiedzieć.

Babcia położyła jedną dłoń na ramieniu Edwarda, drugą na ramieniu Gifforda.

– Jest późno. Ale chyba nie uda mi się was przekonać, byście się nieco przespali, co?

Obaj pokręcili głowami.

Westchnęła.

– Dobrze. Doglądajcie jej więc. Obudźcie mnie, jakby co.

*

Jane przemieniła się nad ranem, gdy było jeszcze ciemno. Edward nie uwierzyłby, gdyby nie zobaczył tego na własne oczy. W jednej chwili na stole leżała fretka, a sekundę później jego kuzynka, zwinięta w kłębek pod płaszczem. Zerwał się na równe nogi i rzucił do drzwi, chcąc sprowadzić babcię, ale nie zrobił dwóch kroków, gdy wyjęczała imię.

– G...

Gifford. Jej mąż – przypomniał sobie, czując ukłucie w sercu. Gifford był jej mężem, ponieważ Edward poprosił ją, aby wyszła za młodego lorda, choć przecież błagała go, by jej do tego nie zmuszał. Posłuchała Edwarda. I to przez niego leżała tu teraz w bandażach.

To wszystko jego wina. Co z niego za przyjaciel?

Podążył wzrokiem do Gifforda, który ujął dłoń Jane, uniósł ją i przycisnął do policzka, a potem złożył na niej pocałunek.

– Jane – wyszeptał. – Obudź się.

Poruszyła oczami, zamrugowała i uniosła powieki.

– G – powtórzyła, a kącik jej ust uniosł się w słabym uśmiechu. – Bałam się, że już cię nigdy nie zobaczę...

– Musisz się bardziej postarać, jeśli chcesz się mnie pozbyć – odparł Gifford.

Edwarda raptem naszło uczucie, jakby naruszał ich prywatność. Cofnął się do wyjścia, ale jego stopa zaszurała o podłogę.

Jane spojrzała ponad ramieniem Gifforda i dopiero teraz go zauważyła.

– Edward – powiedziała z ulgą. – EDWARD!

Zachłysnęła się szlochem i wyciągnęła ku niemu dłoń. Podszedł do niej. Gifford wyprostował się i usunął z drogi, żeby młody król mógł usiąść przy przyjaciółce i ująć jej rękę.

– Ty żyjesz – wymówiła niemrawo. – Prosiłam, żeby pozwolili mi zobaczyć twoje ciało, ale się nie zgodzili, i pomyślałam, że może to wszystko bujda i że wcale nie odszedłeś, że mnie okłamali, że po prostu jesteś gdzieś indziej, a to oznaczało, że wcale nie jestem królową i że nie powinno mnie tam być, ale myślałam, że tylko sama się oszukuję...

Urwała, jakby wycieńczona mówieniem, i jęknęła. Wtedy zauważył, że na płaszczu rośnie plama krwi. Odwrócił się do Gifforda, aby kazać mu zawołać babcię, ale on już wypadł z pomieszczenia. Po chwili do kuchni wparowała starowinka, zakasując rękawy.

– Babciu – powiedziała słabo Jane, – więc w końcu cię znaleźliśmy. Udało się.

– Cicho, cicho, ptaszyno – odparła staruszka. – Odpoczywaj.

Jane westchnęła i zamknęła oczy. Babcia odgarnęła jej włosy z czoła i zaczęła unosić płaszcz. Zamarła i spiorunowała Edwarda spojrzeniem.

– A ty co tu jeszcze robisz? Poszedł stąd! I ty także, koniku.

Edward obejrzał się przez ramię na stojącego w drzwiach zatroskanego Gifforda. Wyszli razem na zewnątrz. Pierwsze promienie słońca muskały już dachy twierdzy.

– Muszę iść – oznajmił Gifford. – Czy mogę liczyć, że...?

– Zostanę z nią – zadeklarował Edward.

Gifford kiwnął głową.

– Dziękuję.

A potem zostawił Edwarda i poszedł przed siebie, rozdiewając się z ubrań i rzucając je na trawę. Po kilku minutach błysnęło światło i miał iść, galopował.

Edward usiadł na ziemi i oparł się o ścianę, podciągając kolana pod brodę. Drżał z zimna, był zmęczony, ale nic go to teraz nie obchodziło. Wróci do Jane, gdy tylko babcia zrobi swoje.

– Sire – usłyszał za sobą cichy głos.

Grace podała mu kubek. Przyjął go. Był przyjemnie ciepły, znad powierzchni płynu unosiła się para.

– Błagam, powiedz, że to nie jest jedna z tych ohydnych mikstur babci.

– Nie dowiesz się, póki nie spróbujesz.

Upił łyk.

Herbata. Bez mleka i cukru, ale wciąż herbata.

– Dzięki – powiedział. – Jesteś idealna... znaczy herbata jest idealna. Dzięki. I w ogóle.

– Z tego, co słyszałam, to właśnie piją Anglicy w niespokojnych czasach. – Uniosła ręce nad głowę i przeciągnęła się, aż chrupnęło, a potem ziewnęła i przywołała na twarz uśmiech. – My, Szkoci, wolimy whisky.

Był zbyt zmęczony, by porządnie odwzajemnić uśmiech. Wypił niespiesznie herbatę, rozkoszując się gorącem, które rozlało mu się w żołądku. Poczuł, że jego ramiona się rozluźniają.

– Ty naprawdę ją kochasz, co? – spytała go, zabierając pusty kubek. – Jane.

– Jasne, że ją kocham. Znamy się całe życie.

Chciał powiedzieć więcej. O tym, że Jane jest dla niego jak rodzona siostra, że łączy ich nie tylko pokrewieństwo, ale i wzajemne zrozumienie. Jednak nie zdążył, rozległo się bowiem szalone, wesołe szczekanie i rzuciła się na niego Pet.

Merdała ogonem z siłą wiatraka, skakała i tuliła się do niego, popiskując radośnie. Roześmiany Edward głaskał ją i drapał za uchem, choć nie mogła usiedzieć w miejscu. Dopiero gdy zaczęła lizać go po twarzy, przypomniał sobie, że gdzieś w tym psim ciele siedzi dziewczyna. Otrząsnął się i wstał.

– Ktoś tu się cieszy na twój widok – powiedziała Grace.

– No... no, tak – przyznał. – Siad, Pet. Siad!

Błysk. I naga dziewczyna.

– Wasza Wysokość! – zawołała żarliwie. – Tak się cieszę, że cię widzę. Szłam całą drogę za zapachem i raz myślałam, że zgubiłam trop, ale odnalazłam go znowu. Przyszłabym szybciej, ale kazałeś mi pilnować Jane, więc zostałam z nimi.

Zduślił odruch, po poklepać ją po czole i powiedzieć: dobry pies.

– Bardzo dobrze, Pet – rzekł po prostu. – Dobrze zrobiłaś.

Chyba nigdy się nie przyzwyczai do nagiej Pet w wersji ludzkiej. Co prawda jej długie i gęste włosy zakrywały wszystkie miejsca wymagające zakrycia, ale i tak za każdym razem doznawał szoku, widząc ją w ludzkiej postaci.

I nie on jeden. Grace stała dwa kroki dalej z rozdziawionymi ustami. Nigdy nie widział jej tak osłupiałej. Zaśmiałyby się, gdyby cała sytuacja nie była taka niezręczna.

– No więc, Pet – zwrócił się do dziewczyny, odkaszlnąwszy. – Poznaj Grace MacTavish. Grace, oto Petunia Bannister, mój... ten, no... – Słowo „ochroniarz” jakoś nie leżało mu na języku. Z kolei określenie „obrońca” sugerowało, że bardzo potrzebuje obrony, a to przecież niezbyt męskie. „Towarzyszkę” natomiast mogłaby źle zrozumieć. – Koleżanka? – zdecydował się niepewnie.

Pet przekrzywiła głowę i obrzuciła Grace spojrzeniem. A potem zaciągnęła się powietrzem.

– Lisica – wydedukowała, marszcząc nos z obrzydzenia. – Więc to ciebie zwęszyłam.

– Miło poznać – wyrzekła Grace z widoczną rezerwą.

Pet przemieniła się w psa i usiadła u stóp Edwarda, rzucając Szkotce drapieżne spojrzenie. W jej gardle wzbudził się cichy warkot.

– Wybacz – powiedział Edward, przerażony na tysiąc różnych sposobów. – Nigdy nie przepadała za obcymi. – Schylił się, by upomnieć „koleżankę”. – Pet, Grace ocaliła mi życie. To moja przyjaciółka.

Pet złożyła głowę na łapach i westchnęła niewesoło.

Edward znów spojrział na Grace. Świdrowała go wzrokiem.

– No co? – zdziwił się. – Wiem, że to trochę nietypowe, ale jej rodzina podobno służy rodzinie królewskiej od pokoleń, a ja dopiero kilka tygodni temu dowiedziałem się, że jest Eđianką. Słowo honoru.

– Tym właśnie jestem? Przyjaciółką? – spytała.

– Oczywiście – zapewnił ją.

– Bo ocaliłam ci życie?

– Tak. Znaczy, nie. To znaczy... – Nie wiedział, jaką odpowiedź chciała usłyszeć. Zrobił pauzę, by zebrać myśli. – A ty uważasz mnie za przyjaciela?

Grace potrząsnęła głową.

– Nie wiem, za kogo cię uważam, sire.

Zagryzł zęby.

– Edward jestem – poprawił.

Pet warknęła znowu. Popatrzył na nią krzywo i umilkła.

– Czy jest jeszcze coś, czego o tobie nie wiem? – spytała Grace. – Skrywasz jeszcze jakieś niespodzianki?

Nie wiedziała o nim wielu rzeczy, ale chciał, by się dowiedziała.

– Nie – odpowiedział mimo to. – To chyba wszystko.

– Dobrze więc. – Skłoniła się nieznacznie. – Wasza Wysokość, Pet, muszę już iść. Twoja babcia prosiła mnie, bym skombinowała jej kilka rzeczy, a przecież nie odmówię staruszce.

– Skombinowała? Bo ja słyszałem „ukradła”.

Dołączki.

– Kto mniej wie, ten lepiej śpi, sire. Nie martw się o swoją Jane. Już ja o nią zadbam.

„Twoją Jane”. Usiadł pod ścianą. Jakby jakimś sposobem Jane należała do mnie. I czy on dosłyszał urazę w jej głosie? Jakby była zazdrosna? Jakby to ona chciała być „jego Grace”?

Mógł tylko żywić nadzieję.

*

– Będzie żyć – orzekła babcia jakiś czas później. Poruszył się na miejscu, gdzie wcale nie spał, tylko dawał odpocząć oczom. – Chce cię zobaczyć. Położyłam ją u ciebie w pokoju. Myślę, że niebawem wyzdrowieje, potrzebuje tylko wypoczynku.

– Zostań – polecił Pet, a sam wbiegł po schodach.

Jane siedziała na łóżku, opierając się o górę poduszek. Wyglądała na zmęczoną, jakby brała ją choroba. Uwadze Edwarda nie uszedł lawendowy cień pod oczami i kredowa bladość jej skóry. Ale przywitała go dzielnym uśmiechem.

– Żyjesz – stwierdziła, jakby nie mogła się tym odkryciem nacieszyć.

– Ty też – odparł, siadając obok, tak by jej nie poruszyć. – Ależ mamy szczęście, co?

– Jestem fretką – wyznała z szelmowskim uśmiechem. Tak jakby dopuściła się czegoś niecnego, lecz wcale tego nie żałowała.

– Zauważyłem. A ja pustułką. Miło poznać.

– Jesteś ptakiem? Och, Edwardzie!

– Tak. I byłaby to wspaniała rzecz, gdyby nie fakt, że kiedy latam, dostaję kręćka. Ale pracuję nad tym. Jak już się nauczę kontrolować tę euforię,

umiejętność zmiany kształtu okaże się pewnie całkiem użyteczna. Będę mógł wylatywać naprzód na zwiad. Szpiegować ludzi. Nie mogę się doczekać szpiegowania. Pomyśl tylko, ile brudów wywlokę na światło dzienne.

Skubała palcami krawędź drapiącej lnianej koszuli.

– To wspaniale.

– Czyli jesteśmy Eđianami – powiedział z namaszczeniem. – Wreszcie!

Uśmiechnęła się, ale jakoś tak bez przekonania. Wciąż ją boli – domyślił się Edward. Ujął jej rękę.

– Jane, kochana, wszystko będzie z tobą dobrze. Tak mówi babcia, a z babcią nie ma dyskusji.

– Nic mi nie jest – odrzekła. – No, powiedzmy raczej, że czuję się już lepiej. Obiecuję ci, że wyzdrowieję.

Wyjrzał przez okno, gdzie słońce przesuwano się wolno w stronę horyzontu.

– Już niebawem zmierzch. Twój mąż zaraz wróci. Jemu też to obiecuj.

– A co z nim? – spytała niewyraźnie. – Czy jest na mnie bardzo zły?

– A dlaczego miałby się na ciebie złościć?

– Kazał mi zostać na zewnątrz, a ja poszłam za nim do karczmy.

Typowa Jane – rzuciło się na myśl Edwardowi.

– Nie, nie jest zły – odparł. – Czy śmierdzi mu z ust sianem? Zawsze mnie to zastanawiało.

Jane trzepnęła go w ramię, a potem syknęła z bólu.

– Gdy zostałam królową, pokłóciliśmy się. Dudley chciał posadzić go na tronie, zrównać go ze mną w sprawowaniu władzy, ale się nie zgodziłam.

– Mądra dziewczyna – pochwalił ją. – Sądzę, że twój mąż nie chowa urazy.

Było jasne jak słońce, że Gifford darzył Jane uczuciem. Cierpiał katusze, gdy ważyły się jej losy. Minionej nocy jego miłość rozświetlała całe pomieszczenie. Widział to każdy, kto na niego popatrzył, gdy krążył nerwowo po pokoju, czekając niecierpliwie, aż Jane zmieni się w człowieka, i myśląc o tym, że może nie przeżyć. Edward nie mógł wyrzucić z pamięci tego, jak trzymał jej dłoń przy policzku i jak ją pocałował. On sam nigdy nie żywił do nikogo tak głębokiego uczucia. A przynajmniej nie było to uczucie romantyczne.

Gifford kochał Jane. A sądząc po wyrazie jej twarzy, kiedy mówiła o mężu, ona kochała jego. Kochali się, nawet jeśli jeszcze sobie tego nie wyznali.

Edward się uśmiechnął.

Może ta historia jeszcze skończy się szczęśliwie.

JANE

– Aby przemienić się w zwierzę – tłumaczyła babcia – należy znać pragnienie swego serca.

Pragnienie serca – pomyślała Jane. – Jasne.

Było późne popołudnie. Stali z Edwardem i Giffordem nieopodal polnej drogi, która biegła przez ruiny zamku. Babcia stała naprzeciwko, a Grace krążyła wokół grupy ze srogim wyrazem twarzy i skrzyżowanymi na piersi ramionami. Masyw twierdzy wznosił się ciemnym gmachem w północno-wschodnie niebo, osłaniając ich przed pełnym słońcem i rzucając ciężki cień na hałdy gruzu przetykane kępami wysokiej trawy. Babcia stała przed nimi, a Grace kręciła się nieopodal z marszem na twarzy i rękami skrzyżowanymi na piersi.

Jane dokuczał ból głowy.

– Musicie być szczerzy wobec samych siebie – ciągnęła babcia. – Jeśli w chwili przemiany nie wiecie, dlaczego chcecie zmienić się w ptaka, fretkę, czy konia... – Gifford parsknął. Bo już był koniem. – Lub człowieka, zostaniecie w pierwotnym kształcie.

– A kiedy będzie o klątwach? – zacięła się Jane.

– Jakich znowu klątwach? – Powietrze przesycił przykry zapach, wdarł się jej do gardła i zmusił do kaszlu. Babcia nigdy nie była zbyt cierpliwa, a im bardziej się niecierpliwiła, tym gorzej pachniała.

– Jak może się przemienić ktoś, kto jest przeklęty?

– Ale dlaczego przeklęty? – Odór jeszcze zyskał na sile.

– Gifford spędza dni pod postacią konia, a noce jako człowiek. To jeden z powodów, dla których nie spotkałam go do samego ślubu. Zmienia się sam z siebie każdego dnia. – Jane winiła go za własne troski. Uważała, że po prostu brak mu dyscypliny. Teraz, gdy ona sama również była przeklęta, rozumiała go nieco lepiej. – Ja natomiast spędzam noce pod postacią fretki.

A przynajmniej każdą noc od ucieczki z Tower. Zachód słońca, błysk – fretka. Czy chciała, czy nie chciała. Był to poważny problem. Uznała, że pierwszym krokiem do wyleczenia jest przyznanie się do tego, że jest się chorym.

– Po to tu jesteśmy. – Babcia wydała z siebie przeciągłe, pełne irytacji

westchnienie, a jej przykra woń stała się wyraźniejsza. – Musicie się nauczyć samokontroli.

– Czy samym sednem klątwy nie jest właśnie to, że nie daje się kontrolować? – Jane wykonała gest w stronę Gifforda, który pochylił głowę i skubnął trawy. – Najpierw musimy chyba złamać klątwę, a potem nauczyć się przemiany.

– Ma to sens – wtrącił się Edward.

– Moim zdaniem nie ma. – Grace obrzuciła Jane nieprzyjemnym spojrzeniem. – Nie jesteście przekłęci. Tylko uparci.

– Grace dobrze mówi. – Babcia westchnęła z irytacją. – Nie jesteście przekłęci. Te przemiany z czegoś wynikają, sęk w tym, że powinny podlegać waszej woli.

– Transformacje podług pozycji słońca: dla mnie to brzmi jak klątwa i już.

– Dla mnie też. – Edward się skrzywił. – Myślę, że to całkiem możliwe, że Gifford został przekłuty, a potem klątwa przeszła na Jane, bo zostali zaślubieni. Co z kolei oznacza, że to po części moja wina, za co uniżenie przepraszam.

Jane pocieszyła go dotknięciem.

– To nie twoja wina.

Gifford wydał z siebie kolejne głośne parsknięcie, a za jego zadem spadło na trawę coś dużego i maziowatego. Pod postacią konia zawsze zapominał o manierach.

Jane wygładziła pożyczoną sukienkę na brzuchu i udach. Krój i barwy wyszły z mody kilkadziesiąt lat temu, ona jednak nigdy nie kłopotowała się takimi rzeczami. Była po prostu wdzięczna, że może nosić coś szlachetniejszego od męskich portek.

Z kolei sposób, w jaki Grace nosiła spodnie, czynił je czymś bardzo eleganckim i bardzo kobiecym. Edwardowi ten strój z pewnością się podobał, zwłaszcza gdy jego przyjaciółka się przeciągała, o czym świadczyły jego idiotycznie rozwarte usta.

Jane zdała sobie sprawę, że jest jej za niego wstyd.

– Musi być jakiś powód, dla którego zmieniacie się w zależności od pozycji słońca – uznała Grace.

– Nie ma co do tego wątpliwości – ujęła się za Szkotką babcia. – Jak już mówiłam, wszystko zależy od pragnienia serca. – Gdy naprawdę zapragną kontrolować swoje przemiany, to zaczną je kontrolować.

Jane czuła się oceniana i nie podobało jej się to ani trochę.

– Jak możesz tak mówić! Nikt nie chce kontrolować przemian bardziej ode mnie!

Babcia cmoknęła z niezadowoleniem.

– Powiedz mi, kiedy pierwszy raz się przemieniłaś.

– W momencie wielkiej emocjonalnej potrzeby. – Jane założyła ręce. – Tak jak w książkach. Chciałam uniknąć szafotu. I chciałam ocalić Gifforda od stosu. No to zmieniałam się w fretkę i go uratowałam.

– To bardzo szlachetna pierwsza przemiana. – Edward posłał jej uśmiech aprobaty. – Ja zmieniłem się wtedy, gdy chciałem uniknąć śmierci we własnym łóżu. Musiałem ratować się ucieczką i to właśnie zrobiłem.

Babcia przeniosła wzrok na Gifforda, jakby spodziewała się, że opowie o swojej pierwszej przemianie, ale potem westchnęła i zwróciła twarz w stronę zamku, jakby rozważała powrót do domu.

– A twoja pierwsza przemiana? – spytała ją Jane.

– Jedna z moich służących zapomniała przynieść mi kosz z owocami. Zmieniłam się w skunksa i ją opryskałam.

Jane się roześmiała.

– Coś mi się wierzyć nie chce!

– Zarzucasz mi kłamstwo? – Krzaczasta brew babci powędrowała aż do linii włosów.

– W żadnym razie, chwałę tylko wrodzony talent gawędziarski.

– Dobra, dobra. Ogrodnik ściął mój krzew róży. Wytrącił mnie tym z równowagi.

– Babciu! – roześmiał się Edward. – Powiedz prawdę!

– Ech, prawda to śliska sprawa – odpowiedziała starowinka, ale zaraz westchnęła i dała za wygraną. – Jedna z moich dwórek spędziła noc z moim mężem. – Odczekała trochę, żeby dotarło do Jane, jak ją spędziła. – Gdy się o tym dowiedziałam, na oczach wszystkich zmieniałam się w skunksa i opryskałam każdego, kto znalazł się w moim zasięgu, choć celowałam w mojego zdradzieckiego mężusia i tę jego lampucere. Ale ponieważ skunksy mają słaby wzrok, musiałam zgadywać, w kogo celuję. No i kilka razy odgadłam źle.

Jane stłumiła śmiech. Opowieść była prześmieszna, ale w tamtych czasach Eđianów palono na stosach.

I był to zwyczaj, do którego Maria chciała powrócić. Ta myśl podziałała na nią jak kubek zimnej wody.

– Jeśli chcecie wiedzieć, sama też potrzebowałam trochę czasu, by nauczyć

się kontrolować swój dar – przyznała babcia niechętnie. – Nie sędzę, bym znała wówczas prawdziwe pragnienie mojego serca. Raczej kierowałam się instynktem.

Jane utkwiała wzrok w ziemi. Czy była ze sobą szczerą? Czego pragnęła w głębi serca?

– A więc dobrze, jestem gotowy spróbować – oznajmił Edward zdecydowanym tonem.

– Doskonale. – Babcia dwa razy klasnęła w dłonie. – Dość tego bajdurzenia o kłótwach.

– Zamknij oczy – poradziła Grace – to czasem pomaga. Pomyślcie o tym, co lubicie w swojej zwierzęcej formie. I o tym, co chcecie robić pod postacią zwierzęcia.

Jane zawsze była pojętną uczennicą. Natychmiast zamknęła oczy i przypomniała sobie, jak czuła się jako zwierzątko. Otóż podobało jej się, że jest użyteczna. Uwielbiała też swój wyostrzony słuch i węch. I to, że tak łatwo mogła się owinąć Giffordowi wokół szyi. Ależ miała szczęście, że zmieniała się właśnie we fretkę!

– Chcę być fretką – wyszeptała. – Z całego serca chcę być fretką.

– Ciszej, Jane – zganił ją Edward. – Nie ty jedna próbujesz się skupić.

Łypnęła na niego kątem oka. Wciąż był zbyt chudy i zbyt blady po chorobie... To znaczy po truciznie – przypomniała sobie. Ale wyglądał już na zdrowszego. Na silniejszego. Wreszcie wyglądał, jakby żył.

Rozluźnił ramiona. Miał zamknięte oczy i uśmiechał się w taki sposób, jakby wyobrażał sobie coś bardzo pięknego.

– Niebo – wymruczał.

Oślepił ją rozbłysk światła. Zatrzepotały skrzydła, zafurkotały lotki. Gdy uniosła powieki, Edward fruwał nad jej głową.

– Jak on to zrobił? – zdumiała się i wsparła dłonie na biodrach.

Grace przeskoczyła wzrokiem od Jane do Gifforda, który wciąż całą uwagę poświęcał trawie.

– Tak jak mówiłyśmy. Zapragnał zmienić się w pustułkę i zmiana nastąpiła. To było pragnienie jego serca.

A pragnieniem serca Jane było zmienić się we fretkę, a jednak wciąż stała na dwóch nogach, wyprostowana, nieporośnięta futrem i z normalnymi, nie paciorkowatymi oczami.

Dźgnęła Gifforda palcem.

– A ty? Próbowałeś w ogóle?

Uniósł głowę i podstawił jej ulubione miejsce do drapania.

– Nie do wiary! – Cofnęła się o krok i wsparła ramiona na biodrach. – Nie chcesz być człowiekiem za dnia? Jeśli wszystko kręci się wokół pragnień, to czemu nie pragniesz być człowiekiem?

Zignorował ją. Odbiegł kawałek, widocznie zadowolony ze swojej obecnej postaci.

Tymczasem Edward fruwał w najlepsze, uradowany i rozświergolony. Wzleciał ponad drzewa i umknął jej z oczu.

Grace z poważnym wyrazem twarzy wpatrywała się w niebo.

– Lepiej za nim pójdę – powiedziała. – Wygląda na to, że znowu dopadła go ta ptasia radość.

Na oczach Jane, babci i Gifforda – który kierował się właśnie ku wyjątkowo zachęcającej kępie zielska – Grace zatonęła we własnych spodniach i wylazła z nich pod postacią lisa, tak szybko, że Jane nie zdążyła zaprotestować.

– No i co teraz? – zwróciła się Jane do babci.

Edward był ptakiem i najwyraźniej świetnie się bawił. Gifford był koniem i nie miał najmniejszego zamiaru tego zmieniać. Grace i babcia mogły się zmieniać, gdy chciały, i nie rozumiały, czemu Jane tego nie potrafi.

Jane też nie rozumiała.

– Spróbuj jeszcze raz – odparła babcia. – Albo zmienię się w skunksa i cię opryskam.

Jane ponownie zacisnęła powieki i wyobraziła sobie siebie pod postacią fretki. Włożyła w to całe serce.

– Tylko marszczysz nos – zauważyła babcia.

– Sza – odparła Jane, próbując utrzymać skupienie. Znowu wyobraziła sobie, że zmienia się w zwierzę.

– Teraz tylko kucnęłaś.

Westchnęła, sfrustrowana.

– Czy ty miauczysz? – spytała babcia z uniesioną brwią.

Jane zacisnęła palce i tupnęła wściekle, ale szczęściem powstrzymała się od rzucenia kilku przykrych słów, na co miała wielką ochotę.

– Bardzo, ale to bardzo chciałabym teraz być fretką – szepnęła.

Ale za każdym razem gdy sprawdzała, niezmiennie była dziewczyną.

Była nią wciąż następnego dnia rano, gdy się obudziła.

Bo we fretkę zmieniała się samoczynnie dopiero o tej porze, co zwykle – gdy słońce kryło się za horyzontem.

Jeśli to nie klątwa – myślała – to nie wiem co.

Babcia i Grace mogły ignorować dowody, ale Jane wiedziała, że padła ofiarą klątwy.

Leżała skulona na poduszce zaraz obok Gifforda. Pochrapywał, tak cicho że pewnie nie usłyszałyby go jako człowiek, ale dla wyczulonych uszu fretki brzmiało to jak burza z piorunami. Chcąc dać mu znać, żeby przestał, przeciągnęła się i podeszła do niego ostrożnie, starając się nie spaść z uciekającej spod łapek poduszki. Pchnęła go lekko noskiem w powiekę.

Burknął, by sobie poszła.

Pchnęła w to samo miejsce.

– Masz zimny nos – burknął. – Co mnie budzisz w środku nocy?

Ugryzła go w nos.

Gifford usiadł i przetarł twarz dłońmi.

– Milady! Jeśli chciałaś wyrwać mnie ze snu, udało ci się. Ale nie musiałaś odgryzać mi nosa.

Jane wydała z siebie niski, podobny do rechotu dźwięk i zatańczyła na łóżku, skacząc wysoko na sprężystym materacu.

– Cóż za niegodne zachowanie, moja droga. Ale całkiem urocze. – Gifford zaśmiał się, przeprosił ją i wyszedł z pokoju z ubraniem wciśniętym pod pachę. – Wróć, gdy się przemienisz.

Kilka minut później znowu była dziewczyną. Ot tak. Słońce wzeszło, a ona zmieniała się sama z siebie. To wręcz nie do wiary, że po tak długim czasie nie zawładnęła swoim darem.

Ledwie zdążyła zasłonić strategiczne miejsca suknią, gdy rozległo się pukanie i do pokoju wrócił Gifford.

– Pomóc ci z gorsetem?

– Tak, dziękuję. – Odwróciła się, by mógł zawiązać tasiemki na plecach sukni.

Odgarnął kosmyk jej włosów. Jego ręka nie od razu podążyła do wiązania.

– Dla żony wszystko.

Zaczynała lubić to słowo. Żona. Zwłaszcza gdy on je wypowiadał.

– Jakie plany na dzisiaj? – spytał, zaciskając tasiemkę. Jego palce przemknęły między jej łopatkami. Zadrżała. – Oblegamy jakieś zamki czy coś w tym guście?

– Dzisiaj akurat nie, ale jutro wyruszamy w długą podróż do Francji, więc musimy się spakować.

– Nie wiedziałem, że mamy coś do pakowania. – Przełożył tasiemkę przez oko gorsetu i zacisnął, ale łagodnie. Był bardzo delikatny. Doceniała to.

– Bess skombinuje mi jakąś bardziej wyjściową suknię – wyjaśniła. – Taką, w której będę mogła się pokazać na francuskim dworze. Edward mówi, że mam mu towarzyszyć podczas rozmowy z królem.

Gifford odchrząknął.

– Rozumiem. Edward chce, byś mu towarzyszyła. – Szybko zawiązał resztę gorsetu i cofnął się o krok. – Już.

– Pewnie na wypadek, gdyby potrzebował kogoś do poświadczenia swojej historii.

– Tak, oczywiście – wyrzekł sztywno. Nagle jego spojrzenie stało się obojętne. – Już prawie ranek. Powinienem iść.

Ruszyła za nim.

– G, poczekaj...

– Miłego dnia, milady – uciał i wybiegł zdejmując ubranie.

– Miłego dnia... – zawołała za nim bez mocy.

Wtedy zmienił się w konia. Odprowadziła go wzrokiem na skraj ogrodu, gdzie przeskoczył nad skruszonym murkiem.

Westchnęła.

Gifford dziwnie się zachowywał od opuszczenia Londynu. Zwykle traktował ją uprzejmie i z uczuciem. Droczył się z nią, ale nigdy tak, by ją zranić. Łapał ją za rękę. Zwracał się do niej „kochanie” i „moja słodka”. Te drobnostki nie powinny tak silnie na nią działać, a jednak działały. Gdy z nim przebywała, zaczynała szybciej oddychać, serce rwało jej się z piersi i potniały jej ręce. Budziło się w niej pragnienie, by zachować ludzką formę na stałe, żeby mogli być razem.

Ale czasami, zwłaszcza gdy obok kręcili się Edward, Bess i babcia, Gifford krył się za murem ciszy. Zaciskał zęby, jakby się na coś złościł. Zastanawiała się, czy czasem nie obwinia jej za to, co się stało.

Nie mieli dokąd wrócić, nie mieli żadnego bezpiecznego schronienia poza domem babci. Odebrano im tytuły i pozycję. Potracili fortuny.

Nie ponosiła za to winy, ale nie mogła mieć pewności, że mąż nie ma do niej żalu za ten stan rzeczy. Poza tym gdy przebywali w Londynie, była dla niego okropna. Odbyli swoją pierwszą poważną kłótnię. Ciskała w niego poduszkami.

Nic dziwnego, że nie wykazywał inicjatywy podczas ćwiczeń. Pewnie cieszył się, że może choć na chwilę się od niej uwolnić.

Wodziła za nim wzrokiem, gdy biegął po polu, a jego grzywa falowała na wietrze. Wydawał się taki szczęśliwy. Jane przecież wcale nie dała mu powodu, dla którego miałby chcieć być człowiekiem. Tak mało mieli czasu dla siebie, ledwie kilka minut na początku i pod koniec dnia. Będzie musiała rozważniej je wykorzystać.

Dołoży starań, by odzyskać jego zaufanie.

*

Gdy weszła do kuchni, Grace, Bess i Edward dyskutowali na temat najlepszej drogi do Francji.

Bess rozłożyła na stole mapę.

– Jeśli chcemy dotrzeć na miejsce szybko...

– A chcemy – wtrącił Edward.

– To musimy wybrać najkrótszą trasę z najlepszymi drogami – dokończyła Bess.

Jane wspięła się na palce, by rzucić okiem na mapę ponad ramieniem Edwarda.

– Tak zrobimy.

– Rzecz w tym, że to problematyczna trasa – rzekła Grace. – Ludzie Marii będą nas szukać właśnie na drogach, a ta tutaj – przesunęła palcem po nieregularnej kresce na mapie – przebiega rzut beretem od Kudłatego Psa.

– Kudłatego Psa? – powtórzyła Jane.

– Z opisu dostarczonego przez Gifforda wynika – podjął Edward – że to tam zostaliście zaatakowani. To melina Wataha.

– Jakie są inne możliwości? – spytała, drżąc.

– Dłuższe trasy, gorsze drogi. – Edward wskazał kilka na mapie. Nie ulegało wątpliwości, że nie prowadziły do celu w sposób bezpośredni.

– A więc co zrobimy? – dopytywała się Jane.

– Wydaje mi się... – Edward popukał palcami w mapę. – Zależy nam na prędkości. Ale również na bezpieczeństwie. A co myśli reszta?

– Dłuższa trasa – odparła natychmiast Grace. – Nie chcemy mieć do czynienia z Watahą.

– Ja obstaję za krótszą – rzekła Bess. – Mamy królestwo do odbicia. Musimy zdobyć się na ryzyko. I dotrzeć do Francji jak najszybciej.

Wszyscy skupili wzrok na Jane, a ona znalazła otuchę w tym, że nawet jeśli jej głos przeważy szalę, cała odpowiedzialność spadnie na Edwarda, bo w końcu to on był królem.

– Krótsza – orzekła. – Zgadzam się z Bess.

Grace wwierciła się w nią spojrzeniem. Edward zdawał się nieswój. Bess uśmiechnęła się nieznacznie.

– A ponadto – podjęła Jane – uważam, że należy włączyć Watahę do naszej armii.

– Czyś ty z byka spadła? – wykrzyknęła Grace. – Przecież prawie cię zabili!

– Tak, wiem.

– To nie jest jakaś tam banda rzezimieszków, tylko zorganizowana banda. Uważają się za lepszych od zwykłych ludzi. I gwarantuję, że nie czują się poddanymi żadnego króla. Twoimi pięknymi piórkami wypchają poduszkę, sire.

– Rekrutacja Watahy to chyba niezbyt dobry pomysł – przyznał Edward.

– Ale powinniśmy postarać się zjednać sobie każdego, kto nie jest po stronie Marii – argumentowała Jane. – Musimy szukać pomocy, gdzie tylko się da.

– Ale nie u nich. – Grace pokręciła głową. – Edwardzie, wytłumacz jej.

– A co ty o tym myślisz, siostrze? – Król zwrócił się do Bess, która zatopiła się w myślach.

– Dysponuję swoją armią. Francja, jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, udostępni nam przynajmniej część swojej, gdy już porozmawiasz z królem Henrykiem. Ale to wciąż za mało, by odzyskać koronę. – Bess wskazała miejsce na mapie, gdzie znajdował się Kudłaty Pies. – A poza tym doszłam do wniosku, że odzyskanie korony to za mało.

– Co masz na myśli? – Edward wpatrywał się w siostrę z napięciem.

– Ten kraj jest rozdarty na dwie połowy. Eðianie i Nieskalani skaczą sobie do gardeł. Odzyskać tron to jedno, Edwardzie, ale zupełnie inną sprawą jest odzyskanie państwa. Ludzi. Aby to osiągnąć, będziesz musiał przekonać do siebie jednych i drugich. Musisz ich zjednoczyć. I dokonasz tego, rekrutując do armii Watahę.

– Masz rację – przyznał Edward po namyśle.

– Nie masz racji – zapaliła się Grace. Na jej twarzy odmalowała się troska, jednak dobrze ukryta pod maską irytacji. – Jeśli pójdziesz paktować z Watahą, zginiesz. Już miałaś z nimi styczność, Jane, a ja nie chcę usłyszeć za jakiś czas, że Thomas Archer nosi tej zimy czapkę z fretki.

Jane zadrżała na te słowa. Wcale nie chciała być czapką. Odczuła na własnej skórze, co to znaczy zadrzeć z Watahą. Wciąż jeszcze miała założony opatrunek i dopiero wracała do zdrowia. W pamięć wrył jej się też atak na wioskę i tamta biedna krowa.

I właśnie temu należało położyć kres, jeśli Anglia ma kiedyś wrócić do dawnej świetności. Co oznaczało, że racja jest po stronie Bess. I po mojej – dodała w myślach, gratulując sobie świetnego pomysłu.

– Dzięki za troskę – powiedziała – ale pójdziemy i tak.

– Czemu mówisz „my”? – Edward obrzucił Jane pytającym spojrzeniem. – Ty zostajesz tutaj, jeszcze nie wydobrzałaś.

– Kiedy czuję się już zupełnie dobrze. Jestem zdrowa. – No, prawie zdrowa.

– Tak czy inaczej, nigdzie nie idziesz – zawyrokował Edward. – Ci z Watahy są zbyt niebezpieczni.

Grace wyprężyła się jak struna.

– Dokładnie tak, Wasza Wysokość. Nareszcie ktoś pomyślał o tym, na jakie niebezpieczeństwo chcecie się narazić.

– Czemu tak się ich boisz? – spytał Edward Grace. – Pierwszy raz widzę, byś się bała.

– Wcale się nie boję! – najeżyła się Grace. – Ja po prostu... nie chcę się widzieć z Archerem.

– A to czemu? – Bess splotła ramiona.

– Bo to... mój były – wypaliła Grace.

– Były? – Jane nie wiedziała, co to znaczy.

– Niedysiejszy kochanek – szepnęła jej na ucho Bess.

– Aha! – Jane kiwnęła głową, zrozumiawszy. – Darzyliście się kiedyś afektem.

– Co? – Edward pokraśniał i wpił się wzrokiem w Grace. – Byłaś z nim? Z tym Archerem?

– To już moja sprawa, sire. – Grace przecesała dłonią swoje czarne pukle. – Ale to oznacza, że wiem o Watasze o wiele więcej od was, lepiej więc posłuchajcie, co wam powiem: trzymajcie się od nich z dala. Wataha oznacza kłopoty. A już zwłaszcza Archer.

– Zwłaszcza on, mówisz. – Edward skrzywił się i przeskoczył wzrokiem do Jane. – Dobrze. Podjąłem decyzję. Wcielę Watahę do armii. Ale ty zostajesz tutaj. Tak jak Bess i Grace.

– Ani myślę. – Bess uniosła brew.

– Jeśli nie zdołałam cię odwieść od tego bzdurnego pomysłu, to powinnam iść z tobą. – Grace wystąpiła naprzód, biorąc się pod boki. – Archer nie jest rozsądnym człowiekiem. Robienie rzeczy, które nie przyniosą mi bezpośredniej korzyści, nie leży w jego naturze. Ale może uda mi się go nakłonić, by was nie zabijał.

– Nie – zaprotestował Edward. – Zostajesz tu, by... by bronić Jane.

Szkotka strzeliła swymi zielonymi oczami. Jane prawie zaczęła współczuć kuzynowi.

– Och, za to Gifforda z pewnością zabierzesz ze sobą? – Grace prychnęła drwiąco.

– To silny młody mężczyzna, który...

– To koń! – krzyknęły jednocześnie Jane i Grace. Zmitygowały się, popatrzyły po sobie, a Jane nagle zrozumiała, dlaczego są w tej kwestii po tej samej stronie. – Pozwól, że wyjaśnimy ci dokładnie, dlaczego potrzebujesz nas tam ze sobą. – Kiwnęła szybko głową, dając Grace znak, by zaczęła.

– Po pierwsze, znam Watahę. Znam ich sztuczki i kryjówki. Co więcej, gdy zgłodniejecie i zaczniecie szukać robali do zjedzenia, to ja znajdę wam normalne jedzenie. Nie wspominając już o tym, że biegle władam bronią, a królowi potrzebna jest ochrona.

– Chwila, moment...

Jane nie dała mu dojść do słowa:

– Dopełnieniem dla umiejętności Grace w zakresie wyrządzania krzywdy bliźnim i łamania prawa jest to, że ja przeczytałam co najmniej dwa razy więcej ksiąg od ciebie, Edwardzie. A prawdopodobnie trzy albo i cztery razy więcej, co oznacza, że posiadam szeroką wiedzę z najróżniejszych dziedzin, która może się okazać przydatna.

Grace obnażyła zęby w uśmiechu, który najpierw posłała Jane, a potem Edwardowi.

– To, że jesteśmy dziewczynami, nie oznacza, że musisz trzymać nas za rączkę. Prawda jest taka, że to ty potrzebujesz nas, jeśli chcesz stanąć twarzą w twarz z Watahą.

– Nie chodzi o waszą płęć. – Szyję i twarz Edwarda oblał jaskrawy rumieniec. – No dobrze. I tak byście za nami poszły i oprócz załatwienia sprawy z Watahą, musielibyśmy jeszcze mieć na was oko. Możecie iść z nami.

– Świetnie – ucieszyła się Grace. – No to załatwione.

Ale Jane wiedziała, że najtrudniejsze dopiero przed nimi.

*

Grobowa atmosfera jeszcze się nasiliła, gdy zobaczyli w oddali karczmę Pod Kudłatym Psem. Grace w kółko powtarzała, że to zły pomysł. Że plan się nie powiedzie. Że wszyscy tam zginą i że członkowie Watahy zrobią z nich poduszki i czapki.

– No cóż – powiedziała Bess, gdy wreszcie wjechali na główną drogę wiodącą przez wioskę pod same drzwi oberży. – Jeśli ktoś ma ochotę się pomodlić, to chyba teraz jest odpowiednia chwila.

– Tak – potwierdziła Grace. – To ostatnia szansa, by zawrócić.

– Możesz poczekać z końmi, jeśli chcesz – zaproponował jej Edward. – Poradzę sobie sam.

– Zamknij dziób, ptasi mózdzku.

Zabrali ze sobą pięć koni – cztery zwykłe i, zdaniem Jane, jednego niezwykłego. Te prawdziwe przywiązali do poręczy przed karczmą. Wkrótce stali na prowadzących do budynku schodach. Nad ich głowami skrzypiał poruszany wiatrem szyld z psem, którego kudłatość zaznaczono krótkimi maźnięciami farby. Dla Jane wyglądał inaczej w świetle dnia, był jakiś mniejszy. Może dlatego, że nie spoglądała na niego słabym wzrokiem fretki.

Przeszły ją ciarki na widok karczmy. To tutaj kilka dni temu prawie umarła.

– Giffordzie... – zaczął Edward.

Piąty koń parsknął.

– Mów mu G – przetłumaczyła Jane.

– G, popilnuj koni, proszę.

Grace zaczęła zmieniać węzły na końskich wozdach.

– Jeśli będziemy zmuszeni do ucieczki, wystarczy, że któreś z nas pociągnie za ten koniec i wierzchowce będą odwiązane.

Gifford prychnął niespokojnie.

– Pewnie, że spytam – odpowiedziała mu Jane i zwróciła się do Grace: – Sądysz, że będziemy musieli uciekać?

Szkotka wskazała ruchem głowy przeciwną stronę ulicy – za rogiem sklepu rzeźniczego skrył się jakiś mężczyzna. Następnie spojrzała znacząco na dach chaty zielarza, gdzie za krokwią czaił się kolejny obserwator. Na ulicach zalegała upiorna cisza jak na tę porę dnia.

– Już wiedzą, że tu jesteśmy. I wiedzą, kim ja jestem. Na razie zachowują dystans, ale...

Jane pogłaskała Gifforda po miękkim policzku. Gifford parsknął i przyłożył

nos do jej ramienia w końskiej wersji uścisku. Zarzuciła mu ręce na szyję i zaciągnęła się ciepłą wonią sierści.

– Nic mi nie będzie – szepnęła mu do ucha. – Nie rozpoznają mnie. Ale jeśli stanie się coś złego, masz moje pozwolenie na wyważenie drzwi kopytami. – Podrapała go w czoło, a potem ruszyła za pozostałymi do środka.

– Przybyłem porozmawiać z Thomasem Archerem – ogłosił gromko Edward, gdy zamknęły się za nimi drzwi.

Zastali w szynku tylko siedem osób – pięciu gości pijących przy stołach, szynkarza pucującego kufel za barem i rozmawiającego z nim mężczyznę siedzącego na stołku. Wszyscy przestali robić, co właśnie robili, i wbili wzrok w Edwarda. Wszyscy poza mężczyzną na stołku.

– A ty co za jeden? – rzucił szynkarz.

– Król Anglii, do usług. Chcę rozmawiać z Thomasem Archerem.

Jeden z bywalców zarechotał.

– Król nie żyje. Tak jak i królowa, co to była po nim. A tera mamy nową królową, Marię.

– Maria nie jest prawowitą królową.

Bess ostrzegawczo trąciła ją w ramię, a potem dyskretnie wskazała głową Grace, która świdrowała wzrokiem mężczyznę za barem. Szkotka opuszczone wzdłuż ciała ręce zacisnęła w pięści.

Nie ulegało wątpliwości, że ten człowiek to Archer.

Siedział plecami do nich, ale od razu można było poznać po wyprostowanej i szczupłej sylwetce, że to człowiek młody i sprawny. Kręcone czarne włosy spływały mu na ramiona.

– On naprawdę jest królem – powiedziała Grace. – To nie bujda.

Młodzieniec przy kontuarze powoli się odwrócił. Miał wydatne kości policzkowe i wyraźnie zarysowaną zuchwę. Otaksował Grace od stóp do głów.

– Patrzcie, co też lis przyniósł. Ni mniej, ni więcej, a samego króla Anglii. Grace. – Zmierzył ją wzrokiem. – Wyglądasz świetnie. Tęskniłaś za mną?

– Ani trochę.

– Ach, jak możesz. – Archer opromienił ją szerokim uśmiechem i przyłożył rękę do piersi. – Ranisz mnie, moja droga. Zrób to jeszcze raz.

Edward się spłonił, mimo to podszedł do baru pewnym krokiem, wyciągając z sakwy garść monet. Bywalczy karczmcy baczenie mu się przyglądali, ale żaden nie stanął mu na drodze. On tymczasem plasnął w kontuar dłonią, zostawiając na nim garść monet.

– Dziesięć funtów. Spłacam nagrodę za jej głowę.
Archer spojrział na monety, a potem na Edwarda.

– Za jej głowę? Powiedziała ci, że wyznaczyłem nagrodę?

– Powiedziała mi, że była kiedyś w Watasze. – Edward nakrył pieniądze dłonią i przysunął bliżej Archera. – A teraz, skoro to już załatwione, chciałbym zwerbować was do swojej armii.

Archer ani drgnął.

– Czyżby Wasza Wysokość szykował się do bitwy?

– Tak. Mam królestwo do odzyskania.

Któryś z bywalców parsknął śmiechem.

– Armię to ma Maria. Ty masz lisa, damę – skinął uprzejmie głową Bess – i rudzielca.

– Ej, włosy Jane nie są wcale takie brzydkie... – zaprotestował, lecz zaraz zmitygował się i zamknął usta. – Wracając do spraw istotnych: tak, chce odzyskać tron, który mi odebrano, a członkowie Watahy, lojalni obywatele Anglii, powinni się opowiedzieć po mojej stronie.

– A czy Anglia opowiedziała się kiedyś po naszej stronie?

– Jesteście Eđianami. – Edward starał się nie stracić zimnej krwi.

– Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy z tego powodu walczyć dla ciebie, młody królu.

– Maria jest Nieskalaną do szpiku kości. Już teraz niestrudzenie poluje na wszystkich Eđianów w Anglii. I będzie to robić, dopóki ostatni nie spłonie na stosie.

– Wiem – odrzekł Archer ponuro. – Czy nie słyszałeś, że już odbywają się przesłuchania królewskich służących? I że każdy złapany Eđianin kończy w więzieniu? Podobno mają spłonąć na stosie w ciągu dwóch tygodni. – Pociągnął z kufła. – Lecz my, Eđianie, przetrwaliśmy stulecia prześladowań. Cóż to dla nas za różnica, czy Anglią włada Eđianin czy Nieskalany?

Bess wyszła przed szereg, ściągając na siebie spojrzenia – miała w oczach coś takiego, że z miejsca podporządkowała sobie wszystkich zebranych.

– Wolność – powiedziała, udzielając odpowiedzi na jego pytanie. – Prawdziwa wolność, panie Archer. Będziecie równi Nieskalanym. Skończą się prześladowania.

– Wybacz, milady, ale król Henryk składał podobne obietnice, gdy przemienił się w lwa, jednak sytuacja Eđianów nie uległa znacznej poprawie. – Archer potrząsnął głową. – Nic, co powiesz, nie skłoni mnie, bym opowiedział się po twojej stronie, chłopcze. Bądź sobie królem albo zostaw

tron Marii. Mnie jest wszystko jedno.

Nie wyglądało to dobrze.

– Jestem twoim królem! – uniósł się Edward. Ostatnio często to powtarzał. Zbyt często.

– A gdzie tam – zakpił Archer. – Ale jeśli wyjdiesz z karczmy teraz, może pozwolę wam ujść z życiem. Taki jestem dzisiaj miłosierny.

Jak już wspomnieliśmy, w budynku znajdowało się wcześniej siedem osób, a teraz sześć z nich dobiło broni.

Członkowie grupy Edwarda wymienili nerwowe spojrzenia. No cóż, próbowali i nie udało im się. Grace miała słuszość: z Archerem nie szło się dogadać. Będą mogli uznać misję za udaną, jeśli w ogóle uda im się stąd wyjść.

– Dobrze – westchnął Edward. – Chodźmy.

Odwrócił się, lecz wtedy naprzód wyszła Jane.

– Poczekaj. Dołączysz do nas – wyrzekła do Archera – z jednego prostego powodu. – Wszyscy skupili wzrok na niej. – Czasy są ciężkie. – Schowała drżące ręce za plecami i stanęła przed przywódcą. – Wataha to siła, z którą trzeba się liczyć. To jednak nie znaczy, że problemy tego świata nie mają na nią wpływu. Maria poluje na członków Watahy z taką samą zaciętością, jak na każdego innego Eđianina. Twierdzisz, że nie obchodzi cię rzeź, jaką szykuje Eđianom Maria, ale ja słyszałam, jak głos ci się załamał, gdy o tym mówiłeś. Możliwe, że część pałacowej służby pracuje dla ciebie, a ty wiesz, że nie możesz zrobić dla swoich ludzi absolutnie nic. Ale Edward mógłby im pomóc. Mógłby położyć kres polowaniom. Stosom. Mógłby przerwać błędne koło mordy. Jeśli sprzymierzysz się z królem, zyska na tym cała Wataha. Czy naprawdę złożysz życie swoich ludzi na ołtarzu własnej dumy?

Archer łypnął na Edwarda, unosząc brew, a Edward wykorzystał okazję, by nadać się jak paw.

– Zrobię to wszystko, o czym mówi Jane, a nawet więcej. Gdy odzyskam tron, obłożę Watahę amnestią, jeśli tylko zaprzestanie swej przestępczej działalności. Klnę się na swoje życie.

– Jasne, tylko dlaczego tak bardzo leży ci na sercu los Eđianów? – rzucił Archer, a w jego głosie pobrzmiwało wyzwanie.

– Bo sam jest Eđianinem – odpowiedziała Jane.

Archer otaksował króla spojrzeniem.

– Ty? Eđianinem?

– Tak. – Edward nie odwrócił wzroku od herszta. – Owszem.

– Jakie zwierzę?

Teraz odwrócił.

– Ptak. Podobnym do sokoła.

Kącik ust Archera powędrował w górę.

– Ciekawe.

– Poważnie traktujemy złożone przysięgi, panie Archer – wtrąciła się Bess, zanim Archer zdążył zażądać, by wszyscy udowodnili, że są Eđianami, i by nie musieli się rozbierać – Oferujemy amnestię, jedzenie, lekarstwa i pieniądze. Tym wszystkim nagrodzimy Watahę za pomoc w słusznej sprawie.

Oczy Archera załśniły chciwością. Udało się – pomyślała Jane. – Zgodzi się walczyć po naszej stronie.

– Nie, nie wydaje mi się – powiedział herszt po chwili namysłu. – Po prostu nie robisz wrażenia króla, za którego chciałbym walczyć.

Edward był zszokowany.

– Czemu?

– No, bądźmy szczerzy. – Archer rozparł się w krześle. – Królestwo nie było w najlepszej kondycji, nim rzekomo umarłeś. Nieskalani wciąż polowali na Eđianów. Administrację toczyła korupcja. Takie królestwo nie jest warte funta kłaków. Nigdy nie zrobiłeś nic, by nam pomóc. Może i jesteś Eđianinem i zachowujesz się jak władca, ale to twoje damy przywołały najbardziej przekonujące argumenty. – Archer wskazał zamaszystym gestem zebranych w tawernie ludzi. – Wiedziemy tu dostatnie życie. Nie będziemy ryzykować dla kogoś, kto nie okazał się tego godny.

Edward nabrał tchu.

– Jak miałbym udowodnić, że jestem godny?

– Jest jedna rzecz, której pragnę – powiedział Archer, a Jane naszło podejrzenie, że planował tak to rozegrać od początku, zanim jeszcze poprosili go o pomoc. – Jeśli zdobędziesz coś dla mnie, dołączę do ciebie.

– A cóż to za rzecz? – spytała Bess.

– Grace musi zwrócić to, co mi ukradła.

Jane i Edward obrzucili towarzyszkę zdumionym spojrzeniem.

– Grace? – powiedziała Jane.

– A takiego! – rzuciła hardo do Archera. – Nic ci nie oddam.

– To należy do przywódcy Watahy – nie ustępował.

– Należało do Bena, a Ben chciał, bym ja to miała.

– To jest moje. Oddawaj – warknął.

– Grace? Tu się tak jakby wazą losy królestwa – mruknął Edward, ale

Szkotka go zignorowała.

– Zaoferowałem za to dziesięć funtów – odezwał się Archer. – Możesz za to kupić sto noży.

– Noży? – Edward wybałuszył oczy. – Ta nagroda była za nóż?

– Za mój nóż. – Dłoń Grace powędrowała do noża o rękojeści wyłożonej masą perłową. – Nie mogę mu go oddać. I nie zrobię tego.

Jane nie rozumiała tego zamieszania o jeden nóż, nawet tak pięknej roboty jak ten przy pasku towarzyszki. Edward westchnął i wsparł dłoń na ramieniu Grace.

– Dobrze. – Zwrócił się do Archera. – Musi być jakaś inna rzecz, którą mogę ci dać.

Archer skakał wzrokiem od Edwarda do Grace, zatrzymując się na jego dłoni na jej ramieniu. Na jego twarzy pojawił się groźny grymas.

– Chcę dostać nóż. Nie požądam niczego innego.

– Nie mogę dać ci czegoś, co do mnie nie należy – wyrzekł Edward. – Ale musi być inny sposób. Jakies zadanie, które mógłbym wykonać. Może mógłbym wyświadczyć ci przysługę, nim ty zrobisz coś dla mnie?

W pomieszczeniu zaległa cisza.

Wreszcie przerwał ją śmiech Archera.

– Dobrze, już dobrze. W takim razie zabij Wielkiego Białego Niedźwiedzia z Rhyl.

Jane parsknęła śmiechem.

– To absurd. Niedźwiedź z Rhyl to tylko legenda. Przeczytałam o nim wszystkie księgi i wszyscy eksperci zgadzają się co do tego, że ta bestia to fikcja literacka, nic więcej.

Legenda głosiła, że Wielki Biały Niedźwiedź był olbrzymi jak klify Dover i szeroki jak Kanał Angielski. Matki straszyły nim niegrzeczne dzieci. Duby smalone, nic więcej.

– Niedźwiedź istnieje. – Jeden z mężczyzn podniósł głowę znad kufla. Bok jego twarzy przecinały długie blizny. Ślady po pazurach. – Żyje kilka mil stąd, często atakuje tę wioskę. Żarcie kradnie. Sieje o wiele większe spustoszenie od Watahy.

Twarz Archera przyozdobił uśmieszek.

– Oto mój warunek. Zabij niedźwiedzia. Wóz albo przewóz.

– Przepraszam na chwilę. – Edward przywołał gestem Bess, Grace i Jane. Gdy zgromadzili się w kącie izby, zniżył głos do szeptu. – Co myślicie?

– O Wielkim Bieluchu? – Jane wywróciła oczami. – Myślę, że nie istnieje.

– Albo istnieje, a Archer dla krotchwili wysyła mnie na pewną śmierć! – rzekł Edward z grobową miną.

– Tak czy inaczej to podstęp – powiedziała Bess. – Przede wszystkim musimy się udać do Francji. Musimy odzyskać królestwo. Nie mamy czasu na szukanie wiatru w polu. Czy niedźwiedzia.

Edward zgodził się kiwnięciem.

– Wiem. Ale jeśli to jedyny sposób na zyskanie sobie przychylności Watahy...

– A co z tym nożem? – warknęła Jane. – Po prostu daj mu ten głupi nóż.

Grace wyprostowała się raptownie.

– Mój nóż nie jest głupi. To jedyne, co mi zostało po Benie. Archer to wie i dlatego właśnie chce mi go odebrać.

– Spokojnie, Grace, nie musisz oddawać mu noża – zapewnił Edward.

– A więc wracamy do punktu wyjścia – powiedziała Bess. – Pytanie: co robimy?

– Jest, jak powiedziałaś: najprawdopodobniej nie mamy dość ludzi, by iść na wojnę z Marią – odrzekł Edward i zacisnął zęby. – Potrzebujemy ich. Musimy ich mieć za wszelką cenę. – Oddalił się od grupy i stanął naprzeciwko Archera. – Dobrze. Zrobimy to.

Archer przyglądał się dłuższą chwilę Grace, Jane, Bess i Edwardowi.

– A zatem dogadaliśmy się. – Archer przyrznął pięścią w ladę. – Trzeba to uczcić!

Podczas gdy inni wznosili puchary z ale, Jane wyszła na zewnątrz, by zaprowadzić konie do stajni i podzielić się z mężem dobrymi wieściami.

– Hej, nie uwierzysz, idziemy zabić mitycznego niedźwiedzia!

GIFFORD

Gdy słońce dotknęło horyzontu, a G zmienił się w człowieka i okrył płaszczem, z ust Jane wylał się potok słów.

– Zrozumiałeś, gdy powiedziałam, że jedziemy zabić niedźwiedzia? Dobra. Całą swoją wiedzę o niedźwiedziach zachowałam na teraz, gdy jesteś już w ludzkiej formie... – Objęła go szybko, bo nie mieli zbyt wiele czasu. – ... i lepiej zapamiętasz. A więc tak, po pierwsze: niedźwiedzie są wiecznie głodne. Kiedy więc natkniesz się na niedźwiedzia, nie zachowuj się jak jedzenie.

– Co? – Jej rada zadziwiła go bardziej niż sama misja rodem z *chansons de geste*.

– Zeszłego lata czytałam o nich książkę pod tytułem...

– Pomiń tytuł. – G podniósł rękę. – Czas nagli!

– Dobra. A więc tak: niedźwiedzie, zawsze głodne, nie zachowuj się jak jedzenie...

– A jak się zachowuje jedzenie?

– Po prostu mówię ci, co wiem. – Przeczuwając nadchodzącą transformację, poprawiła suknię i zrobiła to tak szybko, że przez nieuwagę odsłoniła nieco zbyt dużo mlecznobiałej skóry pod materiałem.

G na chwilę przestał oddychać.

– Następna sprawa: musisz spróbować wydać się niedźwiedziowi większym, niż jesteś.

G nie mógł wydobyć z siebie choćby słowa. Wciąż miał przed oczami miękką skórę swojej żony.

– Możesz podnieść rozłożony płaszcz nad głowę – paplała w najlepsze Jane – albo wypiąć klatkę piersiową. Albo zrobić cokolwiek innego. G, czy ty mnie słuchasz?

G zacisnął powieki i podrapał się w czoło, chcąc skupić się na niedźwiedziach, a nie ciele Jane.

– Tak. Nie zachowywać się jak jedzenie. Wydać się większym. Coś jeszcze?

– Owszem. Wykorzystaj, co masz pod ręką. Kamienie, patyki, cokolwiek. Tylko się nie schylaj, żeby to podnieść, bo wtedy wydasz się niedźwiedziowi

mniejszy i bezbronny.

– Czyli mam wykorzystać broń, którą znajdę na poziomie ramion – westchnął.

Rozległo się pukanie i w szparze między drzwiami a futryną pojawiła się głowa Edwarda, a zaraz potem głowy Grace i Bess. G zaprosił ich gestem do środka.

– A jeśli dojdzie do najgorszego – gadała dalej Jane – udawaj trupa. Lecz jeśli niedźwiedź zacznie lizać twoje rany, to będzie oznaczało, że chce cię zjeść. To sygnał, że powinieneś obrać inną taktykę.

– Łapię: mam udawać trupa, chyba że zacznie mnie jeść.

– Pomogę ci, jeśli tylko będę mogła – zapewniła. – Odwróć jego uwagę, a ty wespiesz się na jakieś drzewo.

Gifford zmarszczył brwi. Rzucił okiem na Edwarda, zaskoczony, że król pozwolił Jane wierzyć, iż będzie mogła wyprawić się na niedźwiedzia wraz z nimi. Edward odpowiedział uśmiechem z gatunku: to twoja żona, ty jej tłumacz.

Czy G powinien jej uświadomić, że ona sama nigdzie się nie wybiera? Gdy powiedział jej to ostatnim razem, nie usłuchała i prawie zginęła.

Drugi raz do tego nie dopuści.

Jane nie zauważyła tej konfidencjonalnej wymiany spojrzeń.

– Znam niezawodny sposób na odwrócenie uwagi niedźwiedzia – ciągnęła niezrażona. – Czytałam, że niedźwiedzie mogą poruszać głową w bardzo ograniczonym zakresie, pomyślałam więc, że gdybym wlażała mu na grzbiet i pociągnęła go za futro, okręciłby się, próbując mnie zrzucić, a wtedy ty i Edward moglibyście wyprowadzić ostateczny cios.

Już prawie zapadła noc. Do przemiany Jane zostały tylko sekundy. Nie było rady, Gifford musiał jej powiedzieć.

– Jesteśmy wdzięczni za pomoc, ale nie możesz pojechać z nami.

– A to czemu? – Zmrużyła oczy.

– Nie jedziesz i już.

– Och, ależ jadę. – Tupnęła energicznie. – Bez dyskusji. Edward, powiedz mu.

Kuzyn podrapał się w głowę, ale nic nie powiedział. Gdy zrozumiała, że nie doczeka się od niego wsparcia, odwróciła się z powrotem do G.

– Jesteś moim mężem. Nie panem i władcą.

– Oczywiście masz rację, milady. Wiem, że zawsze w końcu dopniesz swego, ale niestety, nie w tej kwestii. I w żadnej innej, która będzie się wiązać

z zagrożeniem twojego życia. – Nie pozwoli jej się więcej narażać. Jeśli jest tak odważna, że aż lekkomyślna, jego w tym głowa, by bronić ją przed samą sobą. Ostatnim razem o mało nie zginęła. O mało jej nie stracił.

– Giffordzie Dudley, nie tobie decydować o tym, co mi wolno, a czego nie wolno, choćby i chodziło o moje życie.

Gifford skłonił się grzecznie, a jego wzrok powędrował do pustej klatki dla ptaków w kącie pokoju.

– Ma się rozumieć, Jane. I w przyszłości zobowiązuję się mieć to na uwadze. Ale nie dziś.

Jane zacisnęła usta.

– Nie możesz mnie powstrzymać.

– Ani myślę ograniczać twojej wolności, milady. Lecz dzisiaj czuję się w obowiązku to właśnie uczynić. Nawet jeśli będzie to oznaczać zamknięcie cię w klatce.

– Nie ośmielisz się!

– Owszem, ośmielę, nawet gdyby miało mnie stratować sto karpackich byków. Dzisiaj ośmielić się muszę, choćby ich kopyta miały wgnieść mnie w świętą angielską ziemię. Zamknę cię w klatce, słowo honoru, chyba że obiecasz, że z nami nie pojedziesz.

Frustracja Jane sięgała zenitu.

– Nie wolno ci mnie traktować w ten sposób! Nie możesz trzymać mnie w klatce! Co ty jesteś, hycel?! – wrzasnęła z taką mocą, że aż zadźwięczało mu w uszach. Naraz błysnęło światło i już była fretką, a on tylko na to czekał. Zanim otrząsnęła się z szoku przemiany, złapał ją za kark.

– W normalnych warunkach nigdy bym cię tak nie potraktował – zapewnił ją szeptem. – Ale dzisiaj warunki są bardzo nienormalne.

Ucałował ją za kark i umieścił w klatce, po czym zamknął drzwiczki.

– Pewien jesteś? – spytała Grace. Ona i Bess dotąd milczały, ale na ich twarzach malowało się napięcie.

– Tak, jestem pewien – odparł i rzeczywiście był. – Chcę, byś mi przyrzekła, że nie wypuścisz jej z klatki. I że będziesz ją chronić.

– Nie wypuszczę jej – przyrzekła Grace. – Ale ona cię później zamorduje.

Usiadła na krawędzi łóżka.

– Zaraz, więc nie tylko Bess, ale i Grace zostaje tutaj? – Edward był zdumiony. – Czemu Grace nie jedzie z nami? Przydałaby się.

– Nie ufam Watasze – odparła Szkotka. – A zwłaszcza Archerowi. Powinnam tu zostać, na wypadek gdyby pod waszą nieobecność próbował

jakichś sztuczek. Będę mieć go na oku. A Bess zostanie z Jane, by się upewnić, że nie będzie próbowała wyfretkować się z klatki.

– Na pewno można utworzyć czasownik od fretki? – zamyślił się G.

– Teraz już tak. – Wzruszyła ramionami.

Edward zmarszczył brwi.

– Sire? – zagadnął go Gifford. – Czy coś cię gnębi?

– Nie. Wszystko gra. Z Grace. Która zostaje tutaj. Z Watahą. I... Archerem.

Nie ma problemu.

– Dobrze – wyrzekł G powoli, nie bardzo rozumiejąc tę rozczłonkowaną wypowiedź. Złapał za miecz. – A zatem w drogę?

– Niezwłocznie – odparł Edward.

Nastała pełna wahania chwila, a potem wstali i poszli do stajni.

*

Gifford jechał z królem ramię w ramię. Wraz z upływem godzin, zaczęła go męczyć pewna myśl, uwierająca niczym kamyk w bucie. Był to przywołany z pamięci obraz jego półprzytomnej żony pierwszej nocy w Helmsley, która nieomal go odepchnęła, by przywitać się z Edwardem. Tak, to prawda, myślała, że nie żyje, i musiała się bardzo ucieszyć na jego widok.

A jednak ta myśl... no, uwierała.

G pamiętał, jak niewiele brakowało, by stracił Jane. Jaka była słaba, leżąc bez ducha na stole w zamczysku Helmsley. Dopiero gdy otwarła oczy, wybudziwszy się z maligny, i zamrugała, uświadomił sobie, że na dobre rozgościła się w jego sercu.

Ale wtedy prawie rzuciła nim o ścianę, bo okazało się, że najważniejszą osobą w jej życiu, którą chciała uściskać w obliczu śmierci, jest jej kuzyn Edward. Jej najdroższy, ukochany przyjaciel. Czy nie świadczył o tym list, który do niego napisała?

Może polowanie na legendarnego niedźwiedzia pozwoli mu zająć czymś myśli. I zepchnąć ten obraz tam, gdzie jego miejsce – na samo dno pamięci. Gifford wiedział, że ta jego podejrzliwość jest irracjonalna. W końcu sama Jane nigdy nie powiedziała: „Tak, kocham Edwarda nad życie, zgiń, przepadnij, przebrzydły czworonogu!”. A była przecież z tych, co wałą prosto z mostu. Gifford zdawał sobie też sprawę, że darzy go jakimś uczuciem; uśmiechała się do niego, przytulała po każdej przemianie, próbowała tłumaczyć jego końskie myśli innym.

No ale czy musiała się tak roztkliwiać w tym przeklętym liście?

Dość. Polujemy na niedźwiedzia. Darz bór i do przodu.

Ale niepokorna myśl wciąż nie dawała o sobie zapomnieć.

Był, ma się rozumieć, szczęśliwy, że kuzyn Jane żyje i ma się dobrze, ale nastęczało to też pewnych trudności. W końcu pamiętał, jak Edward powiedział mu przed samym ślubem, że jeśli skrzywdzi jego kuzynkę, to dopadnie go, nawet z za grobu. Sam się przyznał, że darzy Jane miłością, więc wcale nie jest powiedziane, że ta ich zażyłość ograniczała się do stosunków stricte rodzinnych. Może Edward połączył Jane z Giffordem tylko dlatego, że był umierający, a teraz, skoro wrócił do zdrowia, żałuje, że zaaranżował to małżeństwo. I może Jane myśli podobnie.

Zbyt wiele tego gdybania! – skarcił się w myślach G. Powinien teraz skupić się na tym, jak ująć z życiem z tej samobójczej misji.

Ale raptem zapragnął zapytać Edwarda wprost o jego uczucia względem Jane, a ściślej mówiąc o to, co robili we dwoje, gdy on był koniem, a oni siedzieli razem w zamku.

Mimo wszystko doszedł do wniosku, że lepiej nie rozmyślać zbyt wiele na ten temat. Przecież w końcu to on był mężem Jane. A w dodatku pustułki to ptaki łowne, które nie zawahałyby się upolować fretki, tak jak nie zawahałyby się upolować wiewiórki czy polnej myszy. I już. G był jej mężem, a Edward mógłby ją zjeść. Oto dwa dobre argumenty, dla których Jane powinna zostać z G. I jeszcze jego włosy! G nie sądził, by żona szybko zapomniała o jego pysznych, lśniących lokach, które przyćmiewały smutne kitki większości mężczyzn w królestwie.

A więc tak, G był jej mężem, Edward mógłby ją zjeść i żadne włosy nie mogły się równać z jego włosami.

G westchnął. Nic z tego nie może się przecież równać z tronem Anglii.

Zamiast więc zadawać Edwardowi wszystkie te pytania, zagadnął niby od niechcienia:

– Jane opowiadała ci o niedźwiedziach?

– Tak – odparł król. – Mówiła to, co tobie: nie zachowywać się jak jedzenie, jakimś magicznym sposobem zwiększyć swój rozmiar i wagę i udawać trupa, chyba że to nie zadziała.

– A nie wspomniała czasem, jak zabić bestię?

– Nie. Udzielone przez nią informacje były raczej z gatunku tych bezużytecznych.

Przez jakiś czas podróżowali w ciszy. Aż ni z gruszki, ni z pietruszki...

– Wasza Wysokość kocha Jane.

Gifford nie chciał tego mówić, ale powiedział.

– Oczywiście. Jesteśmy rodziną.

– Lecz wydaje mi się, Wasza Wysokość, że kochasz ją wcale nie jak rodzinę.

Edward nie zaprotestował, choć wydało się Giffordowi, że poważnie się zmieszał. Może przez dobór słów.

G wziął głęboki oddech. Skoro już zaczął, to skończy:

– Wiem, że zaaranżowałeś nasze małżeństwo, gdy sądziłeś, że jesteś umierający, a teraz już wiesz, że nie jesteś. Jeśli więc chcesz ją dla siebie, usunę się z drogi. Postąpię honorowo. – Jego zdradziecki głos załamał się na ostatnim słowie.

– Giffordzie... – zwrócił się do niego król.

– Mów mi G, sire.

Król go zignorował.

– Twoja żona cię kocha.

Gifford obrzucił króla nieufnym spojrzeniem, uniósł brew.

– To prawda – przekonywał Edward. – Zostawia w stajni twoje ulubione jabłka, choć musi iść po nie ponad milę. Czesze twoją grzywę i pieczołowicie oczyszcza sierść z rzepów.

– Bo tak się dba o konia. – Spuścił wzrok. – Nie chciała, bym królował wraz z nią. Bym był królem u boku mojej królowej.

– Bo nie wiedziała wówczas, komu może ufać. Możesz mi wierzyć, Giffordzie, twoja żona cię kocha.

Gifford milczał jakiś czas, żywiąc nadzieję, że to prawda.

– To znaczy, kochała, zanim wcisnęłaś ją do klatki.

No tak, była jeszcze kwestia klatki.

Edward zamilkł. Po jakimś czasie z jego ust dobyło się westchnienie. G pomyślał, że pewnie chce wyznać, co mu leży na sercu. Może to, że choć Jane kocha G (jak zakładał, ale czy można mu wierzyć?), to G, jako wierny poddany, musi usunąć się w cień i odstąpić żonę zakochanemu w niej królowi. Dla dobra kraju.

– Co myślisz o Grace? – spytał Edward w tym samym momencie, gdy G wypalił:

– Nie dostaniesz jej.

Cisza.

– O kim, przepraszam?

– O Grace.

– Aha. Jest w porządku.

Edward zacisnął usta i pokiwał głową.

– A ten Thomas Archer... Nie sądzisz chyba, że coś ich łączy?

– Jane wspominała, że Grace nie chciała mu oddać jakiegoś noża.

– Chodzi mi o uczucie.

– Ach, o uczucie. Szczerze mówiąc, napomknęła, że Archer był kiedyś z Grace, więc chyba łączyło ich uczucie.

Edward zgarbił się pod ciężarem jego słów.

– Ale trudno stwierdzić, czy dalej coś między nimi jest – ciągnął G. – Zwłaszcza mnie, skoro nawet nie było mnie wtedy w karczmie.

– Chciałbym wiedzieć, co jej powiedzieć. Z każdym razem gdy próbuję jej wyznać, co czuję, gadam jak potłuczony.

G wydał z siebie westchnienie ulgi. Chwała Bogu! Edwardowi podobała się Grace! Oczywiście, że ona! Była przecież całkiem urodziwa, jeśli ktoś lubi ten typ urody. G akurat preferował rude. O ciepłych, brązowych oczach. O miękkiej skórze. Lubiące czytać. Bezpośrednie. Ale Grace była śliczna, owszem, nie sposób zaprzeczyć.

G ogarnęła tak dojmująca radość, że chciało mu się śpiewać. No i dokładnie rozumiał, jak to jest gadać bzdury przy dziewczynie, do której czuje się miętę.

– No cóż... – powiedział, a potem zadeklamował:

*Miłość nie oczyma patrzy, ale sercem,
A Kupidyn skrzydlaty wiecznie trwa w rozterce.*

– Że co, proszę? – Edward spojrzał na niego pytająco.

– Chciałem powiedzieć, że miłość to nie taka prosta sprawa – wyjaśnił G. To było niezłe – dodał w myślach. – Muszę to potem zapisać.

– To z jakiejś sztuki? – indagował Edward.

– Nie, to... Znaczy... Tak mi przyszło do głowy.

– A więc jesteś poetą?

G poczuł, jak rumieniec wspina mu się spod kołnierza na twarz.

– Czasem coś skrobnę.

– Sam lubię poezję – wyznał król. – I teatr. Kiedyś urządzałem w zamku mały teatrzyk. Jeśli przeżyjemy to polowanie i jeśli odzyskam koronę, i jeśli

będzie czas, chciałbym otworzyć prawdziwy teatr.

– Jeśli uda nam się przeżyć, jak najbardziej powinniśmy – zgodził się G.

Obaj ścisnęli rękojeści mieczy i odkaszlnęli po męsku, co miało oznaczać, że nie boją się jakiegoś starego, głupiego niedźwiedzia.

– Znasz może jakieś wiersze o odwadze? – spytał Edward po chwili.

G nie znał. Wytężył umysł, by jakiś wymyślić.

– No... Tchorze umierają po stokroć, nim zabierze ich śmierć – powiedział. – Odważni smakują śmierci jeno raz. Dośrubuj męstwo do ostatnich gwintów, a rzecz się uda.

– Że do jakich gwintów?

G wzruszył ramionami.

– Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– To wcale niezłe – skomentował Edward. – Powiniemy to gdzieś zapisać.

*

Mapa, którą dostali od Archera, okazała się czytelna i szczegółowa; poruszali się szybko, a podróż była krótka. Choć G nie był pewien, czy tylko nie wydawała się krótka, bo myśl o walce z gigantycznym niedźwiedziem napawała go przerażeniem. Zabrali ze sobą cały asortyment broni – miecze, topory, nawet jedną wekierę. Jane zapakowała im miksturę, która jak zapewniała, wypali niedźwiedziowi oczy.

Mapa nie podawała dokładnej lokalizacji, wiodła ich tylko do doliny nieopodal miejscowości Rhyl, gdzie najczęściej widywano bestię. Oczywiście rysując mapę, Archer bazował na plotkach i relacjach rzekomych świadków.

Gdy znaleźli się na skraju doliny, G zapragnął, by plotki okazały się nieprawdziwe, a świadkowie kłamali, ponieważ ziemia usiana była niedźwiedzimi odchodami. Wiedział, że są niedźwiedzie, bo jedynym stworzeniem żyjącym w tych stronach zdolnym zostawić po sobie tak duże kupy był koń, a ponieważ G był tak jakby ekspertem od końskich odchodów, miał pewność, że te końskie nie są.

– Jest gdzieś blisko – powiadomił króla.

– Pamiętasz nasz plan? – upewnił się Edward.

Kiwnął głową.

Gdy minęli pierwszą linię drzew, Edward znenacka wrył konia. Gifford również zatrzymał swojego i zaczął nasłuchiwać.

– Potrzebujemy większego miecza – szepnął król.

Bo rozmiary bestii przeszły najśmielsze oczekiwania. Była to jedna z tych chwil, gdy brakuje słów, aby w pełni oddać ogrom tego, co ma się przed oczami. Zwierzę jadło właśnie owoce wprost z drzewa. Nie musiało stawać na tylnych łapach, by ich dosięgnąć. Pożerało je wraz z gałązkami, ponieważ z tak wielką paszczą mogło pożreć, co tylko chciało.

Gdy zrobiło krok, ziemia zadrżała.

G zwrócił się do Edwarda i skłonił się dwornie.

– Miło było, Wasza Wysokość, lecz tutaj rozchodzą się nasze drogi.

Żartował. Ale tylko częściowo.

– A co z twoją przemową o odwadze?

– Fikcja literacka, sire.

– Liczysz się z tym, że wrócę żywy i opowiem Jane o twoim tchórzostwie?

– Tak, Wasza Wysokość.

– Na krotchwile ci się zebrało – westchnął Edward. – Trzymamy się planu.

– A może od razu każemy mu się poddać?

– Weź się zamknij.

Edward zaniósł się bojowym okrzykiem. Niedźwiedź obrócił się i odpowiedział rykiem tak głośnym, że G był pewien, że pękną mu bębunki. Bestia zaszarżowała prosto na króla, który zdążył już okręcić konia i puścić się pędem z powrotem w gęstwinię.

G został sam. Wypuścił powietrze z płuc i prędko wdrapał się na drzewo. Bo taki był plan.

Edward po paru minutach – a może godzinach – wyłonił się z chaszczki, biegnąc z uniesioną pochodnią, krzycząc:

– Gifford, uwaga!

Wówczas G zapalił własną pochodnię.

Monstrum goniło Edwarda, lecz teraz skierowało się ku drugiemu źródłu światła i wsparło potężne łapy o pień. Gdy drzewo zatrzęszczało, Gifford chlusnął mu w oczy miksturą otrzymaną od Jane.

Niedźwiedź wydał z siebie przejmujący ryk bólu. Jego przednie łapy zsunęły się z pnia, haratając korę.

Nadszedł czas na decydujący cios, który miał zadać Edward... Tyle że zwierz ani myślał postąpić wedle planu łowców i spokojnie zaczekać na króla. Zaczął biegać wokół, rzucać się i tarzać po ziemi, wyjąc, warcząc i rycząc na przemian. Nagle przywalił w drzewo z siłą tarana.

Tak się złożyło, że było to drzewo Gifforda.

Który spadł z niego, wypuszczając pochodnię z palców.

Upadek złagodziło masywne cielsko potwora, a Gifford cieszyłby się, że przeżył, gdyby nie fakt, że właśnie siedział okrakiem na największym niedźwiedziu na świecie, w dodatku rozwścieczonym nie na żarty.

Szczęściem zwierzę uderzyło w pień łbem i było teraz lekko zamroczone, co dało Giffordowi dość czasu, by zebrać całą odwagę i zleźć z szalejącego zwierzęcia. Gdzie ten Edward?! I gdzie jego miecz? Rozejrzał się, nie mogąc przeniknąć wzrokiem mroku nocy. Jego pochodnia zgasła, nim dotknęła ziemi.

– Giffordzie? – zawołał go Edward.

Jego głos podziałał na niedźwiedzia jak płachta na byka. Umysł Gifforda działał na pełnych obrotach. Nie nosił przy sobie broni (bo miał tylko nadzorować z drzewa przebieg mordowania zwierzęcia przez Edwarda) i nie sądził, by udało mu się zadusić olbrzyma gołymi rękami, mógł więc zrobić tylko jedno.

Udawać trupa. Nie zachowując się przy tym jak jedzenie.

– Umarłem, sire – rzucił Gifford. Nie wiedział, czemu zamiast tego nie powiedział, że tylko udaje trupa. Może bał się, że zwierzę rozumie po angielsku. Najchętniej nie mówiłby nic, ale chciał dać znać Edwardowi, że leży na ziemi. Minimalizowało to ryzyko, że kompan skieruje swój miecz w jego stronę.

G nie doczekał się od króla odpowiedzi.

Próbował przypomnieć sobie poradę żony, której udzieliła na tę okoliczność, ale gdy tylko jej imię rozbłysło w jego myślach, zaraz stanęło mu przed oczami jej białe ciało. Może i go kocha, lecz najprawdopodobniej już nigdy jej nie zobaczy... Zmusił się, by skupić się na niedźwiedziu.

G padł więc na ziemię i zacisnął powieki, usiłując uspokoić oddech. Zwierzę warczało i skomlało, węsząc wokoło i drapiąc ściółkę. A potem drapnęło G swą wielką łapą.

Mógł tylko dalej udawać zwłoki. Albo piszczeć jak mała dziewczynka. Gdzie ten Edward?! Czy on czasem nie zostawił go tu na pastwę tego monstrum?

Kiedy niedźwiedź powąchał jego nogę, G skupił wszystkie wysiłki na tym, by mentalnie uczynić ją niepodobną do jedzenia. Wtedy zwierzę trąciło go w ramię, a potem znowu, jakby chciało obrócić go na plecy. G zachodził w głowę, czy wyda mu się bardziej czy mniej martwy, jeśli ustąpi i da się obrócić. Doszedł do wniosku, że jako trup by się nie opierał, więc nie bardzo ma wyjście.

Gdy niedźwiedź pchnął go znowu, przeturlał się na brzuch. Niedźwiedź znowu przejechał łapą po jego plecach, a potem zrobił coś, co zmroziło Giffordowi krew w żyłach. Powęszył przy potylicy i liznął.

Skoro liznął, to zaraz zje! – rzuciło się G na myśl. – Liznął. A teraz zje!

Jane mówiła, żeby udawać trupa, chyba że niedźwiedź zabierze się do jedzenia, ale nie wspomniała, jak wymknąć się niedźwiedziowi z łap. Zwierzę znowu przesunęło językiem po jego karku i G już miał się zerwać na równe nogi i pobiec byle dalej, gdy raptem bestia zawyła przeszywająco, po czym zwała się G na głowę.

G zdał sobie sprawę, że nie umrze w niedźwiedziej paszczy, lecz przygnieciony zwalistym cielskiem. Miał chociaż nadzieję, że Edward powie Jane, że zginął w heroicznym boju, rozszarpany przez bestię, nie zaś dlatego, że zwierz na nim usiadł. Niespodziewanie poczuł, że jakaś ręka ściska jego ramię. Ani się obejrzał, Edward wyciągnął go spod padłego niedźwiedzia, który nawiasem mówiąc, pozostał w swojej niedźwiedziej formie. Fakt, że nie był Eđianinem, nieznacznie poprawił G nastrój.

– Chlasnąłem potwora po karku moim mieczem – pochwalił się Edward. – Przerąbałem mu kręgosłup.

– Znakomicie – pochwalił go Gifford. – Ale nie zapominaj, że to ja go osłabiłem, skacząc na jego grzbiet.

– Tak było – odparł Edward życzliwie.

Przez chwilę stali, zziajani i wykończeni.

– Wiesz, sire, jako król Anglii i legendarny pogromca niedźwiedzi będziesz chyba mógł owinać sobie wokół palca każdą kobietę, której tylko zapragniesz.

– A twoja żona może zakocha się w tobie na nowo.

– Jeśli wybaczy mi incydem z kłatką.

Edward nie odpowiedział. A potem coś przyszło mu na myśl.

– O cholera – wyrwało mu się. – Teraz na liście rzeczy do zrobienia jest już tylko podróż do Francji. I rozmowa z królem.

– Nigdy jeszcze nie byłem we Francji – przyznał G. – Ale lubię ich ser.

– Ja też za nim przepadam – odparł Edward, rad, że znaleźli kolejną łączącą ich rzecz.

*

Gdy wracali, słońce zdążyło już wyrzeć zza horyzontu, więc Gifford dotarł do Kudłatego Psa pod postacią konia. Grace, Bess i Jane czekały już na nich

w drzwiach, ale wyraz ulgi na twarzy Jane szybko przerodził się we wściekły grymas.

G nagle zapragnął zapolować na jakiegoś innego niedźwiedzia.

Jane zaczerpnęła tchu i skupiła wzrok na królu. Jej mars rozmył się, gdy przesunęła palcami po zadrapaniu na jego twarzy.

– Kochany kuzynie, ty jesteś ranny.

– To tylko powierzchowne zadrapanie. – Edward uśmiechnął się ciepło.

– Wejdź do środka. Opatrzę ją.

G prychnął i odrzucił głowę. Jane uniosła brwi.

Trącił ją niepewnie nosem. Nie zareagowała.

– Prędzej stawiałabym czoła tysiącu karpackich byków, niż wypędziła cię z karczmy. Ale nie w tej sytuacji. – Wskazała palcem las. – Idź do swojego pokoju i przemyśl, co zrobiłeś.

Ta wycieczka do Francji nie będzie należeć do przyjemnych.

EDWARD

Podróż do Paryża zabrała im cztery dni.

Grace miała na sobie suknię. Moje biedne serce – pomyślał Edward.

– I co się gapisz? – syknęła, gdy spostrzegła, że rozbiera ją wzrokiem.

– Bo wyglądasz zjawiskowo – odparł. – Jesteś dziewczyną. Znaczy się kobietą. Osłupiałem na widok twojej transformacji.

– Potrafię zrobić się na bóstwo, gdy jest ku temu okazja. – Poprawiła dekolt. – Ale te fatalaszki chyba do mnie nie pasują.

Suknia, uszyta z szarego aksamitu, wyszczupiała w talii i eksponowała wsparty gorsetem biust, to jest tę część Grace, której Edward nigdy nie widział. Nawiasem mówiąc, odkrył, że cały czas wędruje wzrokiem do miejsc, w które nigdy się jeszcze nie zapuszczał. Szkotka była wprost przepiękna, ale miała rację – suknia do niej nie pasowała. Umniejszała ją jakimś sposobem, ścisnęła i wpychała w ramy, które nie były jej przeznaczone, jakby Grace dławiała się w jardach kwadratowych aksamitu. Wyglądała wspaniale, ale nie była z tych, co lubią się stroić.

– Dziękuję, że to dla mnie robisz – mruknął.

– Proszę. – Uniosła rękę, by sprawdzić u fryzowanie z tyłu głowy. – Ale naprawdę nie wiem, jak miałabym ci pomóc w negocjacjach z królem Francji.

– Nie z królem – poprawił ją. – Z Marią, królową Szkotów.

Dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie na dźwięk jej tytułu.

– A to czemu? – Uniosła brew. – Bo obie jesteśmy Szkotkami?

– Bo mnie nie znosi, a ja potrzebuję, by mnie polubiła. Sądzę, Grace, że jesteś jedyną osobą, która może do niej dotrzeć. Bo jesteś Szkotką, owszem. I bo jesteś sobą.

Czerwień wystąpiła jej na policzki. Kiwnęła głową.

– A czemu cię nie znosi?

– Bo miała być kiedyś moją żoną.

– Co? – wykrzyknęła. – Kiedy to było?

– Kiedy miałem trzy lata.

Zgadza się, Edward był zaledwie trzyletnim pacholęciem, gdy jego ojciec uznał, że najwyższy czas na zaręczyny z Marią, która dopiero przyszła na świat. Skoro jej ojciec zmarł, była pełnoprawną królową, choć miała raptem

sześć dni. Taki mariaż pozwoliłby związać Szkocję z Anglią nierozzerwalnymi więzami, a przynajmniej tak sądził Król Lew. Henryk zaproponował nawet, aby Maria przeprowadziła się do pałacu, aby mógł doglądać jej i wychowywać, nauczyć myśleć jak rodowita Angielka.

Prawni opiekunowie Marii mieli inny pomysł. Podpisali traktat konsolidujący zaręczyny, ale nie usankcjonowali go w żaden sposób. Tak więc nieco później, gdy król Henryk otrzymał wiadomość, że szkoccy regenci zgodzili się wydać Marię za przyszłego króla Francji, delfina imieniem François, w przypływie furii pożarł posłańca i przez kilka dni szalał po pałacu pod postacią lwa.

A potem najechał Szkocję.

Przez całe lata żołnierze Henryka ganiłi się z królową po szkockich wsiach, ale nigdy nie udało im się jej pojmać. Krążyły pogłoski, że wymyka im się z rąk za sprawą eðiańskiej magii. Podobno miała w zwyczaju ulatniać się niczym dym z każdego potrzasku. Tak więc Henryk, który zasadniczo miał do Eðianów bardziej liberalne podejście, skoro sam był jednym z nich, ukarał szkockich Eðianów za to, że ją ukrywali. Edward wiedział już, że najpewniej dlatego jego żołdacy spalili gospodarstwo należące do rodziców Grace – bo jego ojciec był wkurzony na małe dziecko.

Wojnę, którą rozpętał, ludzie nazwali Lewymi Zalotami. Z naciskiem na „lewe”.

W czasie wojny Edward był tylko małym dzieckiem, ale pamiętał, jak mówiono mu, że poślubi królową. Pamiętał też, jak wpatrywał się w portret Marii Stuart, który wisiał w jednym z pałacowych korytarzy. Gdy zlecono namalowanie obrazu, dziewczynka nie mogła liczyć więcej niż cztery lata, ale już wtedy miała władcze wejrzenie i emanowała królewską powagą. Spoglądała na Edwarda surowo, a w jej czarnych oczach kryło się oskarżenie. Gardzę tobą – zdawał się cedzić portret. – Zawsze będę cię nienawidzić. Lepiej się módl, żebyś się ze mną nie ożenił. Zmienię twoje życie w koszmar.

Część ulgi, jaką Edward odczuł po śmierci ojca, wynikała właśnie z tego, że jego plan ożenienia syna z tą małą sekutnicą spalił na panewce. Edward nie musiał już zalecać się do królowej Marii Stuart, która znalazła schronienie u króla Francji i jego rodziny w Luwrze, gdzie mieszka do dziś.

Spotkali się tylko raz, on i Maria. Przybył do Paryża, by sformułować i podpisać traktat pokojowy z królem Francji. Maria miała wtedy osiem lat. Została mu przedstawiona jako narzeczona delfina François (Edward nie rozumiał, kto przy zdrowych zmysłach chciał osadzić na tronie ssaka

morskiego). Maria dygnęła wówczas, a Edward się skłonił. Podniosła na niego wzrok i obrzuciła groźnym spojrzeniem – bardzo przypominało to, którym mierzył go jej portret. Próbował rozluźnić atmosferę, komplementując jej buty.

Odpowiedzią było tupnięcie.

Głośno.

Wówczas odesłano ją do jej komnat, ponieważ młodym damom nie wolno tak się zachowywać w obecności królów, ale Edward się tym nie przejął. Czuł się raczej szczęśliwy, bo skoro ją odesłano, nie będzie musiał z nią gadać. Prawdopodobnie – myślał – już nigdy jej nie zobaczę. Nigdy, przenigdy.

W jakimż był błędzie! Oto właśnie przybył do Luwru, by prosić króla o poparcie i spróbować przeciągnąć na swoją stronę również Szkocję. Tak przynajmniej radziła mu Bess, a Edward wierzył we wszystko, co mówiła.

Ale nie miał zamiaru wtajemniczać Grace w te wszystkie zawikości.

– Po postu z nią porozmawiaj, jeśli będziesz mieć okazję – poprosił. – Nie musisz śpiewać peanów na moją cześć. Po prostu powiedz jej, co wiesz o mojej sytuacji. Zobacz, czy da się ją nakłonić do pomocy. Nie ma za wiele realnej władzy, więc sama pewnie niewiele wskóra, nawet gdyby była skłonna, poza tym przecież mieszka w Luwrze, nie wspominając już o tym, że jest niepełnoletnia, ale sądzę...

– Dobrze, dobrze. – Grace uniosła ręce. – Porozmawiam z nią.

– Dziękuję. – Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić, skoro ryzykował życiem, by mogła zachować ten swój bezcenny nóż.

Dobiegło ich pukanie i do środka weszły Jane i Bess, wciąż zmęczone po tygodniu użerania się z Watahą oraz podróży zamaskowaną łodzią przez Kanał Angielski. Zwłaszcza Jane wydawała się styrana, jakby nie spała od kilku dni.

– Edward! – powitała go wesoło. – Znowu wyglądasz jak król.

Prawda – znowu miał na sobie pończochy, wyszywane złotem dyniowe spodnie i jedwabną koszulę oraz złotokremowy brokatowy dublet z bufiastymi rękawami. Strój dopełniała obszyta futrem szata. Zapomniał już, ile ważą te wszystkie warstwy odzieży. Od tygodni chodził ubrany jak chłop i ciężar królewskich szat jawił mu się teraz jako symbol cięższej na nim, przygniatającej do ziemi odpowiedzialności.

– Również i wy, drogie panie, wyglądacie dzisiaj kwitnąco – rzekł, przeskakując wzrokiem od Grace do Jane, potem do Bess i znowu do Grace.

Jane stanęła przed nim, wygładziła mu płaszcz wdzięcznym ruchem dłoni i złapała w palce futrzane obszycie.

– Mam nadzieję, że to nie fretka.

– Gronostaj – odparł. – Ale noszę się z myślą, żeby zrezygnować z futra w ogóle, kiedy już się to wszystko skończy. Nie chciałbym nosić jakiegoś pechowego Eðianina.

– Jestem tego samego zdania.

– Jak tam Gifford? – spytał, bo ostatnio doskwierał mu brak towarzystwa młodego lorda. Jane była dla Edwarda jak siostra, liczył więc na to, że z czasem zacznie myśleć o Giffordzie jak o bracie. O przyjacielu. Nic tak nie łączy ludzi jak spoglądanie wspólnie w rozdziawioną paszczę śmierci. – Wciąż siedzi w psiarni za to, że zamknął cię w klatce?

– W stajni – ucięła sztywno.

– Nie karz go zbyt surowo, Jane – poprosił. – Zrobił to, żeby cię chronić przed niebezpieczeństwem.

– Ale w tym właśnie problem. – Opadła z westchnieniem na misternie zdobione krzesło. – Ja po prostu nie wiem, jak z nim o tym porozmawiać. Gdy tylko próbuję, zaraz cisną mi się na język inwektywy i chce mi się krzyczeć. To głupie. To nie ja.

Zdusił śmiech.

– Cieszę się, że tu ze mną jesteś. Chyba wolałbym znowu zapolować na niedźwiedzia, niż odbyć to spotkanie.

Grace zdradziła się ze zdziwieniem:

– To chyba przyszcz w porównaniu z tym, co przeszliśmy w ostatnim czasie? Musisz z nim tylko pomówić.

– Muszę być królem Anglii – powiedział, masując kark. – Będę musiał rozmawiać z Henrykiem jak król z królem. – To zadanie pod pewnymi względami przerażało go bardziej niż jakakolwiek dzika bestia.

– Jesteś przecież królem – rzekła cicho Bess. – To proste zadanie, Edwardzie – musisz po prostu być sobą.

– Czyli król Francji ma na imię Henryk. W ogóle nie będzie się mylić z innymi Henrykami – gderła Grace, znowu szarpiąc się z dekoltem sukni.

– Tego konkretnego króla akurat łatwo będzie zapamiętać – powiedział. – Król, którego zaraz spotkamy, to Henryk, a jego żona to królowa Katarzyna. Jest jak mój ojciec, tylko bez tych wszystkich innych żon.

Drzwi się rozwarły i do komnaty wszedł wykwintnie ubrany lokaj, który skłonił się Edwardowi do samej ziemi.

– Jego Wysokość oczekuje Waszej Wysokości.

– Wcale się nie pomiesza – utyskiwała Grace. Zwróciła się do służącego: –

Czy mogę prosić o audiencję u królowej Marii? Bo widzi pan, jestem Szkotką i mam dla niej wieści z ojczyzny. Nic ważnego, ma się rozumieć, ale coś, co na pewno uzna za zabawne.

Mężczyzna zdawał się zaskoczony tą nieformalną prośbą.

– Sprawdź, czy królowa przyjmuje gości – odrzekł. – Zechce pani poczekać tutaj.

Jane wspięła się na palce i ucałowała Edwarda w policzek.

– Powodzenia, kuzynku.

Nie uszedł jego uwadze mars na twarzy Grace. Myśl, że może być zazdrosna o Jane, lała miód na jego serce. A że nie był w ciemni bity i potrafił rozpoznać nadarżającą się okazję, zwrócił się natychmiast do towarzyszki:

– Od ciebie nie dostanę buziaka? Będę potrzebował tyle szczęścia, ile to tylko możliwe.

Zmrużyła te swoje zielone oczy.

– Nie sądzę, bym przynosiła ci szczęście.

– Jesteś dla mnie jak prawdziwy amulet szczęścia.

– Och, czaruś się znalazł. Dobra, niech ci będzie. – Jej usta musnęły jego policzek, zostawiając na nim plamę przyjemnego ciepła.

– Powodzenia, sire.

– Wasza Wysokość? – ponaglił go lokaj.

Nadszedł czas.

Wiedział, że będzie mu potrzebne coś więcej niż tylko szczęście. Usiłował nie myśleć zbyt wiele o tym, jak wiele zależy od wyniku tego spotkania. Potrzebowali żołnierzy, okrętów i mnóstwa stali. Bez pomocy francuskiego króla nie będą mieli szans w starciu z Marią. Wszystko zależy od tej rozmowy. Od doboru słów.

Nogi miał jak z waty. Nawet buziak od Grace nie ukoił jego nerwów.

– Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy – powiedziała mu Bess, gdy ruszyli w stronę drzwi.

Skinął głową.

– Trzymaj się planu, a będzie dobrze – dodała. – Celuj w słabe punkty króla, a sam graj najmocniejszymi kartami, jakie masz w ręku.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł Edward, bo, zaiste, to było wszystko, co mógł zrobić.

Król Francji w niczym nie przypominał ojca Edwarda. Był spokojnym, opanowanym mężczyzną o gustownie przystrzyżonej brodzie i zuchwałym spojrzeniu. Lubił nosić białe futra i buty na obcasie, dzięki czemu wydawał się wyższy. Lubił psy, ale nie był Eđianinem ani nie wspierał ich sprawy. Nie krył się z opinią, że uważa zmienianie się w zwierzęta za wyjątkowo niesmaczne, a samych Eđianów za ludzi, którzy zupełnie nie umieją się zachować, tak jakby ich dar miał cokolwiek wspólnego z kulturą osobistą. Zważywszy na okoliczności, nie wróżyło to najlepiej.

Lecz król okazał się także człowiekiem współczującym, który z życzliwością odniósł się do prośby Edwarda. Chciał usłyszeć wszystko o utracie tronu przez młodego króla, jakby była to najświeższa plotka.

– A więc księżniczka Maria brała udział w spisku, którego celem było otrucie cię? – spytał, nie kryjąc ekscytacji, gdy Edward doszedł do tej części opowieści.

– Sama przystawiła mi łyżkę z trucizną do ust – potwierdził Edward. – Ale ja nie dałem się faszerować jak gęś.

– Cóż za zatrwazająca bezczelność! – wykrzyknął król. – Oto kobieta, która chciała zabić nie tylko króla, ale i brata. Co za tupet, powiadam. Ale jak udało ci się uciec?

Edward wziął głęboki wdech. „Bądź sobą”, radziła mu Bess, ale tak naprawdę chciała powiedzieć: „Bądź sobą, chyba że jakaś część ciebie nie spodoba się królowi, jak na przykład fakt, że jesteś pustką. Wtedy nie bądź sobą, tylko kimś innym. Udawaj porządnego Nieskalanego, albo marny nasz los”.

– Jeden z moich służących zabrał mnie z pałacu – skłamał w żywe oczy. – Wywiózł mnie za mury na wozie z sianem. Cóż to była za męka.

– Ha! – Król roześmiał się serdecznie. – Wóz z sianem! To dopiero!

Rechotał w najlepsze, a dworzanie zawtórowali mu niczym echo.

– Rozumiesz więc, królu, powagę sytuacji – ciągnął ostrożnie Edward, gdy śmiech nieco przycichł. – Jeśli moja siostra dalej będzie zasiadać na tronie, pokaże światu, że każda zachłanna, chciwa kobieta z królewskiego rodu może z powodzeniem sięgnąć po koronę, nawet gdy spoczywa ona na skroni prawowitego króla. Królowe zaczną wówczas wyrastać jak grzyby po deszczu. Europa pogrąży się w chaosie.

Chciał tą przemową stworzyć pozory nieustępliwości. Bess kazała mu mówić jak najwięcej o zdradliwej Marii i okropnej babskiej anarchii targającej całym kontynentem, ale z jakiegoś powodu czuł się dziwnie,

mówiąc te wszystkie rzeczy, gdy za jego plecami stały Jane i Bess: dwie kobiety, które szanował najbardziej na świecie.

Król Henryk pochylił się ku niemu.

– No cóż, ma to sens. To prawda, ich zachłanność nie zna granic – powiedział, łypiąc oskarżycielsko na siedzącą u jego boku królową Katarzynę. Edward dowiedział się od Bess, że to notoryczna intrygantka, a król stale obawia się, że przywiedzie go kiedyś do zguby, by osadzić na tronie swojego syna i władać jako regentka.

– To prawda, nieustannie próbują być kimś więcej, niż zakłada przeznaczona im pozycja społeczna – przytaknął. – Zaś zarówno ty, Wasza Wysokość, jak i ja wiemy, że władza jest domeną mężczyzn, nie kobiet. Kobiety nie nadają się do królowania.

– Ale czyż sam nie namaściłeś kobiety na swoją następczynię? – spytał król Francji, wskazując gestem Jane.

Dwórnicy umilkli.

Edward spojrzał na kuzynkę. Miała zamknięte oczy i poruszała ustami, jakby liczyła pod nosem do dziesięciu.

Wrócił wzrokiem do króla.

– Chciałem, by korona trafiła do męskich potomków mojej kuzynki – wyjaśnił Edward. – To chyba oczywiste? Jakże bym miał powierzyć królestwo komuś takiemu jak Jane. – Zadzga go we śnie, był tego pewien. Dobrze, że przynajmniej zachowywała litościwie milczenie. Na razie. Edward oczyścił gardło. – Lecz niestety mój stan zdrowia pogorszył się tak prędko (tak to zwykle bywa, gdy kogoś trują), że Jane nie zdążyła wydać na świat potomka. Księżę upatrzył w tym szansę, by posadzić na tronie członka swej rodziny. Skłonił mnie do zmiany linii sukcesji i mianowania Jane dziedziczką tronu, by później koronować jej męża, a własnego syna. Potem koronę dziedziczyliby jego synowie, a wnuki księcia. Żałuję tej decyzji, ale byłem wówczas na łasce lorda Dudleya i nie miałem wyboru.

– No cóż... – Król zamyślił się. – Teraz to bez znaczenia. Gdyby udało im się cię otruć, Maria i tak zasiadałaby teraz na tronie, czyż nie?

– Masz rację, królu. – Edward uniósł ręce w geście: a co ja mogę?

– I oto stoisz przede mną, prosząc mnie o pomoc – ciągnął król Henryk. Oczy mu lśniły, jakby odsunięty od władzy król Anglii pełzał u jego stóp z błagalnym jękiem na ustach.

Edward, rzecz jasna, ani myślał pełzać i jęczeć. Wyprostował się.

– Nie wolno nam pozwolić, by Marii uszła na sucho ta zdrada – wyrzekł

dobitnie. – Mam, oczywiście, własną armię i kilka okrętów. Ale mojej siostrze należy się nauczka. Pomyślałem, że chętnie opowiesz się, królu, po mojej stronie w tym konflikcie. Moglibyśmy pokazać światu co innego: że żaden król nie da się wysiudać z należnego mu miejsca przez wredną babę w średnim wieku, której uroiło się, że może się równać mężczyznom. Jesteśmy mężczyznami, jesteśmy królami. Nie ustąpimy.

Królowa Katarzyna wwiercała się w niego przesyconym nienawiścią spojrzeniem, a Jane, nie miał co do tego wątpliwości, przy pierwszej okazji zaciśnie swoje drobne rączki na jego gardle i będzie go tarmosić, póki nie wyzionie ducha. Mimo wszystko nie zamierzał zmienić strategii.

Która najwyraźniej odniosła skutek.

– Doskonale – wyrzekł Henryk po długiej i dramatycznej pauzie. – Francuskie okręty są do twojej dyspozycji, francuscy żołnierze także, ilu tylko zdołam ci powierzyć. Pozbądź się tego cudaczego krówska, które śmie się nazywać królową.

Ogarnęła go tak wielka ulga, że mało brakowało, a zachwiałyby się na nogach.

– Tak zrobię – poprzysiągł. – Jestem ci wdzięczny, królu.

– Spodziewam się, że to scementuje przyjaźń między naszymi krajami – rzekł na koniec król Henryk, a Edward wiedział, że będzie odtąd dłużnikiem korony francuskiej. Ten człowiek wydobędzie z niego o wiele więcej niż tylko podziękowania. Ale taka jest cena odzyskania korony. I Edward musiał ją zapłacić.

– Niewątpliwie – rzekł.

– Jeśli wolno mi udzielić ci rady... – dodał po chwili Henryk. – Jak król królowi...

– Oczywiście. Z chęcią skorzystam z twojej mądrości, Wasza Wysokość.

– Musisz, młody człowieku, znaleźć sobie żonę. Jak najprędzej, ośmielę się dodać. Spłodź syna. Ja sam mam trzech, że o bękartach nie wspomnę. Odczuwam ulgę na myśl, że nigdy nie znajdę się w twoim położeniu. Moja linia krwi jest bezpieczna. Ty powinieneś zabezpieczyć swoją.

Edward zmusił się do zachowania spokoju, który opuścił go na dźwięk słowa „żona”. Czuł, jakby mógł wypełnić płuca powietrzem tylko do połowy.

Żona.

Król miał rację.

Edward powinien się ożenić.

– To mądra rada – wydusił. – Po raz kolejny składam ci dzięki.

– Powinieneś rozważyć kandydaturę mojej córki Claude.

Królowa obcesowo wypchnęła z szeregu dziewczynę mniej więcej w wieku Edwarda, ubraną w ekstrawagancką suknię celem ukrycia pospolitej urody. Claude dygnęła przed Edwardem do samej ziemi.

– Ja... oczywiście, chętnie rozważę tę propozycję – odpowiedział. – Mademoiselle – skłonił się dziewczynie.

– *Votre Altesse* – odpowiedziała (to po francusku „Wasza Wysokość”, gdyby ktoś nie wiedział), nie patrząc mu w oczy.

Gdy opuszczał salę tronową, świat wirował wokół niego z przyprawiającą o mdłości prędkością. Nie spodziewał się, że droga do tronu okaże się tak wyboista. Dopiero teraz rozumiał, czego Henryk oczekuje w zamian za pomoc.

Zapomniał, że ceną za tron Anglii jest wolność.

*

Król Francji wyprawił na cześć Edwarda ucztę, na której król Anglii musiał się oczywiście stawić, choć wolałby raczej spędzić trochę czasu w samotności, by sobie wszystko poukładać. Ta dysputa o kobietach i ich pozycji społecznej namieszała mu w głowie, tak że sam już nie wiedział, co myśli. Zaprzagnął, by towarzyszyła mu Jane. Mógłby z nią porozmawiać (i przeprosić... choć czy naprawdę musiał przeproszać? Powiedział tylko to, co kazała mu powiedzieć Bess, a poza tym to przecież prawda, nie? Kobiety to słabsza płeć, no nie? Czy nie tak jest napisane w Biblii?), ale Jane była teraz fretką. Gifford też się nie pojawił. Bess siedziała w swojej komnacie i obmyślała następne posunięcie. A Grace nie widział od rozmowy z królem.

Przechadzał się wśród tańczących par i stołów zastawionych wymyślnymi francuskimi daniami. To nie do pomyślenia, jak na francuskim dworze marnotrawi się pieniądze – pomyślał Edward. Luwr był po prostu olbrzymi, co najmniej trzykrotnie większy od największego pałacu Edwarda, i przebogato umeblowany. Jeszcze niedawno cały ten przepych wywołałby u niego zazdrość, lecz teraz uznał wystrój pałacu za kiczowaty, wręcz ordynarny.

Czuł, jakby jego poprzednie życie skończyło się wieki temu.

Jak to możliwe – zamyślił się – że można czuć się tak samotnie w otoczeniu tylu ludzi? Wokół niego gromadzili się klakierzy, w tym wiele kobiet, które słyszały poradę Henryka, lecz gdy z nimi rozmawiał, kiwał tylko głową, wcale nie słuchając, co mówią, i gapił się w swój kielich z winem.

Żona. To trochę przerażające.

Aj tam, i co z tego? To niewielka cena za odzyskanie tronu, a przecież sam wybierze sobie kobietę i termin ślubu. Jest to jakieś pocieszenie. Nikt go do niczego nie zmusi. Jest królem czy nie?

– Wasza Wysokość! – rozszczebiotał się jakiś głos. – Czy zaszczyci mnie Wasza Wysokość tańcem?

Podniósł wzrok.

Maria Stuart, zwana też królową Szkotów. Oczywiście, wszędzie by ją rozpoznał. Oczywiście, że prawie czarne. Te same oczy, które przez te wszystkie lata spoglądały na niego z portretu. Mimo to różniła się od dziewczyny, która kiedyś na niego tupiała. Ma się rozumieć, była nieco starsza – wtedy miała tylko osiem lat, teraz dwanaście. Nosila czerwoną satynową suknię, a czarne włosy miała zaplecione i upięte w skomplikowany wzór, którego ułożenie musiało zająć godziny. Nawet musnięto jej policzki różowym pudrem.

Wyglądała bardzo dorośle.

– Wasza Wysokość? – ponagliła.

– Wasza Wysokość – zreflektował się Edward, skłaniając sztywno. – Oczywiście, to zaszczyt dla mnie.

Przeszli na środek parkietu. Taniec był długi i skomplikowany, poza tym nie zapewniał zbyt wiele czasu na rozmowę. Złożona sekwencja obrotów i przejść pozbawiła Edwarda tchu. Maria tańczyła lekko i z wprawą. Często uśmiechała się do niego, a on nie wiedział, co ma zrobić z tymi uśmiechami. Czyżby miała sztylet schowany w fałdach sukni? Spodziewał się, że lada moment poczuje ostrze pod zębem.

Taniec dobiegł końca. Podziękował jej i zaczął szykować się do ucieczki.

– Czy możemy porozmawiać? – spytała, zanim zdążył czmychnąć, i wyciągnęła ku niemu swą drobną dłoń.

Zgodził się skinieniem. Dłoń wplotła się w zgięcie jego łokcia.

– Spędziłam popołudnie z twoją towarzyszką Grace – poinformowała go, gdy spacerowali wzdłuż ściany. – Jej historie wprowadziły mnie w znakomity humor.

O Boże, co ona jej nagadała?

– Tak, Grace ma nadzwyczajne poczucie humoru – odrzekł.

– To prawda. Sprawiała, że zatęskniłam za Szkocją. – Nie słyszał w jej głosie szkockiego akcentu. Pewnie od jej ostatniej wizyty w ojczyźnie upłynęły lata.

Szli w przedłużającej się, niezręcznej ciszy. Język stał Edwardowi kołkiem w ustach. Czuł na sobie wzrok innych uczestników balu, ich bystre i ciekawskie spojrzenia pełzały mu po plecach, a zwłaszcza spojrzenie francuskiej królowej i jej nieładnej córki Claude.

– Jesteś wyższy, niż zapamiętałam – przerwała wreszcie ciszę Maria.

– To prawda. Ja również zauważyłem, że bardzo się zmieniłaś.

Oblała się rumieńcem.

– Wybacz mi, proszę, tamto tupanie.

– Niniejszym wybaczam – uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że zostawimy nasze utarczki w przeszłości, a w przyszłość wejdziemy jako przyjaciele.

– Tak. Przyjaciele. Zachowałam się tak, bo nie lubię, gdy mówi mi się, co mam robić i kogo poślubić – wyznała z emocją. – To przez to patrzyłam na ciebie spode łba.

– Rozumiem, wierz mi.

Przystanęła, puściła jego ramię i popatrzyła na niego. Szczerze, ale nie naiwnie.

– Wciąż nie lubię, gdy mi się coś narzuca. – Podążył za jej spojrzeniem, które skierowała do środka sali, gdzie Edward dostrzegł jasnowłosego chłopca o ściągniętej twarzy.

Ach, więc to musi być delfin. Księżę François.

– Wydaje się... w porządku – orzekł Edward, a potem umilkł, gdy chłopiec nabrał z tacy całą garść słodyczy i wepchnął do ust. A następnie wydłubał coś z nosa i to też zjadł.

Maria wydeła usta w grymasie rozpacz.

– Czasem ciągnie mnie za włosy i wyzywa.

– Myślę, że z tego wyrośnie – powiedział Edward. Może z dłubania w nosie również.

Mała królowa spojrzała na niego z beznamietnym wyrazem twarzy, a Edwarda ogarnął smutek, gdy uprzytomnił sobie, w jak młodym wieku oboje nauczyli się kryć twarze za maskami.

– Wydaje mi się, że Anglia jest ciekawsza od Francji. Nie sądzisz?

Pochylił się do niej i odszepnął:

– Owszem. Wyjąwszy jedzenie.

– Och, prawda – zgodziła się Maria. – Jedzenie tutaj jest pyszne. Ale król miewa napady szału, a królowa traktuje mnie okropnie, nienawidzi mnie, a poza tym... Nie lubią tu takich jak my.

Ciekawe – pomyślał Edward. Grace owinęła sobie Marię wokół palca.

Teraz królowa Szkotów chciała mu się zwierzyć, zaufać mu.

– Takich jak my? – udał, że nie rozumie.

Pociągnęła go za ramię i przystawiła usta do ucha, a potem szepnęła:

– Podobno jesteś pustułą.

Jego serce zabiło szybciej. To państwo wciąż było w szponach Nieskalanych i przyznanie się w Luvrze do Eđianstwa nawet dla niego mogło się źle skończyć.

Z drugiej strony ta podróż nauczyła go, że czasem trzeba zdobyć się na ryzyko.

– To prawda – szepnął, spojrzawszy na Marię. – A ty?

Uśmiechnęła się przebiegle. Ich twarze były tak blisko, że niemal musnęła go rzęsami, czuł jej oddech na policzku.

– Jestem myszą. Tak właśnie uciekam, gdy ktoś mnie goni: zmieniam się w małą czarną mysz, której nikt nigdy nie zauważa. Jestem dobra w chowaniu się. I w słuchaniu. A słyszałam takie rzeczy, że nigdy byś mi nie uwierzył. – Zbliżyła się jeszcze. – Wiesz, w Szkocji mam sekretną armię. Wszyscy żołnierze są Eđianami. Czy to nie wspaniałe?

– W rzeczy samej – przytaknął.

Zagryzła wargę.

– Wyślę ich do ciebie. Pewnego dnia zmienię się w mysz i już nigdy nie wrócę do Francji. Czy wtedy ty pomożesz mi?

Oddech uwiązał mu w gardle.

– Oczywiście – powiedział. – Zawsze będziesz w Anglii mile widziana, Wasza Wysokość.

Ścisnęła jego rękę. Miała miękkie palce, a paznokcie idealnie przycięte i zaokrąglone.

– Mów mi Maria.

– Maria – powtórzył, zdając sobie sprawę z dziwnego bólu w sercu. Zwalczył ten dziwny impuls. – Jestem Edward.

– Edward – uśmiechnęła się. – Cieszę się, że się rozumiemy.

Ja też – pomyślał gorzko. Rozumiał ją. Może nawet zbyt dobrze.

Wydawała się ucieszona.

– Oto twoja towarzyszka – powiedziała, patrząc gdzieś za niego. – Witaj ponownie.

– Milady? – Edward okręcił się i zobaczył idącą ku nim Grace w szarej aksamitnej sukni. Jego serce zamarło.

– Nie jestem żadną towarzyszką – poprawiła ją Grace – tylko przyjaciółką.

Królowa Katarzyna zawołała Marię, by zatańczyła z delfinem.

– Zawsze depcze mi po palcach – jęknęła młoda królowa, na moment znowu stając się naburmuszoną dziewczynką z portretu, po czym ulotniła się, by dołączyć do narzeczonego.

Edward poczuł, że wraz z jej odejściem z jego serca unosi się jakiś ciężar. Podsunął Grace ramię.

– Zatańczysz?

Pokręciła głową z taką mocą, że jeden z jej loków wydostał się spod spinki i opadł na twarz.

– Nie umiem tańczyć.

– A zatem jest coś, czego nie umiesz? – wyrzekł, markując zdumienie. – Jak to możliwe?

Parsknęła śmiechem i spojrzała po wirujących wokoło parach.

– Żyjesz w innym świecie, sire, pełnym barw i muzyki, wielkim i wspaniałym. Rozumiem, czemu się za nim stęskniłeś.

Właściwie to wcale się nie stęskniłem – pomyślał. – Nic a nic.

– Przejdźmy się nad rzeką – zaproponował. – Tłoczno tutaj.

– Jeśli to rozkaz Waszej Wysokości... – Przyjęła jego ramię i pozwoliła się wyprowadzić na zewnątrz. Niebo obsypało się gwiazdami, a pałac zdawał się rozrastać wzdłuż brzegu szemrzącej cicho Sekwany.

– Pozwól nauczyć się tańczyć – powiedział, gdy znaleźli się w ustronnym miejscu.

– To chyba kiepski pomysł – odparła cierpko. – Szkoda by było, gdybyś umarł teraz, po całym trudzie, jaki włożyłam w utrzymanie cię przy życiu.

– To łatwe. Chodzi głównie o ukłony i dyganie. – Zademonstrował głęboki, dworski ukłon. – Teraz twoja kolej.

Grace stała chwilę, namyślając się, a potem dygnęła niezgrabnie.

– Widzisz? Nie było źle. A teraz złap mnie za rękę – poinstruował.

Usłuchała.

– Przyciągnę cię do siebie, ukłonimy się sobie, a potem cofniemy się o krok i znowu ukłonimy.

Ćwiczyli przez jakiś czas, poruszając się w rytm muzyki dobiegającej z otwartych okien.

– Jesteś w tym naprawdę dobry – pochwaliła go, gdy ją prowadził.

– Ćwiczyłem latami. Moi instruktorzy często mawiali, że kluczem do opanowania sztuki tańca jest sprawianie wrażenia, jakbyś nie mogła się przed nim powstrzymać. I spoglądanie w oczy partnera, podczas gdy reszta ciała

poddaje się muzyce.

Wstrzymali oddech, gdy ich spojrzenia się spotkały. Edward złapał Grace w tali i uniósł, zataczając wolno półokrąg. Jej ramiona powędrowały do jego szyi, gdy opuścił ją wdzięcznie na ziemię.

– Czy mogę cię pocałować? – zapytał pod wpływem impulsu. – Nigdy wcześniej nie całowałem się z dziewczyną. Chcę, żebyś to była ty. Czy mogę?

Prosił ją o coś bardzo niestosownego i wiedział o tym. Życiem ludzi takich jak on rządziły pewne reguły. Przyszłość mogła się potoczyć dwoma ścieżkami: mógł przystąpić do walki o koronę, przegrać i umrzeć albo odzyskać tron Anglii i ożenić się z jakąś zagraniczną księżniczką celem zacieśnienia stosunków między państwami. Wtedy pewnego dnia do wrót jego pałacu zachrobotałaby mała czarna mysz, której oczekiwania bezwzględnie powinien spełnić. Grace zaś niezależnie od wszystkiego dalej będzie szkodką złodziejką.

Ale nic go to teraz nie obchodziło.

– Nie będę zgrywać damy – odpowiedziała Grace, unosząc wzrok. – To bez znaczenia, w jaką suknię mnie ubierzesz. Pałac to nie miejsce dla mnie.

– Wiem. Pocałuj mnie.

Parsknęła śmiechem.

– Aleś ty dzisiaj śmiały.

– Grace, chciałem cię pocałować od chwili, gdy spoczął na tobie mój wzrok. Niecałowanie cię przez cały ten czas to była katonga. – Ujął jej twarz w dłonie, a ona spojrzała na niego z powątpiewaniem. – Wierz mi, że to bolało bardziej, niż kiedy umierałem z powodu trucizny. Tego dnia, gdy wystrugałaś dla mnie lisa, prawie udusiłem własną babcię. Proszę cię, byś ukoila moje cierpienie.

Roześmiała się znowu, zdradzając się ze zdenerwowaniem.

– Dobrze więc. To tylko pocałunek.

Tylko pocałunek – zapewnił się w myślach. – Dobrze, niech tak będzie.

Pocałunek. Nic więcej.

Pierwszy pocałunek.

A potem zacznie postępować jak człowiek dorosły i jak król – będzie robił to, czego się od niego oczekuje.

Zadrzała i zwilżyła dolną wargę językiem, a Edward przez chwilę bał się, że stanie w płomieniach na ten widok. Przychylił się do niej, utonął w tych zielonych, najzieleniejszych oczach. Modlił się, żeby tego nie zepsuć. Czuł, że dzieje się coś bardzo ważnego, tak ważnego jak odbicie państwa z rąk

uzurpatorki. Albo jeszcze ważniejszego. Przymknął powieki.

– Poczekaj – przerwała Grace. – Sire.

– Jestem Edward, u diabła – wydyszał.

– Nie mogę – wyrzekła drżącym głosem. – Wiem, że tego chcesz. I ja też chcę. Ale nie mogę ot tak zapomnieć, kim jesteś. Zawsze będziesz przede wszystkim królem.

Jej słowa podziały na niego jak kubeł zimnej wody. Otworzył oczy i odsunął się od niej raptownie.

– Ach, tak. Rozumiem.

– Lubię cię. Naprawdę. Ale nie mogę...

Przetarł twarz dłońmi.

– Ja już pójdę.

Zmarszczyła brwi.

– Sire...

– Niech to szlag! – wypalił. Błysnęło światło i zmienił się w ptaka. Wzleciał w niebo. Wydał z siebie przenikliwy skrzek, a potem wzbił się wyżej i pomknął tak daleko, że nie dostrzegłby Grace, nawet gdyby się obejrzał.

*

– A więc masz wszystko, czego pragnąłeś – powiedziała Bess dużo później.

– Jasne – skwitował sarkastycznie. Oparł się o nadburcie pięknego francuskiego okrętu, którym wracali do Anglii. Wschodziło słońce, bryza igrała w jego włosach.

– Co się z tobą dzieje? – domagała się odpowiedzi Bess.

– Nic. To prawda, mam armię. – Obserwował Jane i Gifforda, którzy stali kawałek dalej na dziobie, spędzając ze sobą te dziesięć bezcennych minut, zanim Gifford przybierze postać konia. Jakie to dla nich było proste. Jakie oczywiste.

– To najdziwniejsza ze wszystkich armii, jakie kiedykolwiek zbudowano – rzekła Bess z uśmiechem. – Są w niej Francuzi, Szkoci, i tysiące Eðianów, a wszyscy na twoje rozkazy, bracie. Zwycięzimy, Edwardzie, jeśli tylko dobrze rozegramy karty.

– A potem znów będę królem Anglii.

– W mojej opinii nigdy nie przestałeś nim być, ale dopiero teraz zaczniesz rządzić naprawdę. Będziesz mógł naprawić wszystkie szkody, jakie nieuczciwi doradcy i ta uzurpatorka poczynili w Anglii. Wszystko, co

powiedziała Archerowi, to prawda. Dopilnujesz, by Eđianie i Nieskalani koegzystowali ze sobą. Możesz wszystko zmienić, powściągnąć te bezsensowne wydatki na dworze, żyć skromnie, upewnić się, że skarbiec już nigdy nie będzie świecił pustkami. Oprócz tego zmienić system podatkowy, odciążyć biednych, ująć im cierpienia, a jednocześnie zatroszczyć się o sprawy możliwych. Mógłbyś być o wiele lepszym królem niż ojciec. Zrównoważonym, mądrym, ugodowym.

– Lepszym od ojca? – Nie umiał sobie tego wyobrazić.

– Tak. Anglia znowu będzie opływać w dostatek. Żyję tylko po to, by doczekać tego dnia – powiedziała z pasją.

Zapatrzył się w daleki horyzont i pogрузzył w myślach. Większość nocy spędził, fruując. I rozmyślając. Po raz pierwszy nie pogubił się w ptasiej euforii. Chyba powinien się z tego cieszyć.

– A wiesz – powiedział do siostry – że Maria Stuart, królowa Szkotów, jest myszą?

– Jasne, że wiem.

Obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

– Wiedziałaś o tym? Jak to jest, że ty zawsze wszystko wiesz?

– Jestem kotem – wyznała. – Źle mi pachniała.

Zaśmiał się mimo woli.

– Pustułki też jedzą myszy. – Przypomniął sobie tę jedną mysz, którą upolował swojej pierwszej nocy pod postacią ptaka. Naszła go ochota, by znowu polatać. Rozprostować skrzydła.

– Jeśli jeszcze ją kiedyś spotkamy, będziemy musieli powściągnąć nasz instynkt drapieżcy – zwróciła uwagę Bess.

– Da się zrobić – odrzekł półgłosem.

Zlustrowała jego twarz natarczywym spojrzeniem.

– Edwardzie, co cię gryzie? Boisz się? To strach przed bitwą?

– Nie – odpowiedział bez wahania. Wsparta o reling ręka zacisnęła się w pięść. Uniósł wzrok na Bess. Wzdrygnęła się, widząc zaciętość w jego szarych oczach. – Jestem gotowy do walki.

Lecz mówiąc to, uświadomił sobie, nie po raz pierwszy zresztą, że jako król nie odniósł dotąd znaczących sukcesów. I że nie zasługuje, by ponownie zasiąść na tronie. Że może ktoś inny (a właściwie byle kto, nie licząc, rzecz jasna, Marii) lepiej nadaje się do tej funkcji.

JANE

W obozie Eđianów panowała cisza, jeśli nie liczyć trzaskania ognisk i przytłumionych głosów żołnierzy, którzy siedzieli skupieni wokół ognia, nie mogąc zmrużyć oka, i omawiali taktykę lub dzielili się historiami, których nigdy jeszcze nikomu nie opowiedzieli, a które musiały zostać opowiedziane, w razie gdyby jutro zabrała ich śmierć.

Słoneczny blask rzedł z wolna. Siedząc w wejściu do namiotu, Jane nie mogła dostrzec Londynu, miasto kryło się za setkami namiotów wokoło. Mimo to wiedziała, że tam jest. Że rzuca na nią nieprzenikniony, złowrogi cień.

Do namiotu Jane kłusował kasztanowy koń.

Gifford.

Jane odetchnęła z ulgą. Wielu Eđianów wysłano wcześniej na zwiad i Gifford znalazł się wśród nich. Cały czas się o niego martwiła.

Odsunęła połę namiotu, by go wpuścić i oszczędzić mu upokorzenia przemiany w nagiego człowieka na oczach całego obozu.

Gifford wcisnął się do środka, uważając, by nie stratować leżącego na ziemi siennika, po czym stanął, pozwalając Jane zarzucić sobie na grzbiet płaszcz. Żona podrapała go za uchem i cierpliwie czekała, aż słońce dotknie horyzontu.

Ten wieczorny rytuał powtarzał się od opuszczenia Helmsley. Chcieli spędzić ze sobą jak najwięcej czasu w ludzkiej postaci. Oczywiście był to czas ograniczony koniecznością ubierania i rozbierania się, ale jak dotąd jakoś udawało im się w ten sposób funkcjonować. Taki sam rytuał miał miejsce rano, lecz często trwał nieco krócej, gdy któreś bądź oboje nie mogli się dobudzić. Fretki i młodzi ludzie lubili czasem zaspać.

Ale od polowania na niedźwiedzia narosła między nimi jakaś dziwna niezręczność. Wiadomo, co było jej przyczyną.

– Mam nadzieję, że byłeś dziś bardzo produktywnym koniem – powiedziała Jane. W namiocie panował półmrok, rozmyty jedną latarnią zawieszoną na krokwi. – Jeśli nam się nie powiedzie, Maria dopilnuje, abyśmy spłonęli na stosie.

Wnętrze namiotu wypełniło się światłem.

– Nie mów tak. – Gifford szybko poprawił płaszcz i wziął przygotowane

przez Jane ubranie. – Przeżyjemy i dzień jutrzejszy, i wiele innych, które po nim nastąpią. Będziemy mieli całe lata, by kłócić się o wszystko, o co tylko zechcesz się pokłócić.

Powiedział to tak, jakby to było coś przyjemnego.

– Mam nadzieję – odparła lekko. – Mam już nawet listę.

– Nie wątpię. O co będziemy drzeć koty w pierwszej kolejności?

– Myślę, że wiesz.

– Hm... – Był już mniej więcej ubrany. Zrzucony z ramion płaszcz legł w półksiężycu wokół jego stóp.

Jane stanęła z mężem twarzą w twarz i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Zamknąłeś mnie. W klatce. – Jak mógł nie rozumieć, że to poważna sprawa?

– Próbowałem cię chronić! – skontrował.

Jane wyrzuciła ręce w górę.

– Ale ja nie chcę, byś mnie chronił! A już na pewno nie chcę, byś to ty decydował, kiedy trzeba mnie chronić! To nie należy do twoich obowiązków.

Przez kilka chwil świdrowali się wzrokiem.

– Jestem twoim mężem – wyrzekł wreszcie. – Co niby należy do moich obowiązków, jeśli nie dbanie o twoje bezpieczeństwo?

Do Jane dotarło, że może on czuje się w tym związku tak samo niepewnie jak ona. Że może nie jest tak pewny siebie, jak przypuszczała.

– Mąż musi przede wszystkim szanować żonę – zaczęła przyciszonym głosem. – Ufać jej. Jeśli mówię ci, że chcę coś zrobić, to nie możesz mi tego zabraniać tylko dlatego, że coś może mi się stać. To moje życie. Muszę sama o sobie decydować.

– Kiedy poszłaś za mną do karczmy, omal nie umarłaś. – Wyglądał, jakby kompletnie opadł z sił na wspomnienie tamtej nocy. – Omal nie umarłaś, Jane. I z kim bym się wtedy kłócił?

– Znalazłbyś kogoś innego.

– Nie. – Przystąpił do niej. – Tylko z tobą chcę się kłócić.

Zajrzała mu w oczy i odkryła, że mówił poważnie.

– A ja z tobą.

– Szanuję cię, wierz mi – powiedział. – I ufam ci – podjął szybciej, zapalczywiej. Ściemniało się. – Przepraszam cię, Jane. Nie powinienem był więzić cię w klatce wbrew twojej woli i nie powinienem był pozwolić ci myśleć, że twoje pragnienia nie są najgorętszymi z moich pragnień. Po prostu nie mogłem znieść myśli, że mogę cię stracić. Przepraszam cię, stokrotnie,

tysiąckrotnie przepraszam.

Jane potrzebowała chwili, by rozwikłać znaczenie jego słów.

– A więc przepraszasz za to, że zamknąłeś mnie w klatce?

Potwierdził skinieniem.

– I będę przepraszał cię codziennie do końca swojego krótkiego życia, jeśli to pomoże.

– Szkoda zachodu. – Skróciła dystans i podniosła na niego wzrok. Spojrzała mu prosto w oczy. Pogroziła mu palcem. – Jeśli jeszcze kiedyś bodaj pomyślisz o zamknięciu mnie w klatce, zadżgam cię drutem do robótek ręcznych.

– Jakbyś wydobyła tę groźbę z mych najgorszych koszmarów, milady. – Wyszczrzył się.

– A sama obiecuję być ostrożniejsza w obliczu niebezpieczeństwa. W końcu gdybym zginęła, nie miałbyś z kim się kłócić.

– Cieszę się, że w końcu zdobyliśmy się na odrobinę rozsądku.

Wsparała głowę na jego piersi. Ciepły oddech Gifforda przeczesał jej włosy, rozniecił iskierki w jej brzuchu.

– A teraz chciałbym usłyszeć, jak ci minął dzień. Przeczytałaś coś nowego?

– Przeczytałam to samo, co i ty. – Zmarszczyła nos. – Wojsko z jakiegoś powodu nie uznaje za celowe wożenia ze sobą biblioteki. Nie rozumiem czemu. Gdybyśmy wszyscy usiedli czasem z książką, byłoby mniej czasu na całe to wojowanie.

Giffordem wstrząsnął serdeczny śmiech.

– Z ust mi to wyjęłaś, milady. Wyobraź sobie, ile pieniędzy oszczędziliby rządzący, gdyby zamiast w wojnę zainwestowali w krzewienie czytelnictwa.

– Jeśli mogłabym kupować tyle książek, ile bym chciała, królewski skarbiec i tak wkrótce zacząłby świecić pustkami.

– Anglia znalazłaby się na skraju bankructwa w ciągu tygodnia – odrzekł ze śmiertelną powagą. – Bogu dzięki za wojny.

Odepchnęła go, śmiejąc się.

– Jesteś jak chorągiewka na wietrze, puchu marny!

Kąciki jego ust uniosły się do uśmiechu.

– Już za późno. Zmieniłem stronę, a skoro tego zabroniłaś i nie mogę zmienić jej ponownie, nie mam innego wyjścia, jak tylko trwać w wiecznej opozycji względem mojej milady.

– Jakże trafnie opisałeś cały nasz związek – roześmiała się i przywarła do niego. – Nie żałuję, że za ciebie wyszłam. Może tylko szkoda mi, że dokonało

się to w takich okolicznościach i że czasem sprawiamy sobie przykrość. Ale cieszę się, że jesteśmy małżeństwem.

Uśmiech Gifforda wyrażał tak wielką nadzieję i ulgę, że Jane ścisnęło w gardle. Opanowała ją przemożna chęć wspięcia się na palce i pocałowania go. Ale zaraz rzuciła okiem w stronę wyjścia.

– Już prawie pora fretkowania.

Chciał odstąpić od niej, lecz mu nie pozwoliła. Pokręciła raptownie głową.

– Nie chcę się dzisiaj zmieniać. Chcę spędzić tę noc, być może naszą ostatnią, jako człowiek. Z tobą. – Zarzuciła mu ręce na szyję i zatopiła twarz w jego ramieniu. – Chcę więcej, niż tylko tych kilku minut, Giffordzie. G.

– Wiem – odszepnął. Przytulił ją mocno. – Ja też.

Całe jej ciało opanowały drgawki, uczepliła się go, jakby był jej kotwicą. Niekiedy wieczorami ogarniała ją rezygnacja i po prostu poddawała się przemianie, innym razem walczyła z nią, choć wiedziała, że nie ma szans na wygraną. Ale teraz opierała się zmierzchowi całą mocą swej woli. Chciała pozostać człowiekiem. Potrzebowała zachować ludzką postać. I być z Giffordem.

Magia naparła na nią wartką falą... i spłynęła z niej, a Jane otworzyła oczy, spodziewając się znaleźć pod postacią fretki skulonej w ramionach Gifforda.

Ale okazało się, że tylko to ostatnie było prawdą.

Gifford trzymał ją przy sobie, lecz głaskał ją nie po sierści, a po włosach, zaś ona stała na nogach, nie na łapkach.

Jego twarz promieniowała zdumieniem.

– Przełamałaś klątwę.

Wciąż drżała. Może się pomylili? Po tygodniach połowicznego życia i krótkich spotkań o świcie i zmierzchu wiedzieli dokładnie, ile mają czasu do następnej przemiany, lecz przecież niewykluczone, że mogli się pomylić.

– Nie chciałaś zmienić się we fretkę – dodał – więc pozostałaś w ludzkiej formie.

– To nie to. – Wzięła głęboki oddech. – Przede wszystkim chciałam zostać z tobą. To było pragnienie mojego serca.

Na jego twarzy zwały się w boju osłupienie i niedowierzanie, lecz w końcu wypłynął na nią szeroki uśmiech i Gifford ujął głowę żony w dłonie. Jane przywarła do niego z bijącym ogłuszająco sercem. Byli tak blisko. Tak blisko.

Ktoś odgarnął połę namiotu i wszedł do środka.

– G... – Edward zatrzymał się z jedną nogą w namiocie. – Och, wybacz mi,

Jane. Myślałem, że zastanę cię już pod postacią fretki.

Przez chwilę żałowała, że nią nie jest. Byłoby to mniej zawstydzające niż fakt, że kuzyn przyłapał ich na... na czymś. Na pocałunku, do którego nie doszło. Ekscytacja i zniecierpliwienie w jednej chwili minęły. Odstąpiła od męża i zaczerpnęła tchu. Musiała teraz myśleć przede wszystkim o Anglii.

– Już dobrze. W końcu nauczyłam się kontrolować mój dar. Dzisiaj chyba już się nie przemienię.

– Świetnie! To świetnie. – Edward rzucił jej przelotny, zaambarasowany uśmiech i zwrócił się do Gifforda: – Zaraz odbędzie się w moim namiocie narada wojenna.

Gifford obrócił się do Jane.

– Powinnaś pójść z nami.

Jane zamarła. Ona z nimi? Żeby układać plany, obmyślać strategię?

Edward zmroził Gifforda spojrzeniem.

– G, będziemy planować bitwę. My, to znaczy mężczyźni. No i Bess, ma się rozumieć.

– I właśnie dlatego powinna do nas dołączyć Jane – powiedział Gifford. – W myśleniu bije nas wszystkich na głowę.

Jane skakała wzrokiem od jednego do drugiego.

– No dobra – orzekła. – Chodźmy, mam mnóstwo pomysłów.

Wszyscy troje weszli do namiotu gdzie zebrali się dowódcy czterech armii – Archer, Bess i oficerowie armii Francji i Szkocji. Stali wokół stołu, na którym rozłożony był plan Londynu. Gifford przez kilka minut objaśniał ukształtowanie terenu, wskazując przydatne pod względem strategicznym wzgórza i wzniesienia oraz miejsca, gdzie powinni skierować atak celem przedostania się do miasta.

– I to jest ten wasz genialny plan? – spytała z niedowierzaniem Jane. – Chcecie oblegać Londyn?

Edward wzruszył ramionami.

– No, jakoś musimy go zdobyć.

– Londyn nigdy nie ugiął się przed oblężeniem – zauważyła Jane. – Historia nie notuje podobnego przypadku.

– Ale przecież Maria nie wyjdzie nam na spotkanie, skoro może kryć się za murami. – Edward kaszlnął łagodnie. – Nie pośle armii do walki, dopóki nie uzna tego za absolutnie konieczne. Zasady walki nic dla niej nie znaczą.

Jane wpadła na pomysł.

– A więc i my musimy je złamać – ogłosiła, ściągając na siebie niechętne

spojrzenia zebranych w namiocie mężczyzn. – Londyn jest niezdobyty. Ale kto powiedział, że musimy go zdobyć?

Maria nie potrzebowała przecież armii, żeby zagarnąć stolicę. Owszem, dysponowała wojskiem, ale jej żołnierze tylko sterczeli na murach i stroili groźne miny, podczas gdy ona zmusiła Radę do posłuszeństwa i siłą zagarnęła tron.

– Co więc proponujesz, Jane? – Bess ośmieliła ją życzliwym uśmiechem.

– Zamiast Londynu musimy zdobyć Marię.

– Znaczy co? – zdziwił się francuski dowódca. – Wysłać jej kwiaty i czekoladki?

– Jane chodzi chyba o to, że musimy ją pokonać bez oblegania miasta – wyklarował G.

– Pokonać. Tak, to jest myśl – powiedziała Bess. – Edward musi tylko stanąć przed nią na oczach wszystkich. Pokazać, że prawowity król Anglii żyje. Wtedy nikt nie zakwestionuje jego prawa do tronu. Ale musi się to stać w odpowiednim miejscu, gdzie nikt nie poda w wątpliwość tożsamości króla. I nie wolno nam dać Marii ani chwili na przygotowania.

– Maria okopie się w Tower, prawda? – spytał G. – W królewskich apartamentach na szczycie White Tower?

– A więc włamiemy się do White Tower. – Jane przyłożyła otwartą dłońią w błąt.

– Która... – bąknął Edward, patrząc na kuzynkę – też nie została nigdy zdobyta, zgadza się?

– Tak. Tylko że my umiemy coś, czego inni nie umieją. – Jane zaczęła wyliczać na palcach: – Znamy plan Tower of London na pamięć. Jedno z nas jest pustką.

Wszyscy powiedli wzrokiem do Edwarda (nawet ów francuski dowódca, choć nie był pewien, dlaczego właściwie na niego patrzy. Nie domyślił się jeszcze, co się święci, pomimo licznych wskazówek).

– Ale nie mogę udać się tam w pojedynkę – zaprotestował Edward.

– Zgłosiłbym się na ochotnika – odezwał się milczący dotąd Archer – ale nad murem nie przeleczę.

(Tym razem francuski dowódca zmrużył podejrzliwie oczy. W końcu Francją wciąż rządzą Nieskalani).

Edward wpił się w niego spojrzeniem.

– To nie mur jest problemem, lecz tylko to, że będę nagi po drugiej stronie. I nieuzbrojony. Będę musiał wylądować i przebrać się na Tower Green, gdzie

Maria będzie mnie miała na widelcu, bo to w końcu tam pali na stosie takich jak ja. Wolałbym jej tego nie ułatwiać.

(Tym razem wszyscy zajarli, o co chodzi).

– Nie robi mi różnicy, jeśli chcesz przedostać się do Tower jako ptaszek – oświadczył Archer, uśmiechając się krzywo. – Ale widzisz, mamy tu mrowie wojska. Chcesz powiedzieć, że zbieraliśmy armię na darmo?

Szkoccy i francuscy dowódcy popatrzyli po sobie, złączeni na krótką chwilę wzajemną solidarnością.

– Wcale nie na darmo – zapewniła go Jane. Czy oni nie mogliby po prostu zrozumieć? – Armia przyda się do odwrócenia uwagi obrońców. Do dywersji. Wyobraźcie sobie panikę Marii, która wyrzy przez okno i zobaczy u swoich bram wielotysięczną armię. O, dokładnie tutaj. – Pokazała miejsce na mapie. – Po przeciwnej stronie miasta, patrząc od Tower. – Nachyliła się nad stołem, rozemocjonowana. – Przecież Maria nie wie nawet, że żyjesz, Edwardzie. Musi myśleć, że to ja przygotowuję się do napaści na Londyn. I niech sobie tak myśli.

– To nie rozwiązuje problemu ptasiego króla stojącego z ptaszkiem na wierzchu na Tower Green – powiedział Archer. – Czy twój plan uwzględnia zachowanie go przy życiu do momentu konfrontacji z Marią?

– Owszem – odparła z uśmiechem od ucha do ucha. – Jeszcze jak.

*

Edward planował zaatakować miasto o świcie, ale nowy plan zakładał rozpoczęcie akcji o zmroku, żeby prościej było niepostrzeżenie przekraść się do Tower. Dzięki temu mieli cały dzień na przygotowania.

– Poćwiczę trochę – ogłosiła Jane, gdy wrócili do namiotu, by zażyć wreszcie nieco snu.

Powiesiła płaszcz na krokwi, by służył za parawan, po czym zdjęła ubranie. Błysnęło, gdy zmieniła się we fretkę, potem w dziewczynę, a potem znowu we fretkę, i jeszcze raz. Zaskakujące – pomyślała – jakie to proste, kiedy się wie, jak to robić. Kiedy się wie, czego się pragnie.

– Nie popisuj się – mruknął Gifford. – Sąsiadów pobudzisz tymi błyskami.

Jan marzyła, żeby G zapragnął tego samego. W ludzkiej postaci byłby za dnia o wiele bardziej użyteczny. A był to tylko jeden z powodów, dla którego chciała spędzić z nim jutrzejszy dzień.

Jane zmieniła się znowu i wbiegła mu po nodze na ramię. Pogłaskała ją.

– Świetnie sobie radzisz – pochwalił. – Możemy teraz iść spać?

Jane myślała chwilę, czy nie zaprosić go do ćwiczeń. Ale gdyby miał na to ochotę, sam by zaproponował. I sam by spróbował. Ale ponieważ się nie kwapił, znowu zmieniła się w dziewczynę, ubrała i położyła obok niego na sienniku.

– Ale miło – wymruczał z nosem w jej włosach, wtulając się w nią. – Dzięki, że nie każesz mi spać na ziemi.

– Znaj łaskę pani – odmruczała.

Było nawet bardziej niż miło – pomyślała, zamykając oczy i próbując uspokoić myśli. Gdyby mogła, zasypiałaby tak co wieczór. Ale równie dobrze może to być ich ostatnia wspólna noc.

To uczucie, że mogą nie przeżyć jutra, robiło się okropnie znajome.

*

Nad ranem obudził ją śpiew ptaków. Już prawie świtało. Rozprostowała ramiona i poruszyła palcami. Wciąż była dziewczyną.

– Spałaś? – doszedł ją z tyłu głęboki głos półprzytomnego Gifforda.

Kiwnęła głową i zwlokła się z siennika.

– Tak sobie, ale pewnie lepsze to niż nic. – Całą noc kręciła się w skołunionej pościeli. Dzisiejszy dzień nie dawał jej spokoju.

Gifford wstał i przeczesał włosy.

– Ja nie spałem w ogóle. Myślałem o tym, jak przełamałaś klątwę.

Spojrzała na niego z nadzieją w oczach.

– Mówiłaś wczoraj o pragnieniu serca.

Gifford miał pogniecione ubranie, a na twarzy odbity ślad dłoni, na której całą noc trzymał głowę. Piękny – rzuciło jej się na myśl. – Jeśli można tak powiedzieć o mężczyźnie. Wyczytała w jego oczach pytanie. Znała na nie odpowiedź.

– Giffordzie, ja... – Słowa uciekały jej z języka. Dlaczego tak trudno to powiedzieć? Przecież nie ma w tym nic złego. To uczucie narastało w niej od dni spędzonych w wiejskim domu, pogłębiało się i rosło nieprzerwanie od tamtej pory. A teraz, gdy odkryła, jak kontrolować przemianę, mieli przed sobą jakąś przyszłość.

Jane wypatrywała jej z wytęsknieniem.

– Jane. – Popatrzył znacząco na wyjście. – Już prawie czas – wyrzekł nagłym tonem.

Słońce.

– Nie zmieniaj się dzisiaj – wyszeptała. – Zostań ze mną.

– Chciałbym, ale... – zaczął zrzucać z siebie ubranie, poluzował kołnierz, rozpiął guziki.

– Nie zmieniaj się! – Jane potrząsnęła jego ramieniem, jakby chciała samym dotykem odczytać klątwę. – Powstrzymaj się. Chciej zostać ze mną najbardziej na świecie.

– Wybacz mi, Jane, ja...

Złapała go i pocałowała, wpiła się palcami we włosy, zamknęła w objęciach.

– Zostań ze mną – wyszeptała, dotykając ustami jego ust. – Nie zmieniaj się. Zdumiony Gifford cofnął się na ułamek uderzenia serca.

– Jane – westchnął, uśmiechając się szeroko.

– Nie zmieniaj się. – Spojrzała mu głęboko w oczy. – Proszę.

– Och, Jane. To był książkowy przykład najpiękniejszego z pocałunków.

Odwdzięczył się, z początku miękko i delikatnie, lecz szybko dał się przyciągnąć i mocniej przycisnął wargi do jej warg. I to było to. Czują, że się jej poddaje, poznała to po sposobie, w jaki do niej przylgnął po tym, jak zamknął jej policzek w jednej dłoni, a drugą pogładził po ramieniu. Wyczuła jego pragnienie pozostania w ludzkiej formie. Jakby chciał przeciągnąć tę chwilę w nieskończoność, zatrzymać ją na zawsze.

Lecz nagle odskoczył od niej i zdjął koszulę, otuliło go jasne światło.

– Nie! – Jej serce szamotało się w piersi, łzy napłynęły do oczu.

Światło zgasło i w namiocie stał koniec.

Przycisnęła ręce do ust, wstrząsnęła nią cichy szloch.

Gifford spuścił głowę.

– Nie martw się – powiedziała drżącym głosem. – Nie tak łatwo opanować przemianę. Nawet babcia mówiła, że miała z tym kłopot, pamiętasz? Jak wypoczniesz, spróbujesz jeszcze raz.

Odgarnęła dla niego połę namiotu.

– Do zobaczenia. Do wieczora.

Wyszedł, nie spoglądając na nią. Po prostu opuścił namiot, zostawiając ją samą pośród niknącego zapachu końskiej sierści.

Przeniosła wzrok na posłanie, które dzielili, próbując powstrzymać płacz. A co, jeśli nie darzył jej takimi uczuciami, jak ona jego? Co, jeśli to przez to zmienił się w zwierzę? Próbowwała powstrzymać jego przemianę, naprawdę próbowała, pocałowała go przecież! Ale to nie wystarczyło.

Widocznie nie jest dość dobra, by wystarczyło.

*

Jane spędziła cały dzień w oczekiwaniu na zmierzch.

Jane nie widziała Gifforda cały dzień, jeśli nie liczyć tych kilku okazji, gdy mignął jej wśród innych koni na pastwisku lub gdy dostrzegła go odpoczywającego w cieniu drzew. Nie żeby w natłoku obowiązków i szale przygotowań miała czas o nim myśleć. Było tyle do zrobienia i tak mało czasu.

Kiedy pomiędzy namiotami załśniły pomarańczowe smugi światła, ruszyła do namiotu dowódczego i zobaczyła kłusującego w jej stronę Gifforda. Miodowe lśnienie przebiegło po jego kasztanowej sierści, gdy minął ją, nawet nie przystanąwszy, i wszedł do namiotu.

Zabolało ją serce.

Skupiła wzrok na gotujących się do bitwy żołnierzach. Zakładali pancerze, osadzali tarcze na przedramionach, obwieszali się bronią. Łucznicy sprawdzali łuki. Kawalerzyści siodłali wierzchowce. Cywile odrzucali kłapy namiotów, przygotowując się do przyjęcia rannych.

Będzie mnóstwo rannych. I martwych.

– Mają tylko wyglądać groźnie.

Edward wyszedł z namiotu dowódczego i dołączył do krzątającej się w lazarecie Jane. – Tak jak mówiłaś: mają tylko odwrócić uwagę Marii od nas.

– Tak, wiem. – Otoczyła się ramionami. – Ale ktoś na pewno odniesie rany. Przecież oni przyjmą na siebie cały ostrzał z murów.

Gdzieś tam był Archer, który zbierał swoich ludzi i przygotowywał się do poprowadzenia w bój swojej Watahy. Wiedziała, że Grace uparła się, by dołączyć do ich oddziału. A co, jeśli Grace coś się stanie? Jak Edward zniósłby jej śmierć?

Przeszedł ją dreszcz. A co, jeśli sam Edward zginie? Jej plan nie był idealny. Sporo zależało od zmiennych, których nie sposób było przewidzieć. Kto jej zagwarantuje, że jej kuzyn wyjdzie z tej kabały cały i zdrowy?

Jane nie wiedziała, czy przeżyje jego drugą śmierć. Jego albo Gifforda.

Gifford.

(W tej chwili my, wasze narratorki, chciałybyśmy poświęcić chwilę, by napisać parę słów o prawdziwym zagrożeniu. Przypominamy, że obiecałyśmy tylko tyle, że opowiemy alternatywną historię względem tej zawartej

w podręcznikach. Jeśli w ogóle ktoś z was natrafi na książkę historyczną, w której znajdzie się choć jedna wzmianka o Jane, możecie się uważać za szczęściarzy. Bardzo często historycy pomijają ją w zestawieniach angielskich władców. Ale jeśli taką znajdziecie, dowiecie się zapewne, że lady Jane Grey władała Anglią przez dziewięć dni i została obalona przez Marię, która następnie ścięła jej głowę. Wiemy już, że w naszej opowieści to się nie wydarzyło, a wiemy stąd mianowicie, że głowa Jane wciąż jest na miejscu.

Sęk w tym, że nie możemy wam obiecać, że w nadchodzących rozdziałach Jane wciąż będzie miała tyle szczęścia. Czy Gifford, albo Edward, albo którykolwiek z bohaterów, z którymi zdążyliście się już zżyć. Prawda jest taka, że każdy z nich może umrzeć w dowolnej chwili, a wtedy – no cóż – królowa Maria bez wątpienia spędzi następne pięć lat, pracując na swój przydomek – Krwawa Mary – i paląc na stosie setki biednych Eđianów. Pamiętajcie o tym, czytając dalej.

No dobra, to teraz wracamy do zamartwiającej się na śmierć Jane).

– Wszyscy robimy to w jednym celu – powiedział łagodnie Edward. – Każdy żołnierz to wie. Są gotowi poświęcić życie dla sprawy, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– A co to za cel?

– Celem jest Anglia taka, jaką chcemy ją widzieć. Kraj pokoju i dobrobytu, królestwo, gdzie każdy może być sobą, nie bojąc się prześladowań i nie cierpiąc przemocy.

– Kto wie, może i warto za to umrzeć – rozległ się głos Gifforda.

Obróciła się. Drgnęła, widząc go w ludzkiej postaci. W jej sercu zagościły jednocześnie radość i smutek. Błagała go dziś rano, by się nie przemieniał, a on i tak to uczynił.

– O, widzisz? – uśmiechnął się Edward. – Nawet koń się zgadza.

Gifford się skłonił.

– Dośrubuj męstwo do ostatnich gwintów, no nie, G? – Edward klepnął go w ramię i schylił się, by pocałować Jane w policzek. – A teraz lepiej się przemienię. Żeby się upewnić, że starczy mi czasu na opanowanie euforii.

Lepiej, żeby starczyło – pomyślała. Co prawda poczynił duże postępy od ćwiczeń w Helmsley, ale jeśli nie dotrze na miejsce na czas...

Jej kuzyn zmienił się w pustulkę i wzleciał w rozgwieżdżone niebo. Podążyła za nim wzrokiem.

– Nie musisz tego robić, Jane – powiedział Gifford, gdy zostali sami. – Są inni, którzy mogą zrobić to za ciebie.

Uśmiechnęła się smutno.

– Muszę. Byłam królową raptem dziewięć dni i nie chcę zostać nią znowu, ale kocham Anglię. Chcę o nią walczyć, tak jak o prawa Eðianów. Zrobię, co będzie trzeba, by zapewnić nam wolność.

Gifford podszedł do niej, ale jej nie pocałował, nie obdarzył jej nawet dotykiem. Przyglądał jej się niepewnie. Jego poranna transformacja wciąż wisiała między nimi jak wyrzut sumienia.

– A więc idźmy, milady.

Milcząc, weszli do namiotu, gdzie zastali Pet z głową wspartą o krzesło Edwarda.

– Chodź, Pet – powiedziała cicho Jane, słysząc już niesione wiatrem odgłosy bitwy. – Wiem, że chcesz pomóc Edwardowi. I pomożesz, tak jak to omówiliśmy. No już, chodź.

Suczka zaskomlała, jakby jej zdaniem plan był strasznie głupi, ale posłusznie opuściła obóz wraz z nimi.

– Nic się nie bój – zwrócił się do psa Gifford. – Obronię nas w razie potrzeby.

Pet pisnęła żałośnie, a Jane musiała przyznać jej rację. Sama nie pokładała wielkich nadziei w umiejętnościach szermierczych męża. Choć na pewno sprawdził się w boju z Wielkim Bieluchem.

Z daleka doszedł ich jazgot trąb. Rozpoczął się atak na miasto. Pospiesznie oddalili się od zgiełku bitwy, przemykając wzdłuż rzymskiego muru chroniącego miasto.

– Tutaj. – Jane wprowadziła grupę do szerokiego rowu biegnącego wzdłuż linii muru. Jeśli tylko przemkną bezszelestnie, zarośla ukryją ich przed bystrym wzrokiem strażników. – Trzymajcie głowy nisko.

– Łatwo ci mówić. – Gifford prychnął śmiechem.

Zgromiła go spojrzeniem.

– Ktoś ci kazał rosnąć do nieba? – zaripostowała, w gruncie rzeczy szczęśliwa, że jej nikczemna postura w końcu się do czegoś przydaje. Wreszcie miała jakąś przewagę nad dryblasami, wśród których żyła od dziecka. Przewagę, atut, zaletę... Zreflektowała się i zatrzymała karuzelę synonimów. Miała zadanie do wykonania.

– Idziemy w kierunku klasztoru Świętej Katarzyny. Jak najszybciej, ale nie kosztem zdemaskowania.

Cała trójka przekradła się chaszczami tak szybko, jak tylko się odważyła. Każdy krzyk zza murów sprawiał, że dwoje (na razie) ludzi przywierало do

ziemi. Pet zawsze zwracała uszy w kierunku hałasu, nieruchomiejąc jak posąg, a gdy upewniła się, że są bezpieczni, merdała ogonem.

Pomysł na dołączenie Pet do małego oddziału padł w ostatniej chwili. Jane była rada jej towarzystwu, nawet jeśli Pet zmieniała się spontanicznie w nagą dziewczynę, przez co sytuacja robiła się niezręczna. Towarzyszka Edwarda jak nikt sprawdzała się bowiem w sytuacjach zagrożenia.

Oby obecna sytuacja do takowych nie należała.

Grupa dostrzegła przed sobą wielki klasztor na tle ciemniejącego nieba. Jane dobrze знаła okolicę, bo jako dzieci bawili się tu czasem z Edwardem. Dalej znajdowały się opactwa, kościoły, ogrody i szpitale. To właśnie tam znajdował się most łączący oba brzegi cuchnącej fosy i prowadzący prosto do Tower. Jane odnalazła wzrokiem ciemny masyw twierdzy, górujący nad resztą miasta, jakby podtrzymywał sklepienie zapadającej nocy, rozrzedzając ciemność zatkniętymi na murach pochodniami. Wróciła myślami do Edwarda. Ciekawe, gdzie teraz jest. I czy już kołuje nad nią w powietrzu, jak ustalili. Nie dostrzeże go w tej ciemności.

– Patrzcie – odezwał się Gifford, omiótłszy wzrokiem okolicę. – Jesteśmy już na Tower Hill.

Jane zadrzała. Stali bardzo blisko miejsca, gdzie nie tak dawno temu miał zostać stracony Gifford. O tam, za murem. Nieopodal wznosił się wielki, świeżo usypany stos przykryty zaroślami. Czekał na pochodnię i na ofiary, które Maria gromadziła w lochach od kilku tygodni. Jane nigdy nie widziała palenia na stosie na własne oczy, ale przeczytała w *Historii prześladowań Eđianów: szczegółowym sprawozdaniu z upadku zwierzoludzi o przebiegu tej formy egzekucji*. Był to prawdziwy koszmar.

I Maria chciała zgotować Giffordowi – jej Giffordowi – taki właśnie koszmarne los. Chciała przypawić o niewyobrażalne cierpienie głupiego konia, za którego wyszła Jane, a który nawet nie próbował kontrolować swojej przemiany. Który wcale jej nie kochał, a przynajmniej nie tak, jak ona jego. Mimo to gotowa była stoczyć wojnę – byle tylko uchronić go przed tragicznym losem.

Sięgnęła po jego rękę i odkryła, że i on szukał w mroku jej palców. Jeśli zawiodą dzisiejszej nocy, o świcie skończą na stosie.

Minęli zważym krokiem Aldgate i skierowali się na południe ulicą East Smithfield, a dotarłszy do klasztoru Świętej Katarzyny, ruszyli w stronę ogrodów. Cały czas trzymali się bujnych zarośli i krzewów porastających brzeg rzeki.

– Tu się rozdzielamy – oznajmiła Jane, gdy przystanęli za niskim murkiem. Wskazała na mały most nad fosą oddzielony od nich ciemną połącią ziemi. Iron Gate znajdowała się po drugiej stronie, przejście uniemożliwiała opuszczona krata. Na moście dostrzegli czterech strażników. Możliwe, że było ich więcej, z drugiej strony tak mały most nie wymagał zbyt licznej warty. Był to jeden z dwóch powodów, dla których Jane wybrała właśnie ten.

Ledwie kawałek na południe od twierdzy toczyła swoje wody Tamiza, ale Jane nie słyszała szumu wody, bo zagłuszał go łomot jej serca. Obserwowała strażników, chcąc zobaczyć, czy czasem nie patrolują mostu wedle jakiegoś wzoru, który ona i jej towarzysze mogliby wykorzystać i przemknąć za plecami gwardzistów, gdy wszyscy będą odwróceni tyłem.

– Nie podoba mi się to – szepnął Gifford. – To niebezpieczne.

– Decyzja nie należy do ciebie – syknęła, ale zmitygowała się, gdy skrzywił się na jej słowa. – Muszę to zrobić. Wiesz, że muszę. Tylko ja mogę tego dokonać. Konia zaraz by złapali. Ale nie fretkę.

– Najdroższa, naprawdę nie sędzę, by fretki były tak biegłe w sztuce skradania się, jak ci się wydaje.

Jane uszczypnęła go w ramię.

– Jestem dość biegła w sztuce skradania się, by wykonać zadanie. Czyżbyś zapomniał, że to ja wyciągnęłam cię z Beauchamp Tower?

– Tak, ale...

– Jeśli zechcę, mogę trwać bardzo długo w zupełnym bezruchu.

– Przecież poruszasz się, nawet śpiąc, moja słodka.

– Gdybym chciała się przed tobą schować, szukałbyś mnie godzinami.

– Tylko dlatego, że pewnie zasnąłabyś pod kocem gdzieś w kącie – zażartował, ale widziała po jego twarzy, że się martwi. Że jest przerażony. – Błagam, rozważ to jeszcze.

– Nie ma innego sposobu – odrzekła, patrząc mu w oczy. Oczekując. Żywiąc nadzieję. Tak pragnęła, by powiedział coś jeszcze. Czyż nie dała mu wczoraj dowodu miłości, powstrzymując swoją przemianę? Gdyby tylko coś teraz powiedział, zdjąłby z niej ten straszny, przygniatający ciężar niepewności.

Wytrwale mierzyli się wzrokiem, aż w końcu Pet westchnęła i znudzona zaległa na ziemi.

Jane przemieniła się we fretkę.

Rozbłysk światła musiał zaalarmować strażników, bo gdy Gifford przerzucił ją przez niski mur, za którym przycupnęli – a ona wylądowała w zaroślach po drugiej stronie – usłyszała szczeknięcie i zobaczyła, że Gifford

cofa się pod osłonę krzewów, szukając lepszej kryjówki.

Nie miała teraz czasu, by się o nich martwić. Ruszyła przed siebie przyspieszonym krokiem. Nie biegła, ponieważ fretki biegają, podskakując, a to nie pomogłoby jej uniknąć zdemaskowania. Gifford miał trochę racji.

Gdy pędziła przez wysoką trawę, lawirując między ziemistymi wykrotami, odkryła, że wraz ze zmianą postaci krótki spacer okazał się nagle bardzo długi. Odczuła brak ludzkich oczu, ale przynajmniej jako fretka lepiej widziała w ciemności. Nie wspominając już o tym, że o wiele więcej słyszała. I że w dwójnasób czuła odrażający smród fosy.

– Szukać Eđianów – posłyszała głos jednego z wartowników na moście.

– Zabijcie każde zwierzę, jakie napotkacie!

Jej serce porwało się do pędu. Nagle własny ogon wydał jej się wielki i zaczął mrowić. Instynkt kazał jej puścić się pędem w przeciwnym kierunku. (Czytała gdzieś, że fretki to nieustraszone stworzenia, ale w to nie wierzyła, nawet jako fretka o ludzkim umyśle. Z jej doświadczenia wynikało, że fretki chcą żyć tak bardzo jak każde inne zwierzę, a wykrzykiwane przez żołdaków rozkazy zmusiły instynkt do jeszcze żywszego zatroszczenia się o przetrwanie).

– Patrzcie, pies! Brać go!

Tupot obutych stóp. Nie była w stanie ocenić, ilu żołnierzy zbiegło z mostu. Na pewno nie wszyscy – nie mogli zostawić przejścia bez warty.

Gdy dotarła do skraju pola, uniosła głowę i zaczęła węszyć. Zakręcił ją w nosie wilgotny odór fosy (po raz kolejny przeklęła swój wspaniały węch), lecz usilnie próbowała wyłapać jakiegokolwiek inne zapachy. Wkrótce je poczuła. Rośliny. Pleśń. Pot.

Wciąż było tu dwóch ludzi, obydwaj z dobytą bronią, gotowi zabić wszystko, co się rusza. Żeby daleko nie szukać, na przykład Jane.

Przycisnęła futerkowy brzusek do ziemi i zaczęła obmyślać plan dzikiego pędu przez most. Był wąski, lecz tylko dla ludzi, jako fretka miała o wiele więcej miejsca do dyspozycji. Musiała tylko przemknąć obok wartowników, precyzyjnie się przeczekać i odszukać właściwą wieżę.

Gdzieś za nią, od strony kościoła, pod którym porzuciła Gifforda i Pet, zawył pies, a potem raptem umilkł.

– Mam jednego! – zawołał strażnik.

Ogon Jane płonął żywym ogniem, serce pompowało adrenalinę, padł na nią blady strach.

(Wyglądasz, czytelniku, na zmartwionego, ale spokojna głowa. Pet nie przydarzyło się nic złego. Wszystko to zostało szczegółowo zaplanowane

przed misją. Jane wiedziała, że strażnicy zauważą błysk jej przemiany, a więc powierzyła Pet zadanie odwrócenia ich uwagi, dając Giffordowi czas, by schował się gdzieś indziej i zaczekał na otwarcie bramy. Pet miała zwabić wartowników w zasadzkę, gdzie czekali już na nich wojownicy Watahy, ale czy jej się to uda – i czy strażnicy czasem nie zrezygnują z pościgu – to się dopiero okaże. Ale naprawdę, zaufaj nam, nie jesteśmy z tych narratorek, które uśmierciłyby psa).

A więc psi skowyt był znakiem dla Jane, że ma ruszać.

Wdrapała się na drewniany most i pędem puściła przed siebie na swoich drobnych łapkach.

– Uwaga! – Usłyszała przed sobą kroki obutych stóp. – Szczur!

Nie jestem żadnym szczurem – pomyślała i obrała kierunek na najbliższego strażnika. Wskoczyła mu na nogę, wspięła się po wysokich butach i wgrzyzła się w miękkie ciało za kolaniem, wpijając się pazurami w skórę butów. Czy szczur tak potrafi?

Smak krwi uświadomił jej, co właściwie robi. Ale było już za późno. Strażnik krzyknął rozziewając i zrzucił ją z siebie, a ona spadła na deski i potoczyła się na sam skraj mostu.

– Brać tego szczura!

Gniew kazał jej przeć naprzód. Skoczyła na równe łapki, nie zważając na ból, i popędziła przed siebie zygzakiem.

Strażnicy rzucili się za nią, ale była dla nich o wiele za szybka. Dwukrotnie ostro skręciła, a kiedy przypadli do ziemi, by ją pochwycić, wpadli na siebie i zwalili się na ziemię. Czym prędzej precisnęła się przez oko opuszczonej kraty, po czym pobiegła w kierunku Tower of London, jak umiała najszybciej.

Czyli niezbyt szybko. Czuła chłód wiatru na ciele i silną woń trawy. Nad nią wznosił się olbrzymi i groźny gmach Tower – gdy patrzyła na niego jako zwierzątko, wydawał się jeszcze większy i groźniejszy. Drgnęła, ale otuchy dodała jej myśl o wszystkich tych długich godzinach, które spędziła, ucząc się na pamięć map Tower i opracowując najkrótszą trasę do pomieszczenia, do którego musiała się dostać. Zebrawszy całą odwagę, precisnęła się pod drzwiami, przemknęła przez kilka sal, komnat i korytarzy, po czym stanęła u stóp schodów wiodących do Constable Tower.

Każdy ze stopni był tak wysoki jak ona.

Musiała się spieszyć.

Ale po cichu.

Gdzieś tam, u góry, czekał Edward.

Jane zaczęła nasłuchiwać, próbując się zorientować, czy ktoś ją goni. Cisza. Lecz tylko tymczasowa – wartownicy, których wykiwała na moście, wkrótce zaczną jej szukać.

A więc musi zrezygnować z ostrożności na rzecz szybkości.

Zmieniła się w dziewczynę.

Była naga i w panującym w Tower półmroku nie dostrzegła niczego, czym mogłaby się okryć. Prędko złapała więc latarnię i pobiegła po schodach. Lodowate kamienie ziębiły ją w stopy, ale pokonywała kolejne stopnie o wiele szybciej, niż zdołałaby to zrobić pod postacią zwierzęcia.

Komnata o wielkich oknach znajdowała się na samej górze. Jane szybko porwała pograbacz ze stojaka obok paleniska i podbiegła do okna wychodzącego na południe. Okna Tower zrobione były z przydymionego, starego szkła i się nie otwierały. Naszło ją poczucie winy w związku z tym, co miała zamiar zrobić, ale wiedziała, że nie ma wyboru. Zamachnęła się pograbaczem i przyłożyła w masywną szybę, raz i drugi, aż ta pękła i do komnaty napłynęło rześkie nocne powietrze.

No, chyba się zmieści.

Puściła pograbacz, a potem omiotła pomieszczenie wzrokiem, szukając czegoś, co mogłoby się jej przydać. Wszędzie stały szafy, regały i skrzynie. Był to jeden z powodów, dla których wybrali właśnie tę część Tower.

Przede wszystkim potrzebowali ubrań. Znalazła w jednej z szaf mundury wojskowe. Były na nią o wiele za duże i nie chciała wkładać spodni (kto to widział: kobieta w spodniach), ale doszła do wniosku, że lepsze spodnie niż paradowanie na golasa. Wybrała więc najmniejszy zestaw, a obok zbitego okna wyłożyła drugi, dla Edwarda. Który mógłby się w końcu pojawić.

– Fruńże tutaj, ptasi mózdzku. – Wlepiała wzrok w okno, ale widziała tylko ciemne niebo. Z tego miejsca nie mogła dostrzec zbyt wiele – ani bitwy, ani ataku na mury, którym dowodzili Bess i Archer, ani czekającego na nią Gifforda, który, miała nadzieję, był cały i zdrowy. Dostrzegła za to wołających do siebie, rozproszonych po dziedzińcu strażników. Chyba nie widzieli, dokąd pobiegła (choć na pewno słyszeli hałas tłuczonego szkła, więc niebawem się domyślą), lecz na pewno domyślili się, że ktoś przedostał się do wieży. Wiedziała, że zaraz się przegrupują i zaczną przeczesywać budynek. Złapią ją, jeśli natychmiast stąd nie ucieknie.

Musiła jednak zaczekać na Edwarda.

Co ona zrobi, jeśli zaraz nie przyleci?

Starając się ignorować łomot własnego serca, przetrząsnęła wszystkie

szafki w poszukiwaniu broni, ale znalazła tylko pończochy, buty i czapki. Natknęła się na kilka przedmiotów, które tylko z grubsza przypominały broń – patelnię, wałek... Pogrzebacz – przypomniała sobie.

Podniosła go z podłogi pod oknem, gdzie go porzuciła. Uśmiechnęła się na widok ostrej końcówki. Tak, nada się.

Tylko gdzie ten Edward?

Od okna dobiegł ją skrzek i do pokoju wleciała pustułka.

– Edward!

A przynajmniej miała nadzieję, że to Edward. Przyszło jej na myśl, że to strasznie głupie, gadać z obcym ptakiem.

Błysnęło światło, Jane odwróciła się i zakryła oczy.

– Jane! – powitał ją król. – Wybacz tę zwłokę, ale za diabła nie wiedziałem, które okno wybrać. Wiem, mówiłaś o południowym, ale pod postacią ptaka nie jestem w stanie odróżnić stron świata.

– Nie ma czasu na gadanie, kuzynku. Gifford na nas czeka.

– Jasne. – Poznała, że jest bardzo spięty. – Idziemy.

– Tam masz ubranie.

– O, dzięki. – Obejrzał się, podszedł do przygotowanego munduru i zaczął go wkładać.

Z dołu dobiegło ich wołanie żołnierzy. Natknęli się na odłamki szyby ze stłuczonego okna. Za kilka chwil ich znajdą.

Jane rzuciła Edwardowi pogrzebacz.

Złapał go jak miecz. Może nie zginął od razu.

– A ty?

W odpowiedzi uniosła patelnię.

GIFFORD

Gdzie ona się podziewa? Gifford chodził w kółko po drugiej stronie Iron Gate, mrużąc oczy w ciemności. Nie mógł doczekać się Jane, ale minuty wlokły się jak godziny. Każdy rozbrzmiewający w nocy dźwięk i krzyk (a noc zrobiła się bardzo głośna, gdy przerzucił Jane przez murek) mógł oznaczać, że strażnicy dopadli jego żonę. I że ją zabili.

Gifford nie wyznał tego Jane, ale bardzo ją kochał.

Błagała go, by się nie zmieniał, a on bardzo chciał spełnić jej prośbę, zwłaszcza po tym bajecznym pocałunku. Jak to możliwe, że dziewczyna taka jak Jane tak się całowała? Całym sercem, całym ciałem? Pewnie przeczytała na ten temat mnóstwo książek o tytułach w stylu *Sztuka pocałunku – same usta nie wystarczą*.

Bo ten pocałunek w namiocie był dziełem sztuki. I mówił więcej, niż wszystkie księgi świata.

Mimo to Gifford zmienił się w konia. Nie potrafił nad tym zapanować. I nie zdążył wyznać jej miłości. A teraz umrze, nie wiedząc, że była jego dniem i nocą, jego słońcem i księżycem. Uwielbiał ją. Nie powinien był kryć się z uczuciami.

Zamknął oczy. Błagam cię, Boże, pozwól mi ją jeszcze kiedyś zobaczyć.

I błagam, żeby Edward obronił ją przed niebezpieczeństwem.

I żeby, jeśli mu się nie uda, zdążyła schować się gdzieś pod postacią fretki.

A jeśli ją znajdą, to żeby wymknęła im się z fajtłapowatych rąk.

I żeby przynajmniej zabili ją szybko, jeśli mimo to znowu ją dopadną.

G zacisnął powieki i spróbował wyrzucić z pamięci tę ostatnią modlitwę. Zamiast tego napisał w głowie linijkę prozy:

Jeśli cię jeszcze zobaczę, Jane, będę nosił swoje serce na dłoni, by dziobały je kruki, wrony...

Przypomniał sobie wyraz jej twarzy zaraz po pocałunku. Rzucił okiem na migoczące w ciemnej bramie pochodnie, z trudem opierające się porywom wiatru. Mogłyby uczyć się świecić od Jane. Zeszłej nocy była słońcem, a wszystkie kwiaty tej ziemi zwróciły się w jej stronę, by czerpać życiodajne ciepło.

G wyjął z kieszeni piórko, kałamarz i notes, po czym zaczął odkorkowywać

buteleczkę, uważając, by nie wylać zawartości.

(Niestety, drogi czytelniku, o wiele wygodniejszy ołówek wynaleziono dopiero pod koniec szesnastego wieku, a prototyp długopisu – w dziewiętnastym, więc Gifford musiał się mozolić z gęsim piórem. Pierwsi czytelnicy naszej powieści dziwili się, czemu zawracał sobie głowę, by zabrać do walki pióro, kałamarz i notes, skoro już dźwigał na plecach trzy miecze, lecz G z pewnością sam by potwierdził, że lepiej czuje się z piórem w ręku niż z mieczem i że gdyby miał wybierać oręż, zawsze przedłożyłby pióro nad miecz, ponieważ istniało większe prawdopodobieństwo, że dźgnie kogoś stalówką w tętnicę, niż że przeszyje go mieczem. Jak więc widzicie, Gifford naprawdę wierzył, że pióro jest potężniejsze od miecza).

Odłożył broń na ziemię i przytknął pióro do papieru.

Ach, prawda to, iż pochodnie od mej lubej Jane winny uczyć się świecić, albowiem ona jest słońcem, które...

Zanim skończył myśl, usłyszał kroki na brukowanej ulicy, a potem przyciszony szept.

– Gifford?

To był Edward. G porwał pochodnię ze ściany i uniósł ją wyżej. Ledwie udało mu się wyłuskać z mroku dwie biegnące ku niemu sylwetki, kiedy dogonili je dwaj żołnierze Marii.

– Jane! – wrzasnął Gifford. O ile można wrzasnąć szeptem.

Gdy jego oczy przyzwyczyły się do mroku, dojrzał, że Edward unosi... pogrzebacz? A Jane zamachuje się... Czy to jest patelnia?

Co to za niedorzeczna broń? To pewnie pomysł Jane. Giffordowi wyglądało to na przedmioty, które tylko Jane uznałaby za oręż.

Nikt nie zwrócił uwagi na jej patelnię. Strażnicy uznali, że Edward stwarza większe zagrożenie od białogłowy, a więc udało jej się czmychnąć i cofnąć do wąskiego korytarza.

Dobrze – pomyślał z ulgą Gifford. – Zdołała uniknąć walki. Gdzieś w głębi serca odczuł smutek, że nie zwróciła uwagi na jego wołanie.

Strażnicy dobyli mieczy i stanęli do walki z młodym królem.

– Panowie – zaczął Edward swoim najbardziej królewskim tonem. – Schowajcie broń. Jam jest Edward VI, z Bożej łaski król Anglii, Francji i Irlandii. Wasz pierwszy po Bogu władca i prawowity suweren na Ziemi.

– Król Edward nie żyje – padła odpowiedź. – A poza tym Francja to chyba ma własnego króla.

– Żyję i mam się dobrze – ciągnął niezrażony. – Pełzają po świecie

szumowiny, które chcą, byście wierzyli, iż zszedłem byłem z tego łoża padołu, lecz, jak widzicie, pogłoski o mojej śmierci były dalece przesadzone. Oto jestem!

Gwardziści wymienili spojrzenia.

– On mówi prawdę! – krzyknął Gifford przyczepiony do kraty. – To nasz prawdziwy i prawowity król. Odbyłem wraz z nim podróż do Francji, by zebrać armię. Walczyłem u jego boku z Wielkim Białym Niedźwiedziem z Rhyd. Niech żyje król Edward!

Strażnik po prawej opuścił miecz, ale jego kamrat wciąż był nieprzekonany.

– Czekaj, przecież Wielki Bieluch to bujda na resorach. Nie słuchaj tych kłamców.

– A jeśli mówią prawdę? – odparł ten drugi, drapiąc się w głowę. Na jego twarzy malowało się zagubienie.

– A jeśli nie mówią? Powieszają nas za zdradę stanu. Zresztą jeżeli nawet nie kłamią, to możemy ich zabić tu i teraz i nikt się nigdy nie dowie.

– Nie! – zawołał G. – To bardzo zły pomysł!

Żołdak po prawej uniósł miecz ponownie i nabrał tchu, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Powietrzem wstrząsnęło przenikliwe „bong” i mężczyzna zwałił się na ziemię. Nad nim stała Jane z triumfalnie uniesioną patelnią.

– Brawo, Jane! – zakrzyknął G. Patrzcie państwo, ile można zdziałać patelnią.

Edward za pomocą swoich znakomitych umiejętności szermierczych, nabytych w wyniku wieloletnich ćwiczeń, błyskawicznie uporał się z drugim strażnikiem, zadając dwa celne sztychy pogrzebaczem w bardzo wrażliwe miejsca.

– Znakomicie, sire – pochwalił go G. Przeszło mu przez myśl, czy to na pewno był taki dobry pomysł, żeby uciekać z lekcji szermierki i pisać wiersze. Uznał, że później się tym pomartwi. Po walce.

Edward podbiegł do bramy, a zaraz po nim Jane. Wspólnie uruchomili dźwignię i zaczęli podnosić kratę.

Gifford pochwycił spojrzenie Jane i zastygł, nie mogąc oderwać od niej oczu. Szelest za jego plecami powiedział mu, że biegnie ku nim Pet. Suczka przelazła pod kratą i doskoczyła do Edwarda. G, gdy tylko zdołał precyzyjnie się na drugą stronę, wziął Jane w ramiona.

– Jane.

– Gifford.

– Ja... My... Jest tyle rzeczy, które powinienem był ci powiedzieć.

– Żałuję, że muszę przerwać tę wzruszającą scenę, ale musimy ruszać – przeszkodził mu Edward.

(Teraz zatrzymamy się na chwilę, gdyż jako narratorki poczuwamy się do obowiązku poinformowania cię, drogi czytelniku, że nie wiemy, skąd ten talent Edwarda do psucia romantycznych chwil. Wiemy tylko tyle, że ta unikalna umiejętność towarzyszyła mu przez całe życie i dała o sobie znać na przykład wtedy, gdy jego kuzynka w trzeciej linii, lady Dalrymple z Cheshire, miała właśnie pocałować swojego świeżo zaślubionego męża zaraz po tym, jak ksiądz ogłosił ich mężem i żoną. Edward wstał wówczas ze swojego honorowego miejsca i powiedział:

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale pomyślałem, że to dobry moment, by poprosić gości, żeby powstrzymali się od rzucania ryżem, bo ptaki mogą się nim zakrztusić, nawet pustułki.

Powróćmy teraz do właściwego toku akcji).

– Musimy się dostać do White Tower – rzekł Edward. – I do Marii.

Obrócili się w stronę wielkiej kamiennej budowli. White Tower – najstarsza i najlepiej ufortyfikowana wieża w całej twierdzy. To tam Maria zasiada na tronie Edwarda.

– G, masz miecze?

Gifford przebiegł na drugą stronę kraty, próbując sprawiać wrażenie, że wcale nie zostawił broni w trawie. Jane zachowała swoją patelnię, ale Gifford i Edward wzięli po mieczu. A potem Edward sięgnął po jeszcze jeden, „na wszelki wypadek”.

Skradali się do Tower jak złodzieje. G przypomniało się, jak przybyli do twierdzy w obstawie gwardii królewskiej i otrzymali wieści o śmierci Edwarda i rychłej koronacji Jane. Teraz, zanim dotarli do budynku, drogę zastąpiły im trzy postacie.

Pierwszego mężczyzny G nie znał. Drugim był jego brat Stan. Trzeci miał olbrzymi orli nos.

Edward uniósł brew na ten widok.

– Łomot – powiedział.

– Że co? – zmieszał się G.

– To Łomot, mistrz broni – wyjaśnił Edward, wskazując głową pierwszego z mężczyzn. – Nauczył mnie wszystkiego, co wiem o szermierce.

– No to świetnie – westchnął G. – Łomot. Ciekawe, skąd ten pseudonim?

Mężczyzna nazwany Łomotem mierzył ich złowrogim spojrzeniem. Gifford

uniósł miecz i zasłonił Jane ciałem. Wysunął ręce do tyłu, by zatrzymać ją w miejscu. Czuł potrzebę chronienia jej, choć wiedział, że jak jego żona się zawęźmie, powali wszystkich trzech przeciwników tą swoją patelnią.

Dudley wyszedł naprzód.

– Ot, dziwnostka. Chorowity chłopiec, bezużyteczny koniocząłek i mała dziewczynka. To będzie łatwiejsze niż odebranie dziecku cukierka.

G musiał przyznać, że jest w tym nieco racji. W końcu w związku z klątwą oraz wrodzoną niechęcią do przemocy nie odbył żadnego treningu wojennego. I nie ulegało wątpliwości, że Jane jest dziewczyną. Silną i dzielną, ale niegotową do walki na miecze – czy tam na patelni. Choćby przeczytała sto książek na ten temat. Natomiast Edward może będzie stanowił dla Łomota jakieś wyzwanie, ale i tak Gifford w pojedynkę nie da rady Stanowi i ojcu.

– Lordzie Dudley – wyrzekł Edward. – Ty wężu zdradziecki. Ty szczyrce przebrzydły. Zdradziłeś swój kraj. A co gorsza, zdradziłeś swego króla. Miałem cię za zaufanego doradcę. Klnę się na niebiosa, że zatknę twoją głowę na włóczni.

Raptem Łomot złożył się do ciosu.

– Uwaga! – ostrzegła króla Jane.

Edward zareagował błyskawicznie. Rzucił się w stronę nauczyciela, jakby całe życie czekał na prawdziwy pojedynek z mistrzem broni. Zapląsali wokół siebie, błysnęło odbite w klingach światło księżyca. Edward wzbudzał podziw postawą i wyprowadzanymi ciosami – widać było, że jest już zdrowszy i w pełni sił. Walczył iście po królewsku.

G zwrócił się do brata z uniesionym mieczem:

– Stan, opamiętaj się. Król żyje. Wszystko sprowadza się do tego, czy opowiadasz się po stronie prawowitego króla czy uzurpatorki. W tej chwili obstajesz za uzurpatorką.

Ręka Stana drgnęła niepewnie. Spojrzał na ojca.

– Mylisz się, Giffordzie – zaprzeczył lord Dudley. – Zawsze byłeś głupcem.

– Możliwe, ojczu – odparł G – ale każdemu głupcowi wydaje się, że jest mędrzem, tymczasem tylko mędrzec wie, że jest głupcem.

Ależ genialna kwestia – pomyślał. – Gdzie ja mam pióro i kałamarz?

Na twarzy księcia pojawiło się zmieszanie. Oczyszczył gardło.

– Nie będę dyskutował ze szczeniakiem. Łomot zaraz obezwładni chłopaka, a wszyscy wiemy, synu, że żaden z ciebie fechtmistrz.

Wszyscy skupili wzrok na mistrzu broni i Edwardzie. Łomot przeszedł do ofensywy. Edward wycofał się z gracją i skrył za drzewem. G zorientował się

w jego strategii obronnej. Wiele razy obserwował go podczas sparingów i wiedział, że Edward chce zebrać siły, zanim ruszy do ataku. Lecz jak na razie Łomot miał nad nim widoczną przewagę.

– Widzisz, Giffordzie? – zakrakał jego ojciec. – Widzisz, jak twój król tchórzzy?

– Sam tchórzysz! – wykrzyknęła rozjuszona Jane i przyrznęła patelnią w otwartą dłoń. Na Stanie i Dudleyu nie zrobiło to żadnego wrażenia, ale G wiedział, że jeśli Dudleyowie nie przestaną obrażać jej kuzyna, Jane zaraz przyjdzie mu na odsiecz, a wtedy nie będzie co zbierać.

Łomot posuwał się miarowo naprzód, spychając Edwarda do desperackiej defensywy. Z każdym krokiem mistrza broni młody król cofał się w stronę muru. Lecz gdy Łomot składał się do decydującego ciosu, Edward zapląsał z wdziękiem i chlasnął mieczem od góry, o mało nie ucinając rywalowi ucha. Zaskoczony Łomot aż się zachwiał.

– Trzeba być nieobliczalnym, pamiętasz? – powiedział Edward zadziornie, choć ciężko dyszał. – Tego mnie uczyłeś.

Jane wzniosła wiwat, który mógłby się mężczyznom wydać nieobyčajny, gdyby choć na chwilę oderwali wzrok od zwartych w pojedynku mężczyzn.

Szermierze podjęli swój śmiertelny taniec, a Gifford zwrócił się do ojca, przekrzykując szczęk stali:

– Być może, ojcze, zmienisz zdanie w świetle najnowszych wieści. Pierwsza jest taka: król Edward wrócił do zdrowia. Widziałem, jak zabił Wielkiego Bielucha z Rhyl i nawet się nie spocił. A teraz druga, którą pewnie uznasz za jeszcze bardziej niepokojącą: twój umiłowany pierworodny ucieka, aż się kurzy.

Lord Dudley spojrział na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Stan. W rzeczy samej, starszy z synów zniknął właśnie między dwoma budynkami kawałek dalej. Stan zawsze był jak ten mały pies, co najgłośniej szczeka.

– Pójdę po niego – zaproponowała Jane. – Walnę go patelnią.

– Nie jest tego wart, najdroższa. Zachowaj swoją patelnię na kogoś ważniejszego.

Jane prychnęła i skrzyżowała ramiona.

– A oto ostatnia wiadomość... – Gifford przystawił końcówkę miecza do monstrualnego ojcowskiego kinola. – Odkąd mnie ostatnio widziałeś, spędzałem całe noce, szlifując swoje umiejętności szermiercze. Początkowo gasiłem klingą płomienie świec i przebijałem słomiane chochoły, lecz później sparowałem z najwybitniejszymi mieczami Francji. Może nie jestem jeszcze

gotowy na starcie z mistrzem broni, ale z łatwością pokonam starego, sflaczałego, dwulicowego, przegranego cykora. – Docisnął miecz do piersi ojca, mając nadzieję, że Dudley nie przejrzy jego blefu. – Rzuć broń, tatuśku.

Lord Dudley, nie siląc się na grację i pozory honoru – i nie posiadając żadnego wsparcia ani chociaż riposty – cisnął oręż na bruk i padł na kolana. W tej samej chwili Edward zgrabnym ruchem wybił Łomotowi miecz z ręki. Jane wzniosła wiwat – strasznie głośno jak na tak drobną osobkę.

Łomot złożył ręce jak do modlitwy.

– Dam ci, czego tylko pragniesz, sire – wydyszał, pochylając głowę.

– Nie chcę niczego poza twoją lojalnością – odrzekł Edward.

– Mój królu, mój suwerenie, najmniejsze z twoich życzeń będzie odtąd największym pragnieniem mojej duszy. Zabij mnie, jeśli taka twoja wola. Lecz jeśli zachowasz mnie przy życiu, stanę się najpokorniejszym z twoich sług i służyć ci będę, jak uznasz za stosowne.

Edward powiódł wzrokiem do G i skinął głową na Dudleya.

– Zrób, jak uważasz – rzekł.

To była sprawa między ojcem i synem.

G spojrział na rodziciela, wsparł klingę o jego pierś i przycisnął tylko na tyle, by przebić materiał płaszcza.

– Giffordzie, zastanów się, co robisz! – zapiszczał lord Dudley nienaturalnie wysokim głosem.

– Zawrzyj gębę, ojczu – wypluł Gifford.

– Giffordzie, synu, cokolwiek robiłem, robiłem dla dobra królestwa.

– Tego samego królestwa, które zniszczyłeś? Gdy my tu gadamy, za murami ludzie przez ciebie walczą i umierają. Jesteś pierwszym spośród tchórzy tego świata, skończonym i zatraconym kłamcą, który co godzinę łamie dane słowo. Masz wyłącznie wady i żadnych zalet.

– Wciąż nie rozumiesz, jak działa polityka. – Lord Dudley wyciągnął rękę do Gifforda. – Czy niczego się nie nauczyłeś? Każdy, kto ma swój udział we władaniu królestwem, zasługuje w pewnym momencie na śmierć. W tej grze albo wygrasz, albo umierasz.

– Zasługujesz na śmierć. – Gifforda zemdliło, gdy pomyślał, że w jego żyłach płynie krew takiego człowieka (choć któż mógł wiedzieć, czy to prawda, skoro miał normalny nos). Błyskawicznym cięciem zranił ojca w dłoń.

Jane zachłysnęła się powietrzem.

Dudley przysiadł na piętach, uszła z niego cała hardość.

– Mój chłopcze, ja rozumiem, że jesteś zły. Co mogę zrobić, byś ocalił mi życie? Zrobię wszystko. Wszystko!

– Wszystko, powiadasz? – zamyślił się Gifford. – A czy oddasz mi swoją posiadłość?

– Tak! Oddam ci wszystko, co mam, i jeszcze więcej! Co tylko zechcesz!

– A czy przestaniesz rozpowiadać po ludziach, że jestem przygłupem, i przyznasz publicznie, że jestem Eđianinem?

– Tak!

– Czy przyznasz, że jestem tak samo dobry jak Stan?

Dudley się strapił.

– No... Stan jest wyjątkowy... – Zreflektował się, gdy nagle pojął, że ma miecz przy gardle. – Ale... tak. Jesteś całkiem... dobry. Tylko, błagam, nie zabijaj mnie.

Dłoń Jane spoczęła na ramieniu Gifforda, a on nakrył ją swoją. Wypuścił powietrze i spojrzał w niebo. Już wiedział, co robi z ojcem. Owszem, ktoś mógłby powiedzieć, że lord Dudley zasłużył na śmierć, ale G nie był królem ani sędzią. A tym bardziej katem.

– Ojczy, lud zadecyduje, co z tobą zrobić. Jutro wszyscy dowiedzą się o twoich sprawkach.

Jane liną przywiązała Łomota i Dudleya do kraty (w końcu czytała kiedyś książkę o zabezpieczaniu jeńców), a gdy już upewniła się, że nigdzie nie uciekną, ona, G i Edward udali się do White Tower. Do komnaty tronowej.

(Pewnie zastanawia was to samo co nas: skąd Jane wzięła linę, którą związała więźniów. Otóż dokładnie zbadaliśmy tę zagadkę i możemy stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że nie wiadomo. Jest to pytanie, które od wieków zabija ćwieka historykom i uczonym. Profesor Herbert Halprin wyjaśnia: „Pierwsze liny pojawiły się już kilkanaście tysięcy lat wcześniej i pleciono je wówczas z winorośli. Niestety, z tego właśnie powodu żadna nie dotrwała do naszych czasów. Później Leonardo da Vinci naszkicował projekt maszyny splatającej liny, ale samej maszyny nigdy nie zbudowano. W średniowieczu istniały tajemne stowarzyszenia nazywane gildiami linowymi, a ich metody splatania lin były chronione wieloma skomplikowanymi uściśnięciami dłoni i hasłami...”. No dobra, wasze narratorki przerwały drogiemu profesorowi konsultantowi, ponieważ straszny z niego nudziarz. A w dodatku jego angielski akcent wydaje się udawany i wymuszony. Spytałyśmy go, skąd Jane mogła wziąć linę, ale może zrozumiał, że pytamy skąd ktokolwiek mógł wziąć jakąkolwiek linę kiedykolwiek

w historii. Zaufajcie nam, jesteśmy w równym stopniu co wy sfrustrowane faktem, że nie sposób udzielić na nasze pytanie definitywnej odpowiedzi. A więc udzielimy wam tej samej rady, której udzielono kiedyś nam: „Poważnie? Spędziłyście tyle czasu nad taką bzdurą? Przecież mogła odciąć kawałek z systemu unoszącego kratę”).

Nieważne, w każdym razie nadszedł w końcu czas, by nasi bohaterowie zrobili to, po co tu przyszli. Skonfrontowali się z Marią.

– Powinniśmy zrobić to szybko. Wpaść i wypaść – powiedział Gifford, gdy zbliżali się do sali tronowej. Wskazał głową okna, przez które dało się już dojrzeć poranną łunę. Za kilka minut utknie pod postacią konia w White Tower. A wiedział z doświadczenia, że lepiej tego uniknąć.

Lecz gdy dotarli do sali tronowej, Edward przystanął.

– Naprawdę myślisz, że to się uda? – spytał niespodziewanie. – Bo po drugiej stronie tych drzwi jest pewnie masa ludzi. – Ogarnął wzrokiem kiego leżący na nim mundur. – A jeśli mnie nie rozpoznają?

– Rozpoznają, zaufaj mi – odrzekła Jane. – Uda się.

– Albo i nie, a wtedy wszyscy umrzemy – dorzucił G. – Ale przynajmniej w słusznej sprawie.

Edward kiwnął głową i oparł rękę na drzwiach.

– Czeka! – powstrzymał go G, obracając się do Jane. – Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

– Teraz?

– Teraz albo nigdy. Nie wiem, czy nadarzy się jeszcze okazja. – Zacerpnął powietrza. – Byłem słaby. Zmieniłem się w konia, gdy powinienem był pozostać mężczyzną. Ale nie mogę stawić czoła temu, co czeka nas za tymi drzwiami, nie powiedziawszy ci, że jestem twój. Moje ciało, mój umysł i serce, moja postać ludzka i końska... cały jestem twój. – Rzucił okiem przez okno. Słońce niemal już wspięło się na niebo. – Przynajmniej przez kilka najbliższych sekund.

Jane stanęła na palcach, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

– Zostań ze mną, G.

– Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie chciałem pozostać człowiekiem – wyrzekł, ciężko oddychając.

– Więc dlaczego nie próbowałaś wtedy, gdy uczyły nas babcia i Grace?

G zwiesił smętnie głowę, zażenowany.

– Byłem przyzwyczajony do przegrywania. Za nic nie chciałem przegrać na twoich oczach. A moje serce...

– Co z twoim sercem? – spojrzała na niego z obawą.

G się zawahał, lecz zaraz przypomniał sobie, że noc ma się ku końcowi.

– Przez większość życia łatwiej mi było uciekać. Co, jeśli pragnieniem mojego serca jest właśnie ucieczka? Co, jeśli nie zdołam być mężczyzną, mężem, gospodarzem? Co, jeśli okażę się niegodny ciebie? Ale Jane... – Ujął jej rękę i ucałował. – Jane. Ty jesteś moim domem. Proszę, otwórz przede mną swoje serce i pozwól mi w nim zamieszkać. Może i mam do zaoferowania tylko pół życia, ale oddaję ci się w całości. Kocham cię.

Pochylił głowę, nie potrafiąc spojrzeć Jane w oczy. Bał się, że mógłby w nich dojrzeć drwinę. Ale Jane ujęła jego twarz miękkimi palcami i ją podniosła.

– Kochasz mnie? – wyszeptwała.

– Od pierwszego wejrzenia moje serce należało do ciebie.

– Naprawdę?

– Niezupełnie – przyznał. – Ale to dobry tekst, nie?

– G – przywołała go do porządku westchnieniem. – Mów z sensem, bardzo proszę.

– Gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, pomyślałem, że jesteś tak piękna, że nigdy mnie nie pokochasz. Do tej nocy nigdy nie doświadczyłem prawdziwego piękna. – Poglaskał jej policzek wierzchem dłoni. – Ale nie znałem cię wtedy jeszcze. Nie wiedziałem, jaka jesteś mądra, jaka dzielna, jaka dobra, jak wierna swoim przekonaniom. Milady. Jane. Nie chcę iść przez życie bez ciebie u mego boku.

– Ja też ciebie kocham.

– Naprawdę?

– Tak. – Obdarzyła go uśmiechem. – Ale mam jedno pytanie.

– Co to za pytanie, milady?

– Czy widzisz, że wstało słońce?

G utkwiał wzrok w oknie. Mrugnął, zmieszany.

– Co?

Jane uśmiechnęła się i otoczyła jego twarz dłońmi.

– Jest dzień. Widzisz?

– Ale to niemożliwe. Wciąż jestem człowiekiem – zdziwił się Gifford.

– Tak. Wstało słońce. A ty wciąż jesteś człowiekiem – potwierdziła Jane.

Gifford zamknął oczy i po raz pierwszy od sześciu lat, ośmiu miesięcy i dwudziestu dwóch dni poczuł promienie słońca na twarzy. Wypełnił płuca rzeźkim powietrzem, jakby chciał wchłonąć światłość, a wtedy w jego sercu

zrodził się spokój. Ten spokój, który przychodzi do każdego, kto wraca do domu po długiej podróży.

Klątwa została złamana.

Kochankowie padli sobie w ramiona, a Edward oraz wasze narratorki odwrócili głowy, by dwa ptaszki mogły sobie razem poćwierkać.

Ponieważ ćwierkanie się przeciągało, Edward odchrząknął znacząco.

– Czy już można? – spytał, gdy ich wargi rozdzieliły się na krótką chwilę.

– Jeszcze momencik. – G złożył kolejny delikatny pocałunek na ustach Jane. – Teraz już można.

– Dobrze. Bo mam coś jeszcze do zrobienia.

EDWARD

Z mocą otworzył drzwi i wpadł do sali tronowej.

Zrobił to. Dostał się do Tower, co było prawie niemożliwe. Walczył dzielnie i nieugięcie. Rozprawił się ze strażnikami, dorwał Dudleya, nawet pokonał Łomota w walce na miecze. A teraz odzyska swoją koronę. Wszystko poszło zgodnie z planem Jane. Już prawie mu się udało, już czuł smak zwycięstwa.

Pierwsze tego dnia zdziwienie opadło go na widok prawie pustej sali tronowej. Spodziewał się, że będzie wypełniona po brzegi dworzanami i członkami Rady, doradzającymi królowej i okazującymi wsparcie podczas bitwy. Tymczasem w komnacie było wraz z Marią góra dwanaście osób, nie zaś wrzący i skłębiony tłum, na którego oczach miał się odbyć chwalebny powrót prawowitego władcy.

Gdy wszedł do środka, w pomieszczeniu zaległa cisza i wzrok wszystkich skupił się na nim. Niektórzy rozdziawili usta. Bo choć był mokry od potu i krwi, choć nie nosił butów ani korony, nikt nie miał wątpliwości, że oto wraca z grobu król Edward VI.

Ale to będzie dobre – pomyślał.

Zwrócił się do strażnika przy drzwiach, którego znał od dziecka:

– Zaanonsuj mnie, Robercie.

Mężczyzna wyglądał, jakby zobaczył ducha (właściwie w pewnym sensie była to prawda). Z trudem przełknął ślinę i natychmiast wykonał polecenie.

– Jego Wysokość Edward Tudor.

Edward ruszył w kierunku tronu i stanął przed Marią.

– Chyba krzesła ci się pomyliły – pisnęła zza niego Jane.

Maria skubała chustkę.

– Och, Eddie, tak się cieszę, że żyjesz. Serce mi pękło, gdy mi doniesiono o twojej śmierci.

– Jak śmiesz? – odparł Edward głosem tak bardzo nabrzmiałym od furii, że Jane by go nie rozpoznała. – Jak śmiesz wyciągać rękę po to, co należy do mnie? Tu trucicielska ropucho!

– Ale jej powiedział.

Zaszeleścił papier. To Gifford zapisał jego słowa.

– Ależ, bracie... – zaczęła Maria, raptownie blednąc.

– I jeszcze masz czelność nazywać mnie bratem po tym, co zrobiłaś? Powiniennem kazać cię poćwiartować. A może wolisz spłonąć na stosie? Jak ci się widzi Oczyszczenie? Bo tak chyba nazywasz to wielkie palenie „zdrajców”, które zaplanowałaś na dzisiaj?

– To Dudley zrobił – odrzekła cicho Maria. – Odebrał ci tron, bo chciał posadzić na nim syna. A ja po prostu na to nie pozwoliłam.

Edward roześmiał się śmiechem zupełnie wypranym z rozbawienia.

– A więc powiniennem ci podziękować za to, że ogrzewałaś mi krzesło?

Gapiała się na niego, milcząc.

– Dość tych kłamstw, siostrze – uciął Edward. – Pomówmy otwarcie. Pomówmy otwarcie o tym, co teraz będzie.

Czas na tę część, kiedy błaga o litość – pomyślał. – Gdy zanosi się płaczem, korzy się przed nim, wije u jego stóp. Zastanawiał się, czy będzie w stanie jej wybaczyć.

Nie, raczej nie.

Teraz zdziwił się po raz drugi, bo Maria ani myślała paść na kolana. Zamiast tego wstała powoli, wyprostowana i dumna. Na jej głowie wciąż pyszniła się korona.

– Jesteś tylko głupim chłopcem – wyrzekła wreszcie. – Skąd miałbyś wiedzieć, co zrobić z tym wielkim królestwem?

– Władatem nim całe lata – zaripostował.

Prychnęła.

– To nazywasz władaniem? Byłeś marionetką Rady, nikim więcej. I zobacz, do czego doprowadziłeś. Eðianie robią, co im się żywnie podoba, co rusz zakłócając spokój, grabiąc ziemię, plugawiąc nasze tradycje i zadając kłam naszym przekonaniom. Doprowadziłeś ten kraj do ruiny. Eðianie chcą cofnąć nas do epoki mroku i wynaturzenia. A ty im w tym pomagasz.

– Sam jestem Eðianinem – odpowiedział – jak mój ojciec. Jestem synem mojego ojca.

– A ja jestem jego córką! – odrzekła zapalczywie Maria. – Jego pierworodnym dzieckiem, jego jedyną prawdziwą spadkobierczynią. Może i bawił się w małżeństwo z jakimiś eðiańskimi wywłokami, ale tylko moja matka była jego prawowitą małżonką. Co oznacza, że to ja, a nie ty, bękarcie, jestem dziedziczką tronu i królową Anglii.

Że co? – pomyślał Edward. Nie spodziewał się, że będzie się kłócić. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Chciał powiedzieć: „Czekaj, wszystko pomyliłaś, prawowitym władcą jestem ja, nie ty, jesteś przecież kobietą”. Ale

ta logika już do niego nie przemawiała.

Stał przed tronem, nie wiedząc, co powiedzieć. Zapomniał języka w gębie.

A w tej ciszy oczy Marii zajaśniały blaskiem triumfu.

– Ja jestem królową – wyrzekła, jeszcze bardziej wypinając pierś. – Całe życie patrzyłam, jak dzierżysz ten tytuł zamiast mnie, ty heretyckie nasienie, żaloszny, śmieszny dzieciaku. Oskarżasz mnie o kradzież, a to nie ja tu jestem złodziejką. Ty uzurpatorze.

– Nie – rozległ się głos z tyłu komnaty. Głos władczy i nieulekły.

Bess.

Edward okręcił się na pięcie i spojrzał na idącą nawą siostrę.

Szare oczy Bess zwięzły się, gdy jej wzrok padł na Marię.

– Edward jest prawowitym dziedzicem tronu Anglii, ponieważ nasz ojciec ogłosił go dziedzicem. Król może przeznaczyć koronę, komu tylko chce.

– Ale ojciec przeznaczył mu koronę tylko dlatego, że zwiedli go ohydni Eðianie. To przez nich porzucił dobrą i cnotliwą żonę. – Maria ani myślała odpuścić. – Zrobił to również dlatego, że Edward jest nie córką, a synem.

Bess uśmiechnęła się na te słowa.

– Nieprawda, siostro. Ojciec zostawił tron Edwardowi, bo wiedział – już wtedy wiedział – że Edward ma serce króla. Ojciec miał pewność, że Edward okaże się hojnym i mądrym władcą, który będzie się troszczył o lud. Zdawał sobie sprawę, że Edward to dla jego kraju najlepszy wybór.

Że co? – pomyślał znowu Edward, marszcząc brwi. Pochlebstwo mile polectało jego próżność, ale czuł w głębi serca, że jak każde pochlebstwo, jest nieprawdziwe. Gdy zasiadał na tronie, wcale nie myślał zbyt wiele o poddanych. Nic o nich nie wiedział. A już na pewno nie uważał się za mądrego. Robił, co mu kazano, podpisywał, co mu podtykano, godził się na taki stan rzeczy, jaki uznali za właściwy ludzie wokół niego. W rzeczywistości był królem tylko z nazwy, marionetką na sznurkach ich wszystkich. A ojciec powołał go do królowania jedynie dlatego, że był chłopcem.

Bess stanęła u jego boku.

– To Edward jest prawdziwym królem – ciągnęła, przeniósłszy na niego wzrok. – I to Edward zaprowadzi w Anglii pokój i porządek. – Obrzuciła Marię wymownym spojrzeniem. – Ty doprowadziłabyś kraj do ruiny. Konspirowałaś, by dla korony zabić własnego brata. To twoje rządy ściągnęłyby na nas zglębę. Jesteś zakałą rodziny królewskiej.

– Aresztować ją! – wrzasnęła Maria do strażników. – Ściąć jej głowę!

Ale strażnicy ani drgnęli. Patrzyli na Edwarda, milczący jak posągi.

– Gra skończona, Mario – powiedziała gładko Bess. – Przegrałaś.

– Nie! – Słowo zabrzmiało echem w komnacie. A potem Maria wydała z siebie wściekły ryk i rzuciła się na Bess, wyciągając ręce, tak jakby chciała ją udusić albo rozerwać na strzępy.

Lecz nim do niej dopadła, błysnęło światło, a zebrani w komnacie zachłysłeni się powietrzem.

Bo tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała Maria, teraz widzieli spasionego, szarego muła.

Pierwsza zaśmiała się jakaś starsza kobieta – obca w tych murach, ale wielu mówiło później, że doświadczyło dziwnego *déjà vu* podczas gry w karty.

– O rety, ale z niej osioł! – wycharczała starowinka, a ciżba jak na komendę gruchnęła śmiechem, na którego dźwięk do komnaty zaczęli napływać ludzie.

Stary muł zanosił się rzeniem i kiwał łbem. Wyglądał przy tym jak siedem nieszczęść. (Tutaj pozwolimy sobie nadmienić, że Marii nigdy nie widziano już w ludzkiej postaci. Była osłem do końca życia. Jak to osły...).

Edward pozostał poważny.

– Zabrać ją – nakazał strażnikom.

Jakiś mężczyzna – jak się okazało, był to Peter Bannister – nałożył byłej królowej pętlę na szyję i wyprowadził z komnaty.

Edward zbliżył się do tronu. To tylko otoczone wciąż krzesło – rzuciło mu się na myśl. – Wcale nie takie wygodne. Ale mimo to zasiadł na nim. Bo tego od niego oczekiwano.

Potoczył wzrokiem po pomieszczeniu. Ludzie zamilkli, a potem powoli, wśród szelestu materiału i szurania butów, jeden po drugim zaczęli klękać.

– Niech żyje król Edward! – zawołali. – Niech żyje król!

Gula urosła mu w gardle. Nie czuł się tak, jak myślał, że będzie się czuł w tej wyczekiwanej chwili. Nie rozpierała go duma triumfatora, zwycięzcy, prawowitego króla. Czuł się właściwie tak samo jak pierwszego dnia, gdy jako mały chłopiec usłyszał, że jest królem. Pojawił się nieprzyjemny ucisk w żołądku. I trwoga.

Bess podniosła z podłogi koronę, która wylądowała tam, gdy Maria pokazała światu swoje prawdziwe oblicze. Wolno i uroczyście podeszła do Edwarda i stanęła u jego boku. Uśmiechnęła się. A potem uniosła koronę nad jego głowę...

Edward złapał ją za nadgarstek.

– Poczekaj.

Zamarła.

- Edwardzie, co ty robisz?
- Maria miała rację – wyszeptał. – Nie jestem prawowitym władcą.
- Ależ oczywiście, że jesteś – powiedziała.
- Dlaczego? Bo jestem mężczyzną?
- Nie słyszałaś, co wcześniej powiedziałam? O tym, dlaczego ojciec cię wybrał?

Utkwił wzrok w podłodze. Na jego ustach pojawił się blady uśmiezek pozbawiony wesołości.

– Jesteś bardzo szlachetna, siostrze. Ale ja nigdy nie troszczyłem się o swoich ludzi. Nie jestem mądry. Jestem tylko chłopcem.

– Nigdy nie byłeś tylko chłopcem – zaprzeczyła.

– W mojej piersi wcale nie bije królewskie serce – powiedział z przekonaniem. – Ale w twojej tak.

Gapiała się na niego nieprzytomnie.

– W mojej?

– To ty uczynisz Anglię wielką.

Delikatnie wyjął koronę z jej palców i podniósł się z tronu. Stojący na przodzie Jane, Gifford i babcia otworzyli usta w zdumieniu. Tak, nawet babcia, której, jak sądzono, nic już nie mogło wprawić w zdumienie. Jakże Edward by chciał, żeby była tu Grace! Próbował nie myśleć o niej za wiele – pewnie wciąż walczyła wraz z jego żołnierzami – bo nie wolno mu było dzisiaj rozpraszać się myślą o tym, co się z nią dzieje. Ale teraz bardzo chciał, by zobaczyła na własne oczy, co ma zamiar zrobić.

– Posłuchajcie wszyscy – zwrócił się do zebranych. – Ja, król Edward VI, niniejszym abdykuję, a koronę powierzam mojej siostrze Elżbiecie Tudor, która ze względu na wrodzone predyspozycje oraz przynależność do królewskiego rodu będzie odtąd sprawować władzę jako prawowita królowa Anglii. Wszelkie prawa i przywileje, jakimi cieszyłem się dotąd jako monarcha, przechodzą na nią.

Cisza jak makiem zasiał.

Edward napotkał spojrzenie Jane. Domknęła usta i usiłowała się uśmiechnąć. A potem tylko skinęła lekko głową.

– Niech żyje królowa Elżbieta! – zawołała wysokim, dźwięcznym głosem. Spojrzała wymownie na Gifforda, który od chwili wejścia do komnaty nie wypuścił jej dłoni, i trąciła go łokciem.

– Co...? A, no tak, niech żyje królowa Elżbieta! – wykrzyknął, a okrzyk ten powtórzyli jak echo wszyscy zgromadzeni.

– Chodźmy, siostrze – powiedział Edward do Bess. Złapał ją za rękę i posadził na tronie.

– Jesteś pewny? – szepnęła, siadając ostrożnie na jego krześle. (Król czy nie, minie trochę czasu, nim przestanie myśleć o tronie jak o krześle). – Zastanów się, z czego rezygnujesz.

Wiedział dokładnie, z czego rezygnuje. Z władzy, prestiżu, bogactwa, wygodnego i dostatniego życia. Z ludzi dbających o to, by się nie zakrzusił. A przede wszystkim z przyszłości, z myślą o której był oswojony od dawna. Edward nie miał bladego pojęcia, kim będzie, gdy odda tron siostrze. Wiedział tylko, że robiąc to, rezygnuje z wielkiej części własnej tożsamości.

Ale ten kraj potrzebował godnej i zdolnej władczyni. Anglia potrzebowała Bess.

– Nigdy nie byłem niczego bardziej pewny – odrzekł. – Będziesz wspaniałą królową, Bess. Zrównoważoną, mądrą, ugodową. O wiele lepszą niż ojciec. Zobacysz.

Usłyszawszy znajome słowa, obdarzyła go tym subtelnym uśmiechem, a potem pochyliła głowę i zamknęła oczy. Była biała jak kreda. Widział wszystkie dwadzieścia dwa piegi zdobiące jej twarz.

Uniosła czoło i zwróciła się do zebranych:

– A więc dobrze. Jeśli tak musi być, będę dla was tak dobra, jak tylko królowa może być dobra dla swoich poddanych.

– Niech żyje królowa Elżbieta! – odpowiedzieli unisono zebrani. – Niech żyje królowa!

Edward osadził koronę na jej skroniach.

*

Przerwijmy na chwilę. Tak, wiemy, jesteśmy tak blisko zakończenia, że pewnie czujesz już, czytelniku, smak happy endu. No i kto by się spodziewał, że tak się to skończy, no nie? Znaczący, kto by przypuszczał, że Edward ogłosi przed Radą Królewską i wszystkimi swoimi wiernymi fanami, że to nie on będzie królem, a jego siostra, Elżbieta I.

Bo to właśnie ona miała najlepsze kwalifikacje, by zasiąść na tronie. Edwarda wreszcie oświeciło – kobieta może rządzić tak samo sprawnie jak mężczyzna.

I tak to właśnie było. Edward abdykował, a w ciągu tygodnia Elżbieta została koronowana w opactwie westminsterskim. I jak wiemy z historii, była

najlepszą królową, jaką Anglia mogła sobie wymarzyć. Teraz historia może się już potoczyć swoim własnym torem.

Ale – zapytacie – co było dalej z Edwardem? No cóż, chyba został nam jeszcze jeden epizod do opowiedzenia.

*

Edward spędził większość kolejnych dni, rozmyślając o Grace MacTavish (bo niby o czym?). Koniecznie chciał jej powiedzieć, że zrezygnował z korony, i zobaczyć wyraz zdziwienia na jej twarzy. Rozmyślał o niej również dlatego, że (powiedzmy sobie szczerze) wciąż bardzo chciał ją pocałować. Wyobrażał to sobie tak często, że aż wstyd.

Niestety uroczej Szkotki jak nie było, tak nie było.

– W końcu się pojawi – powiedziała mu Bess, gdy przemierzał nerwowym krokiem salę tronową. Świeżo upieczona królowa skubała frędzle u poduszki. – Nie zamartwiaj się tak, Edwardzie.

Bess miała rację. Bess zawsze miała rację, a odkąd była królową nawet częściej niż zawsze. Edwarda zaczynało to irytować. Grace żyła. Po Londynie krążyły przesadzone opowieści o dzielnej, czarnowłosej kobiecie, która poprowadziła Watahę do pozorowanego ataku na miejskie mury. Edward chciałby wiedzieć, gdzie był wtedy Archer. I gdzie jest teraz.

Watahy nie widziano w Londynie od dnia bitwy. Po odbiciu miasta jej członkowie wycofali się do swojej meliny w Kudłatym Psie. Grace, jak domyślił się Edward, musiała pojechać wraz z nimi.

Z Archerem – pomyślał zasmucony. Dzień, w którym Archer zmierzył Grace wzrokiem i skomplementował jej wygląd, mocno odcisnął się w jego pamięci. Ten zawszony zbir ślizgał się po niej oczami, jakby była sztuką mięsa.

Edward nie mógł znieść myśli, że Grace miałyby przebywać teraz z Archerem. I dlaczego, na Boga, nie przyszła się z nim zobaczyć po bitwie? Ich ostatnie spotkanie we Francji nie poszło za dobrze, ale czy miała powód, by zupełnie zerwać kontakt?

– Edwardzie, usiądź – poprosiła Bess. – W głowie mi się kręci od tego twojego chodzenia w kółko.

Opadł zmakotniały na krzesło. Pet przyskoczyła do niego, merdając ogonem. Podrapał ją za uchem, a ona mruknęła wesoło i położyła mu się na stopach. Jakiś czas wcześniej Pet zapytała Bess, czy wolno jej strzec królowej po tym, jak przysłużyła się sprawie Edwarda, a królowa wyraziła zgodę (choć

nie przepadała za psami, bo, jako się rzekło, była raczej kociarą). Momentami robiło się niezręcznie, ale mieli obowiązek zrobić to dla Pet – a także drapać ją za uchem i okazjonalnie dokarmiać resztkami jedzenia ze stołu.

– Hm... Wasza Wysokość... – dobiegł ich głos od drzwi. – Jeśli chodzi o koronę...

– Co z nią? – ponagliła Bess roztrzęsionego lokaja. Wyglądał, jakby miał ochotę zapaść się pod ziemię. Edward przypomniał sobie, że ma na imię Hobbs.

– Czy... przeniosła ją może gdzieś Wasza Wysokość? – wydukał Hobbs.

– Czy ją przeniosłam? – Bess zmarszczyła brwi. – A dokąd niby miałabym ją przenieść?

– Zwykle trzymamy ją na aksamitnej poduszce w komnatach króla... Znaczący, królowej.

Edward i Bess wymienili zaniepokojone spojrzenia. Angielscy obywatele zdali się jednogłośnie zaakceptować Bess jako oficjalną władczynię państwa, ale jeśli ktoś rzeczywiście ukradł koronę, mogło to zwiastować kłopoty. Nie wspominając już o tym, że korona królowej Anglii była bezcenna.

– Mówże, Hobbs – rozkazała Bess. – Powiedz, co się stało.

Hobbs przestąpił z nogi na nogę.

– Ona... zniknęła, Wasza Wysokość.

– Zniknęła?

– Tak, Wasza Wysokość.

– Ale jak to: zniknęła? – uniosła się Bess, a Hobbs jakby zmałał.

– Po prostu zniknęła! – skrzeknął. – Polerowanie jej należy do moich obowiązków. Robię to co czwartek. Ale gdy dzisiaj po nią poszedłem, znalazłem... – Rozplakał się. – Znalazłem... – Czknął. – Znalazłem...

Służący wyciągnął przed siebie pięść. Zaciskał w niej coś bardzo małego – o wiele za małego, by mogła to być korona. Czyżby któryś z klejnotów? I tak nie wróżyło to dobrze.

– Co to jest? – spytała królowa. – Pokaż.

Hobbs rozwarł dłoń. Był pewien, że ta sytuacja będzie go kosztować głowę. Zdumiał się więc, gdy twarze byłego króla i obecnej królowej przyozdobiły szerokie uśmiechy.

– Wasza Wysokość?

– Wszystko w porządku, mój Hobbsie – uspokoiła go Bess.

A potem Edward zaczął się rozbierać.

– Ależ, co też Wasza Wysokość... – zapowietrzył się zmieszany Hobbs.

– Nie potrzebujesz mnie tu już, prawda? – spytał siostry Edward, zrzucając koszulę.

– Poradzę sobie – zapewniła go Bess. – Leć.

– Dzięki. – Opromienił ją uśmiechem wdzięczności i odwrócił się do okna. Zsunął szybko spodnie. Rozbłysło światło, oślepiając zaskoczonego Hobbsa, a gdy służący odzyskał wzrok, chłopiec, który był niegdyś królem, rozplątał się w powietrzu.

Mężczyzna spojrział na swoją dłoń i ów dziwny przedmiot, który znalazł na poduszce zamiast korony Bess.

Małego drewnianego lisa.

*

Edward wylądował na dachu karczmy Pod Kudłatym Psem. Nie musiał wyteżać swych bystrych ptasich oczy, by dostrzec uchylone lekko drzwi. Wślizgnął się przez nie do małego składziku, zawalonego po powale zapasami. Był to podarunek królowej Elżbiety, obietnica wypełnienia przyrzeczenia, jakie złożył Watasze Edward.

Wewnątrz znajdowało się coś jeszcze, coś, czego Bess nie wysłała: złożone czyste ubranie. Rzecz jasna nic szczególnie eleganckiego – prosta lniana koszula, czarne spodnie i para butów. Edward ubierał się tak prędko, że początkowo włożył koszulę tył na przód.

Gdy wyszedł na zewnątrz, spostrzegł czekającego na niego mężczyznę, który na jego widok wskazał palcem wzgórze za budynkiem i charknął.

– Tam jest.

Edward puścił się biegiem.

Stała na szczycie wzniesienia pod wielkim, rozłożystym dębem. Początkowo go nie zauważyła, wpatrzona w zachodzące słońce.

Edward przystanął, by nasycić złaknione oczy jej widokiem. Miała na sobie długą zieloną spódnicę i białą bluzkę, rozpuszczone włosy rozlewały jej się po ramionach. Przez plecy przewiesiła sakwę, a do pasa przypięła znajomy nóż wyłożony masą perłową.

Odchrząknął, czując, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi.

Odwróciła się.

– Sire – powiedziała.

– Nie jestem już królem – wypalił jak głupi.

– Jestem przywódczynią Watahy – stwierdziła w tej samej chwili.

Chyba się przesłyszał.

– Że jak?

– Archer nie żyje – wyjaśniła. – Dostał strzałą w serce na samym początku bitwy.

– Przykro mi... – Minutę temu Edward sprowadziłby na Archera wszystkie plagi egipskie, ale teraz zrobiło mu się go szkoda. – Czy... słyszałaś, co powiedziałem? O niebyciu królem?

– O niczym innym się tu nie mówi. Nie zrobiłaś tego... dla mnie, prawda? – Jej zielone oczy wyrażały szczery niepokój.

– Nie, nie dla ciebie – odrzekł prędko (choć prawdę mówiąc, jakaś małeńka część Edwarda bardzo chciała porzucić tron Anglii, byle tylko móc całować szkocką złodziejkę ile dusza zapagnie). – Wcale nie dlatego!

Utkwiła wzrok w ziemi.

– Aha. Rozumiem.

– To znaczy – podjął gorączkowo – chodzi mi o to, że nie chcę być królem. Całe życie wtykano mi na głowę koronę. Ale gdy przyszła chwila, bym po nią sięgnął, uświadomiłem sobie, że wcale jej nie chcę.

Przygryzła wargę, by powstrzymać cisnący się na usta uśmiech. Dołączki. I już nie trzeba było niczego więcej.

Wystarczyły dwa kroki, by znalazł się przy niej. Nie wiedział, co właściwie robi, tylko tyle, że musi zrobić cokolwiek, inaczej wybuchnie. Ujął w dłonie jej ciepłą twarz w kształcie serca, zatopił palce w jej lokach. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, a on ją pocałował.

Pocałował ją!

Wiedział, że robi to dobrze, bo minęło kilka rozdudnionych uderzeń serca, a jej oczy zamknęły się, jej ramiona oplótły jego szyję, a jej usta odwzajemniły pocałunek.

Edward czuł się, jakby latał, choć przecież stał mocno na ziemi.

Całował ją i całował, i nie miał zamiaru przestać.

Co warto odnotować, całował z języczkiem.

Wreszcie oderwała się od niego i szeroko rozwarła swe zielone oczy.

– Dobry Boże... – szepnęła.

Uznał to za komplement.

– Pojęcia nie masz, jak długo chciałem to zrobić. – Odgarnął jej kosmyk włosów za ucho, przesunął kciukiem po miękkim policzku.

Przywarła do niego, prawie dotykając ustami jego ust.

– A może mam pojęcie?

Znowu ją pocałował.

Oczywiście całe to całowanie nie musiało oznaczać, że Edward ożeni się z Grace i że będą żyć długo i szczęśliwie (choć gdyby dobrze rozegrał swoje karty, kto wie?). Życie długie i szczęśliwe należy w tej książce do G i Jane. Ale Edward o tym nie myślał. Nie myślał o niczym, bo znowu całował Grace. Tym razem wolniej, ostrożniej, jak odkrywca eksplorujący nieznaną ląd.

Jakiś czas później powiedział:

– A teraz oddaj mi koronę Bess, ty mała łobuziario.

– A zmusz mnie – szepnęła wyzywająco.

A ponieważ Edward uwielbiał wyzwania, zmusił ją. Roześmiała się i wyjęła koronę z sakwy.

– No dobra, masz. Ale zdawało mi się, że powiedziałaś, że wcale jej nie chcesz.

– Ja jej nie chcę. Nie jestem białożorem, tylko pustułą – powiedział jej na ucho. – A więc nie królem.

Obróciła głowę i pocałowała go przelotnie, ledwie dotykając ustami ust.

– No dobrze – wyrzekła swoim czarującym, szeleszczącym akcentem. – Ale, Edwardzie, chcę, żebyś wiedział...

Odwzajemnił pocałunek.

– Nazwałaś mnie Edwardem!

– Tak, Edwardzie. – Wyszczrzyła się radośnie. – Dla mnie zawsze będziesz królem.

JANE

No dobra, już prawie dotarliśmy do happy endu. Ale zanim on nastąpi, musimy omówić kwestię ślubu. Och, wiemy, że ślub już był. Ale potem odbył się jeszcze jeden.

Drugi ślub Jane i Gifforda bardzo przypominał ten pierwszy.

Tylko że odbył się na świeżym powietrzu.

W dzień.

Nie wspominając o tym, że panna młoda i pan młody tym razem naprawdę się lubili.

No i w czasie godów oboje byli ludźmi, tak jak za pierwszym razem, ale zważywszy na to, że ślub odbył się w dzień, uznałyśmy, że warto o tym przypomnieć.

Jane i Gifford stanęli pod łukiem oplecionym kwiatami pośrodku rozległej łąki. Nieopodal postawiono dla gości tylko kilka krzeseł, ale wszystkie były zajęte. Lady Dudley i młodsza siostra G Temperance siedziały w pierwszym rzędzie. Edward i Grace (trzymając się, rzecz jasna, za ręce), Bess oraz babcia zasiedli po stronie przeciwnej, za nimi Peter Bannister i Pet, oboje w ludzkich formach (Pet chyba po raz pierwszy się ubrała). Na drugim ślubie nie pojawili się ci, którzy byli odpowiedzialni za pierwszy: lady Frances udała się na wygnanie, kiedy doszła do wniosku, że nie będzie już mogła Jane manipulować (ani jej szczytać czy szturchać). Właściwie to uciekła z koniuszym z posiadłości Greyów, co wywołało nie lada skandal. Członkowie Tajnej Rady nie dostali zaproszenia. A lord Dudley... No cóż.

O lordzie Dudleyu słuch zaginął. O ile nam wiadomo, został skazany na dożywotnią pracę w kopalni siarki. Dano mu wybór: śmierć lub siarka, i wybrał siarkę. Czy ucieszyła go ta decyzja? Tego już się pewnie nie dowiemy.

Wróćmy do ślubu.

Na kolanach każdego z gości spoczywała księga – na wypadek gdyby ślub okazał się nużący. Choć kapłan nudził tak samo jak ostatnim razem, ksiąg nikt nie czytał, co jednocześnie irytowało i cieszyło Jane.

– A teraz – wyrzekł w końcu ksiądz – wymienimy cuda sakramentu małżeństwa.

Po pierwsze, prawdziwa miłość.

Jane wolną ręką ścisnęła palce Gifforda, uśmiechając się do niego. Jej serce wybijało głośny, jednostajny rytm. Tymczasem ksiądz rozpływał się nad ogromem szczęścia płynącego ze znalezienia swojej drugiej połówki.

– Kocham cię – szepnął Gifford, a Jane aż zrobiło się gorąco.

– Jeszcze nie czas na przysięgę małżeńską – mruknął ksiądz półgębkiem.

– Przepraszam.

Po drugie, cnota.

Gifford prześlizgnął się wzrokiem po dekolcie żony. Jane prychnęła śmiechem, ściągając na siebie spojrzenia zebranych. Ale nic jej to nie obchodziło. Nie tym razem.

Po trzecie, potomstwo.

No cóż, ta kwestia pozostawała otwarta. Może kiedyś.

– A teraz złożcie swoje przysięgi – nakazał kapłan.

– Ja pierwsza – rzekła Jane. Poprzednim razem pierwszy był Gifford, uznała więc za uczciwe, że teraz zacznie ona. – Ja, Jane Grey-Dudley, przyrzekam być wierną i oddaną żoną. Przyrzekam ci wieczną miłość, obiecuję ratować cię z tarapatów i zawsze mieć w spiżarni zapas jabłek, na wypadek gdybyś zgłodniał. Aby okazać ci głębię mych uczuć, przygotowałam tę oto listę rzeczy, od których lubię cię bardziej.

Chwilę zajęło jej rozwinięcie papierowego bukietu. Gifford przestąpił nerwowo z nogi na nogę, próbując odczytać coś z kartki, ale Jane zakryła listę dłonią, gdy tylko zorientowała się, że podgląda.

– Giffordzie – rozpoczęła – kocham cię bardziej niż robienie na drutach, choć prawdę mówiąc, wiele rzeczy kocham bardziej niż robienie na drutach. Kocham cię bardziej od bycia królową, co szczerze mówiąc, wcale mi się aż tak nie podobało. Wiem, że na tym etapie listy trudno dopatrzeć się głębi, o której wspomniałam, ale to jeszcze nie koniec. – Podniosła na niego wzrok. – Kocham cię bardziej niż książki.

Gifford roześmiał się i pochylił, by ją pocałować, ale ksiądz przeszkodził mu głośnym kaszlnięciem.

– Obrączka. Potem przysięga. Całowanie na końcu.

Gifford wydał z siebie melodramatyczne westchnienie i uniósł dłoń.

– Dobrze.

Jane wyciągnęła obrączkę z kieszeni sukni – tę samą, której użyła podczas pierwszego ślubu i która od tamtego czasu spoczywała w szufladzie. Teraz wsunęła ją Giffordowi na palec i nakryła jego dłoń swoją.

– Oddaję się tobie.

– A ja cię przyjmuję – odszepnął, po czym dodał głośniejszym głosem: – Wiem, że powiedziałem to już ostatnim razem, ale tym razem mówię szczerze. Ja, Gifford Dudley, przyrzekam być lojalnym i oddanym mężem. Przyrzekam kochać cię, chronić, dochować wierności i uczynić najszczęśliwszą kobietą na świecie. Moja miłość do ciebie jest głęboka jak ocean i jasna jak słońce. Przysięgam bronić cię przed każdym niebezpieczeństwem. Jestem ślepy na wdzięki wszystkich kobiet poza tobą. Twoje szczęście jest najwyższym z moich celów. – Wyłowił z kieszeni obrączkę i wsunął żonie na palec. – Oddaję się tobie, moja lady Jane.

– A ja cię przyjmuję. – Jane nie potrzebowała znaku od księdza. Stała na palcach, zarzuciła G ramiona na szyję i go pocałowała, a goście klaskali, klaskali i klaskali.

GIFFORD

Co to za wesele bez nocy poślubnej? Wziąwszy pod uwagę, że ich poprzednia noc poślubna zakończyła się stertą końskiego łajna w rogu komnaty, tym razem mieli wszelkie prawo spodziewać się czegoś lepszego.

I rzeczywiście było o niebo lepiej, ponieważ Gifford kochał swoją lady, a lady kochała jego.

I nie było już między nimi tajemnic. Poza jedną. Gifford chciał wyznać ją swojej lady, zanim zwieńczą ten wyjątkowy dzień „bardzo wyjątkowym przytulaniem”.

Poprosił Jane, by usiadła z nim na łóżku.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Słucham – odparła Jane.

Gifford ujął jej dłoń i przesunął palcem po delikatnej skórze na przedramieniu. Jane nie wiedziała, że G spisał w końcu poemat, który od dawna układał w głowie. Inspiracją dla niego była jego lady, a on bardzo długo szukał odpowiednich słów, które w pełni oddałyby jego uczucia.

Wykreślił wiele pierwszych wersów, bo początkowo próbował oddać słowami chwilę, w której koń zakochał się we fretce.

*Czy do beczki jabłek porównać cię mogę?
Przecież futerkowa bardziej jesteś od niej.
Na przekór wichurom chcę wziąć cię za żonę
I kochać, ma fretko, chociaż jestem koniem.*

Potem poddał wątpliwie poetyckiemu opisowi samą postać fretki.

*Do szczura cię, lady, porównać nie umiem,
Większa wszak jesteś, nie roznosisz dżumy.
Nie sposób pomylić cię z psem albo kotką:
Nie jesteś zapchlona i wyglądasz słodko.*

Nie, przecież nie przyzna się jej do fascynacji poezją tymi wierszykami...

I właśnie wtedy, gdy w czasie ich drugiego ślubu Jane opromieniła go uśmiechem, wreszcie poczuł przypływ inspiracji, a po weselu wyjął pióro i zapisał poemat w jego ostatecznej formie. I tym razem zrobił to dobrze.

– Powiedz mi, ukochany.

– Pamiętasz o moich... nocnych ekscesach?

– Tak – odparła, mierząc go nieufnym spojrzeniem.

– Prawda jest taka, że nigdy nie było żadnych ekscesów. Nie łądaczylem się, nie włóczyłem po zamkach.

Jane wydawała się zmieszana.

– Skąd w takim razie te wszystkie historie?

– Wypuszczałem się z zamku nocami, ale oddawałem się wówczas... – Umilkł, chcąc uspokoić rozszalałe serce.

– Czemu? – spytała, wyszukując w głowie coraz to gorsze alternatywy.

– P... – zaczął, ale zaraz zamknął usta.

– Perwersji? – podsunęła.

– Nie.

– Pewnym dziwactwom?

– Nie. No cóż, właściwie poniekąd tak.

– Jeśli nie powiesz mi zaraz, czemu się oddawałeś, będę odtąd dziergać wszystkie twoje ubrania – zagroziła i zamierzała groźbę tę spełnić.

– Poezji – wypluł.

– Przepraszam, czemu?

Gifford podniósł się z łóżka i stanął przed nią. Wyjął zza pazuchy papier i zaczął deklamować.

– Moja Lady Jane...

Czy mam przyrównać cię do dnia letniego?

Jesteś piękniejsza i bardziej łagodna.

Wiatr strząsa płatki pąka majowego

I zbyt jest krótki lata czas pogody.

Czasem żar zbyt ni w oku słońca błyszczący

Lub chowa ono złote lico w chmury;

Wszystko, co piękne, swoje piękno niszczy

Przypadkiem albo zmiennością Natury.

*Nie zwiędnie jednak, ginąc zapomnieniu,
Twe wieczne lato, a twe piękno czyste
Przetrwa. Nie będziesz błędziła w Śmierci cieniu;
Żyj tu, wpleciona w strofy wiekuiste.*

*Póki ma ludzkość wzrok, a w piersi tchnienie,
Będzie żył wiersz ten, a w nim twe istnienie.*

Z każdym kolejnym głębokim oddechem Gifford odrywał wzrok od sonetu, by ocenić reakcję swojej lady.

– To było... piękne – powiedziała.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak. To znaczy, cieszę się, że nie będziesz nas utrzymywał z poezji, bo wolę mieć co jeść. Ale doceniam trud, jaki włożyłeś w napisanie tego wiersza.

(Niektórzy z was może go rozpoznali i wiedzą, że jego autorstwo przypisuje się niejakiemu panu Szekspirowi, który w roku 1553 nie był jeszcze nawet błyskiem w oku swojego ojca. Ale powinniście też wiedzieć, że powstało mnóstwo teorii spiskowych odnośnie do faktycznego autorstwa dzieł podpisanych nazwiskiem Szekspira, a my utrzymujemy, że tak naprawdę napisał je bardzo stary i bardzo szczęśliwy Gifford Dudley [z pomocą Jane i jej niezmiernie wiedzy zaczerpniętej z nieprzeliczonych ksiąg], który tworzył nie dla sławy czy pieniędzy, lecz by uszczęśliwić pewną lady).

G uśmiechnął się i opadł na łóżko.

– Nie masz pojęcia, jaka to ulga, słyszeć od ciebie te słowa.

Jane położyła się obok i wsparła głowę na jego ramieniu.

– Jest jeszcze coś, co musisz mi wyznać, mój lordzie?

– Hmm – zastanowił się Gifford. – Mówiłem ci już, jak bardzo cię Kocham?

Jane dotknęła dłonią jego piersi. A potem wolno pociągnęła za krawat, który spinał koszulę. Gifford gwałtownie wciągnął powietrze.

– Tak, wspomniałeś.

Węzeł się rozsypał.

– A o tym, że jestem noga z szermierki? – przemówił nisko cichym głosem.

– Tak, to też już wiem.

Jane rozpięła pierwszy guzik jego kamizelki. Gifford ścisnął jej rękę.

– Pocałuj mnie, Jane.

Ich usta spotkały się, z początku ostrożne i niepewne, a potem,

niespodziewanie, desperackie i złaźnione. I podczas gdy ich pierwsza noc poślubna rozbrzmiewała echemi głosew obcych ludzi, którzy chcieli decydować o ich losie, ta spowita była ciszą ich miłości. Gifford zapomniał się w pocałunku. Po jakimś czasie odsunął się na chwilę.

– Jane, chcę, byś wiedziała, że twój pocałunek jest jak dzieło sztuki...

– Mniej gadania, więcej całowania.

Ich wargi zetknęły się raz jeszcze, szukały się wzajemnie, zadawały pytania i uzyskiwały odpowiedzi, a chętne palce czepiały się guzików i rozplatały wstążki. Ich usta nie rozdzieliły się już, chyba tylko po to, by czasem wyszeptać:

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Zapadli się w sobie nawzajem i choć byłoby nietaktem opisywać w szczegółach, co działo się później, wasze narratorki odważą się powiedzieć, że „bardzo wyjątkowe przytulanie” to bardzo mało powiedziane.

PS. Totalnie skonsumowali.

Nie mamy już wiele do dodania poza jednym: Gifford i Jane żyli długo i szczęśliwie, a nici ich przeznaczenia dość często plątały się ze sobą. Z czego, zaprawdę, zadowoleni byli wielce.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Cześć! To my, Ladyjanistki. W tym miejscu powinnyśmy uchylić kapelusza w geście wdzięczności wobec wszystkich wspaniałych ludzi, którzy pomogli uczynić tę książkę tym, czym jest, ale ponieważ jest nas aż trójka i wszystkie mamy odrębny sztab pomocników, postaramy się uwinąć możliwie szybko. W końcu dopiero co skończyliście kilkusetstronicową powieść. Jesteście zmęczeni. My też.

Oto (totalnie niekompletna) lista wszystkich ludzi, których uważamy za wspaniałych.

Po pierwsze, nasi czytelnicy, zarówno starzy, jak i nowi. Za każdym razem, gdy wspomnialiśmy o tym, że chcemy napisać książkę (komedię?) o lady Jane Grey, reagowaliście z entuzjazmem, dzięki czemu całe przedsięwzięcie wydawało się nieco mniej szalone i nieco bardziej wykonalne. Dzięki za to. Rządzicie.

Dziękujemy naszym znakomitym agentom: Katherine Fausset, Lauren MacLeod i Michaelowi Bourretowi. „Chcemy napisać książkę we trójkę” – to pewnie najgorsze, co może usłyszeć agent. Pod względem logistycznym przedsięwzięcie okazało się cokolwiek karkołomne, ale wzięliście to na klatę i daliście z siebie wszystko. Dzięki za niezachwianą wiarę w nas i naszą opowiastkę.

Dziękujemy naszym fantastycznym redaktorkom, Erice Sussman i Stephanie Stein, które od razu skumały, o co w tej książce chodzi, załapały humor, zżyły się z postaciami, popłynęły z nurtem opowieści. Jedną z najlepszych rzeczy w pisaniu *Mojej Lady Jane* było rozśmieszanie was. Dziękujemy też Kristin Rens i Laurel Symonds za to, że nie zgłaszały obiekcji, gdy Brodi i Jodi uciekły na moment, by napisać inną książkę.

Dziękujemy naszej wydawczyni Rosanne Romanello, która przeczytała naszą powieść w okamgnieniu. Eđianowie pterodaktyle z pewnością istniały.

Dziękujemy naszej specjalistce od mody Jennie Stempel za to, że wykazała się anielską cierpliwością i nie pozabijała nas za nasze wybrzydzenie. I za cwany uśmiezek na twarzy Jane.

Dziękujemy naszym rodzinom. Za ich cierpliwość i nieustające wsparcie, gdy zniknęliśmy z życia na długie tygodnie, by pisać i hasać po Anglii (Jodi

dziękuje Jeffowi, Cynthia Johnowi, Willowi i Maddie, a Brodi Carterowi i Beckhamowi).

Dziękujemy też naszym zwierzacom: Toddowi i Katniss, Walterowi Fishopowi III i Stelli, Frankowi i Pidge'owi, Jewelsowi i gołębiowi imieniem Fred, którego znalazłyśmy na balkonie naszego hotelu w Londynie, a który może, ale nie musi być płci żeńskiej. To ty byłeś(aś) inspiracją dla Eđianów.

Dziękujemy również strażnikowi w Tower of London, który rozmawiał z nami o Jane i biegał za nami po Beauchamp Tower, by się upewnić, że zobaczyłyśmy oba wyryte przez Guildforda napisy.

To tyle. No to pa.

My Lady Jane

Copyright © by Cynthia Hand, Jodi Meadows, and Brodi Ashton 2016
Published by arrangement with Macadamia Literary Agency and Curtis Brown, Ltd.
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017
Copyright © for the translation by Maciej Pawlak 2017











Redakcja – Joanna Mika
Korekta – Aneta Wiczorek
Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc
Okładka – Jenna Stempel
Adaptacja okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl
Fotografia na okładce – Yuri Arcurs Productions

W tekście wykorzystano fragmenty następujących dzieł Williama Szekspira:
Makbet, tłum. L. Ulrich, Hamlet, tłum. S. Barańczak, Sonet XVIII, tłum. M. Słomczyński.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób
reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub
magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody
wydawcy.



Wydanie I, Kraków 2017
ISBN EPUB: 978-83-8129-011-1
ISBN MOBI: 978-83-8129-012-8

-  wsqn.pl
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [SQNPublishing](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [Sprzedaż internetowa labotiga.pl](mailto:labotiga.pl)
-  [E-booki](#)
-  [Zrównoważona gospodarka leśna](#)
-  [Tempori serviendum est](#)

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Część 1. W której robimy małą powtórkę z historii

Prolog

Rozdział 1. Edward

Rozdział 2. Jane

Rozdział 3. Gifford (ale mówcie mu G!)

Rozdział 4. Edward

Rozdział 5. Jane

Rozdział 6. Gifford

Rozdział 7. Edward

Rozdział 8. Jane

Rozdział 9. Gifford

Rozdział 10. Edward

Rozdział 11. Jane

Rozdział 12. Gifford

Rozdział 13. Edward

Rozdział 14. Jane

Rozdział 15. Gifford

Rozdział 16. Edward

Rozdział 17. Jane

Rozdział 18. Gifford

Część 2 (W której wyrzucamy historię przez okno)

Rozdział 19. Edward

Rozdział 20. Jane

Rozdział 21. Gifford

Rozdział 22. Edward

Rozdział 23. Jane

Rozdział 24. Gifford

Rozdział 25. Edward

Rozdział 26. Jane

Rozdział 27. Gifford

Rozdział 28. Edward

Rozdział 29. Jane
Rozdział 30. Gifford
Podziękowania
Strona redakcyjna



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:

 /WydawnictwoSQN  /SQNPublishing  /wydawnictwosqn

www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:
www.labotiga.pl

*Czasem historia zupełnie
nie ogarnia, o co chodzi...*

MOJA

*Nietatwo
być królową.*

LADY

*Ona chyba
straciła głowę!*

JANE

EQN
Imaginatio

CYNTHIA HAND BRODI ASHTON JODI MEADOWS